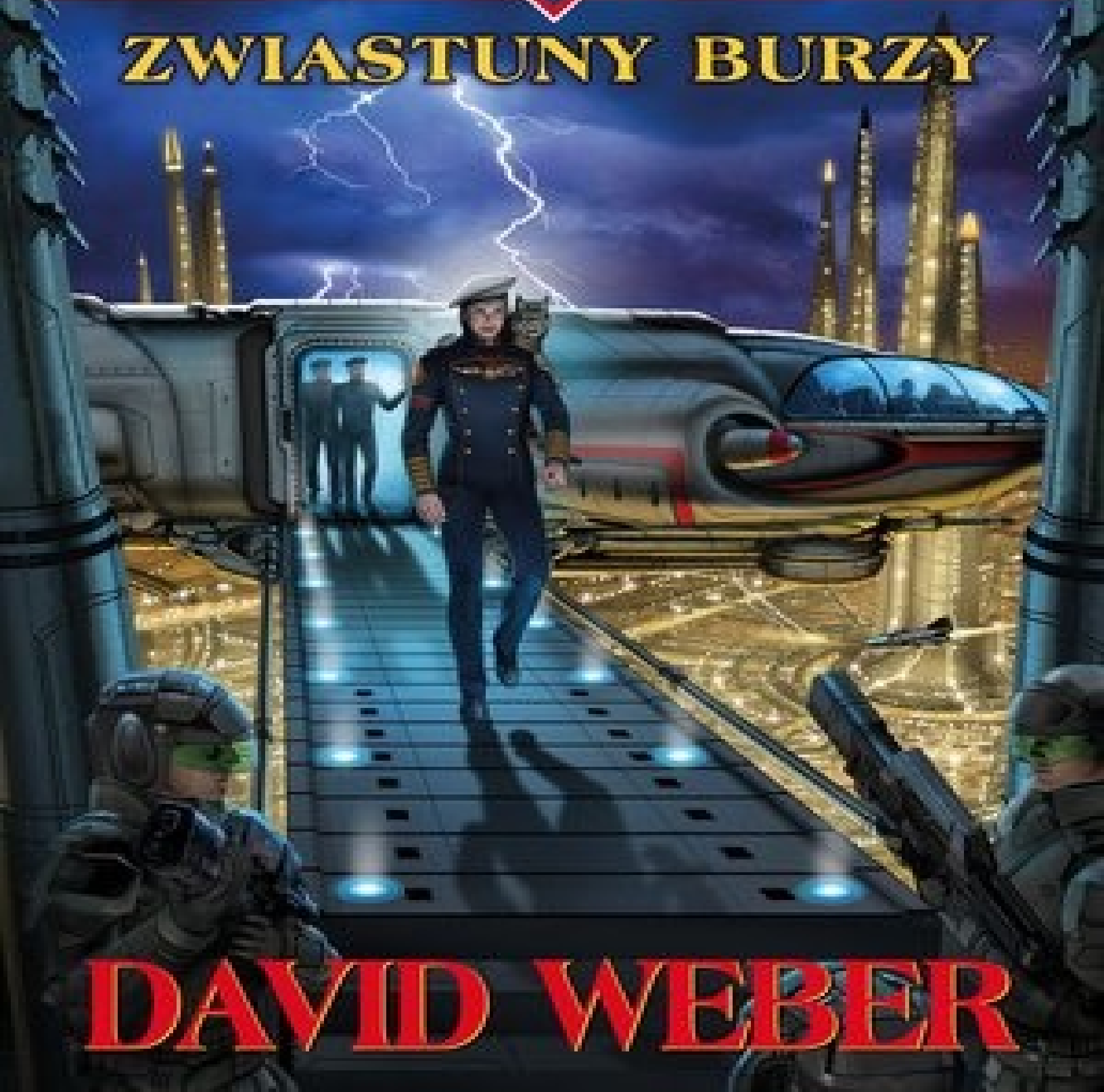


HONOR HARRINGTON

ZWIASTUNY BURZY



DAVID WEBER

DAVID WEBER
ZWIASTUN BURZY

A Rising Thunder

Tłumaczenie

Radosław Kot



*Dla Bruce 'a, Treysy, Mackenziego
oraz, a nawet przede wszystkim,
Indiany Grahama.*

*Dobra walka jest bardzo trudna,
ale przykutemu do ziemi śmiertelnikowi
wyrastają skrzydła, gdy widzi coś takiego.*

Niech Was Bóg błogosławi.

MARZEC 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Wolałabym nie podążać tą drogą, ale jeśli nie będzie wyboru,
pójdziemy nią do
końca”

Elżbieta III, królowa Manticore

Rozdział I

- Wypadaj z tymi okrętami z mojej przestrzeni! - warknął potężnie zbudowany ciemnoskóry mężczyzna widoczny na ekranie modułu łączności komandora Yau-pau.

- Obawiam się, że to niemożliwe, komodorze Chalker - odparł Pang, starając się utrzymać nerwy na wodzy i nie wyjść z roli uprzejmego oficera. - Zgodnie z otrzymanymi rozkazami mam ochraniać jednostki Manticore wracające przez ten terminal do naszego układu.

- Gównu mnie obchodzą pańskie rozkazy, komandorze! - wyrzucił z siebie czerwony na twarzy z wściekłości komodor Jeremy Chalker. Jego sześć niszczycieli znajdowało się w odległości 2,4 miliona kilometrów, czyli ośmiu sekund świetlnych, od krążownika Panga, co zasadniczo utrudniało ożywioną konwersację, jednak Chalker nie przejmował się byle drobiazgami. - Naruszył pan suwerenność mojego układu planetarnego, uniemożliwiając solarnemu personelowi kontroli astro wykonywanie obowiązków, w związku z czym oczekuję, że zabierze pan stąd swoją szanowną dupę. Zaraz, albo nawet jeszcze szybciej.

- Naruszanie czyjejkolwiek suwerenności nie było w żadnym razie moim zamiarem, sir - stwierdził Pang, na wszelki wypadek pomijając delikatny temat zastąpienia miejscowego personelu terminalu swoimi ludźmi. - Jestem tu wyłącznie po to, by zapewnić bezpieczeństwo jednostkom handlowym Gwiezdnego Imperium.

Po szesnastu sekundach doczekał się odpowiedzi...

- Zamiast pieprzyć od rzeczy, niech pan natychmiast uwolni personel stacji i wynosi się stąd w podskokach! Jeśli pan tego nie zrobi,

Bóg mi świadkiem, że rozwalę pierwszy frachtowiec Manticore, który nawinie mi się pod wyrzutnie!

W pogodnych zwykle oczach komandora coś błysnęło niepokojąco. Wciągnął głęboko powietrze.

- Skipper - rozległ się cichy głos. Pełen szacunku, ale ostrzegawczy.

Pang wyłączył mikrofon i spojrział na mniejszy ekran zamontowany przy fotelu dowódcy. Widniała na nim komandor porucznik Myra Sadowska, pierwszy oficer okrętu.

- Wiem, że to kutas - powiedziała tym samym ściszym głosem. - Ale naszym zadaniem jest załatwić sprawę możliwie jak najspokojniej. Jeśli da mu pan popalić, jak na to zasłużył, przypuszczam, że zapewne będzie jednak z tego trochę zamieszania.

Myra miała rację i Pang świetnie o tym wiedział, ale z drugiej strony nie mógł nie zareagować. Admiralicja nie przysłała *Onyksa* do terminalu Nolan po to, by oficerowie w rodzaju Chalkera zyskali okazję do bezkarnego wygłaszania podobnych gróźb.

Komandor był pewien, że nie o to Admiralicji chodziło, chociaż z drugiej strony, łatwo mu było zrozumieć, dlaczego tamten się tak wkurza. I to też komplikowało sprawę.

W obecnej chwili *Onyx* znajdował się w odległości 650 lat świetlnych od podwójnego układu Manticore i ledwie 200 lat świetlnych od Układu Słonecznego. Towarzyszyła mu siostrzana jednostka o nazwie *Smilodon* oraz dwa niszczyciele: należący do typu Roland *Tornado* oraz znacznie starszy *Othello*. Nie była to wystarczająca siła, by zapuszczać się z nią tak głęboko na teren przeciwnika, i Pang świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Co więcej, układ Nolan należał do Protektoratu Ligi Solarnej, a Chalker był oficerem liniowym Floty Granicznej. Wydawał się trochę za stary na swoją rangę, co sugerowało,

że nie miał dość dobrych znajomości w dowództwie SLN, chociaż jakieś posiadać musiał, skoro dostał dowództwo tej właśnie placówki. Znajdowała się ona blisko prowadzącego do Kathariny terminalu Nolan, dlatego Biuro Bezpieczeństwa Granicznego zwróciło na nią uwagę już blisko sto standardowych lat temu. Usadziwszy się w okolicy, zaczęło natychmiast zgarniać pokaźną część opłat wnoszonych przez użytkowników przejścia. Sądząc po nerwowej reakcji mianowanego przez Biuro kapitana, dowodzącego obsadą stacji kontroli przestrzeni, ta grupa też musiała mieć swój udział w tym procederze i należało oczekiwać, że ostatecznie do władz układu trafia tylko niewielka część pobieranych pieniędzy.

Tyle dobrego, że przynajmniej nie napadamy na niewinnych, pozbawiając ich ciężko zarobionych pieniędzy, pomyślał Pang. No i nie zamierzali przejmować infrastruktury na zawsze. Mieli wycofać się stąd po bezpiecznym przeprowadzeniu wszystkich jednostek Manticore. Jeśli ktoś w rodzaju Chalkera odnotuje w tym czasie trochę mniejsze wpływy na konto, chyba da się z tym żyć.

Oczywiście Pang nie wątpił, że cała Marynarka Ligi dostanie piany na pysku, ledwie się dowie o „aroganckim” postępowaniu Manticore, i mało komu zrobi różnicę, że chodzi tylko o czasowe przejęcie należących do Ligi terminali. Jeśli ktokolwiek sądził, że rezygnacja z przejścia do drugiej fazy planu Laokoon mogłaby udobruchać jakoś władze Ligi Solarnej, musiał chyba cierpieć na nieuleczalne napady optymizmu. Komandor nie mógł sobie pozwolić na hołdowanie podobnej ignorancji.

- To nie ja tutaj mieszam - powiedział głośno i spojrzał na porucznika komandora Jacka Frazier, który był oficerem taktycznym

niszczyciela. - Mam nadzieję, że nie będę miał dla ciebie roboty, ale gdyby jednak, zależy mi na ograniczeniu zniszczeń do minimum.

- Dobrze myślę, że chciałby pan nawiązać raczej do tego, co admirał Gold Peak zrobiła w New Tuscany, niż do jej robótki w układzie Spindle, sir?

- Właśnie - potwierdził z lekkim uśmiechem Pang. - Masz zamiary na okręt Chalkera?

- Tak sir - odparł skwapliwie Frazier. - Całkowitym przypadkiem udało się nam go zidentyfikować i wziąć zamiary ogniowe. Oczywiście ćwiczebne, sir.

- I dobrze.

Pang odczekał jeszcze chwilę, by naprawdę się uspokoić, i włączył ponownie główny mikrofon.

- Komodorze Chalker - zaczął znacznie bardziej oficjalnym tonem, rezygnując całkowicie z utrzymywanych dotąd pozorów uprzejmości. - Pozwoli pan, że zwrócę jego uwagę na dwie istotne kwestie. Po pierwsze, wspomniany terminal nie znajduje się tak naprawdę w przestrzeni układu Nolan. O ile moja astrogacja jest coś warta, leży on w odległości pięciu godzin świetlnych od planety stołecznej, czyli znacznie poza granicą dwunastominutowej strefy terytorialnej. Liga Solarna rości sobie prawo tylko do tej właśnie strefy. Po drugie zaś, skoro o różnych roszczeniach mowa, sugerowałbym nieśmiało zwrócić uwagę na skromność sił przypisanych obecnie do układu Nolan. Biorąc to pod uwagę, skłonny jestem przypuszczać, iż wysuwanie gróźb pod adresem żeglugi handlowej Manticore nie jest działaniem szczególnie roztropnym. O próbie ich realizacji nawet nie wspominając.

- Mam pana gdzieś, komandorze! Pana i całe to wasze „Gwiezdne Imperium”, któremu się wydaje, że może rozstawiać wszystkich po

kątach. Niebawem zderzycie się z rzeczywistością, wcześniej niż się panu wydaje!

- Otrzymałem jasne rozkazy, komodorze - odpowiedział z niezmaconym spokojem Pang. - I nie zamierzam roztrząsać kwestii, kto jest odpowiedzialny za obecne napięcie panujące między Gwiezdnym Imperium a Ligą Solarną. Mam szczerzy zamiar oddać ten terminal pod kontrolę Ligi, umożliwiając pańskiemu personelowi powrót do pełnienia obowiązków, ale uczynię to dopiero wówczas, gdy wszystkie jednostki handlowe Manticore obecne w tym sektorze skorzystają z szansy powrotu do naszej przestrzeni. Jest mi bardzo przykro z powodu wszelkich kłopotów i trudności, które mogę sprawić przy tej okazji solarnym funkcjonariuszom i cywilom - dodał tonem sugerującym, że naprawdę wolałby tego uniknąć. - Zamierzam jednak wykonać otrzymane rozkazy. Zgodnie z ich treścią mam chronić statki handlowe Gwiezdnego Imperium Manticore, gdziekolwiek je napotkam i wszelkimi dostępnymi mi środkami, co oznacza także użycie siły, jeśli okaże się to konieczne. W tym przypadku „gdziekolwiek” obejmuje również przestrzeń Ligi Solarnej. Jeśli więc zamierza pan otworzyć ogień do frachtowców Manticore, dlaczego nie zacznie pan od tych, które są najbliżej? Znajdzie ich pan kilka przy terminalu. Proszę, niech się pan nie waha! Sugeruję jednak nie zapominać przy tej okazji, że Royal Manticoran Navy ma swoje zdanie na temat ochrony żeglugi handlowej.

Musiał znowu odczekać szesnaście sekund, by sygnał przebył drogę tam i z powrotem. Dokładnie w siedemnastej sekundzie twarz Chalkera okryła się jeszcze głębszą czerwienią.

- Co to ma, kurwa, znaczyć? - warknął.

- A to, że mój oficer ogniowy ma zamiary na pańską jednostkę - odparł z jednoznacznym uśmiechem Pang.

Przez kolejnych szesnaście sekund Chalker tylko krzywił się kwaśno, po czym jego oblicze na kilka sekund skamieniało.

- Pan mi grozi? - spytał z niedowierzaniem, gdy już się otrząsnął.

- Tak - odparł bez ogródek Pang. - I owszem.

Chalker wbił w niego spojrzenie i komandor zastanowił się przelotnie, czego niby innego tamten mógł oczekiwać.

- Naprawdę uważa pan, że może władować się w solarną przestrzeń i miotać groźby pod adresem naszych obywateli? I jeszcze zapowiadać okrętowi Marynarki Ligi, że otworzy do niego ogień?

- Nie przybyłem tutaj, by komukolwiek grozić, admirale - powiedział Pang. - Zamierzam jedynie wykonać rozkaz roztoczenia opieki nad jednostkami handlowymi Manticore. Uczyniono mnie odpowiedzialnym za ich bezpieczeństwo, pan zaś poinformował wprost, że gotów jest je ostrzelać. Jeśli trwa pan przy tym pomyśle, i nawet wspomnienie losu admirała Bynga tego nie zmieni, to proszę robić swoje i miejmy już to z głowy. W przeciwnym razie nalegam, sir, by nie zabierał mi pan więcej czasu. I bez tego mam się czym zajmować. Życzę miłego dnia.

Tymi słowami zakończył połączenie i wyprostował się w fotelu dowódcy. Nie był tak całkiem pewien, co się stanie. Teoretycznie Chalker mógł być na tyle wściekły, no i głupi zarazem, by dać się sprowokować, chociaż oznaczałoby to jego szybki koniec. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Czy Pang z kolei miałby później jeszcze jakieś widoki na karierę, trudno orzec.

Uważał jednak, że jak spadać, to z wysokiego konia. Poza tym naprawdę nie widział żadnego innego sposobu! Cokolwiek by zrobił,

tamten kutas byłby gotów się czepiać. A tak, jeśli okaże się na tyle durny, by pociągnąć za spust, nie zginie jako nieświadoma i zdradzona ofiara. Sprawa została w końcu jasno przedstawiona.

Pang spoglądał na ekran taktyczny, czekając na reakcję Chalkera. *Onyx* i *Smilodon* były ciężkimi krążownikami typu Saganami C, uzbrojonymi w wielostopniowe pociski Mark 16 i osiem stanowisk graserów na każdej burcie. Okręt flagowy Chalkera, przestarzały niszczyciel typu Rampart, znajdował się wraz z całym zespołem daleko poza skutecznym zasięgiem własnej broni energetycznej. Jeśli mowa o pociskach, jego sytuacja była równie godna pożałowania. Z drugiej strony, Pang mógł w każdej chwili odpalić salwę w stronę SLNS *Lancelot*, który miał masę równą jednej piątej masy *Onyksa* i proporcjonalnie słabsze osłony burtowe. Dysponował przy tym łącznie ledwo dziesięcioma laserami i tylomaż wyrzutniami pocisków. Bez wątplenia starczało to do zniszczenia dowolnego statku handlowego, jednak na pokonanie obrony antyrakietowej krążownika czy przebicie się przez jego osłony burtowe szans nie miał praktycznie żadnych.

Pang pomyślał, że chyba dobrze się stało, iż Chalkera nie było na stacji w chwili przybycia zespołu Manticore.

Bóg jeden wie, do czego by się posunął, widząc wrogie jednostki przechodzące przez terminal. I dobrze też, że okazał się niezdolnym do trzymania języka za zębami kretynem. Jakiś frachtowiec Ligi musiał w końcu poinformować Nolan, co tu się dzieje, i gdyby Chalker podkraść się cicho, nie ujawniając się aż do chwili uzyskania skutecznego zasięgu broni energetycznej, mogłoby się zrobić nieciekawie. Przy odrobinie szczęścia zdołałby z zaskoczenia spowodować sporo kłopotów.

Gdyby zaś zachowywał się spokojnie, nie sugerując wrogich zamiarów, Pang nie miałby pretekstu, by otworzyć ogień. Musiałby

pozwolić tamtemu podejść dowolnie blisko, wystawiając powodzenie całej akcji na spore ryzyko. W tej sytuacji gadulstwo Chalkera stanowiło olbrzymie ułatwienie. Jawna groźba użycia siły przeciwko nieuzbrojonym jednostkom upoważniała Panga do potraktowania natręta w stylu admirał Gold Peak. Niech no tylko zacznie coś kombinować...

Dziękuję, komodorze Chalker, pomyślał sardonicznie komandor.

Chociaż nie przyznałby się do tego nawet przed Sadowską, ciążyła mu mocno odpowiedzialność i w pewien sposób samotność, jako że znajdowali się w głębi terytorium Ligi Solarnej. Każdy oficer Royal Manticoran Navy musiał liczyć się z tym, że prędzej czy później znajdzie się w sytuacji, gdy przyjdzie mu polegać na własnym osądzie, i Pangowi przydarzyło się to właśnie teraz, Chalker zaś znacznie ułatwił mu wykonanie zadania.

Zasadniczo byli tylko o trzy wormhole od podwójnego układu Manticore, ale Pang odczuwał tę odległość bardzo dotkliwie. Układ Dionigi znajdował się jedynie dziewięćdziesiąt sześć lat świetlnych od Manticore, był jednak połączony z oddalonym o sto trzydzieści lat świetlnych układem Katharina. Kolejny tunel, prowadzący stamtąd do układu Nolan, był jednym z najdłuższych dotąd odkrytych i mierzył aż dziewięćset piętnaście lat świetlnych. Owszem, nawet powrót normalnym trybem nie powinien zająć mu więcej niż niecałe dwa tygodnie, pamiętał jednak, że przy samodzielnej podróży w nadprzestrzeni musiałoby to potrwać co najmniej osiemdziesiąt dni.

Zwykły frachtowiec z cywilnym napędem i standardową osłoną antycząsteczkową leciałby aż siedem miesięcy. Siedem miesięcy zamiast trzydziestu dni potrzebnych na pokonanie tej trasy z wykorzystaniem wormholi, co dobitnie ilustrowało, na jak wielkie

oszczędności pozwalała sieć tuneli nadprzestrzennych. I wyjaśniało też jej ekonomiczne znaczenie dla międzygwiazdowego handlu... oraz uprzywilejowaną pozycję Manticore.

W tej sytuacji należało oczekiwać, że solarni w starym Chicago będą co najmniej tak samo wkurzeni jak Chalker. Przez lata zaciskali bezsilnie zęby, patrząc z wściekłością na imponujący rozwój marynarki handlowej Manticore, które stało się w tej branży prawdziwym liderem. Teraz mieli dodatkowo się przekonać, jak bardzo stali się od niego zależni. Gdy Manticore wycofa wszystkie swoje statki z obszaru Ligi, zada jej gospodarce silny cios. I to bez jednego strzału, wysyłania rajderów czy statków kaperskich. A odwołanie statków do macierzystych układów to dopiero początek. Gdy druga faza planu Laokoon wejdzie w życie, zrobi się jeszcze gorzej. Zamknięcie sieci tuneli nadprzestrzennych będzie dla Ligi Solarnej prawdziwą katastrofą. Nawet przy otwartych terminalach nie miała dość jednostek, by wyrównać braki, a gdy przewóz każdej tony frachtu zajmie cztery albo pięć razy więcej czasu niż dotąd...

Swoją drogą, była to nad wyraz osobliwa sytuacja i Pang się zastanawiał, czy chociaż pięć procent wszystkich mieszkańców Ligi Solarnej zdaje sobie sprawę z tego, jak wielkie zagrożenie nad nimi zawisło i jak małe mają szanse, by się przed nim obronić. Lidze, z jej olbrzymim obszarem, całym potencjałem ekonomicznym, największym przecież w dziejach ludzkości, setkami światów i dziesiątkami miliardów mieszkańców, nie powinien przecież zagrozić atak, zwłaszcza ze strony Gwiazdowego Imperium składającego się z dwudziestu kilku zamieszkanymi planet!

Prawda jednak była inna. Bo to właśnie karłowaty przeciwnik kontrolował przeważającą część żeglugi handlowej oraz arterie

wormholi i mógł zmusić resztę należących do Ligi frachtowców do poruszania się w zwykłej nadprzestrzeni. Gdyby nawet miejscowe stocznie błyskawicznie osiągnęły maksymalną moc produkcyjną i zdołały jakoś zastąpić wszystkie wycofane przez Manticore statki, i tak byłoby ich o wiele za mało, by utrzymać zwykły poziom przewozów.

Owszem, gospodarka Imperium też miała przez to odczuwalnie ucierpieć, zwłaszcza w obliczu niedawnego uderzenia przeciwnika na macierzyste układy. Pang dopuszczał jednak możliwość, że dłuższe zamknięcie terminali może skłonić niektóre stowarzyszone z Ligą planety do zmiany frontu i niejawnego lub otwartego sprzymierzenia się z Manticore. Ekonomiczny wabik miał swoją moc i bez trudu dałoby się znaleźć szereg układów z Pogranicza gotowych wykonać podobny manewr po chwili rzetelnego zastanowienia. Pang żywił przekonanie, że chętni znaleźliby się nawet wśród światów Obrzeża, o Protektoratach nie wspominając.

Jak będzie, czas pokaże, pomyślał. No i był jeszcze jeden ważny powód utrzymywania kontroli nad przejściami. Dopóki Manticore miało coś do powiedzenia w ich sprawie, nikt nie mógł przypuścić ataku na Imperium z ich wykorzystaniem. Samo zaś miało możliwość przeprowadzenia przez nie dowolnych sił, by uderzyć na Ligę Solarną.

Szturmowanie dobrze bronionych terminali od strony przejść byłoby z góry skazane na przegraną, niemniej sieć jako taka dawała znaczną swobodę manewru. Używając jej, szybkie i lekkie jednostki Manticore były w stanie nękać żeglugę Ligi na jej własnym obszarze, nic sobie nie robiąc z wielkiej odległości dzielącej Imperium od słońca. Gdyby do tego doszło, wymiana handlowa Ligi zostałaby dodatkowo utrudniona, przy czym flota Manticore mogłaby nadal funkcjonować,

wykorzystując terminale, i przeciwnik w żaden sposób nie zdołałby jej zagrozić.

Nic więc dziwnego, że Chalker tak się wzburzył. Nawet jeśli nie był dość rozbawiony, by przewidzieć dalszy bieg zdarzeń związany z realizacją planu Laokoon, musiał rozumieć podstawowe skutki przejścia przez eskadrę Panga terminalu Nolan. Jako zapatrzony w siebie oficer Ligi Solarnej nie dopuszczał zapewne możliwości, iż Imperium mogłoby przejść do ofensywy, zamiast skulić się w kącie i czekać na ruch wszechpotężnego olbrzyma, ale tym bardziej czuł się rozdrażniony obecnością obcych okrętów na własnym terenie. Pewnie nawet przeczuwał podświadomie, co z tego może wyniknąć, i tym bardziej się nakręcał.

Pang zerknął na okienko z aktualnym czasem, wyświetlane w rogu głównego ekranu. Minęło już dziesięć minut, od kiedy definitywnie popsuł humor Chalkerowi. Jeśli tamten był dość wściekły i głupi, by porwać się na jakieś szalone kombinacje, zapewne już to uczynił. To, że dotąd się opanowywał, nie oznaczało, że ostatecznie nie pęknie. Głupota i złość czasem biorą górę nawet nad instynktem samozachowawczym.

Owszem, w tym przypadku wydawało się to mało prawdopodobne, ale mało prawdopodobne nie równa się niemożliwe. Z drugiej strony, ludziom należała się chwila odpoczynku, a dowódca powinien chyba okazać załodze, jak bardzo pewien jest swego. Ostatecznie przykład zawsze idzie z góry. Spojrzał na ekran zapewniający mu łączność z rezerwowym stanowiskiem dowodzenia.

- Sądzę, że komandor Chalker zrozumiał już swój błąd - powiedział do porucznik komandor Sadowskiej. - Wracamy do stanu gotowości.

- Aye, aye, sir - potwierdziła Myra.

Stan gotowości niewiele się różnił od alarmu bojowego. Wszystkie istotne dla funkcjonowania okrętu stanowiska miały pozostać tak samo obsadzone, podobnie jak i stanowiska bojowe, tyle że na pomocniczym stanowisku dowodzenia, pozostawała wachta zredukowana do minimum. Niezmiennie działały wszystkie pasywne sensory, wsparte wystrzelonymi w chwili przybycia sondami, dział taktyczny pozostawał na miejscach. Systemy obronne, tak pasywne, jak i aktywne, przechodziły pod automatyczną kontrolę, jednak cała elektronika bojowa trwała w stanie czuwania, chociaż nie zdradzała swojej gotowości żadną emisją. Stanowiska bojowe zachowywały tylko częściową obsadę. Stan gotowości mógł być dzięki temu utrzymywany przez dłuższy czas, pozwalając załodze na rotacyjne pełnienie wacht i chociaż minimum odpoczynku. Inna sprawa, że nie mógł też ciągnąć się bez końca.

- Niech Percy przejmie od ciebie rezerwowe stanowisko - powiedział do Sadowskiej. - Zmienisz mnie na mostku. - Porucznik Percival Quentin-Massengale, zastępca oficera taktycznego *Onyksa*, był najstarszym oficerem Sadowskiej w rezerwie. - Damy trochę wytchnienia *Smilodonowi* i blaszankom. *Onyx* obejmie dyżur na najbliższe dwanaście godzin. Chyba że nasz przyjaciel Chalker wcześniej się stąd wyniesie. Jeśli nie, na następne dwanaście godzin dyżur przejmie *Smilodon*. Niszczyciele będą w tym czasie strzegły naszych tyłów.

I lepiej, by z tyłu pozostały, pomyślał Pang. Zwłaszcza *Othello*, który w odróżnieniu od znacznie młodszego *Tornado* nie został przebrojony w pociski Mark 16. Dowódca już wcześniej postanowił, że będzie się starał nie angażować tej jednostki w walkę.

- Proszę regularnie aktualizować namiary ogniowe - dodał komandor pod adresem porucznika komandora Fraziera. - I niech centrala bojowa monitoruje stan emisji radioelektronicznych przeciwnika. W razie uaktywnienia systemu naprowadzania chcę natychmiast o tym usłyszeć.

- Aye, aye, skipper.

Jack Frazier był człowiekiem raczej wesołym i skłonny do żartów, ale tym razem zachował powagę.

- Dobrze - odparł krótko Pang i spojrzał znowu na Sadowską. - Słyszałaś, Myra?

- Tak, sir.

- Pewnie już się domyślasz, ale dla porządku powiem to głośno. Gdyby Chalker okazał się na tyle tępy, by otworzyć ogień do nas albo któregoś z handlowców, jesteś upoważniona do natychmiastowej reakcji z użyciem całego naszego uzbrojenia. Skutecznej reakcji, czyli z całkowitym zniszczeniem celu. Czy to jasne?

- Czuję się upoważniona do odpowiedzenia ogniem, gdybyśmy zostali ostrzelani, sir - powiedziała oficjalnym tonem Sadowska i Pang pokiwał głową. Potem wstał i zwrócił się do Fraziera: - Przejmuje pan mostek do chwili przybycia mojego zastępcy. W razie czego będę w mojej dziennej kabinie. Mam trochę papierów do przerzucenia.

KWIECIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Jak głosi dawna przypowieść, gdy chcesz zwrócić na siebie uwagę muła, najpierw musisz mu przywalić solidnym kijem w łeb”.

Hamish Alexander-Harrington, earl White Haven

Rozdział II

- Chyba nie mówisz poważnie!

Sharon Selkirk wpatrywała się z niedowierzaniem w swój wyświetlacz. Była główną przedstawicielką Shadwell Corporation koordynującą przepływ frachtu przez układ Mendelschon.

- Obawiam się, że jednak - odparł jej rozmówca, kiwając ze smutkiem głową. Kapitan Lev Wallenstein dowodził frachtowcem noszącym osobliwą nazwę *Yellow Rose III*, zarejestrowanym na Manticore. - Właśnie otrzymałem nową rozpiskę.

- Ale... ale... - Selkirk zamilkła na chwilę i rozłożyła bezradnie ręce. - Przecież mamy podpisany kontrakt, Lev!

- Wiem - odparł Wallenstein, przesuwając dłonią po rozczochranej szopie rudych włosów. - I bardzo mi przykro. To nie był mój pomysł, Sharon! I możesz być pewna, że moi szefowie też nie będą szczęśliwi, gdy powiem im po powrocie do Gwiezdnego Imperium, że musiałem wykonać rejs na pusto. Nie wiem, kto tutaj miesza, ale nie mam wyboru, jak wdepnąć w to bagno.

- Lev, w orbitalnych magazynach czeka na ciebie od ponad dwóch standardowych miesięcy aż 1,6 miliona ton ładunku, który przed upływem czterech tygodni powinien trafić do układu Josephine. Wartość wspomnianego ładunku to półtora miliarda kredytów. Rozumiesz znaczenie tych liczb? Jeśli odleczysz na pusto, w żaden sposób nie zdołam przerzucić takiej masy towaru do portu docelowego.

- Rozumiem - mruknął Wallenstein. - I gdybym miał wybór, załadunek byłby już w toku. Tyle że nie mam wyboru. Rozkazy są

jednoznaczne i nie podlegają negocjacom. Nie nadeszły też z mojej centrali.

- Ale dlaczego? - spytała Sharon. - Dlaczego mnie to spotyka? Dla mnie to katastrofa. Cholera jasna, Lev, siedzisz w tym interesie od dwunastu lat i nigdy nie było między nami spięć, nigdy nie było problemów...

- Tu nie chodzi o nas - odparł Wallenstein, prostując się w fotelu i spoglądając na kobietę, która od dawna była mu bardziej przyjaciółką niż kolejnym partnerem biznesowym. - Tak, nasza współpraca zawsze przebiegała gładko. Ale nie wszędzie było tak dobrze jak w układzie Mendelschon.

Selkirk otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nagle zamknęła je i spojrzała uważnie na kapitana. Jego słowa, a bardziej nawet ton, jakim zostały wypowiedziane, były dla niej bardzo znaczące.

- Ale w ogóle były jakieś problemy, tak? Chodzi o New Tuscany i Spindle? To jest powód?

- Nikt nie mówi tego wprost, ale domyślam się, że w tym właśnie rzecz.

- Ależ to głupota! - wykrzyknęła Selkirk, unosząc ręce. - To przecież siedemset lat świetlnych stąd! Bez znaczenia dla naszych interesów.

Mimo całego szacunku, jakim Wallenstein darzył Sharon, omal nie skrzywił się niecierpliwie. W odróżnieniu od wielu innych solarnych ona akurat zawsze odnosiła się z sympatią do oficerów jednostek transportujących fracht Shadwell Corporation i nie wypominała im obcego pochodzenia. Traktowała ich po przyjacielsku, ale nie dlatego, że szanowała istniejące między nimi różnice kulturowe, ale ponieważ je ignorowała. Wielu osobom grała tym mocno na nerwach, lecz sama nie zastanawiała się zapewne nigdy nad własną postawą. Nie wskutek

arogancji, na to była zbyt uprzejma, ale z racji wpojonego przez wychowanie poczucia wyższości.

- Zrozum, Sharon, zgadzam się z tobą, że wydarzenia w New Tuscany i Spindle nie mają nic wspólnego z tobą, mną czy naszymi interesami - powiedział po chwili kapitan. - Ale w obu tych miejscach zginęła cała masa ludzi, co zaogniło stosunki między Ligą a Gwiezdnym Imperium. Może nie miałaś jeszcze okazji o tym usłyszeć, ale uwierz mi, że zrobiło się naprawdę nieciekawie. A otrzymane właśnie rozkazy każą mi sądzić, że niebawem będzie jeszcze gorzej.

- To nie ma sensu - odrzekła Sharon, kręcąc głową. - To znaczy, zgadzam się, że to straszne, że tylu ludzi zginęło, chociaż nie wiem o tamtych zajściach więcej niż ty. Ale nikt przecież nie chce, by liczba ofiar wzrosła! Muszą się dogadać, zanim do tego dojdzie!

- Masz rację i bardzo bym chciał, by tak właśnie zrobili. Ale na razie nic tego nie zapowiada. Gorzej nawet, domyślam się, że mój rząd postanowił wycofać wszystkie jednostki handlowe Manticore, nim nieporozumienie przerodzi się w otwarty konflikt.

- Nie do wiary... - Sharon znowu pokręciła głową. - Jestem pewna, że gdyby wszyscy razem usiedli do stołu, znaleźliby jakieś pokojowe rozwiązanie. To zawsze da się zrobić, jeśli tylko obie strony zachowują się rozsądnie.

- Właśnie, obie - zauważył Wallenstein.

Selkirk spojrzała na niego ze zdumieniem i chyba chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili powstrzymała się od komentarza. Kapitan uśmiechnął się ze smutkiem.

Wiedział, co cisnęło się przyjaciółce na usta. Jej zdaniem to Gwiezdne Imperium powinno zachować się rozsądnie. Niestety, dla solarnych „rozsądek” był równoznaczny z dopasowaniem się do

oczekiwać Ligi. Uwzględnienie interesów innych stron nie było nigdy poważnie brane pod uwagę.

- Jasne, że obie - mruknęła po dłuższej chwili Sharon, zdobywając się nawet na zakłopotaną minę. Ale zaraz jej przeszło. - Zamierzasz więc zostawić mnie tutaj i wrócić natychmiast na Manticore? Tak po prostu?

- Po prawdzie to najpierw ruszę na Beowulfa i dopiero stamtąd na Manticore - odparł kapitan. - Ale w zasadzie tak.

- A nasz kontrakt?

- Obawiam się, że w tej sprawie będziesz musiała skontaktować się z centralą. Albo nawet z kimś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ponieważ rozkazy zostały sformułowane na szczeblu rządowym, zapewne to właśnie nasz rząd będzie odpowiedzialny za wypłatę kar umownych i tak dalej.

- O ile w ogóle zechce o nich rozmawiać - odparła ponuro Sharon, która miała za sobą wiele nieciekawych przepraw z biurokratyczną machiną rządu Ligi Solarnej.

- Nie wiem, jak będzie. Wyobraźni mi nie starcza, by ocenić, do czego to może doprowadzić. Wiem, że to dla ciebie kłopot, ale nie jesteś jedyna. Nie zapominaj też, że jestem oficerem rezerwy. Po powrocie na Manticore zostanę zapewne powołany do aktywnej służby i jeśli sprawy przybiorą zły obrót, pewnie wrócę na teren Ligi Solarnej, tyle że nie z frachtem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego, jakby nie rozumiała, o czym mowa. Potem potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie, Lev, do tego na pewno nie dojdzie! Wiem, że jesteście wściekli, na waszym miejscu też bym była. I wcale nie próbuję twierdzić, że nic się nie stało - dodała szybko, widząc zmianę na twarzy Wallensteina. -

Ale przecież Gwiazdne Imperium nie wyruszy na wojnę z Ligą! Przecież to by było jak... jak...

- Jak walka Dawida z Goliatem? - spytał ostrym tonem kapitan. - Zapewne takiego właśnie porównania szukałaś. I zgadzam się, że jest ono na miejscu. Ale pomyśl, jakie mogą być ostateczne skutki podobnej konfrontacji.

Przez kilka długich sekund patrzyli na siebie i Lev dostrzegł w końcu w jej oczach błysk zrozumienia. Sharon Selkirk pojęła wreszcie, że obywatele Manticore to nie solami i że są w stanie wyobrazić sobie wszechświat bez Ligi w roli najwyższego arbitra i żandarma. I że mogą okazać się na tyle zapamiętali i głusi na rozsądną argumentację, że naprawdę zdecydują się porwać z motyką na słońce.

Po raz pierwszy zobaczyła w Wallensteinie kogoś, kto ma się za równego obywatelom Ligi Solarnej. Przelotnie zastanowił się, czy przemknęło jej przez głowę, jak przykre musiało być dla niego jej dotychczasowe zachowanie. Możliwe, że tak. Zniesmaczony własnym poczuciem triumfu, uśmiechnął się tylko.

- Oczywiście mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedział, jak najspokojniej potrafił. Ostatecznie zawsze była dla niego miła i zasłużyła na uprzejme traktowanie. - Pewnie rozejdzie się po kościach i uda się wznowić zwykły ruch, a centrala stanie na głowie, by przywrócić dawne dobre układy. Ale na razie muszę wykonać polecenia i dlatego skontaktowałem się z tobą osobiście. Jak wspomniałaś, znamy się już trochę, i pomyślałem, że jestem ci winien wyjaśnienie. Jakieś wyjaśnienie, oparte na tym, co sam wiem. Tak czy siak, przed upływem sześciu godzin muszę wyruszyć na Beowulfa.

- To będzie bardzo kosztowna impreza, wiesz o tym, prawda? - spytała Selkirk. - Nie myślę o naszych osobistych stosunkach, bo

rozumiem, że to nie był twój pomysł i nie masz żadnego wyboru. Ale mój szef nie będzie zadowolony, i jego szefowie też. A gdy sprawa dotrze na samą górę, Zgromadzenie także się nie ucieszy. Jeśli Manticore rzeczywiście odwoła wszystkie swoje statki handlowe, międzygwiazdna gospodarka dozna zapaści. Nie myślę tylko o handlu. Wszyscy oberwą i wszyscy się wkurwią! Nie wiem, co twój rząd chce w ten sposób osiągnąć, ale jednego jestem pewna, pożar w burdelu będzie niczym cicha msza w porównaniu z tym, co niebawem się zacznie.

- Może i tak - zgodził się Wallenstein. - Ale decyzja zapadła gdzieś wyżej i nie mam na nią wpływu, Sharon. - Uśmiechnął się lekko. - Uważaj na siebie, dobra?

- I ty też - odparła cicho.

- Postaram się. Bez odbioru.

*

- W dupie mam pańskie rozkazy - rzuciła kapitan Freida Malachai. - Obchodzi mnie tylko mój ładunek. Trzy i pół miliona ton frachtu, który muszę przed upływem miesiąca dostarczyć na Klondike. Czy ma pan pojęcie, ile wynosi kara umowna za niewywiązanie się z podobnego zlecenia? Nie wspominając o zarzucie piractwa, jeśli radośnie odlecę sobie z całym tym dobrem!

- Wiem, że to... kłopotliwa sytuacja - przyznał komandor Jared Wu, starając się zachować spokój. - Jednak to nie mój pomysł i obawiam się, że dyskusja nic nie da.

- Co znaczy nie da? - odkrzyknęła Malachai. - Jestem wolną poddaną Korony, nie byle niewolnikiem!

- To nie próba zaprowadzenia niewolnictwa - wyjaśnił Wu trochę bardziej spiętym głosem. - Zgodnie z Ustawą o bezpieczeństwie handlu w warunkach wojennych Admiralicja jest odpowiedzialna za...

- Proszę darować sobie cytowanie ustawy! - Błękitne oczy Malachai płonęły gniewem, a jej krótkie, jasne włosy niemal się zjeżyły. - Historia Gwiezdnego Imperium nie zna przypadku jej zastosowania. Poza tym nie jesteśmy w stanie wojny!

Komandor Wu wyprostował się w fotelu i policzył po cichu do dziewięćdziesięciu. Dla oszczędności czasu trójkami. Rozumiał, że nic nie zyska, dając upust swojej złości, chociaż pokusa była silna. Tyle że skutek byłby pewnie przeciwny do zamierzonego. Na dodatek rozumiał wzburzenie pani kapitan HMMS *Voortrekker*.

Jej frachtowiec nie należał do żadnego z wielkich rodów armatorskich. Candida Line operowała tylko czterema statkami, a Malachai była współwłaścicielką *Voortrekker*. Dokładnie w pięćdziesięciu procentach. Oznaczało to pięćdziesięcioprocentowy udział w zyskach, jak i w wydatkach. Także w przypadku grzywien czy kar umownych, które musiałaby zapłacić za zerwanie kontraktu. Wizja kary za niedostarczenie blisko czterech milionów ton ładunku każdemu zepsuła humor. Nawet zakładając, że właściwy dla rozpatrzenia sprawy sąd nie weźmie pod uwagę wniosku oskarżenia o przyznanie odszkodowania za przetrzymanie czy ewentualne uszkodzenie towaru.

- Pani kapitan, rozumiem, że niedostarczenie ładunku oznacza finansowe straty dla pani osobiście i dla kompanii - powiedział Wu, doliczywszy do dziewięćdziesięciu. - Wiem też, jakie kwoty wchodzi w grę. Jestem świadom, że jest pani współwłaścicielem statku, i współczuję, że znalazła się pani w takiej sytuacji. Wie pani jednak równie dobrze jak ja, że wspomniana ustawa daje Admiralicji prawo do natychmiastowego i nieodwołalnego wycofania wszystkich statków Korony także w przypadku bezpośredniego zagrożenia wojną. Zjawiłem się tutaj, ponieważ konflikt z Ligą Solarną praktycznie już się rozpoczął.

Zniszczyliśmy albo opanowaliśmy siedemdziesiąt solarnych superdreadnoughtów. Chyba zgodzi się pani, że jednostki Manticore znajdujące się w przestrzeni Ligi Solarnej nie mogą w tej sytuacji czuć się bezpieczne?

Malachai spojrzała na niego ze złością, ale jednocześnie zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Być może wie pan, o jakie pieniądze chodzi, ale odnoszę wrażenie, że nie zdaje pan sobie sprawy z konsekwencji takiej decyzji - powiedziała z naciskiem. - Za sześć standardowych miesięcy muszę zapłacić kolejny rachunek. Na sporą sumę. Jeśli nie wykonam obecnego zlecenia, zapewne spóźnię się z płatnością. Jeśli zostanę do tego obciążona karą umowną, na pewno nie będę miała z czego uregulować zobowiązań. A jeśli do tego dojdzie, stracę statek.

- Ma pani rację, o tym nie pomyślałem - mruknął Wu po dłuższej chwili. - I tym bardziej jest mi przykro, że stawiam panią w trudnej sytuacji. Ale rozkazy są jednoznaczne i żadne z nas nie może ich zmienić. Pani jest zobowiązana wykonać polecenie, ja zaś dopilnować, by zostało wykonane. Wszelkimi dostępnymi środkami.

- Ale Klondike nie należy nawet do Ligi - odezwała się Malachai błagalnym tonem. Zapewne nie było jej łatwo prosić. - Całą drogę przebędziemy w nadprzestrzeni, gdzie nikt nas nie znajdzie, o jakiegokolwiek akcji nie wspominając. Zajrzę do Klondike, zostawię ładunek i polecę prosto do domu. Obiecuję!

Wu spojrzał w pełne desperacji błękitne oczy i przeklął w duchu rozkazy, które przyszło mu wykonywać. Niemniej wiedział, że jako oficer nie ma wyboru. Musi się im podporządkować.

Rząd na pewno ma gotowy program rekompensat, powiedział sobie w duchu. Jego członkowie muszą wiedzieć, jakie skutki niesie zerwanie

kontraktu, i nie będą przecież biernie patrzeć, jak dziesiątki tysięcy ludzi tracą pracę i dorobek całego życia.

Niestety, przegłosowana trzysta lat wcześniej Ustawa o bezpieczeństwie handlu w warunkach wojennych nie wspominała nic o odszkodowaniach. Zapewne nikt wówczas o tym nie pomyślał. Ale mogło też być odwrotnie: pomyślał i dlatego nie zająknięto się na ten temat ani słowem. Być może wzięto pod uwagę, że flota handlowa Manticore może rozrosnąć się z czasem tak bardzo, że zaspokojenie roszczeń wszystkich armatorów wiązałoby się ze zbyt dużymi wydatkami. Zresztą, czy w ogóle byłoby skąd wziąć te pieniądze po niedawnym ataku na Koronę? Zwłaszcza że większość dochodów Manticore pochodziła właśnie z międzygwiazdowego handlu, który miał zostać radykalnie ograniczony?

W nieunikniony sposób rodziło to następne pytanie o sposób finansowania wojny z tak potężnym przeciwnikiem jak Liga Solarna. Nawet przy zbilansowanych dochodach byłoby to zadanie niewiarygodnie trudne. W obliczu doznanych strat i przy znacznie mniejszym ruchu na szlakach handlowych wydawało się wręcz niewykonalne.

Jeśli przewidują w ogóle jakieś rekompensaty, raczej nieprędko je wypłacą, pomyślał Wu. Na pewno nie przed upływem sześciu miesięcy. A jeśli nawet Malachai coś w końcu dostanie, niewiele jej z tego przyjdzie, jeśli wcześniej straci to, na co pracowała przez całe życie.

- Pani kapitan, po pierwsze, nie pojmuję, na jakiej podstawie ktoś miałby panią oskarżyć o piractwo - powiedział w końcu komandor. - Od tej strony jest pani kryta, skoro otrzymała pani rozkaz niezwłocznego powrotu do Gwiezdnego Imperium. Jakikolwiek próby postawienia pani takiego zarzutu nie zyskają mocy prawnej. Po drugie,

przypuszczam, że pani kontrakt zawiera paragraf chroniący panią przed karami umownymi w razie konieczności zastosowania się do przepisów Ustawy o bezpieczeństwie handlu w warunkach wojennych. Oczywiście nie mogę niczego zagwarantować, bo nie wiem, jak sądy odniosą się do sprawy, gdy cały kurz opadnie, jednak rozmawiałem o tym z naszym pokładowym prawnikiem i takie jest jego zdanie.

- A jeśli się myli? - spytała ostrym tonem Malachai.

- Jeśli się myli, to mogła, pani kapitan - przyznał Wu. - Przykro mi, ale tak to wygląda.

- Nawet jeśli nie nałożą na mnie kary umownej, i tak będę miała problem z zapłaceniem raty - dodała pospiesznie kapitan. - Statek, który tkwi beczynnym na orbicie, jest jak czarna dziura. Pochłania forsy i nie daje nic w zamian.

To też prawda, pomyślał Wu i zastanowił się, co zrobi, jeśli Malachai odmówi wykonania rozkazu.

HMS *Cometary* był tylko lekkim krążownikiem, chociaż jako starszy okręt miał na pokładzie więcej marines niż nowoczesne krążowniki liniowe. Nie oznaczało to jednak, że Wu mógł swobodnie uszczuplać szeregi swoich ludzi, odsyłając kolejne pododdziały do obsadzenia mostków i maszynowni napotkanych frachtowców i liniowców pasażerskich. Owszem, w jednym czy drugim przypadku byłoby to wykonalne, ale przecież *Voortrekker* nie był statkiem pirackim. Zastosowanie siły wobec kapitan Malachai stałoby w sprzeczności z tradycjami Royal Manticoran Navy. Z drugiej strony, coś musiał zrobić...

- Klondike, powiada pani... - mruknął pod nosem i zaraz przeklął się w duchu, widząc rozbłyskującą w oczach Pani kapitan nadzieję.

- Tak, Klondike - odparła, kiwając energicznie głową.

- Mogę dotrzeć tam za trzy i pół tygodnia. A stamtąd mam tylko trzy tygodnie do Beowulfa. W sumie jakieś sześć tygodni; to wszystko, czego mi trzeba.

- Ale z Hypatii na Beowulfa są tylko dwa tygodnie drogi - wtrącił Wu. Malachai zacisnęła wargi i nic nie powiedziała. Popatrzyła tylko w jednoznacznie wymowny sposób.

Komandor nie spuścił oczu. Nadal zmagał się z pokusą. Nie wątpił, co przyjdzie mu usłyszeć od Admiralicji, jeśli zamelduje o samowolnym nagięciu zasad. Co gorsza, gdy raz to zrobi, do czego ostatecznie dojdzie? Jakie wymówki znajdzie w innych przypadkach, jeśli teraz puści *Voortrekera*? Hypatia nie była ważnym węzłem komunikacyjnym i zapewne nie spotka tutaj wielu statków Korony, zanim sam też zostanie odwołany na Manticore, niemniej...

Jesteś oficerem w służbie królowej, powiedział sobie w końcu. Ślubowałeś wykonywać rozkazy przełożonych i winieneś pamiętać o tym zwłaszcza teraz, gdy szykuje się największa rozpierducha w dziejach ludzkości. Kombinowanie, co Admiralicja miała na myśli, nie należy do twoich obowiązków.

Wszystko to była prawda, ale każdy medal ma dwie strony. *Cometary* mógł być przestarzałym lekkim krążownikiem, ale Marynarka stawiała wszystkim dowódcom te same wymagania. Oczekiwała, że nie zawahają się przed wykonaniem otrzymanych rozkazów, ale w sytuacji krytycznej będą mieli dość rozumu, by zaufać własnemu osądowi i nie popisywać się ślepym posłuszeństwem.

- Kapitan Malachai - powiedział komandor. - Chyba rozumie pani, że rozkazy są dla mnie wiążące i nie jestem uprawniony do ich ignorowania?

Malachai skinęła krótko głową. Jej twarz stężała w ponurym grymasie, spojrzenie miała niemal obojętne. Wu odczekał jeszcze chwilę, po czym zdobył się na odwagę.

- Nie jestem do tego uprawniony, ale... i tak zamierzam je zignorować - powiedział zrezygnowanym tonem i westchnął w duchu nad własnym miękkim sercem. Malachai spojrzała na niego z ożywieniem, jej oczy zapłonęły nagle jak szafiry, a na ustach wykwitł uśmiech. - Tylko bez numerów! - dodał, grożąc jej uniesionym palcem. - Leci pani prosto na Klondike, wyładowuje fracht i zaraz bierze kurs na Beowulfa i stamtąd na Manticore. Żadnych postojów w celu zabrania nowego ładunku. Czy to jasne?

- Oczywiście, komandorze! - odparła Malachai, kiwając głową.

- Mam nadzieję. Bo jeśli będzie pani kombinować, oboje wylądujemy w szambie. Przypominam pani, że ustawa przewiduje bardzo surowe kary za naruszenie jej paragrafów.

- Może pan być spokojny, komandorze - powiedziała kapitan niespodziewanie łagodnym tonem. - Jestem pana dłużniczką i nie zrobię niczego, co mogłoby pana narazić na nieprzyjemności. Obiecuję.

Wu spojrzał na nią surowo, po czym uśmiechnął się lekko.

- Miło mi to słyszeć. Będę trzymał panią za słowo. - Ich oczy spotkały się na kilka uderzeń serca. - A teraz niech pani rusza - powiedział, machając zdecydowanie ręką. - Niech się pani stąd wynosi, nim się rozmyślę!

Rozdział III

- Cholera jasna!

Porucznik Aaron Tilborch wypowiedział te słowa bardzo cicho i tonem niemal modlitewnym, zapominając na chwilę o zasadach komunikacji na pokładzie oraz o swojej pozycji dowódcy patrolowca *Kipling*, należącego do Floty Kosmicznej Zunkera. Z drugiej strony, jego reakcja była jak najbardziej zrozumiała.

- I co teraz zrobimy, sir? - spytała spiętym głosem porucznik Jannetje van Calcar, pierwszy oficer jednostki.

Tilborch pomyślał, że to doskonałe pytanie, zwłaszcza wobec ograniczonych możliwości jego zespołu. W tym, co właśnie się szykowało, patrolowce nie miały szansy na odegranie znaczącej roli.

Flota Kosmiczna Zunkera niewiele miała wspólnego z prawdziwą marynarką wojenną, co wynikało z szeregu przyczyn, a zwłaszcza sytuacji politycznej układu, który starał się zachować niezależność, balansując pomiędzy naciskami ze strony Ligi Solarnej i Gwiezdnego Imperium Manticore. Biuro Bezpieczeństwa Granicznego zerkało chciwie na układ Zunker od czasu odkrycia odległego o sześć i pół godziny świetlnej terminalu. Blisko, ale jednak poza przestrzenią układową, co oznaczało, że zagarnięcie Zunkera nie dawało automatycznie kontroli nad wormholem, zwłaszcza że drugi koniec przejścia znajdował się w Idaho.

Terminal został odkryty siedemnaście lat wcześniej przez zespół operujący z układu Idaho, który to układ leżał ledwie siedemdziesiąt dwa lata świetlne od podwójnego układu Manticore i trzy tygodnie lotu

nadprzestrzennego od tamtejszego wormhole junction. Na dodatek statek badawczy należał do Manticore i został na tę okazję wyczarterowany przez rząd Idaho, które w okresie poprzedzającym odkrycie było zwykłym prowincjonalnym układem, związanym wprawdzie sojuszem z Gwiazdowym Imperium, ale pozostającym w cieniu dominującego ekonomicznie sąsiada.

Zunker był początkowo w jeszcze gorszej sytuacji. Biedny nawet jak na światy Pogranicza, po odkryciu długiego na ponad czterysta lat świetlnych przejścia stał się nagle ważnym węzłem komunikacyjnym, jako że znajdował się nie tylko sto dziewięćdziesiąt lat świetlnych od Układu Słonecznego, ale także sto pięćdziesiąt lat od Beowulfa. Co więcej, leżał niemal dokładnie między Beowulfem i Asgerdem, wypełniając lukę między terminalem Beowulfa i Manticore Junction oraz andermańskim przejściem Asgerd-Durandel. W ten sposób zarówno Zunker, jak i Idaho stały się centrami ruchu tranzytowego zdążającego do zawsze bardzo ruchliwego Manticore Wormhole Junction.

Nagłe ożywienie ekonomiczne i będący jego konsekwencją przyływ gotówki stworzyły nową sytuację, której nikt się na Zunkerze nie spodziewał, ale nie wszystkie aspekty tej zmiany były z gruntu pozytywne. Owszem, lawina kredytów i rozkwit inwestycji budowlanych, związanych ze stawianiem obiektów służących do obsługi rosnącego ruchu, nakręcały miejscową gospodarkę w bezprecedensowy sposób, powodując jednocześnie polepszenie opieki zdrowotnej i systemu edukacyjnego, jednak Biuro Bezpieczeństwa Granicznego nabrało ochoty, by uszczknąć coś z tego bogactwa, podobnie jak różne „zaprzyjaźnione” z nim instytucje i firmy.

Pechowo dla Biura Idaho nie miało żadnego powodu, by się z nim fraternizować, gdy więc cała ta banda zaczęła energicznie węszyć wokół Zunkera, układy położone niedaleko odnotowały nagły wzrost aktywności rozmaitych solarnych instytucji dobroczynnych, agend pomocy i tak dalej.

Starszy podsekretarz skarbu w osobie Briana Sullivana, następcą Agaty Wodosławskiej, niedwuznacznie dał przy tym do zrozumienia, że gdyby niefortunnym zrządzeniem losu w układzie Zunker doszło do jakiejś katastrofy czy innych niepokojów, wspomniany napływ pieniędzy bez dwóch zdań wzrósłby w znaczący sposób.

Sytuacja wyklarowała się nieco, gdy w Effingham, stołecznym mieście układu, doszło do otwarcia konsulatu Ligi Solarnej oraz, zaraz w sąsiedztwie, oficjalnego przedstawicielstwa Biura Bezpieczeństwa Granicznego. Liga zyskała prawo do wpływania na wewnętrzną politykę Zunkera, chociaż bez szans na pełne kontrolowanie miejscowego rządu, jak to najchętniej robiła w przypadku różnych „niezależnych” układów. Niemniej, chociaż Zunker miał być pod solarną „opieką”, sam terminal pozostawał eksterytorialny i pod zarządem Idaho. Zarówno Liga, jak i Manticore gwarantowały to odpowiednimi umowami. Zarazem premier Cromarty i tak zdecydował, że jedna trzecia zysków z tranzytu ma trafiać do rządu układu Zunker.

W tej sytuacji Flota Kosmiczna Zunkera nie miała szans na znaczącą rozbudowę i nadal składała się z lekkich jednostek wykonujących w praktyce zadania policyjne w rodzaju kontroli ruchu handlowego i ochrony instalacji orbitalnych. Nie miała w swoim składzie niczego przypominającego prawdziwy okręt wojenny, ale i tak wyznaczyła eskadrę patrolowców do współpracy z kontrolą astro terminalu, gdzie

przyszło jej współpracować z analogicznym zespołem przysłanym z Idaho.

I w ten właśnie sposób porucznik Tilborch wraz z całą załogą ZSNS *Kipling* znalazł się w pobliżu terminalu w bardzo niepożądanym momencie. Najgorszej zapewne w całej historii jego układu planetarnego.

- Co zrobimy, Jannetje? - powtórzył, nie odrywając oczu od ekranu ukazującego samotny solarny frachtowiec zmierzający w kierunku terminalu w eskorcie sześciu krążowników liniowych Marynarki Ligi Solarnej. - To proste. Wyrzucamy stąd i wracamy prosto do Effingham.

- Ale co z... - zaczęła van Calcar.

- To Manticore zdecydowało o zamknięciu przejścia dla jednostek Ligi, a Idaho ich poparło - odparł dowódca, ucinając dywagacje. - Podzielimy ich podejście, ale nie mamy żadnego oficjalnego powodu, by wtykać nos w cudze sprawy. Poza tym ewentualna obecność *Kiplinga* i tak niczego nie zmieni, prawda? - dodał z ironicznym uśmiechem.

*

Kapitan Hiram Iwanow spoglądał na ekran taktyczny i marszcząc czoło, zastanawiał się nad swoimi szansami oraz tym, co właściwie myśli w tej chwili przeciwnik. Eskadra Iwanowa składała się akurat tylko z trzech, zamiast czterech, ciężkich krążowników typu Saganami C i to w zasadzie było wszystko, bo chociaż dywizjon czterech niszczycieli typu Roland dawał mu przewagę liczebną, niszczyciele reprezentowały całkiem inną „wagę” niż jednostki liniowe. Przynajmniej teoretycznie, z drugiej strony bowiem wszystkie jego okręty holowały załadowane pociskami platformy Mark 23, co kazało spojrzeć na równowagę sił w nieco inny sposób. Niestety, ci akurat solarni nie mieli chyba okazji przemyśleć wniosków płynących z bitwy o Spindle.

- Jak zamierza pan sobie z nimi poradzić, sir? - spytała komandor Claudine Takoush, której oblicze widniało na ekranie łączności. Iwanow obejrzał się i unióśł brwi. - Wiem, co powinniśmy zrobić, sir - powiedziała, wzruszając ramionami. - Zastanawiam się tylko, czy myśli pan wdawać się z nimi w dłuższą pogawędkę? Ostatecznie nie oczekiwaliśmy aż takiego pokazu - dodała, spoglądając znacząco na własny ekran taktyczny.

- Pokaz to chyba nie jest właściwe słowo - powiedział surowym tonem Iwanow. - Osobiście nazwałbym to raczej głupotą. Może nawet arogancką głupotą.

- Myśli pan, że to pomysł miejscowego dowódcy Floty Granicznej? Czy może jednak rozkaz z ich Admiralicji?

- Raczej wyraz miejscowego geniuszu - mruknął Iwanow - pasuje mi do oburzenia komisarza Floyda. Wydaje mu się, że Gwiazdne Imperium robi to wszystko, by dopiec jemu osobiście - dodał, spoglądając ponownie na główny ekran.

Nadchodzące jednostki wyszły z nadprzestrzeni niemal pięćdziesiąt milionów kilometrów od terminalu, co mogło świadczyć albo o kiepskiej astrogacji, albo chęci jak najwcześniejszego pokazania się patrolowi Manticore. Iwanow przypuszczał, że chodzi o to drugie. Komisarz Floyd mógł oczekiwać, że na taki widok osłonie puszcza nerwy. Czy oficer flagowy eskadry podzielał to zdanie, to druga sprawa, ale tak czy siak, miało potrwać jeszcze chwilę, nim solarny zespół znajdzie się w pobliżu niewielkich sił Iwanowa. Wychodząc do zwykłej przestrzeni, zrobili to z prędkością ledwo tysiąca kilometrów na sekundę, ich przyspieszenie było zaś ograniczane przez możliwości eskortowanego frachtowca o masie 4,8 tysiąca ton i wynosiło ledwo

2,037 km/s . W tej sytuacji zostały im jeszcze dwie godziny do względnego znieruchomienia naprzeciwko terminalu.

- Idaho ogłosiło zamknięcie terminalu dla ruchu solarnego dopiero tydzień temu - powiedział Iwanow. - To za mało czasu, by wiadomość o tym mogła dotrzeć na Ziemię, o skombinowaniu jakiejś prowokacji i dostarczeniu rozkazów z New Chicago nie wspominając. A to bez dwóch zdań jest próba sprowokowania otwartego konfliktu, nie przypadkowy wygłup jakiegoś idioty! - Wzruszył ramionami. - Wiem, że polecenia kontroli astro nie mogły jeszcze do nich dojść, są ciągle prawie trzy minuty świetlne od nas, ale stawiam każde pieniądze, że wiem, co powiedzą. Albo raczej czego nie powiedzą, gdy kapitan Arredondo każe im się wynosić.

- Nie przyjmuję tego zakładu, skipper - stwierdziła Takoush.

- Ale dopóki się nie odezwą, niewiele możemy zrobić - rzucił Iwanow, ponownie wzruszając ramionami. - Możemy tylko siedzieć i przekonać się, czy naprawdę okażą się aż tak głupi albo zarozumiali, by pchać się dalej. Ale jeśli tak, przyjdzie nam spróbować skłonić ich do... zrewidowania nierozważnie przyjętego stanowiska.

- Uwielbiam pańskie eufemizmy, skipper - powiedziała Takoush.

*

Kapitan Iwanow nie mógł rzecz jasna o tym wiedzieć, ale kontradmirał Liam Pyun, dowodzący dywizjonem krążowników liniowych Marynarki Ligi Solarnej, zgadzał się ogólnie ze swoim przeciwnikiem w ocenie otrzymanych rozkazów. Niestety, były to rozkazy wydane ze wszystkimi szykanami przez Hirokichiego Floyda, komisarza Biura Bezpieczeństwa Granicznego w sektorze Genovese.

Floyd nieodmiennie bolał nad faktem, że nie udało mu się dodać układu Zunker do długiej listy włości zagarniętych przez Biuro.

Obrażało to jego poczucie przyzwoitości, no i pozbawiało sowitych dochodów związanych z kontrolowaniem terminalu. Co gorsza, sprawcą jego biedy było Imperium Manticore, barbarzyńcy, którzy ledwo zeszli z drzewa, a ośmielili się odmówić Lidze Solarnej należnego jej prawa do roztoczenia opieki i nad tym kawałkiem wszechświata. Czarę goryczy przepełnił fakt, że odkrywszy ten terminal, Imperium Manticore nawet przez chwilę nie rozważało oddania go we władanie prawowitym właścicielom. Mimo toczonyj właśnie wojny z Ludową Republiką Haven, która zaczęła się w miejscu zwanym Hancock ledwie trzy miesiące wcześniej, w butny sposób przekazało Lidze Solarnej, że powinna trzymać łapy z daleka od Zunkera. Floyd miał pecha znaleźć się w składzie delegacji, która została uraczona tym aroganckim komunikatem.

Hirokichi Floyd nie był jedynym urzędasem Ligi, który nie cierpiał Imperium Manticore z osobistych powodów i miał jego postępowanie za podręcznikowy przykład hucpy. Kontradmirał Pyun świetnie zdawał sobie z tego sprawę. Tyle że większość tych paranoicznych gryzipiórków znajdowała się głęboko na tyłach i oficer bardzo żałował, że Floyd nie wybrał ich towarzystwa.

- Sir - odezwał się cicho porucznik komandor Turner, szef pokładowego działu łączności. - Otrzymaliśmy transmisję od kontroli astro.

- Nie może być - mruknął Pyun, nie odwracając się od głównego ekranu. Na mostku flagowym SLNS *Belle Poule* panowała przez kilka sekund martwa i dość krępująca cisza, w końcu dowódca skrzywił się lekko, uznając, że dalsze stresowanie łącznościowca nie miałoby sensu. Obrócił się przez ramię w jego stronę. - I co nam powiadają, Ephram?

- Przekaz jest adresowany do najstarszego oficera w składzie zespołu, sir. - Turner odprężył się trochę, widząc reakcję kontradmirała, ale wyraźnie nie był szczęśliwy, że znalazł się w takiej sytuacji. - Czy mam przekazać ją na osobisty wyświetlacz?

- Nie. Daj na główny ekran.

- Tak, sir. - Turner nie wzruszył ramionami, ale niewiele do tego brakowało.

Chwilę później na głównym ekranie pojawiło się oblicze ciemnowłosego i brodatego mężczyzny.

- Jestem kapitan Fergus Arredondo ze służby astro terminalu Zunker - powiedział z typowym dla Manticore akcentem, chociaż nosił miejscowy mundur. Pyun nie był tym faktem zdumiony. Idaho było sojusznikiem Imperium i większość fachowego personelu terminalu rekrutowała się z oficerów „wypożyczonych” z RMN. - Pragnę uprzedzić, że zgodnie z decyzją Royal Manticoran Navy ten terminal jest obecnie zamknięty dla okrętów wojennych i statków Ligi Solarnej. Zgodnie z instrukcją wydaną przez marynarkę wojenną Manticore wszystkie jednostki zbliżające się do terminalu winny włączyć swoje transpondery natychmiast po otrzymaniu tej transmisji. Ponadto wszystkie jednostki Ligi Solarnej obowiązuje zakaz podchodzenia do terminalu na odległość mniejszą niż jedna minuta świetlna. Gwiazdne Imperium Manticore ogłosiło jego obszar strefą zamkniętą zgodnie z procedurami przewidzianymi przez przepisy prawa międzynarodowego określającego tryb wyznaczania takich stref. Bez odbioru.

- Jasne postawienie sprawy, sir - powiedział spokojnie Steven Gilmore, szef sztabu kontradmirała. - Może aroganckie, ale jasne.

- I raczej nie zaskakujące - zgodził się Pyun. - Chociaż ciekawe, że Idaho oznajmia o zamknięciu terminalu na rozkaz Manticore, nie z własnej inicjatywy, prawda? - Uśmiechnął się bez cienia wesołości. - Pewnie nie mogli temu zapobiec, nawet gdyby chcieli. Ale dupochron mają. Widzicie, do czego nas zmusili! A w ten sposób oficjalnie nas nie obrażają.

Spojrzał na zielony punkt na ekranie oznaczający położenie *Zambezi Treasure*, frachtowca, który mieli przeprowadzić przez terminal. Kapitan McKenzie pewnie też się nie ucieszył, odebrawszy przekaz z kontroli astro. W ogóle trudno było mu czegoś w tej sytuacji zazdrościć, chociaż raczej nie groziło mu ostrzelanie.

- Mamy jakieś dane świadczące o wzmocnieniu osłony, Josette? - spytał swoją oficer operacyjną.

Josette Steinberg pokręciła głową.

- Nie, sir. Jeśli nie mają tu żadnych sił dryfujących z wyłączonymi impellerami, to wedle widocznych sygnatur osłona składa się nadal z trzech krążowników i czterech przerośniętych niszczycieli.

- Siedem do sześciu na ich korzyść - zauważył Gilmore. - Oczywiście w tonażu to my mamy przewagę.

Pyun przytaknął. Jego sześć krążowników liniowych należało do typu Indefatigable, słabszego niż wprowadzane obecnie Nevady, ale ich łączna masa przekraczała pięć milionów ton. Wobec góra dwóch milionów ton przeciwnika było to bardzo dużo, przynajmniej wedle klasycznego sposobu oceny.

Tyle że w tym konkretnym przypadku klasyczne podejście mogło się okazać zawodne.

Ciekawe, ile mają w okolicy holowanych zasobników? - zastanowił się Pyun. Niezależnie od tego, co mógł sobie myśleć Floyd, na pewno

jakieś ściągęli. Ostatecznie Idaho leżało tylko siedemdziesiąt lat świetlnych od Manticore. Mimo strat, które Imperium ostatnio poniosło, na pewno wyskrobali trochę dodatkowego uzbrojenia, skoro przydzielili tu zespół złożony tylko z siedmiu okrętów.

Czułby się trochę pewniej, gdyby wiedział, co dokładnie zdarzyło się w zeszłym miesiącu w układzie Spindle. Oficjalny raport na pewno został już wysłany z Ziemi, ale Genovese leżało dwadzieścia lat świetlnych dalej od świata stołecznego niż Zunker. Przekazanie wiadomości musiało potrwać dobrze ponad pół miesiąca, a z Zunkera był do nich tylko tydzień drogi i to sprawiało, że na razie komisarz Floyd i wszyscy jego podwładni musieli opierać się na doniesieniach z Idaho. Te zaś były przygotowywane przez Manticore i nie mogły być w pełni wiarygodne. Chociaż owszem, wynikało z nich, że ktoś, i z pewnością nie była to marynarka wojenna Ligi Solarnej, dokopał Imperium w wielkim stylu. W jego domowych pieleszach na dodatek. Potem jednak oni zrobili podobno krzywdę admirał Crandall w układzie Spindle. Ale jaką i czy naprawdę, trudno było powiedzieć.

Komisarz Floyd skłonny był uważać, że nie doszło tam do niczego poważnego.

Kontradmirał Pyun z kolei przychylił się do stanowiska, że Floyd jest kompletnym kretynem.

- Dostaliśmy cokolwiek od dowódcy osłony, Ephram? - spytał głośno.

- Na razie nie, sir.

- Rozumiem.

Pyun przeniósł ponownie spojrzenie na główny ekran.

*

- Przypuszczam, że nasi goście konsekwentnie milczą? - spytał kapitan Iwanow. - Martwe transpondery i żadnego odszczekiwania się na komunikat kontroli?

- Właśnie, sir - odparł porucznik Justin Adenauer.

- Nie żebym podejrzewał, że pominąłeś taką sytuację - rzucił Iwanow i spojrzał na moduł zapewniający łączność z awaryjnym stanowiskiem dowodzenia na drugim końcu kadłuba krążownika HMS *Sloan Tompkins*.

- Chyba czas zacząć działać, Claudine - zauważył.

- Zrobi się ciekawie, sir.

- W tej okolicy trudno się ostatnio nudzić - odparł z uśmiechem Iwanow. - Pechowo przyszło nam żyć w ciekawych czasach.

- Nie inaczej - przytaknęła Takoush. - Chociaż zawsze istnieje taka opcja, by czasy były ciekawsze dla innych, niekoniecznie dla nas.

- To cel mego życia - zgodził się Iwanow i spojrzał ponownie na Adenauera. - Proszę włączyć zapis materiału do transmisji.

*

- Admirale, odebraliśmy kolejny przekaz - oznajmił Ephram Turner. - Tym razem nie od kontroli astro.

- Nie?

Pyun odwrócił się od głównego ekranu i podszedł do stanowiska Turnera. *Zambezi Treasure* i okręty eskorty przemieszczały się w normalnej przestrzeni od blisko dziesięciu minut, przebywając w tym czasie dystans blisko miliona kilometrów i przyspieszając względem terminalu do 2,2 tysiąca km/s . Admirał się zastanawiał, jak długo jeszcze przyjdzie mu czekać na znak życia od dowódcy osłony. Miał na ten temat swoje zdanie i wygrał już nawet pięć kredytów na skutek wcześniejszego zakładu z kapitan Steinberg.

- Proszę go odtworzyć, Ephram - powiedział, stając za Turnerem i spoglądając na ekran jego konsoli.

- Tak, sir.

Na niewielkim wyświetlaczu pojawiła się twarz zielonookiego szatyna w mundurze starszego oficera RMN.

- Jestem kapitan Hiram Iwanow z Royal Manticoran Navy - powiedział oficer opanowanym tonem doświadczonego dowódcy. Jego spojrzenie nie sugerowało, by dysproporcja sił w jakikolwiek sposób speszyła go czy odebrała mu chęć do działania. -Wiem, że otrzymaliście z kontroli astro polecenie uruchomienia transponderów i zostaliście uprzedzeni o obejmującym wszystkie jednostki Ligi Solarnej zakazie podchodzenia do terminalu bliżej niż na osiemnaście milionów kilometrów. Ze swojej strony pragnę dopowiedzieć, że niezależnie od dążeń naszej królowej do pokojowego rozwiązania obecnego kryzysu w kontaktach między Gwiezdnym Imperium a Ligą Solarną moje rozkazy zobowiązują mnie do egzekwowania postanowień rządu wszystkimi dostępnymi sposobami, z użyciem siły włącznie. Co więcej, informuję, że obecność tylu „niezidentyfikowanych” krążowników liniowych towarzyszących samotnemu frachtowcowi skłania mnie do odczytania waszych działań jako próby naruszenia wspomnianych postanowień. Jeśli będziecie kontynuowali lot z wyłączonymi transponderami i zbliżycie się w ten sposób na mniej niż trzydzieści milionów kilometrów, podejmę wobec was stosowne działania. Wolałbym tego uniknąć, ale wybór należy do was. Iwanow, bez odbioru.

Kapitan skłonił się regulaminowo i ekran pociemniał. Pyun wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, potem odetchnął głęboko.

- Dziękuję, Ephram. - Poklepał oficera łączności po ramieniu i wrócił przez mostek do kapitana Gilmore'a. - To też było jasne postawienie

sprawy - zauważył.

- Tak, sir. Na dodatek dystans trzydziestu milionów kilometrów pokrywa się z doniesieniami na temat tego, co podobno zdarzyło się w Spindle.

- Prawda. Z drugiej strony, to i tak ma sens. Niezależnie od tego, czy wypadki w Spindle w ogóle miały miejsce.

Gilmore pokiwał głową, ale minę miał nietęgą, co trochę podniosło wiceadmirala na duchu, świadczyło bowiem o zdolności podwładnego do samodzielnego myślenia. Wielu oficerów Floty Granicznej nie różniło się niczym od tych dupków z Battle Fleet, którzy wierzyli święcie w niezwyciężoność floty Ligi Solarnej. U Pyuna nie było dla nich miejsca. Z drugiej strony, Steven Gilmore nie był też panikarzem, ale gotów był przyznać, że królewscy mogli nauczyć się niejednego podczas trwającej blisko dwadzieścia standardowych lat wojny z Ludową Republiką Haven. No i mogli też rozwinąć przez ten czas nowe systemy uzbrojenia.

Oczywiście żaden z nich nie był obecny w Quadrancie Talbott, gdy Josef Byng pokazał, na co go stać. Nie mieli też pojęcia o akcji Sandry Crandall i tym samym ich wyobrażenia nie miały prawa nadażać za rzeczywistością. Niemniej Pyun tym różnił się od Gilmore'a, że dane było mu kiedyś spotkać Crandall i bardziej skłonny był uwierzyć w wersję zdarzeń rozpowszechnianą przez Imperium Manticore. Dopuszczał możliwość, że szczegółowy obraz walki też był prawdziwy. Z drugiej strony, nawet dla niego to wszystko nadal brzmiało zbyt nieprawdopodobnie...

Pyun raz jeszcze odtworzył w myśli otrzymane rozkazy. Były równie jasne jak głupie, ale cóż... Już dawno odkrył, że o wiele łatwiej żyje się tym oficerom Marynarki Ligi, którzy w krytycznych momentach

znajdują się daleko od centrum wydarzeń i nie muszą realizować cudzych nieprzemyślanych pomysłów.

Może to i bez sensu, pomyślał w końcu, ale to Floyd jest komisarzem, ja zaś tylko wyższym oficerem wyznaczonym do wykonywania jego rozkazów.

- Przekazać transmisję kapitana Iwanowa kapitanowi Zyndramowi. Proszę też poinformować go, że nie dostrzegam powodów do zmiany naszych zamiarów.

- Tak, sir.

Pyun założył ręce na piersi i wpatrzył się ponownie w główny ekran.

*

- Admirał pewnie nie zaszczycił go odpowiedzią? - spytał kapitan Nereu Zyndram, pierwszy oficer SLNS *Belle Poule*.

- Nie, sir - odparł porucznik Vincent Wurtz. Oficer łączności chciał chyba dodać coś jeszcze, ale zaraz zamknął usta.

Zyndram uśmiechnął się lekko.

Wurtz był młody, pewnie nawet młodszy, niż na to wyglądał, biorąc pod uwagę jego dziecinne niemal zadufanie w sobie połączone z brakiem pewności siebie. W swoim obrazie świata nie dopuszczał nawet możliwości, by jakikolwiek barbarzyńca zdołał zagrozić Marynarce Ligi. Tym samym był głęboko przekonany, że otrzymana z Idaho relacja z bitwy o Spindle była celowo przygotowaną dezinformacją. Nie mogło przecież być inaczej. Skrycie jednak się obawiał, że w tym całym gadaniu może tkwić ziarno prawdy. Podobnie jak większość załogi *Belle Poule*, Wurtz nigdy nie widział prawdziwej walki. Perspektywa, że lada chwila do niej dojdzie, zdawała się nicować mu żołądek.

Trudno się dziwić, pomyślał Zyndram. Sam brał już udział w walce i służył dość długo, by wiedzieć, jak gównianie można się czuć w roli ruchomego celu. Jego samego także ogarnęła niejaka nerwowość.

Nereu Zyndram miał spore zastrzeżenia co do sensu obecnej operacji, i to już od chwili, gdy kontradmirał Pyun podzielił się z nim otrzymanymi rozkazami. Od tamtego czasu nie zdarzyło się nic, co kazałoby spojrzeć na sprawę z większym optymizmem. Na dodatek znał Pyuna już wiele lat i wiedział, że jego dowódca na pewno nie zignoruje rozkazów z tak błahaego powodu jak wysokie stężenie zawartej w nich głupoty.

*

- Nasze ostrzeżenie nie zrobiło chyba na nich większego wrażenia - zauważył Hiram Iwanow, przyglądając się barwnym znacznikom sunącym niezmiennym kursem w kierunku terminalu.

- Typowa durna reakcja solarnych, sir, jeśli wolno mi tak powiedzieć - odezwał się porucznik komandor Brian Brockhurst, oficer taktyczny krążownika. - Albo typowy dla nich brak reakcji.

- Nie przeszkadza mi, jak się pan wyrażasz, panie BB - rzucił swobodnym tonem Iwanow. - Ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Znajdujemy się dość daleko od Spindle i ci tutaj nie dostali pewnie jeszcze żadnego szczegółowego meldunku z Ziemi. Mogą dysponować jedynie relacjami z Idaho, które przeciekły do ich sieci informacyjnej, a te są dla nich siłą rzeczy mało wiarygodne. Pewnie wiedzą o naszych możliwościach dokładnie tyle, ile my o tych draniach, którzy zaatakowali w zeszłym miesiącu nasz układ.

Brockhurst zacisnął mocno wargi. Jego starszy brat i siostra wraz z rodzinami mieszkali na stacji orbitalnej *Hephaestus* przed tym atakiem. Ze wszystkich sił chciał ich pomścić i chwilowo było mu

wszystko jedno, kto zapłaci za jego ból. Nie mogąc dopaść rzeczywistych sprawców, gotów był znaleźć sobie dowolny cel, byle tylko był to cel akceptowany lub wskazany przez przełożonych. Nie zamierzał też nazbyt zaprzętać sobie głowy tym, co przeciwnik może sobie myśleć albo czym się kierować.

- Jakie będą mieli przyspieszenie przy granicy trzydziestu milionów kilometrów? - spytał po chwili Iwanow i Brockhurst sięgnął do klawiatury.

- Trochę poniżej dziewięciu tysięcy kilometrów na sekundę kwadrat, sir - odparł po chwili i spojrzał na swojego dowódcę. - To zwiększy skuteczny zasięg ich pocisków o jakieś 3,2 miliona kilometrów.

Iwanow pokiwał głową. Wziął to pod uwagę, wyznaczając granicę trzydziestu milionów kilometrów od terminalu, ale w Royal Manticoran Navy tradycyjnie nie oczekiwano od oficerów, że rozkaz będzie dla nich czymś więcej niż tylko poleceniem do wykonania. Ostatecznie nie spodziewano się po nim, ani po żadnym innym dowódcy biorącym udział w realizacji planu Laokoon, że będzie niszczył wszystkie jednostki Ligi Solarnej zbliżające się do terminali na dystans mniejszy niż trzydzieści milionów kilometrów. Miał być po prostu skuteczny, zwłaszcza że RMN przystąpi do realizacji drugiej części planu, czyli przejęcia kontroli nad wszystkimi terminalami, które miała szanse (i jakiegokolwiek prawne podstawy) opanować, by uczynić je niedostępnymi dla jednostek Ligi.

A to zdecydowanie zwiększało ryzyko, że prędzej czy później komuś przyjdzie do głowy otworzyć ogień w obronie terminali. Iwanow uważał, że gdyby ta banda nadętych ważniaków z Old Chicago miała zamiar podjąć jakieś negocjacje, już dawno by to uczyniła. A to

oznaczało, że kłopoty dopiero się zaczynały i wiele wody upłynie, nim sytuacja się poprawi. No i nim druga strona zrozumie, że nic nie wskóra, działając po staremu.

- Dobrze, panie BB - powiedział. - Gdy nasi milczący przyjaciele przejdą granicę trzydziestu milionów kilometrów, uruchamiamy plan ogniowy Alfa.

Brockhurst nie był entuzjastą planu ogniowego Alfa i ani przez chwilę tego nie krył, od planowania obrony począwszy, ale oczywiście przyjął rozkaz.

- Aye, sir, plan ogniowy Alfa - odparł. - Już go wprowadzam.

*

- Za minutę osiągniemy dystans trzydziestu milionów kilometrów, admirał - powiedziała porucznik Estelle Marker, astrogator sztabu kontradmirała Pyuna.

- Dziękuję, Estelle. - Kontradmiral spojrzał na Josette Steinberg. - Nasza gotowość?

- Wszystko na swoim miejscu, sir. - Nie była to regulaminowa odpowiedź, ale Steinberg była w jego zespole od blisko trzech standardowych lat i zdarzyło im się nawet trochę w tym czasie zdziałać, co stawiało ich w znacznie lepszym położeniu niż jednostki Battle Fleet. - System Halo uruchomiony i gotowy. Kapitan Zyndram melduje, że systemy antyrakietowe obsadzone w gotowości bojowej. To samo dotyczy reszty jednostek. Nie mam pojęcia, jak oni zamierzają ostrzelać nas z tej odległości, ale cokolwiek kombinują, nie zaskoczą nas.

- Dziękuję - powiedział Pyun, powracając spojrzeniem do głównego ekranu. Dystans był naprawdę olbrzymi i w normalnych okolicznościach wątpliwości Steinberg byłyby jak najbardziej na miejscu, ale kontradmirał nie był w stanie całkiem wyrzucić z głowy

doniesień na temat przebiegu walki, która miała się podobno skończyć sromotną klęską Sandry Crandall. Steinberg też chyba miała z tym niejaki problem, chociaż starała się trzymać fason.

Dobrze, że chociaż to nam wychodzi, pomyślał Pyun w przypływie czarnego humoru. Zdecydowanie wolał takie podejście niż panikowanie, a wielu oficerów floty po zapoznaniu się z pierwszymi raportami uległo zapewne panice. Inna sprawa, że Battle Fleet zasłużyła sobie na terapię wstrząsową. Dobrze by było, gdyby...

- Mamy odpalenia! - oznajmił nagle jeden z podwładnych Steinberg.
- Wielokrotne odpalenia przy dystansie trzydziestu milionów kilometrów!

*

HMS *Sloan Tompkins*, podobnie jak jego siostrzane jednostki *Bristol Q. Yakovlev* i *Cheetah*, były ciężkimi krążownikami typu Saganami C, co oznaczało, że każdy z nich mógł wystrzelić w salwie burtowej dokładnie dwadzieścia pocisków. Stosowane ostatnio przez RMN systemy naprowadzania podwajały tę liczbę, pozwalając na odpalenie pocisków z obu burt jednocześnie. Z kolei wyposażenie okrętów w dwustopniowe rakiety Mk 16 i odpowiednio do tego zmodyfikowane centrale ogniowe sprawiało, że pełna salwa mogła liczyć aż osiemdziesiąt pocisków, co dawało już spore szanse na przeciążenie systemów obronnych przeciwnika.

Dodatkowo jednostki Hirama Iwanowa holowały dziesiątki zasobników z wielostopniowymi pociskami Mark 23, które miały jeszcze większy zasięg i silniejsze głowice bojowe niż Mk 16. Obecnie były jednak dostępne w mniejszej liczbie, dlatego też Iwanow nie zamierzał ich wykorzystywać, dopóki nie będzie to naprawdę konieczne. Tak zatem plan ogniowy Alfa opierał się na użyciu jedynie

pocisków z pokładowych wyrzutni krążowników. Nawet przydzielone do zespołu niszczyciele miały na razie pozostać bierne, jako że dysponowały małym zapasem pocisków, w sumie jedną czwartą tego, co miały krążowniki, i też nie było na razie sensu uszczuplać ich możliwości bojowych.

Dlatego salwa liczyła „jedynie” dwieście czterdzieści pocisków wystrzelonych tak, by jako jedna nawała runęły na krążowniki liniowe kontradmirała Liama Pyuna.

*

- Odczyty mówią o dwustu czterdziestu pociskach - oznajmiła Josette Steinberg trochę nieswoim głosem. - Szacowane przyspieszenie cztery pięć jeden kilometra na sekundę kwadrat. Uaktywnić cały system Halo!

- Halo uruchomiony, ma'am!

- Cholera - mruknął Steven Gilmore tak cicho, że Pyun ledwo go dosłyszał. - To musi być strzał ostrzegawczy, sir.

- Tak się panu wydaje? - Pyun wpatrywał się w widoczne na ekranie czerwone symbole płynące całą rzeką w stronę jego zespołu.

- To nie może być nic innego, sir! Nawet zakładając, że mogą osiągnąć nas z tej odległości, nie zmuszając pocisków do lotu balistycznego, nie mają szans na skuteczne naprowadzanie.

- Sandra Crandall też tak pewnie myślała - stwierdził Pyun z ponurym uśmiechem na twarzy. - Zakładając oczywiście, że bitwa o Spindle to nie wymysł propagandy.

Gilmore chciał chyba coś odpowiedzieć, ale nie zdążył.

- Admirale, zakładając, że pociski cały lot odbędą z aktywnym napędem, dojdą do nas z przyspieszeniem prawie stu siedemdziesięciu kilometrów na sekundę kwadrat -zameldowała z przejęciem Steinberg i

obejrzała się przez ramię na dowódcę. - Chyba się myliłam, sądząc, że jesteśmy poza ich zasięgiem, sir.

- Cztery minuty do granicy zasięgu naszej salwy - odezwał się jeden z jej podwładnych.

Steinberg pokiwała głową.

- Halo aktywne - odezwał się inny.

*

- Nie wygląda to dobrze - mruknął pod nosem porucznik komandor Austell Pouchard.

- Chyba mogę się z tym zgodzić - powiedziała komandor Hiacynta Pocock, pierwszy oficer *Belle Poule*.

Pouchard skrzywił się, zrozumiałwszy, że odezwał się zdecydowanie zbyt głośno.

- Przepraszam, ma'am. Ale te dane...

Pokręcił głową i teraz to Pocock się skrzywiła. Pouchard był starszym oficerem taktycznym i podobnie jak ona miał przydział na stanowisko Bravo, w Marynarce Ligi stanowiące odpowiednik tego, co we flocie Manticore nazywano rezerwowym stanowiskiem dowodzenia. W obu przypadkach były to identycznie wyposażone centra dowodzenia mające zastąpić to podstawowe w przypadku jego wyłączenia albo i zniszczenia. Dlatego personel zespołu Bravo był w pełni i na bieżąco informowany o rozwoju sytuacji, chociaż póki co zajmował się przede wszystkim analizą zdarzeń i wyszukiwaniem prawidłowości pojawiających się w symulacjach szkoleniowych.

Tyle że tym razem nie chodziło o symulację, Pouchard zaś się nie mylił. Jeśli nadciągające pociski zachowają obecne przyspieszenie, zatrzymanie ich będzie zadaniem prawie niewykonalnym, a Pocock jakoś nie potrafiła uwierzyć, że chodzi tylko o „ostrzał ostrzegawczy”.

Trudno było oczekiwać, że RMN gotowa jest zmarnować tyle pocisków w imię zachowania standardowych procedur. Nawet z całym zestawem zasobników holowanych trzy ciężkie krążowniki nie dysponowały aż tak wielkimi zapasami amunicji, by wypuszczać ją setkami na wiwat.

Teoretycznie pocisk lecący torem balistycznym mógł być przy nowoczesnych głowicach równie celny jak taki, który zachował zdolność manewrowania. Ostatecznie nawet jednostka z napędem typu impeller nie dysponowała taką rezerwą mocy, by oddalić się poza zasięg laserów w ciągu trzech minut lotu pocisku. Tyle że to była teoria, która rzadko sprawdzała się w walce. Zwłaszcza gdy wzięto się pod uwagę nieprzenikliwość ekranów i fakt, że nowoczesne okręty wojenne były nie tylko dość odporne na ostrzał, ale jeszcze mogły wykonywać gwałtowne manewry z przyspieszeniem sięgającym trzystu do czterystu g. Dzięki temu miały spore szanse na wykonanie skutecznego uniku, a pozbawiony napędu pocisk rzadko eksplodował w pozycji pozwalającej promieniom na przeniknięcie przez ewentualne szczeliny w systemach obronnych. Nie mówiąc o tym, że był łatwym celem dla aktywnych środków defensywnych. Cokolwiek więc przewidywała teoria, sytuacja nadal przypominała tę z czasów wojen na morzu, kiedy to torpeda na krańcu przebiegu nie była większym zagrożeniem dla manewrującego celu.

Hiacynta Pocock też o tym wiedziała i dlatego właśnie nie łudziła się, że przeciwnik nie wie, co robi.

*

- Mamy prawidłowe odczyty z pocisków i systemu Ghost Rider - zameldował porucznik komandor Brockhurst. - Emisje systemu Halo pasują niemal idealnie do tego, co było w meldunkach admirała Gold Peak.

Kapitan Iwanow tylko przytaknął, nie odrywając spojrzenia od ekranu z namiarami kursowymi.

*

- Admirale, wyłapaliśmy coś dziwnego...

Liam Pyun spojrział na kapitan Steinberg, która wpatrywała się w boczny wyświetlacz.

- Już daję to na główny ekran - powiedziała i kontradmirał szybko obrócił głowę.

Natychmiast dostrzegł całą grupę nowych, pulsujących znaczników.

- Co to niby jest? - spytał, widząc, że chodzi o obiekty znajdujące się niewiarygodnie blisko jego okrętów. Żaden nie znajdował się dalej niż dziesięć tysięcy kilometrów od jednostki flagowej.

- Nie wiemy, sir - powiedziała bezradnym tonem Steinberg. - Jesteśmy jednak przekonani, że to było tutaj cały czas, a pojawiło się w odczytach dopiero teraz na skutek wyłączenia systemów stealth.

- Wyłączenia systemów stealth? - powtórzył z niedowierzaniem kapitan Gilmore. - Chce pani powiedzieć, że ich moduły zwiadowcze zdołały podejść tak blisko, a my w ogóle ich nie spostrzegliśmy?

- Na to wygląda - stwierdziła Steinberg. - I wątpię, by wyłączyli systemy maskujące bez powodu. Chyba chcą, byśmy dowiedzieli się o tych urządzeniach.

- Ma'am - odezwał się jeden z jej ludzi. - Odbieramy całe serie impulsów grawitacyjnych z dziesiątków źródeł. Są praktycznie wszędzie wokół nas.

- Czy to... - Pyun naprowadził znacznik świetlny na nowe symbole na ekranie. - Czy to są właśnie te źródła, bosmanie Elliott?

- No... tak, sir. Sądzę, że to one.

- O cholera... - mruknął Gilmore.

Już po nas, pomyślał bezwiednie Pyun.

- Jakim cudem zdołali upakować emiterzy łączności nadświetlnej w coś tak małego? -zastanowiła się głośno Steinberg.

Było to bez dwóch zdań retoryczne pytanie, zwłaszcza że szczegóły techniczne nie miały chwilowo żadnego znaczenia. Liczył się fakt, że inżynierowie z Manticore jakoś jednak tego dokonali i że te dziesiątki satelitów były najpewniej zdolne do czegoś, co najodważniejsi teoretycy Ligi uważali za możliwe, czyli przekazywania łączami nadświetlnymi aktualnych namiarów wszystkich jednostek zespołu Pyuna. A to znaczyło, że...

Krażownik zadrżał, wyrzucając pierwszą grupę antyrakiet, ale było oczywiste, że przy tej liczbie baterii defensywnych nie zdoła poradzić sobie z nadciągającą salwą.

*

- Bliskość punktu alfa, sir - zameldował Brockhurst.

- Wykonać kolejny etap - odpowiedział Iwanow.

- Aye, aye, sir. Wykonuję.

*

Na pokładzie SLNS *Belle Poule* panika nie wybuchła tylko dlatego, że załoga była chwilowo zbyt zajęta innymi sprawami. Ci, którzy obserwowali rozwój sytuacji na swoich ekranach i rozumieli, co to dla nich oznacza, nie mieli nawet kiedy uświadomić sobie w pełni, jaka rola tym razem im przypadła i że wszystkie „przesadzone” meldunki na temat Spindle nie były wcale wrogą propagandą.

Przeciwnik naprawdę okazał się o klasę lepszy.

Pociski RMN nadlatywały wciąż z tym samym, nieprawdopodobnym wręcz przyspieszeniem, a na dodatek w chwili, gdy miały wejść w zewnętrzną strefę obronną krążowników, uaktywniły się włączone w

skład salwy rakiety z głowicami służącymi do wojny radioelektronicznej. Było ich aż pięćdziesiąt, czekających cierpliwie na tę chwilę. Nie dość, że oślepiły w znacznym stopniu sensory obrońców zakłóceniami, to jeszcze system Dragon's Teeth wyprodukował całą rzeszę fikcyjnych celów. Załogi solarnych krążowników nigdy nie widziały czegoś podobnego i nie wyobrażały sobie nawet, że to może być wykonalne. Nie mając najmniejszego pojęcia, jakie środki pakowała od dawna RMN w rozwój mikroreaktorów, nie rozumieli, jakim cudem komukolwiek udało się pomieścić równie potężne zagłuszarki w niewielkich przecież głowicach pocisków. Całkiem niespodziewanie spotkali się z czymś, czego ich doktryna wojenna w ogóle nie przewidywała, z czym ich sprzęt nie umiał sobie poradzić.

Antyrakiety zdołały zniszczyć dokładnie siedemnaście pocisków z głowicami bojowymi. Pozostałe sto siedemdziesiąt trzy przeszły przez ogień defensywny jak nóż przez masło.

*

Liam Pyun też był świadom bezradności własnych systemów obronnych, ale w odróżnieniu od większości oficerów zawsze brał pod uwagę i taką możliwość, że pochodzące z obcych źródeł raporty na temat wieloletniej wojny między Manticore a Haven wiernie oddawały rzeczywisty jej przebieg. Nie zdradzał się z tym głośno, by nie podpaść kolegom mającym taką postawę za przejaw „panikarstwa”, ale teraz był w stanie pojąć, że większość tamtych doniesień umniejszała tak naprawdę skalę zagrożenia. Nic dziwnego, że RMN zdołała w New Tuscany tak gładko wyłuskać jednostkę flagową Bynga.

Jego ludzie dawali z siebie wszystko, starając się nadgonić w ciągu paru minut braki wynikłe z hołdowania nieaktualnej już dawno doktrynie i całkiem nieadekwatnego do sytuacji trybu szkolenia. Był to

z góry przegrany wyścig, ale przynajmniej próbowali, nie poddając się przerażeniu. Pyun był z nich w pewien sposób dumny, chociaż w duchu przeklinał sam siebie za wprowadzenie zespołu prosto w pułapkę.

Ale skąd miałem wiedzieć? - powiedział sobie. Jak niby miałem to przewidzieć? Zresztą nawet gdybym wiedział...

Rakiety z krążownikóW RMN przeszły granicę wewnętrZnej strefy obrony, z powodzeniem przedzierając się przez gorączkowo strzelające działka laserowe, które okazały się niemal równie bezużyteczne jak antyrakiety. Celów było po prostu zbyt wiele. Ogień defensywny zdołał zniszczyć jeszcze dwanaście z nich, ale wobec pozostałych stu sześćdziesięciu trzech było to tyle, co nic. Pyun poczuł, jak żołądek zaczyna pulsować mu bólem. Pociski kierowały się na nieosłonięte ekranami dzioby i rufy jego jednostek. Za sekundę...

Nagle sto sześćdziesiąt trzy pociski Mark 16, którym zostało jeszcze około trzydziestu sekund lotu z napędem, wykonały idealnie zgodny skręt, detonując równocześnie w tym samym ułamku sekundy.

*

- Dobra robota, panie BB - powiedział tonem aprobaty Hiram Iwanow, gdy drony systemu Ghost Rider przekazały aktualny obraz sytuacji. - Nawet bardzo niezła. Oficjalnie można chyba uznać to za „wzorowo wykonane zadanie”.

*

- Wszystkie trafienia poszły w ekrany! - wykrztusiła Steinberg. - Boże, ostrzelali ekrany naszego napędu! - dodała z niedowierzaniem i chyba lekką urazą.

Pyun uśmiechnął się mimowolnie kącikiem ust. Jego oficer operacyjna trwała wciąż w stanie osłupienia i nie potrafiła oderwać oczu od swojego ekranu.

To była prawda, ale wszyscy obecni na pokładzie potrzebowali kilku niemiłosiernie długich sekund, by zrozumieć, że to nie senny koszmar.

Kontradmirał wolałby wierzyć, że to system Halo tak pomieszał szyki pociskom, iż straciły namiary, i dlatego nie zdołały porazić jego okrętów wiązkami skupionego promieniowania rentgenowskiego. Tyle że nie było takiego systemu defensywnego, który potrafiłby zmylić wszystkie nadlatujące rakiety w taki sposób, by poraziły wyłącznie denne i górne ekrany impellerów. To było po prostu niemożliwe, pozostawało więc tylko jedno rozwiązanie. To ci, którzy wystrzelili pociski, tak właśnie sobie rzecz zaplanowali.

- Chryste - jęknął kapitan Gilmore, kręcąc głową jak ktoś, kogo właśnie kopnął koń. - Jak, u diabła...? - Przerwał i znowu pokręcił głową.
- Przepraszam, admirale.

Pyun tylko na niego spojrział i ponownie skupił uwagę na Steinberg, która dla odmiany mamrotała coś niewyraźnie pod nosem. W końcu uniosła głowę i dostrzegła spoglądającego na nią dowódcę.

- Ja... - zaczęła, też kręcąc głową. - Sir, wedle raportów *Retaliate* dostał jedno trafienie, a *Impudent* dwa. I to wszystko. Absolutnie i całkowicie wszystko!

- Ale to nieprawdopo... - zaczął Gilmore, ale zaraz przerwał.

- Nieprawdopodobne - dokończył za niego Pyun. - Może. Ale prawdziwe. Co sugeruje, że przeciwnik od początku tak właśnie zamierzał to rozegrać. Sądzę, że do tych trzech trafień doszło czystym przypadkiem. - Uśmiechnął się blado. - Miło wiedzieć, że nawet naszym kolegom z Manticore nie wszystko zawsze wychodzi idealnie.

Steinberg spojrzała na niego z niedowierzaniem, a Gilmore wciągnął głęboko powietrze.

- Sir, sugeruje pan, że oni celowo wymierzili głowice w nasze ekrany? - spytał w końcu szef sztabu. - Że to miała być swojego rodzaju... demonstracja ich możliwości?

- Lepszego wyjaśnienia nie znajduję. A ty, Steve?

- Ja...

- Przepraszam, kapitanie - odezwał się porucznik Turner. - Otrzymaliśmy przekaz, który chyba powinien pan zobaczyć.

- Jaki przekaz?

- Od nich. Tyle że nie nadszedł z ich okrętów, ale z jakiegoś innego miejsca.

- Innego miejsca?

- Tak, sir - odparł oficer łączności, nadal jeszcze cieszący się faktem, że udało mu się chwilowo pozostać przy życiu. - W sumie to cały szereg źródeł - dodał z westchnieniem, widząc zdumione spojrzenie Pyuna. - Sir, wydaje się, że mają wokół naszego zespołu dziesięć do piętnastu modułów przekaźnikowych. Transmisja jest nieustannie przełączana na kolejne z nich, by utrudnić nam złapanie namiaru. I jeszcze jedno, sir, sądzę, że jest to przekaz w czasie rzeczywistym.

Pyun już chciał zaprotestować, pamiętając, że nadal znajdują się ponad półtorej minuty świetlnej od przeciwnika, ale zaraz przypomniał sobie wcześniejszy meldunek o wykryciu impulsów grawitacyjnych. Tak, to mogło mieć sens.

- Rozumiem - powiedział. - Proszę dać to na główny ekran.

- Tak, sir.

Po chwili ujrzał oblicze tego samego zielonookiego mężczyzny co poprzednio.

- Ufam, że połapaliście się już, iż świadomie odstępiliśmy od zniszczenia waszych jednostek - powiedział kapitan Iwanow. - Jak już

wspomniałem, nasza królowa wolałaby pokojowo rozwiązać obecny konflikt między Gwiezdnym Imperium a Ligą Solarną, unikając dalszego rozlewu krwi. Nie znaczy to, że na pewno nikt więcej nie zginie, ale mam nadzieję, że nie dojdzie do tego teraz i tutaj. Z drugiej strony uprzedzam, że jeśli będziecie kontynuowali lot w kierunku terminalu, nie zostawicie mi wyboru i będę musiał podjąć walkę. Tyle że następna salwa nie będzie już wymierzona w wasze ekrany. Macie dziesięć minut na rozpoczęcie wytracania prędkości albo zniknięcie w nadprzestrzeni. Jeśli nie podejmiecie we wskazanym czasie żadnego z tych działań, otworzę ponownie ogień, tym razem efektywnie. Iwanow, bez odbioru.

Na mostku flagowym *Belle Poule* zapadła całkowita cisza. Przez kilka długich sekund nikt nie odezwał się ani słowem. Nikomu nie przyszło nawet do głowy, by głębiej odetchnąć.

Wszyscy spoglądali na stojącego przed ciemnym ekranem Liama Pyuna. W końcu admirał drgnął i jakby przygarbił się trochę. Potem zaczerpnął powietrza i odwrócił się do załogi.

- Kapitanie Gilmore, proszę polecić kapitanowi Zyndramowi, by natychmiast rozpoczął decelerację. I niech uruchomi generatory nadprzestrzenne.

Rozdział IV

- Ale nuuudy - oznajmiła Yana Tretiakowna, wysoka, atrakcyjna i niewątpliwie niebezpieczna blondynka, rzucając się na wyściełany fotel. Rozparła się wygodnie, skrzyżowała ramiona i spojrzała krytycznie na całościenne okno z krystoplastu, za którym rysowała się w całej wspaniałości mgławica Yamato.

W tej akurat chwili widok ten nie robił na niej większego wrażenia. Miała sporo ważniejszych spraw, jej zdaniem, na głowie, o zabijającej wszelką wrażliwość na uroki krajobrazu bezczynności nie wspominając.

- Jestem pewien, że znajdziesz sobie jakąś rozrywkę, jeśli się postarasz - powiedział spokojnym tonem Anton Zilwicky, odrywając się od minikompa, z którym właśnie grał w szachy. - Ostatecznie jest to jedna z najbardziej rozrywkowych planet galaktyki.

- Nie jest, tylko była - odparła Yana. - Teraz trudno chyba o bardziej niebezpieczne miejsce. Wszędzie szwenda się cała masa fanatyków z Baletu i komandosów z Beowulfa. Ani jedni, ani drudzy nie grzeszą poczuciem humoru.

- Gdybyś nie zwichnęła ręki temu miłemu porucznikowi z Beowulfa tylko dlatego, że chciałaś się z nim siłować, to może nie wydałby ci się aż takim ponurakiem.

- Gadanie - warknęła Yana. - Na dodatek Victor też nie daje się już podpuszczać!

Zilwicky zaśmiał się głębokim basem. Gdy Yana zgłosiła gotowość towarzyszenia jemu i Victorowi Cachatowi w ryzykownej wyprawie na

Mesę, tajny agent Republiki Haven budził w niej lęk (co było doskonale widać, chociaż chyba nikomu się do tego nie przyznała). Zdecydowała się, bo była twarda i chciała pomścić śmierć Lary, swej przyjaciółki, ale perspektywa odgrywania dziewczyny kogoś, kto w oczach większości ludzi uchodził za zimnego socjopatycznego mordercę, długo ją przerażała. Zilwicki nigdy nie miał go za kogoś takiego, ale gotów był przyznać, że niejeden mógł dojść do podobnego wniosku, zważywszy na listę ofiar jego kolegi. Co do socjopatii, sprawa wydawała mu się bardziej złożona.

Znał kilku socjopatów, których uważał za całkiem miłych ludzi, ale z drugiej strony dawno już doszedł do wniosku, że ocena społecznego dostosowania człowieka zależała w znacznym stopniu od punktu widzenia obserwatora. Ten sam osobnik mógł uchodzić jednocześnie za okaz wszelakich patologii, jak i bohaterskiego obrońcę słusznej sprawy.

Poza tym jego zdaniem w pewnych sytuacjach wszystkie te wydumane teorie nie miały najmniejszego znaczenia. Najbardziej liczył się człowiek. A ile razy Victor pojawiał się w pobliżu, zaraz robiło się ciekawie.

Spędzili na Mesie dość czasu, by Yana pozbyła się większości uprzedzeń wobec Cachata, a ostatecznie zmieniła doń stosunek podczas czteromiesięcznej podróży do układu Hainuwele. Inna sprawa, że powinni byli uwinąć się szybciej, bo dostarczony przez przemytniczy kontakt z Erewhonu stary i poobijany frachtowiec o nazwie *Hali Sowie* był wyposażony w generator wojskowego typu, dobrze do tego zamaskowany. I chociaż statek posiadał nadal cywilne węzły i osłony antycząsteczkowe, był w stanie dojść aż do pasma Theta, co czyniło go szybszym od większości jednostek handlowych. Niestety, poprzedni właściciele frachtowca, a było ich całkiem sporo, nie dbali należycie o

wspomniany generator, co doprowadziło do jego awarii krótko po tym, jak uciekli z Mesy i zanurkowali w nadprzestrzeń. Przetrwali to przykre doświadczenie, ale Andrew Artlet długo się męczył, nim zdołał przeprowadzić prowizoryczną naprawę.

Dryfując w międzygwiazdnej pustce, odnosili wrażenie, że stoją w miejscu, chociaż oczywiście nie odpowiadało to prawdzie. Gdy generator ożył, nadal nie było im do śmiechu, ponieważ nie mieli już żadnej szansy skorzystać z przejścia Mesa-Visigoth. Wprawdzie znajdowali się aż dziewięćset sześćdziesiąt lat świetlnych od bazy na Hainuwele (i ponad tysiąc od Torch), ale powrót do terminalu Mesy był zbyt ryzykowny, zważywszy na pokaz fajerwerków, który towarzyszył ich ucieczce. Szkoda, bo ten skrót doprowadziłby ich na dystans niecałych sześćdziesięciu lat świetlnych od Beowulfa, a tak musieli nadłożyć drogi, by przejść przez znajdujące się pod nadzorem Biura Bezpieczeństwa Granicznego połączenie Syou-tang-Olivia, po czym pokonać tradycyjnym sposobem czterysta lat świetlnych z Olivii do Hainuwele.

Próbowali zabijać czas grą w karty, z musu spędzając ze sobą wiele godzin. Wtedy właśnie obawy Yany rozwiały się do końca. Cachat i Zilwicky mieli ponadto sposobność gruntownego wypytania Herlandera Simoesa, naukowca z Mesy, który wybrał wolność. Inna sprawa, że naprawdę dokładne zapoznanie się z informacjami Simoesa mogło potrwać długie lata i wymagało umysłów dysponujących o wiele rozleglejszą wiedzą fachową niż ta, którą posiadali Cachat i Zilwicky.

Dowiedzieli się jednak od niego dość, by w połączeniu z sensacjami usłyszanymi wcześniej od Jacka McBryde'a, ochroniarza z Mesy, który zorganizował ucieczkę fizyka, zrozumieć, że wszyscy, a zwłaszcza agencje wywiadowcze całej chyba galaktyki, mylili się zasadniczo w

kwestii rzeczywistej roli odgrywanej przez Mesę. Dla wywiadu Beowulfa będzie to szczególnie przykra nowina, chociaż innych też czekał zimny prysznic. W obliczu posiadania wiedzy ujawniającej ogrom dotychczasowej ignorancji rozpaczliwie długa podróż była tym bardziej frustrująca.

Zilwicki wiele razy żałował, że nie skierowali się do terminalu Lynx, by przenieść się bezpośrednio do Imperium Manticore, ale początkowy kurs przesądził sprawę. Cofnięcie się do Lynksa wymagałoby znacznie dłuższego przelotu niż do Syou-tang, no i pozostawało jeszcze pytanie, jaki los spotkałby Cachata, gdyby ktoś odkrył jego obecność w podwójnym układzie Manticore, zwłaszcza po ataku Republiki Haven na stołeczne układy Imperium. Informacja o nim dotarła na Mesę jakieś dwa miesiące przed ich pospiesznym odlotem. Nie przypuszczali, by najważniejszy tajny agent Haven został w tej sytuacji powitany z otwartymi ramionami.

Podobnie delikatnej natury była kwestia, kto właściwie winien teraz roztoczyć „opiekę” nad Simoesem i bezcenną wiedzą, którą ten dysponował. Operacja była finansowana przez królestwo Torch, Republikę Haven (nawet jeśli w Nouveau Paris nikt jeszcze o tym nie wiedział), Balet, Zwiad Biologiczny Beowulfa i różnych ludzi z Erewhonu, których Cachat zdołał w to wciągnąć. Manticore oficjalnie palcem nawet nie kiwnęło. Ruth Winton też miała swój udział w tym sukcesie, ale występowała tym razem wyłącznie jako szef wywiadu Torch, nie osoba z rodu panującego Manticore.

Biorąc to wszystko pod uwagę, lot na Manticore mógłby się okazać niekoniecznie najlepszym posunięciem, skierowali się więc wprost do Hainuwele, które leżało dokładnie po drodze do Torch. Przy istniejącym układzie wormholi była to najbliższa bezpieczna przystań, gdzie mieli

nadzieję znaleźć jakąś jednostkę Zwiadu Biologicznego. Jednostki te, choć działały niejawnie, zwykły funkcjonować jako statki kurierskie. Niestety, gdy znaleźli się już na miejscu, zastali tam jedynie EMS *Custis*, statek remontowy z Erehonu, którego załoga kończyła właśnie przebudowę stacji Parmaley na bazę dla Baletu i zwalczającej międzygwiazdny handel niewolnikami agendy Beowulfa.

Dokonane przez Artleta i Zilwickiego naprawy nie wystarczyły na długo i *Hali Sowie* dotarł do Hainuwele na ostatnich podrygach generatora. Zajęty przebudową kapitan *Custisa* nie otrzymał od kilku miesięcy żadnych nowych meldunków, ale potwierdził, że po ostatniej bitwie w podwójnym układzie Manticore obie strony są w stanie takiego wyczerpania, że chwilowo nie mają serca do działań zbrojnych, co bardzo ucieszyło Antona i Victora. Kapitan był znacznie mniej uradowany z uwikłania go w awanturę związaną z dwiema sławnymi postaciami. Wyraźnie się obawiał, że jego zwierzchnicy z Erehonu nie spojrzą z aprobatą na jego ewentualny udział w całej sprawie. Zapewne Anton i Victor mogliby go przekonać, zdradzając, czego się właśnie dowiedzieli na Mesie, ale byłoby to nieprofesjonalne zachowanie. Jedyne, co zdołali więc w tej sytuacji uzyskać, to tyle, że zaoferował się polecieć na Erehon (bliższy zresztą o dwadzieścia lat świetlnych niż Torch) po nowy generator dla frachtowca. Zgodził się też zabrać zaszyfowaną wiadomość od Victora dla Sharon Justice, która jako najstarszy oficer Republiki Haven w układzie Erehon mogła w razie czego służyć mu pomocą. Ale to było wszystko.

Zilwicki nie próbował nawet kryć, jak bardzo irytuje go upór kapitana, szczęśliwie jednak był z natury cierpliwy, metodyczny i skłonny korzystać ze swego analitycznego umysłu. Poza tym sytuacja miała też dobre strony. Zarówno on, jak i Cachat woleli nie tracić

Simoesa z oczu i chociaż nie mieli powodu, by nie ufać kapitanowi *Custisa*, szczególnym zaufaniem też go nie darzyli. Jeśli chociaż drobna część tego, co przekazali Herlander i Jack McBryde, była prawdą, ich nowiny miały wstrząsnąć całą niemal zamieszkaną galaktyką. Nie mogli ryzykować, że cokolwiek stanie się ich podopiecznemu, dopóki nie zda relacji, i to szczegółowej, funkcjonariuszom wywiadów. Woleli więc poczekać jeszcze jakiś miesiąc, aż *Custis* dotrze na Erehwon i Justice zdoła zorganizować im bezpieczny transport na Torch. Wiedzieli, że dopiero wtedy pozwolą sobie na oddech ulgi, chociaż czekało ich jeszcze dyskretne zaproszenie tam przedstawicieli wszystkich liczących się agencji wywiadowczych.

Niemniej, chociaż plan wydawał się zasadniczo prosty, wiele jeszcze mogło się zdarzyć. Zilwicki i Cachat najbardziej obawiali się wznowienia działań wojennych przez Imperium i Republikę. Byłoby to niepożądane i z tego powodu, że zgodnie z ich wiadomościami (no i zakładając, że nie padli ofiarami jakiegoś gigantycznego oszustwa) cała ta wojna była jedną wielką pomyłką. To Równanie od sześciuset lat przestawiało pionki na szachownicy, na dodatek tak dyskretnie, że nikt nie miał o tym najmniejszego pojęcia.

Cachat i Zilwicki musieli więc dbać o życie i zdrowie podopiecznego i dlatego też postanowili poczekać na dalszy transport w zmodernizowanej stacji *Parmaley*.

- A tak w ogóle, to nikt mnie nie uprzedził, że nasza wycieczka na wieś potrwa aż rok - powiedziała z wyrzutem Yana.

- I nie trwała - zauważył Zilwicki. - Chociaż zależy, według jakiego kalendarza planetarnego to liczyć. Niemniej w standardowych miesiącach roku nie było. Ledwie dziesięć miesięcy!

- A miały być cztery - odcięła się Yana.

- My mówiliśmy o pięciu - poprawił ją Zilwicki.

- Wiesz, Anton, scragi potrafią liczyć - prychnęła dziewczyna. - Poza tym...

Automatyczne drzwi prowadzące do połączonego z galerią widokową salonu należały do elementów, które ekipa remontowa zdołała już wymienić, i otwierały się bardzo sprawnie. Teraz też zadziały, przerywając Yanie w połowie zdania. Do środka wszedł ciemnowłosy mężczyzna, który w porównaniu z roslym Zilwickim wydawał się wąły, chociaż w rzeczywistości nie należał do ułomków.

- A, tu jesteście! - rzucił. - Ganny El powiedziała mi, że pewnie was tu znajdę.

- W rzeczy samej, Victorze - zahuczał Zilwicki i uniósł brwi. - A skoro tak właśnie jest i dołączyłeś do nas, to czy mogę spytać, kto opiekuje się w tej chwili naszym przyjacielem Herlanderem? O ile się nie mylę, teraz jest twoja zmiana?

- Posadziłem pod drzwiami Franka z obrzynem - wyjaśnił cierpliwie Cachat. Zilwicki chrząknął, zasadniczo z aprobatą, chociaż nie każdy by to rozpoznał. Frank Gillich był zdolną jednostką. Wraz z Hune Mattes należał do ekipy Zwiadu, która nawiązała kontakt z mieszkającą na stacji rodziną Butre i ugadała, co trzeba, dzięki czemu familia Butre przeżyła, a stacja dostała się Baletowi i Korpusowi. Większość ludzi, oczywiście tych nieznających Cachata, uznałaby ich za równie groźnych agentów co Victor. On sam skłonny był przypuszczać, że Gillich ma wystarczające umiejętności, by w razie kłopotów utrzymać Simoesa przy życiu przez jakiś kwadrans. Może dwadzieścia minut. - W tym towarzystwie to ja jestem typem obsesyjno-kompulsywnym ze skłonnością do paranoicznej podejrzliwości - stwierdził Cachat. - I proszę nie odbierać mi palmy pierwszeństwa.

- Ha! - parsknęła Yana. - On ci niczego nie odbiera, a palmy zwłaszcza. Po prostu zbyt długo z tobą przestawał. To każdego może wpędzić w ciężką neurozę. Może poza Kają. Chociaż tylko może.

- Zupełnie nie pojmuję, czemu większość mieszkańców tej galaktyki uparła się widzieć we mnie mocno trzepniętego zabójcę - powiedział ze smutkiem Cachat. - Przecież nigdy nie zabiłem nikogo, kto by się o to nie prosił.

To ostatnie dodał z kamienną twarzą, ale zdaniem Zilwickiego był to żart. Zapewne. W przypadku Cachata trudno było o pewność. Jego poczucie humoru pozostawało ciągle terenem niespenetrowanym.

- Zakładam, że miałeś jakiś ważny powód, by wrobić Franka w niańczenie naszego fizyka i wypytać El, gdzie można nas znaleźć? - spytał Anton.

- Zgadza się - odparł Cachat i coś błysnęło mu w oczach. - Chyba znalazłem argument mogący przekonać cię do pomysłu zabrania Herlandera od razu do Nouveau Paris.

- Naprawdę? - Zilwicki splótł sękaty ramiona i przechylił głowę niczym ptak namierzający smaczną przekąskę. - Dlaczego mielibyśmy zrezygnować z zadołowania go na Torch i zaproszenia góry na spotkanie z Mahometem?

- Ponieważ właśnie zjawiała się dyspozycyjna jednostka z Erewhonu - wyjaśnił Victor.

- Dyspozycyjna? - spytał Zilwicki, zmrużywszy oczy. - A kto wpadł na pomysł, by ją tu przysyłać?

- Najwyraźniej Sharon doszła do wniosku, że tutejsze grupy Baletu i Beowulfa powinny być na bieżąco z rozwojem wydarzeń - powiedział Cachat i wzruszył ramionami. - Oczywiście nie mogła wiedzieć, że tu

jestem. Wysłała ten statek trzy tygodnie temu, *Custis* zaś może zjawić się u niej najwcześniej jutro.

- Pamiętam, że nie wcześniej - warknął Zilwicki. - Ale może będziesz łaskaw powiedzieć wreszcie, co takiego się zdarzyło, że twoi podwładni zaczęli rozsyłać kurierów na lewo i prawo?

- Fakt, coś się zdarzyło. Jakies trzy miesiące temu na orbicie Haven pojawiła się jednostka z księżną Harrington na pokładzie - powiedział Cachat. - Ta wiadomość dotarła na Erewhon w cyklicznym przekazie informacyjnym i Sharon odruchowo rozesłała ją zaraz, dokąd tylko się dało. Skipper odwiedził już wcześniej Torch, my jesteśmy ostatnim przystankiem. Nie ma tego wiele, ale wszystko zdaje się sugerować, że księżna Harrington odwiedziła Nouveau Paris, by wynegocjować warunki trwałego pokoju między Republiką Haven a Gwiezdnym Imperium.

Antona Zilwickiego trudno było czymkolwiek zaskoczyć, ale tym razem nie zdołał nawet ukryć zdumienia.

- Trwałego pokoju? Masz na myśli prawdziwy traktat pokojowy?

- Nie inaczej. Z raportu wynika ponadto, że prezydent Pritchard też bardzo na tym traktacie zależy. Z drugiej strony wątpię, by po dwudziestu latach ostrego strzelania zdołały załatwić wszystko w kilka dni. A skoro księżna Harrington dała wiarę naszym słowom, zanim jeszcze wyruszyliśmy na Mesę, nie widzę powodu, by miała przestać ufać nam teraz, gdy wróciliśmy z Simoesem na holu. Poza tym będzie jak zwykle ze swoim treecatem i pozna, czy mówimy prawdę. Oraz czy Herlander nie buja, gdy i z nim porozmawia.

- A jeśli jest w Manticore ktoś zdolny przekonać królową, to właśnie Harrington -dokończył Zilwicki, kiwając energicznie głową.

- Właśnie. Tak więc pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli zostawimy na stacji zapisy naszych rozmów z Herlanderem, by następny kurier z Beowulfa zabrał je na Torch, ot, tak, na wszelki wypadek, sami zaś przejmemy jednostkę Sharon i polecimy prosto do Haven. Nie sądzisz, że już sama informacja o istnieniu Równania może mieć niejaki wpływ na przebieg negocjacji? - spytał Cachat z szerokim uśmiechem.

Rozdział V

Innokentij Kołokolcow wstał, widząc, że Astrid Wang wprowadza gościa do jego gabinetu. Tym razem zrobiła to w chłodny, profesjonalny sposób, jak przystało na sekretarkę urzędnika tak wysokiego szczebla.

Inna sprawa, że zawsze miała dobre wyczucie sytuacji. Nie żeby pokaz manier mógł zmienić coś w tym przypadku. Kołokolcow nie łudził się, że ci z Manticore ulegną czyjejkolwiek sugestii i zmienią zdanie, uznając nagle supremację Ligi Solarnej. Wbrew temu, co wielu sądziło, nie byli barbarzyńcami i jasno oraz boleśnie, dali do zrozumienia, co o tym myślą.

- Panie ambasadorze - powiedział Innokentij, skłaniając lekko głowę. To było lepsze wyjście niż podawanie ręki poprzez biurko.

- Panie podsekretarzu - odezwał się sir Lyman Carmichael z wyraźnym akcentem z Manticore i odwzajemnił ukłon. Zrobił to jeszcze bardziej oszczędnie.

- Coś do picia, panie ambasadorze?

- Nie, dziękuję.

Kołokolcow wyczuł chłód w tej odpowiedzi, ale też niczego innego nie oczekiwał. Lyman Carmichael był zawodowym dyplomata, ale chyba minął się nieco z powołaniem. Podchodził do wszystkiego zbyt emocjonalnie, chociaż jako profesjonalista powinien zachować neutralność w każdej sprawie. Oczywiście, że miał prawo do swoich przekonań, nawet prawo do gniewu, ale w grze o najwyższe stawki osobiste zaangażowanie mogło tylko przeszkadzać. Jeśli ktoś nie potrafił wówczas zachować chłodnej głowy i jasnego umysłu, stwarzał

tym samym poważne zagrożenie, przede wszystkim dla siebie i tych, których reprezentował.

- Jak pan sobie życzy.

Kołokolcow ponownie skinął głową, tym razem wskazując na fotel po drugiej stronie biurka. Carmichael zacisnął wargi. W gabinecie znajdował się przytulny kącik do rozmów w wąskim gronie, urządzone zaraz przy oknie z widokiem na wieżowce i kaniony ulic Old Chicago. Kołokolcow zapraszał tam gości, którzy byli gotowi chociaż udawać serdecznych przyjaciół Ligi Solarnej. Jego gest podkreślał, że obecnie Gwiazdne Imperium Manticore nie zalicza się do tego grona. Usiadł za biurkiem i splótł dłonie na blacie antycznego mebla.

- Czym mogę panu służyć, panie ambasadorze? - spytał uprzejmym tonem, który dla obu był tylko częścią gry pozorów.

- Otrzymałem od mojego rządu zadanie doręczenia noty adresowanej do ministra spraw zagranicznych Roelasa y Valiente.

Carmichael uśmiechnął się lekko i Kołokolcow odpowiedział tym samym. Obaj wiedzieli, że niezależnie od oficjalnego tytułu Roelas y Valiente był tylko figurantem i ambasador nie zamierzał się z nim w ogóle spotykać. Wolał od razu doręczyć notę temu, kto i tak ostatecznie by się nią zajął.

- Czy mogę spytać, czego dotyczy ta nota? - zagadnął z kamienną twarzą Kołokolcow.

- Może pan - odparł Carmichael.

Nie powiedział jednak niczego więcej i Kołokolcow bezwiednie zacisnął szczęki. Ambasador nadal siedział w milczeniu i tylko lekko się uśmiechał.

- Czego więc dotyczy? - spytał po dłuższej chwili, starając się panować nad głosem.

- Jak pan wie, panie podsekretarzu, mój rząd jest głęboko zaniepokojony serią... incydentów, które zdarzyły się przy paru niedawnych spotkaniach sił zbrojnych Ligi Solarnej i Gwiezdnego Imperium. Zdajemy sobie sprawę z występujących pomiędzy Landing a Chicago rozbieżności w ocenie tego, jak do owych incydentów doszło. - Spojrzał chłodno na gospodarza. - Niezależnie jednak od tego, kto ponosi za nie odpowiedzialność, mój rząd pragnąłby uniknąć podobnych zdarzeń w przyszłości.

- Jestem pewien, że minister spraw zagranicznych Roelas y Valiente uzna to za dobrą nowinę - powiedział Kołokolcow, gdy gość zamilkł na chwilę.

- Mam nadzieję, że tak będzie - podjął Carmichael. - Niemniej, o czym pan być może jeszcze nie wie, z myślą o osiągnięciu tego celu Gwiezdne Imperium wydało polecenie, by wszystkie jednostki handlowe zarejestrowane na Manticore opuściły teren Ligi Solarnej.

Kołokolcow zeszytywniał. Dopiero co zaczął otrzymywać raporty o coraz powszechniejszym wycofywaniu się statków handlowych Imperium z normalnej żeglugi. Nie było to jeszcze zjawisko na tyle częste, by sugerowało jakąś prawidłowość, ale coraz więcej ich odwoływało bez wyjaśnienia zawarte wcześniej umowy czarterowe i przewozowe. Dotąd nie sądził, by chodziło o jakąś większą akcję, bo taka by się kapitanom i armatorom po prostu nie opłacała, zważywszy na wysokość kar umownych. Jeśli jednak Gwiezdne Imperium wydało oficjalne polecenie w tej sprawie...

- W pewnej mierze jest to wynik naszego dążenia, by nie doszło do żadnych... niefortunnych incydentów, tym razem z udziałem jednostek handlowych. Oczywiście nie sugeruję, że jakikolwiek kapitan okrętu wojennego Ligi Solarnej byłby skłonny lekkomyślnie ostrzelać

nieuzbrojoną jednostkę cywilną, ale nie oczekiwaliśmy też, że grupa krążowników liniowych może zaatakować garstkę niszczycieli na orbicie parkingowej. - Uśmiechnął się ponownie, chociaż tym razem lodowato. - Jak widać, wypadki jednak się zdarzają. Mój rząd postanowił zatem zmniejszyć ryzyko ich wystąpienia. Jest jednak jeszcze i drugi powód tej decyzji.

- A jaki to, panie ambasadorze? - spytał spokojnie Kołokolcow, dając w ten sposób do zrozumienia, jak mało obchodzą go kombinacje Manticore.

- Powiedziałbym, że jest to także próba uświadomienia Lidze Solarnej powagi sytuacji, panie podsekretarzu. Jak dotąd nie udawało nam się to, pomimo licznych wysiłków, postanowiliśmy sięgnąć więc po bardziej wyraziste środki.

- Sugeruje pan, że odwołanie waszej floty handlowej powinno zostać odebrane jako akt wrogości wymierzony w Ligę Solarną? - spytał Kołokolcow tonem lekkiej groźby.

- Nie wiem, w jaki sposób podobny ruch mógłby zostać uznany za wrogie zachowanie, panie podsekretarzu - odparł Carmichael i wzruszył ramionami. - Z drugiej strony, przypuszczam, że nie pozostanie on bez wpływu na międzygwiazdną wymianę handlową różnych podmiotów gospodarczych Ligi Solarnej.

Kołokolcow zastygł w bezruchu i spojrzał uważnie na swego rozmówcę. Nie był ekonomistą i nie znał się na handlu międzygwiazdnym, ale jak wszyscy kojarzył, że ten akurat sektor gospodarki jest zdominowany przez armatorów z Manticore. Między innymi dlatego tak wielu ludzi tutaj nie darzyło sympatią Gwiazdnego Imperium. A do tego dochodziła jeszcze kwestia kontroli sprawowanej nad wormhole junction i wynikająca stąd bezczelność małego

państwka, które śmiało uprawiać własną politykę zagraniczną, niezależną od polityki Ligi Solarnej! Jednak nigdy wcześniej nie groziło, że wycofa całą swoją flotę handlową z terenu Ligi.

- Nie jestem ekspertem w kwestii międzygwiazdowego handlu, panie ambasadorze - powiedział gospodarz po paru chwilach. - Przypuszczam jednak, że takie właśnie postępowanie Gwiazdowego Imperium pociągnie za sobą szereg komplikacji związanych z zerwaniem czy naruszeniem różnych umów i kontraktów.

- Niestety, zgadza się, panie podsekretarzu. Przykro nam z tego powodu, ale szczęśliwym zrzędzeniem losu umowy większości armatorów przewidują podobną ewentualność. W pozostałych przypadkach poszkodowani będą mogli dochodzić odszkodowań przed sądem. Trudno w tej chwili orzec, z jakim skutkiem - dodał Carmichael z ledwo zauważalnym uśmiechem. - Chociaż przypuszczam, że sentencja wyroku będzie zależeć przede wszystkim od miejsca złożenia skargi, nie sądzi pan?

- Igracie z życiem i bezpieczeństwem milionów obywateli Ligi Solarnej, panie ambasadorze - powiedział Kołokolcow trochę ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

- Zapewne można to tak ująć. Ale zważywszy na złe i stale pogarszające się stosunki pomiędzy naszymi państwami, mój rząd sądzi, że wycofanie naszych jednostek na obszar Manticore, czy w każdym razie poza przestrzeń Ligi Solarnej, będzie najwłaściwszym sposobem zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim zainteresowanym. Przynajmniej do czasu, gdy Gwiazdne Imperium i Liga Solarna zdołają rozwiązać obecny kryzys w sposób, który satysfakcjonowałby obie strony. Wówczas pozwolimy oczywiście na wznowienie normalnych przewozów, tak pasażerskich, jak i towarowych.

Tym razem uśmiech Carmichaela był tak lodowaty, że mimo lat praktyki Kołokolcow poczerwieniał na twarzy ze złości.

- Niektórzy mogą uznać to za pierwszy akt wojny ekonomicznej z Ligą - powiedział, starannie dobierając słowa.

- Zapewne tak - odparł gość i przeszył gospodarza spojrzeniem. - Inni zaś mogą uważać, że to, co zdarzyło się w New Tuscany i Spindle, było jawnym wypowiedzeniem wojny Gwiezdnemu Imperium. Przypuszczam, że nadszedł czas, by oba nasze państwa dały reszcie galaktyki wyraźny znak, że zamierzają znaleźć pokojowe rozwiązanie obecnych problemów, unikając dalszej eskalacji napięcia. Jestem pewien, że minister Roelas y Valiente przekazał panu nasze wcześniejsze noty i naświetlił stanowisko naszego rządu.

Kołokolcow wiele by dał w tamtej chwili, by móc udusić jegomościa siedzącego po drugiej stronie biurka.

- Jestem pewien, że wszystkie sporne kwestie zostaną niebawem z powodzeniem przedyskutowane, panie ambasadorze - powiedział, nie wychodząc z roli.

- Niewątpliwie, panie stały podsekretarzu, niewątpliwie - odparł Carmichael z uśmiechem.

- Jeszcze dzisiaj po południu przekażę pańską notę do ministerstwa, panie ambasadorze - obiecał gospodarz. - Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy porozmawiać?

- Jeden drobiazg, jeśli mam być szczery, panie stały podsekretarzu. - Ambasador znowu uśmiechnął się z wdziękiem rekina i Kołokolcow na serio się zaniepokoił.

- A jaki to drobiazg?

- Cóż, uznając odwołanie naszych jednostek handlowych z przestrzeni Ligi za najważniejszy środek bezpieczeństwa mający

zapobiec dalszym incydentom między nimi a siłami zbrojnymi Ligi Solarnej, nie postąpilibyśmy właściwie, zaniedbując jednocześnie kwestię tak istotną jak bezpieczeństwo żeglugi handlowej Ligi Solarnej.

- Naszej żeglugi handlowej? - powtórzył Kołokolcow, nie pojmując, o co chodzi.

Carmichael pokiwał głową.

- Tak. Niefortunnym zbiegiem okoliczności opinia publiczna w Gwiezdnym Imperium jest dość wyczulona na wszystko, co dotyczy Ligi Solarnej. Jestem pewien, że czytał pan raporty waszych ambasadorów i attache na temat demonstracji mających miejsce w różnych światach Gwiezdnego Imperium. Obawiam się, że dochodziło w ich trakcie nawet do aktów wandalizmu. Przykro mi z tego powodu, ale rozumiem poniekąd motywację manifestantów.

Jego głos mógłby zmienić dorzecze Amazonki w teren podobny Saharze. Jego własna ambasada od paru tygodni przeżywała regularne oblężenie, zorganizowane „spontanicznie” przez obywateli Ligi Solarnej oburzonych „bezprzykładną arogancją” Manticore i żądających postawienia Josefa Bynga i Sandry Crandall przed sądem. Niektóre z tych demonstracji miały przebieg o wiele gwałtowniejszy, niż zaplanowali to sobie ich organizatorzy z Ministerstwa Edukacji i Informacji.

- Tak czy siak, jak przekazały mi niedawno władze Old Chicago, nie zawsze można zakazać ludziom wyrażania złości i oburzenia, nawet jeśli czasem robią to w niewłaściwy i trudny do przyjęcia sposób. Niestety, w Gwiezdnym Imperium jest tak samo, mojemu rządowi zaś bardzo zależy, by do czasu rozwiązania kryzysu nie doszło nigdzie do żadnych przykrych incydentów. W sytuacji, gdy według naszych danych nie mamy powodu sądzić, iż to Royal Manticoran Navy sprowokowała

którykolwiek z dotychczasowych... incydentów, i zarazem wiemy, iż wielu obywateli Ligi Solarnej, włączając w to członków jej rządu, nie podziela tego stanowiska, a niejednokrotnie utrzymuje wręcz, iż to RMN była agresorem... Cóż, nasze śledztwo tego nie potwierdza i chociaż oczywiście nie możemy całkowicie i z góry wykluczyć podobnej ewentualności, mój rząd uznał, że najlepiej będzie zadbać o skuteczne odseparowanie naszych okrętów wojennych od jednostek waszej floty. Zarówno gdy chodzi o okręty wojenne, jak i statki handlowe.

- Zamierzacie wycofać wszystkie jednostki RMN do swojej przestrzeni? - spytał Kołokolcow, powoli wypowiadając słowa.

- Nie, obawiam się, że to nie byłoby w pełni wykonalne, panie stały podsekretarzu. Royal Navy odgrywa zbyt ważną rolę, byśmy mogli to uczynić. Niestety, oznacza to, że jedyną alternatywą pozostaje zamknięcie wszystkich terminali nadprzestrzennych dla solarnego ruchu. Ze skutkiem natychmiastowym. Nadal będziemy oczywiście przepuszczać jednostki kurierskie i te należące do serwisów informacyjnych, jednak wszystkie statki handlowe i pasażerskie zarejestrowane w Lidze Solarnej zostaną pozbawione możliwości korzystania z tych przejść do czasu rozwiązania obecnego kryzysu.

- Co? - wypalił Kołokolcow, zanim udało mu się opamiętać. Po raz pierwszy od dziesięcioleci zdarzyło mu się stracić zawodowy spokój. - Nie mówi pan poważnie! - dodał, patrząc z niedowierzaniem na gościa i odzyskując powoli panowanie nad sobą. - To bezprawie. Może zostać odczytane jako wypowiedzenie wojny!

- Wręcz przeciwnie, to działanie podjęte zgodnie z prawem, panie stały podsekretarzu - odparł chłodnym tonem Carmichael.

- Konwencja z Shingaine gwarantuje wolny i powszechny dostęp do wszystkich terminali - odciął się Kołokolcow.

- Naprawdę? - Carmichael uniósł brwi, po czym wzruszył ramionami. - Wierzę panu na słowo, panie podsekretarzu. Tak się jednak składa, że Gwiazdne Imperium Manticore nigdy nie ratyfikowało konwencji z Shingaine. - Uśmiechnął się ujmująco. - Poza tym mam wrażenie, że ten akurat punkt konwencji był już kilka razy naruszany.

Kołokolcow zacisnął zęby. Konwencja z Shingaine była pomysłem Ligi Solarnej i została ogłoszona siedemdziesiąt lat wcześniej jako narzędzie nacisku na Gwiazdne Imperium Manticore, które szykowało się już z wolna do długotrwałej wojny z Ludową Republiką Haven. Jasno dawało do zrozumienia, że zamierza w razie potrzeby zaostrzyć kontrolę dostępu do swojego wormhole junction w sposób utrudniający życie Lidze Solarnej, gdyby jej polityka zagraniczna była Imperium nie w smak. Liga nie przywykła do tańczenia w rytm cudzych melodii, zwykła raczej przygrywać innym, zorganizowała zatem spotkanie „zaprzyjaźnionych” państw, które odbyło się w układzie Shingaine, a zakończyło podpisaniem wspomnianej konwencji. Zaraz potem Liga Solarna zaczęła kampanię na temat „wolnych szlaków”, podpierając się przy tym nowym dokumentem i sugerując, że w razie czego da jej on podstawę do wyegzekwowania siłą swobody korzystania z terminali.

Niemniej, jak zaznaczył Carmichael, Gwiazdne Imperium nigdy konwencji nie ratyfikowało, zatem nie było związane jej postanowieniami. Nie przychyliło się też nigdy do opinii Ligi na temat „udroźniania” terminali poprzez politykę kanonierek. W ten sposób Liga Solarna stała na dość grząskim gruncie, zwłaszcza że przez ostatnie pół wieku Biuro Bezpieczeństwa Granicznego przynajmniej kilka razy odcinało różne układy Pogranicza od terminali, chcąc nakłonić je do zaakceptowania „ochrony” ze strony Ligi.

- Czy Gwiezdne Imperium czuje się związane postanowieniami konwencji z Shingaine, czy nie, takie jednostronne i wysoce nieprzyjazne działanie nie pozostanie bez odpowiedzi Ligi Solarnej - powiedział lodowatym tonem Kołokolcow. - Niezależnie od tego, w jak gładkich słowach rzecz przedstawię, będzie to akt wojny ekonomicznej i pański rząd świetnie zdaje sobie z tego sprawę, panie ambasadorze!

- Przypuszczam, że pański opis może być trafny - przyznał Carmichael. - Z drugiej strony jest to działanie znacznie mniej destrukcyjne niż salwa głowic laserowych, panie stały podsekretarzu. Mój rząd od samego początku próbuje rozwiązać obecny kryzys w naszych kontaktach bez dalszego rozlewu krwi. Pański rząd jak dotąd nie zdecydował się na żaden gest pozwalający nam na spotkanie się w pół drogi. Proszę mi więc pozwolić zauważyć, że jakkolwiek wasza gospodarka może na tym ucierpieć, będą to straty zdecydowanie mniejsze niż w przypadku otwartych akcji zbrojnych z udziałem Royal Manticoran Navy. Może mi pan nie wierzyć, ale mój rząd stara się zapobiec tej wojnie. Próbowaliśmy dyplomacji, słałiśmy noty, sugerowaliśmy wspólne śledztwo. Dostarczyliśmy wam pełne zapisy incydentów, które dotąd się zdarzyły. Nie otrzymaliśmy żadnego sygnału, by wszystkie te działania wpłynęły choć w najmniejszym stopniu na zmianę stanowiska Ligi Solarnej.

Spojrzał na Kołokolcowa oczami bardziej lodowatymi niż płynny hel.

- Gwiezdne Imperium Manticore nie może i nie zamierza decydować o polityce zagranicznej Ligi Solarnej, panie stały podsekretarzu. Jednak naszą politykę zagraniczną kształtujemy sami i skoro dotychczasowe argumenty okazały się nieskuteczne, poszukamy lepszych.

KWIECIEŃ 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Wszystkie nasze dotychczasowe doświadczenia w kontaktach z Manticore pozwalają nam wierzyć, że w razie zagrożenia dla ich państwa, a zwłaszcza dla ich macierzystych planet, gotowi będą podjąć wszelkie dostępne środki, by zagrożenie to zażegnać”.

Wicedyrektor obrony, członek Rady Dyrektorów Beowulfa Justyna
Miternowska-Zhyang

Rozdział VI

- Stały podsekretarz spraw zagranicznych Kołokolcow zjawił się na spotkanie umówione na piętnastą, panie prezydencie.

- Wspaniale, świetnie - powiedział prezydent Yeou Kun Chol, nominalnie najważniejszy człowiek w Lidze Solarnej, uśmiechając się do Innokientija Arsenowicza Kołokolcowa, który był dla odmiany, i to w rzeczywistości, a nie w teorii, najpotężniejszą osobą w tej części galaktyki.

Gdy Kołokolcow wszedł za Shanią Lewis do olbrzymiego gabinetu z biurkiem większym niż łóżko w niejednym mieszkaniu, prezydent obszedł mebel, by uścisnąć dłoń gościa.

- Dziękuję ci, Shaniu - powiedział do swojej sekretarki. - Raczej nie będziesz teraz potrzebna... Chyba że ty czegoś sobie życzysz, Innokientij?

- Nie, dziękuję, panie prezydencie. Nie trzeba.

- Dobrze! - Prezydent znowu się rozpromienił i skinął na Lewis, która uśmiechnęła się uprzejmie, ukłoniła lekko Kołokolcowowi i zniknęła z gabinetu. - Siadaj, proszę - powiedział gospodarz, gdy zamknęły się intarsjowane drzwi.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Kołokolcow zajął miejsce na wygodnym, inteligentnym fotelu przed biurkiem i czekał, aż prezydent znowu obejdzie mebel, by zasiąść po drugiej stronie. Z pozoru czekał cierpliwy, w duchu jednak krzywił się niemiłosiernie, prywatnie miał bowiem Kun Chola za idiotę, który znalazł się na tym wybitnie prestiżowym (i fasadowym) stanowisku

wyłącznie dzięki temu, że umiał uśmiechać się do kamery, ci zaś, którzy naprawdę rządzą Ligą Solarną, uważali go za nieszkodliwego. Były oczywiście jeszcze inne czynniki. Jakkolwiek Kun Chol pozostawał wyłącznie figurantem, pochodził z nieprzystojnie bogatej rodziny, która miała swoje nieoficjalne układy i była szczęśliwa, że zajęty dumnym wypinaniem piersi Yeou przestał wtrącać się w sprawy naprawdę ważne, jak na przykład interesy rodzinne. Przy okazji udało się też spłacić kilka starych długów wdzięczności. Co do samego Yeou, trzeba mu oddać, że zasadniczo zdawał sobie sprawę z własnej sytuacji i nie kombinował specjalnie, jak by tu wyjść poza rolę symbolu władzy specjalizującego się w przecinaniu wstęg i wygłaszaniu przemówień.

Z wyżej wspomnianych powodów nie zdarzało się, by prezydent zapraszał do siebie jakiegokolwiek podsekretarza na audiencję. To oni mówili mu, gdzie i kiedy ma się stawić w celu odpracowania takiego czy innego punktu programu. Podczas oficjalnych spotkań zaś zasiadał wśród swoich „podwładnych”, a nie po drugiej stronie urzędowego biurka, dlatego Kołokolcow poczuł się zdumiony tak oficjalnym zachowaniem, które mogło sugerować chęć wytworzenia jakiejś zależności służbowej. A może nawet gorzej. Z drugiej strony, dlaczego Yeou miałby zachowywać się nagle aż tak bezsensownie?

- Dziękuję za szybkie przybycie, Innokientij - powiedział po chwili prezydent.

- Oczywiście sprawa, panie prezydencie - odparł gość z uśmiechem. Nieuprzejmość byłaby nie na miejscu, przynajmniej dopóki Yeou nie próbował wtrącać się w sprawy, które nie powinny go obchodzić. - Jestem do pańskiej dyspozycji, a pana sekretarka dała mi do zrozumienia, że chodzi o jakąś bardzo pilną sprawę.

- W rzeczy samej, to coś pilnego, Innokentij. - Prezydent odchylił się wraz z fotelem do tyłu i spojrzał na stałego podsekretarza spod zmarszczonych brwi. - Chciałem porozmawiać o obecnych problemach z Manticore. Oraz o tym, jak ocenia pan tę sytuację.

- Problemach, panie prezydencie? - spytał gość z autentycznym zdumieniem. - A dokładnie?

Kołokolcow wiedział, że większość głów państw w znanym wszechświecie zwykła orientować się w kwestii relacji z innymi państwami, zwłaszcza tymi, z którymi było się na niemal wojennej stopie. Yeou otrzymywał oczywiście oficjalne raporty na temat sytuacji międzynarodowej, ale nikomu nie przyszło nawet do głowy, by zawierać w nich cokolwiek autentycznie ważnego, zwłaszcza że nawet w świetle lekceważonej od dawna konstytucji prezydent nie miał realnego wpływu na politykę państwa. Zresztą gdyby nawet ktokolwiek przejmował się konstytucją, najważniejszą osobą w rządzie i tak powinna być premier Shona Gyulay i to ona otrzymywałaby pełne raporty, nie Yeou.

- Czytam oczywiście dostarczane mi materiały i doceniam wysiłki, twoje i twoich kolegów, jak i admirała Rajampeta, by wyjaśnić tę fatalnie zagmatwaną sytuację, która doprowadziła do obecnego impasu... Jednak nie mogę myśleć spokojnie o ludziach, którzy stracili życie w dotychczasowych incydentach, a ponadto bardzo niepokoi mnie decyzja Manticore o odwołaniu wszystkich jednostek handlowych. - Pokręcił głową i spojrzał poważnie na rozmówcę. - Wszyscy na tym tracą, Innokentij, ale dla naszej gospodarki może to mieć porażające wręcz konsekwencje. Dlatego chciałbym, byś przedstawił mi dokładnie, co właściwie się dzieje.

*

- Tak właśnie powiedział? - spytała ze skrajnym zdumieniem Agata Wodosławska. Widząc, że Kołokolcow kiwa głową, zmrużyła oczy, zastanawiając się. Holoprojekcja atrakcyjnej, rudowłosej stałej podsekretarz skarbu widniała Po drugiej stronie biurka; sama Wodosławska znajdowała się oczywiście w swoim gabinecie i tam kręciła głową jak ktoś porażony absurdalnością sytuacji.

- Obudził się, robaczek - rzucił sarkastycznie Malachai Abruzzi, ciemnowłosa i niski podsekretarz edukacji i informacji, mężczyzna o lekkiej nadwadze i potężnych dłoniach, którymi właśnie energicznie wymachiwał. - Odkrył nagle, że mamy problemy z Manticore. Jego intelekt mnie poraża.

- Intelktem bym tego nie nazwała - powiedziała stały podsekretarz handlu Omosupe Quartermain. - W ciemności nawet drobne światełko zwraca uwagę, a trzeba przyznać, że nasz kochany prezydent siedzi w bardzo mrocznej szafie - dodała, a Kołokolcow uśmiechnął się lekko.

Wraz z tą trójką, czyli Quartermain, Wodosławską i Abruzzim, tworzył większość grupy nazwanej przez Audrey O'Hanrahan „pięcioma mandarynami”. O'Hanrahan, wiodąca gwiazda medialna, robiąca co w jej mocy, by utrudniać życie innym, musiała wprawdzie wytłumaczyć najpierw swoim czytelnikom pochodzenie tego określenia, ale gdy już to zrobiła, szybko się przyjęło. Podwładni Abruzziego starali się temu przeciwdziałać, ale niewiele udało im się wskórać. Z czasem nawet niektórzy członkowie Zgromadzenia zaczęli używać tej nazwy podczas przemówień i konferencji prasowych.

Na starej i cynicznej Ziemi nie mogło to przynieść większych szkód, gdyż tutaj wszyscy dobrze znali zasady gry i nie oczekiwali, że cokolwiek się w niej zmieni. Poza tym wszyscy politycy i biurokraci

zawsze myśleli tak samo i woleli znanych „mandarynów” od ryzyka zmian, które mogłyby zburzyć trwający od siedmiuset lat porządek.

Były jednak jeszcze inne planety w innych układach gwiazdnych, gdzie cynizm nie zapuścił równie głębokich korzeni. Tam wierzono czasem, że wybrani do Zgromadzenia delegaci naprawdę zajmują się rządzeniem Ligą. Trafne skądinąd określenie O’Hanrahan mogło zostać tam odebrane całkiem inaczej, przysparzając być może nawet niejakich kłopotów.

- Możesz mieć rację, Omosupe - powiedziała Wodosławska. - Ale dlaczego odnoszę wrażenie, że nawet ten błysk w ciemności dostrzegł nie całkiem samodzielnie?

- Bo w odróżnieniu od niego zdarza ci się myśleć, i to nawet codziennie - odezwał się Kołokolcow. - Ja na przykład nie od razu zrozumiałem, że to rodzina go nakręciła.

- Aha - mruknęła Wodosławska. - Chyba jesteśmy w domu.

- No właśnie. - Kołokolcow pokiwał głową. - Yeou Transstellar zainwestowało spore pieniądze w naszego prezydenta. - I w nas też, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. - Sądzę, że Kun Sang chciał nam o tym przypomnieć.

Quartermain i Abruzzi skrzywili się nieprzyjemnie, pojmując, w czym rzecz. Yeou Kun Sang był młodszym bratem urzędującego prezydenta i bawił akurat na Ziemi z „wizytą rodzinną”. Dziwnym trafem zjawił się, ledwo pierwsze informacje o New Tuscany dotarły na jego planetę. Poza tym był też prezesem Yeou Transstellar Shipping, jednego z największych armatorów Ligi Solarnej, chociaż podobnie jak inni posiadał tylko garstkę frachtowców. Jego działalność opierała się na czarterowaniu mocy przewozowych od tych, którzy dysponowali statkami, co oznaczało konieczność ścisłej współpracy z Manticore. Tak

samo postępowały wszystkie wielkie dynastie kupieckie tego kawałka galaktyki, osobiste animozje czy sympatie odsuwając na drugi plan.

- Dziwię się, że Kun Sang nie zjawił się od razu u ciebie, Omosupe - powiedział po chwili Abruzzi.

- Też byłam z początku zdumiona, ale po prawdzie Kun Sang rzadko załatwiał cokolwiek osobiście u mnie czy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych - odparła Quartermain. - Ostatecznie reprezentuje naprawdę stare pieniądze. Jego rodzina trzęsie Sebastopolem od blisko tysiąca lat i robi tam za arystokrację, która nie myśli o czymś tak przyziemnym jak dochody firmy.

- Jasne, ani trochę nie myśli - rzucił ironicznie Abruzzi.

- Z drugiej strony wszyscy wiedzą, że to tylko poza - dodała Quartermain. - Poza tym Kun Sang zaczynał na stanowisku zwykłego zarządcy placówki planetarnej i sam doszedł na szczyt. I trzyma się tam, chociaż pewnie tradycja rodzinna zobowiązuje go, by pewne rzeczy załatwiał rękoma konkretnych ludzi. Wygodne, zwłaszcza gdy trzeba sięgnąć w okolice polityki, od której stara arystokracja tradycyjnie się odżegnuje.

- Tak to wygląda - zgodził się Kołokolcow. - I do tego chyba rzecz się sprowadza, jeśli dobrze wszystko odczytuję. Chociaż oficjalnie jest poza sprawą, dał nam do zrozumienia, że jest nią zaniepokojony na tyle, by przejść do konkretnych działań.

- Co w tym przypadku oznacza naprawdę spory niepokój - zauważyła przytomnie Quartermain.

- Tak to wygląda - powtórzył Kołokolcow. - Jestem pewien, że prezydent wygłaszał przygotowany wcześniej tekst i chciał się dowiedzieć przede wszystkim, na ile sytuacja może się jeszcze pogorszyć i jak długo to wszystko potrwa.

- Sami chcielibyśmy to wiedzieć... - zaczął Abruzzi, ale zaraz przerwał i pokręcił tylko głową.

- Ciekawe, że ani Rajampet, ani Nathan nie biorą udziału w naszym miłym tete-a-tete - zauważyła Quartermain.

- Ciekawe, prawda? - powiedział z uśmiechem Kołokolcow.

Nathan MacArtney był stałym podsekretarzem spraw wewnętrznych i piątym „mandarynem” zarazem, a admirał floty Rajampet Kaushal Rajani szefem operacji kosmicznych Marynarki Wojennej Ligi Solarnej.

- Czy jest po temu jakiś konkretny powód? - spytała Wodosławska.

- Nathan jest akurat w podróży - odparł Kołokolcow. - W drodze do Elysium, chyba w sprawach rodzinnych, a ja nie wiem, czy jego sprzęt łączności jest wystarczająco bezpieczny. Poza tym minął już orbitę Marsa i opóźnienie wyniosłoby prawie półtorej minuty. -Gospodarz wzruszył ramionami. - Oczywiście zadbam, by otrzymał kompletny zapis naszego spotkania.

- Oczywiście - przytaknęła Quartermain. - A Rajampet?

- Wszyscy chyba wiemy, jak by się zachował - powiedział Kołokolcow i obecni skrzywili się z niesmakiem. - W tych okolicznościach pomyślałem, że najlepiej będzie przyjąć jego wcześniejsze tłumaczenia za dobrą monetę i zająć się najważniejszym.

Quartermain ponownie pokiwała głową, tym razem jakby z namysłem. Pani podsekretarz handlu była niezwykle piękną kobietą, z ciemnostalowymi włosami i błękitnymi oczami, które kontrastowały mocno z jej niemal czarną skórą. Nie miała wątpliwości, że Nathan MacArtney znajdował się dokładnie tam, gdzie Kołokolcow właśnie go ulokował, ale pamiętała też, że chociaż osobiście Nathan Rajaniego nie znosił, to w sprawach stanu zawsze i niezmiennie go wspierał. Trudno

zresztą, by postępował inaczej, skoro Biuro Bezpieczeństwa Granicznego podlegało właśnie Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Prywatne imperium Nathana mogło mocno ucierpieć przez pobłażanie próbom buntów w wykonaniu różnych „barbarzyńców”, a sam jego byt opierał się w znacznym stopniu na utrzymaniu mitu o „niezwyciężoności” Marynarki Wojennej Ligi Solarnej.

- Zatem po co dokładnie nas zaprosiłeś? - spytała Wodosławska.

- Zdaję sobie sprawę, że niewiele możemy zrobić wobec decyzji Manticore o ograniczeniu ruchu handlowego - powiedział rzeczowo Kołokolcow. - Niemniej jestem także pewien, że Yeou Kun Sang był pierwszym, który przybiegł w tej sprawie, ale na pewno nie będzie ostatnim. Z czasem pojawią się następni. Sądzę, że w tych okolicznościach powinniśmy się zastanowić nad oficjalną reakcją, bo prywatne już nie wystarczą. Trzeba uruchomić media, Malachai. I dlatego na początek byłbym wdzięczny, gdybyś wraz z Omosupe przedstawiła nam, jak głębokie jest to bagno.

- A co my niby robiłyśmy ostatnio? Zwłaszcza od spotkania z tym dupkiem Carmichaelem? - uniosła się Wodosławska i wzruszyła ramionami.

- Wiem, ostrzegaliście, że możemy napytać sobie biedy. - Przyznał Kołokolcow przeproszającym tonem. - Być może nie zwracałem należytej uwagi na wasze raporty. Wiedziałem, że nie będzie dobrze, ale nie starałem się ogarnąć skali zjawiska. Ostatecznie to nie moja działka. Domyślałem się, że to duża skala, jednak bardziej skupiałem uwagę na próbach przeciwdziałania. Ale teraz chciałbym ją poznać. Pomożecie? Nie zależy mi obecnie na pogłębionych analizach i szczegółowych szacunkach, ale na możliwie szerokim spojrzeniu. Czymś, co nawet

ekonomiczny ignorant zrozumie. I tak właśnie podchodząc do sprawy, chciałbym usłyszeć, z jak wielkimi trudnościami musimy się liczyć.

- To zależy, jak daleko posuną się ci z Manticore - prychnęła Wodosławska. - Możemy przedstawić całkiem dokładne prognozy dla sytuacji, w której odwołują wszystkie swoje jednostki handlowe. - Spojrzała znacząco na Quartermain i znów na gospodarza, który pokiwał głową. - Ale streszczając to na użytek laika, powiem, że będzie wyjątkowo paskudnie.

- Nie wiem, jak dokładnie to zinterpretować - powiedział Kołokolcow z krzywym uśmiechem.

- To znaczy, że Felicia Hadley ma rację - podpowiedziała Wodosławska i Kołokolcow syknął.

Felicia Hadley była szefem grupy delegatów z Beowulfa, który to świat wciąż traktował Zgromadzenie na tyle poważnie, by wysyłać doń ludzi zdolnych zawiązać buty bez pisemnej instrukcji z centrali. Hadley potrafiła nawet sporo więcej i od chwili nastania obecnego kryzysu głośno krytykowała politykę rządu. Złożyła nawet wniosek o powołanie komisji parlamentarnej mającej zbadać działania polityków w tej sprawie. Gdy przyszło do głosowania, okazało się jednak, że na sali brak kworum, a przewodnicząca obradom Jasmine Neng, która dla odmiany świetnie wiedziała, z której strony chlebek jest posmarowany, oddaliła wniosek z przyczyn proceduralnych i wyrzuciła z porządku dnia, zanim jeszcze sala się wypełniła, przez co mało kto miał okazję dowiedzieć się w ogóle o tej inicjatywie.

Równie fortunnym zbiegiem okoliczności nie było na sali dziennikarzy, którzy od dawna już wiedzieli, że Zgromadzenie nie ma żadnej realnej władzy i nie warto nawet zwracać uwagi na jego poczynania. Gdyby bowiem jakiś sprawozdawca wysłuchał płomiennej

przemowy Hadley, adresowanej do rządów pustych ław, i jeszcze zrobił z tego materiał, odbiorcy mogliby nawet uwierzyć w jej słowa i gotowi byłiby pewnie naciskać na polityków, oczekując odpowiedzi. Oczywiście nic by nie wskórali, bo system rządów Ligi Solarnej nie przewidywał nawet podobnego trybu wnoszenia interpelacji, ale większość prawowitych obywateli nie miała o tym najmniejszego pojęcia.

Hadley gotowa była ostrzegać wszystkich, którzy mieli czyste uszy, że Liga igra z ogniem. Dla wsparcia swoich argumentów przytoczyła różne liczby, w które Kołokolcow niezbyt się wsłuchiwał. I bez tego wiedział, że sytuacja jest parszywa, a detaliczne wyliczenia niewiele by mu powiedziały. Przyjął też do wiadomości ostrzeżenia Wodosławskiej i Quartermain, ale skupiał uwagę raczej na politycznych aspektach sytuacji. Ostatecznie, gdyby zdołał przekonać Imperium do rozsądnego postępowania, nie byłoby problemu. W tej sytuacji starczała mu świadomość, że jeśli nie nakłoni drugiej strony do zrozumienia twardych realiów, będzie źle. Detali znać nawet nie chciał, by go nie rozpraszały. Niemniej teraz...

- Jak bardzo ma rację? - spytał.

- Do ostatniego miejsca po przecinku - powiedziała Wodosławska. - Gdybyś czytał raporty dostarczane przez moich ludzi od paru miesięcy, sam byś o tym wiedział. Ponad dwie trzecie wszystkich naszych przewozów międzygwiazdnych opiera się w całości bądź częściowo na jednostkach Manticore. W przypadku frachtu jest to nawet trochę więcej, w przypadku pasażerów i wymiany informacji mniej. Prawie trzydzieści procent to transport w całości na pokładach ich jednostek, od portu wylotu do portu przeznaczenia. Kolejne dwadzieścia siedem procent to wymiana, w której Manticore obsługuje od trzydziestu do pięćdziesięciu procent całego dystansu. Przypadki, gdy jest to ćwierć

trasy, stanowią dziesięć do piętnastu procent - dodała z taką miną, jakby wyczuła pod biurkiem obecność rozkładających się od tygodnia zwłok. - Jak sam więc widzisz, już tylko wycofanie ich floty zredukuje naszą wymianę handlową o ponad połowę. Kołokolcow spojrzał na nią zdumiony, a Quartermain westchnęła cierpiętniczo.

- Powtarzałyśmy ci z Agatą, że Manticore ma środki, by naprawdę nam dopieć - powiedziała. - A dodam, że przytoczone właśnie przez nią liczby będą prawdziwe tylko w przypadku, gdy te przyjemniaczki jedynie zabiorą stąd swoje statki. Jeśli do tego zamkną terminale, sytuacja będzie jeszcze gorsza, bo dojdzie wydłużenie czasu przelotu tych jednostek, którymi będziemy dysponować. Jeśli rejs będzie musiał potrwać dwa razy dłużej, efektywność przewozów spadnie o połowę. Czyli robi się jeszcze groźniej, chociaż jak dokładnie, tego nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Sieć przewozowa to bardzo złożony system i nie sądzę, by dało się zebrać o niej komplet danych wystarczający do stworzenia sensownej prognozy opisującej wszystkie skutki zamknięcia kontrolowanych przez Manticore terminali. Ale będzie wyjątkowo źle. Oczywiście zakładając, że odetną nas tylko od swoich terminali.

Słyszając ostatnie zdanie, Kołokolcow mocno zacisnął wargi.

Pierwsze wzmianki o wycofywaniu jednostek Manticore pojawiły się w serwisach informacyjnych kilka tygodni temu. Wprawdzie Lyman Carmichael obwieścił oficjalnie tę decyzję dopiero niedawno, ale sama instrukcja musiała zostać wysłana o wiele wcześniej, zapewne gdy tylko Imperium dowiedziało się o bitwie o Spindle. Musiało potrwać chwilę, nim ludzie zaczęli dostrzegać, co się dzieje, bo nawet przy uprzywilejowanej pozycji Manticore nie mogli oni poinformować równocześnie wszystkich. Jednak gdy już coś zauważono, strumyk

zmienił się w rwącą rzekę. Już nie tylko O'Hanrahan o tym mówiła, ale praktycznie wszyscy, i Kołokolcow zastanawiał się nad reakcjami tej bandy, gdy się dowiedzą, że Gwiezdne Imperium oficjalnie uprzedziło Ligę Solarną o zamiarze zamknięcia wszystkich swoich terminali dla zarejestrowanych w Lidze jednostek.

Rajampet, gdy o tym usłyszał, machnął tylko ręką. Zgodnie z oczekiwaniami Kołokolcowa wyciągnął zaraz argument, że chociaż może to doprowadzić do pewnych uciążliwości, Manticore oberwie jeszcze mocniej, zważywszy na to jak bardzo jego budżet opiera się na dochodach z obsługi przewozów na terenie Ligi Solarnej. Poza tym uważał, że to tylko tymczasowe ograniczenie, bo SLN położy szybko kres tym wygłupom, przejmując po prostu kontrolę nad całym systemem wormholi.

Zabawne, jak ktoś odpowiedzialny za ochronę naszej żeglugi handlowej może być tak ślepy, pomyślał z goryczą Kołokolcow. Nie tylko nie rozumiał, jak bardzo jest źle, ale na dodatek ignorował fakt, że cała ta sytuacja była w znacznym stopniu skutkiem nieprzemyślanego stanowiska floty. Dla niego problemu nie było, skoro nikt nie atakował szlaków handlowych. Chociaż to, do czego doszło w pobliżu Zunkera, było w zasadzie całkiem poważnym incydentem.

Meldunki z Zunkera i układu Nolan nadeszły prawie równocześnie, ale że stało się to akurat w weekend, media niczego jeszcze nie wywęszyły. Oczywiście sprawa musiała niebawem trafić do serwisów i Kołokolcow zastanawiał się, który z tych przypadków bardziej wzburzy opinię publiczną. Terminal Zunker był oficjalnie terenem należącym do Manticore, zatem prawnie sprawa była czysta. Idaho też nie podpisało konwencji z Shingaine, mieli więc prawo wybierać, kogo przepuszczą przez terminal, mogli też poprosić RMN o pomoc w egzekwowaniu

postanowień. Niemniej to, że dowódca osłony ostrzelał eskadrę krążowników liniowych Ligi, wskazywało na gotowość do eskalacji. Taka „obraza” mogła wzbudzić wściekłość, zwłaszcza gdy propaganda Abruzziego przedstawi zdarzenie we właściwym świetle. Niestety, wielu zrozumie także, że nie doszłoby do niczego, gdyby nie głupota Floyda. Co więcej, niejeden pojmie również, że dowódca RMN rozmyślnie nie rozwalił wszystkich okrętów admirała Pyuna, chociaż spokojnie mógł to zrobić. A gdy jeszcze dotrze do nich, co to oznacza...

Gdy mowa o opinii publicznej, upowszechnienie wiedzy o wydarzeniach w układzie Nolan mogło przynieść jeszcze gorsze skutki. W odróżnieniu od Zunkera był to oficjalnie teren Ligi Solarnej. Gdy personel kontroli astro, w komplecie z Ligi, odmówił przepuszczenia frachtowców Manticore wracających do domu, dowódca RMN wysłał uzbrojony oddział, który zamknął całą ekipę w areszcie domowym i sam obsadził stanowiska. A potem jeszcze zagroził, że unicestwi wszystko, co Flota Graniczna wyśle tam ewentualnie w ramach interwencji! W tym przypadku można było (i należało) wspomnieć o konwencji i Kołokolcow widział już oczami duszy nagłówki krzyczące o „bezprzykładnym akcie agresji” ze strony Manticore.

- O jakim procencie dochodu Ligi mówimy, Omosupe? - spytał Abruzzi.

Kołokolcow drgnął zaskoczony. Z jakiegoś powodu nie pomyślał wcześniej, by samemu się tym zainteresować.

- Cholernie dużym - odparła opanowanym tonem Quartermain. - O blisko dwudziestu procentach. To część całkowicie zależna od sprawnego handlu międzygwiazdowego. Kolejne piętnaście procent ma z nim istotny związek.

- Poza tym - dodała Wodosławska - Rajampet zapomniał, że siedemdziesiąt procent wpływów do budżetu federalnego pochodzi z różnych opłat wnoszonych przez armatorów, kupców i firmy przewozowe. Albo ze źródeł powiązanych z tą branżą. Pozostałe trzydzieści to stałe kwoty spływające ze światów wchodzących w skład Protektoratu.

Jej słuchacze wiedzieli oczywiście, że mowa o środkach pozyskiwanych przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego ze wszystkich podległych mu terytoriów. Nie było to wiele w porównaniu z budżetem Ligi, ale chodziło o kwotę pozostającą w całości do dyspozycji administracji rządowej. To był zasadniczy - i właściwie jedyny - powód, dla którego dopuszczono do takiego rozrostu Biura Bezpieczeństwa Granicznego i starano się patrzeć przez palce na jego poczynania.

I dlatego też obsesyjnie wręcz pilnowano, by nic nie zagroziło panowaniu Ligi nad podległymi układami planetarnymi. I ta właśnie obsesja wpędziła Ligę w obecne kłopoty...

Nie do wiary, pomyślał Kołokolcow. Nie do wiary, że głupota dwóch tylko osób może spowodować tak monstrualną katastrofę!

Oczywiście przyszło mu też do głowy, że Josef Byng i Sandra Crandall nie narobiliły tyle zamieszania, gdyby nie „pomoc” ze strony jego samego i reszty mandarynów.

Cholera jasna! - zaklął w duchu. I ja też zaczynam używać tego słowa!

- Sugerujesz, że możemy stracić do trzydziestu procent dochodu narodowego? - spytał z niedowierzaniem Abruzzi.

- Już sporo z tego straciliśmy - odezwała się Quartermain. - I nie trzydziestu, a trzydziestu pięciu procent. Ile dokładnie, okaże się, gdy kurz opadnie. Ale nie ma co się łudzić, że to będzie wszystko.

Niebawem da o sobie znać efekt domina, który obejmie wszystkie chyba gałęzie naszej gospodarki. Jeżeli problemy z przewozami potrwać dłużej, odbiją się na innych dziedzinach, powodując dalszy spadek obrotów i dochodów. Poza tym, jak zaznaczyła właśnie Agata, nawet przy najbardziej optymistycznym scenariuszu budżet federacyjny dozna zapaści. Wprawdzie z początku większość rządów układowych nie odczuje poważnych problemów, ale jeśli sprawa potrwa dwa do trzech kwartałów, zacznie się to zmieniać.

- Cholera - mruknął Abruzzi.

- Ale jest też kilka jasnych punktów - powiedziała po chwili Quartermain. - Jak wskazywał wiele razy Rajampet, co w nas uderzy, ich zaboli jeszcze bardziej. Można powiedzieć, że na złość nam odmrażają sobie uszy, jak mawiała moja mama. Na dodatek skutki objawią się błyskawicznie. Jeśli zostawią nas tylko z naszymi zasobami przewozowymi i zamkną dla nas terminale, będzie to wielki prezent dla naszych stoczni. Ostatecznie pojawi się dość jednostek, by wypełnić powstałą próżnię, i po całym zamieszeniu Manticore będzie miało wielki problem z powrotem na ten rynek.

- Zakładając, że Gwiezdne Imperium Manticore nadal będzie istnieć - dopowiedziała Wodosławska.

- Oczywiście - zgodził się Kołokolcow, przyjrzał się współpracownikom i westchnął. -Jeśli pomysł Rajampeta z admirałem Filaretą wypali, wszystko to przestanie mieć znaczenie. Jeśli jednak się nie uda, to niebawem będzie jeszcze gorzej. Po prawdzie najbardziej martwi mnie w tej chwili scenariusz, w którym Filareta usłyszy, że ma się wypchać, a na dodatek się okaże, że Rajampet się myli i oni są w stanie poprzeć swoje żądanie konkretnymi argumentami. Wtedy

powrót do próby dyplomatycznego rozwiązania kryzysu może się okazać niemożliwy.

Wszyscy pokiwali ze zrozumieniem głowami, a Kołokolcow któryś raz złązał się w duchu za uległość wobec szefa działu operacyjnego floty, tego oportunisty. Powinien mieć więcej oleju w głowie! Z drugiej strony, wzięwszy pod uwagę to, co się stało nie tak dawno w układzie Manticore, pomysł był kuszący. Ich morale musiało przecież podupaść po takim uderzeniu, a jeśli jeszcze dotrze do nich, że Liga nie zamierza podkulić ogona... Coś takiego musi dać im poważnie do myślenia. Przecież nie może być inaczej.

I może tak się stanie. Decydując się na te wszystkie sankcje ekonomiczne, nie mogli przecież wiedzieć, że Filareta jest na tyle blisko ich układu, by zaatakować już teraz, nie za wiele miesięcy. Gdy dostrzegą go na własnym podwórku, wiele może się zmienić.

Ale była też inna ewentualność...

- A jeśli oni nie zachowają się zgodnie z naszymi przewidywaniami?
- spytał Abruzzi, wypowiadając głośno myśli gospodarza. - Czy przy jednoczesnej zapaści finansowej będziemy mieli szansę na powrót do obecnego status quo?

- Nie wiem - odparł szczerze podsekretarz stanu i Abruzzi skrzywił się kwaśno.

Kołokolcow wcale mu się nie dziwił. On sam też nie był pewien, czy proponowana przez niego strategia negocjacyjnego zyskiwania na czasie mogłaby zadziałać. Potrzebowali czasu, by flota Ligi mogła wprowadzić do użytku systemy uzbrojenia zdolne zrównoważyć przewagę techniczną Manticore, ale cierpliwość nigdy nie była zaletą Ligi Solarnej, zwłaszcza w kontaktach z „neobarbarzyńcami”. Między innymi dlatego zgodził się wesprzeć pomysł Rajampeta, chociaż groziło

to potencjalnie zawężeniem opcji przyszłego działania. Niemniej aż do tej chwili nie pojmował, jak wiele mogą stracić w przypadku niepowodzenia misji Filarety.

Jeśli Manticore go pokona i rzeczywiście wprowadzi wszystkie zapowiadane sankcje, trudno będzie przekonać opinię publiczną, że powrót na drogę działań dyplomatycznych ma jakikolwiek sens. Większość uzna taki krok za oznakę słabości albo wręcz porażkę. Dla ekipy rządzącej byłby to pocałunek śmierci. Jeśli ludzie rządzący Ligą zdradzą się z jakąkolwiek nieefektywnością swoich poczynań, elektorat może dać posłuch buntownikom w rodzaju Hadley i zacząć domagać się zmian. W tym przypadku nie tylko kariery „mandarynów” byłyby zagrożone, ale także polityczny, a nawet konstytucyjny ład Ligi Solarnej.

- Nie wiem - powtórzył Kołokolcow. - Wiem za to, że jeśli genialny w swej prostocie pomysł Rajampeta zakończy się klęską, a dokładniej kolejną klęską, sytuacja na pewno się nie poprawi. Możemy nawet zostać wtedy zmuszeni do przedsięwzięcia tego, co Rajani proponował w pierwszym rządzie!

- Ejże! - rzuciła Wodosławska i spojrzała ze zdumieniem na gospodarza. - Myślałam, że w tej kwestii osiągnęliśmy jednomyślność. Posyłanie floty w charakterze ćwiczebnych celów dla RMN to bezsensowna propozycja.

- Dalej tak uważam. Z drugiej strony niedawny atak mocno uszczuplił potencjał produkcyjny Manticore. Rajani ma zapewne rację, mówiąc, że brak im wystarczającego zapasu nowoczesnych pocisków. Nawet jeśli myli się we wszystkich innych sprawach. Jest zatem olbrzymia szansa, że będą musieli ograniczyć się do działań defensywnych i nie zdołają nas zaatakować, dopóki nie odbudują stacji

orbitalnych i tak dalej. I to akurat przyjdzie im robić w czasie silnego spadku dochodów pochodzących z handlu międzygwiazdowego.

- A co dokładnie nam to daje? - spytał Abruzzi.

- A to, że nie będą w stanie oderwać nam głowy razem z płuckami - wyjaśnił Kołokolcow. - Przynajmniej nie w tej chwili. Zdobędziemy dzięki temu czas na zniwelowanie ich przewagi technicznej. A może nawet nie tylko, bo nie jest przecież wcale pewne, czy ich gospodarka przetrwa podobną próbę. Jeśli dobrze to rozegramy, będziemy mogli tłumaczyć naszą bezczynność koniecznością odbudowy struktur gospodarczych Ligi po „zdradzieckim ciosie”, i...

- I ich wskazać jako jedynych sprawców kryzysu! - wtrącił Abruzzi. - Cała złość skupi się na nich, a o nas zapomną!

- Tak łatwo nie będzie - zauważyła Quartermain.

- Na pewno - zgodził się Kołokolcow. - Poza tym znam co najmniej kilka związanych z nami układów, które nie zadowolą się byle odpowiedzią.

Quartermain zacisnęła wargi, a w jej oczach błysnęła złość.

- Zawsze należy się z tym liczyć - powiedział gospodarz. - Niemniej zastanawiałem się ostatnio, jak by tu oczyścić trochę atmosferę...

- Tak? - spytała Omosupe, przekrzywiając głowę. - I doszedłeś do czegoś?

- W sumie tak - przyznał Kołokolcow. - Jeden z tych pomysłów podsunął mi nawet Rajampet, chociaż chodziło mu o coś trochę innego. Pozwólcie, że wam wyjaśnię, w czym rzecz...

Rozdział VII

- Przepraszam, sir, ale mam połączenie z admirał Simpson. Prosi o pilne spotkanie z panem.

- Admirał Simpson?

Gabriel Caddell-Markham, dyrektor obrony Rady Dyrektorów Beowulfa, uniósł brew i spojrzał na holoprojekcję swojego sekretarza jaśniejącą nad gabinetowym kompem. Caddell-Markham od lat szkolił się w sztuce poruszania jedną brwią w taki sposób, by druga nawet nie drgnęła. Jego żona twierdziła, że musiał wpaść na ten pomysł w tym okresie swojego życia, kiedy jako dowódca odbywał długie rejsy, podczas których cierpiał na nadmiar wolnego czasu, a sensownego hobby nie miał. Niemniej, chociaż dla Joanny była to zabawna słabostka, on sam dawno już odkrył przydatność tak dopracowanego gestu. Zwłaszcza w świecie polityki, który pochłonał go po opuszczeniu szeregów sił zbrojnych Beowulfa.

- Tak, sir - odparł Timothy Sung.

Ciemnowłosy i piwnooki Sung miał dość bladą cerę, która kontrastowała mocno z niemal czarną skórą jego szefa, ale z charakteru obaj byli zdumiewająco podobni. Może dlatego, że pracowali ze sobą już prawie jedenaście lat, a Sung dobiegał dopiero czterdziestki i jeszcze niedawno był bardzo podatny na wpływy. Zwłaszcza gdy chodziło o zły przykład płynący ze strony starszego i bardziej doświadczonego szefa. Samemu Sungowi takie wyjaśnienie całkowicie wystarczało, chociaż inni urzędnicy rządowi miewali w tej kwestii odmienne zdanie. Caddell-Markham być może też, ale pamiętał, że wspomniana teoria

została wysunięta pierwszy raz przez jego żonę i krytyka byłaby nie na miejscu. Poza tym podobieństwo nie było przypadkowe. Dyrektor wybrał Sunga ze względu na jego wcześniejszą służbę w Zwiadzie Biologicznym Beowulfa, który słynął z pogardy dla militarnego drylu. Tym samym sztuczka z brwią była dla sekretarza czymś znajomym i zrozumiałym. Tyle że z jakiegoś powodu dzisiaj było inaczej.

- Ona nie jest naszym oficerem - powiedział Sung. - Wychodzi na to, że należy do sztabu admirała Kingsforda, sir.

Caddell-Markham przywołał twarz do porządku i jego rysy jakby trochę stężały. Ktoś postronny mógłby tego nie zauważyć, ale Sung pojmował, w czym rzecz.

- Właśnie, sir. Jest bardzo małomówna, ale sądząc po zachowaniu, przypuszczałbym, że chodzi o Filaretę.

Timothy Sung miał w pełni legalny dostęp do części utajnionych informacji i dlatego wiedział o planie wysłania Massima Filarety do podwójnego układu Manticore, chociaż była to informacja typu „spalić przed przeczytaniem i zaraz się powiesić”. Podobnie jak jego szef uważał, że to wyjątkowo głupi pomysł, świadczący o przerażającej wręcz arogancji.

Czego jednak nie wiedział, przynajmniej na razie, to tego, że rząd Beowulfa wykorzystał natychmiast swoje absolutnie tajne sposoby komunikowania się z Manticore, by uprzedzić Imperium o bliskim ataku.

- Skoro tylko sądzisz, że chodzi jej o Filaretę, domyślam się, że w ogóle nie podała żadnego powodu, dla którego chce się spotkać?

- Żadnego, sir. Jak wspomniałem, poprosiła o spotkanie i poza tym właściwie milczy. Ale wyczuwam, że zależy jej na jak najszybszej

rozmowie. Zaznaczyła tylko, że chodzi o coś, o czym nie chciałyby rozmawiać przez łącza.

- Rozumiem.

Caddell-Markham wydał wargi i wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że jako wprawny politycznie i urzędowo sekretarz nie zasugerowałeś jej, jakobym tylko czekał na jej wizytę?

- Nie, sir - odparł Sung z lekkim uśmiechem. - Powiedziałem, że nie ma pana w biurze i postaram się z panem skontaktować. Być może dałem nawet do zrozumienia, że uczestniczy pan w ważnej naradzie i chwilowo nie należy panu przeszkadzać.

- Przykro patrzeć, jak sprawny oficer osuwa się w otchłanie biurokracji - mruknął z rozbawieniem Caddell-Markham. - Ale skoro tak, raczej nie uda mi się z nią spotkać wcześniej niż po południu. Przekaż jej zatem, że znajduję się akurat gdzieś daleko, sądzę, że w Grendel, i chętnie zobaczę się z nią, gdy tylko wrócę do Columbii. A gdy uporasz się już z tą akcją dezinformacji, bądź tak dobry i połącz mnie na bezpiecznej linii konferencyjnej z sekretarzem Pinder-Swunem, dyrektorem Longacre'em i dyrektorem Mikulinem.

*

- Przede wszystkim, czy ktokolwiek z was miał okazję spotkać tę admirał Simpson?

Chyang Benton-Ramirez, przewodniczący Rady Dyrektorów, był o jakieś osiem centymetrów wyższy niż mierzący metr siedemdziesiąt pięć Caddell-Markham. Miał też lekko siwiejące, ciemne włosy, chociaż dobiegał dopiero siedemdziesięciu pięciu lat standardowych. Caddell-Markham podejrzewał, że przewodniczący celowo nie interweniuje w kolor włosów, by wyróżniać się w społeczeństwie przyzwyczajonym do prolongu i młodego wyglądu wszystkich wkoło. Poza tym lekko

rozjaśniona siwizną czupryna kontrastowała ciekawie z czernią bujnych wąsów. Rysownicy zajmujący się satyrą polityczną uwielbiali to połączenie niezależnie od własnych wyborów światopoglądowych.

Postaci jego kolegów z Rady rozejrzały się wkoło i w komplecie wzruszyły ramionami albo pokręciły głowami.

- Cudownie - mruknął przewodniczący.

- Nigdy jej nie poznałem, ale zdążyłem przed spotkaniem zajrzeć do jej akt - odezwał się dyrektor bez teki, Fiedosiej Demianowicz Mikulin.

Jasnowłosy i niebieskooki Mikulin był najstarszym członkiem rządu, ale mając o dwadzieścia lat więcej, wyglądał znacznie młodziej niż Benton-Ramirez. Był też o prawie trzynaście centymetrów wyższy. Z wykształcenia lekarz, zasiadał w Radzie Dyrektorów od blisko trzydziestu lat, zwykle w charakterze dyrektora bez teki. Jego koledzy z Izby Posiadaczy i Izby Cechów konsekwentnie dbali o przedłużanie jego kariery politycznej, przede wszystkim ze względu na jego rzadki talent odnajdowania się w sytuacjach kryzysowych. Ramirez szybko nauczył się polegać na jego radach, zwłaszcza w dziedzinie wywiadu. Dwaj poprzedni przewodniczący Rady postępowali dokładnie tak samo.

- I co z nich wynika? - spytał.

- Jest oficerem operacyjnym Kingsforda - odparł Mikulin. - Jest też jego daleką kuzynką, spokrewnioną na dodatek poprzez małżeństwo z Rajampetem. Mimo to nie awansowała dotąd wyżej kontradmirała, a jej ostatnie stanowisko dowódcze to kapitan superdreadnoughta. Z tego, co wiem, nigdy nie dowodziła żadną flotą czy nawet zespołem wydzielonym. Jako planista cieszy się dobrą reputacją, ale to SLN, więc wszystko jest możliwe. Także i to, że stoją za tym rodzinne powiązania. Niemniej cieszy się zaufaniem przełożonych, gdy chodzi o politykę czy wewnętrzne rozgrywki administracyjne. Kingsford, czy może raczej

Jennings, wykorzystywali ją przy różnych operacjach z szarej strefy, których nie odnotowuje się w oficjalnych aktach.

Benton-Ramirez pokiwał głową. Admirał floty Winston Seth Kingsford był głównodowodzącym Battle Fleet Ligi Solarnej, co czyniło go następcą Rajampeta na stanowisku szefa operacji. Admirał Willis Jennings zaś był szefem sztabu Kingsforda. Obaj byli zaprawieni w bojach biurokratycznych.

- Możemy więc chyba przyjąć, że i tym razem chodzi o coś mocno szemranego - powiedział przewodniczący. I że raczej nie będziemy zachwyceni tym, z czym do nas przybywa.

- Zapewne nie - zgodził się dyrektor Longacre. - Pytanie tylko, jak bardzo będziemy niezadowoleni - dodał, zerkając na obecnych spod przymrużonych powiek. Jego najbardziej charakterystyczną cechą były oczy o barwie ametystu, przy bardzo ciemnej skórze i kompletnie łysej głowie, jednak potężny i haczykowaty nos niemal równie mocno zwracał na siebie uwagę. Caddell-Markham uważał, że gdyby dodać jeszcze złoty kolczyk w uchu, jego kolega mógłby grać pirata. W rzeczywistości był kiedyś szefem katedry polityki międzygwiazdnej na Uniwersytecie Columbia. Do Rady trafił siedem lat temu.

- Pewnie się zastanawiasz, czy nie doszło do przecieku w związku z ostrzeżeniem, które przesłaliśmy na Manticore? - Benton-Ramirez raczej stwierdził, niż zapytał.

Longacre pokiwał głową.

- Wątpię w to - odezwał się sekretarz Joshua Pinder-Swun.

Wprawdzie oficjalnie był tylko sekretarzem Rady Dyrektorów, ale pełnił też funkcję wicepremiera. Do polityki wszedł późno, i to przez Izbę Cechów, nie przez Izbę Posiadaczy. Dwadzieścia lat temu był jednym z najbardziej wziętych fizyków Beowulfa i karierę naukową

przerwał tylko „tymczasowo”. Mawiał, że chciałby wrócić jeszcze do pracy badawczej, chociaż wszyscy wiedzieli, że nie ma na to żadnych szans.

- Naprawdę wątpię - powtórzył. Gdy wszyscy już zwrócili na niego uwagę, wzruszył energicznie ramionami. - Po pierwsze, o ile się orientuję, nikt nie ma pojęcia o naszych tak bliskich kontaktach z Manticore. Po drugie, gdyby Ziemia coś zwąchała, przysłaliby kogoś znacznie ważniejszego, by zmyć nam głowę. Nie, to musi mieć jakiś związek z Filaretą, ale nie chodzi o wspomniane ostrzeżenie.

- Moim zdaniem Joshua ma rację - powiedział Caddell-Markham. - Niemniej skoro nie chodzi im o nasze drobne faux pas w kwestii bezpieczeństwa, a nie może chodzić, bo wtedy zjawiłby się ktoś wyżej postawiony, oznacza to, że ekipa Rajampeta wpadła na kolejny genialny pomysł. Taki, w którym przewidziano dla nas jakąś rolę. Biorąc pod uwagę to, że znajdujemy się ledwie dwa miesiące lotu od Manticore i że Filareta opuści zapewne Tasmanię za niecałe dwa tygodnie, cokolwiek wymyślili, dotyczy najpewniej naszego terminalu.

Na twarzach uczestników narady pojawił się wyraz zatroskania, a Mikulin pokiwał głową.

- Nie widzę innego powodu mogącego skłonić dowództwo ich marynarki wojennej do wysłania osobistego przedstawiciela - powiedział. - Gdyby sprawa była politycznej natury, wybraliby kogoś spoza sił zbrojnych i to raczej do Jukki by się zwrócili, nie do Gabriela. Czy też do ciebie, ewentualnie Joshui. Gabriel musi mieć rację z tym terminalem, bo jest już trochę za późno na pytania o nasze rozeznanie możliwości obronnych Manticore. To musieli rozpracowywać wcześniej, na etapie analiz poprzedzających planowanie akcji. I wątpię, by zakładali, że cokolwiek mogło im umknąć - dodał szyderczo. - A to

znaczy, że ktoś u Kingsforda albo Rajampeta doszedł do wniosku, że da się jednak jakoś wykorzystać terminal do działań przeciwko Manticore!

- Ten ktoś nie był raczej geniuszem intelektu - zauważył Pinder-Swun. - Przecież muszą chyba rozumieć, że w tej sytuacji atak przez terminal równałby się samobójstwu!

- Możesz się zdziwić - mruknął Caddell-Markham. - Gdyby nazwać szefostwo SLN imbecylami, byłaby to obraza dla prawdziwych imbecyli.

- Jesteście pewni, że to jest pomysł Kingsforda albo Rajampeta? - spytał Longacre.

- Nie, ale kto inny mógłby obsadzić admirał Simpson w roli posłańca? - odparł Caddell-Markham.

- To zależy, o co naprawdę chodzi - zauważył Longacre. - Kołokolcow i jego aparatczycy mają zdecydowane manko w szarych komórkach, ale gdy chodzi o znajomość systemu i układów, gość przypomina raczej Machiavellego. Tyle że ma problemy z przyjęciem do wiadomości, że istnieje jeszcze jakiś świat poza tym, który on sam współtworzy. Na pewno umknęło mu to w chwili, gdy ładował się w obecne kłopoty.

- I co dalej? - spytał z widocznym sceptycyzmem Caddell-Markham. - Nie żebym nie zgadzał się z tobą w ocenie Kołokolcowa i mandarynów, ale nie rozumiem, dlaczego miałyby wysyłać kogoś z floty do załatwienia typowo urzędniczej sprawy.

- Widać byłeś za dobrym oficerem, skoro tego nie chwytasz! - rzucił Longacre.

- Może i był, ale pytanie i tak wydaje mi się ważne - powiedział Mikulin.

- Bo jest ważne - zgodził się Longacre i rozejrzał wkoło. - Pomyślcie tylko. -Przypuszczamy, że Kołokolcow i jeszcze ktoś, zapewne MacArtney, wpakowali się w to bagno, bo zbyt zawierzyli własnej

omnipotencji i zadufanie nie pozwoliło im dojrzeć, do czego rzecz zmierza. Teraz jednak Kołokolcow musiał się już zorientować, że stoi nad przepaścią i jeśli uczyni jeden fałszywy krok, rozpęta porządny polityczny kryzys. Konstytucyjny zresztą też. Rajampet skręca w precel artykuł siódmy, byle tylko uzasadnić jakoś swoje dotychczasowe działania. O przyszłość pewnie tak się nie martwi, ale w końcu mu się ten precel rozkruszy, a wtedy Liga Solarna stanie się takim burdelem w płomieniach, jakiego wszechświat jeszcze nie widział. I nawet jeśli żaden z mandarynów nie podejrzewa nas o ostrzeżenie Manticore, wszyscy wiedzą o naszych bliskich związkach z Gwiezdnym Królestwem. To znaczy Imperium.

Przerwał na chwilę i Caddell-Markham pokiwał w milczeniu głową.

Gwiezdne Imperium Manticore było bez wątpienia największym partnerem handlowym Beowulfa, a wspólnie prowadzona krucjata przeciwko genetycznemu niewolnictwu uczyniła z obu państw bliskich sojuszników, i to nie wczoraj, a ponad trzysta lat temu. W odróżnieniu od innych sił zbrojnych działających w strefie wpływów Ligi Solarnej Marynarka Beowulfa tradycyjnie współpracowała z Royal Manticoran Navy, przeprowadzając nawet wspólne ćwiczenia w obronie miejscowego terminalu. Co więcej, od czasu odkrycia przejścia w 1585 roku PD społeczeństwa obu państw miały ze sobą coraz więcej wspólnego. Co najmniej czterech członków Rady Dyrektorów, włączając w to przewodniczącego, było rodzinie powiązanych z Manticore. Z tego też powodu wielu obywateli Beowulfa (znowu Radę w to włączając) straciło krewnych podczas niedawnego ataku. Nawet wątpliwego chowu geniusze odpowiedzialni za politykę zagraniczną Ligi Solarnej musieli zrozumieć, że nie pozostanie to bez wpływu na nastawienie Beowulfa wobec obecnego kryzysu.

Może jednak do kogoś u Kingsforda dotarło, że siłą rzeczy wiemy więcej o możliwościach floty Manticore niż ktokolwiek w sztabie Ligi, pomyślał dyrektor obrony. I więcej też, niż dotąd im powiedzieliśmy. Trudno, aby było inaczej, skoro przeprowadzamy wspólne manewry. Pewnie więc są ciekawi, dlaczego nigdy nie wspomnieliśmy im o tych wielostopniowych pociskach. Wprawdzie nigdy nas o nie nie pytał, ale zawsze...

- Cóż, przypuszczam, że zrozumieli, co pomyślimy, gdy dowiemy się o ataku na Manticore. I jakie będzie nasze stanowisko, gdy zacznie się oficjalna debata na temat wypowiedzenia wojny. Chyba się spodziewają, że zgłosimy weto. Tylko jak mogliby temu przeciwdziałać?

- Nijak - stwierdził Caddell-Markham. - I pewnie ani myślą próbować. Moim zdaniem tkwią w tym już tak głęboko, że teraz będą tylko parli do przodu w nadziei, że jednak im się uda.

- Może, ale Kołokolcow ma wrodzoną skłonność do chowania asów w rękawie. - Longacre pokręcił głową. - On szuka teraz jakiegoś sposobu zmiany układu sił. Jednym z nich może być wciągnięcie nas do udziału w tym ataku. Jeśli to zrobimy, znajdziemy się na tym samym wózku co Liga Solarna, gdy przyjdzie do uzasadniania naszych działań.

- Ale chyba nawet ostatni półgłówek nie uwierzy, że będziemy gotowi im pomóc - zaprotestował Pinder-Swun. - Zbyt wiele łączy nas z Manticore, tak handlowo, jak i kulturowo, a na dodatek wzywamy głośno do opamiętania już od czasu incydentu w układzie Monica. O działaniach Hadley nie wspominając! Muszą też chyba rozumieć, że ujawnienie roli Mesy we wszystkim, co się działo z Gwiezdnym Imperium przez ostatnie dekady, zrobi duże wrażenie na naszych obywatelach.

Caddell-Markham pomyślał, że w słowach sekretarza jest sporo prawdy. Zresztą sam Pinder-Swun był w tym przypadku reprezentatywnym przykładem. Jego matka urodziła się jako niewolnica genetyczna i została wyzwolona dzięki akcji zbrojnej. Przeprowadzonej, o ile Caddell-Markham dobrze pamiętał, przez krążownik Royal Manticoran Navy.

- Kołokolcow oczywiście wie o tym - powiedział Longacre. - Tyle że stara się patrzeć perspektywicznie, czyli ustawić jakoś swoją piątkę na wypadek wojny czy pogłębiającego się kryzysu. A w tym celu może chcieć zdyskredytować nas, przedstawiając jako czarną owcę Ligi Solarnej. Pomyśl o takim scenariuszu. Ich Marynarka żąda od nas pomocy w ataku na Manticore, a może nawet aktywnego udziału. Ewentualnie tylko obsługi przejścia, gdy będą przerzucać swoje jednostki na tyły Manticore. Jakkolwiek. W każdym razie zjawiają się ze swoim wnioskiem, a my odsyłamy ich z kwitkiem. Zgodnie z artykułem piątym konstytucji możemy odmówić oddania sił planetarnych pod dowództwo federalne, dopóki Liga nie jest w stanie wojny. A terminal Beowulf znajduje się poza granicą dwunastu minut świetlnych i tym samym nie jest naszą własnością, nie nam więc decydować o jego działaniu. Mogą nie kupić tego wyjaśnienia, zwłaszcza wobec naszych związków z Manticore, jednak technicznie rzecz biorąc, kontrola astro Beowulfa jest prywatną firmą, nie agendą naszego rządu. I ta firma leasinguje terminal od jego odkrywców z Manticore. Mamy więc spore możliwości manewru. Jeśli wytoczą nam sprawę, cała armia prawników znajdzie robotę na jakieś dwadzieścia lat. Tak czy siak, jeśli odmówimy współpracy, będziemy mogli zrobić to w pełni legalnie i powołując się na nasze konstytucyjne prawa. Chociaż Liga widzi to zapewne trochę inaczej. W tej chwili czekają, co wyniknie z wyprawy Filarety. Są dwie

możliwości. Albo mu się uda i Manticore zostanie pokonane bez walki, w co żaden z nas nie wierzy, albo dojdzie do bitwy. Kołokolcow i inni mogą naprawdę się spodziewać, że Filareta wygra z mocno osłabionym Manticore. Biorąc pod uwagę los Crandall, mam takie przekonanie za świadectwo skrajnej naiwności. Tak więc Filareta albo wygra, a wtedy nasza odmowa współpracy nie będzie miała znaczenia, albo dostanie ciężkie lanie, a wówczas będzie można powiedzieć, że to przez nas. Jestem pewien, że w oficjalnych raportach zostaniemy przedstawieni jako pośrednio winni klęski, co będzie miało podważać naszą wiarygodność jako przeciwników późniejszych zdecydowanych działań.

- Naprawdę wierzysz, że mogą tak kombinować? - spytał Caddell-Markham bez większego wszakże zdziwienia.

- Jestem pewien - odparł Longacre. - W każdym razie uważam, że są do tego zdolni. Nie mówię, że im się uda, ale nie takie już bzdury produkowało Ministerstwo Edukacji i Informacji pod wodzą Abruzziego. Nie sądzę, by ktokolwiek oczekiwał, że całkowicie nas w ten sposób zneutralizują, bo nawet w Lidze zdarza się regularnie, że prawda wychodzi na jaw, ale sądzę, że taki jest właśnie cel. Taktyczny raczej niż strategiczny. Jeśli operacja Filarety skończy się efektowną rzezią ich własnych ludzi, mandaryni będą potrzebowali kozła ofiarnego, by wybielić się jakoś w oczach opinii publicznej. Na dłuższą metę też mają chyba nadzieję zyskać. Wystarczy, że zmarginalizują nas na dość długo, by zjednoczyć resztę Ligi pod sztandarem walki z Manticore. Potem zaś... cóż. Z własnego doświadczenia wiemy, że gdy ustanowi się już jakiś kurs, o wiele trudniej go zmienić, niż gdyby interweniować na samym początku. No i dlatego oczekują pewnie, że jeśli Zgromadzenie klepnie ich wnioski, chociażby przez aklamację,

mało kto będzie w stanie zorganizować opozycję dość skuteczną, by wpłynąć na sytuację.

Dyrektor stanu rozparł się w fotelu i złożył ręce na piersi. Reszta uczestników spotkania spojrzała po sobie. Caddell-Markham był prawie pewien, że ich myśli biegnęły bardzo podobnym torem, ale słowa Longacre'a zabrzmiały zdecydowanie niepokojąco.

- Dobrze - powiedział po chwili Benton-Ramirez. - Osobiście mam nadzieję, że to tylko powiew twojej paranoi, Jukka, ale nie zamierzam się zakładać. Zostaje więc pytanie, jak zareagujemy na „prośbę”, którą przedstawi nam Simpson.

- Naprawdę chcesz usłyszeć, co mi chodzi po głowie? - spytał Pinder-Swun.

Chyang kiwnął głową i sekretarz zaśmiał się krótko. Zabrzmiało to jak okrzyk łowiecki leśnego drapieżnika, a czerwona cera Pinder-Swuna wyraźnie jeszcze pociemniała.

- Dobrze. Moim zdaniem powinniśmy podać im kurs prosto na terminal i zaprosić, by śmiało ruszali na drugą stronę!

Zaraz potem uśmiechnął się złośliwie, a Caddell-Markham skrzywił się odruchowo.

Górny pułap przepustowości wormhole junction wynosił około dwustu milionów ton, co oznaczało, że SLN mogłyby przetrzasnąć tamtędy do trzydziestu superdreadnoughtów typu Scientist jednocześnie. Tyle że kolejny transfer byłby możliwy dopiero po siedemnastu godzinach. Teoretycznie zespół trzydziestu okrętów liniowych reprezentował potężny potencjał bojowy, ale salwa z samych krążowników zmasakrowała w Spindle grupę dwudziestu trzech jednostek tego samego typu. Z drugiej strony przejścia znajdowały się zaś nie tylko superdreadnoughty floty Manticore, ale jeszcze cała masa

fortów orbitalnych. Przy tym, co one mogły wystrzelić, bitwa o Spindle wyglądałaby jak zabawa armatkami na groch.

- Owszem, przyznaję, że zmyślny to plan - odezwał się po chwili Benton-Ramirez. - Niemniej załóg tych okrętów na pewno nikt nie spyta, czy mają ochotę wojować z Manticore. Poza tym to współobywatele federacji, której też jesteśmy częścią. A dla kogoś po prostu mężowie, żony, synowie i córki...

- Zaznaczyłem, że to było moje spontaniczne skojarzenie - odparł Pinder-Swun. - Oczywiście masz rację. Wprawdzie tyle razy widziałem, jak flocie nie chciało się ruszyć dupy, by zająć się paradującymi otwarcie statkami niewolniczymi, że ubyło mi od tego empatii. Jednak zgadzam się, że nie powinniśmy zachęcać Rajampeta i Kingsforda do posyłania własnych ludzi na pewną śmierć.

- To co zrobimy? - spytał Benton-Ramirez, spoglądając na kolegów. - Jakieś sugestie...?

*

- Dziękuję, że tak szybko znalazł pan dla mnie czas, dyrektorze - powiedziała kontradmirał Marjorie Simpson, wyciągając ponad blatem biurka rękę w stronę Caddell-Markhama. Jej uśmiech wyglądał przy tym na szczery.

- Przepraszam, że nie mogłem zaprosić pani, gdy tylko się pani odezwała - odparł Caddell-Markham z równie ciepłym, chociaż fałszywym uśmiechem. - Z tego, co przekazał mi pan Sung, wywnioskowałem, że chodzi o coś pilnego, zatem jak mogłem najszybciej, zmodyfikowałem swój plan zajęć.

- Doceniam to - stwierdziła admirał Simpson i spojrzała na jasnowłosą i szarooką kobietę, która wstała właśnie z jednego z foteli

ustawionych przed biurkiem gospodarza. Wyraźnie była ciekawa, kto jeszcze ma uczestniczyć w spotkaniu.

- Proszę pozwolić, że pani przedstawię - powiedział Caddell-Markham, puszczając dłoń gościa. - Justyna Miternowska-Zhyang, wicedyrektor obrony, odpowiedzialna za kontakty z naszą flotą. Biorąc pod uwagę noszony przez panią mundur, pomyśleliśmy, że obecność kogoś takiego będzie na miejscu.

- Rozumiem i doceniam zdolność przewidywania - odparła Simpson z trochę wymuszonym uśmiechem, ale przywitała się z Miternowską.

- Proszę. - Caddell-Markham wskazał na fotele. - Usiądźmy i posłuchajmy, co sprowadza panią na Beowulfa, pani admirał. Może coś do picia?

- Nie trzeba, panie dyrektorze - odparła Simpson, kręcąc głową. - Może później.

- Jasne. - Dyrektor wyprostował się w swoim fotelu i skinął ręką, zachęcając gościa do zabrania głosu.

Simpson odczekała chwilę, jakby chciała się upewnić, że dobrze pamięta, co powinna powiedzieć. Gospodarz skorzystał z tych kilku sekund, by lepiej się jej przyjrzeć. Nie była szczególnie wysoka, chociaż mocno zbudowana. Według zapisków w aktach Mikulina przekroczyła niedawno granicę siedemdziesięciu lat, ale jej włosy pozostały ciemne, bez najmniejszego śladu siwizny, a spojrzenie piwnych oczu wydawało się młodzieńcze i otwarte. Biorąc pod uwagę jej stanowisko i zakres obowiązków, mógł to być czysty a zwodniczy pozór.

- To, o czym chcę porozmawiać, należy do tematów objętych klauzulą niejawności - powiedziała w końcu. - Siódmy stopień utajnienia.

Przerwała na moment, jakby dla podkreślenia wagi tej informacji. W systemie utajniania danych Ligi był tylko jeden wyższy stopień.

- Jestem przekonana, że zarówno pan, jak i pani wicedyrektor Miternowska-Zhyang mieliście sposobność zapoznać się z materiałami dotyczącymi tego, co spotkało zespół admirał Crandall w układzie Spindle - podjęła po chwili. - Oczywiście był to szok dla nas wszystkich, chociaż nie jesteśmy do końca przekonani, że podawana przez Manticore wersja całkowicie wiernie oddaje rzeczywistość. Powątpiewamy szczególnie w tak prowokacyjne zachowanie admirał Crandall, zwłaszcza w świetle rozkazów, które otrzymała. Możliwe, że w pewien sposób nie podołała sytuacji, ale nasi analitycy są przekonani, że materiały Manticore zostały w umiejętny sposób spreparowane. Jakkolwiek jednak było i ktokolwiek oddał pierwszy strzał, przede wszystkim musimy obecnie stawić czoło konsekwencjom działań Royal Manticoran Navy.

Znowu zamilkła, zapewne oczekując reakcji na swoje słowa, w pierwszym rzędzie zaś poparcia wątpliwości, które była uprzejma wyrazić na temat tego, kto naprawdę odpowiadał za ten incydent. Jednak jej rozmówcy z Beowulfa siedzieli w milczeniu, a ich twarze niczego nie wyrażały.

- To, co zdarzyło się w układzie Spindle, wskazuje bez wątpienia na mocne niedoszacowanie potencjału bojowego RMN - odezwała się z przejęciem, gdy było już jasne, że nie doczeka się upragnionej deklaracji. - Nasi analitycy są przekonani, że pociski o znanych nam teraz osiągnięciach nie mogły w żadnym razie zostać wystrzelone przez krążowniki czy nawet krążowniki liniowe, chociaż druga strona twierdzi, że tak właśnie było. Jednak nawet biorąc to pod uwagę i zakładając, że naprawdę użyli tam ciężkich antypocisków, ich

możliwości są, szczerze mówiąc, zatrważające. Z bólem musimy przyznać, że w obecnej chwili Manticore zdaje się mieć nad nami znaczącą przewagę technologiczną. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że Liga Solarna dysponuje miażdżącą przewagą liczebną. Oraz o tym, że twór równie niewielki jak Gwiazdne Imperium Manticore nie może się równać z nami pod względem potencjału produkcyjnego i ludzkiego. I ta przewaga okaże się z czasem decydująca. Niestety, wprawdzie ostateczna klęska przeciwnika jest więcej niż pewna, po drodze zginie Bóg jeden wie ilu naszych ludzi. - Pokręciła ze smutkiem głową. - Nawet pomijając powody etyczne każące wyrazić sprzeciw wobec takiego biegu zdarzeń, ryzykowanie tak wielkich strat byłoby działaniem po prostu nieodpowiedzialnym, które wzbudziłoby w całej Lidze powszechne i słuszne oburzenie. Zarówno admirał Rajampet, jak i admirał Kingsford oraz członkowie ich sztabów od początku świetnie zdawali sobie z tego sprawę i uważali, że w tej właśnie kwestii posłanka Hadley miała całkowitą rację. Nawet jeśli nie wszyscy zgadzali się z jej tokiem myślenia, wyciągnięte przez nią wnioski mieli za słuszne. Podobnie uznaliśmy, że niezależnie od wzbierających w SLN emocji i pragnienia zemsty należało bezwzględnie wstrzymać się z jakimikolwiek działaniami zbrojnymi przeciwko Manticore, w pierwszym rzędzie wykorzystując środki dyplomatyczne.

Przerwała ponownie i tym razem Caddell-Markham pozwolił sobie na lekkie skinienie głową, chociaż wyczuwał fałsz w deklaracji, jakoby rząd Ligi zgadzał się w czymkolwiek z Felicią Hadley.

- Niestety - odezwała się ponownie admirał - z czasem minister spraw zagranicznych Roelas y Valiente oraz stały podsekretarz Kołokolcow musieli pogodzić się z faktem, że Manticore nie zamierza wykazać dobrej woli i nie ma szans na powodzenie negocjacji. -

Westchnęła. - Cokolwiek może sądzić o tym posłanka Hadley i cokolwiek mówią jej zwolennicy, treść otrzymywanej przez nas korespondencji wskazywała jasno, że Manticore zamierza maksymalnie wykorzystać swoją obecną przewagę technologiczną. Dodatkowo o ich postawie świadczą takie działania, jak całkowicie niezrozumiałe próby przedstawiania swojego stanowiska w taki sposób, jakby miało ono być także stanowiskiem Republiki Haven, której przecież w żaden sposób nie mogą reprezentować, zwłaszcza po trwającej tyle lat wojnie, jak również bezwstydnym i dowodzącym imperialistycznych zapędów zabór części terytorium niepodległej struktury państwowej, jaką jest Konfederacja Silesiańska, wątpliwe pod każdym względem działania w Quadrancie Talbott, jak i jednostronna decyzja o zamknięciu wszystkich terminali pozostających pod kontrolą Manticore dla jednostek Ligi.

Caddell-Markham opisały to trochę inaczej, podobnie zresztą jak całą politykę zagraniczną Manticore na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat. Niemniej fantastyczna opowieść pani admirał mogła uchodzić za logiczną, zakładając oczywiście, że słuchacze nie byli bardziej inteligentni od przeciętnego komara. Z drugiej strony, Biuro Bezpieczeństwa Granicznego od dawna posługiwało się taką właśnie retoryką.

Ciekawe tylko, dlaczego nie wspomniała o Green Pines, Pomyślał dyrektor.

- Tak właśnie przedstawiała się sytuacja bezpośrednio po incydentach w Spindle i New Tuscany - powiedziała Simpson. - Obecnie jednak uległa ona radykalnej zmianie. Jestem przekonana, że tutaj, na Beowulfie, jesteście w stanie znacznie lepiej ocenić, na ile Manticore ucierpiało na skutek niedawnego ataku na ich macierzysty układ, niż pozwalają to uczynić rozpowszechniane przez nich informacje.

Caddell-Markham i Miterowska tylko skinęli głowami, chociaż dostrzegli, jak w oczach ich rozmówcy błysnęło coś niebezpiecznego. Zapewne skrywana pod maską samokontroli złość. Musiała najpewniej uważać, tak jak jej przełożeni, że Beowulf wie o wiele więcej na temat ostatnich zdarzeń w podwójnym układzie Manticore, niż zdecydował się przekazać nominalnym sojusznikom.

- Nie wiemy, kto jest odpowiedzialny za ten atak - dodała Simpson, odzyskując panowanie nad sobą. - Zapewniam, że wywiad Marynarki pracuje w nadgodzinach, by to ustalić. Na razie pewne jest tylko to, że istnieje jeszcze jedno państwo dysponujące flotą o możliwościach operacyjnych przerastających nasze, i nie jest to informacja kłami. Z drugiej strony jest oczywiste, że ta nieznana siła zdołała poważnie uszczuplić potencjał Manticore. Nasze analizy sugerują wprost, że ich przemysł ciężki został praktycznie unicestwiony, co musi mieć jednoznaczne konsekwencje dla działań RMN. Niestety, nie wpłynęło to na ochłodzenie nastrojów po ich stronie, stali się wręcz jeszcze bardziej zachłanni, czy nawet agresywni. Na to w każdym razie wskazuje sprawa zamknięcia wormholi. Mamy też meldunki, niepotwierdzone na razie, ale z wiarygodnych zazwyczaj źródeł, że rozpoczęli akcję przejmowania kontroli nad tymi terminalami, które do nich nie należą, by także je zablokować dla naszych jednostek. Mając do czynienia z takimi działaniami, świadczącymi o agresywnym kursie przyjętym przez Manticore, premier Gyulay podzieliła stanowisko admirała Rajampeta, iż byłoby karygodnym zaniedbaniem z naszej strony, gdybyśmy dali przeciwnikowi czas na odbudowę dawnej potęgi militarnej. Nie mówiąc o tym, że nasza pełna mobilizacja przeciwko nim skończyłaby się zagładą Manticore. SLN postanowiła zatem działać szybko, by wykorzystać sposobność. Sięgnijemy w tym celu po około czterysta

okrętów liniowych, które przebywają akurat w układzie Tasmania albo w jego pobliżu. W ciągu dwóch do trzech tygodni jednostki te, wzmocnione wszystkim, co na szybko jesteśmy w stanie ściągnąć, wyruszą do podwójnego układu Manticore pod dowództwem admirała floty Filarety. Powinny dotrzeć tam nie później niż w połowie czerwca.

Ostatnie zdania Simpson wygłosiła takim tonem, jakby na przemówienie się jej zebrało. Tym razem słuchacze okazali stosowną dozę zdziwienia przyprawionego odrobiną nerwowości.

- Admirał Rajampet jest świadom ryzyka związanego z operacją zaplanowaną przez admirała Kingsforda. Jesteśmy jednak przeświadczeni, że poniesione ostatnio przez Manticore straty oraz tak szybkie pojawienie się admirała Filarety w ich własnym układzie wystarczą, aby przemówić im do rozsądku. Jeśli to się nie uda, skłonni jesteśmy sądzić, że możliwości defensywne zespołu admirała Filarety okażą się wystarczające wobec potencjału ofensywnego uszczuplonej floty Manticore i że nie doznamy dużego uszczerbku. Niemniej istnieje i taka opcja, że siły admirała poważnie ucierpią, co może się zdarzyć, jeśli nasi analitycy mylnie oszacowali niedawne straty Manticore. I tutaj zaczyna się rola Beowulfa.

Simpson zamilkła nagle, wyprostowała się w fotelu i spojrzała znacząco na Caddell-Markhama.

- Słucham? - spytał. - Obawiam się, że niezbyt rozumiem, w jaki sposób operacja admirała... Filarety, tak? ...może mieć coś wspólnego z Beowulfem.

- To bardzo proste, dyrektorze - odparła Simpson. - W idealnym świecie sama wymowa naszego gestu byłaby na tyle znacząca, że admirał Filareta zwyciężyłby, nie oddawszy ani jednego strzału. Chodzi o dobitne uświadomienie przeciwnikowi, że niezależnie od dowolnych

chwilowych przewag nie może liczyć na pokonanie państwa tak potężno jak Liga Solarna. Siła argumentu wzrośnie zaś, jeśli składowych presji będzie więcej i pojawią się z różnych kierunków. W miarę możliwości równocześnie.

- Chwila - powiedział Caddell-Markham, który wolał jednak nie udawać jednostki przesadnie niedomyślnej. - Chyba nie chce pani zaproponować przerwania drugiej grupy uderzeniowej przez terminal Beowulf!

- Dokładnie o to nam chodzi, sir.

- Cóż, obawiam się, że trudno mi uznać to za dobry pomysł - odparł spokojnie gospodarz.

- A to dlaczego? - spytała równie spokojnym tonem Simpson, skrywając ewentualne rozdrażnienie czy zaskoczenie.

- Do głowy przychodzi mi aż kilka powodów. Po pierwsze i najważniejsze, nie ma żadnej możliwości dokonania zwiadu, który poprzedziłby właściwy tranzyt - powiedział rzeczowym tonem i pokręcił głową. - Jak najpewniej się pani domyśla, zamknięcie terminalu jest mocno dokuczliwe dla Beowulfa. Po wygaśnięciu ruchu jednostek Manticore, z których wiele wróciło już do ich układu, nasze dochody z tytułu tranzytu spadły prawie do zera. Jestem pewien, że admirałowie Rajampet i Kingsford wiedzieli o tym, wysyłając panią na rozmowy, i bez wątpienia wiele osób u nas chciałoby udroźnienia terminalu nie mniej niż mieszkańcy Chicago. Ale jakkolwiek do tego podchodzić, po zamknięciu przejścia dla ruchu Ligi Solarnej, w tym i naszego, niezbyt wiemy, co się dzieje w rejonie junction. Z tego, co słyszeliśmy i jesteśmy w stanie poskładać z różnych doniesień, wynikałoby, że Gwiezdne Imperium wzmacnia jego ochronę w stopniu, który może się równać z tym, co działo się w Trevor Star, gdy Manticore

odebrało je Ludowej Republice. No i należy oczekiwać, że te siły, które są już na miejscu, znajdują się w stanie podwyższonej gotowości. To jeszcze nie wszystko. Odkładając nawet tę sprawę na bok, jest jeszcze kwestia koordynacji działania naszych sił. Manticore może znajdować się ledwo po drugiej stronie przejścia, ale to jest wiele lat świetlnych stąd. Próba zgrania ataku dwóch zespołów, które tracą łączność ze sobą kilka miesięcy wcześniej, jest wysiłkiem praktycznie daremnym. Zwykle proszeniem się o kłopoty. Zwłaszcza że raczej nie będzie kiedy wysłać admirałowi Filarecie kuriera z wiadomością o samym fakcie istnienia drugiego zespołu!

- Ma pan rację i zastanawialiśmy się nad tym - stwierdziła Simpson.
- Rzeczywiście nie będziemy mieli żadnej łączności z admirałem Filaretą, jednak wysłaliśmy już własną jednostkę do układu Manticore. Skorzystaliśmy ze wspaiałomyślniej propozycji Imperium, że będzie przepuszczać nasze jednostki kurierskie i ekipy mediów. Ta obecna działa właśnie jako sprawozdawcza i będzie przez cały czas trwania operacji zmieniana przez kolejne, posyłane pod tą samą przykrywką. Gdy Filareta przybędzie na miejsce, wywoła to łatwe do odnotowania poruszenie w RMN, a wówczas nasza jednostka wróci czym prędzej na Beowulfa, by dać znak do tranzytu grupy około trzydziestu superdreadnoughtów. Ich niespodziewane pojawienie się na tyłach przeciwnika na pewno uświadomi Manticore, jak wielka jest różnica między ich możliwościami a naszymi.

- Nawet założywszy, że wasza jednostka otrzyma zgodę na tranzyt, co nie jest wcale takie pewne, gdy Filareta zawita do układu Manticore, jego siły zbrojne przejdą natychmiast do stanu gotowości bojowej - odezwała się po raz pierwszy Miterowska-Zhyang. - Na jakiej podstawie przypuszczacie, że pozwolą wam przejść tak silnym

zespołem? - Pani wicedyrektor obrony nie próbowała nawet skrywać sceptycyzmu. - Sądząc po przedstawionej przez panią liczbie, planujecie zapewne jednoczesny tranzyt całego zespołu, ale ich początkowa sytuacja i tak będzie niełatwa. Wyłonią się z przejścia nagle i w chwili, gdy gospodarze będą już wiedzieli o nadciągnięciu innego, ponad dziesięć razy silniejszego zgrupowania. Jak wspomniał dyrektor Caddell-Markham, nasze źródła sugerują jednoznacznie, że obrona Manticore Wormhole Junction została wzmocniona w stopniu, jakiego od lat nikt nie odnotował. I szczerze mówiąc, należy oczekiwać, że w podobnej sytuacji dowódca tej obrony wyda rozkaz otwarcia ognia, nie marnując czasu na próbę identyfikacji niezapowiedzianych gości.

- Owszem, istnieje taka możliwość - przytaknęła Simpson. - Jednak admirał floty Bernard z działu strategii i planowania uważa ją za mało prawdopodobną. Jego zdaniem obrońcy będą zbyt zaskoczeni nagłym wzrostem zagrożenia, by zareagować w czasie umożliwiającym im zadanie nam poważniejszych strat.

- Mało prawdopodobną? - spytała Miternowska, jakby własnym uszom nie wierzyła. - I zdecydowaliście się wysłać ponad trzydzieści najcięższych jednostek z prawie dwustoma tysiącami ludzi na pokładach tylko na tej podstawie? Naprawdę uważacie, że RMN nie zdoła na czas połapać się w sytuacji i nie zareaguje? - Pokręciła głową. - Admirał Bernard wie chyba, że oni od ponad dwudziestu lat toczą bardzo krwawą wojnę? I że są w tym całkiem skuteczni?

- Oczywiście, że wie - odparła nieco urażonym tonem Simpson. - Ale przyzna pani, że to trochę co innego. Nie można porównywać wojenki z jakąś prowincjonalną Republiką Haven z sytuacją, gdy przeciwnikiem jest Liga Solarna. Zwłaszcza gdy cały ich system obronny został rozniesiony w pył w trakcie ostatniego ataku!

Miternowska-Zhyang opadła na oparcie fotela i pokręciła głową.

- Zgadza się, że to wielka różnica - powiedziała wyraźnie chłodnym tonem. - Niemniej my tutaj chyba trochę lepiej poznaliśmy Manticore niż pracownicy działu strategii i planowania pracujący w Old Chicago. Nie dążę do ich zdyskredytowania, ale nasze doświadczenia sugerują całkiem inne wnioski - dodała niekoniecznie szczerym tonem. - Naszym zdaniem ich reakcja na cokolwiek mogącego zagrozić ich macierzystemu układowi będzie szybka i zdecydowana. A po doświadczeniach w Spindle, czegokolwiek tam użyli, można chyba oczekiwać, że u siebie będą dysponować jeszcze bardziej skutecznymi systemami uzbrojenia.

- Które wcześniej ktoś na nasze szczęście zneutralizował - wtrąciła Simpson. - Niszcząc też zaplecze przemysłowe, co musiało uniemożliwić odbudowę skutecznej obrony.

- O ile byli tak nieostrożni, by pakować wszystkie jajka do jednego koszyka - odparła natychmiast Miternowska, ponownie kręcąc głową, tyle że tym razem bardziej zdecydowanie.

- Przepraszam, admirał Simpson. Wiem, że nie jest pani autorką tego planu, a tylko go przedstawia, ale spędziwszy ostatnie trzydzieści lat na zarządzaniu obroną naszego układu, nie mogę poprzeć czegoś równie ryzykownego i niezostawiającego ponadto żadnej swobody manewru w przypadku niepowodzenia.

- Skoro Justyna nie podpisze się pod tym, obawiam się, że przewodniczący Benton-Ramirez i ja też tego nie uczynimy - powiedział Caddell-Markham.

- Rozumiem.

Simpson siedziała przez chwilę w milczeniu, spoglądając tylko na jednego czy drugiego rozmówcę, a w końcu wzruszyła ramionami.

- Przykro mi to słyszeć. Mieliśmy nadzieję, że Beowulf System Defence Force pomogą przeprowadzić nasz drugi zespół. Przypuszczam, że zgodnie z moimi poleceniami będę zmuszona przedstawić Radzie Dyrektorów oficjalną prośbę w tej sprawie, nawet jeśli przewodniczący Benton-Ramirez i tak ją odrzuci. Szczęśliwie i bez was będziemy dysponować wystarczającymi siłami, by mieć co wysłać w drugim rzucie, gdy terminal się ustabilizuje. Mam nadzieję, że przewodniczący uzna za... roztropne udzielenie nam chociaż minimalnego wsparcia logistycznego przy operacji o tak wielkim, krytycznym wręcz znaczeniu.

Niech żyje paranoja, punkt dla Jukki, pomyślał Caddell-Markham, chociaż nadal trudno było mu uwierzyć, że ktoś zajmujący równie wysokie stanowisko co Rajampet mógł naprawdę wierzyć w powodzenie tak szalonego planu.

- Jeśli złożycie oficjalną prośbę o pomoc BSDF, oczywiście przedstawię ją przewodniczącemu Bentonowi-Ramirezowi - powiedział. - I chociaż rozumiem wasze stanowisko, obawiam się, że zarekomenduję odpowiedź odmowną. Przykro mi, pani admirał, ale podzielam w pełni zdanie pani wicedyrektor na temat najprawdopodobniejszego wyniku tej operacji. W tych okolicznościach nie mogę opatrzyć waszej prośby pozytywną opinią.

- Oczywiście ma pan do tego prawo, sir - powiedziała lodowatym tonem Simpson.

- Osobiście nie postrzegam tego jako prawa, ale jako obowiązek - odparł równie „serdecznie” Caddell-Markham. - Szczerze mówiąc, moim zdaniem wasz plan nazbyt wielkie nadzieje wiąże z domniemaną bezbronnością Manticore po niedawnym ataku. Trudno mi znaleźć cokolwiek, co uzasadniałoby podobny optymizm, nie wydaje mi się też

możliwe zweryfikowanie waszych szacunków co do ich strat. Gotów jestem zmienić zdanie, jeśli otrzymam materiały wspierające przekonująco wasze podejście. Na razie jednak wszystko, co wiemy, znajdując się relatywnie blisko Manticore, sugeruje, że opinia Justyny jest jak najbardziej trafna i obrońcy terminalu nie dadzą się zaskoczyć. Z tego też powodu sądzę, że nasza Rada Dyrektorów zgłosi formalny sprzeciw wobec tej operacji, jako nieprzemyślanej, nazbyt pośpiesznie przygotowanej i grożącej nadzwyczaj wysokimi stratami.

Rozdział VIII

- Nie wiem, Luis.

Gubernator Oravil Barregos przerwał na chwilę, by upić łyk szczególnie udanego burgunda miejscowej produkcji, który admirał Luis Roszak podał do obiadu. Mimo nazwy nie przypominał smakiem prawdziwego burgunda ze starej Ziemi. Wyprodukowany nie z winogron, a ze złocistych śliwek uprawianych na planetach sektora Maya, kojarzył się raczej z intensywnie owocowym porto. Nikt nie konsultował nazwy z gubernatorem, ale Barregos bardzo lubił to wino, zwłaszcza z tego konkretnego rocznika. Tyle że w tej chwili trudno mu było się skupić na delektowaniu się trunkiem.

- Nie wiem - powtórzył, odstawiając z westchnieniem kieliszek i spoglądając na jego ciemną zawartość. - Pamiętam, jak oberwaliście w układzie Congo, i gdy słyszę teraz tego maniaka Rajampeta gardłującego za ostrym kursem, dostaję zimnych dreszczy.

Rozzak, z własnym kieliszkiem w dłoniach, wyprostował się i spojrzał uważnie na gubernatora sektora Maya, siedzącego po drugiej stronie niewielkiego kuchennego stołu. Znał Oravila Barregosa już od dłuższego czasu i nie słyszał dotąd, by wspominał o „zimnych dreszczach” przy jakiegokolwiek okazji. Zwłaszcza w kontekście planu Sepoy.

Tyle że nigdy dotąd nie byliśmy jeszcze tak blisko jego realizacji, pomyślał Roszak. No i żadna z naszych symulacji nie przewidywała wojny między Ligą a przeciwnikiem w rodzaju Manticore. Gdy dodać jeszcze do tego „tajemnicze rajdy” niezwyciężonej podobno floty, nawet

Aleksander Macedoński zwątpiłby w swoje kwalifikacje. A Oravil mógł mieć makiaweliczne ciągoty, ale nigdy nie uważał się za kogoś w rodzaju półboga!

- Zgadza się, że oberwaliśmy - powiedział po chwili. I to z mojej winy, gdy przyjrzeć się temu dokładniej.

Powiedział to bez mrugnięcia okiem i zaraz uniósł rękę, by powstrzymać Barregosa od wygłoszenia płomiennego zaprzeczenia.

- Nie mówię, że podjąłem złe decyzje - stwierdził. - W świetle tego, co wtedy wiedziałem, były właściwe. Moim błędem było zbyt ochocze uznanie, że cała nasza wiedza odpowiada prawdzie. Czy raczej, że nie zrozumieliśmy pewnych implikacji. Opierając się na tym, co zdarzyło się w układzie Monica, przewidzieliśmy, że użyte przez Mesę zgrupowanie Lufta może zostać wzmocnione jednostkami solarnej produkcji, i tak też się stało. Z góry przyjęliśmy jednak, że skoro tak, pociski także będą typowe dla SLN. Cała nasza taktyka opierała się na założeniu, że znamy dystans skutecznej odpowiedzi przeciwnika. - Wzruszył ramionami i spuścił oczy. - Wyszło jednak inaczej.

- Ale wtedy wszyscy popełnili ten błąd - zaznaczył Barregos. - Edie Habib i Watanapongse też tak myśleli.

- Oczywiście, że tak. Też nie potrafiał czytać w cudzych myślach, przyjęli więc najbardziej logiczny wariant. Nie było także żadnych sygnałów, by tamci holowali platformy. Platform faktycznie nie mieli, ale gdyby cokolwiek świadczyło o ich możliwej obecności, to byłby już sygnał. Znaliśmy przecież ogólną charakterystykę tych pocisków dalekiego zasięgu, które dzięki Technodyne zostały użyte w układzie Monica, i rozważylibyśmy chociaż taką możliwość, że Mesa dostarczyła je również Luftowi. Niemniej rzecz w tym, że ja tam dowodziłem. Nie mogę powiedzieć, że tylko „wykonywałem rozkazy”, jak słyszymy

często, o wiele za często, od różnych oficerów i polityków. Ja byłem tam od wydawania rozkazów i od ponoszenia odpowiedzialności. I gdybym porządniej się zastanowił i nie podszedł tak blisko, takich strat by nie było. Przecież nawet przy ich nowym uzbrojeniu zasięg naszych pocisków był większy. Chciałem jednak na tyle skrócić dystans, by osiągnąć jak największą celność, nadal jednak pozostając poza granicą ich skutecznego ognia. Gdybym był ostrożniejszy, przyjąłbym bardziej złożony plan ogniowy. Oznaczałoby to większe zużycie amunicji, ale oni nie byliby w stanie zadać nam poważnego ciosu. Zapewne wyszlibyśmy z tego bez żadnych strat.

- Nadal uważam, że to nie twoja wina - podkreślił Barregos. - Podczas przygotowań do bitwy można opierać się tylko na tych informacjach, które ma się w ręku. Nie jestem admirałem, ale tyle przecież wiem. A po drugie, żaden plan nie jest w stanie przetrwać kontaktu z nieprzyjacielem. Też pewnie wiele razy to słyszałeś, a ja mogę cię zapewnić, że w polityce to działa tak samo. Poza tym, jakkolwiek poniosłeś straty, oni wyszli na tym jeszcze gorzej. I też musieli być solidnie zaskoczeni, gdy się okazało, jak podzieliłeś swoje siły. Jasne, oberwałeś bardziej, niż ktokolwiek tutaj oczekiwał, ale ostatecznie wygrałeś tę walkę. Wygrałeś przez nokaut, ponieważ byłeś przygotowany na spotkanie z panem Murphym, gdy jego prawa dały o sobie znać.

- Z tym się zgodzę - przyznał Roszak z uśmiechem. - Ale na zasadzie skojarzenia muszę powiedzieć, że i ty zrobiłeś wiele, by nasze plany nie runęły przy pierwszym poważniejszym potknięciu. Mimo że mnóstwo naszych ludzi zginęło w układzie Congo, nadal mamy obsadzoną większość kluczowych stanowisk, a na dodatek trudno mi sobie wyobrazić dogodniejszą chwilę na ruszenie z planem Sepoy niż teraz,

przy okazji całej tej sprawy z Manticore. Tyle że musimy być gotowi do improwizacji, gdy wujaszek Murphy zapuka do naszych drzwi. W polityce potrafi być równie aktywny.

Barregos wpatrywał się przez chwilę w admirała, po czym parsknął śmiechem.

- Na zasadzie skojarzeń, tak? Dobra, trafiony, zatopiony. Ale to będzie trochę co innego niż obrona Torch przed naruszeniem edyktu. Jeśli ruszymy z planem Sepoy, spalimy za sobą mosty. Będziemy musieli stawić czoło Flocie Granicznej, a może nawet Battle Fleet, a daleko nam do możliwości Manticore.

- Mam nadzieję, że uda nam się odczekać jeszcze trochę - powiedział Roszak. - Owszem, jest ryzyko, że to nie wypali, ale przypomnij sobie pogłoski dobiegające z innych sektorów pozostających pod nadzorem Biura. Sądzę, że sytuacja zmienia się o wiele szybciej, niż Kołokolcow i Rajampet są skłonni przypuszczać. Szybciej nawet, niż nasze prognozy przewidywały, a głównym czynnikiem napędzającym jest konfrontacja z Manticore, która pokazała wszystkim światom Pogranicza, że Liga Solarna nie jest niezwyciężona. Jestem pewien, że Kołokolcow wspiera tak bardzo MacArtneya i Rajampeta z obawy, co z tego może wyniknąć, ale przypuszczam, że żaden z nich nie dojrzał do zrozumienia, że Protektoraty mogły odczytać niedawne sygnały dokładnie tak samo jak niezależne układy. Sądzę, że czeka ich przykre przebudzenie, i to już niebawem, ale gdy do tego dojdzie, będą zbyt zajęci gaszeniem pożaru na własnym podwórku i nasza akcja zginie w powszechnym chaosie. Może nie całkiem i może tylko z początku, ale raczej nie wyślą tu floty. Będzie im bardzo potrzebna gdzie indziej. Zwłaszcza jeśli wszem i wobec zaczniemy głosić, że ani w głowach nam jakikolwiek bunt, i przedstawiać się jako te dobre misie, w stu dwudziestu procentach

lojalne wobec Biura Bezpieczeństwa Granicznego i robiące, co w naszej mocy, by utrzymać należyty ład i porządek w okolicy.

Barregos zmarszczył czoło i wpatrzył się gdzieś przed siebie. Potem odetchnął głęboko i spojrzał ponownie na gospodarza.

- Może i masz rację - powiedział z zastanowieniem. - Może faktycznie ich uwaga będzie zwrócona całkiem gdzie indziej. Zakładając, że nie rozjadą Manticore z wdziękiem walca drogowego. Bo i to może się zdarzyć, zwłaszcza po niedawnym ataku.

Roszak pokiwał ze smutkiem głową. Nikt w sektorze Maya nie wiedział, jakie dokładnie straty poniosło Manticore z rąk nieznanego przeciwnika. Wszystko zdarzyło się ledwie pięć tygodni wcześniej, a układ Maya znajdował się w odległości dziesięciu dni drogi od podwójnego układu Manticore, zakładając użycie w tej podróży terminali Hennesy, Terre Haute i Erewhonu. Wiedzieli wszakże, że w odróżnieniu od wcześniejszej bitwy o Manticore tym razem największe, wprost przerażające straty poniosła ludność cywilna. Wiele sugerowało także, że zniszczona została poważna część potencjału przemysłowego Imperium. Mogło to mieć poważne konsekwencje dla przebiegu konfliktu z Ligą Solarną, a brak jasności, kto stał za tym atakiem, zwiększał jeszcze niepewność sytuacji.

- Nie twierdzę, że Manticore wyjdzie z tego bez szwanku - powiedział admirał. - Nie wiemy, jak mocno oberwali, ale na pewno nie chciałbym być na ich miejscu. Z drugiej strony, wychodzili już z niejednego bagna i zwykle kończyło się to fatalnie dla ich przeciwników, dlatego nie myślę jeszcze spisywać ich na straty. Zwłaszcza że nie zachowują się wcale jak przegrani. Chicago ma ciągle sto i jeden powodów, by koncentrować na nich całą swoją uwagę, i trochę jeszcze tak będzie. Na dodatek fakt, że Erewhon nie należy już do

Sojuszu, działa na naszą korzyść. Ziemia chwilowo nie patrzy w tę stronę i jeśli będziemy konsekwentnie donosić w meldunkach, jak to nasze inwestycje w tym układzie coraz silniej wiążą go z Ligą, pewnie kupimy sobie trochę spokoju.

- Być może - stwierdził Barregos. Sam też myślał w ten sposób, i to od samego początku.

- Nowe konstrukcje wyrównały już z nadwyżką straty poniesione w Congu - powiedział Roszak. - Od wdrożenia naszego programu rozbudowy floty minęło już dwa i pół roku, a Carlucci Group wyprzedza nawet harmonogram, gdy chodzi o budowę najcięższych jednostek. Niewiele wprawdzie i miną jeszcze ze dwa lata, nim będziemy mogli wprowadzić pierwszego superdreadnoughta do służby, ale lżejsze okręty będą gotowe znacznie wcześniej. No i otrzymaliśmy już pierwsze partie wielostopniowych pocisków przydadzą się, bo pierwsze krążowniki liniowe zdolne do holowania zasobników pojawią się za jakieś dziesięć miesięcy. Próby stoczniove powinny się rozpocząć w połowie października. Jakkolwiek stoi Manticore, jestem cholernie pewien, że wytrwają co najmniej tak długo, i nieważne, co geniusz strategiczny Rajampeta jeszcze mu podpowie. Już sam czas przelotu bez korzystania z wormholi robi swoje. Tak jak powiedziałem, Kołokolcow i MacArtney będą zbyt zajęci konkretnymi zagrożeniami, by zwracać uwagę na nasze dyskretne poczynania. W tej sytuacji jestem niemal pewien, że gdy zauważą nasz bunt, będziemy mieli w linii co najmniej kilka eskadr superdreadnoughtów.

Barregos ponownie pokiwał głową, chociaż Roszak nie przekazywał mu niczego nowego. Gubernator wiedział też dobrze, że przyjęty przez nich plan wymaga uważnej realizacji. Już lata temu przewidział nadchodzącą właśnie burzę, chociaż nie sądził, że będzie to konflikt

między Ligą a Gwiezdnym Imperium. Ale tym lepiej, bo powinno zadać to aroganckim elitom Ligi Solarnej cios o wiele silniejszy, niż wcześniej Barregos śmiałby oczekiwać. Sam musiał tylko nauczyć się odnajdywać w tym sztormie, umiejętnie wykorzystując dzikie podmuchy i ściany deszczu.

Skydiving w burzy nie jest zaś z pewnością bezpieczną rozrywką, przypomniał sobie w duchu. Chyba pora, byś zdecydował się ostatecznie, czy masz jaja, by się do tego zabierać.

Upił kolejny łyk wina i wspomniawszy wszystkie lata starannego układania planów, cichej rekrutacji i zawierania kontraktów budowlanych, które doprowadziły go do tego miejsca. I zrozumiał, że chociaż nadal nie jest pewien sukcesu, bez dwóch zdań chce spróbować.

Nikt, kto spotkał kiedykolwiek Oravila Barregosa, nie mógł wątpić, że ma do czynienia z człowiekiem ambitnym. On sam też o tym wiedział i pogodził się z wizerunkiem siebie jako kogoś, kto nie umie usiedzieć spokojnie, dopóki nie wespnie się na sam szczyt. Dopóki nie stanie się najważniejszym, kimś podejmującym decyzje, miast je wykonywać. Zdolnym przekonać innych, że to on jest najmądrzejszy, najszlachetniejszy i najlepiej przygotowany do sprawowania władzy. Nie gardził przy tym bogactwem i wiążącymi się z zajmowaniem wysokiej pozycji przywilejami.

Dzięki tym cechom pasował idealnie do hołubionego przez Biuro Bezpieczeństwa Granicznego profilu osobowościowego najlepszych kandydatów na stanowisko komisarza czy gubernatora sektora. W znacznym stopniu wyjaśniało to, jak doszedł do obecnych zaszczytów. Nie wyjaśniało jednak wszystkiego, i to było akurat najważniejsze, ponieważ banda biurokratów, która uznała go za „swojego człowieka”, popełniła fatalny błąd. Nie poznali się na jego odmienności.

Rzecz w tym, że Barregos naprawdę dbał o tych, którym przewodził. Nie tylko dostrzegał rozpad i zgniliznę Ligi oraz beznadziejną korupcję Biura, ale rozumiał, do czego to prędzej czy później doprowadzi.

Niezależnie od zamysłów jego i Roszaka, niezależnie od powodzenia planu, któremu wielu ludzi poświęciło wiele lat ciężkiej pracy, zbliżał się konflikt, który mógł tylko przyspieszyć nadejście tej burzy, jaka ogarnie całą zamieszkaną przez ludzi część galaktyki. I o to przede wszystkim chodziło. Gdy nawałnica rozszaleje się na całego, chaos i zamieszanie, które towarzyszą upadkowi każdego imperium, dotrą także do światów Protektoratu. Też pojawią się na nich samozwańczy władcy, gotowi wykorzystać rozkwit przemocy do realizacji własnych celów. Sektor Maya nie mógł oczekiwać, że pozostanie bezpieczny. Jako szczególnie bogaty tym bardziej miał przyciągnąć bandytów, piratów i różnych watażków.

Jednak dla ludzi, którzy pozostawali pod rządami Orawia Barregosa, nie miało to oznaczać końca ich świata, bólu czy cierpienia. Nie zamierzał do tego dopuścić i dlatego właśnie budował wraz z Roszakiem potęgę mającą pozwolić na oparcie się wichrowi.

Sposób po temu był tylko jeden - samemu stać się mocnym. A jeszcze lepiej najsilniejszym w całej okolicy.

- Masz rację, Luis - powiedział, stawiając kieliszek na blacie. Spojrzał znowu na admirała, który był nie tylko współspiskowcem, ale także najlepszym przyjacielem. - Masz rację - powtórzył z uśmiechem. - Spróbujmy zatem zrobić coś z moimi zimnymi dreszczami. Roszak odpowiedział uśmiechem i uniósł swój kieliszek.

- I za to wypiję.

Rozdział IX

- Przypuszczam, że o tych przeklętych jednostkach amunicyjnych nadal nic nie słyhać?

Admirał floty Massimo Filareta był mężczyzną o wodzowskiej posturze. Przy wzroście wynoszącym metr dziewięćdziesiąt, szerokich barach, ciemnych oczach i ostro zarysowanym podbródku, z krótko przyciętą brodą musiał po prostu budzić respekt. Zwłaszcza wówczas, gdy wpadł w złość, a to była właśnie jedna z takich chwil. Admirał John Burrows, szef sztabu Filarety, lokował obecny stan ducha przełożonego gdzieś pomiędzy „wkurzeniem” a „wkurwieniem”, ze znacznikiem zdążającym szybko w górę skali. Reszta sztabu pilnie wpatrywała się w wymagające obserwacji punkty na pokładzie, część zaś uległa nagłej fascynacji tapetami wyświetlanymi na ekranach kompów.

- Nie, sir, niczego nie dostaliśmy - odparł spokojnie niski i jasnowłosy Burrows.

Pracował z Filaretą już dość długo, by osiągnąć niejaką biegłość w „zarządzaniu”

nastrojami admirała, który nawet zdawał sobie z tego sprawę i nie protestował, wyczuwając, iż najlepiej jest właśnie wtedy, gdy ktoś dyskretnie nim steruje. Nie doszedłby do obecnego stanowiska bez koneksji rodzinnych, ale zdaniem Burrowsa zaliczał się też do garstki wyższych oficerów, którzy byli naprawdę kompetentni. Nie bał się pracy, myślenie go nie bolało i zwracał uwagę na szczegóły, które większość dowódców ignorowała albo pozostawiała swoim podwładnym, jakby ci byli za mało obciążeni robotą. Z drugiej strony

był impulsywny i emocjonalnie rozchwiany; potrzebował Burrowsa, by pomagał mu trzymać rozsądny kurs czy wracać na ziemię po uniesieniach. Dlatego też szef sztabu z rutynowym spokojem stawiał czoło humorom przełożonego i nie robił z tego sprawy, chociaż wielu patrzyło na niego z podziwem zarezerwowanym zwykle dla treserów aligatorów, mistrzów skydivingu i tym podobnych postaci ze świata buzującej adrenaliny.

- Kiedyś by coś przysłali! - warknął Filareta i tym razem Burrows tylko pokiwał głową, świadom, że admirał znał odpowiedź, zanim jeszcze zadał tak ważne pytanie.

Filareta zacisnął zęby i odwrócił się do głównego ekranu, gdzie na pierwszym planie jaśniała gwiazda o nazwie Tasmania. Dławiąc w sobie złość i narastającą frustrację, założył ręce za plecami i splótł mocno dłonie. Starał się zapanować nad sobą, chociaż najchętniej dałby upust wściekłości, najlepiej w klasyczny sposób, z wrzaskiem, pluciem śliną i przekrwionymi oczami. To najskuteczniej ukoiłoby skrywany gdzieś głęboko strach, do którego admirał nie potrafił się przyznać nawet przed sobą. Niestety, byłaby to ulga chwilowa, poza tym odgrywanie dramatycznych scen byłoby w tej chwili nie na miejscu. I nie chodziło tylko o sztab, ale także o wszystkich dowódców z największej grupy bojowej, jaką Liga Solarna wystawiła w ośmiusetletniej historii swoich sił zbrojnych.

- Dobrze - powiedział, czując, że odzyskał samokontrolę. - Skoro już tutaj utknęliśmy i musimy czekać z rękami w kieszeniach, aż nasi szanowni koledzy raczą się zjawić, chyba równie dobrze możemy się przyjrzeć wynikom wczorajszych ćwiczeń. - Obejrzał się przez ramię na admirała Williama Danielsa, swojego oficera operacyjnego. - Pierwsza piłka należy do ciebie, Bill.

- Tak, sir.

Piwnooki szatyn o nazwisku Daniels służył pod Filaretą niemal równie długo jak Burrows, ale nie był równie dobry w zdalnym sterowaniu admirałem. Teraz nie potrafił ukryć ulgi, że rozmowa dryfuje w bezpieczniejsze rejony niż kwestia spóźniających się bunkrów amunicyjnych.

- Po pierwsze, sir, chciałbym zauważyć, że grupa admirał Haverty świetnie się spisała na odcinku obrony przeciwraкетowej - powiedział.
- Znamy wszyscy opinię wywiadu Marynarki, iż nieznany autor ataku na układ Manticore unicestwił w znacznym stopniu ich system obrony. Mamy nadzieję, że w istocie tak się stało. Jeśli jednak jest inaczej, to co zaprezentowali ludzie admirał Haverty, będzie nam bardzo potrzebne. Chciałbym zwrócić uwagę zwłaszcza na tę konkretną salwę. - Uruchomił przygotowaną wcześniej prezentację i nad stołem pojawił się szczegółowy wykres kursów, zatrzymany w konkretnym miejscu. Ikony oznaczające wspomnianą salwę migotały szkarłatem. - Jak widzicie, dostosowaliśmy warunki symulacji do najnowszych danych na temat skutecznego zasięgu pocisków przeciwnika. Wprawdzie nadal nie wiemy, ile dokładnie on wynosi, ale w symulacji uznaliśmy za właściwe zwiększenie go o pięćdziesiąt procent, przy czym nie ostrzegliśmy o tym wcześniej uczestników ćwiczeń. Mimo to, gdy prześledzicie działania admirał Haverty podjęte w chwili wykrycia nadlatującej salwy... - Animacja ruszyła z miejsca i ikony zaczęły się przesuwać przez pole widzenia. - Gdy je prześledzicie, dostrzeżecie z pewnością...

*

- Co sądzisz o analizie Daniela i zachowaniu Haverty? - spytał później Filareta, spoglądając na Burrowsa.

Siedzieli w olbrzymiej jadalni admirała floty nad resztkami obfitego lunchu. Burrowsa zawsze zdumiewało, ile jego przełożony potrafi pochłonąć, jakimś cudem w ogóle od tego nie tyjąc. Z drugiej strony pilnował regularnych ćwiczeń, no i miał jeszcze inne... zainteresowania.

- Sądzę, że analiza była całkiem trafna, sir. - Szef sztabu upił trochę wina. - Podobnie jak pan, uważam też, że zapewne będziemy musieli podkręcić jeszcze trochę parametry symulacji, ale zgadzam się też z Danielsem, że w ramach zastosowanych parametrów Haverty poradziła sobie całkiem dobrze. Niemniej pozostaje pytanie, jak daleko zamierzamy pójść w próbie odtwarzania przewagi taktycznej zespołów Manticore.

Filareta był świadom, że niewielu oficerów byłoby skłonnych podjąć ten temat, niemniej Burrows miał rację. Gdyby wprowadzili dane zgodne z niektórymi meldunkami o rzeczywistym zasięgu stosowanych przez RMN wielostopniowych pocisków, morale załóg mogłoby doznać istotnego uszczerbku.

Gdyby zaś jeszcze uznać, że nie tylko zasięg, ale i celność są dokładnie takie, jak niektóre źródła donosiły, żadne ćwiczenia nie miałyby sensu. Niezależnie od umiejętności załóg staliby się w tych starciach mięsem armatnim.

Nie była to refleksja, którą Filareta gotów był podzielić się z kimkolwiek, nawet z Burrowsem, chociaż podejrzewał, że jego szef sztabu sam doszedł do podobnego wniosku. Z drugiej strony Burrows skłaniał się ku opinii, zapewne całkiem słusznej, że wystrzelone w Spindle pociski pochodziły z zasobników obrony układowej, nie z pokładowych baterii. Rakiety o takim zasięgu musiały po prostu być wielkie i żaden okręt nie mógł zabrać ich tyle, by wystarczyło to na porządną salwę. Czyli taką salwę, o jakiej tam meldowano. Jeśli zaś

podstawą obrony były zasobniki rakietowe, Rajampet mógł mieć rację, mówiąc, że po styczniowym ataku Manticore zostało pozbawione możliwości odtwarzania ich zapasów.

Niestety, Filareta miał się zjawić w układzie Manticore dopiero sześć miesięcy po tym ataku i wbrew opinii Rajampeta obawiał się, że obrońcy zdołają do tego czasu odbudować przynajmniej część tego, co stracili. Co więcej, było jeszcze kilka spraw, o których Burrows nie wiedział, admirał zaś nie miał uprawnień, by dzielić się z nim tymi informacjami.

Filareta też sięgnął po wino, chociaż pogrążony we własnych myślach nie bardzo był w stanie docenić smak trunku. Od dwóch tygodni, kiedy to otrzymał rozkazy dotyczące operacji Sprawiedliwy Gniew, myślał tylko o niej, chociaż o prawdzie temat chodził mu po głowie od chwili, gdy usłyszał o klęsce Sandry Crandall. A dokładniej o kulisach całej operacji, przedstawionych w materiałach rozpowszechnianych przez Manticore.

Wiedział doskonale, że Burrows nie wierzy w twierdzenia przeciwnika, jakoby to Mesa czy Manpower doprowadziły celowo do incydentu w Quadrancie Talbott. Jego szef sztabu nie był dziewicą polityczną i rozumiał, że korporacje mogą wpływać na politykę dowództwa Marynarki Wojennej, ale uważał za bzdurę sugestie, że jakaś korporacja, nawet najpotężniejsza, miałaby dyktować konkretne działania czy decydować o dyslokacji flot. Zaliczał takie myślenie do teorii spiskowych i trzymał się z dala od paranoików.

Myślałby inaczej, gdyby wiedział to, co wiedział Massimo Filareta.

Admirał floty nie potrafił przesądzić, czy Crandall była w jakikolwiek sposób sterowana przez Manpower, ale w swoim przypadku nie miał żadnych wątpliwości.

Zdawał sobie sprawę z krążących o nim pogłosek. Nie tylko tych, które opisywały go jako człowieka lubiącego się zabawić, ale także tych mroczniejszych, dotyczących specyficznych upodobań. Tyle że chyba nikt nie znał prawdy. Albo całej prawdy. Nikt, poza jego „przyjaciółmi” z Manpower, którzy pomagali mu od dawna w zaspokajaniu tych starannie skrywanych potrzeb. Wspierali go też na inne sposoby i wiedział, że któregoś dnia zażądamy spłaty długu. Niemniej nie spędzało mu to snu z powiek. Jego zdaniem każdy system działał w ten właśnie sposób, a że chodziło o coś, co nawet według luźnych standardów moralnych Ligi Solarnej mogłoby zostać uznane za naganne, to już inna sprawa.

Nie zdziwił się, gdy jeden z owych „przyjaciół” wyjaśnił dlaczego niektórym osobom zależy na objęciu przez niego dowództwa zespołu stacjonującego w układzie Tasmania. Chciano, by obecność tak dużej siły w pobliżu terenów Manticore zniechęcała tamtych do działań mogących zagrozić Manpower. Dlatego potrzebowali na stanowisku dowódczym kogoś zaufanego, kto będzie umiał w razie potrzeby wytłumaczyć RMN, gdzie jest jej miejsce.

Dlatego też trudno było mu wykluczyć ewentualność, że Crandall otrzymała wcześniej podobne zadanie w Quadrancie Talbott. Zwłaszcza teraz, gdy tkwił tu, czekając na dostawę tych przeklętych pocisków. To był ostatni element układanki, która nie pozwalała mu uznać własnych obserwacji za przejaw paranoi i wzorem Burrowsa zasufladkować ich jako „teorii spiskowych”.

Rozkaz przygotowania się do odbioru dużego transportu amunicji nadszedł 11 kwietnia, przy czym zaznaczono, że powinien uporać się z tym najpóźniej do 25 kwietnia. Oczywiście ten konwój był już w drodze i mimo napiętego terminarza powinno udać się załatwić tę sprawę

przed wyznaczoną datą wyruszenia w drogę. Wszystko szło jak należy, ale dwa dni później przyszedł kolejny rozkaz dotyczący przyjęcia transportowców z najnowszymi pociskami antyokrętowymi i antyrakietowymi, dopiero co wyprodukowanymi przez Technodyne. W rozwinięciu rozkazu znajdowała się informacja, że nie opóźni to terminu rozpoczęcia operacji o więcej niż 48 godzin, zakładając oczywiście, że konwój zjawi się o czasie.

Najpierw był bardzo zaskoczony, że Technodyne dostarcza cokolwiek flocie, zważywszy na burzę prawną, która rozszalała się jakiś czas temu nad głowami wielkich producentów broni. Potem jednak doczytał rozkaz i odkrył, że rzekomy prezent od Technodyne został tak naprawdę załadowany w układzie Mesa.

Co było trochę dziwne, ponieważ Technodyne nie miało tam żadnych zakładów produkcyjnych.

Owszem, centrala korporacji mieściła się właśnie na Mesie, zatem listy przewozowe mogły nosić sygnatury tej planety, ale skąd na Mesie pociski? I to nowe, wyprodukowane właśnie przez Technodyne. Chyba że pochodziły ze składów należących do kogoś innego niż SLN, ale ulokowanych właśnie w tym układzie.

Burrows chyba nie wyłapał tej nielogiczności, podobnie jak nie przyjrzał się dokładnie listom przewozowym. Gdyby to zrobił, doczytałby, że transport z Mesy został podobno zawrócony z drogi do innego punktu przeznaczenia, tak samo jak kilka eskadr superdreadnoughtów. Tyle że admirał Filareta umiał czytać między wierszami. Był pewien, że wspomniany konwój opuścił Mesę, zanim jeszcze dowództwo na Ziemi przygotowało rozkazy dotyczące operacji Sprawiedliwy Gniew. I nikt tego transportu nie zawracał. Od samego początku był przeznaczony dla Tasmanii, co sugerowało z kolei, że te

same osoby, które miały na Mesie tajemnicze składy amunicji, z wyprzedzeniem wiedziały, jakie rozkazy otrzyma zespół Filarety.

Owe rozkazy zaś pojawiły się w konsekwencji tego, co przydarzyło się Sandrze Crandall.

Gdy wzięło się to wszystko pod uwagę, fantastyczne teorie Manticore na temat Mesy przestawały brzmieć aż tak niewiarygodnie. To zaś, że Technodyne opracowało nowy typ wielostopniowego pocisku dalekiego zasięgu dokładnie w chwili, gdy analitycy z Old Chicago zdali sobie sprawę z posiadania takiego uzbrojenia przez flotę Manticore, nie wyglądało na czysty zbieg okoliczności. Czy też inaczej, Filareta nie wierzył w takie „przypadki”.

Nie, to nie przypadek, pomyślał, odstawiając kieliszek. A ty jesteś psem, którego poszczuto na Manticore. Tak samo jak Crandall. Niemniej musiał w tym tkwić ktoś jeszcze, ktoś urzędujący w Układzie Słonecznym. Inaczej cała ta szopka z transportem pocisków nie miałaby prawa się udać. Być może tą osobą był Kingsford. Wystarczająco znał Rajampeta, by wiedzieć, za jakie sznurki pociągnąć. Albo i sam Rajampet. Filareta nie podejrzewał go o talenty konspiracyjne, ale ktoś mógł podpuszczać oficera w identyczny sposób jak Crandall. Czy jego samego. Chociaż w takich sytuacjach nie trzeba koniecznie udziału kogoś z samej góry. Zwykły urzędnik usadzony na dobrym miejscu w dziale logistyki też byłby w stanie niejedno załatwić, szczególnie w tej sprawie z pociskami. Ale w sumie nie było ważne, jak to zorganizowali. Ciekawsze było to, czy umieścili go na stanowisku dowódcy zgrupowania w układzie Tasmania na wszelki wypadek, czy też może z góry wiedzieli, że Crandall dostanie łupnia? Bo jeśli rozmyślnie wysłali ją na stracenie, to samo mogło dotyczyć jego...

Z drugiej strony nie rozumiał, w jaki sposób Mesa mogłaby skorzystać na zagładzie kilkuset ciężkich jednostek Ligi Solarnej. Chociaż... nie dostrzegał też żadnych korzyści płynących z klęski Crandall. Albo się zatem przeliczyli, albo wiedzieli coś jeszcze, o czym on nie miał najmniejszego pojęcia.

Żadna z tych ewentualności nie przydawała mu pewności siebie.

*

Technik od niechcienia pokazała swoją kartę identyfikacyjną i podsunęła dłoń pod skaner u wejścia na mostek flagowy SLNS *Philip Oppenheimer*. Czujnik porównał dane biometryczne z odczytanym właśnie DNA i błysnął zielenią. Dopiero wtedy wachtowa zwróciła uwagę na nowo przybyłą i uniosła w zdumieniu brwi.

- Proszę o pozwolenie wejścia na mostek, ma'am - powiedziała technik i zasalutowała. Także trochę niedbale.

- Mamy jakąś awarię, o której nie wiem, pani mat... Harder? - spytała, sprawdzając odczyt z karty i dopiero wtedy oddając salut.

- Nie sędzę, ma'am - odparła Harder. - To tylko rutynowa kontrola. Zgodna z grafiką i w ogóle. Gdyby ktoś jednak coś przeoczył. Albo czegoś nie zapisał.

Ton Harder wskazywał jednoznacznie, że bardzo nie lubiła sprzątać po innych.

- Główny inżynier przysłał mnie na wszelki wypadek - dodała. - Wszystko jest pewnie w najlepszym porządku, ale zważywszy na okoliczności, kapitan Hershberger nie chce ryzykować.

- Ostrożności nigdy za wiele - powiedziała wachtowa i skinęła na Harder, by wzięła się do pracy.

Pani podoficer wyciągnęła minikompa, dwa razy sprawdziła numer inwentaryzacyjny stanowiska i podeszła do konsoli admirała Danielsa,

gdzie zdjęła panel z obudowy uruchomiła swój moduł diagnostyczny. Potem wprawnie wsunęła się między gąszcz molekularnych obwodów.

*

- To już coś - mruknął pod nosem Anton Zilwicki.

Siedział na stanowisku łączności znajdującym się na ciasnym mostku jednostki kurierskiej Republiki Haven. Był to niewielki stateczek, którego sensory miały nieporównywalnie mniejszy zasięg niż te montowane na prawdziwych okrętach wojennych, sam sprzęt też był o wiele prostszy. Wszystkie istotne dane musiały trafiać od razu na główny ekran i zwykle to oficer łączności był odpowiedzialny za ich stały dopływ. Tak się jednak złożyło, że przydzielony do załogi łącznościowiec wylądował akurat w izbie chorych, i to z dość kuriozalnego powodu: wyrzynał mu się ząb mądrości. Inna sprawa, że wspomniany specjalista wyglądał na jakieś dwanaście lat.

Zilwicki miał to za smutne świadectwo kiepskiej opieki medycznej, a zwłaszcza profilaktyki, za czasów Ludowej Republiki Haven. Obecna Republika starała się nadrobić braki, co obejmowało także i stomatologię, ale jak na razie nie zdołała jeszcze nadgonić opóźnień.

Szczęśliwie dla porucznika Dahmera, który dowodził jednostką, Anton Zilwicki zdążył zapomnieć ze swoich łącznościowych umiejętności więcej, niż chory załogant miał okazję dotąd się nauczyć. Dlatego też siedział teraz na jego stanowisku, pochylony i wpatrzony w migoczące ikonki, podczas gdy stateczek przyspieszał, lecąc w kierunku planety Haven.

- Co? - spytał po chwili Cachat i Zilwicki obejrzał się Przez ramię.

- Co „co”?

- Powiedziałaś, cytuję, „To już coś”.

- Tak? - Zilwicky uniósł brwi i westchnął. - To niepokojące, Victorze. Myślę o mówieniu do siebie. - Pokręcił głową. - Mam nadzieję, że uda ci się uniknąć podobnej demencji, gdy będziesz w moim wieku.

Victor Cachat odpowiedział mało życzliwym spojrzeniem. Był człowiekiem w szczególny sposób utalentowanym, chociaż zakres jego nadzwyczajnych kompetencji przedstawiał się dość wąsko. Zabić kogoś? Włamać się po cichu, obalić rząd, zaważczyć z korupcją, wyszukać i zneutralizować szpiega? Victor Cachat załatwi to lewą ręką przez sen. W tym fachu był jedynym w swoim rodzaju artystą.

Ale poza owym specyficznym obszarem jego profesjonalizm nagle się ulatniał. Gdy chodziło o elektronikę, to owszem, różne maszyny piekielne zwykle go słuchały, jednak przy bardziej pokojowych zastosowaniach zaczynały się, delikatnie rzecz ujmując, niejaki kłopoty. Jak zauważyła kiedyś Thandi Palane, Cachat był jedynym człowiekiem we wszechświecie, który całkiem niechcący zdołał doprowadzić do eksplozji naręcznego chronometru. Zilwicky zaś był jednym z najlepszych hakerów w tej galaktyce i nic, co zawierało elektronikę, nie śmiało stawić mu oporu. Na dodatek przeszedł pełne wykszolenie oficera liniowego i czuł się na mostku jak w domu, z dziecinną łatwością przyswajając dane ze wszystkich wyświetlaczy.

- Przykro by mi było, gdyby nasza znajomość nagle dobiegła końca - powiedział Cachat, dla którego mostek był środowiskiem obcym, może nawet wrogim. - Zwłaszcza gdyby stało się to z powodu nieprzewidzianego ustania czynności życiowych jednego z nas.

- Naprawdę? - spytał Zilwicky z pełną powagą, chociaż w jego ciemnych oczach błysnęły iskierki wesołości, usta zaś drgnęły lekko. - Nie czujesz się dobrze, Victorze? Mam nadzieję, że zęby cię nie bolą?

- Nie. Ja akurat czuję się wyśmienicie - odparł Cachat z szerokim uśmiechem.

- Przestańcie! - rzuciła siedząca za nimi Yana. Obaj mężczyźni obejrżeli się na nią, ona zaś pokręciła głową z wyraźnym zgorzeniem. - Słowo daję, że widywałam bardziej dojrzałych trzylatków!

- Ale to on zaczął! - zawołał Cachat, pokazując palcem na Zilwickiego.

- Wcale nie.

- A właśnie, że tak!

- Nie!

- Tak!

- Cisza! - Yana palnęła Cachata w tył głowy, po czym pogroziła Zilwickiemu palcem.

- A ty go nie prowokuj! I nie tylko jego zresztą. Nie myśl sobie, że będę na to spokojnie patrzyła.

- A z czystej ciekawości, co zamierzasz zrobić? - spytał spokojnie Anton.

- Ja? Nic - powiedziała ze słodkim uśmiechem. - W każdym razie nie wprost. Poskarżę się na twoje zachowanie Jej Wysokości. Chyba nie chcesz, by Berry wezwała cię na dywanik za dokuczanie Cachatowi?

Zilwicki spojrzał na nią z namysłem i wzruszył ramionami. Jego córka nie była raczej skłonna „wzywać go na dywanik”, chociaż na pewno okazałaby niezadowolenie. Tak czy inaczej. No i Yana miała rację. Berry darzyła Cachata, tego wielokrotnego mordercę i zwiastuna chaosu, dziwnie pozytywnymi uczuciami. A poza tym...

- Dobra - powiedział. - Mam dla was dobrą i złą wiadomość. Zła jest taka, że nigdzie nie widzę ani śladu Ósmej Floty. Dobra, że ten układ planetarny ciągle istnieje. Zapewne więc nie zastaniemy księżnej

Harrington na planecie, ale nie wydaje się, by negocjacje załamały się w szczególnie dramatyczny sposób.

- A jesteś pewien, że dostrzegłbyś Ósmą Flotę, gdyby tu była? - spytał Cachat. Zilwicki wzruszył ramionami. - Sam mówiłeś, że te sensory to prawie złom, a wszyscy wiedzą, że RMN potrafi maskować się lepiej niż ktokolwiek inny.

- To prawda - zgodził się Anton. - Z drugiej strony twoja znajoma Justice donosiła, że Ósma Flota wcale nie próbowała się kryć. Po pierwsze dlatego, by administracja Pritchard nie miała żadnych, najmniejszych nawet wątpliwości, że księżna Harrington dysponuje naprawdę całym wachlarzem argumentów. A po drugie, tkwienie tutaj tak długi czas w pełnym maskowaniu dałoby waszym specjalistom zbyt dobrą okazję do przestudiowania technologii stealth stosowanej przez RMN, i to w laboratoryjnych wręcz warunkach. Innymi słowy, gdyby nadal tu była, dostrzegłbym ją nawet z pomocą tego archaicznego sprzętu.

Wskazał na ekran, udający prawdziwe serce systemu i Cachat skinął głową. Ktoś, kto go dobrze znał, dostrzegłby w tym geście wyraźny ślad zatroskania.

- Spokojnie, to jeszcze nie koniec świata, Victorze - powiedział łagodniejszym tonem Anton. - Jak wspomniałem, nie ma śladu zniszczeń, a ponadto wyłapuję sygnały transponderów jednostek Capital Fleet. Gdyby doszło do nagłego kryzysu w rozmowach, tych okrętów byłoby znacznie mniej, więcej zaś wraków.

- To pewnie prawda - mruknął Cachat i otrząsnął się z ponurych myśli. - Wolałbym zastać tu księżną Harrington, i to z wielu powodów, ale i bez niej będziemy musieli sobie poradzić. Czy jesteśmy już dość blisko, bym mógł kogoś wywołać?

- Ciągłe mamy dwadzieścia pięć minut opóźnienia w łączności - powiedział Zilwicki.

- Chcesz wysłać pojedynczy przekaz czy zależy ci raczej na zwykłej rozmowie?

- Na razie przekaz chyba wystarczy - stwierdził Cachat po chwili namysłu. - Im wcześniej przygotujemy ich na nasze przybycie, tym lepiej.

- Dobra. Skoro tak, to bierz się do nagrywania tej przemowy.

*

Wachtowa oderwała się od papierkowej roboty dopiero wtedy, gdy technik Harder umieściła panel z powrotem na miejscu i zaczęła zwijać swój sprzęt.

- Były jakieś problemy?

- Żadnego, ma'am. - Mat uśmiechnęła się krzywo. - Ostatnia inspekcja najwyraźniej odbyła się jak należy, ale nie została odnotowana. Wszystko gra.

- I dobrze. - Oficer odpowiedziała uśmiechem. - Przykro mi że musiała pani fatygować się tylko po to, by potwierdzić wykonanie roboty, ale kapitan Hershberger ma rację. Tym razem wszystko musi być na wysoki połysk.

- Bez dwóch zdań, ma'am - powiedziała Harder i skierowała się do wyjścia.

*

Czterej mundurowi oczekujący na lądowanie wahadłowca mieli takie miny, jakby nie wiedzieli, kogo właściwie przyszło im witać. Szanownych gości, jeńców czy może maniakalnych morderców? Anton doszedł do wniosku, że skoro jednym z przybywających jest Cachat, rozterka gospodarzy mogła być nawet uzasadniona.

- Oficer Cachat? - spytał najstarszy z czwórki, patrząc na Victora.

- Tak - odparł tenże lekko zduszonym głosem.

- Zatem to będzie kapitan Zilwicki?

- Tak. A to jest Yana Trietiakowna - powiedział Cachat, przejawiając wręcz niepokojącą cierpliwość.

- Dziękuję, sir. Chyba nikt nie poinformował mnie wcześniej, kim jest ta czwarta osoba - powiedział dowódca grupy powitalnej, wskazując na Herlandera Simoesa.

- Też tak przypuszczam.

- Sir, obawiam się, że muszę poprosić o podanie mi tej informacji.

- Nie musi pan - odparł spokojnie Cachat.

- Sir, rozumiem, że przewyższa mnie pan stopniem, ale i tak będę nalegał. Zgodnie z rozkazem mam zaprowadzić was do Pericard Tower. Obawiam się, że ochrona prezydenta nie będzie skłonna wpuścić osoby, która zamierza pozostać anonimowa.

- Będą musieli zmienić przyzwyczajenia - oznajmił Cachat. - Nie upieram się bez powodu, panie... Bouchier - dodał, odczytawszy z plakietki nazwisko oficera. - Tożsamość tego człowieka, a nawet sam fakt jego istnienia, nie są czymś, co należy rozgłaszać. Po prawdzie wolałbym, aby nawet panowie go nie widzieli. Niemniej dyrektor Trajan, dyrektor Usher, prokurator generalny LePic i prezydent Pritchard powinni go poznać. A teraz, czy woli skontaktować się pan z kimś z tej czwórki i poprosić o zgodę na przepuszczenie gościa, czy zawierzy pan mojemu słowu?

- Proszę mi wierzyć - wtrąciła się Yana teatralnym szeptem. - Zdecydowanie bardziej woli pan to drugie wyjście, Bouchier przyjrzał się im i westchnął głęboko. Na pewno musiał usłyszeć co nieco o Victorze Cachacie.

- Niech będzie - powiedział. - Idźcie. Ale nie miejcie do mnie pretensji, jeśli agent Thiessen zastrzeli go zaraz na progu.

*

Jakieś półtorej godziny później Cachat, Simoes i Zilwicki zostali wprowadzeni do bezpiecznej sali konferencyjnej. Yana zrezygnowała z udziału w spotkaniu, gdy tylko dowiedziała się, kto jeszcze będzie obecny. Widać jej nonszalancja miała swoje granice.

Zilwicki nie miał jej tego za złe, zwłaszcza gdy przyjrzał się oczekującej ich grupie, składającej się z prezydent Eloise Pritchard, sekretarza wojny admirała Thomasa Theismana, prokuratora generalnego Denisa LePica, wiceadmirał Lindy Trenis z Biura Planowania Floty i kontradmirała Victora Lewisa z wydziału operacyjnego. Dodatkowo było jeszcze trzech ludzi z ochrony prezydenckiej, którzy wyglądali na bardzo nieszczęśliwych. Dokładnie tak, jak przewidział to Bouchier, który nie dał się łatwo zbyć. Nie skapitulował przed Cachatem i upierał się przy konieczności uzyskania zgody na udział Simoesa w zebraniu u jakiejś wyższej instancji. Wilhelm Trajan, dyrektor Federalnej Agencji Wywiadowczej, okazał się nieosiągalny, bo przebywał akurat gdzieś poza planetą, Bouchier skontaktował się więc od razu z LePikiem, ten zaś oświadczył, że zanim cokolwiek zdecyduje, musi najpierw spotkać Simoesa osobiście.

Dla Zilwickiego nie był to żaden problem, niemniej dowiedział się przy tej okazji, co zdaniem Mesy zdarzyło się w Green Pines. Nowina, że został okrzyknięty największym masowym mordercą epoki, nie poprawiła mu humoru.

Rozważania, jak mogli przyjąć to kłamstwo wszyscy, którzy byli mu naprawdę bliscy, okazały się jeszcze bardziej przygnębiające.

- Zatem wrócił nasz wędrowniczek - powiedziała Pritchart, obrzuciwszy całą trójkę spojrzeniem. Potem zwróciła się wprost do Zilwickiego: - Obawiam się, że większa część galaktyki ma pana za martwego, kapitanie. Cieszę się, że doniesienia na ten temat okazały się przedwcześnie, chociaż jestem pewna, że jest w Manticore parę osób, które bardzo chętnie usłyszą, gdzie się pan podziewał przez kilkanaście ostatnich miesięcy. Podobnie jak nas interesuje, co działo się w tym czasie z panem Cachatem.

- Nie wątpię, że tak jest, pani prezydent. Niestety, w drodze powrotnej mieliśmy trochę kłopotów z napędem naszego statku. Naprawa trwała długie miesiące - dodał kwaśno. -Przez ten czas głównie graliśmy w karty.

- Wyobrażam to sobie. - Prezydent przechyliła głowę. - Niemniej zapewne wie pan już, że wydarzyło się trochę od incydentu w Green Pines. Który, nawiasem mówiąc, czym właściwie był? Mam nadzieję, że nam to wyjaśnicie.

- Jestem pewien, że dojdziemy i do tego, ma'am - powiedział ponurym tonem Zilwicki. - Jak dotąd nie usłyszałem jeszcze pełnej oficjalnej wersji, niemniej i tak nieciekawie to brzmiało.

Pritchart zmierzyła go uważnie spojrzeniem i powoli pokiwała głową.

- Odnoszę wrażenie, że nie znam tego dżentelmena, który wam towarzyszy -powiedziała po chwili.

- Nie, pani prezydent. Jeszcze go pani nie zna. To doktor Herlander Simoes. Pochodzi z planety Mesa.

Pritchart zmrużyła topazowe oczy. Zapewne zastanawiała się, co może oznaczać obecność takiego gościa, a że była osobą wysoce inteligentną, mogła zacząć się czegoś domyślać.

- Rozumiem - powiedziała w końcu, taksując Mesanina wzrokiem. - Zakładam, że to właśnie doktor Simoes był zasadniczą przyczyną waszego zniknięcia na sześć czy siedem miesięcy?

- Jedną z przyczyn, ma'am.

- Zatem siadajcie, proszę. - Zaprosiła ich gestem do zajęcia pustych foteli po drugiej stronie stołu. - Posłuchajmy, co wy i doktor Simoes macie nam do powiedzenia.

*

- Jest komplet meldunków o gotowości, sir - oznajmił admirał Daniels. - Dowódcy wszystkich eskadr i grup wydzielonych oczekują na rozkaz.

- Dziękuję, Bill - odparł admirał floty Filareta.

Stał na mostku flagowym SLNS *Philip Oppenheimer*, jednostki flagowej nowo utworzonej Jedenastej Floty Marynarki Wojennej Ligi Solarnej, i spoglądał w zamyśleniu na długie listy meldunków. Przeładunek amunicji potrwał o kilka dni dłużej, niż oczekiwano, co pozwoliło na odebranie nowych raportów z Ziemi. Niekoniecznie budujących raportów.

Informacja o zamknięciu przez Manticore wszystkich wormholi dla ruchu solarnego była nowiną zdecydowanie niemiłą. Nie wyglądało to bowiem na działanie państwa obawiającego się ataku i drżącego o własny byt. Sprawiało wrażenie, że Gwiazdne Imperium nie ma żadnych kompleksów wobec Ligi Solarnej i nie boi się drażnić podobnie wielkiego zwierza. Było to deprymujące, a co gorsza, ani Rajampet, ani jego cywilni przełożeni zdawali się nie podzielać tego punktu widzenia. Sądząc po zdecydowaniu, z jakim podtrzymali dotychczasowe rozkazy, potraktowali decyzję Manticore jako „prowokację”, dodatkowo

usprawiedliwiając podjęcie akcji zbrojnej. W żadnym razie nie poczuli się zniechęceni czy zaniepokojeni!

Zapewne uważają, że to jeden wielki blef mający nas powstrzymać, pomyślał Filareta. I może mają rację, ale niekoniecznie. Równie dobrze może być tak, że Manticore jest pewne swego i przekonane, że zdoła się nam oprzeć. Dobrze by było, gdyby ci z Chicago spróbowali chociaż rozważyć taki scenariusz. Ale trudno od nich oczekiwać aż tyle. Trudno oczekiwać od nich czegokolwiek, co wymagałoby użycia aż trzech szarych komórek.

Westchnąwszy w duchu, doszedł do wniosku, że za późno już na zamartwianie się z powodu ślepoty albo i desperacji ludzi stojących za tymi rozkazami. Za późno było też na rozważania, na ile cały plan był inspirowany przez Manpower. Spośród 431 ciężkich jednostek, które miały tworzyć zgrupowanie, na miejsce nie dotarły tylko cztery, co było naprawdę niezłym wynikiem, zważywszy na zwykły stan gotowości SLN w okresie pokoju. Admirał podejrzewał, że co najmniej kilkanaście meldunków o stanie technicznym superdreadnoughtów zostało lekko zmanipulowanych, ale dopóki kapitanowie okrętów nie próbowali ukrywać w ten sposób zasadniczych niedociągnięć, nie widział powodów do zmartwienia.

W kupie siła, pomyślał z cynizmem, chociaż po prawdzie był dumny z dowodzenia największym zgrupowaniem bojowym wystawionym kiedykolwiek przez SLN. Widok tylu spływających meldunków i całego morza ikon na głównym ekranie stanowił namacalny dowód, jak potężna jest Marynarka Ligi. Nie rozwiewało to jego wątpliwości związanych z przewagą techniczną Manticore, ale trudno było nie poczuć dreszczu. Potężna armada budziła respekt i dawała niezwykle poczucie siły.

Czterysta dwadzieścia siedem jednostek tworzących ścianę. Trzydzieści dwa krążowniki liniowe, trzydzieści lekkich krążowników i czterdzieści osiem niszczycieli mających zapewnić osłonę głównej formacji, występując też w roli zwiadu, który zapewne będzie potrzebny. Do tego pięćdziesiąt szybkich transportowców wyposażonych w generatory i osłony antycząsteczkowe wojskowego typu. Razem prawie sześćset jednostek o łącznej masie przekraczającej trzy miliardy ton, z czego na dreadnoughty przypadało 2,9 miliarda. Pod swoim dowództwem miał w ten sposób 2,7 miliona ludzi, wliczywszy załogi transportowców. A do tego dochodziło jeszcze 421 tysięcy marines i personelu pomocniczego. Jakkolwiek by liczyć, była to potężna siła, a na dodatek połowę pocisków w magazynach dreadnoughtów stanowiły dostarczone przez Technodyne dwustopniowe rakiety Cataphract-B. Admirał wolałby wprowadzić w wyrzutniach coś z głowicami o większej mocy, ale te ambicje zaspokajało w jakiejś części pięć tysięcy zasobników z pociskami Cataphract-C. Przy zasięgu wynoszącym 16 milionów kilometrów podwajały dystans skutecznego ostrzału, przynajmniej w porównaniu z dawnymi Trebuchetami.

Nadal nie mogły się równać rakietom posiadanym przez Manticore, przynajmniej jeśli wierzyć ich relacjom na temat przebiegu bitwy o Spindle. Admirał był przekonany, że należy traktować je poważnie, ale mimo to, i trochę wbrew jego woli, osiągi pocisków Cataphract i tak zrobiły na nim wrażenie. I nie obchodziło go w tej chwili, czy naprawdę zostały wyprodukowane przez Technodyne, czy może ktoś inny wyczarował je nieznanym sposobem. Liczyło się tylko to, jak bardzo zwiększały jego możliwości operacyjne. Jeśli tamtym zostały jakieś zasobniki systemu obrony, to trudno, ale teraz mógł przynajmniej nie

bać się tak bardzo ich pocisków z wyrzutni pokładowych. Jeśli dział planowania miał choć trochę racji, opisując stan morale w Gwiezdnym Imperium, to powinno wystarczyć, by przekonać ich do sprawy oczywistej - że przewaga techniczna nic nie znaczy wobec ogromu Ligi Solarnej.

I na pewno tak będzie, powiedział sobie w duchu. Tego właśnie będziemy się trzymać, a nie panikarskich wizji zagłady kilku milionów ludzi wraz z ich dowódcą!

- Dobrze - powiedział w końcu, zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzał ponownie na Danielsa. - Pora ruszać w drogę, Bill. Chyba mamy z kimś do pogadania.

MAJ 1922 ROKU PO DIASPORZE

A co się będę przejmować, zawsze lubiłam wyzwania”.

Królowa Manticore, Elżbieta III

Rozdział X

- Jeszcze kawy, Wasza Wysokość?

Słyszając cicho wypowiedziane pytanie, Elżbieta Winton uniosła głowę, po czym uśmiechnęła się i uniosła filiżankę. James MacGuinness napełnił ją, też się uśmiechnął i ruszył na obchód stołu, by poczęstować kawą innych. Królowa upiła łyk naparu. Jak zawsze był wyśmienity. Szkoda, że Honor nie była skłonna go docenić.

Królowa odstawiła filiżankę i pomyślała o swoich podwładnych, którzy bez wątpienia dwoili się i troili, by ukryć jej nieobecność w pałacu Mount Royal. Cóż, muszą wytrzymać jeszcze trochę. Mimo zmęczenia po wielu godzinach rozmów i sporych dawkach adrenaliny, których dostarczyły jej niedawno usłyszane informacje o faktycznym porządku wszechświata, nie miała wątpliwości, że jej negocjacje z Eloise Pritchart dopiero się zaczęły.

Spojrzała na siedzącą po drugiej stronie stołu prezydent Republiki Haven, która także gościła na pokładzie HMS *Imperator*. Pritchart skończyła właśnie jeść specjalność MacGuinnessa, czyli jajka po benedyktyńsku, i sięgnęła po swoją kawę. Mimo bezsennej nocy, która nastąpiła po wyjątkowo męczącym dniu, pani prezydent wyglądała niewiarygodnie świeżo. Czuło się, że jest kimś wyjątkowym, podobnie jak nie sposób było nie zauważyć olbrzymiego kontrastu pomiędzy nią a Elżbietą. Różniły się zarówno fizycznie - kolorem skóry, barwą włosów - jak i pochodzeniem społecznym oraz poglądami politycznymi. A jednak w ciągu ostatniej doby przekonały się, że mimo dawnych

niechęci i licznych uprzedzeń są na tyle podobne, by móc zacząć ze sobą rozmawiać.

Nie wiem, czy ja zdobyłabym się na wyprawę wprost do jaskini lwa, czyli układu planetarnego zaprzysięgłego wroga, i to zaraz po tajemniczym ataku, którego padlibyśmy ofiarą, pomyślała królowa. Zwłaszcza z informacją, że to ktoś z mojego personelu sfabrykował korespondencję będącą bezpośrednią przyczyną wojny. Wojny, która pochłonęła gigantyczną liczbę ofiar tylko dlatego, że ktoś mną zagrał, bym realizowała jego cele... Nawet przy wsparciu, którego udzielił Simoes z jego niezwykłą opowieścią, ujawnienie tego wszystkiego i przyznanie się do swoistej porażki wymagało niezwykłej odwagi i siły charakteru. A może nawet czegoś więcej, skoro całe to „Równanie” manipulowało wedle wszelkich znaków wszystkimi po równo, także królową Manticore.

Elżbieta przebiegła myślami wydarzenia ostatnich dni. Nawet komuś o jej inteligencji trudno było ogarnąć wszystkie implikacje tego, o czym się dowiedziała i co zburzyło znany jej porządek wszechświata. Trudno było też przyjąć do wiadomości, że dwie dekady zajadłej wrogości, naznaczone milionami poległych, były w gruncie rzeczy tylko pomyłką. A jednak.

Co więcej, taka interpretacja niedawnej historii naprawdę wiele wyjaśniała.

- No dobrze - powiedziała, odsuwając się od stołu w kapitańskiej jadalni, który dzieliła tylko z Honor, Pritchard i Thomasem Theismanem.
- Honor, czy Simoes mówi prawdę?

Przedstawiciele Republiki Haven spojrzeli na nią z lekkim zdumieniem i Honor uśmiechnęła się, zerkając na śpiącego smacznie

Nimitza. Nie widziała powodu, by budzić zmęczonego nocnym posiedzeniem kotowatego.

- Jej Wysokość mogłaby spytać o to Nimitza albo Ariela, ale tak jest wygodniej -wyjaśniła gościom. - Rzecz w tym, że dzięki długim kontaktom z treecatami przejęłam część ich umiejętności. Nie potrafię czytać w myślach, ale wyczuwam cudze emocje na tyle dobrze, że potrafię rozpoznać, gdy ktoś kłamie.

Honor sama się zdumiała, jak łatwo jej przyszło wyjawienie tego przywódcom państwa, z którym walczyła całe swoje dorosłe życie.

Zdumiona Pritchart zamrugła, ale potem pokiwała raz i drugi głową.

- To dlatego jest pani tak niesamowicie skuteczną dyplomatką! - powiedziała takim tonem, jakby znalazła wyjaśnienie dręczącej ją zagadki. - Nie mogłam pojąć, jakim cudem nowicjuszka tak zgrabnie odnalazła się w świecie wielkiej polityki! Teraz już wiem. Pani po prostu oszukiwała! - dodała ze śmiechem.

- Moi nauczyciele z Ministerstwa Spraw Zagranicznych zwykli mawiać, że w dyplomacji nie ma czegoś takiego jak potocznie rozumiane „oszustwo” - stwierdziła Honor. -Jeden z nich przywołał nawet starą zasadę, że jeśli nie oszukujesz, to znaczy, że nie dość się starasz.

Elżbieta parsknęła rozbawiona, a Theisman pokręcił głową.

- Niemniej w tym przypadku Jej Wysokość pyta mnie, czy doktor Simoes powiedział nam prawdę - rzekła Honor poważnym tonem i spojrzała wprost na Pritchart. - Już wcześniej zapewniłam Elżbietę, że pani jest z nami szczerą, pani prezydent. Byłam jednak pewna, że oczekiwała pani podobnej weryfikacji swoich słów, skoro

zaakceptowała pani obecność Nimitza, nie miałam zatem skrupułów, dzieląc się tą informacją.

Pritchard ponownie przytaknęła.

- A co do Simoesa, mogę powiedzieć, że darzy Równanie autentyczną nienawiścią. Jego ból też jest dogłębny, wręcz trudny do zniesienia. - Zamknęła na chwilę powieki, starając się skupić. - Wszystko, co w nim wyczuwam, sugeruje, że mówi prawdę, albo przynajmniej to, co uważa za prawdę. Czy McBryde go w czymś nie okłamał, to już inna sprawa, i tego nie zweryfikuję. Osobiście przypuszczam jednak, że on także nie kłamał. Po prostu wszystko, co dotąd słyszeliśmy, pasuje świetnie do naszych informacji o ich uzbrojeniu i wyposażeniu.

- Ale to ciągle mocno selektywna wiedza - zauważyła z irytacją Elżbieta.

- Owszem - zgodziła się Honor. - Z drugiej strony pozwolę sobie zauważyć, że dziś wiemy o tym znacznie więcej niż wczoraj. Bo wczoraj nie wiedzieliśmy nic.

Królowa przytaknęła i spojrzała na Pritchard.

- Kwestia sprowadza się chyba do tego, co teraz zrobimy - powiedziała z namysłem. - Cokolwiek się jeszcze wydarzy, chcę powiedzieć, że jestem pani bardzo wdzięczna za przekazanie nam tych informacji. I przypuszczam, że obie zgadzamy się co do tego, że wojna między Haven a Manticore dobiegła końca.

Potrząsnęła głową, jakby wciąż jeszcze nie wierzyła w podobną odmianę losu. To było tak nieprawdopodobne. Wszyscy tego pragnęli, ale wydawało się to nieosiągalne.

- Oczywiście nie spodziewam się, że wszyscy u nas będą z tego powodu zachwyceni - dodała. - Jeszcze parę dni temu sama miałabym

olbrzymie obiekcje.

- Sądzę... a właściwie jestem pewna, że kilka miliardów obywateli Republiki Haven też będzie miało z tym kłopot - powiedziała Pritchart.

- I w tym problem, prawda? - zauważyła Elżbieta. - Samo przerwanie walk nie będzie chyba trudne, ale to nie wystarczy. Nie w obliczu tego, co wiemy od Simoesa.

- Nie wystarczy - zgodziła się cicho Pritchart.

- No cóż - powiedziała królowa, uśmiechając się bez śladu wesołości. - Tyle dobrego, że nie będę musiała martwić się waszą flotą, gdy przyjdzie nam się rozprawić z tym całym admirałem Filaretą!

- Prawdę mówiąc, myślałam o czymś więcej - stwierdziła Pritchart.

- Tak? - spytała Elżbieta, unosząc brwi.

- Rzecz w tym, Wasza Wysokość, że Równanie zamierza zniszczyć oba nasze państwa, a Gwiazdne Imperium wybrało sobie na początek. Nie wiem, czy naprawdę wierzy, że SLN jest zdolna tego dokonać, czy może liczy raczej na nas w tej kwestii, spodziewając się, że wykorzystamy sposobność, ale to w sumie nieważne. Tak czy siak, chodzi o realizację strategii, która wymierzona została przeciwko obu naszym państwom. Myślę, że w tej sytuacji dobrze byłoby zdobyć się na coś więcej niż tylko zaprzestanie walki.

- Na przykład? - spytała Elżbieta takim tonem, jakby zaczęła się czegoś domyślać.

- Z tego, co wiem, wasze zakłady produkcyjne zostały wyłączone przez ostatni atak i chociaż Tom twierdzi, że na pewno macie wystarczający zapas tych znanych nam piekielnych pocisków, by dokopać Filarecie, gdyby uparł się wykonać rozkaz, musiałoby się to odbyć kosztem rezerw. Łatwo ich potem nie uzupełnicie. Biorąc pod uwagę, jak wyglądał ten niedawny atak, lepiej byłoby je chyba

zachować na trudniejszego przeciwnika, gdyby znowu zamierzał się pojawić.

- I? - rzuciła królowa, łowiąc uważnie każde słowo Pritchard.

- Tak się akurat składa, że obecny tu Thomas ma pod ręką niewielkie zgrupowanie floty, około trzystu okrętów liniowych. W chwili obecnej znajdują się w nadprzestrzeni, jakieś osiem godzin lotu od Trevor Star. Po prostu tam sobie czekają. Gdybyście zaufali nam na tyle, by wpuścić nasze okręty w obręb układu Manticore, być może moglibyśmy pomóc wam w przekonaniu Filarety, że brzydko się bawi. Jestem w pełni świadoma faktu, że nasze uzbrojenie nie może równać się z waszym, ale wedle wszelkich znaków na ziemi i niebie nadal jest o klasę lepsze niż solarne.

- Proponuje pani militarny sojusz przeciwko Lidze Solarnej? - spytała Elżbieta, starannie dobierając słowa.

- Jeśli McBryde się nie mylił, Liga Solarna niebawem przestanie istnieć - powiedziała ponurym tonem Pritchard. - A biorąc pod uwagę, że prawdziwym przeciwnikiem jest tutaj, ta sama banda skurwysynów, która zaatakowała wasz macierzysty układ, wcześniej doprowadzając do wojny kosztującej nas życie milionów naszych obywateli, sądzę, że marny powody, by się im wspólnie przeciwstawić. Nie przemawia przeze mnie altruizm, ale świadomość, że oba nasze państwa są na ich liście. Byłoby zwykłą głupotą, gdybyśmy czekali w tej sytuacji z założonymi rękami, aż zostaniemy sami na placu boju.

Obie kobiety spojrzały sobie w oczy ponad resztkami śniadania. W jadalni zrobiło się nagle bardzo cicho.

- Problemy i tak będą - powiedziała po chwili Elżbieta takim tonem, jakby prowadziły błahą pogawędkę przy kawie. - Po obu stronach jest

cała masa ludzi, którzy nienawidzą tej drugiej. Potężny bagaż żalu i podejrzliwości.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła Pritchart.

- No i pozostaje jeszcze kwestia ustalenia, gdzie mieści się kwatery główna Równania i kogo jeszcze używało ono jako przykrywkę dla swoich działań. A także, jakimi systemami uzbrojenia dysponuje i gdzie porozmieszczało swoich zaprogramowanych morderców. Oraz co szykuje dla was, gdy upora się już z nami.

- Zgadza się.

- Na koniec zaś zostają wszystkie problemy logistyczne. Odbudowa naszego potencjału produkcyjnego, wymiana informacji technicznych, ustalenie trybu współpracy naszych flot i przekonanie naszych sojuszników, by się włączyli. Wolę nie myśleć, jakie piekło się rozpęta, gdy to zasugeruję.

- Rozpęta się na pewno.

Obie kobiety znowu na siebie spojrzały i uśmiechnęły się dokładnie w tej samej chwili.

- A co się będę przejmować - stwierdziła Elżbieta. - Zawsze lubiłam wyzwania.

Wyciągnęła ponad stołem prawą rękę.

Pritchart uścisnęła ją bez wahania.

*

- Chyba żartujesz!

Przewodniczący Chyang Benton-Ramirez spojrzał z niedowierzaniem na Fiedosieja Mikulina i Jacques'a Benton-Ramireza y Chou, którzy siedzieli wraz z nim w „bezpiecznej” sali konferencyjnej głęboko pod Zachodnią Wieżą budynku rządowego w centrum Columbii. Już przedtem przewodniczący był co najmniej zirytowany

naleganiem Mikulina na osobiste spotkanie. Jakby zwykła zdalna konferencja nie wystarczyła. Dość miał innych zajęć i szkoda mu było czasu na wyprawę do miasta, o zjeździe windą na głębokość pięciu tysięcy metrów nie wspominając. Niemniej Mikulin był jego najbardziej zaufanym doradcą i nie przypadkiem piastował stanowisko szefa Centralnej Agencji Wywiadowczej Republiki Beowulfa.

Dlatego też Benton-Ramirez przyjął ostatecznie jego zaproszenie i wybrał się w drogę.

Dodatkowy uczestnik spotkania był trzecim dyrektorem bez teki (i dodatkowo kuzynem przewodniczącego), który nie zwykł się chwalić powiązaniem z agencją, jako że był nieoficjalnym łącznikiem pomiędzy Radą Dyrektorów a Baletem. Nawet tutaj, na Beowulfie, nieroztropnie byłoby wspominać o tym głośno. Już sam przykład Green Pines i pomysły wylanych potem na Manticore wskazywał dlaczego. Z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że taki kontakt istnieje, a większość ludzi była przekonana, że odpowiada za niego właśnie Jacques Benton-Ramirez, niegdysiejszy przewodniczący Ligi Antyniewolniczej, chociaż na zasadzie milczącej umowy nawet agresywni zwykle dziennikarze Beowulfa nigdy go o to nie spytali. W pewien sposób świadczyło to o podejściu mieszkańców Republiki do kwestii niewolnictwa.

Jednak Benton-Ramirez y Chou zjawili się na zebraniu. Powód był bardziej złożony, okazało się, że kuzynka przewodniczącego zaangażowała się w coś wyjątkowo zastanawiającego.

- Ani trochę - odparł Mikulin. - Wiem, że szpiegowanie przyjaciół nie należy do naszych zadań, ale to normalna praktyka i chyba nikt się nie ludzi, że jest inaczej. Tyle że pewnie byłoby trochę zamieszania, gdyby wyszło na jaw, jak wysoko postawione osoby dla nas pracują.

- Ale twojej siostrzenicy nie było na tej liście?

- Nie było - przyznał Benton-Ramirez y Chou jakby chłodniejszym tonem. Był mężczyzną dość niewysokim, ze śniadą skórą i ciemnymi oczami o migdałowym kształcie, w czym przypominał swoją siostrę, a także sławną (albo i niesławną, zależnie od punktu widzenia) kuzynkę.

- Gdybym wykazał się tak konkursową głupotą, by jej to zaproponować, usłyszałbym niechybnie, żebym spierdalał na drzewo.

- Wątpię, by się tak wypowiedziała - powiedział Benton-Ramirez, nie opanowawszy chichotu. - Księżna Harrington nie używa chyba podobnego słownictwa.

- Gdybym zaproponował jej śledzenie Elżbiety, na pewno by użyła - odparł Jacques. - Albo od razu zagrała moją głową w siatkówkę.

- Dobra, rozumiem - przytaknął przewodniczący. - Ale zakładam, że mimo to możemy uznać źródło tej informacji za wystarczająco pewne?

- Tak - odparł krótko Mikulin.

- Cholera. - Benton-Ramirez potrząsnął głową. - Jasne, wszyscy mieliśmy nadzieję, że przestaną w końcu do siebie strzelać. Zwłaszcza po tym, gdy ostrzeżyliśmy ich przed Filaretą. Ale coś takiego!

- Tego nikt nie oczekiwał - zgodził się Mikulin. - Ale sam fakt, że Elżbieta i Pritchard zakopały topór wojenny, jest mniej ważny od kwestii, dlaczego to zrobiły.

Powiedział to wyjątkowo nieswoim głosem, zerknąwszy zaś na swojego kuzyna, przewodniczący uświadomił sobie, że Jacques też wygląda jakoś dziwnie. Chyba zgadzał się z Mikulinem, ale ponadto był wściekły i jakby czymś wstrząśnięty. W jego ciemnych oczach czaiło się coś niepokojącego.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał przewodniczący, patrząc na dyrektora spod zmrużonych powiek. Ciągle jeszcze nie ogarniał do końca wiadomości, że Eloise Pritchart zupełnie niezapowiedziana

zjawiła się pewnego dnia w podwójnym układzie Manticore i nie tylko dogadała się jakoś z nimi, ale oba państwa zawarły sojusz skierowany przeciwko Lidze Solarnej. Biorąc pod uwagę, jak krwawa była ich wieloletnia wojna, Benton-Ramirez prędeż by oczekiwał zmiany wartości liczby pi niż czegoś takiego. A jeśli Mikulin sugerował, że trafił na ślad jeszcze znaczniejszej sprawy...

- Wydaje mi się, że sojusz Imperium Manticore z Republiką Haven sam w sobie jest wystarczającą sensacją - powiedział. - Cała galaktyka osłupieje.

- Niewątpliwie - zgodził się Mikulin. - Dla mnie jednak ciekawszy jest powód takiego właśnie zachowania Pritchard. Interesujący i ważny nie tylko dla mnie, ale całego Beowulfa, jak sądzę. Rzecz w tym, że pani prezydent wybrała się w drogę zaraz po nagłym pojawieniu się w Haven Zilwickiego i Cachata. Obaj zniknęli z pola widzenia wiele miesięcy temu, niemniej wszystko wskazuje na to, że byli w tym czasie na Mesie albo w drodze powrotnej stamtąd.

Benton-Ramirez otworzył szeroko oczy.

- Niestety, dysponujemy tylko wstępnymi meldunkami na ten temat - powiedział Mikulin, wzruszając ramionami. - Nasze źródło nie było w stanie dotrzeć do wszystkich informacji. Ba, nawet pogłosek jest niewiele. Niemniej gdy złożyliśmy to trochę do kupy, wyszło nam, że Cachat i Zilwicki byli w Green Pines mniej więcej wtedy, gdy doszło tam do eksplozji. Obaj tam byli i zapewne mieli coś wspólnego z całą sprawą, chociaż być może niewiele. Na ten akurat temat będziemy niebawem wiedzieć więcej. Najważniejsze jest to, że przywieźli ze sobą Mesanina. Bardzo rozmownego i dysponującego sporą wiedzą. To, co zaczął przekazywać, stoi w całkowitej sprzeczności z naszym dotychczasowym obrazem Mesy.

- Że co proszę?

Benton-Ramirez nie zachował się jak intelektualista, ale miał sporo na swoje usprawiedliwienie. Nie doszedł jeszcze do siebie po poprzednim mentalnym nokaucie, gdy nagle zafundowano mu kolejny. W całej galaktyce nie było chyba układu gwiazdnego, któremu służby wywiadowcze Beowulfa poświęcałyby więcej uwagi niż Mesie. Czy na którego temat byłyby lepiej poinformowane. Od kiedy Leonard Detweiler został tam przesiedlony wraz ze swoimi poplecznikami Mesa stała się mrocznym bliźniakiem Beowulfa. Swoistym nowotworem toczącym ludzką kulturę i źródłem wielkiego wstydu dla społeczeństwa, z którego się wywodziła.

Przewodniczący dopuszczał oczywiście możliwość, że ich wiedza na temat Mesy mogła być w tym czy innym punkcie błędna, w sumie nawet zakładał, że musieli popełnić dotąd sporo pomyłek przy jej rozpracowywaniu, jako że przeciwnik był w pełni świadom, że budzi ich zainteresowanie, i robił, co tylko mógł, by utrudniać robotę. Jednak Mikulin nie wspominał jedynie o błędach. Całą swoją postawą sugerował, że było znacznie gorzej.

- Jeśli to, co dotąd usłyszeliśmy, brać za dobrą monetę, to cała nasza wiedza na temat Mesy jest nawet nie tyle fałszywa, ile celowo przez nich sfabrykowana - powiedział zdecydowanym tonem Mikulin. - Nie jestem jeszcze gotów zaręczyć za wiarygodność tych informacji, i pewnie wolałbym nie brać nawet pod uwagę, że mogą być prawdziwe. Spotkanie Pritchard i Elżbiety zakończyło się niecałe czterdzieści godzin temu i tym samym trudno o pełniejszy obraz, jednak zakładając, że jest o czym mówić, wychodziłoby na to, że Mesa realizuje politykę o wiele bardziej dalekosiężną, niż nam się dotąd wydawało. I nie chodzi im tylko o zarabianie na niewolnictwie czy granie nam na nosie. Na

dodatek realizują tę politykę już od paru wieków. Co więcej, Manticore miało najwyraźniej rację, twierdząc, że to Mesa odpowiada za to, co się stało w Gromadzie Talbott, jak i za niedawny atak na macierzyste planety Imperium. A jego powodem nie było niebezpieczne zbliżenie się granic Gwiezdnego Imperium do układu Mesa. W grę wchodzi coś o wiele większego, obejmującego w zamyśle cały rodzaj ludzki. Skoro zaś wzięli na celownik i Manticore, i Haven, jestem pewien, że o nas też nie będą skłonni zapomnieć.

Rozdział XI

- Jakie są szanse, że twoi to ratyfikują? - spytała Elżbieta Winton, nie kryjąc sceptycyzmu.

- Mniejsze niż kiedyś - przyznała Eloise Pritchard siedząca na drugim końcu stołu konferencyjnego znajdującego się w jednej z sal pałacu Mount Royal. - Przez ostatnie lata wykorzystałam sporo z tego kredytu zaufania, którym obdarzył mnie Kongres. No i wyborcy. Na dodatek informacja, że to nasz sekretarz stanu sfałszował tak ważną korespondencję, odbierze moim zwolennikom sporo zapału do roboty.

- Tego się obawiałam. Szkoda. Miałam nadzieję, że u ciebie cała ta legislacyjna przepychanka odbędzie się sprawniej niż w naszym przypadku.

Elżbieta popatrzyła krytycznie na dokument widniejący na jej ekranie. Była to najprostsza z możliwych propozycji traktatu. Ani królowa, ani Pritchard nie próbowały ukryć w nim żadnych kruczków grożących ograniczeniem suwerenności ich państw, ale żadna nie miała złudzeń, że po obu stronach znajdzie się dość krytykantów i panikarzy głoszących, że to właśnie jest celem sojuszu. Niestety, dokument rzeczywiście pozostawiał sporo swobody w interpretacji, ale też nie próbowały doprecyzować w nim wszystkiego, co tylko mogło przyjść do głowy. Zawierał jedynie to, co najważniejsze, co bezwzględnie należało przedstawić do rozpatrzenia Kongresowi Republiki Haven i parlamentowi Manticore.

Wraz z klauzulą przewidującą aneksy mające uporządkować w przyszłości różne drażliwe kwestie wynikłe podczas dwudziestu lat

zaciętej wojny.

Niemniej gdyby jeszcze niedawno ktoś zapowiedział jej , że zdoła obgadać i ustalić z Pritchard aż tyle w ciągu ledwo siedmiu dni, zasugerowałaby takiej osobie wakacje w zamkniętym ośrodku leczniczym. Owszem, wiele czało się jeszcze w szarej strefie, ale wykonana robota świadczyła jednoznacznie o tym, że wizja oczekującego za drzwiami kata (albo Ligi Solarnej) potrafi zmobilizować do naprawdę dużego wysiłku. Traktat kładł podwaliny pod sojusz Gwiezdnego Imperium Manticore i Republiki Haven, zobowiązujących się do pomocy drugiej stronie w przypadku konieczności odparcia ataku z zewnątrz. Poza jednym przypadkiem nie było kiedy skonsultować go w pełni z innymi sojusznikami Imperium, ale Pritchard zadbała o zaproszenie ambasadorów wszystkich zainteresowanych państw, którzy parafowali dokument w imieniu swoich rządów. Odmówił tylko ambasador andermański, co nie było żadnym zaskoczeniem, zważywszy na tamtejsze tradycje „realpolitik”. Niemniej z tego samego powodu nie zgłosił żadnego protestu i Imperium Andermańskie zostało stroną „stowarzyszoną” Sojuszu, chociaż oficjalnie się do niego nie przyłączyło.

Tym jedynym sojusznikiem, który miał szansę pełnego wypowiedzenia się, był Protektorat Graysona, odległy o trzy i pół dnia lotu jednostką kurierską. Elżbieta przekazała Benjaminowi Mayhew wiadomość już w dniu przylotu pani prezydent, Benjamin zaś nie marnował czasu i wystarczyło mu kilka godzin, by podjąć właściwą decyzję. Jego odpowiedź przybrała postać entuzjastycznego poparcia, a przekazał ją poprzez swojego jedyne brata, który wystąpił w roli specjalnego wysłannika.

Michael Mayhew dotarł na Manticore poprzedniego dnia, akurat w porę, by złożyć na traktacie swój podpis jako przedstawiciel Graysona. Biorąc pod uwagę podejście mieszkańców Manticore do najważniejszego sojusznika, był to istotny plus. Na dodatek Gwiazdne Imperium dobitnie pokazało, czym się różnią rządy Williama Alexandra od rządów jego poprzednika.

Teraz pozostało już tylko przedstawić traktat ciałom ustawodawczym obu państw. W taki sposób, by uzyskać ich aprobatę, oczywiście.

Musimy więc tylko odnaleźć kamień filozoficzny, który pozwoli nam zmienić w złoto wszystko, co akurat nim nie jest, pomyślała z troską królowa. Możemy poprosić ich o tryb nadzwyczajny i spróbować uświadomić, że naprawdę nie ma czasu na odsyłanie projektu do komisji i czasochłonne nanoszenie poprawek, ale czy posłuchają? Nie ma takiego kryzysu, który odmieniłby wszystkich polityków. Na pewno znajdzie się cała gromada kucharzy gotowych mieszać tę zupę do ostatniej chochli.

- Moim zdaniem szanowne panie przesadzają z tym pesymizmem - rozległ się nagle nowy głos i obie wysoko postawione osoby spojrzały w kierunku drzwi.

- No nie wiem - odparła Pritchard z krzywym uśmiechem. - Nie chcę się wymądrzać, pani admirał, ale obawiam się, że nie ma pani takiego doświadczenia w pojedynkach z sejmowymi idiotami jak królowa czy ja.

- Tego akurat nie byłabym taka pewna, Eloise - zauważyła Elżbieta i spojrzała wymownie na panią prezydent. - Nie zapominaj, że ona jest też patronką, dysponuje władzą, o jakiej my możemy sobie tylko pomarzyć, jednak nadal musi staczać różne batalie w Radzie Domeny.

Miała kiedy zdobyć wprawę, zwłaszcza że poza służbą ma stałe miejsce w Konklawe Patronów Graysona i naszej Izbie Lordów. Sporo się nawojowała, zwłaszcza jako aktywny przedstawiciel opozycji za czasów tego skończonego dupka High Ridge'a. Zna kulisy polityki znacznie lepiej, niż jej niewinny wygląd mógłby sugerować.

- Może to i prawda - mruknęła Pritchart, przekrzywiając głowę. - Zapomniałam już, ile funkcji pani pełni, milady.

- Nie zamierzam nawet udawać, że mogę równać się z wami doświadczeniem, cokolwiek Jej Wysokość o mnie powie - odparła Honor. - Na pewno ma jednak rację, mówiąc, że polityczne bagienko nie jest mi obce. Wy zaś zasypiacie już prawie na siedząco. Przy tym zmęczeniu byłoby dziwne gdybyście nie popadły w pesymizm. Chyba jednak powinnam zapędzać was co wieczór do sypialni, byście złapały te uczciwe osiem godzin snu.

Pritchart przyjrzała się Honor i doszła do wniosku, że pani admirał jednak nie żartuje. Wprawdzie jako prezydent Republiki Haven odwykła od bycia „zapędzaną” dokądkolwiek, jednak Honor Alexander-Harrington chyba nie zwróciłaby na taki drobiazg uwagi.

- Coś w tym jest, Honor - zauważyła królowa. - Mój kochany małżonek próbował to zrobić wczoraj wieczorem. A może przedwczoraj?

- Raczej przedwczoraj. Justin pamięta o twoich potrzebach lepiej niż ty sama.

- Bywa. - Pritchart powiedziała to lekkim tonem, ale Honor wyczuła smutek, który zawładnął na chwilę panią prezydent. Przypomniała sobie te wieczory, kiedy Javier Giscard dbał o jej wypoczynek. - Niemniej w tej chwili bardziej chciałabym się dowiedzieć, dlaczego uznała pani nasze podejście za zbyt pesymistyczne. Nie myślę

kwestionować opinii, że obie jesteśmy bardzo zmęczone, i wiem, jak taki stan zmniejsza odporność na osąd ze strony innych ludzi, ale to nie świadczy w oczywisty sposób o tym, że my się mylimy, a pani ma rację, pani admirał.

- Oczywiście, że nie, pani prezydent. - Honor usiadła, upiła trochę z kufła pełnego old tillmana i wzruszyła ramionami. - Sądzę, że nie docenicie potencjału marketingowego waszych propozycji. Pani oferuje nam pomoc w spotkaniu z Filaretą, chociaż nic pani do tego nie zmusza, a nawet więcej, nic bezpośrednio pani na tym nie zyska. Już to poprawi znacznie pani notowania w Gwiezdnym Imperium. A zadeklarowana przez Elżbietę rezygnacja z powojennych reparacji wywoła uśmiech na wielu twarzach w Haven. Nie mówiąc o tym, że podetnie skrzydła temu piniaczowi Youngerowi - dodała z marzycielskim uśmiechem.

- Twoja propozycja, by oddać Republice wszystkie ocalałe jednostki Drugiej Floty, też chyba nie pogorszy sytuacji - powiedziała królowa do Honor i tym razem Pritchard przytaknęła.

- Na pewno nie. Podobnie jak pełen superlatywów raport admirała Tourville'a o tym, jak traktowaliście jego załogi - dodała pani prezydent. - Niezmiennie żałuję, że zatwierdziłam decyzję o tym ataku. Prześladowuje mnie myśl o tych wszystkich, którzy zginęli po obu stronach. Pocieszam się tylko, że na koniec coś dobrego jednak z tego wynikło.

Teraz to Honor pokiwała głową, chociaż sposób potraktowania jeńców po tamtej bitwie wynikał w znacznym stopniu z wcześniejszych doświadczeń Królewskiej Marynarki.

Wszyscy znali raporty o postępowaniu Thomasa Theismana, który zawsze robił, co w jego mocy, by chronić przedstawicieli strony przeciwnej, jeśli już wpadli mu w ręce. Działając zgodnie z regułami

dawnej Republiki, zmasał część hańby związanej z barbarzyństwami, których dopuszczał się Urząd Bezpieczeństwa.

- Pani decyzja, by zabrać ze sobą wszystkich ludzi pojmanych przez admirała Griffitha w Grendelsbane, też była trafnym posunięciem - powiedziała cicho Honor. - Tym bardziej że postanowiła pani o ich repatriacji, nie wiedząc jeszcze, czy będziemy chcieli z wami rozmawiać.

- Tak, to było bardzo istotne - stwierdziła równie cicho Elżbieta i wzruszyła ramionami, gdy Pritchart spojrzała na nią znacząco. - Nie sugeruję, że chodziło tylko o polityczną kalkulację. Honor na pewno też nie. Ale odmowa rozmów po odwiezieniu do domu czterdziestu dwóch tysięcy naszych ludzi, w większości wykwalifikowanych pracowników stoczniowych, byłaby bolesnym policzkiem. Szczególnie teraz, gdy fachowcy są u nas na wagę złota.

Pritchart opuściła głowę, jakby poczuła się trochę nieswojo.

- Cóż, dowiemy się niebawem, czy przesadziłyśmy z pesymizmem, czy może dajemy się ponieść optymizmowi - stwierdziła. - Pierwszym testem będzie reakcja na wiadomość o mojej wizycie w Gwiezdnym Imperium.

Nadal nie była tak całkiem przekonana do tego pomysłu. Nie mogli oczywiście ukrywać jej obecności w pałacu w nieskończoność. I tak się dziwiła, że dotąd nie było żadnych przecieków, zważywszy na to, że iloma ambasadorami przyszło się im spotkać. Powinna się ujawnić najpóźniej w chwili, gdy Elżbieta przekaże tekst traktatu parlamentowi i wszyscy zaczną o tym mówić. Owszem, brała pod uwagę wydźwięk propagandowy swej wyprawy, która na pewno zostanie określona jako „niezmiernie odważna”, ale nadal widziała siebie przede wszystkim jako tę, która niecałe trzy lata wcześniej zdecydowała o wznowieniu walk

między Haven i Manticore i która nakazała Theismanowi realizację operacji Beatrice, wymierzonej przeciwko temu właśnie układowi planetarnemu.

- Ach, o to się akurat nie martwię - powiedziała królowa, machając lekceważąco ręką.

Rozmawiały już o tym i Elżbieta była pewna, że pani prezydent przesadnie się zadręcza. Tak, bitwa o Manticore pochłonęła gigantyczną liczbę ofiar, ale i tak znacznie mniej niż zagłada Yawata Crossing, poza tym wszyscy polegli w bitwie byli wojskowymi. W odróżnieniu od tych, którzy zaatakowali Sphinksa, Republika Haven zawsze starała się unikać ofiar wśród cywilów. Po piętnastu latach wojny z Ludową Republiką chyba wszyscy na Manticore dostrzegali tę różnicę, a niedawna rzeź w wykonaniu anonimowych agresorów tylko podkreśliła kontrast. Owszem, nadal zdarzali się fanatycy odsądzający Haven od czci i wiary, ale zdecydowana część obywateli Manticore rozumiała, że odrodzona Republika prowadziła tę wojnę w sposób honorowy.

- Prawdę mówiąc, bardziej martwi mnie Simoes - powiedziała królowa. - Żeby w ogóle wskórać cokolwiek w waszym Kongresie, będziemy musieli ujawnić większość informacji, które przekazali nam Cachat i Zilwicki. W Gwiezdnym Imperium też jest wielu twardogłowych, którzy toczą pianę z pyska, gdy słyszą o Haven, i bez porządnego wstrząsu nie zmienią podejścia nawet w obliczu ataku Filarety. Problem w tym, że mamy rozpaczliwie mało danych na temat Mesy Manpower. W sumie tylko to, co wiemy od Simoesa. Dla przeciętnego sceptyka to może nie być dość.

Pritchard westchnęła ciężko. Nie mogła się nie zgodzić. Ale potem parsknęła śmiechem, czym zdumiała nie tylko królową i Honor, ale

także samą siebie.

- Co jest? - spytała po chwili Elżbieta.

- Przypomniałam sobie moją rozmowę z Theismanem na ten temat - wyjaśniła pani prezydent i zerknęła na Honor. - Jestem pewna, że spotkała pani admirał Foraker, milady?

- Tak - przyznała Honor. - Dlaczego pani pyta?

- Bo wyszło mi przypadkiem całkiem nieoczekiwane proroctwo. Zaraz po tym, jak Zilwicki i Cachat sprowadzili Simoesa, rozmawialiśmy o jego wartości dla wywiadu. Tom promieniał entuzjazmem aż do chwili, gdy spytałam go, jak cennym źródłem dla wywiadu byłaby Shannon Foraker, gdyby chodziło o informacje wykraczające poza jej specjalność.

- No tak - mruknęła Honor, zastanowiła się chwilę i potrząsnęła głową. - Nie przyszło mi to do głowy, ale porównanie jest chyba trafne.

- Do bólu trafne.

Pritchard uśmiechnęła się kwaśno. Niestety, nie dało się zaprzeczyć, że Herlander Simoes stanowił w zasadzie męską wersję Shannon Foraker. I to pod niejednym względem. Podobnie jak Foraker, poświęcił się badaniom w ramach tak wąskiej specjalności, że całkowicie stracił z oczu szerszą perspektywę. Można było zresztą przypuszczać, że ludzie dbający w Równaniu o bezpieczeństwo danych zdecydowanie zachęcali go do takiej postawy. Ponadto, i znów tak jak Foraker, był pierwotnie dogłębnie apolityczny. Przebudzenie Shannon doprowadziło do zniszczenia dwudziestu czterech superdreadnoughtów Urzędu Bezpieczeństwa znajdujących się w układzie Lovat. Simoes nie był w stanie spowodować niczego podobnego, ale pośrednie skutki jego ucieczki mogły być na dłuższą metę nawet bardziej dramatyczne. Tyle

że teraz potrzebne było coś działającego na „krótką metę” i mogącego przyczynić się do ratyfikacji traktatu.

Simoes był bez dwóch zdań gotów zrobić wszystko dla zadania Równaniu śmiertelnego ciosu, ale przy całej swojej determinacji nie wiedział prawie nic o jego strategii, potencjale militarnym czy sieci wpływów w obrębie struktury władzy Mesy. Nie interesował się tym przed tragiczną śmiercią Franceski Simoes, a potem, gdy podjął już decyzję o ucieczce, nie wpadł na pomysł, by się o takie informacje postarać.

Pani prezydent pomyślała jeszcze o śmierci Jacka McBryde'a. Większość tego, co wiedzieli o Równaniu, pochodziła z raportów przekazanych Cachatowi i Zilwickiemu w ramach przekonywania ich, by pomogli uciec jemu i Simoesowi. Federalna Agencja Wywiadowcza Kevina Ushera zdobyła dość dowodów, by niektóre zeznania McBryde'a uwiarygodnić, i to już było coś, ale bez niego samego, żywego oczywiście, który mógłby potwierdzić je przed Kongresem Republiki i parlamentem Manticore, poza tym zaś znacznie wzbogacić ich wiedzę, nadal mieli na swojej liście więcej pytań niż odpowiedzi. I to w takich kwestiach, których szczegółowe wyjaśnienie byłoby nadzwyczaj pomocnym orężem podczas walki o ratyfikację traktatu.

Z drugiej strony, w kontakcie z mediami McBryde nie byłby o wiele bardziej przekonujący niż Simoes. Eloise wierzyła we wszystko, co usłyszała od zbiega. Miał naprawdę niebywale silną motywację, ale po prostu wiedział za mało i nie dysponował informacjami z pierwszej ręki. A jeśli już, to nie w tych tematach, które przekonałyby sceptyków, że to nie jest żadna bajka dla dorosłych. W zasadzie był geekiem, tak jak Foraker.

Pritchard zadrżała, wspomniawszy ostatnie przesłuchanie Shannon Foraker przed Senacką Komisją do Spraw Marynarki Wojennej. Było na co patrzeć, gdy cała grupa szanownych polityków została poczęstowana przemową tak najeżoną terminami technicznymi, że praktycznie dla nich niezrozumiałą. Trzeba było dopiero interwencji Theismana, który wydelegował Lindę Trenis w charakterze tłumaczki by cokolwiek z tego wyszło.

- Wielu powie, że to wszystko zostało sfabrykowane - odezwała się po chwili. - Tutaj, w Lidze Solarnej i kto wie, gdzie jeszcze.

- Oczywiście, że tak - odparła z obrzydzeniem Elżbieta. - Zrobią to nawet wtedy, gdy nikt w miarę normalny nie będzie w stanie podać powodu, dla którego mielibyśmy dopuścić się takiego oszustwa. Owszem, wy mielibyście teoretycznie taki powód, bo to niezłe uzasadnienie zawiązania sojuszu przeciwko tak potężnemu wrogowi jak Liga Solarna, i to razem z państwem, z którym walczyliście przez ostatnie dwadzieścia lat. Tylko po co mielibyście łądować się w takie kłopoty, gdyby historia z Równaniem nie była prawdą, pojęcia nie mam. Znajdzie się jednak paru idiotów twierdzących, że musi być po temu jakaś przyczyna. Nie wiadomo jaka, ale jakaś na pewno. Bo tak.

- Przynajmniej kotowate nie będą kwestionować prawdomówności Simoesa - powiedziała Honor, głaszcząc leżącego na jej kolanach Nimitza. Treecat uniósł głowę i zamruczał cicho, Ariel zaś bleeknął radośnie z oparcia fotela królowej. Oba wyglądały na tak zadowolone z siebie, że Honor zaśmiała się i pociągnęła Nimitza za ucho. - Nie chciałabym nikogo przechwalić, przy czym mam na myśli zwłaszcza pewne futrzane indywidua, ale fakt, że treecaty potwierdzą naszą wersję, będzie wiele znaczył. Mieszkańcy Manticore ufają ich osądom. Gdzie indziej może to tak nie zadziała, ale cóż. Takiego Kołokolcowa nie

przekonamy, choćbyśmy na uszach stanęli, i nie ma na to rady. A co do Simoesa, bardzo żałuję, że pracował nad napędem strumieniowym, a nie nad tripletem, ale to, co przekazał admirał Hemphill, jest dowodem, że wie, o czym mówi. A na dodatek pasuje zbyt dokładnie do przebiegu tamtego ataku, by podejrzewać naszego gościa o chore rojenia. Nie wspominając o tym, że wskazuje jednoznacznie na Mesę jako sprawcę. Nikt inny nie zdołałby podejść nas skrycie na tyle blisko - dodała zdecydowanym tonem i coś złowrogo błysnęło jej w oczach, a Nimitz uniósł się o i niespodziewanie warknął. Po paru sekundach Honor uspokoiła się, pogłaskała treecata po głowie i uśmiechnęła się przepraszająco do obu kobiet.

- Ma pani całkowitą rację, pani admirał - powiedziała Pritchard, dyplomatycznie przemilczając uczucia Honor która nie odreagowała jeszcze całego bólu. - I nas to przekonuje, podobnie jak może przekonać Kongres czy wasz parlament. Ale nie zmieni podejścia przeciętnego obywatela, o ile ten uprze się trwać przy swoich ciasnych horyzontach. Takie osoby kupią każdą teorię spiskową, byle tylko móc uciec dzięki niej od myślenia.

- Mamy, co mamy, pani prezydent - westchnęła Honor i skinieniem głowy podziękowała Pritchard za takt. Potem zerknęła na chronometr. - Jeśli serwisy informacyjne są nadawane jak zwykle, za parę godzin się dowiemy, jaka będzie reakcja opinii publicznej Manticore.

*

- ...to największa niedorzeczność, jaką kiedykolwiek dane było mi usłyszeć! -wykrzyknął kilka godzin później Kiefer Mallory. Wysoki i przystojny komentator polityczny był jedną z największych gwiazd medialnych Imperium Manticore. Teraz wyglądał na sfrustrowanego i machał zawzięcie rękami. - Owszem, wszyscy wiemy o zagrożeniu,

które zawisło nad Gwiezdnym Imperium, a zwłaszcza nad naszym układem planetarnym, i przyznaję, że miło w tej sytuacji się dowiedzieć, że ktoś gotów jest nas wesprzeć, ale przecież... - Potrząsnął ze smutkiem głową. - Na dodatek jestem pewien, że nie ja jeden postrzegam takie rozwiązanie jako szczególnie dogodne przede wszystkim dla tych, przez których znaleźliśmy się w obecnej sytuacji!

- Tak? - zdziwił się Jephthah Alverson, doświadczony parlamentarzysta z frakcji liberalnej, który rozstał się z Catherine Montaigne po upadku rządu High Ridge'a. - Jeśli dobrze rozumiem, ma pan na myśli barona High Ridge'a i Elaine Descroix? - spytał, unosząc teatralnie brwi i pochylając się nad blatem z ekranami.

Mallory, który od co najmniej trzydziestu lat był związany z Partią Postępową (i był rzecznikiem Descroix w czasie jej nieobecności w życiu publicznym przed spektakularnym upadkiem), poczerwieniał ze złości.

*

- Chyba go trafiło - zauważyła Emily Alexander-Harrington.

- Nawet mocno - zgodziła się Honor, wyciągnięta na kanapie w prywatnym apartamencie Emily. Łatwo dał się podejść, pomyślała, wyczuwając analogiczną refleksję leżącego na jej piersi Nimitza. Zupełnie jak nowicjusz w tym fachu. Albo nawet gorzej.

- Wszystko przez pochodzenie - odezwała się Emily, bez trudu domyślając się toku myśli Honor. - Nabrał trochę oglądy, ale to za mało, skoro nie miał po kim odziedziczyć dobrych genów. To zawsze wychodzi - dodała, uśmiechając się do Honor ze swojego wózka z aparaturą.

Hamish utknął w Landing, pochłonięty sprawami Admiralicji, Honor zaś uznała, że po takim politycznym maratonie należy się jej chociaż

jeden dzień spędzony w domu w White Haven. Wcześniej spotkała się z rodzicami oraz młodszym rodzeństwem, co nie było łatwe ani dla niej, ani dla Nimitza, biorąc pod uwagę stan psychiczny jej ojca. Bolesna rana emocjonalna Alfreda Harringtona dopiero zaczynała się zblizniać. Honor była wdzięczna Emily, że może trochę pobyć z nią sam na sam. Spokój starszej kobiety działał na nią kojąco, poza tym trudno byłoby w całym Gwiezdnym Imperium o osobę bardziej przenikliwą, gdy chodziło o planowanie strategii politycznych.

Przez kilka najbliższych tygodni może okazać się to bardzo przydatne, pomyślała Honor, patrząc, jak Mallory zbiera się do udzielenia odpowiedzi Alversonowi.

*

- Rząd Grantville'a posuwa się stanowczo za daleko, próbując zrzucać na High Ridge'a pełną odpowiedzialność za wszystkie obecne problemy - powiedział Mallory głosem, który byłby zdolny zmiękczyć ołów, ale zaraz przerwał, by powściągnąć emocje. - Nikt nie twierdzi, że tamta ekipa nie popełniła pewnych błędów, chociaż wielu nadal się zastanawia, czy właściwym było skazywanie byłego premiera na wieloletnie więzienie jako winnego działaniom całego rządu. Wiem, że nie jest to popularny pogląd, ale uważam, że to niebezpieczny precedens mogący prowadzić do praktyki penalizacji działań politycznych oponentów, a od tego już tylko krok do wielu groźnych wynaturzeń systemu parlamentarnego. A wyciąganie tych dawnych spraw za każdym razem, gdy ktoś zaczyna krytykować politykę obecnego rządu, to już małostkowość świadcząca o braku argumentów mogących ową krytykę odeprzeć, panie Alverson!

- Doprawdy? - spytała Madeleine Richter. - Wydawało mi się, że były premier został skazany za łapówkarstwo, kupowanie głosów,

krzywoprzysięstwo, wymuszenia i utrudnianie działań wymiarowi sprawiedliwości, nie za decyzje swego rządu. Czyżbym coś pomyliła, Kiefer? - Uśmiechnęła się lekko. - A co do reakcji Jephthaha, rzeczywiście nie była zbyt uprzejma, ale muszę przyznać, że jak najbardziej celna. Dodam też, że twoja wypowiedź nie była chyba tak całkiem wyważona.

Mallory poczerwieniał jeszcze bardziej, a Rosalinda Davidson potrząsnęła głową. Reprezentująca East Tannerton Richter była w parlamencie seniorem Partii Centrystycznej i tym samym jej poparcie dla rządu Williama Alexandra było czymś równie naturalnym jak opozycyjne stanowisko Mallory'ego. Davidson zaś należała w parlamencie do Partii Liberalnej, ale wyleciała stamtąd krótko po katastrofalnym końcu rządu Ridge'a. Od tamtej pory zarabiała na życie jako felietonistka i wykładowca, i chociaż nie podzielała całkowicie opinii Mallory'ego, tak jak on nie cierpiała obecnej ekipy rządzącej.

- Wiesz, Madelaine, wydaje mi się, że nie spotkaliśmy się tu dzisiaj po to, by roztrząsać czyjeś dawne czy obecne sympatie polityczne. Chyba że się mylę. Jak to jest, Minervo? - Zwróciła się do Minervy Prince, która wraz z Patrickiem DuCainem była gospodynią bardzo popularnego i od dawna obecnego na antenie programu *Into the Fire*. Tego wieczoru był on jednym z bardzo wielu poruszających ze zmiennym szczęściem kwestię sensacyjnej obecności Eloise Pritchard w podwójnym układzie Manticore, niemniej tradycyjnie miał najwyższą ze wszystkich oglądalność.

- Oczywiście nie mylisz się, Rosalindo - odparła Prince. - Niemniej wiesz na pewno, że zwykliśmy z Patrickiem dawać naszym gościom dużą swobodę wypowiedzi w trakcie dyskusji...

*

- Szczera prawda - powiedziała Emily, uśmiechając się szeroko do Honor. - Nic tak nie poprawia notowań jak krew tryskająca z przerwanych tętnic!

- Coś o tym wiem - mruknęła Honor, wspominając własny udział w *Into the Fire* w czasach, gdy była ostro tępiona przez Admiralicję Janacka. - A jeśli jest za mało krwi, zawsze chętnie służą brzytwą.

*

- Być może podważę swoją reputację siejącego wiatr, ale proponuję, byśmy odłożyli na chwilę nasz polityczny oręż i skupili się na zasadniczym temacie spotkania - powiedział Abraham Spencer, wybitnie fotogeniczny (i obrzydliwie bogaty) finansista, uśmiechając się przy tym czarująco. - Wiem, że nikt nie uwierzy w moją gotowość przemiany w gołąbka pokoju, i zapewne słusznie, bo sęp pozostaje zawsze sępem, ale w tej chwili naprawdę mamy do czynienia z czymś niebywale ważnym, bo tak chyba można określić przedstawioną przez królową propozycję zawarcia sojuszu z Republiką Haven. Nie wspominając już o sensacyjnych doniesieniach na temat Równania z Mesy.

- Tak zwanych sensacyjnych doniesieniach - poprawił go Mallory. - Żaden sąd nie uwzględniłby takich dowodów jakie nam przedstawiono!

- Jakkolwiek je ocenimy, przyznasz chyba, że to prawdziwa bomba, Kiefer! - odrzekł DuCain.

- Może, ale czy ktokolwiek w nie uwierzy? Chyba nikt poza Gwiezdnym Imperium nie okaże się podatny na próbę zaszczepienia tak paranoicznej spiskowej wersji dziejów - stwierdziła Davidson i spojrzała z ukosa na Alversona. - Zwłaszcza gdy przypomni sobie o związkach niektórych i członków parlamentu z Baletem.

Alverson łypnął z kolei okiem na Catherine Montaigne, ale Richter interweniowała, nim połała się krew.

- Możesz się zdziwić, ale wiele osób w to uwierzy, Rosalindo - powiedziała lodowatym tonem i przesunęła dłonią po granatowych włosach. Nie były ufarbowane czy genetycznie zmodyfikowane, odziedziczyła ich barwę po babce, która została wyprodukowana na specjalne zamówienie pewnego ekscentrycznego amatora niewolników służących do uciech cielesnych. - Nie zamierzam przypisywać Mesie całego zła tego świata, ale ktokolwiek przyjrzy się tej planecie, przyzna chyba, że nigdy nie liczyła się ona z tym, co myślą o niej inni, i nie dotyczy to tylko Manpower.

- Wiesz, co myślę o Balecte, Rosalindo - odezwał się Spencer z powagą. - Niezależnie od współczucia, które odczuwam dla wszystkich genetycznych niewolników, i obrzydzenia wobec wyrosłego na ich krzywdzie przemysłu, nie jestem w stanie zaakceptować metod, po które Balet sięgał zdecydowanie zbyt często. Nigdy nie kryłem, że nie popieram terroryzmu, co wyraziłem chyba dość stanowczo podczas mojej sprzeczki z Klausem Hauptmanem. Pamiętacie zapewne naszą dyskusję, która miała miejsce krótko po wyzwoleniu Torch.

Kilkoro gości parsknęło śmiechem. Wspomniana „sprzeczka” była solidną awanturą i doszło do niej podczas jednego z wydań *Into the Fire*. Fakt, że obaj uczestnicy należeli do najbardziej zamożnych i wpływowych obywateli Imperium, tylko przydał jej pikanterii.

- Niemniej zakładając nawet, że Balet miał swój udział dostarczeniu nam tych informacji, jestem skłonny dać im wiarę. Wiele tajemniczych dotąd zdarzeń i niewyjaśnionych zbiegów okoliczności układa się dzięki nim w spójną całość. I jak powiedziała Madelaine, jeśli by szukać

świata na tyle skorumpowanego, by mógł zrodzić podobną działalność, bez wątpienia byłaby to Mesa!

- Ale na jakiej właściwie podstawie mielibyśmy uwierzyć w istnienie snutego od wieków spisku wymierzonego w nas i Republikę Haven? - powiedziała Davidson, wznosząc oczy do nieba. - Abrahamie, litości! Mogę przyznać bez bicia, że Mesanie to straszne dranie, a niewolnictwo genetyczne to patologia społeczna, ale w gruncie rzeczy mamy tu do czynienia tylko ze zwykłym wykwitem drapieżnego kapitalizmu. Nie, nie twierdzę, że kapitalizm zawsze prowadzi do złego. Chcę tylko powiedzieć, że w przypadku Manpower mamy do czynienia ze zjawiskiem, przy którym najwięksi baronowie zinstytucjonalizowanej zbrodni ze starej Ziemi wyglądają jak płoćki. Tacy ludzie nie próbują destabilizować systemu, o ile zapewnia im dość mętnej wody, a kloaka, którą już dawno temu stała się Liga Solarna, jest dla nich idealnym wręcz środowiskiem!

- To dlaczego, twoim zdaniem, prezydent Pritchard przedsięwzięła tę bezprecedensową i dramatyczną podróż na Manticore? - spytała Prince.

- Takich powodów może być całkiem sporo - odparła Davidson, wzruszając ramionami. - Możliwe nawet, chociaż moim zdaniem mało prawdopodobne, że naprawdę uwierzyła, jakoby Mesa zagrażała obu naszym państwom. Wydaje mi się jednak, że w istocie to ona właśnie, wraz ze swoim wywiadem i przy współpracy Baletu, wymyśliła całą tę historię - zasugerowała, celowo nie patrząc w kierunku Alversona. - Albo przynajmniej ubrała ją w ładne słówka.

- Ale po co miałyby to robić? - spytał Spencer. Davidson spojrzała na niego znacząco i teraz on wzruszył ramionami. - Jak przypomniał chwilę temu Kiefer, Republika jest gotowa stanąć u naszego boku

przeciwko Lidze Solarnej. Czy możesz wskazać mi jakiś logiczny motyw mogący z dnia na dzień skłonić do zawarcia z nami sojuszu państwo, z którym przez dwadzieścia lat toczyliśmy wojnę? Sojuszu skierowanego na dodatek przeciwko takiemu gigantowi, jakim jest Liga Solarna, i to w chwili, gdy jesteśmy znacznie słabsi niż dziesięć lat temu? Nie pojmuję, dlaczego ktoś słynący z makiawelicznego umysłu, którego posiadania nieraz już dowiodł, czy raczej dowiodła, miałby z własnej woli zrobić coś tak głupiego!

*

- Czuję, że jeszcze chwila, a Abraham wyposaży tam kogoś w dodatkową odbytnicę, że zacytuje Hamisha - zauważyła Emily.

- Dziwne - odparła Honor. - Nie przypominam sobie, by używał tego zwrotu.

- Bo nie używał - powiedziała Emily z uśmiechem. - Po prostu preferuję trochę łagodniejsze słownictwo.

- Powiedzmy.

- Cicho! - Emily dała Honor po głowie sprawną ręką. - Chcę zobaczyć, jak szlag trafia Rosalindę na wizji.

*

- Dopiero co zaznaczyłam, że moim zdaniem Pritchard może autentycznie wierzyć w tę całą historię - powiedziała dobitnym tonem Davidson, zwracając się do Spencera. - Pewnie są jeszcze inne możliwości, jak chociażby chęć przekonania nas, że jesteśmy na czyjejs liście, w celu uzyskania nadzwyczaj korzystnych warunków traktatu pokojowego, ale moim zdaniem ona jednak w to wierzy. Co nie oznacza oczywiście, że ktoś nie mógł jej oszukać, podsuwając sfabrykowane materiały, by wykorzystać ją potem do oszukania nas. Była też mowa o Balecie i zgadzam się, że on zyskałby najwięcej, gdybyśmy aktywnie

zwrócili się wraz z Republiką Haven przeciwko Mesie. Dlatego skłonna jestem wskazać właśnie Balet jako autora tej intrygi. To się chyba samo narzuca?

- W życiu czegoś tak paranoicznego nie słyszałem! - rzucił Alverson.

- Nie wiem, jakie szczególne kwalifikacje umysłowe są potrzebne, by upierać się wbrew dowodom, że wspomniany wcześniej McBryde przekazał najpewniej prawdę! Zwłaszcza gdy treecaty potwierdziły, że pan Simoes nie kłamie. A to oznacza...

- Wszystko się zgadza, ale nie jestem wcale pewien, czy treecatom można wierzyć - przerwał mu Mallory i szereg osób spojrział na niego ze skrajnym zdumieniem. - Rzecz w tym, że miałem sporo do czynienia z osobami poddanymi praniu mózgu albo po prostu sprawnie wprowadzonymi w błąd w taki sposób, że same całkiem szczerze sprzedawały potem wierutne bzdury. Z tego, co wiem, nawet najbardziej doświadczone treecaty nie są w stanie wykryć takich przypadków. Przypuśćmy na chwilę, że Rosalinda ma rację, mówiąc o Balecie i powodach, dla których mógłby chcieć sfabrykować taką opowieść. Nie twierdzę, że tak właśnie było, ale sądzę, że należy się nad taką ewentualnością zastanowić. Byłoby chyba wówczas oczywiste, że chcąc skutecznie sprzedać swoją wersję Gwiezdnemu Imperium, podsunęliby kogoś o tak spreparowanym umyśle, by wydawał się absolutnie przekonany do wszystkiego, co mówi, do bólu szczerzy i tak dalej...

- Och, na miłość... - zaczęła Richter.

- I na tej uwadze na razie poprzestaniemy - przerwała jej Prince, uśmiechając się do kamery, podczas gdy DuCain walczył dzielnie z atakiem śmiechu. - Nie odchódźcie daleko, bo już za chwilę ciąg dalszy *Into the Fire* i naszej... ożywionej dyskusji!

CZERWIEC 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Chcę sprawić mu takie lanie, by nawet w Lidze zrozumieli, że to jest wojna, a skoro ją wywołali, będą musieli ponieść konsekwencje!”

Admirał lady Honor Alexander-Harrington, patronka i księżna Harrington

Rozdział XII

- Owszem, to niezwykle - powiedziała admirał Stephania Grimm z kontroli astro Manticore, spoglądając na kapitana Christophera Dombroskiego. Nie odrywając oczu od jego twarzy, otworzyła wiadomość, którą przesłał właśnie na jej terminal. - Nie myślę się, sądząc, że jako kompetentny oficer przesłał im pan zapytanie o szczegółowe dane, oni zaś odmówili ich przekazania?

- Właśnie tak było, ma'am. Odpowiedzieli w uprzejmym tonie, ale nie wspomnieli ani słowem, kogo właściwie wysyłają. Powtórzyli tylko, że proszą o slota dla „nadzwyczajnego kuriera dyplomatycznego”. Wziąwszy pod uwagę obecną sytuację, pomyślałem, że dobrze będzie zwrócić pani uwagę na ten nieoczekiwany lot.

- Rozumiem.

Grimm spojrzała ponownie na ekran. Jakieś wyjaśnienie na pewno by się przydało, ale jej podwładny nie był przecież winien braku takowego.

Dombroski był starszym specjalistą w dziale ruchu, co czyniło go odpowiedzialnym za porządek w kolejce i przydzielanie slotów, czyli wyznaczanie poszczególnym jednostkom czasu przejścia przez terminal. Zwykle wszystko odbywało się płynnie, ostatnio jednak często napotykał utrudnienia. Najpierw pojawiła się cała fala odwoływanych frachtowców, potem zaś musiał radzić sobie z dziesiątkami solarnych statków, zwykle z mocno poirytowanymi skipperami, którzy nagle odkryli, że będą musieli wybrać dłuższą drogę. A jakby tego było mało, trzeba było przyjąć jeszcze zwiększony ruch okrętów wojennych oraz

jednostek remontowych napływających po zniszczeniu Yawata Crossing.

Nic dziwnego, że Dombroski nie wyglądał ostatnio na wypoczętego.

Grimm zmarszczyła brwi i zastanowiła się nad otrzymaną wiadomością. Sama w sobie nie była niezwykła, ale istniało w jej przypadku dziwne zgranie w czasie. Jednostka kurierska wyruszyła niemal zaraz po tym, gdy jej dysponenci otrzymali najpewniej wiadomość o obecności Eloise Pritchard na Manticore. A to sugerowało, że nie chodzi o zwykły przelot bez większego znaczenia.

- Dzięki, Chris - powiedziała ostatecznie. - Dopilnuję, by Mount Royal się o tym dowiedział. Dzięki temu będą mieli kilka godzin na przygotowania, nim tamten doczeka swojej kolejki.

- Oni powinni zgłosić ten rejs ze znacznie większym wyprzedzeniem, ma'am - odparł Dombroski z irytacją w głosie. - I na pewno o tym wiedzą, tylko czemuś zapomnieli.

- Wiem, że powinni - odparła cierpliwie Grimm, pamiętając o szczególnym stresie, na który ostatnio narażony był jej podwładny. - Jednak nie mają takiego obowiązku. Utało się, że robili to wcześniej.

Spojrzała na niego znacząco, by zrozumiał, że jeśli zamierza złożyć oficjalny protest, nie uzyska jej poparcia, jakkolwiek prywatnie mogła mu współczuć. Nie opuściła głowy, dopóki nie pojął przekazu.

- Przyznaję, że z dobrymi manierami ma to niewiele wspólnego, ale cóż. - Wzruszyła ramionami. - Pozostaje nam przyjąć, że mieli swoje powody. A jeśli nawet nie, Beowulf jest niezawisłym i odrębnym państwem.

*

- Nie rozumiem, dlaczego muszę tu tkwić - poskarżyła się Honor Alexander-Harrington. - Powinnam już wracać do Trevor Star. -

Podeszła niespokojnie do okna i spojrzała na tereny okalające Mount Royal. - Alice wie, co robi, ale włos mi się jeży na głowie, gdy pomyślę o tym wszystkim co może pójść źle. Oraz ile osób zacznie srać cegłami, jak powiada Hamish, gdy zobaczą trzy setki superdreadnoughtów Republiki Haven przechodzących przez Manticore Wormhole Junction!

Skrzywiła się, dosłyszawszy we własnym głosie coś na kształt skargi. Wiedziała przecież, że Alice Truman, jej zastępczyni na stanowisku dowódcy Ósmej Floty i dowódca Task Force 81, jest kompetentna i na pewno poradzi sobie w każdej sytuacji. Naprawdę, jeśli już coś Honor dokuczało, to fakt, że musi siedzieć w Landing, zamiast pobyć jeszcze trochę w White Haven. Tyle że nigdy by się do tego nie przyznała.

- Gdybym mogła ci powiedzieć, o co dokładnie chodzi, dawno bym już to zrobiła - odparła z lekkim wyrzutem Elżbieta Winton. - Niestety, nie wiem nic ponad to, co już usłyszałaś. Delegacja Beowulfa bardzo zdecydowanie poprosiła o twoją obecność, ale powodu nie podała. W ogóle niewiele nam przekazali. Nie powiedzieli, dlaczego chcą tego spotkania, nie powiedzieli, kogo wysyłają. Tyle tylko, że bardzo chcieliby ciebie tutaj widzieć. Na mój rozum może chodzić o coś związanego z twoimi krewnymi na Beowulfie, ale to tylko domysły.

Honor skrzywiła się ponownie i oparła dłonie na parapecie, by przysunąć głowę do tafli krystoplastu. W jej przypadku było to świadectwo zdenerwowania, ale obróciła głowę, gdy Nimitz zamruczał jej do ucha.

„Obawiasz się złych wiadomości” - pokazał zwinnymi palcami. - „A jeszcze bardziej się obawiasz, że umysł Głęboko Zakorzonego znowu straci blask”.

Honor przytaknęła niemal wbrew swojej woli. Od chwili, gdy poznała imię nadane jej ojcu przez treecaty, miała je za szczególnie trafne. Alfred Harrington przypominał wielki dąb z korzeniami sięgającymi daleko w głąb ziemi i rozłożystą koroną, pod którą chroniła się w dzieciństwie więcej razy, niż była w stanie spałnąć. Ale te korzenie, które pozwalały mu opierać się życiowym burzom i kształtowały jego charakter, powstały dzięki całej rodzinie, z której wyrósł, z którą się zżył, o której nieustannie pamiętał, niezależnie do tego, jak dawno się coś zdarzyło.

Rodzinna historia i tradycja to była żyzna gleba, z której czerpał swoją siłę. Niestety, po zniszczeniu Yawata Crossing wiele się zmieniło. Z wolna dochodził do siebie, ale trudno było orzec, czy kiedykolwiek w pełni wyzdrowieje.

Stinker miał rację. Bała się przede wszystkim tego, że jakaś wiadomość od wuja Ala czy kogoś innego z Beowulfa rozdrapie ledwo co zabliznione rany jej ojca. Był to absurdalny pomysł. Przecież Rada Dyrektorów nie wysłałaby oficjalnej delegacji dyplomatycznej, a zwłaszcza już w tak tajemniczy sposób, tylko po to, by przekazać wiadomość dotyczącą prywatnych, rodzinnych spraw. Honor potrząsnęła głową. Czyżbym naprawdę stała się aż tak nieodporna? Zaczynam obawiać się cieni?

- Masz rację - powiedziała głośno, przytulając policzek do nosa treecata. - I wiem, że to głupie. Ale...

- Ale jesteś tylko człowiekiem - powiedziała cicho Elżbieta. Honor spojrzała na królową, która przesuwiała dłonią po futrze leżącego na jej kolanach Ariela. - Też to czuję. I znam was oboje dość dobrze, żeby zrozumieć. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Nie tylko ty ucierpiałaś na tyle, by stracić trochę ze zdolności logicznego myślenia. Czasem mam

wrażenie, że im bardziej przybywa nam rozumu, tym łatwiej wpadamy w pułapkę zadreczania się wizjami przyszłych katastrof.

- O rozumie nic nie wiem - odparła Honor, wracając na swoje miejsce naprzeciwko Elżbiety. - Ale sądzę, że ludzie o bogatej wyobraźni lepiej radzą sobie w ciężkich chwilach.

- Z tym się zgodzę - powiedziała królowa ze zwodniczym uśmiechem na twarzy. - Ale skoro tak, to musisz mi przyznać...

Przerwała, słysząc cichy, melodyjny sygnał, i spojrzała na kompa ustawionego na stoliku między nimi.

- Przybyli nasi tajemniczy goście! - oznajmiła. - Ciekawe, czy Ellen i Spencer wpuszczą ich bez sprawdzenia dokumentów i całej tej procedury.

- Raczej nie - odparła Honor ze śmiechem. - Ellen to jedyna znana mi osoba o większym współczynniku zawodowej paranoi niż Spencer. Przynajmniej obecnie - dodała ze smutkiem i Elżbieta spojrzała na nią niespokojnie. Chciała już coś powiedzieć, ale Honor potrząsnęła głową. Co rusz wpadała w podobne pułapki. Nagle stawały jej przed oczami osoby zmarłe tragicznie, gdy jej tutaj nie było. Jak Andrew LaFollet, który ochraniał ją przez lata i zginął, do końca wypełniając swój obowiązek. Ale już jest lepiej, powiedziała sobie. Będzie lepiej.

- Tak czy siak, jeśli jedno byłoby gotowe zrezygnować z pełnej identyfikacji, drugie tym bardziej się uprze - odezwała się głośno. - A Ellen nie dopuści do ciebie nikogo, komu wcześniej całej rodziny nie prześwietli...

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła pułkownik Ellen Shemais, dowodząca oddziałem osobistej ochrony Elżbiety od czasów, gdy przyszła królowa była małą dziewczynką. Zupełnie jakby stała za

drzwiami, czekając, aż będzie o niej mowa. Elżbieta uniosła brwi, ale pani pułkownik tylko się ukloniła, niczego nie wyjaśniając.

- Wasza Wysokość, milady - rzekła, kłaniając się także Honor. - Specjalna delegacja dyplomatyczna z Beowulfa.

Elżbieta rzuciła Honor zdumione spojrzenie. Żarty żartami, ale rzeczywiście się nie spodziewała, że delegacja zostanie dopuszczona do nich tak szybko. Honor też niczego nie rozumiała i zdołała jedynie wzruszyć ramionami. Potem obie wstały i spojrzały w otwarte drzwi.

Do środka weszło pięć czy sześć osób, a Honor z niebotycznym zdumieniem rozpoznała większość z nich.

- Wasza Wysokość - powiedział Chyang Benton-Ramirez, przewodniczący Rady Dyrektorów Beowulfa, skłaniając głowę w sposób charakterystyczny dla dyplomatów. Przepraszam za niezwykle tryb uzgadniania tej wizyty, ale mamy kilka spraw, które wymagają przedyskutowania w bardzo wąskim gronie.

*

- Pewnie powinnam już przywyknąć do tego, że głowy ościennych państw wpadają do mnie z niezapowiedzianymi wizytami - powiedziała Elżbieta Winton kilka godzin później. - Niemniej nadal marzy mi się zachowywanie pewnych... reguł, powiedzmy...

- Reguły? - spytał William Alexander, baron Grantville i premier rządu Gwiazdowego Imperium Manticore. - Ja stawiałbym raczej na rozsądek! Zwłaszcza że znaleźliśmy się chyba po drugiej stronie lustra.

- Też mam takie wrażenie - przyznała królowa. - I chyba rzeczywiście najważniejsze nie jest wcale to, jakie wiadomości nas zaskakują, czy są dobre czy złe. Mój ojciec mawiał, że prawdziwe przywództwo nie polega na kurczowym trzymaniu się zatwierdzonych

planów, ale na zdolności radzenia sobie z tym, czego nijak nie było się w stanie przewidzieć. I chyba nabieram na tym polu praktyki.

- Wszyscy nabieramy, Wasza Wysokość - rzucił półgębkiem sir Anthony Langtry, minister spraw zagranicznych Gwiezdnego Imperium Manticore. - Zasadniczo moi ludzie powinni mieć jakąś orientację, co się szykuje u innych, zwłaszcza gdy chodzi o zaprzyjaźnione z nami państwa, ale to nas całkiem zaskoczyło!

- W ciekawych czasach łatwo o zaskoczenia - powiedziała oschłym tonem baronowa Morncreek.

Ona oraz jasnowłosa Bruce Wijenberg byli w tej chwili jedynymi, poza samym baronem, przedstawicielami gabinetu Grantville'a przy stole. Hamish Alexander-Harrington był obecny wcześniej, ale teraz uczestniczył wraz z sir Thomasem Caparellim w osobnym spotkaniu z Gabrielem Caddell-Markhamem i Justyną Miternowską-Zhyang.

Honor zniknęła już z Landing. Chciała zostać, ale Elżbieta i Hamish nalegali, a krewny Harringtonów z delegacji z Beowulfa gorąco ich poparł.

- Francine ma rację, Tony - powiedział Wijenberg, zgadzając się z baronową. - I wątpię, aby twoje zaskoczenie przerastało nasze. Exchequer i Ministerstwo Handlu mają wiele kontaktów na Beowulfie, często na wysokim szczeblu a też się nie zorientowali, co się święci.

- Dobrze, skoro daliśmy już wyraz naszemu zdziwieniu, co z tym zrobimy? - spytała Elżbieta.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, ale moim zdaniem nie ma się nad czym zastanawiać - odparł Grantville. - Jeśli ktokolwiek ma jakiś inny pomysł poza dodaniem Beowulfa do listy naszych sojuszników, niech powie to teraz i tutaj!

*

- Jacques!

Honor zawsze podziwiała u matki zdolność radzenia sobie z zaskakującymi sytuacjami, ale też doktor Allison Harrington nie była osobą flegmatyczną. Większość ludzi doceniała jej szczególne poczucie humoru (treecaty nie bez powodu nazwały ją Roześmianą Tancerką), entuzjazmu też jej nie brakowało, przy czym zdolność całkowitego skupienia się na tym, co akurat robiła, nie wykluczała wcale łatwego przerzucenia się na całkiem inną formę aktywności. Nie oznaczało to, by działała chaotycznie; po prostu potrafiła zajmować się wieloma sprawami równocześnie w sposób przewyższający niejedną sztuczną inteligencję. I przy tym wszystkim umiała na dodatek zachować szczególną równowagę ducha, która upodabniała ją do treecata i pozwalała bez wstrząsów stawiać czoło najbardziej nawet nieoczekiwanym wydarzeniom.

I tylko dzisiaj wyszło to inaczej.

Gdy ujrzała niewysokiego mężczyznę wysiadającego za córką z wozu w barwach rodu Harringtonów, zaraz porwała go w objęcia, a Honor wyczuła towarzyszącą temu radość, podszytą jednak nutą smutku i wielkiego zaskoczenia.

- Witaj, Alley - powiedział zduszonym głosem Jacques Benton-Ramirez y Chou, przytulając swą bliźniaczą siostrę gdy położyła mu głowę na ramieniu. - Dobrze cię widzieć.

*

- Przepraszam, że nie zjawiłem się wcześniej - rzekł jakiś czas później, gdy siedział już z kieliszkiem w dłoni na tarasie nad basenem posiadłości w White Haven. Jego siostra, szwagier i siostrzenica też tu byli. Słońce już zachodziło i robiło się coraz chłodniej, jak zwykle pod koniec roku na północnych szerokościach Manticore. Nad

podgrzewanym basenem snuły się pasma mgły, mieniające się złotem w ostatnich promieniach słońca. -Przepraszam - powtórzył, spoglądając na Alfreda. - W pracy mamy ostatnio piekło. Nie było jak wziąć ani chwili urlopu. Al przekazała mi, co tu się działo, ale pomyślałem, że macie siebie nawzajem, i...

Przerwał, nie znajdując słów, a Alfred wzruszył lekko ramionami.

- Dostawaliśmy twoje listy, Jacques. Wiedzieliśmy, że o nas myślisz. I przypuszczaliśmy, że masz pełne ręce roboty. Poza tym było, jak mówisz - dodał głosem, w którym mimo wszystko pojawiła się nuta smutku. - Mieliśmy siebie. I bliźniaki. I Honor, gdy wróciła wreszcie z Nouveau Paris.

Jacques już otwierał usta, ale się rozmyślił. Zrozumiał, że nie musi mówić tego głośno. Ostatecznie przyjaźnił się z Alfredem od blisko osiemdziesięciu lat. Tak naprawdę to on (ku wielkiemu zdziwieniu reszty prominentnej rodziny) przedstawił swojej młodszej siostrze pewnego nieopierzonego oficera marynarki i dawnego sierżanta marines.

Technicznie rzecz biorąc, on i Allison byli bliźniakami, chociaż urodzili się w odstępie pięciu lat. Gdy ich rodzice zdecydowali się na jeszcze jedno dziecko, ciąża okazała się mnoga, i chociaż mogli bez problemów skorzystać z Prawa adopcyjnego, postanowili poczekać z decyzją o czwartym potomku do chwili, gdy najstarszy wyjedzie na studia Embryon doczekał tej chwili zamrożony i ostatecznie wyszło tak, że Jacques miał młodszą, chociaż zasadniczo bliźniaczą siostrę.

Zawsze darzył ją gorącym uczuciem i dbał nią, jak mógł, co nie zmieniło się także wtedy, gdy dorośli. Czasem musiała ostro przywoływać go do porządku (co całkiem dobrze się jej udawało), gdy zbyt nachalnie wtrącał się w jej życie, ale to go nie zniechęcało.

Wiedział, jak niełatwo być kimś z Benton-Ramirezów, i dostrzegał jednocześnie głęboką niechęć Allison do sztampy, w którą próbowano ją wtłoczyć. Wszyscy wkoło wiedzieli z góry, jaka powinna być, a on nie chciał, by musiała wchodzić w nie swoją skórę, i gotów był utrzyć nosa każdemu, kto próbowałby ją do tego nakłaniać. To, że siostra nie zawsze była mu za to wdzięczna, stanowiło drobiazg bez znaczenia. Bardzo starannie też dobierał ludzi, których jej przedstawiał, i nigdy nie żałował, że jednym z nich był Alfred Harrington. Sam był potem jego drużbą na ślubie.

Później też nie znajdował powodów, by narzekać. Owszem, miał dwóch braci i kochał ich, chociaż Anthony naprawdę niekiedy go wkurzał, a ich dawna rywalizacja nigdy naprawdę nie wygasła. Niemniej żaden z nich nie był mu tak bliski jak Alfred.

Który teraz wyglądał jak z krzyża zdjęty, chociaż od sławetnego ataku minęły już trzy miesiące. Wtedy musiał być kłębkim nerwów, a ja pozwoliłem, by „obowiązki zawodowe” okazały się ważniejsze, pomyślał Jacques. Chryste! Chociaż cztery dni! Tyle tylko byłoby trzeba, by przylecieć tu na chwilę. Powinienem dać mu chociaż tyle, by zjawić się osobiście i powiedzieć...

Co właściwie? - pomyślał nagle. Nie był przecież w stanie powiedzieć niczego, czego wcześniej by nie wyraził. Nie zdołałby uczynić dla niego więcej niż Allison, jej córki i syn. Wiedział jednak, że nie wybaczy sobie nigdy tego zaniechania.

- Tata ma rację, wujku - odezwała się nagle Honor. - Wiemy, co byś powiedział. I pisałeś o tym w listach. poza tym nie nas jednych, tutaj czy na Beowulfie, tak bardzo to dotknęło. Radziliśmy sobie tak... jak pewnie wszyscy inni.

- Widzę - odparł Jacques. Zawsze był blisko z Honor i wiedział, że domyśli się, o co miał w tej chwili ochotę spytać: Skoro radzicie sobie tak dobrze, czemu jesteście tutaj a nie na Sphinksie? Dojrzał błysk w jej oczach, ale odpowiedziała mu tylko długim, spokojnym spojrzeniem. - No ale w końcu przyleciałem - powiedział z ożywieniem. - I chyba będę mógł nawet zostać na trochę.

- Naprawdę? - Allison spojrzała na niego poprzez ogrodowy stół i wyraźnie się ucieszyła. - Jak długo?

- Co najmniej... - zaczął i zerknął szybko na siostrzenicę. - Co najmniej tydzień. Jak tobie pasuje, Honor?

- Tak akurat - odparła Honor z uśmiechem. - Może plus dzień czy dwa.

Allison i Alfred spojrzeli niespokojnie na swoją starszą córkę, a Honor bez trudu wyczuła ich emocje towarzyszące przeliczaniu dni. Nie było to trudne, wszyscy na Manticore wiedzieli, kiedy należało oczekiwać ataku Ligi Solarnej.

- Z przyjemnością cię ugościmy - powiedziała po chwili Allison. - Niemniej, skoro zostajesz na tak długo, może uruchomimy Harrington House? Honor, co ty na to? - Gdy spojrzała na córkę, w jej oczach malowały się dość mieszane uczucia. - Bez oficjalnej okazji nie zostałyby tak długo i pewnie wolałyby zatrzymać się gdzieś bliżej Landing. Poza tym już dość długo korzystamy z ojcem z gościnności Emily, Hamisha i twojej. Pora przestać się narzucać.

- Świetnie wiesz, mamó, że nikomu się nie narzucacie. Ale jeśli chcecie skorzystać z tamtego domu, to proszę bardzo. Jak już powiedziałaś, teraz jest wasz. Ja spędzam każdą wolną chwilę w White Haven. Lepiej, żebyście zagospodarowali tamten dom, niż gdyby miał stać pusty.

Oczywiście stwierdzenie, jakoby dom na klifie stał pusty, było wielkim niedomówieniem. Zawsze była w nim obecna liczna obsługa, czy Honor akurat w nim przebywała, czy nieoficjalnie pełnił funkcję ambasady Domeny Harrington na Manticore, zatem nie mógł opustoszeć. Honor omijała go jednak ostatnio, próbując uciec przed wspomnieniami związanymi z Andrew i Mirandą LaFolletami, Farragutem i sierżantem Jeremiahem Tennardem. Wiedziała, że w końcu wróci nad Zatokę Jasona, ale nie była jeszcze na to gotowa.

Jej matka świetnie o tym wszystkim wiedziała. Skoro jednak była zdania, że ojciec wyzdrowiał na tyle, by wrócić może nie od razu do posiadłości, ale chociaż do Landing, to był to dobry znak. I miała rację, że obecność wujka Jacques'a mogła bardzo pomóc. Poza tym ten dom i tak tylko nominalnie był domem Honor. Nawet w czasach sprzed małżeństwa spędzała tam mało czasu, zwykle będąc gdzieś daleko.

- No to postanowione - powiedziała Allison. - Skontaktuję się zaraz z M... to znaczy poproszę Maca, by powiadomił obsługę o naszym przybyciu.

Krótkie wahanie przeszło prawie niezauważone i tylko Honor i Nimitz wiedzieli, że Allison chciała w pierwszej chwili powiedzieć „z Mirandą”.

- Miło, że skończyłyście już przesądzać o moim losie - odezwał się Jacques. - Chyba akurat w porę, bo widzę, że ciągnie w naszą stronę całe stado.

Wskazał na grupę ludzi, wcale nie taką małą, która wyłoniła się zza przeszkłonych drzwi domu, a Honor wyczuła, jak rozstawieni na tarasie ochroniarze (niemal sami mężczyźni, z jedną tylko kobietą) stali się czujni.

Po niedawnym ataku oraz odprawie, którą urządził im Zilwicki na temat nanoprogramowania zabójców, zaczęli jeszcze bardziej przykładać się do pracy. Wuj Honor odnosił się do tego z wyraźną aprobatą, chociaż z całej sytuacji wcale zadowolony nie był.

Pamiętała, z jakim rozbawieniem obserwował jej próby sensownego ułożenia sobie relacji z ochroną, chociaż lepiej niż rodzice rozumiał konieczność zachowywania pewnych Procedur bezpieczeństwa. Teraz nie było mu do śmiechu.

Poważną miną spoglądał na zbliżające się postaci w zielonych mundurach.

Rodzice Honor też zmienili swoje podejście. Z początku tolerowali przy bliźniakach uzbrojonych ochroniarzy tylko dlatego, że prawo Graysona wymagało ich obecności. Rozumieli, że Jeremia Tennard i Luke Blackett mają oko nie tylko na dzieciaki, ale doceniając ten wysiłek, traktowali ich jako swoistą uciążliwość i wymykali się ochronie, gdy tylko mogli.

Od trzech miesięcy było inaczej. Zdecydował fakt, że Allison Harrington i jej syn przeżyli tylko dzięki temu, że dwoje ochroniarzy poświęciło swe życie.

Nijak się nie sprzeciwili, gdy Honor oznajmiła im, że od teraz będą mieli własną ochronę, i mimo początkowego dystansu, wywołanego świeżą przecież pamięcią losu LaFollet i Tannarda, przywykli do tego szybciej, niż wcześniej oczekiwała. Inna sprawa, że ludzi dobrała nadzwyczaj starannie.

W pierwszej kolejności zdecydowała, że muszą to być osoby poddane prolongowi. Nikt z jej oryginalnej ochrony nie przeszedł tej terapii, jednak ona wiedziała już, jak to jest obserwować kogoś bliskiego starzejącego się i umierającego w relatywnie młodym wieku, i

chciała oszczędzić tych przeżyć rodzicom. Gdy usiadła ze Spencerem Hawkiem do przeglądania akt tych, którzy przeszli przez to pierwsze sito, pojawiły się kolejne wymogi.

Sierżant Isaiah Matlock, ochroniarz ojca Honor, był synem rangersa służby leśnej, tyle że urodził się na planecie, której dzikie ostępy zasadniczo w ogóle nie nadawały się do życia dla człowieka. Ci, którzy decydowali się jednak w nie zapuszczać, byli przez udomowionych sąsiadów uznawani za swego rodzaju szaleńców, być może nawet niebezpiecznych. Rodzina Matlocka zajmowała się tym jednak już od trzystu lat i nauczyła się kochać puszcze Graysona, chociaż dłuższy kontakt z nimi groził śmiercią bądź kalectwem. Może zresztą dlatego tak się zaangażowali. Isaiah był w tym bardzo podobny do Alfreda Harringtona. Honor oczekiwała, że młody człowiek zakocha się w Sphinksie, chociaż przyciąganie było tu silniejsze, i szybko znajdzie z jej ojcem wspólny język. Jeśli ktokolwiek mógł zrozumieć zamiłowanie Alfredo do wypraw wędkarskich czy myślistwa, to właśnie Isaiah. Nie mówiąc o tym, że wspólna pasja powinna pomóc w nakłonieniu podopiecznego do posłuchu.

Poszukiwanie właściwego kandydata na ochroniarza Allison wydawało się trudniejszym zadaniem. Matka Honor z trudem pojmowała, dlaczego ktoś miałby chronić ją przed ludźmi, których nigdy nawet nie spotkała. Rozumowo potrafiła to ogarnąć, ale nawet po próbie zabójstwa starszej córki emocjonalnie nie pogodziła się z tym, że całkiem obcy człowiek miałby czyhać na jej życie. Poza tym jako osoba pochodząca z Beowulfa nie była przyzwyczajona do relacji nakazującej komukolwiek w razie potrzeby zginąć w jej obronie. Kultura jej rodzinnej planety różniła się zdecydowanie od tego, co było normą dla kogoś wychowanego na Graysonie, i to też mógł być niejaki problem.

Zdając sobie z tego sprawę, Honor oczekiwała długich i żmudnych poszukiwań, wyszło jednak inaczej. Ku swojej wielkiej radości bardzo szybko trafiła na osobę, która wydała się jej bardzo na miejscu: kapral Anastazję Yanakov, pierwszą graysońską kobietę, która przeszła trudny i wymagający cykl szkolenia gwardzistów.

Od tamtej pory doczekała się jeszcze kilkunastu naśladowczyń, z których co najmniej połowa wylądowała ostatecznie w Domenie Harrington. Większość pozostałych trafiła do Gwardii Mayhew i straży pałacowej, a tylko niektóre panie znalazły sobie miejsce u innych, co bardziej postępowych patronów.

Oczywiście na Graysonie było jeszcze sporo piewców dawnego porządku, którzy bronili się ze wszystkich sił przed takimi pracownikami, ale ich głupota była Honor nawet na rękę. Tam, gdzie oni tracili, ona tylko zyskiwała i Anastazja (czwarta kuzynka wielkiego admirała Marynarki Graysona Judaha Yanakova) była tego najlepszym przykładem. Jej ojciec okazał się aż takim odszczepieńcem, że wysłał córkę na Manticore, by ukończyła tam studia, co poszło jej śpiewająco. Prócz magisterki z kryminologii i prawa stosowanego zyskała też mianowanie na kapitana uczelnianej drużyny strzeleckiej, a po powrocie wywalczyła sobie miejsce na kursie, który ukończyła z trzecią lokatą, co jednoznacznie zapowiadało oficerską karierę. Najpierw jednak musiała zdobyć szlify zwykłego ochroniarza, i chociaż w tym fachu kobietom tradycyjnie było trudniej, Anastazja nie miała zamiaru dać się zdystansować mężczyznom.

Przy tym wszystkim była dzieckiem dwóch światów i dzięki temu świetnie nadawała się na towarzyszkę Allison Harrington. Na swój sposób przebiegła, na tyle różniła się od Mirandy LaFollet, by nie budzić

u nikogo skojarzeń z inną graysońską kobietą, która także nauczyła się sprawnie poruszać między dwiema kulturami właściwymi jej patronce.

W tej chwili Matlock i Yanakov pełnili służbę razem z trójką ochroniarzy Honor, obstawiając taras na tyle szerokim kręgiem, by dawać rodzinie chociaż złudzenie prywatności. I wszyscy zwrócili uwagę na grupę, która wyszła z budynku.

Na jej czele jechał wózek Emily, obok którego szedł jej osobisty ochroniarz, Jefferson McClure. Faith i James tuptali po obu jego stronach. Na widok siostry Honor poczuła przyływ bolesnego współczucia.

Śmierć Jeremiaha Tannarda była dla dziewczynki wielką tragedią, bo przecież trudno zrozumieć czyjeś nagłe odejście, gdy nie ma się jeszcze dziewięciu lat. A na dodatek Faith straciła przecież tego strasznego dnia jeszcze wiele cioć, wujków i kuzynów, co bez wątpienia musiało położyć się cieniem na jej dzieciństwie. Jeremiah zajmował się nią praktycznie od samego początku, stając się szybko nie tylko obrońcą, ale i przyjacielem, jakby starszym bratem. Faith nie wiedziała, że był jej żywą tarczą, ale wyczuwała jego oddanie i poświęcenie, które znacznie wykraczały poza ramy obowiązków, i odpowiedziała na nie prostą i bezwarunkową dziecięcą miłością.

Po ataku bliźniaki przyłgnęły wręcz do Luke'a Blacketta, Honor zaś pojęła, że zastąpienie Jeremiaha będzie wyjątkowo trudne, o ile w ogóle możliwe. Musiał być to ktoś kogo dzieciaki będą skłonne dopuścić do siebie po utracie tylu bardzo bliskich im osób. Były dość bystre i wrażliwe, by zrozumieć związek między przywiązaniem a stratą, co groziło zamknięciem się na nowe kontakty.

Honor w pełni je rozumiała, ale musiała coś zrobić, uciekła się więc do podstępu, który przybrał postać wysokiego (jak na standardy

Graysona) mężczyzny o kasztanowych włosach, który teraz szedł zaraz za Faith. Kapral Micah LaFollet ukończył szkolenie niecałe dwa standardowe lata wcześniej i być może był trochę za młody na obecne stanowisko, ale Faith знаła młodszego brata Andrew i Mirandy przez całe swoje życie. Micah był już wcześniej częścią jej świata i nie musiał się do niego wdzierać. Po ataku dzieciaki wypłakiwały się w jego ramionach, wraz z nim przeżywając utratę jego rodzeństwa.

Do Honor teraz dopiero dotarło, że dla Micaha to też był dobry wybór. Kochał Faith i Jamesa i chyba nigdzie indziej nie czułby się bardziej na miejscu. No, może poza jednym przypadkiem, pomyślała Honor, spoglądając na młodą kobietę pchającą antygravitacyjny wózek z dwoma siedziskami.

Szybkie gojenie pomogło Lindsey Philips pozbyć się bólu złamanego obojczyka, ale emocjonalnie ucierpiała tak samo jak cała rodzina Harringtonów. Na równi dotknięta smutkiem, znajdowała ukojenie w tym pilniejszym zajmowaniu się Raulem i Katherine. Honor była jej za to wdzięczna, niemniej w tej chwili jej uwagę przykuwał przede wszystkim wysoki i młody ochroniarz, którzy szedł zaraz za nią.

Porucznik Vincent Clinkscles podjął się niewykonalnego, czyli zastąpienia Andrew LaFolleta na stanowisku ochroniarza Raoula Alfreda Alistaira Alexandra-Harringtona. Honor uważała, że tak naprawdę Andrew nikt nie zdoła zastąpić. Zbyt wiele czasu z nim spędziła, by widzieć to inaczej, i w głębi ducha wołałaby, żeby to Micah przejął funkcje starszego brata, ale chłopak był za młody i zbyt niedoświadczony. Konklawe Patronów zaprotestowałyby zgodnie i chociaż nie mogliby jej powstrzymać, na pewno by próbowali. Co gorsza, mieliby rację. I dlatego właśnie podebrała Clinksclesa ze straży pałacowej protektora. Krewniak Howarda Clinksclesa i starszy brat

komandora Carsona Clinksclesa miał o kilkanaście lat więcej niż Micah, dlatego kwalifikował się tylko do pierwszopokoleniowego prolongu i niedługo miał zyskać dojrzały wygląd, spełniający oczekiwania innych patronów. Na dodatek klan Clinksclesów był oficjalnie spowinowacony z klanem Harringtonów i tym samym Vincent był wedle prawa krewnym Honor. Nawet najbardziej uparty patron nie miał więc podstaw, by zakwestionować tę kandydaturę, sam zainteresowany zaś zawsze wykazywał się wysokimi kompetencjami i lojalnością.

I chociaż Honor nie znała go tak dobrze, jak znała Andrew, obecnie to samo odnosiło się do wszystkich członków gwardii. Z jej oryginalnego składu nie został już nikt.

Ledwo o tym pomyślała, zaraz zbeształa się w duchu za przesadny sentymentalizm. Vincent był świetnym ochroniarzem, inaczej by go przecież nie wybrała. A że nie jest Andrew... cóż, nikt nim nie jest. Pora więc przejść nad tym do porządku dziennego i pozwolić mu wykonywać swoją robotę.

Nimitz miauknął ze współczuciem i lekką naganą. Honor uśmiechnęła się do siedzącego na swoim meblu kotowatego.

- Pracuję nad tym, Stinker - powiedziała cicho, muskając palcem wskazującym koniuszek nosa treecata. - Pracuję nad tym.

Złapał jej palce przednią ręką, ona zaś wyczuła jego aprobatę. Potem obejrzała się na nadciągającą grupę i uśmiechnęła, policzywszy wszystkie głowy. Była to mała armia i gdyby Mac też się zabrał, Emily miałyby do dyspozycji równy tuzin. Całe szczęście, że taras jest tak duży.

- Cześć, Emily - zawołała Honor, gdy kawalkada była już blisko. - Mac cię wysłał, byś zabrała nas na kolację.

- A jakoś nie - odparła Emily z krzywym uśmiechem. - Zdecydowałam, że pora zmanifestować własną niezależność, i sama się wybrałam. W ten sposób wyprzedziłam jego wezwanie o całe dwie minuty. Może nawet trzy.

- Zawsze jesteś panią swego losu.

Myślisz, że nie zauważyłam jeszcze, kto rządzi tą menażerią?

- Nonsens - stwierdziła Honor, unosząc dumnie twarz. - Mac nauczył się tylko przewidywać dokładnie wszystkie moje działania. I dlatego zawsze wie, co zrobię za chwilę. Nie oznacza to wcale, jakobym była pozbawiona możliwości wyboru. I zawsze mogę zmienić zamiar i pójść swoją drogą.

- Tak, jasne. - Emily zatrzymała fotel obok stołu, i Faith i James ruszyli do wujka. Bliźniaki były już za duże, by wspiać mu się na kolana, więc tylko mocno się w niego wtuliły.

- Czy Honor w dzieciństwie też kłamała jak najęta?

- Kłamała? - zastanowił się Benton-Ramirez Chou, wycelowawszy dzieci. - Tak bym tego nie określił... Powiedziałbym raczej, że postrzegała świat przez pryzmat swoich potrzeb i oczekiwań.

- I na pewno ma to po wujku - dodała Allison Harrington.

- W każdym razie po kimś mocno spowinowaconym genetycznie - stwierdził z uśmiechem Benton-Ramirez, przyglądając się bliźniakom. - Ale to ty jesteś genetykiem, Allison. Lepiej ode mnie wiesz, jak to wędruje, ale coś mi się wydaje, że raczej nie opłotkami.

- Dalibyście spokój - rzuciła Honor, kręcąc głową. - Wszelkie moje przewiny, a imię ich na pewno brzmi legion, nie powinny kłaść się cieniem na temacie kolacji. Ciekawa jestem, czy starczy wam odwagi, by wyjaśnić Macowi, dlaczego jedzenie wystygło. Zatem proszę, ruszamy

na kolację i przy stole będziecie się zastanawiać, kto jest winien mojej fatalnej konduity!

- Ale strateg z ciebie - stwierdził jej wujek. - Kto by pomyślał...?

Rozdział XIII

Stojący na nocnym stoliku moduł łączności odezwał się tak cicho i nieśmiało, jakby przeproszał za swoje istnienie, ale Honor i tak otworzyła natychmiast oczy.

Za oknami było jeszcze ciemno, chociaż tuż nad horyzontem pojawiła się już jasna smuga zapowiadająca bliskość dnia. Honor przypomniało to dawne poranki na Sphinksie, te zaspane i leniwe, które odeszły wraz ze szkoleniem rekruckim i umiejętnością błyskawicznego przytomnienia. To wydawało się tak dawno... i tak inna była ta młoda Honor Harrington. Różanopalca jutrzeńka sprawiła, że pani admirał zatęskniła nagle za tamtymi świtami, gdy jako czternastoletnia dziewczyna stawała w oknie wychodzącym na czterystuletnią szklarnię i jeszcze starszy, dziewięćdziesięciometrowy dąb, na którego korze widniały wyryte inicjały Stephanie Harrington i imię „Lionheart”. Dziewczyna, która nie nosiła jeszcze munduru, nie miała krwi na rękach i której bliscy żyli w komplecie, wszechświat zaś postrzegała tylko jako wielką obietnicę.

Dopadł ją żal, boleśnie żądłące poczucie straty, i nie od razu zdołała osłonić się przed nimi, tak jak można otulić się czymś ciepłym, chroniąc się przed mrozem. Jednak zanim ten mróz ją ogarnął, wróciła do rzeczywistości i poczuła obok obecność ciepłej istoty, a właściwie dwóch istot. Futrzanego kłębka, śpiącego z kocią nonszalancją w legowisku nad łóżkiem, oraz oddychającego spokojnie mężczyzny za jej plecami. Mężczyzny, który nawet we śnie obejmował ją opiekuńczo ramionami.

Byli z nią. Nimitz i Hamish byli tu dla niej, jak zwykle, jak zawsze, przypominając, że życie to nie tylko nieustanne tracenie tego, co bliskie i bezpieczne.

Sygnał znów się odezwał i Honor poklepała ściskając ją dłoń.

- Hm? - rozległo się tuż obok.

W odróżnieniu od Honor Hamish staczał zwykle całą batalię ze snem, nim udawało mu się otworzyć oczy, czy też dokładniej, potrafił wedle życzenia włączać i wyłączać wyćwiczone „marynarskie budzenie”. Honor mu tego zazdrościła, ale nie potrafiła naśladować. W tej chwili Hamish wybrał najwyraźniej „tryb cywilny”, musiała więc poklepać jego dłoń drugi raz, tym razem trochę mocniej.

- Coest?

Wymowa sugerowała brak postępów, szturchnęła więc małżonka łokciem. Z wyczuciem oczywiście.

- Ouf!

To dało pewien skutek i Honor zachichotała, widząc uchylaną powiekę.

- Jedno z nas musi spacyfikować ten brzęczyk - powiedziała, nadal spoglądając w okno.

- No i? - spytał zaspianym tonem Hamish, Honor wyczuła jednak jego rozbawienie, podobnie jak poczuła usta przesuwające się z drażniącą powolnością w okolicach jej karku. - I dlaczego ja?

- Bo moduł jest z twojej strony łóżka - wyjaśniła wolno i wyraźnie Honor. - I ponieważ... przestań!

- Co przestań? - spytał Hamish niewinnym tonem, ona zaś westchnęła i poklepała delikatnie dłoń, która zagnieździła się na jej piersi. - A! Z tym mam przestać?

- Nie... to znaczy tak!

Zaśmiała się i tak pomanewrowała, by znaleźć się twarzą do męża, po czym także go objęła. Potem go pocałowała, nie zwracając chwilowo uwagi na brzęczyk, który coraz głośniejsze domagał się uspokojenia.

- Jestem przekonany, że nie mówisz poważnie - mruknął Hamish.

- Bo za dobrze mnie znasz, stary zboczeńcu - odparła poważnym tonem, ale zaraz znowu go pocałowała, wyczuwając jednocześnie niemy śmiech Nimitza i Samantha. - I wiesz też, jak bardzo brakowało mi tego przez ostatnie miesiące, a że jestem słabą istotą, wykorzystujesz mnie, jak tylko możesz. Ale Mac ani Spencer nie dzwoniłoby do nas o tak haniebnej porze, zwłaszcza że obaj wiedzą o mojej słabości i braku kręgosłupa moralnego, jak i wywołanym długim postem głodzie przeżyć. Tak więc odbierz to połączenie! - stwierdziła, cofając się nagle i wskazując na męża palcem.

- Zapłacisz mi za to - powiedział Hamish, usiadł i podrapał się po torsie.

- Grozisz czy obiecujesz? - spytała z uśmiechem i przesunęła palcami po jego policzku. - I dziękuję.

- Dziękujesz? A za co?

- Za to, że jesteś... I że jesteś tutaj.

Jego spojrzenie złagodniało i objął jej dłoń, nadal muskającą jego policzek.

- Zawsze do usług, milady. Poza tym wiesz, to działa w obie strony.

Pokiwała głową, żałując, że on nie jest w stanie odbierać cudzych emocji równie czysto i wyraźnie jak ona.

Gdy sięgnął do modułu i ustawiwszy go na „tylko audio”, odebrał połączenie, Honor pomyślała, że w sumie chyba ma szczęście. Ilu ludzi miało tyle co ona? Wiedziała, dążenie do tego, by zyskać jeszcze więcej,

jest rzeczą z gruntu naturalną, ale w tym kontekście zachłanność byłaby bardzo nie na miejscu...

- Tak? - powiedział Hamish.

- Przepraszam, że przeszkadzam, milordzie - rozległ się głos Jamesa MacGuinnessa.

- W porządku, Mac. Chyba właśnie mieliśmy wstawać. - Hamish spojrzał zaczepnie na Honor, potem na chronometr i skrzywił się boleśnie. - Mam poranne spotkanie w Gmachu Admiralicji i powinienem wylecieć za jakieś dwie godziny.

- Wiem, milordzie. To jeden z powodów, dla którego zdecydowałem się zadzwonić. Ale odezwała się też doktor Arif, rozmowa na łączu nadświetlnym ze Sphinksa. Sądzę, że milady chciałyby z nią pomówić, jeszcze zanim pan wyruszy, milordzie.

- Słucham? - Hamish spojrzał pytająco na Honor, która wzruszyła ramionami.

Nie miała pojęcia, czego może chcieć od niej Adelina Arif, zwłaszcza o tej porze. Ani dlaczego MacGuinness uważał, że Hamish powinien być obecny przy tej rozmowie, ale...

- Poproś ją, by poczekała jeszcze parę minut, dobrze, Mac? - powiedziała, podnosząc trochę głos.

- Oczywiście, milady - odparł Mac i Hamish zakończył połączenie.

- Chyba powinniśmy trochę się ogarnąć - powiedziała Honor, całując raz jeszcze męża w policzek i wstając z łóżka.

- Niektórzy ludzie śpiąją w piżamach - odparł, spoglądając na żonę z wyraźną aprobatą. - I od razu budzą się ogarnięci.

- Nie mów, naprawdę? - zaśmiała się i przeciągnęła, wyginając kręgosłup i smakując wyczuwalne wśród emocji Hamisha pożądanie.

Potem narzuciła na siebie kimono. - Przecież marnują chyba w ten sposób masę czasu? - spytała niewinnym głosem.

- I ty nazywasz mnie zboczeńcem! Przyganiał kocioł i tak dalej, nie sądzisz?

- Na pewno nie - odparła z przekonaniem. - Nie jestem rodzaju męskiego.

- Zaiste nie. I dzięki Bogu! - przyznał skwapliwie Hamish.

- Miło, że tak uważasz. A teraz zbieraj tyłek z pościeli i zakryj czymś goliznę!

- Tak, milady. Natychmiast, milady. Jak rozkażesz, milady - powiedział uniżonym tonem i uchylił się przed rzuconą w jego stronę poduszką.

*

- Dobrze, Mac - powiedziała Honor kilka minut później siadając przy terminalu w salonie. Hamish zajął miejsce obok, odziany w zwykły pulower i spodnie. - Połącz mnie proszę, z doktor Arif.

- Tak, ma'am.

Ekran zamigotał i pojawiła się na nim twarz atrakcyjnej kobiety o ciemnej cerze.

- Witaj, Adelino - przywitała się Honor. - Miło cię widzieć.

- I ja się cieszę, milady - odezwała się po króciutkiej przerwie kobieta, która nauczyła treecaty języka migowego. Wprawdzie znajdowała się w odległości kilkunastu minut świetlnych, w swoim gabinecie na Sphinksie, ale opóźnienie wynosiło tylko około dziesięciu sekund. - Przepraszam, że odzywam się o tak wczesnej porze - dodała z nieśmiałym uśmiechem. - Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, że u was dopiero świta. Chyba pomyliłam strefy czasowe.

- Nie szkodzi - zapewniła ją Honor i spojrzała na Hamisha. - I tak mieliśmy dzisiaj wstać wcześniej.

- Mam nadzieję, że nie mówi pani tak tylko po to, by mnie pocieszyć - zaśmiała się Arif. - Niemniej powód, dla którego dzwonię, pojawił się dopiero jakieś pół godziny temu i pomyślałam, że jest to coś, o czym powinna się pani jak najszybciej dowiedzieć.

Honor przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi. Jeśli dobrze kojarzyła, w Green Bottom minęła ta dodatkowa godzina, wstawiona koło północy dla dopełnienia doby składającej się poza tym z dwudziestu czterech standardowych godzin (i to minęła już trzydzieści siedem minut temu).

- Ale za to chyba trochę się zasiedziałaś? - powiedziała.

- Ostatnio wszyscy pracują w dziwnych godzinach, milady. Chociaż gdy się zorientowałam, która jest u was, poprosiłam Maca, by nikogo nie budził. On stwierdził jednak, że i tak już musicie wstawać. Poza tym koty chcą rozmawiać właśnie teraz - dodała z dziwnym wyrazem twarzy. - One nie zwracają uwagi na zegar.

- A to prawda! - zaśmiała się Honor. - Kilka lat minęło niw nauczyłam Nimitza, że dwunogi mają swoje pory na robienie różnych rzeczy. Chociaż jego kocie obyczaje miały też dobre strony. Ile razy zasiedziałam się w nocy, zawsze zwałałam na niego, no ale w końcu rodzice się zorientowali, kto naprawdę jest czarnym charakterem.

Nimitz bleeknął z rozbawieniem i Arif zachichotała.

- Nietrudno mi w to uwierzyć. A większość kotów, z którymi pracuję, to dzikie futrzaki. Nie mają tego obycia co Nimitz.

- Za to na pewno są mniej uparte - powiedziała Honor, drapiąc przyjaciela za uszami.

- Z tym ciężko mi się zgodzić - stwierdziła zasadniczym tonem Arif, wywołując wesołość Nimitza.

Siedząca na oparciu fotela Samantha pokiwała energicznie głową.

- Tak czy siak, gdy rozmawiałam wieczorem o naszych postępach z Cieniem Pieśni, ta zastygła nagle w bezruchu i siedziała tak przez dłuższą chwilę, wyraźnie kogoś nasłuchując. Nie zwykła tak robić, czyli przerywać rozmowy bez uprzedzenia, na dodatek jej kontakt trwał bardzo długo jak na standardy treecatów. Gdy skończyła, poprosiła mnie o wysłanie wozu do Klanu Jasnej Wody.

Honor zmarszczyła czoło. Nie chciała jej przerywać pytaniami, bo nawet przy łączach grawitacyjnych rozmowa mogła łatwo się posypać, gdy jej uczestnicy za dużo się odzywali, ale płonęła z ciekawości, do czego właściwie lingwistka zmierza.

Nigdy nie spotkała Cienia Pieśni, ale sądząc po imieniu, musiała to być śpiewająca wspomnienia. Arif nadal badała, w jaki sposób te treecaty zapamiętują najróżniejsze informacje, ale wiedziała już, że są one najważniejszymi członkami każdej społeczności, pełniąc rolę historyków i nauczycieli. Dotychczasowe ustalenia sugerowały, że śpiewające wspomnienia jakby „nagrywały” doświadczenia innych treecatów i były w stanie wiernie je odtwarzać nawet setki lat później.

Honor nie przypuszczała, by jakikolwiek człowiek, nawet ona sama, chociaż była obecnie naprawdę dobrą empatką, był zdolny pojąć w pełni ten szczególny rodzaj pamięci, opierający się na telepatycznym przekazie obejmującym także emocje. Pamięci pozwalającej poczuć to samo, co dane było przeżyć treecatom zmarłym wieki temu. To, że Samantha była śpiewającą wspomnienia, przyczyniło się w wielkim stopniu do sukcesu w uczeniu treecatów języka migowego. Jej najłatwiej było przekazać tę umiejętność pobratymcom.

- Wysłałam więc wóz, który doleciał na teren klanu w j akąś godzinę
- powiedziała Arif. - Ranger musiał jednak poczekać jeszcze chwilę, aż
wszyscy jego pasażerowie zjawią się na miejscu. Chcieli, by zawiózł ich
do Green Bottom.

Arif skrzywiła się lekko i Honor rozumiała dlaczego. Ośrodek w
Green Bottom znajdował się pół planety od terenów Klanu Jasnej Wody.
Podobnie zresztą jak od ruin Yawata Crossing.

- Przez to wszystko dotarły tutaj dopiero godzinę temu. Nie kryję, że
byłam bardzo zdumiona, gdy zobaczyłam, po kogo Cień Pieśni wysłała
wóz. - Arif potrząsnęła głową. - To było siedem innych śpiewających
wspomnienia.

Honor otworzyła szeroko oczy. Znała treecaty na tyle, by wiedzieć,
że śpiewające wspomnienia praktycznie nigdy nie zapuszczały się poza
teren klanu. Co oczywiście rodziło pytanie, jakim sposobem Samantha
związała się z człowiekiem. Honor miała wrażenie, że ani Nimitz, ani
Samantha nie mieli ochoty rozwijać tego tematu, chociaż wydawało się
oczywiste, że nie jest ona typową śpiewającą wspomnienia.

Bez wątpienia było więcej takich przypadków, zwłaszcza ostatnio,
gdy śpiewające wspomnienia brały udział w programie badawczym
doktor Arif. Niemniej zapewne nigdy nie było ich w Green Bottom
więcej niż dwie albo trzy.

- Wiem, że nie muszę wyjaśniać, dlaczego byłam tak zdumiona, gdy
z otwartych drzwi wozu wyskoczyło aż siedem śpiewających
wspomnienia! Trzy spotkałam już wcześniej. Były to Wiatr Wspomnień,
Śpiewaczka i Echo Czasu. - Honor zacisnęła usta, by nie gwizdnąć ze
zdumienia. Były to trzy starsze śpiewające wspomnienia Klanu Jasnej
Wody.

- Cień Pieśni przedstawiła pozostałe, gdy znaleźliśmy się w moim gabinecie. Strażniczka Pieśni i Czysta pieśń to dwie najstarsze śpiewające wspomnienia z Klanu Roześmianej Rzeki. Zimowy Głos jest starszą śpiewającą wspomnienia z Klanu Księżycowego Blasku. No i jest jeszcze... - Oczy Arif zwilgotniały i głos się jej załamał. - Głos Smutku, jedyna ocalała śpiewająca wspomnienia z Klanu Czarnej Skąły.

Samantha i Nimitz jęknęły, a Honor wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Nie wiedziałam, że ktokolwiek z nich przeżył - powiedziała cicho. - Myślałam, że cały klan zginął.

- Z tego, co Głos Smutku zdołała ustalić, jest nie tylko jedyną śpiewającą wspomnienia z tego klanu, ale w ogóle jedyną ocalałą - powiedziała Arif po kilku chwilach. -Przeżyła tylko dlatego, że była akurat gościem Klanu Księżycowego Blasku. Jeden z jej braci wzenił się w ten klan, którego teren był na tyle daleko, że fala uderzeniowa i burza ogniowa go oszczędziły. - Lingwistka pokręciła głową. - W sumie jednak to były sąsiednie klany, znajdowała się więc dość blisko, by odczuć wyraźnie ich śmierć.

Honor uniosła dłoń do ust i poczuła, jak Hamish obejmuje ją ramieniem. Nimitz przycisnął głowę do jej szyi. Wszyscy wiedzieli, co musiało znaczyć dla telepaty, zwłaszcza śpiewającej wspomnienia, doświadczenie równoczesnej śmierci niemal wszystkich, których znała i kochała.

- Nie wiem, jak powstrzymali ją od samobójstwa - powiedziała prawie szeptem Arif. -Przypuszczam, że... nie było to łatwe.

Spojrzała Honor w oczy, ona zaś skinęła głową. Treecaty, które adoptowały ludzi, niemal zawsze umierały po ich śmierci. Zanim wprowadzono prolong, było to przyczyną wielkich tragedii, treecaty

mogły bowiem żyć ponad dwieście lat, a śmierć bliskiego człowieka odbierała im tę szansę. Honor знаła tylko dwa kotowate, które mimo wszystko ocalały: Monroego, związanego z księciem małżonkiem Justinem, i Samanthę. Nie starczało jej wyobraźni, by zrozumieć, co musiała przeżywać Głos Smutku.

- To było na pewno straszne przeżycie dla wszystkich pobliskich klanów, ale Klan Księżycowego Blasku mieszkał najbliżej. Straż Leśna donosiła, że stracili tam już ponad dziesięć treecatów, a wiele innych jest w kiepskiej kondycji. Tym bardziej się dziwię, że dwie najstarsze śpiewające wspomnienia z Klanu Księżycowego Blasku zdecydowały się wybrać w taką podróż.

Na chwilę zapadła cisza, aż w końcu Honor odchrząknęła.

- I dlaczego... - zaczęła zdławionym głosem i musiała znowu odchrząknąć. - Dlaczego to zrobiły?

- Wiem, że Nimitz i Samantha były poza planetą, gdy to się stało - powiedziała Arif. - Jednak z tego, co powiedziała Głos Smutku, wszystkie treecaty na Sphinksie to poczuły. Najdalsze klany słabiej, ale nawet te obecne u nas, w Green Bottom, były załamane. Proszę mi wierzyć, że to wyglądało naprawdę źle. Nie wiem, czy one rozumieją, co właściwie się stało, ale wiedzą, że był to skutek ludzkiego ataku. Prawdę mówiąc, nie miałabym do nich pretensji, gdyby odwróciły się teraz od ludzi, ale treecaty tak nie działają. Najwyraźniej znają dobrze to, co przekazał im Nimitz, a zwłaszcza historię z porucznikiem Mearsem. Jak mówi Głos Smutku, słyszały też przypadkiem ostatnie wiadomości związane z Simoesem i prezydent Pritchart. Kilku rangerów z ekipy medycznej musiało chyba przeglądać serwisy w ich obecności. Zrozumiały, że Nimitz i Samantha spotkały Simoesa, i ich klany chcą, by oboje wrócili do domu, by przekazać wspomnienia na jego temat. Niemniej to chyba

drugorzędna sprawa. Wiedzą też, że gdyby tamten człowiek kłamał albo był szalony, Nimitz już by wam to powiedział. Kojarzą, że ma z panią dobry kontakt. Tak zatem uznały za oczywiste, że Simoes mówi prawdę i że to Mesa jest odpowiedzialna za wszystko, co się stało.

- Cieszę się, że nas nie obwiniły, chociaż po prawdzie ja czasem tak właśnie to widzę - powiedziała ze smutkiem Honor. - Nadal jednak nie pojmuję, czemu tak zależało im na osobistym spotkaniu. I jakim sposobem Głos Smutku skontaktowała się z Klanem Jasnej Wody. Nic dotąd nie sugerowało, by porozumiewały się na tak wielkie odległości.

- Jestem pewna, że korzystała z pośrednictwa wielu klanów - stwierdziła Arif. - A chciały się spotkać, ponieważ Głos Smutku ma pewną propozycję.

- Propozycję? - Honor spojrzała na nią uważnie. - Jaką propozycję?

- Sama chce to pani powiedzieć - odparła Arif i na jej kolana wskoczyła smukła, cętkowana postać z białobrązowym futrem. Usiadła prosto i spojrzała w ekran. Wydawała się tak krucha i drobna, że Honor poczuła łzy napływające do oczu.

- Głos Smutku? - spytała cicho, a treecat przytaknął.

Honor chciała ją przytulić i przyjąć część jej bólu. Czuła się winna temu, bo przecież to ludzie spowodowali kataklizm, który odebrał jej wszystko. Była jednak za daleko, więc ograniczyła się do lekkiego skłonienia głowy.

Głos Smutku odpowiedziała tym samym, po czym uniosła chwytnie łapy i zaczęła sygnalizować z otchłani swego żalu.

„Znam cię, Tańcząca w Chmurach”, powiedziała. „Znam twój blask umysłu zawarty w pieśniach Śmiejącego się Jasno. A od Wiatru Wspomnień, Echa Czasu i Dnia Smutku otrzymałam pieśni o tych,

którzy żyli przed tobą. Znam ich wszystkich, nawet Postrach Zabójczego Kła. Znam twój klan”.

Honor spojrzała w jej bezdennie zielone oczy i zrozumiała, o co chodzi. Dla treecatów każdy raz zapamiętany blask umysłu płonął wciąż tak samo jasno niezależnie od tego, ile czasu upłynęło. Skoro łańcuch śpiewających wspomnienia nie został przerwany, Głos Smutku odebrała ich przekaz tak, jakby naprawdę spotkała Stephanie Harrington, Pierwszą osobę zaadoptowaną przez treecata. I pierwszą tak sławną w rodzinie Harringtonów. Honor mimowolnie poczuła ukłucie zazdrości.

- Chciałabym poznać te wspomnienia - powiedziała odruchowo. - Zawsze żałowałam, że nie było mi dane jej spotkać.

„Polubiłabyś ją”, pokazała Głos Smutku. „Sądzę, że jesteście pod wieloma względami bardzo podobne. Ale najważniejsze, że od czasów Wspinającego się Szybko Klan Postrachu Zabójczego Kła był zawsze przyjacielem i obrońcą Ludu. Wiemy, ile dla nas zrobiliście. Przyszła pora, byśmy i my zrobili coś dla was. Abyśmy też zaczęli was chronić”.

Przez chwilę Honor była pewna, że musiała coś źle zrozumieć. Chronić? Chronić ludzi, chociaż dopiero co doprowadzili oni do największej tragedii w dziejach Sphinksa?

- Nimitz pomagał mi już wiele razy - powiedziała. - A ja chroniałam jego. To normalne, gdy się kogoś kocha.

„Wiem”, odpowiedziała Głos Smutku i poruszyła ogonem w geście oznaczającym coś na kształt melancholijnego uśmiechu. „W każdej pieśni Klanu Jasnej Wody jest ta miłość, która was łączy. Ale nie o to mi chodziło”.

- Wybacz. Co zatem miałaś na myśli?

„Nie można pozwolić, by złoczyńcy, którzy zabili mój klan i tylu dwunogów z Klanu Zabójczego Kłā, tyle żalu sprowadzając na ten świat, czynili to dalej”, pokazała stanowczo Głos Smutku. „Wiemy... ja wiem, z twojego blasku umysłu, że gotowa jesteś zginąć, by tego dokonać. Że twoi dwunodzy przyjaciele, nawet tacy, których nigdy nie poznaliśmy, zrobią to samo. Że powstrzymacie to zło za wszelką cenę i niezależnie od tego, ile czasu wam to zabierze. Z tego zaś, co słyszeliśmy w... mediach, ci sami złoczyńcy próbowali zabić też ciebie. Zmusili jednego z bliskich ci dwunogów, by zaatakował cię wbrew swojej woli. Znalazłam to w pieśniach Klanu Jasnej Wody i wydaje mi się oczywiste, że skoro spróbowali raz, spróbują znowu. I jeszcze raz. Że będą próbowali zabić nie tylko ciebie, ale także Stalowego Ducha i innych waszych wielkich najstarszych”.

- Obawiam się, że masz rację - przyznała Honor. - Ale nie wiemy, jak oni to robią. Ani nie potrafimy ich powstrzymać.

„Lud też nie wie, ale w odróżnieniu od dwunogów Lud potrafi czytać blask umysłu. Nie mamy pojęcia, jak złoczyńcy nakłaniają innych do czynienia swojej woli, ale potrafimy rozpoznać, gdy to się dzieje. Dzięki wspomnieniom Śmiejącego się Jasno wiemy, czego szukać. Sądzę, że obecnie możemy wyczuć to nawet z wyprzedzeniem i ostrzec innych dwunogów”.

Honor westchnęła i popatrzyła na Głos Smutku.

- Zastanawiałam się nad taką ewentualnością - powiedziała. - Jak wiesz, Nimitz wyczuł ten sam strach i desperację, którą i ja dostrzegłam wtedy w emocjach Tima. Na nagraniach z monitoringu przedstawiających próbę zabójstwa Berry Zilwickiej widzieliśmy coś bardzo podobnego. Tak więc miałam o czym myśleć. Tyle że Genghis był związany z Van Halem tak samo jak Nimitz ze mną. Próbowali

bronić się nawzajem, ale zginęli. Nimitz też mógł zginąć, powstrzymując Timothy'ego. - Pokręciła głową. - Ale cóż, jak mówiłam, chroni się tych, których się kocha.

„Lud też nie ryzykowałby, gdyby nie kochał”, Głos Smutku westchnęła i prawie po ludzku pokiwała głową. „Niczego innego od ciebie nie oczekiwałam, Tańcząca w Chmurach. Ale tym razem chodziło o wybór Ludu i dokonaliśmy go. Mówiąca w Ciszy nauczyła nas tego, co było potrzebne, byśmy stali się waszymi partnerami”, pokazała, oglądając się na doktor Arif. „Dokładnie tak, jak pragnęła tego Żłoty Głos. I dzięki temu mamy szansę stawić czoło zabójcom mojego klanu”.

Mała, cętkowana istota znowu spojrzała Honor w oczy.

„Lud wie, jak postępować z tymi, którzy chcą nas zabić. Wiemy, jak radzić sobie z pragnącymi zabić naszych bliskich. Nie zapominaj, jak wyglądało pierwsze spotkanie Postrachu Zabójczego Kła i Wspinającego się Szybko. Walczyli do krwi i omal nie zginęli, broniąc się nawzajem. Teraz nasza kolej. Chcemy, byś poszła z tym do Stalowego Ducha i Szukającej Prawdy. Powiedz im, że Lud, cały Lud zamieszkujący na tym świecie, odróżnia tych, którzy się nim opiekowali, od innych, którzy przynieśli zagładę. Wiemy, że ty i twój klan zawsze nas kochaliście i chroniliście od złego. Teraz przyszedł czas na zmianę. Tańcząca w Chmurach, nie chcemy być wiecznie małymi kociakami. Pomożemy wam, tak jak wy pomogliście nam, a jeśli trzeba będzie zginąć, to zginieśmy jak Wysoko Wchodzący. Tak jak omal nie zginęli Wspinający się Szybko i Śmiejący się Jasno. Nie będziemy się kryć. Nie będziemy wiecznymi dziećmi. Skoro gotowi jesteście walczyć za ten świat, za nas wszystkich, to my będziemy walczyć wraz z wami”.

Rozdział XIV

W sumie żadne zaskoczenie, pomyślał Innokentij Kołokolcow, spoglądając na ekran. Można było się tego spodziewać. Tyle że chyba nikt nie sądził, że wyjdzie właśnie tak, w zasadniczo korzystny dla Manticore sposób.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób media wpadły na trop operacji „Sprawiedliwy Gniew”, ale było sprawą oczywistą, że każda tajna informacja prędzej czy później wycieka za sprawą kogoś, kto chce w ten sposób podbudować swoje ego albo zrobić komuś innemu na złość. Jakość tej informacji nie miała znaczenia. „Anonimowe źródła” po jednym kursie sprzedawały sensacje o utrzymywanych za pieniądze podatników kochankach urzędników państwowych czy planowanych operacjach wojskowych. Po prostu taki był ten świat i nie było szansy, by uszczelnić system.

Zatem jakkolwiek Kołokolcow nie był wcale zadowolony, że władze Manticore dowiedziały się w ten sposób, co je czeka, nie był też jakoś szczególnie zgorzony. Odpowiedź przeciwnika również go nie zaskoczyła.

Otrzymał już całkiem pokaźny plik wiadomości od sir Lymana Carmichaela, ambasadora Gwiezdnego Imperium Manticore w Lidze Solarnej. W pierwszym tuzinie podtrzymywał jeszcze dyplomatyczną fikcję, jakoby oba państwa nie znajdowały w stanie wojny, i prosił o „wyjaśnienia” na temat „niepotwierdzonych doniesień medialnych” dotyczących ruchów SLN. Po tygodniu ignorowania go przeszedł od próśb do coraz bardziej zdecydowanie formułowanych żądań.

Obecnie nie udawał już, że nie wie, co się dzieje, i stał się po prostu bezczelny.

Kołokolcow uruchomił ponownie nagranie, ożywiając Carmichaela w połowie zdania.

- ...robiliśmy, co w naszej mocy, by przekonać pana i pańskich współpracowników do zmiany punktu widzenia, panie stały podsekretarzu - powiedział ambasador, porzucając pozory. Nie udawał już, że zwraca się do ministra spraw zagranicznych Roelasa y Valiente. - Wy jednak konsekwentnie ignorowaliście nasze ostrzeżenia, wykluczając możliwość dyplomatycznego zażegnania kryzysu spowodowanego waszymi działaniami zbrojnymi, i planowaliście dalsze operacje o takim samym charakterze, wymierzone przeciwko Gwiezdnemu Imperium. Próbowaliśmy uświadomić wam, jak wysoki może być koszt takiego postępowania, podejmując działania o charakterze niemilitarnym, ale problemy logistyczne i szkody ekonomiczne poniesione przez waszą żeglugę handlową nie zostały przez was uznane za przesłankę do zrewidowania stanowiska. A teraz wykazujecie się jeszcze pozorną „odwagą”, która cechuje najwyraźniej admirała Rajampeta oraz jego gromadę dzielnych morderców, zamierzając wykorzystać nasze osłabienie spowodowane katastrofalnymi stratami poniesionymi w lutowym ataku. Wielokrotnie ostrzegałem pana w imieniu mojej królowej i mojego rządu przed ryzykiem związanym z taką właśnie polityką. Teraz ostrzegam raz jeszcze, oficjalnie tym razem, że myli się pan, oceniając nasze obecne zdolności obronne jako niewystarczające do odparcia ataku admirała Filarety. Jeśli jego flota będzie wykonywać agresywne ruchy wobec podwójnego układu Manticore, zostanie pokonana, tak jak zespół admirał Crandall w trakcie ataku na Spindle. Można nawet oczekiwać,

że zostanie całkowicie zniszczona, a jeśli podawana w przekazach liczba superdreadnoughtów wchodzących w skład tej floty jest prawdziwa, oznaczać to będzie gigantyczne straty w ludziach wśród personelu Marynarki Wojennej Ligi Solarnej. Nie pragniemy zabijać setek tysięcy mężczyzn i kobiet, których jedyną przewiną jest posłuszeństwo rozkazom przełożonych zbyt aroganckich, by wyciągnąć wnioski z sytuacji, do której doprowadzili. Wydaje się jednak, że nie zostawiacie nam w tej kwestii wyboru. Niemniej przedstawiamy oficjalne żądanie wysłania przez terminal Beowulfa oficera o wystarczających uprawnieniach, by po przybyciu do podwójnego układu Manticore mógł wydać admirałowi Filarecie rozkaz niepodejmowania działań zbrojnych. Zakładając, że doniesienia medialne o czasie planowanej operacji są trafne, a mamy powód uważać, że tak właśnie jest, istnieje szansa na dotarcie wysłannika na miejsce przed admirałem Filaretą. My nie możemy polecić mu zignorowania legalnie wydanych rozkazów, ale wy możecie je zmienić. Jeśli odmówicie, cała odpowiedzialność za to, co może stać się później, spadnie na was, Gwiezdne Imperium zaś gotowe będzie wykorzystać moją korespondencję z panem jako przydatny w przyszłych dysputach dowód waszych agresywnych zapędów. Będziecie jedynymi winnymi i poniesiecie wszystkie konsekwencje tego kroku. Co więcej, zważywszy na okoliczności, rząd Jej Wysokości nie będzie poczuwał się do obowiązku zachowania poufnego charakteru not dyplomatycznych i gotów będzie udostępnić je mediom.

Przerwał na chwilę dla podkreślenia wagi swoich słów, po czym podjął temat, ciągle tym samym, zrównoważonym głosem.

- Nie jest jeszcze za późno, by zapobiec tragedii o trudnym do ogarnięcia zasięgu. Z naszej strony zrobimy wszystko, co tylko możliwe,

by ograniczyć liczbę ofiar w tej konfrontacji. Zachęcamy was, a nawet wprost nakłaniamy, byście powstrzymali to już teraz, dla ocalenia swoich ludzi. Jeśli odrzucicie tę sposobność, jeśli zaniechacie działania, możecie być pewni, że historia jednoznacznie osądzi winnych masakry, do której niewątpliwie dojdzie.

Kołokolcow pokręcił głową nad butą Manticore. Wciąż nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek odważył się zwracać do Ligi Solarnej w ten sposób. Mimo druzgocącej klęski Crandall i prowokacyjnego zamknięcia terminali ciągle miał wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę.

I sam przyznawał, że było to z jego strony szczególną głupotą. Winno przecież dotrzeć już do niego, że niezależnie od stanu faktycznego Manticore po prostu nie przejmowało się reputacją Ligi Solarnej. Już nie. Być może była to samobójcza lekkomyślność z ich strony, biorąc pod uwagę różnicę potencjału ekonomicznego i każdego innego, ale fakty pozostawały faktami.

Z drugiej strony, nawet gdyby byli mocno przerażeni mówiliby to samo. Groźby dyplomatyczne nic nie kosztują, a pokusa posłużenia się blefem zawsze jest silna. Na pewno woleliby przekonać Kołokolcowa, że mogą powtórzyć to, co zrobili z Crandall. Zwłaszcza jeśli jest to poza ich zasięgiem. Gdyby nakłonili go do odwołania Filarety, staliby się panami sytuacji, i to bez jednego strzału, nawet wtedy, gdyby nie mieli już żadnych pocisków do wystrzelenia.

Wszystko wyglądało pięknie i przejrzyście, niemniej pozostawała jeszcze jedna możliwość: że mają te pociski i są zdolni zrobić to, co zapowiadał Carmichael. A jeśli do tego wszystkiego gotowi są też przekazać treść wszystkich not wymienianych z Ligą Solarną komuś w rodzaju O'Hanrahan...

To była ponura perspektywa. Publikacja całej korespondencji po ewentualnej klęsce Filarety przyniosłaby niepowetowane szkody. Niemniej przyjęcie „dobrej rady” ambasadora miałyby równie katastrofalne skutki. Odwołanie akcji, i to w sposób sugerowany przez Manticore, byłoby objawem słabości i obniżyło prestiż Ligi Solarnej. To z kolei spowodowałoby nie tylko znaczne pogorszenie sytuacji na Pograniczu, ale dodatkowo odbiłoby się negatywnie na osobistych karierach Kołokolcowa i jego współpracowników. Mogłoby nawet doprowadzić do kryzysu konstytucyjnego i wielkiego poszukiwania winnych, co z kolei obnażyłoby fikcyjność systemu rządów panującego od dłuższego czasu w Lidze Solarnej.

Ale jeśli go nie odwołamy, a Manticore okaże się zdolne do skutecznej obrony, będziemy mieli dokładnie to samo, plus tysiące martwych załogantów, pomyślał Kołokolcow i zastanowił się, czy nie zwołać zebrania w celu odbycia dyskusji nad najnowszą wiadomością od Carmichaela. Tylko co by to dało? Mandaryni zaczęłyby się kłócić, wyrażać różne obawy i kombinować, jak w razie czego wykręcić się od odpowiedzialności, ostatecznie zaś i tak klepnęliby stary plan. Niestety, Kołokolcow nie widział żadnej alternatywy dla dalszej realizacji planu Rajampeta. Było już zdecydowanie za późno, by zrobić cokolwiek. Poza tym wszystko, co udało się Kołokolcowowi znaleźć na temat Filarety, sugerowało, że był on oficerem zdecydowanie mądrzejszym niż Crandall. No i wiedział już, co stało się w Spindle. Jeśli flota Manticore naprawdę okaże się zdolna przeżyć go i wypłuć, raczej nie będzie szukał śmierci. tylko zda się na własny osąd sytuacji. Też wyjdzie niedobrze, ale zawsze o wiele lepiej, niż gdyby został unicestwiony.

I w ten sposób zaufanie do rozsądku Filarety stało się wygodną wymówką, pozwalającą uniknąć konsekwencji związanych z reakcją na

notę Carmichaela nawet bez próby ustalenia, czy zawarte w niej groźby były prawdziwe...

*

- Obawiam się, że doszło do jakiegoś nieporozumienia, pani admirał - powiedział ciemnoskóry mężczyzna do admirał floty Imogene Tsang. - Rząd Beowulfa jednoznacznie wypowiedział się przeciwko waszej propozycji i przesłał oficjalną odpowiedź na ten temat do admirała floty Rajampeta oraz Premiera Gyulaya. Oświadczył w niej, że Rada Dyrektorów odmawia zgody na tranzyt solarnych jednostek wojennych w podanym przez was czasie. Jeśli ta informacja nie dotarła do pani oficjalnymi kanałami przed wylotem w stronę Beowulfa, przekazuję ją pani teraz.

- Nie wiem, jak wygląda przepływ informacji między wami, a naszym premierem czy Admiralicją, dyrektorze Caddell-Markham - odparła Tsang uprzejmym, ale i stanowczym tonem. - Wiem za to, że dostałam rozkaz przejścia wraz z moim zespołem przez terminal w celu wsparcia działań prowadzonych przez Jedenastą Flotę. Nie było tam ani słowa o tym, że jego wykonanie ma być zależne od czyjejkolwiek zgody czy jej braku. Ze swojej strony pozwolę sobie tylko zauważyć, że zgodnie z konstytucją decyzje władz federacyjnych mają w takiej sytuacji moc nadrzędną. Tak mnie przynajmniej uczono. Oczywiście mogę się mylić, i gdyby tak było, gotowa jestem wygłosić szczerze przeprosiny za przekroczenie moich uprawnień. Nie zmienia to jednak w żaden sposób rozkazów, które otrzymałam od przełożonych.

- Sugerowałbym rozważenie stanowiska, pani admirał - powiedział Gabriel Caddell-Markham zdecydowanie chłodniejszym tonem. - Jeśli dojdzie do wojny między Ligą a Manticore, będzie to zapewne największa konfrontacja w dziejach ludzkości. Beowulf przychyliła się do

opinii, że obie strony zostały wmanewrowane w obecny kryzys i że byłoby działaniem z naszej strony niewłaściwym, gdybyśmy przyczynili się do zaostrzenia sytuacji. Zdecydowaliśmy tak nie tylko jako obywatele Beowulfa, ale także jako przedstawiciele szeroko rozumianego gatunku ludzkiego. Być może dlatego właśnie skłonni jesteśmy inaczej interpretować konstytucję. Uważamy, że w tym przypadku rząd federalny przekroczył swoje kompetencje, skoro oczekuje od nas posłuchu, chociaż nie jesteśmy w stanie wojny. Zgodnie z artykułem piątym konstytucji rząd federalny nie ma prawa narzucać swoich decyzji rządowi lokalnym w czasie pokoju. Dlatego też uważamy, że nic nie zobowiązuje nas do udzielenia wam pomocy, a nasz personel nie obsłuży waszego transferu. Dodatkowo pragnę zauważyć, że chociaż terminal znajduje się pod zarządem Beowulf Terminus Corporation, prywatnej firmy z siedzibą na Beowulfie, jego właścicielem jest Manticore, czyli odkrywca przejścia. To, czy moglibyśmy wydać decyzję sprzeczną z wolą gospodarza, wydaje się dość złożoną kwestią prawną, która dałaby pewnie zajęcie prawnikom na długie dziesięciolecia. Najważniejsze jednak, że ani my, ani BTC nie ma zamiaru wesprzeć was w tym szalonym przedsięwzięciu, a cały praktycznie personel kontroli terminalu rekrutuje się spośród obywateli Beowulfa. Siły zbrojne Ligi Solarnej zaś nie mają władzy nad cywilami. o ile wcześniej nie zostanie ogłoszony na danym terenie stan wojenny. Nic takiego nie miało dotąd miejsca. Z tego też powodu siły zbrojne Beowulfa będą poczuwać się do uzasadnionej prawnie obrony naszych obywateli przed nielegalnymi próbami przymuszania ich do dowolnych czynności, z gotowością zastosowania wszelkich koniecznych po temu środków. Na wypadek, gdyby zabrzmiało to nie dość dobitnie, wyjaśnię, że zastosowanie

wszelkich koniecznych po temu środków obejmuje także bezpośrednie użycie siły.

- Przepraszam, panie dyrektorze, ale czyżby groził pan otwarciem ognia do jednostek Marynarki Ligi? - spytała niebotycznie zdumiona Tsang.

- Jako oficjalny przedstawiciel Rady Dyrektorów Beowulfa informuję panią, że nie wspomozemy was w tranzycie i że personel astro BTC odmówi wykonania waszych rozkazów, a w razie próby zmuszenia ich do tego stawimy opór. Jeśli mimo tego ostrzeżenia nie odstąpicie od swoich zamiarów i poleje się krew, będzie to konsekwencja niekonstytucyjnych działań rządu federalnego i Beowulf nie będzie poczuwał się do odpowiedzialności za potencjalne konsekwencje tego zdarzenia, mogącego niewątpliwie odbić się w negatywny sposób na stabilności Ligi Solarnej. Nie wiem, czy można wyjaśnić to w bardziej przystępny sposób. A skoro przekazałem już wszystko, co miałem do powiedzenia, nie widzę powodu do kontynuowania tej rozmowy. Życzę dobrego dnia, pani admirał.

Ekran pociemniał, ale Tsang wpatrywała się w niego jeszcze przez kilka długich sekund, mocno zaskoczona faktem, że jakiś tam Caddell-Markham śmiał tak bezczelnie skończyć rozmowę z wyższym oficerem Marynarki Wojennej Ligi Solarnej. Z tego, co wiedziała, nic podobnego nie zdarzyło się jeszcze w liczącej ponad siedem stuleci historii SLN.

W końcu otrząsnęła się i spojrzała na admirała Pierre'a Takeuchiego, szefa sztabu Task Force 11.6, siedzącego po drugiej stronie stołu w sali odpraw. Był tak samo zaskoczony, a do tego chyba jeszcze wściekły.

- Czy oni tam powariowali? - spytała Tsang. - Od Manticore się zarazili czy co? - Potrząsnęła głową. - Od kiedy szefowie lokalnych

rządów, wszystko jedno jakich i skąd rozmawiają w ten sposób z przedstawicielami rządu federalnego?

- Nie wiem, co się stało, ale na pewno ktoś zasługuje tam na porządnego kopa w dupę!

- nie wytrzymał Takeuchi. - W tej chwili naprawdę mam nadzieję, że spróbują nas zatrzymać.

Tsang mruknęła z aprobatą, ale przede wszystkim zastanawiała się gorączkowo nad potencjalnymi konsekwencjami obecnej sytuacji. Jej rozkazy zawierały pewien tajny podpunkt, który od początku miała za mało sympatyczny, ale pocieszała się, że został dodany tylko na wszelki wypadek i na pewno nie znajdzie zastosowania. Wyszło jednak inaczej, co oznaczało chyba niejakie kłopoty.

Jej zespół składał się z ponad stu superdreadnoughtów w towarzystwie dwóch tuzinów transportowców i jednostek zaopatrzenia, z eskortą obejmującą dwadzieścia pięć krążowników i czterdzieści niszczycieli. Było to o wiele więcej, niż mogła przeprowadzić przez terminal w jednoczesnym tranzycie, niemniej plan operacyjny polecał jej dołączenie do Jedenastej Floty już po kapitulacji Manticore. Zarazem dysponowała siłami trzykrotnie liczniejszymi niż Marynarka Beowolfa, w której skład wchodziło jedynie trzydzieści sześć superdreadnoughtów. Jeśli gospodarze okażą się na tyle tępi, by sprowokować wymianę ognia, będzie to niedługa walka, z fatalnym dla nich wynikiem.

Crandall też pewnie tak myślała przed Spindle, Przemknęło Tsang przez głowę, ale zaraz wytłumaczyła sobie, że to jednak inna sytuacja. Tam przeciwnikiem było zgrupowanie RMN, a jakie by wynalazki mieli na swoich jednostkach, Beowulf na pewno nimi nie dysponował. Owszem, mogli skombinować trochę nowinek, ale w żadnym razie nie

tych, które decydowały o skuteczności okrętów Manticore. Gdyby im się udało, dawno byśmy już o tym wiedzieli.

- Bez dwóch zdań blefują, ma'am - powiedział Takeuchi. - Przecież nie pošlę tysięcy swoich ludzi na śmierć, by bronić neobarbarzyńców będących na dodatek wrogami Ligi Solarnej!

- Może masz rację - zgodziła się Tsang. - Ale nie przywiązywałabym się za bardzo do tej teorii.

- Czy ty... przepraszam, ma'am. Czy pani mówi serio? - spytał Takeuchi, a Tsang wybuchnęła śmiechem.

- Nie wiem, jak jest naprawdę - wyznała. - Ale to Beowulf, Pierre. Reszta Ligi może uważać mieszkańców Imperium za barbarzyńców, ale Beowulf znajduje się tuż obok przejścia prowadzącego do Manticore Wormhole Junction. Tutejsi od wieków zawierają mieszane małżeństwa i mają całą masę wspólnych interesów. To wpływa na sposób, w jaki postrzegają Manticore. Co gorsza, są pewnie jedynymi w całej galaktyce, którzy mają jeszcze większego hopla na punkcie Mesy niż oni. Wiesz, że zanegowali oficjalną wersję tego, co zdarzyło się w Green Pines, a sądząc po słowach Caddell-Markhama, ich rząd kupił tę historię o zawiązanym przez Mesę spisku. Zatem tak, sądzę, że jest w jakimś stopniu prawdopodobne, że ich ciężkie jednostki otworzą do nas ogień, gdy będziemy chcieli przejść na drugą stronę.

- Skoro pani tak mówi, ma'am. - Sądząc po tonie głosu, Takeuchi nadal uważał taką ewentualność za czystą fantazję. - A jeśli, to co zrobimy?

- Cóż... - zastanowiła się Tsang, wspominając tajny podpunkt oraz relacje mówiące o oficerach flagowych, którzy z dowolnego powodu odmówili wykonania rozkazu admirała floty Rajampeta. Wszystkie kończyły się nieszczęśliwie. Biorąc pod uwagę dysproporcję sił, żadnym

sposobem nie zdołają nas zatrzymać, ale to sami muszą dobrze wiedzieć. Jeśli więc naprawdę staną nam na drodze, damy im wybór. Albo ustąpią, albo odpalamy rakiety. I jeśli nie ustąpią, to użyjemy tych rakiet.

Rozdział XV

- Wiesz, kilka dni temu spytałam nawet Williego, czy nie moglibyśmy uregulować jakoś kwestii tych wizyt różnych głów państw - powiedziała Elżbieta z westchnieniem. -Ciągłe nie nadążamy za rozwojem sytuacji.

- Naprawdę? Nie mów! - odparła Honor z uśmiechem.

Stała razem z królową przed pałacem i patrzyła na smukły wahadłowiec opadający na pobliskie lądowisko. Jej uśmiech zgasł, gdy korzystając ze sztucznego oka, przyjrzała się dokładnie kadłubowi stateczku i dojrzała na nim znak przedstawiający Biblię i skrzyżowane miecze. Coś, czego nie widywano dotąd poza układem Yeltsin.

- No ale ten przynajmniej się zapowiedział - rzekła, spoglądając na Elżbietę.

- Tak, jasne, cały dzień wcześniej! - Królowa wzniosła oczy do nieba.
- Serio, wolałabym, aby ci wszyscy wysoko postawieni goście dawali nam więcej czasu na przygotowania. Już choćby tylko ze względu na konieczność zapewnienia im bezpieczeństwa. Aż boję się pomyśleć, co by się działo na Graysonie, gdyby cokolwiek stało się Benjaminowi albo komuś z jego rodziny!

- Zgadzam się, że to postawiłoby nas w bardzo złym świetle - przyznała Honor. -Benjaminowi musiało bardzo zależeć na czasie. Pewnie dogrywał wszystko już w drodze, przyprawiając patronów o ból głowy. Wprawdzie zachowuje się czasem jak uczeń i drażni się z ochroną, ale wie, jak ciężka jest ich praca. Nie ryzykowałyby niepotrzebne, zwłaszcza z Katherine, Elaine i trójką dzieciaków na

pokładzie. A prawdę mówiąc, lądowanie na terenie Mount Royal jest bardzo bezpiecznym wyborem. Benjamin ma przecież świadomość, że twoja ochrona jest w stanie najwyższej gotowości, zwłaszcza odkąd gości tu Pritchard. A poza tym... - Wskazała na rozmieszczone dyskretnie kopuły kryjące przed deszczem i oczami ciekawskich bardzo skuteczny system obronny oficjalnej siedziby rodu Wintonów. - Nic poza ogólnoplanetarną inwazją nie jest w stanie im tutaj zagrozić.

- Wiem - odparła Elżbieta, śledząc wahadłowiec, który zawisł kilka metrów nad płytą lądowiska. - Gdybym naprawdę się niepokoiła, nie stałabym tutaj, żartując sobie z sytuacji. Ale musisz przyznać, że robi się z tego najważniejszy szczyt w dziejach Gwiezdnego Królestwa, o Imperium nawet nie mówiąc. W naszym politycznym świecie wolimy zwykle dogadać wiele rzeczy, zanim usiądziemy oficjalnie do gry o wysoką stawkę. Tylko w powieściach daje się pogodzić skuteczną dyplomacją z atmosferą zaskoczenia i improwizacją.

- To prawda - stwierdziła Honor. - Chociaż jeśli chodzi o ogólne zorganizowanie, i tak radzisz sobie lepiej niż wielu innych. Biedna Arethea chyba zaraz zemdleje!

- Wiem - powiedziała Elżbieta i zachichotała cicho.

Dama Arethea Hart, hrabina Middlehill, była starszym seneszalem królowej. Jako podwładna lorda szambelana Jacoba Wundta odpowiadała za planowanie i realizację oficjalnych wystąpień królowej. Od jakiegoś czasu wyglądała nieszczęśliwie.

- Zgadzam się, że nadmiernie ją eksploatujemy - dodała Elżbieta. - Ale dla niej to też najważniejsze chwile życia. A teraz jeszcze obsługuje pierwszą zagraniczną wizytę projektora Graysona. Bardziej może jej zależeć tylko na doczekaniu ślubu Rogera i Rivki. Zresztą sama wiesz!

- Owszem, zgadzam się z tym. Ale i tak jest chyba na ostatnich nogach.

Elżbieta chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zamknęła usta, widząc uchylający się właz wahadłowca.

Cała płyta była otoczona przez Straż Pałacową oraz gwardzistów z Queen's Own Regiment, do których dołączyli gwardziści protektora oraz ochrona pałacowa z Graysona. Transportowiec z ludźmi protektora wylądował sześć godzin wcześniej. Bez trudu dogadali się z podwładnymi pułkownik Shemais. Teraz jako pierwszy wyszedł z wahadłowca barczysty major o siwych włosach i ogorzałej twarzy i natychmiast rozejrzał się wkoło, odnotowując, gdzie jaka grupa ochrony została rozlokowana. Potem dopiero odsunął się na bok i stanął na baczność.

Jako drugi pojawił się Benjamin Mayhew, za nim zaś Katherine i Elaine. Gdy Elżbieta ujrzała Benjamina, coś zakłuło ją w sercu. Minęło dopiero siedem lat standardowych od jej wizyty na Graysonie, ale protektorowi wyraźnie przybyło przez ten czas siwych włosów. Trzymał się nadal prosto, ale twarz miał gęściej pokrytą zmarszczkami i poruszał się jakby trochę wolniej.

On jest przecież sześć lat młodszy ode mnie, pomyślała królowa. I trzynastie lat młodszy od Honor, ale wygląda na znacznie starszego od nas obu. Gdyby stanął obok Harrington, przypadkowy obserwator sprzed epoki prolongu uznałby, że należą do różnych pokoleń i to Honor jest przedstawicielką tego młodszego.

Był to żywy dowód na to, że Benjamin nigdy nie został poddany prolongowi, i zapowiedź bliskiej, nieuniknionej straty. Straty nie tylko cennego politycznego sprzymierzeńca, ale także sojusznika militarnego i po prostu bliskiego przyjaciela. Mieli ze sobą kontakt, regularnie

przesyłali sobie wiadomości i prezenty urodzinowe, ale zapamiętany przez królową obraz Benjamina nie uległ przez te wszystkie lata zmianie. Aż do tej chwili.

Przestań! - powiedziała sobie w duchu. Tak, stracisz go... ostatecznie. Ale zawsze o tym wiedziałaś, oboje wiedzieliście, że tak będzie. No i nie stanie się to jutro, teraz zaś ostatnie, czego mu trzeba, to twoje sentymentalne łyzy. Poza tym są tu ludzie, którzy znacznie boleśniej odczują jego brak, dopowiedziała sobie, zerkając na Honor.

Ona zdawała się nie zauważać żadnych zmian w wyglądzie Benjamina, ale królowa wiedziała swoje.

- Chodźmy przywitać naszych gości, milady - powiedziała.

- Sądzę, że to świetny pomysł - odparła Honor.

*

- A kto pilnuje spraw w domu, gdy ty się włóczysz po galaktyce? - spytała Elżbieta prawie godzinę później.

- Floyd. Jestem pewien, że świetnie nad wszystkim panuje - odpowiedział Benjamin, kołyszając szklanką z mrożoną herbatą. - Nie był wprawdzie zachwycony, że go tak zostawiam, ale przynajmniej nabierze trochę praktyki.

Elżbieta nie spotkała nigdy Floyda Kellermana, kanclerza Graysona, ale sporo z nim korespondowała, a William Alexander miał okazję poznać go osobiście. Na tej podstawie skłonna była przypuszczać, że Benjamin raczej łagodnie określił reakcję kanclerza. Protektor wybrał go na ten urząd z racji jego naturalnych uzdolnień, jednak był to człowiek młody, jeszcze przed czterdziestką, i co starsi patroni próbowali nakłonić go do posłuchu, zwłaszcza wówczas, gdy Benjamina nie było w pobliżu.

- To było coś więcej niż brak zachwyty, moja droga - powiedziała oficjalnym tonem Katherine Mayhew, potwierdzając podejrzenia królowej. - Wyraził nawet opinię, że do negocjowania traktatów z sojusznikami używa się ministra spraw zagranicznych.

- To banalnie konwencjonalne podejście - zachnął się Benjamin. - Poza tym Uriah ma co innego do roboty.

- Tak? - Elżbieta przekrzywiła ciekawie głowę. Spotkała kiedyś brata Uriaha Madisona, kapłana poleconego Benjaminowi osobiście przez wielebnego Jeremiaha Sullivana, gdy lord Berilynko, poprzedni minister spraw zagranicznych, odszedł na emeryturę. Była wtedy pod wrażeniem. Zastanawiałam się, dlaczego na wstępne rozmowy wysłałeś Michaela zamiast brata Madisona. Czy jest to coś, o co koleżanka po fachu może spytać, czy może powinnam pozostać taktownie niedoinformowana?

- Po prawdzie wysłałem go zamiast Uriaha z dwóch powodów - odparł Benjamin. - Pierwszy wiązał się z możliwymi obiekcjami niektórych patronów wobec zawarcia pokoju z kimś, z kim tak długo walczyliśmy. Dlatego chciałem, by pojawił się przy tym ktoś z rodu Mayhew. Nadal jesteśmy tradycjonalistami, a to nazwisko ma na Graysonie swoją wagę. Podpis Mike'a na traktacie to coś, co powinno ułatwić ratyfikację.

- Dostrzegam logikę - przytaknęła królowa. Dynastia Wintonów też zwykła wykorzystywać swoich członków przy podobnych okazjach. W pewien sposób miało to miejsce również wówczas, gdy Honor została wydelegowana do rozmów z Republiką Haven.

- A po drugie, biorąc pod uwagę tempo wydarzeń, uznałem, że lepiej będzie zachować Uriaha do rozmów z kimś innym. - Spojrzał Elżbiecie w oczy. - Z różnych sygnałów, które do mnie dotarły, wnioskuję, że

Walter Imbesi może chcieć poprawić trochę nasze stosunki. Ponieważ też ostatnio w ogóle przykładamy do tego sporą wagę, pomyślałem, że warto będzie sprawdzić, co chodzi mu po głowie. - Uśmiechnął się blado. - Chociaż oczywiście sprawa jest delikatna i wymaga ostrożnych ruchów.

- To całkiem zrozumiałe. - Elżbieta zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad odpowiedzią. Walter Imbesi nie był szczególnie hołubiony w Gwiezdnym Imperium Manticore, zważywszy na jego rolę w wycofaniu się Erewhonu z Sojuszu. Nie wspominając o dwustronnym traktacie obronnym, który podpisał później z Republiką Haven. Zrobił to akurat w chwili, gdy wojna rozgorzała na nowo, i nikt, z Elżbietą Winton włącznie, nie wątpił, że spora część ówczesnych nowinek technicznych Haven pochodziła właśnie z Erewhonu. Gwiezdne Imperium odpowiedziało zdecydowanymi sankcjami, chociaż nie zabroniło Erewhonowi korzystania z Manticore Wormhole Junction czy handlu na swoim terenie. To ostatnie wynikało z neutralności nowego sojusznika Haven na tym etapie konfliktu, co było zresztą zgodne z traktatem, ponieważ to Republika zaatakowała jako pierwsza.

W sumie oznaczało to zachowanie uchylonych drzwi i Imbesi musiał ten fakt odnotować.

- Uważasz więc, że chce poprawy naszych relacji? - spytała.

- Przypuszczam, że tak naprawdę nigdy nie pragnął ich pogorszenia - odparł poważnie Mayhew. - Wiesz, z ich perspektywy, zwłaszcza przy braku zagrożenia wznowieniem walk...

Wzruszył ramionami i królowa kiwnęła głową.

- Wiem. - Westchnęła. - Nigdy nie winiłam Erewhonu w takim stopniu jak inni nasi obywatele. To była wina High Ridge'a i pamiętam, że ostrzegałeś Descroix, do czego doprowadzi ich polityka zagraniczna.

Ja też, jeśli już o to chodzi. Wiem, że Imbesi był po prostu wściekły, gdy Pritchard wznowiła działania zbrojne. Mimo to ułożenie sobie znów sensownych relacji z Erewhonem nie będzie dla nas łatwym zadaniem.

- Zgoda. Poza tym, o ile się orientuję, Imbesiemu chwilowo niezbyt na tym zależy.

- Nie? - zdumiała się Elżbieta. - To co zamierza?

- Pełnego obrazu sytuacji nie mam, bo nie zdołałem dłużej z nim porozmawiać, nim wsiadłem na statek, by do was przylecieć - wyjaśnił Benjamin. - Wiesz, że Havlicek, Hall i Fuentes wykorzystywali Imbesiego jako nieoficjalnego przedstawiciela w kontaktach z Haven i Congiem. Mam wrażenie, że ktoś z Haven, a może także z Conga, przekazał przyjaciołom z Maytagu częściowy raport z tego, co przywieźli z Mesy kapitan Zilwicki i agent Cachat. Triumwirat doszedł do wniosku, że w ich okolicy może zrobić się nieciekawie i lepiej nie czekać w samotności, aż do tego dojdzie, wysłał więc nieoficjalnego przedstawiciela, by coś z tym zrobić.

- Jak wspomniałam, nie winię ich, jak czyni to wielu moich obywateli. Nie znaczy to jednak, bym ich jakoś specjalnie lubiła. Nie zapłacę się, jeśli trochę się przeziębą.

- Wierz mi, że pomyślałem tak samo - powiedział z uśmiechem Benjamin. Marynarka Graysona też poniosła ciężkie straty w spotkaniach z unowocześnionymi jednostkami Republiki Haven. - Jak wspomniałem, na razie sprawa toczy się na gruncie osobistych kontaktów.

- Rozumiem. - Elżbieta skrzywiła się lekko. - My mieliśmy z nimi cały czas nieoficjalny kontakt przez Congo i Królestwo Torch. Tak zupełnie obcy sobie nie jesteśmy i dlatego zaproponowałam Torch jako miejsce szczytu z udziałem Eloise. Oczywiście jeszcze przed zamachem.

Nawiasem mówiąc, Erewhon wie, że wspierając Torch, ściąga na siebie uwagę Równania?

- Wie. Poza tym jest jeszcze Smoking Frog - dodał Benjamin, rozejrzawszy się dyskretnie wkoło i upewniwszy, że nikt poza Katherine nie ma szansy słyszeć ich rozmowy.

Królowa przyjrzała mu się uważnie i pokiwała głową.

- Trafiony, zatopiony - powiedziała cicho. - Owszem, chciałabym wiedzieć więcej o planach Barregosa, nie mówiąc o tym, że niejaki zbliżenie z sektorem Maya uczyniłoby tę okolicę znacznie dla nas bezpieczniejszą. A jeśli już o tym mowa, po bitwie o Congo sektor Maya jest zapewne jeszcze ważniejszym celem dla Mesy niż Erewhon.

- Dokładnie tak samo to widzę. I nie wątpię, że Imbesi też to dostrzega. On jest patologicznie pragmatyczny, chociaż nie zmienia to oczywiście faktu, że hołduje naczelnej zasadzie Erewhonu, że jeśli coś się uzgodniło, należy się tego trzymać. Dlatego tak się wkurzyli, gdy rząd High Ridge'a zapomniał nagle o swoich zobowiązaniach wobec sojuszników.

- Tak, gdy coś już podpiszą, dziwnie się tego trzymają. - prawda? - rzuciła Elżbieta i Benjamin pokiwał głową.

- Jak mało kto, powiedziałbym. A skoro już o tym mowa, jak przyjmuje to wszystko Imperium Andermańskie?

Królowa spojrzała na niego z boleścią w oczach.

- To nie była najpłynniejsza zmiana tematu w historii dyplomacji, Benjaminie.

- Dlatego trzymam zawodowców w rodzaju Uriaha - odparł Mayhew. - Poza tym zauważ, że pytam ciebie, nie kogoś z korpusu dyplomatycznego.

- A tak, zauważyłam. - Elżbieta skarciła go spojrzeniem, ale zaraz się uśmiechnęła. - Siłą rzeczy nie było czasu na pełne uzgodnienie stanowisk z Gustawem, ale sądząc po reakcji ich ambasadora oraz andermańskich oficerów obecnych nadal w składzie Ósmej Floty, jego nastawienie do Sojuszu stało się zapewne życzliwsze po ujawnieniu informacji o zabójczej nanotechnologii Mesy. Nasze analizy porządków panujących w New Potsdam sugerują, że księżę Huang i Herzog von Rabenstrange od dawna myślą podobnie jak my. W przypadku Huanga był to oczywiście raczej pragmatyzm niż wielka miłość i sądzę, że to raczej jego abolicjonistyczne poglądy, nie kontakty z nami, sprawiły, że znalazł się na liście Mesy. Nie sądzę też, by próba zamachu na jego życie i zabójstwo jego młodszego syna zniechęciły go do Baletu. Gustaw nie był nigdy tak zdecydowanie przeciwny niewolnictwu genetycznemu jak Huang, ale nie należy do ludzi, którzy nie przejmą się morderstwem popełnionym na krewnym.

- Niemniej z tego jeszcze nie wynika, że nasi pragmatyczni przyjaciele będą skłonni aktywnie wesprzeć nas w walce z Ligą Solarną - zauważył Benjamin. - Niechęć do Mesy to za mało.

- Zgadza się - powiedziała Elżbieta z chłodnym uśmiechem. - Ale jeśli Filareta poniesie klęskę, szanowny Gustaw przypomni sobie, że dobrze jest trzymać ze zwycięzcami. Osobiście nigdy nie miałam imperialnych ambicji i ciągle jestem trochę speszona naszą nagłą ekspansją, która odmieniła charakter dawnego Gwiezdnego Królestwa. Niemniej nie wywodzę się z tej samej dynastii co Gustaw. Oni od dawna myślą w imperialnych kategoriach.

- A wiem - przytaknął Benjamin. - Dlatego jestem bardzo ciekaw, jak Gustaw przyjmie to ściśnięcie między związaną coraz bardziej z Manticore Silesią a Quadrantem Talbott.

- Mam nadzieję, że to nie będzie problem najbliższej przyszłości, chociaż kiedyś na pewno się pojawi - powiedziała Elżbieta z westchnieniem. - Zdecydowanie wolałabym żeby to wszystko było prostsze i nie wymagało nieustannego zastanawiania się nad przyszłymi reperkusjami. Chociaż raz i przez chwilę.

- To byłby lepszy świat, prawda? - rzucił z uśmiechem Benjamin. - Obawiam się jednak, że takich cudów nie ma. Ale nie przejmuj się. Jesteście ciągle bardzo młodą monarchią. Czterysta parę lat, cóż to jest? Poczekaj, aż twoja dynastia przetrwa tysiąc, tak jak moja. Zdziwisz się wtedy, jak mało istotne stają się te „przyszłe reperkusje” i inne niedogodności!

Rozdział XVI

- Połączenie z admirał Truman, milady! - oznajmił porucznik komandor Harper Brantley.

- Daj ją na dwójkę - powiedziała Honor, nie odrywając spojrzenia od głównego ekranu.

Nimitz przycisnął nos do jej policzka i zamruczał uspokajająco, ale widoczny na ekranie układ ikon uspokajający raczej nie był. W odpowiedzi na nawałnicę wielostopniowych pocisków, które runęły od strony Ósmej Floty w kierunku śledzonego przez system Ghost Rider nieprzyjaciela, tenże wyrzucił chmurę rubinowych kropek. Honor zmarszczyła brwi.

- Tak, Alice? - spytała, gdy olbrzymi wizerunek Truman pojawił się w nowym oknie.

- Wysunięte kutry i sondy zwiadowcze potwierdzają, że dranie holują zasobniki - powiedziała Alice bez wstępów. Była wyraźnie zirytowana, może nawet gorzej.

- Tak, system dodał je już do obrazu - odparła Honor zdecydowanie spokojniejszym głosem. - I właśnie wystrzelili z nich salwę. W rzeczywistości raczej nie zrobią tego z odległości dwudziestu milionów kilometrów.

- Nieprzyjacielskie pociski, dystans jeden, przecinek, trzy minuty świetlnej! - oznajmiła kapitan Andrea Jaruwalski, potwierdzając to, co Honor właśnie powiedziała. - przyspieszenie około czterdziestu ośmiu tysięcy kilometrów na sekundę kwadrat, milady. Zakładając jego utrzymanie, czas przelotu wyniesie pięć, przecinek, dwie dziesiąte

minuty. Ich prędkość na końcu przebiegu system szacuje na zero cztery dziewięć prędkości światła!

To byłby naprawdę dobry wynik, o jakieś dwa tysiące km/s lepszy niż w przypadku stosowanych przez RMN pocisków Mark 23. Truman musiała pomyśleć dokładnie to samo.

- Chyba cudem! - warknęła.

- Co nie znaczy, że nie może się zdarzyć - zaznaczyła Honor.

- Ale... - Truman nie dokończyła i tylko potrząsnęła głową. - Trafiony, zatopiony. Honor uśmiechnęła się, ale całkiem bez wesołości. Znowu wpatrywała się w główny ekran. Pięć minut to nie było wiele czasu, by zapanować nad taką salwą, ale gdyby solarni aż tak bardzo poprawili osiągi swoich pocisków, na pewno dysponowałiby też znacznie lepszymi systemami naprowadzania i maskowania.

Nawet znacznie lepszymi, pomyślała Honor. Co z kolei oznaczałoby...

- Andrea, niektóre przejdą. Wypuść Lorelei. Zobaczymy wreszcie, jak sobie radzi.

- Strzelam Lorelei, milady.

- Gdy się z tym uporasz, daj znak do przyjęcia szyku Tango Dwa.

- Aye, aye, Tango Dwa - potwierdziła Jaruwalski i Honor spojrzała ponownie na Truman.

- Alice, przesun skrajne eskadry poza pole zagrożenia.

- Jak daleko?

- Jak tylko się da - stwierdziła z chytrym uśmiechem Honor. - To nie potrwa na tyle długo, by miały szansę porządnie się odsadzić, i tak będą bliżej, niż obie byśmy chciały. Plan relokacji według własnego uznania.

- Zrobione.

Jasnowłosa Truman zniknęła z ekranu i Honor zwróci się do komodor Mercedes Brigham.

- Kutry Alice pogłębią strefę obronną, ale nadal istnieje duże ryzyko, że oberwiemy. Przekaż rozkaz uwolnienia zasobników systemu obrony. Potrzebujemy większego młotka -dodała z szerokim uśmiechem.

- Tak, milady! - odparła jej szef sztabu i Honor spojrzała na ekran przekazujący cały czas obraz z pokładu dowodzenia HMS *Imperator*.

- Słyszałeś, Rafe?

- Tak, milady - potwierdził kapitan Rafael Cardones.

- Możemy mieć nadzieję, że system Lorelei zajmie się większością salwy, ale obawiam się, że twoje drużyny kontroli uszkodzeń i tak będą miały robotę. - Cardones przytaknął pospiesznie. - Zajmij się tym, Rafe.

- Tak, milady.

Honor spojrzała ponownie na główny ekran, na którym ikony symbolizujące pociski wrogiej salwy zdawały się ledwie pełznąć, co przy takim dystansie było normalnym wrażeniem, niemniej nieubłaganie zbliżały się do Ósmej Floty. Kutry przydzielone do zewnętrznego pierścienia obrony ruszyły w ich kierunku, przegrupowując się w trakcie. Na czele leciały zaprojektowane na Graysonie Katany ze swoim potężnym uzbrojeniem i ładunkiem pocisków Viper.

Doktryna RMN została zmodyfikowana na rzecz kutrów tworzących pierwszą linię obrony. Wprawdzie osiągały one tylko prędkości podświetlne, jednak nie było to szczególnie istotne, ponieważ zdecydowana większość starć przebiegała w tym obszarze. Nie był również problemem fakt, że kutry produkcji Manticore miały relatywnie mniejsze uzbrojenie ofensywne niż takie Rolandy czy Katany, ponieważ ich zdolności defensywne były praktycznie takie same. Owszem, były mało odporne na uszkodzenia, jednak przy współczesnych głowicach laserowych traciło to na znaczeniu. Większe

od nich niszczyciele też nie były zwykle zdolne przetrzymać więcej niż jedno czy dwa trafienia, a przecież były o wiele łatwiejszymi do namierzenia celami niż zwinne kutry.

Podczas gdy drobiazg Truman podążał w kierunku przeciwnika, Ósma Flota zaczęła się ustawiać w szyku Tango Dwa. Nikt ze sztabu Honor nie oczekiwał, by nowe solarne pociski miały aż taki zasięg czy siłę ognia, ale RMN wierzyła w sens przygotowywania się na każdą ewentualność. Dlatego wszyscy dowódcy grup mieli nakazane brać pod uwagę nawet mniej prawdopodobne scenariusze i wplatać je w ćwiczenia. Dodatkowo po analizie nagrań wszystkich walk stoczonych z jednostkami Republiki Haven oraz starć Michelle Henke w Quadrancie Talbott Honor wraz ze swym sztabem wypracowała nową doktrynę obronną.

Dotychczasowy sposób obrony przewidywał ustawienie wszystkich jednostek w ciasną formację skupioną na osi ataku. Pozwalało to na skoncentrowanie ognia defensywnego, jednak utrzymanie pozycji i manewrowanie przy małych odległościach pomiędzy zespołami wymagało wielkiej precyzji i stalowych nerwów personelu. Nie było to łatwe, zwłaszcza w ogniu walki, niemniej Royal Manticoran Navy słynęła od pokoleń z takich właśnie umiejętności.

Zwiększenie siły ognia nowoczesnych flot skłaniało jednak do zrewidowania dawnego podejścia. W czasach, gdy liczba głowic w przeciętnej salwie nie przekraczała kilkudziesięciu do kilkuset, zwarta formacja rzeczywiście zdawała egzamin. Potem jednak siła ognia zdecydowanie wzrosła i przy salwach, które składały się z dziesiątków tysięcy pocisków, nawet najbardziej precyzyjne zgranie pozycji nie zapewniało skutecznej ochrony. RMN reagowała z początku zwiększaniem siły i celności ognia obronnego coraz bardziej zwartych

formacji, jednak wielu taktyków zaczęło dochodzić do wniosku, że nie obejdzie się na tym polu bez istotnej zmiany jakościowej, ponieważ dalsze rozbudowywanie klasycznego schematu zacznie w pewnej chwili powodować spadek jego skuteczności.

Honor należała do grupy, która tak właśnie myślała i dlatego skłonna była podchodzić z ostrożnym optymizmem do prób zastosowania nowego systemu Lorelei, który opierał się na wabikach zupełnie nowej generacji. Była też zwolenniczką unowocześniania systemu Keyhole, chociaż akceptując fakty, musiała przyznać, że jak na razie RMN udało się przetrwać w dużej mierze dzięki małej celności pocisków dalekiego zasięgu stosowanych przez przeciwnika. To z kolei zmuszało do wzięcia pod uwagę możliwości, że pewnego dnia Marynarka Republiki, ta nowa, z Thomasem Theismanem i Shannon Foraker, zdoła wprowadzić coś w rodzaju systemu Apollo, skopiowanego czy własnego, a wtedy zrobi się naprawdę paskudnie.

Tak zatem, jeśli ciężkie jednostki nie miały stać się z definicji wyłącznie ruchomymi celami, należało rozpocząć przechwytywanie pocisków przeciwnika w większej odległości od własnej formacji. Chodziło o dystans większy niż 3,6 miliona kilometrów osiągalnych dla antyrakiet Mark 31. Trzeba było tylko zdecydować, jak tego dokonać. Jednym z możliwych rozwiązań było wysunięcie strefy działania kutrów, jednak Honor chciała, by ciężkie jednostki dysponowały też jakimś własnym dalekosiężnym systemem obronnym. Podrzuciła nawet kilka pomysłów, na które wpadła wraz ze swym sztabem, chociaż wiedziała, że Sonja Hemphill też pracuje nad tym tematem, na razie jednak musiała zadowolić się tym, co było. I dlatego właśnie szyk Ósmej Floty nie przypominał dokładnie tego opisanego w podręcznikach obowiązujących na wyspie Saganami.

Biorąc pod uwagę typ zagrożenia i zasięg ognia defensywnego wspartego systemem Keyhole, postanowiła raczej rozluźnić szyk, niż bardziej go zacieśnić. Uznała, że skoro Keyhole dawał większy zasięg niż kiedykolwiek wcześniej, obrona będzie mogła objąć większą przestrzeń bez konieczności utrzymywania bliskiego położenia poszczególnych Jednostek. Należało wprawdzie oczekiwać wówczas spadku celności tej wzajemnej obrony, ale ogólny rachunek powinien wyjść na plus, skoro, po pierwsze, nasilenie owego ognia było większe, a po drugie, poszczególne eskadry mogły pozwolić sobie na samodzielne manewry bez ryzyka, że zahaczą ekranem o jednostkę z innego zespołu, co musiałyby skończyć się fatalnie nawet dla największego superdreadnoughta.

Andrea Jaruwalski i reszta oficerów operacyjnych oraz taktycznych Ósmej Floty spędzili razem wiele godzin, by dopracować tę doktrynę i dopasować do niej oprogramowanie. Honor nie szczędziła im potem pochwał, zwłaszcza że udało im się jeszcze trochę wyszlifować całą koncepcję. Jaruwalski zaproponowała na przykład, by połowa kutrów ze składu Ósmej Floty zajęła pozycje nie między zgrupowaniem a źródłem zagrożenia, ale wewnątrz samego zgrupowania, by wypełnić nieuniknione luki w strefach obronnych poszczególnych dywizjonów.

W teorii wszystko wyglądało więc wspaniale, jak zauważyła Honor, drapiąc Nimitza za uszami.

- System Lorelei aktywny, milady - zameldowała Jaruwalski.

- Dziękuję. - Na ekranie pojawiły się dziesiątki niebieskich gwiazdek.

Lorelei był najnowszym dodatkiem z tej samej rodziny co system Ghost Rider. I ostatnim wynalazkiem wypuszczonym przez ekipę HMSS *Weyland* przed zagładą stacji. Do produkcji wszedł on dopiero

niedawno, przy czym została ona szybko a tragicznie przerwana, stąd też RMN miała o wiele mniej sond Lorelei, niżby chciała. Honor aż wzdrygała się na myśl, że zapewne będzie musiała użyć większości z nich.

Lepiej tracić sondy niż okręty liniowe, zbeształa się w duchu. Oczywiście istniało ryzyko, że jeśli nowy system nie sprawdzi się w boju, przyjdzie jej stracić jedno i drugie. Byłoby to skrajne marnotrawstwo.

Wargi Honor drgnęły lekko, ale oczy nadal wpatrywały się w ekran. Ogień otworzyła jako pierwsza, tak by jej salwa dotarła do jednostek Filarety piętnaście sekund wcześniej, niż jego rakiety osiągną rejon, w którym przebywała Ósma Flota. Niestety, nieposiadający systemu Apollo solarni mieli odciąć telemetrię na długo wcześniej i tym samym ich pociski musiały przejść na indywidualne wyszukiwanie celów, podążając wciąż tam, gdzie pierwotnie zostały skierowane. W razie zgubienia wprowadzonego celu ich mało wyrafinowany moduł namierzania podejmował próbę znalezienia nowego punktu przeznaczenia. Działy więc w pełni autonomicznie i cokolwiek mogło zdarzyć się w tym czasie z jednostkami, z których je wystrzelono, nie miało najmniejszego znaczenia.

Czyli całkiem inaczej niż w przypadku pocisków RMN.

- Nieprzyjaciel uruchomił system Halo, milady - zameldowała Jaruwalski monitorująca napływ danych z nadświetlnej sieci łączności opartej na sondach Mark 23-E, które były sercem systemu Apollo. - Sądząc po wykrytych emisjach, ich system Aegis nie został unowocześniony aż tak bardzo, jak sądziliśmy.

- Miło wiedzieć, że z czymś jednak udało się trafić - mruknęła Brigham i Honor zaśmiała się krótko.

- Chyba nie zamierzasz winić za to wywiadu? - spytała.

Teraz Brigham się zaśmiała, ale bez wesołości, i zaraz pokiwała głową.

- Chyba poprawili trochę skuteczność systemu Halo - powiedziała Jaruwalski. - Ale filtry jakoś sobie radzą.

Michelle Henke przysłała sprawne moduły systemu Halo ze zdobytych solarnych jednostek i Biuro przebadalo je aż do poziomu molekularnego. Ludzie Sonji Hemphill nie byli szczególnie zbudowani tym, co znaleźli (choć zawrotność zabezpieczeń autodestrukcyjnych akurat nikogo nie zmartwiła).

Sam poziom wykonania nie odbiegał od tego, co produkowano w Manticore, ale system został zaprojektowany do działania w środowisku walki typowym dla tego, do czego była przyzwyczajona Liga Solarna, z jednostopniowymi pociskami, prostymi sensorami i mało zaawansowaną kontrolą ogniową. Użycie zasobników holowanych w ogóle nie zostało przewidziane w tym scenariuszu, zasięg też był niewielki, ograniczony skupieniem wiązki zasilającej urządzenia nadawcze. Oznaczało to, że moduły musiały operować w płaszczyźnie pokładowej, ponieważ wiązka energetyczna nie była w stanie przeniknąć przez ekran napędu impeller.

Przy wszystkich ograniczeniach był to jednak całkiem przyzwoity i dobrze pomyślany system. Tyle że pechowo dla Ligi Solarnej nie był w tym przypadku dość nowoczesny.

To samo dotyczyło projektu Aegis mającego umożliwić zagęszczenie ognia obronnego. Rzeczywiście poprawiono dzięki niemu liczebność salw, które dawały się nawet skutecznie naprowadzać, ale w spotkaniu z wielostopniowymi pociskami sama ilościowa zmiana to było o wiele

za mało. Zwłaszcza gdy druga strona dysponowała jeszcze systemami Ghost Rider i Apollo.

- Dwadzieścia sekund do ich perymetru obrony antyrakietowej, milady - oznajmiła Jaruwalski. - Dazzlery włączą się za piętnaście sekund. Dziesięć. Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... teraz.

Odległe już o 13,2 miliona kilometrów pociski RMN poruszały się z prędkością 0,46 c. Do celów zostało im jeszcze 9,8 miliona kilometrów, niemniej maksymalny skuteczny zasięg antyrakiet SLN wynosił 1,8 miliona. Potem traciły napęd i dalej leciały już bez ekranów, których używały do niszczenia nadciągających pocisków przeciwnika. Przy obecnej geometrii ataku należało oczekiwać, że tamci odpalą salwy ognia defensywnego, gdy pociski RMN znajdą się w odległości 9,2 miliona kilometrów, czyli za jakieś pięć sekund.

Nadeszła pora na uruchomienie głowic wojny radioelektronicznej, zamontowanych na sporej części pocisków wchodzących w skład salwy.

Solami operatorzy śledzili nadlatującą falę już od prawie czterech minut, gorączkowo łapiąc namiary i przekazując je systemowi defensywnemu. Wiedzieli, że przy tej prędkości wielostopniowe pociski przelecą przez strefę obronną w niecałe dwanaście sekund, co pozwoli na odpalenie tylko jednej salwy antyrakiet. W tej sytuacji naprawdę chcieli osiągnąć jak najwyższą skuteczność.

Nagle jednak włączyły się Dazzlery, oślepiając czujniki i pokrywając ekrany plamami bieli. Systemy śledzące przeżyły coś w rodzaju elektronicznego szoku, a obsługujący je ludzie osłupieli na moment, po czym zaczęli gorączkowo na nowo dostrajać system. Jednak przy całym poświęceniu mieli tylko szesnaście sekund na reakcję, gdyż zaraz potem ożył także system Dragon's Teeth, generując najpierw setki, a potem tysiące fałszywych celów.

Mając więcej czasu, operatorzy systemów defensywnych zdołaliby odróżnić obiekty prawdziwe od symulowanych. Udałoby się to również i wtedy, gdyby wcześniej nie odezwały się ogłuszarki. Wystarczyłoby wówczas pilnować wcześniej namierzonych celów, ignorując wszystkie dodatkowe. Czasu jednak nie mieli, a ich systemy celownicze zostały sparaliżowane przez atak radioelektroniczny.

Cała struktura obrony, która już wcześniej była nieadekwatna do rzeczywistego zagrożenia, stała się całkowicie bezużyteczna.

Pociski wystrzelone przez Ósmą Flotę przedarły się przez miotające się rozpaczliwie antyrakiety i weszły w wewnętrzną strefę obrony z prędkością bliską czterdziestu procentom prędkości światła. Lasery pokładowe były równie zdezorientowane jak wcześniej antyrakiety i zdołały zatrzymać ledwie około dwóch procent nadlatujących pocisków. Cała reszta doszła na dystans ataku, kierowana przez głowice Mark 23-E, przekazujące pełen zestaw danych dotyczących wrogiej formacji praktycznie na bieżąco, bo z opóźnieniem ledwie pięciu sekund.

Karmazynowe punkty nie tyle zaczęły znikać z ekranu Honor, ile wymazało je wszystkie w prawie jednej chwili» a na miejscu części z nich wykwitły purpurowe punkty symbolizujące dryfujące wraki. Oznaczało to, że wszystkie atakowane jednostki zostały śmiertelnie porażone. Kamery systemu Ghost Rider przekazały na mostek obraz rozszalałej burzy atomowego ognia, jednak żaden człowiek nie miałby szansy rozróżnić w czasie rzeczywistym jakichkolwiek szczegółów tej masakry.

Honor miała prawie dziesięć sekund, by przyjąć do wiadomości fakt zniszczenia floty Ligi Solarnej, gdy jej superdreadnoughty znalazły się pod ogniem nieistniejącego już przeciwnika. Jego salwa liczyła niemal

tyle samo pocisków co salwa RMN, a ich prędkość była nawet trochę większa, ale poza tym nic obu ataków nie łączyło.

Kutry Alice Truman jako pierwsze przechwyciły nadlatującą salwę. Obrotowe wyrzutnie Katan zaczęły wyrzucać pociski Viper w maksymalnym tempie. Pociski te, wyposażone w ten sam napęd i powiększone ekrany, co Mark 31 powodowały wielkie wyrwy w lawinie nadciągających rakiet. Niektóre z nich, straciwszy na chwilę oryginalne cele z pola widzenia, próbowały namierzać sygnatury impellerowe kutrów. Przy olbrzymiej prędkości nowe cele miały tylko sekundy, albo i mniej, na przeciwdziałanie za pomocą wiązek spolaryzowanego promieniowania. Szczęśliwie nowe kutry były trudnymi celami i „tylko” sześćdziesiąt trzy uległy zniszczeniu. Pozostałe Katany i Shriki obróciły się o sto osiemdziesiąt stopni, by skierować swoje uzbrojenie energetyczne w ślad za odlatującymi rakietami, których oprogramowanie nie przewidywało uników obronnych przed niczym nadciągającym od rufy, dzięki czemu kutry typu Katan i Shrike zdołały unicestwić w tej fazie jeszcze tysiąc pocisków przeciwnika.

Reszta skierowała się w stronę ciężkich jednostek, niemniej większość z nich straciła podczas spotkania z kutrami namiary celów. Tylko na chwilę i zasadniczo nadal wiedziały, gdzie szukać przypisanych im obiektów, ale gdy zaczęły je ponownie namierzać, okazało się, że celów jest stanowczo za dużo.

Jeśli chodzi o zasadę działania, system Lorelei wyprzedzał Halo o całe lata świetlne. Przede wszystkim każda głowica miała pokładowe zasilanie oparte na tej samej technologii, którą RMN rozwinęła przy okazji projektowania systemu Ghost Rider oraz pocisków Mark 23 i Mark 16. Dysponowały mocą przekraczającą najśmielsze wyobrażenia

solarnych inżynierów i były niezależne manewrowo, przy czym ich pokładowa SI była nawet lepsza niż w głowicach Mark 23-E.

System Halo generował fałszywe cele mające zmylić antyrakiety, jednak te pozorne obiekty musiały znajdować się relatywnie blisko prawdziwych pocisków, ich emisja zaś była stosunkowo słaba. Znacznie słabsza niż w przypadku jakiejkolwiek ciężkiej jednostki.

Lorelei mógł lokować fałszywe cele w dowolnym miejscu, a jego emitery były o wiele potężniejsze. Owszem, obrazy celów nadal były mniej wyraziste niż w przypadku superdreadnoughtów, ale można było je „stawiać” pomiędzy pociskami a zagrożonymi ciężkimi jednostkami. W ostatecznym rezultacie systemy naprowadzające były skłonne uznać te sygnatury za... zamaskowane elektronicznie sygnatury prawdziwych okrętów.

Dla większego efektu Jaruwalski tak zaprogramowała kursy sond, by tworzyły formacje wyglądające na dywizjony superdreadnoughtów. Manewrujące do tego w sposób zsynchronizowany z prawdziwymi zespołami Ósmej Floty, ale osłaniającymi je z kierunku ataku.

Pociski zaakceptowały podsunięte im cele.

Nie wszystkie dały się zmylić, gdyż nawet system Lorelei nie był doskonały. Niemniej do okrętów Honor dotarło tylko około siedmiuset rakiet, które nie były godnym przeciwnikiem dla ognia defensywnego rozproszonych zespołów i osłaniających je kutrów. Ostatecznie tylko siedemnaście superdreadnoughtów zostało trafionych, z czego dwa odniosły poważne uszkodzenia.

Honor spojrzała na podsumowanie rozgrywki wyświetlane z boku ekranu i uniosła brwi. Gdy poznała wartość przyspieszenia utrzymywanego przez solarne pociski, nastawiła się na poważne straty. Tymczasem...

- Symulacja zakończona - oznajmił pozbawiony twarzy głos. - Widzę, że będziemy musieli sporo przerobić, aby pani ludzie się u nas nie nudzili, milady.

- Dziękuję, kapitanie Emerson - odparła Honor, spoglądając na starszego mężczyznę, który pojawił się na ekranie zamiast nakresów kursowych. Potem odwróciła się do swoich ludzi. - Dobra robota - powiedziała. - To było coś. A wieczorem zapraszam na obiad do Harrington House. Posiedzimy na plaży. Piwo zapewniam, prognoza pogody jest pozytywna, tata szykuje barbecue, a Mac zapowiedział coś ekstra na deser. Nie spóźnijcie się i zabierzcie przyjaciół jeśli jakichś tu macie.

- Fajnie! - wykrzyknęła Brigham i Honor uśmiechnęła się, słysząc aplauz pozostałych.

- Widzę, że skończyło się na zadrapanej farbie - powiedział ktoś, tym razem znajdujący się całkiem blisko.

- A tak, to się szybko odmaluje - odparła Honor z uśmiechem, odwracając się do Thomasa Theismana.

Stali w głównym symulatorze centrum Zaawansowanego Kursu Taktycznego. Honor nie była tu po raz pierwszy, kierowała nawet ośrodkiem po powrocie z Cerberusa, ale na Theismanie centrum zrobiło ogromne wrażenie, i to zanim jeszcze ruszyli z symulacją. Teraz rozglądał się po olbrzymim pomieszczeniu i kręcił głową.

- To było bardzo pouczające - powiedział, spoglądając ponownie na Honor. - Już po pierwszym spotkaniu z systemem Apollo byłem świadom, że mamy przerąbane, ale nie miałem pojęcia, w jakim bagnie byśmy wylądowali, gdybyś nie przekonała królowej do negocjacji i zakończenia wojny.

- Nie byłam jedyną osobą, która nakłaniała Elżbietę do takiego kroku. Teraz, gdy już ją znasz, sam chyba wiesz, że choć bywa niełatwa w kontaktach, nie zależy jej na zabijaniu ludzi.

- Ja też o tym nie marzę - powiedział Theisman spokojnym głosem, w którym wyczuwało się jednak napięcie. Naprawdę łatwo było zrozumieć, dlaczego Nimitz nadał mu imię Śniący o Pokoju. - I ja też nie - powtórzył. - Zwłaszcza gdy chodzi o posyłanie własnych ludzi do walki, której nie mają szansy wygrać. Bardzo się cieszę, że nie będę musiał w przewidywalnej przyszłości czynić niczego podobnego.

Honor pokiwała głową i ruszyli w kierunku wyjścia, podczas gdy Brigham zajęła się formalnościami podsumowującymi symulację.

- Wiedziałaś, że zaatakują was wielostopniowymi pociskami? - spytał Theisman.

- Nie, ta kwestia jakoś umknęła kapitanowi Emersonowi podczas odprawy.

- Tak też pomyślałem, gdy zobaczyłem reakcję admirała Truman - stwierdził Theisman, wywołując śmiech Honor.

- Nie jestem pewna, ale być może był to wynik kreciej roboty mojego kochanego małżonka.

- Na ile go znam, to całkiem możliwe. Oboje macie ten przykry zwyczaj, że myślicie niestandardowo.

- Nie my jedni - powiedziała Honor i spojrzała na niego znacząco. - Gdy pozbyliście się już Saint-Justa i Urzędu Bezpieczeństwa, okazało się, że macie masę świetnych dowódców. Chyba nie zdawałam sobie w pełni sprawy z waszej klasy, dopóki nie natknęłam się na egzemplarze z Marynarki Ligi.

- Proszę! - wykrzyknął Theisman z takim grymasem, jakby coś go nagle zabolało. - Porównuj nas, z kim chcesz, tylko nie z nimi!

Honor się zaśmiała, a Nimitz bleeknął radośnie. Byli już praktycznie w drzwiach. Spencer Hawke, Clifford McGraw i Joshua Atkins wyszli zaraz za nimi, na korytarzu czekał zaś wraz z gwardzistami Waldemar Tummel, od czasu powrotu z Nouveau Paris już porucznik komandor. Honor uśmiechnęła się do niego, on zaś odpowiedział tym samym, chociaż wyczuwało się w nim jeszcze smutek po stracie rodziców, brata i siostry, którzy zginęli na *Hephaestusie*.

- Na ile wyprzedziliśmy harmonogram? - spytała go Honor.

- Prawie o godzinę, milady - odparł jej porucznik flagowy, który nie był już porucznikiem, i uśmiechnął się trochę szerzej. - Chyba prowadzący rozgrywkę nie oczekiwali, że zwycięży pani tak szybko.

- Lepiej nie wpadajmy w nałóg poklepywania się po plecach - powiedziała Honor, zasadniczo do Tummela, ale spojrzała też na Theismana. - Takie symulacje dają nam jakieś pojęcie, co możemy zdziałać przeciwko znanemu przeciwnikowi. Filareta wydaje się o wiele lepszy niż ci dowódcy Marynarki Ligi, których widzieliśmy w Talbott, a ktoś myślący zawsze może zgotować nam niespodziankę...

Theisman przytaknął z powagą. Oboje mieli już nieprzyjemność przeżywać podobne zaskoczenia.

Honor też pokiwała głową. Zawsze lubiła Theismana, a od kiedy lepiej go poznała, zaczął jej bardzo przypominać Alistaira McKeona. Chociaż, pomyślała z uśmiechem, Thomas nie był tak porywczy, by rzucać się radośnie na każdego napotkanego wroga.

Zaraz po otrzymaniu z Beowulfa ostrzeżenia o ataku Honor wzięła się do studiowania wszystkiego, co wywiad zdołał zgromadzić na temat Massima Filarety. Gdy Theisman przybył wraz z delegacją Pritchard, też szybko sięgnął do tych materiałów. Najwyraźniej Republika Haven niewiele miała na temat admirała, ale to, czym dysponowali, pozwoliło

z grubsza określić typ jego osobowości. Różnił się wyraźnie od zgasłej tragicznie Sandry Crandall, a na dodatek wiedział już, na czym postępowaniu nie powinien się wzorować. Cokolwiek mogli sobie myśleć w Lidze, Filareta nie zlekceważył zapewne oficjalnych raportów sugerujących dużą przewagę techniczną Manticore. Mógł traktować je z rezerwą, ale nie licząc pewnych kontrowersyjnych upodobań, o których też było co nieco w aktach, wydawał się osobą zbyt bystrą, by ignorować fakty. Zwłaszcza po bitwie o Spindle.

- Rozumiem, o czym mówisz - powiedział Theisman. - Dlatego podobają mi się te ćwiczenia. Zakładacie w nich, że druga strona będzie znacznie lepsza, niż wynikałoby z raportów.

- Bez tego jest się skazanym na dreptanie w miejscu. - Honor wzruszyła ramionami. -A czasem może być jeszcze gorzej. Niektórzy cofają się wtedy i głupieją. Gdybym dostawała dolara za każdego przekonanego o własnej niezwykłości i zarozumiiałego oficera flagowego, który dał się zabić...

Nie dokończyła, a Theisman znowu pokiwał głową.

- Byłem, widziałem - potwierdził.

Przez chwilę szli w milczeniu w kierunku wind, aż w końcu admirał postanowił zmienić temat.

- Muszę przyznać, że widok waszego sprzętu w działaniu zrobił na mnie większe wrażenie niż sam przebieg symulacji - rzekł. - Nigdy nie mieliśmy okazji przebadać systemu Apollo. Wasze zabezpieczenia okazały się zbyt trudne do rozpracowania. Shannon bardzo ciężko to przeżyła. Udało nam się rozwikłać tylko kilka drobniejszych kwestii, co i owszem, mocno nam pomogło, ale raczej od strony konstrukcyjnej.

Tak jak we wszystkich flotach, również w RMN wyposażano nowsze technologicznie systemy w obwody samozniszczenia mające utrudnić

dostęp do nich osobom niepowołanym. Z przyczyn technicznych nie dotyczyło to soczewek grawitacyjnych głowic laserowych czy minireaktorów fuzyjnych, ale komputery i obwody molekularne zabezpieczenia otrzymywały z klucza. Dobranie się do nich bez odpowiednich kodów dostępu powodowało uruchomienie programu autodestrukcyjnego zmieniającego nowoczesny sprzęt w zwykły złom. Poszukiwanie sposobów złamania czy obejścia tych systemów było częścią trwającego od wieków wyścigu zbrojeń i Honor nie zmartwiła się, słysząc, że i w tej dziedzinie Gwiezdne Imperium wyprzedziło Republikę Haven.

- Szczerze mówiąc, spośród tego wszystkiego, co zdobyliśmy po operacji Thunderbolt, najbardziej użyteczne okazały się instrukcje obsługi - powiedział Theisman, nie wspominając taktownie, że znacznie więcej takich materiałów wpadło im wcześniej w ręce dzięki sojuszowi z Erewhonem. - Ale i one straciły na przydatności, gdy zaczęliście wprowadzać sprzęt nowej generacji. Wtedy przepaść zaczęła się pogłębiać. Co prowadzi do pytania o unifikację naszego wyposażenia.

- Znasz moje zdanie, Tom - odparła Honor. - Królowa i Hamish myślą podobnie, a na ile mogę to ocenić, Hemphill też się ku temu skłania. Nie wątpię więc, że dojdzie do tego, chociaż trudno powiedzieć, kiedy dokładnie. Wszystko zależy od tempa ratyfikacji traktatu.

- Wiesz, jak to wygląda w Nouveau Paris, Honor - powiedział Theisman, wruszając ramionami. - Wolę nawet nie myśleć, jak zareagowali Younger i McGwire, gdy dostali szkic porozumienia i odkryli, że ich prezydent udała się na wycieczkę z dwiema trzecimi Capital Fleet. Jestem pewien, że wielu politycznych przeciwników Eloise ma teraz żądzę mordy w oczach, a Tullingham i Younger sugerują, a może nawet mówią wprost, że przekroczyła swoje

konstytucyjne uprawnienia. Prawda jednak jest taka, że do żadnego przekroczenia nie doszło, a opinia publiczna była po jej stronie jeszcze przed lutowym atakiem i pojawieniem się Simoesa. Zdecydowało twoje pojawienie się w misji dyplomatycznej.

- Naprawdę? - spytała Honor, unosząc brew.

Theisman zaśmiał się krótko.

- Większość naszych obywateli żywi do ciebie coś w rodzaju podziwu. Może nie zawsze się do tego przyznają, ale było tak nawet za czasów Ransom. Oczywiście pełniłaś też rolę straszaka, ale cóż, masz irytujący zwyczaj przyprawiania nas o bezsenność.

- Ja nigdy...

Honor przerwała, niepewna, jak odpowiedzieć. W końcu roześmiała się głośno.

- Nigdy nie twierdziłem, że tobie jednej spośród wszystkich dowódców Manticore to się udawało. Po prostu... najbardziej rzucałaś się w oczy. Nawet solami to przyznawali. Tak to bywa, gdy jest się fotogenicznym. W odróżnieniu od twego pokornego sługi.

- Tak, jasne - prychnęła Honor.

- O sobie mówiłem - zaznaczył Theisman i uśmiech zniknął z jego twarzy. - Ale żarty na bok. Naprawdę cieszysz się świetną reputacją w Republice, w znacznej części dzięki temu, że zawsze byłaś honorowym przeciwnikiem. To dlatego przede wszystkim Urząd Bezpieczeństwa i cała dawna propaganda włożyły tyle wysiłku w spaskudzenie ci opinii przed egzekucją.

Honor wyczuła w nim gorycz na wspomnienie wstydu towarzyszącego bezradności wobec poczynań Cordelii Ransom i jej determinacji, by dokonać mordu sądowego na pokonanym przeciwniku.

- Tak czy siak, byłaś kimś znanym w Republice, zanim jeszcze dostałaś Ósmą Flotę i wypuściłaś się z nią na nasze tyły - powiedział. - A potem doszło do bitwy o Manticore. Nasza opinia publiczna zaczęła postrzegać cię jako ucieleśnienie Gwiezdnego Imperium. A na koniec pokazałaś się w układzie Haven, i to nie w celu zaatakowania nas, ale z propozycją rozmów pokojowych. Odkąd pozbyliśmy się Saint-Justa, nie próbujemy utrudniać naszym obywatelom dostępu do serwisów informacyjnych Imperium Manticore. Nie trwało długo, nim większość z nich zrozumiała, że nie przypadkiem to ty właśnie przyleciałaś, że naprawdę ci na tym zależało.

Weszli do windy. Tummel i ochrona Honor udali się za nimi.

- Możliwe, że nie uświadamiasz sobie, jakie zaufanie w ten sposób zyskałaś - podjął poważnym tonem Theisman. - Uwierz mi, naprawdę duże. A potem była jeszcze wyprawa Eloise i genialna w swej prostocie propozycja zawarcia sojuszu. To wiele zmieniło, nie tylko w kwestii reparacji wojennych. Pozwoliło nam pozbyć się piętna kogoś, kto był tu głównym winnym. Nawet przy najbardziej wspaniałomyślnych warunkach, które moglibyście zaproponować nam przed lutowym atakiem, zawarcie traktatu pokojowego oznaczałoby naszą kapitulację. Nie tak gorzką, jaka mogłaby być, zważywszy na waszą przewagę, ale jednak kapitulację. Tymczasem wyszło inaczej. Wątpię, aby Younger czy McGwire zdołali to zdyskredytować!

Honor pokiwała powoli głową. Sama była podobnego zdania, chociaż podejrzewała w duchu, że Theisman przecenia znaczenie jej wizerunku dla kształtowania opinii publicznej Republiki Haven.

- Nie przepadam za polityką - powiedział, gdy winda ruszyła do góry. - Widziałem jednak dość, by pojmować z grubsza, jak to działa. Nie twierdzę, że nie będzie ludzi gardłujących przeciwko, sądzą jednak, że

nie objawi się ich tyłu, by poważnie opóźnić podpisanie traktatu. Zwłaszcza jeśli Filareta okaże się na tyle głupi, by nie spasować. Wyobrażasz to sobie? Imperium Manticore i Republika Haven stające ramię w ramię przeciwko Lidze Solarnej. Dla mediów to będzie największa sensacja od czasu big bangu!

- Może i tak - mruknęła Honor. - Zakładając, że twoje zgrabne podsumowanie sprawy pozostaje w bliższym związku z rzeczywistością, można chyba mieć nadzieję, że pierwszy transport do Bolthole wyruszy w jakiejś przewidywalnej przyszłości. O ile powiecie nam w końcu, gdzie to jest - dodała, zerkając znacząco na Theismana. - Na Mesie raczej nie będą szczęśliwi z tego powodu!

Rozdział XVII

- Co powiedziałaś?

Skonsternowany Albrecht Detweiler spojrział na swojego najstarszego syna z miną, która wstrząsnęłaby każdym z jego skromnego grona znajomych.

- Powiedziałem, że do naszych analiz zdarzenia w Green Pines zakradł się drobny błąd - odpowiedział spokojnym głosem Benjamin Detweiler. - Ten skurwiel McBryde nie próbował uciec sam. - Benjamin zdążył nieco oswoić się z tą informacją podczas lotu z Mendel, ale nadal był przerażony. Zapewne jeszcze bardziej niż jego ojciec. - A z tego, co mówią w Manticore, wynika, że wcale nie próbował zatrzymać Cachata i Zilwickiego. Nie powiedzieli tego wprost, ale chyba popełnił samobójstwo, by zatrzeć ślady swoich działań.

Albrecht spoglądał jeszcze chwilę na syna, po czym potrząsnął głową i wciągnął głęboko powietrze.

- Mów dalej - sapnął. - Jestem pewien, że to nie wszystko.

- Zilwicki i Cachat żyją - oznajmił Benjamin. - Nie wiem, gdzie się podziewali tak długo, ale zapewne wracali jakąś określną drogą do siebie. Nie mamy jeszcze pełnego obrazu, oni zaś nie ujawniają żadnych danych operacyjnych, ale jest możliwe, że cyberatak McBryde'a miał przede wszystkim pomóc im w ucieczce. Z tego, co wiemy, skierowali się na Haven, nie Manticore, co wyjaśniałoby też ich długą nieobecność. Nie potrafię orzec, co dokładnie chcieli w ten sposób osiągnąć, ale udało im się ściągnąć Eloise Pritchard na Manticore, gdzie doszło do rozmów i podpisania jakiegoś traktatu pokojowego z królową Elżbietą.

- Z Elżbietą?

- Dobrze wiemy, że to nie jest wariatka, chociaż taki właśnie kit wciskaliśmy zawsze solarnym - przypomniał Benjamin. - Czasem diabelnie mało elastyczna, ale zbyt pragmatyczna, by odrzucić taką okazję. Jeszcze przed operacją Oyster Bay wysłała Honor na Haven z analogiczną w gruncie rzeczy propozycją. Teraz Pritchard dorzuciła do puli argument pod postacią niejakiego Herlandera Simoesa. Doktora Herlandera Simoesa... który pracował w swoim czasie w Centrum Gamma nad napędem strumieniowym.

- O kurwa - szepnął Albrecht, wkładając w to jednak dużo serca.

- To nie wszystko, ojciec. Nie wiem, ile i jakich informacji przekazał McBryde Zilwickiemu i Cachatowi ani na ile okazały się one dla nich użyteczne, ale ci dwaj na pewno dowiedzieli się o wiele więcej ponad to, czym zamierzaliśmy ich nakarmić. Już w tej chwili mówią głośno o wirusowej nanotechnologii sterowania ludźmi, w tym także i zabójcami, o napędzie strumieniowym oraz typu triplet, a na dodatek wspominają coś o mesańskiej organizacji noszącej nazwę Równanie. Opowiadają to wszystko w parlamencie Manticore i jestem pewien, że Kongres Republiki Haven słyszy mniej więcej to samo. A wraz z nim cała reszta pierdolonej galaktyki! Wszyscy mają teraz przed nosem sensacyjne informacje o mesańskim planie podboju wszechświata! Zdziwisz się może, ale niektórzy powiadają, że sekretarz stanu Arnold Giancola był na żołdzie Równania, gdy wmanewrował Haven we wznowienie działań wojennych z Manticore.

- Co? - spytał zaskoczony Albrecht. - Nie mieliśmy z tym nic wspólnego!

- Oczywiście, że nie, ale prawdę mówiąc, wiedzieliśmy; że sfałszował korespondencję. Owszem, dotarło to do nas dopiero po

fakcie, gdy wciągnął w to Nesbitta, by pomógł mu zatrzeć ślady tej działalności, ale wiedzieliśmy. Wydaje się, że udostępnienie Nesbittowi nanotechnologii, gdy chciał się pozbyć Grosclaude'a, było taktycznym błędem. Usher chyba coś jednak wywęszył, a nawet jeśli nie, było zbyt wiele podobieństw między samobójstwem Grosclaude'a i zabójstwem Webstera, by nikt tego nie zauważył. No i dodaj jeszcze próbę zabójstwa Harrington. Teoria powstała więc taka, że skoro tylko my pracujemy nad nanotechnologiami i skoro Giancola ich użył, by usunąć Grosclaude'a, musiał cały czas być na naszej liście płac. Na razie nie włączyli w to jeszcze Nesbitta, ale mogą dojść i do tego, skoro opierając się na dostępnej im w tej chwili wiedzy, zdołali zrekonstruować aż tyle.

- Po prostu wspaniale - mruknął z goryczą w głosie Albrecht.

- Na razie to tyle, ojczy, niemniej wszystkie serwisy na Manticore mówią o tym na okrągło. Niektóre solarne też już zaczęły. Na Ziemi jeszcze cisza, ale to kwestia kilku dni. Trudno powiedzieć, co się wtedy stanie, ale Beowulf już wie i domyślasz się chyba, jak tam zareagowali.

Albrecht zacisnął wargi, jakby zdarzenia go przerosły. Już wiadomość, że Cachat i Zilwicki żyją i mogą podważyć rozpowszechnianą przez Równanie wersję tego, co zdarzyło się w Green Pines, była świadectwem porażki. A jeśli doszło na dodatek do poważnego wycieku tajnych informacji...

- Dziękuję - powiedział po chwili jadowitym, oschłym tonem. - Mam nadzieję, że w ostatecznym rozrachunku wezmą i się tym udławią. Na przykład wtedy, gdy zrozumieją od jak dawna wodziliśmy za nos ich pożałowania godny wywiad. Chciałbym zobaczyć wtedy minę tego drania Bentona-Ramireza y Chou. Niestety, cokolwiek się zdarzy, możemy być też pewni, że poprą Manticore. Może nawet Przystąpią do tego ich Sojuszu. Zwłaszcza jeśli Haven już się do niego zapisało.

- Mimo perspektywy konfliktu Manticore z Ligą? - posiadział Benjamin pytając, chociaż świetnie wiedział, o co chodzi ojcu.

- Do diabła, cała Liga trzyma się na nas. To my wszystko w niej ustawialiśmy, tak więc ona posypie się jako pierwsza Ben! Myślisz, że ci z Beowulfa przejmą się zdaniem aparatczyków z Chicago? - Albrecht prychnął z pogardą. - Mogę nie cierpieć tych skunksów i chętnie dorwałbym się im do tętnic, ale nie są głupi i mają dość jaj, by nie dać się zrobić Kołokolcowowi w cokolwiek, na co nie mają ochoty.

- Pewnie masz rację - mruknął ponuro Benjamin. - Nie na pewno masz rację.

- I niestety, ale to nie będzie koniec - podjął Albrecht. - Już sam koniec wojny między Manticore a Haven to zła nowina, a przecież jest jeszcze Gold Peak, i to zbyt blisko nas, by można było o niej zapomnieć. Na dodatek ona za wiele myśli i jest zbyt dobra w swojej robocie. Zapewne nic jeszcze nie słyszała, ale niebawem się dowie. A jeśli przyjdzie jej ochota na przygody albo gdy Elżbieta ją do tego namówi, za kilka tygodni będziemy tu mieli całą pierdoloną RMN, która nie zauważy nawet, że jakieś okręciki z Mesy próbują jej stawiać opór. A dochodzi jeszcze i ta radosna perspektywa, że Haven i Gold Peak przyłączą się do wycieczki, jeśli zdążą podpisać, co trzeba.

- Też przyszło mi to do głowy - stwierdził Benjamin. Jako dowódca marynarki wojennej Równania świetnie wiedział, do czego mogą być zdolne te floty, jedyne wyposażone w zasobniki holowane i wielostopniowe pociski, jeśli zamiast strzelać do siebie nawzajem, zdecydują się na sojusz.

- Jak myślisz, co zrobi teraz Imperium Andermańskie? - spytał po chwili, wywołując u ojca atak śmiechu.

- Isabel zawsze była przeciwko wykorzystywaniu nanotechnologii bez absolutnej potrzeby. Niestety jej nie słuchaliśmy - powiedział Albrecht i pokręcił głową. - Nadal uważam, że należało usunąć Huanga, i szkoda, że nam się nie udało, ale skoro Manticore wie już o naszej nanotechnologii, to dowie się o niej też Gustaw. Przypuszczam, że w tym przypadku zapomni o „realpolitik”. Rzecz nie tylko w tym, że zaatakowaliśmy jego rodzinę. Porwaliśmy się na sukcesję. Dynastia Andermanów nie przetrwałaby tak długo, gdyby puszczała podobne rzeczy w niepamięć. Masz jak w banku, że jeśli uwierzą Manticore, sami rzucą się nam do gardła. Gwiazdne Imperium też to wie i nie zdziwię się, jeśli wyłączą go z Sojuszu. W sumie powinni to zrobić, jeśli mają trochę oleju w głowie. W ten sposób Gustaw nie będzie narażony na ataki Ligi Solarnej i będzie mógł zająć się nami. Manticore spokojnie dołoży SLN bez jego pomocy! A tak się złożyło, że my nie tknęliśmy nawet andermańskich zasobów, co oznacza, że mają dość wielostopniowych pocisków, by wymazać nas z mapy. A jeśli Gustaw wystąpi przeciw nam we właściwej chwili, czy sądzisz, że ktokolwiek z Chicago przyjdzie nam z pomocą? Zwłaszcza gdy uświadomi sobie, że Manticore naprawdę może dać im do wiwatu?

- Nie - zgodził się Benjamin. - Nie ma na to najmniejszej szansy.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Obaj myśleli o tym samym: jak nagła odmiana losu może położyć kres wszystkim planom Równania.

- Dobrze - powiedział w końcu Albrecht. - To nie jest niczyja wina. Albo inaczej, jeśli już ktoś jest temu winien, to tylko ja. Ty i Collin przekazaliście mi najlepsze z możliwych oceny tego, co naprawdę zaszło w Green Pines, i zgodziłem się z wami. To, że Cachat i Zilwicki nie wypłynęli wcześniej, zdawało się je potwierdzać. Skoro zaś w żadnym z naszych wewnętrznych raportów nie pojawiło się nazwisko Simoesa, w

każdym razie nie przypominam sobie tego, jak rozumiem, nasi śledczy uznali, że zginął w eksplozji.

- Tak - odparł Benjamin, krzywiąc się niemiłosiernie. - Nagrania z Centrum Gamma, które w „tajemniczy” sposób przetrwały cyberatak McBryde’a, pokazywały Simoesa na miejscu tuż przed wybuchem. - Westchnął. - Jakoś nie zastanowiło nas, dlaczego te nagrania ocalały, chociaż wiele innych uległo kasacji.

- Nie was jednych - zaznaczył zdecydowanym tonem Albrecht. - Gładko go wyprowadzili i trudno było nie założyć, że po prostu wyparował. Bóg jeden wie, z iloma innymi. - Potrząsnął głową. - I nadal uważam, że dobrze zrobiliśmy, Wykorzystując całe wydarzenie dla zdyskredytowania Manticore w oczach Ligi. Ale cóż, jak to mawiają, niewiedza nie boli tak bardzo jak fałszywa wiedza. W tym przypadku prawdziwe jak diabli.

- Chyba mamy w tej kwestii podobne zdanie, ojczec.

Znowu zapadła cisza, przzerwana ostatecznie przez Albrechta.

- Cóż, to jeszcze nie koniec świata. Przynajmniej przyspieszyliśmy operację Houdini.

- Ale daleko z nią nie zaszliśmy - przypomniał Benjamin. - I nie zajdziemy, jeśli Manticore i Imperium Andermańskie się do nas dobiorą. A jeśli jeszcze solarni uwierzą w ich historię, to będziemy mieli naprawdę mało czasu na działanie.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem - mruknął Albrecht, jednak po chwili uniósł rękę w geście przeprosin. - Wybacz, Ben. Wyżywanie się na tobie to kiepski pomysł. Oczywiście masz rację. Tyle że nie mamy żadnego planu, jak sobie poradzić z czymś takim - dodał i zaśmiał się gorzko. - Różności chodziły nam po głowie, ale taka katastrofa... Wiesz, o czym mówię.

Benjamin pokiwał głową, a Albrecht przechylił się do tyłu wraz z fotelem i zabębnił palcami na podłokietnikach.

- Chyba musimy przyjąć, że McBryde i Simoes nas zdekonspirowali. Całkowicie lub prawie, a na pewno na wszystkich polach, do których mieli dostęp - powiedział po dłuższej chwili. - Osobiście wątpię, by tak dokładnie było, ale nie zamierzam przesadzać z optymizmem. Chociaż owszem, jesteśmy na tyle rozdrobnieni, że McBryde o pewnych rzeczach po prostu nie mógł wiedzieć. Skoro zaś Simoes pracował w Centrum Gamma, nie miał żadnego pojęcia o działalności operacyjnej. Przed realizacją Oyster Bay nikt nie został tam wtajemniczony w plan Houdini. Zatem jeśli Cachat i Zilwicki nie potrafią czytać w myślach, ta część jest nadal bezpieczna.

- Zapewne - zgodził się Benjamin.

- Ale i tak będziemy zmuszeni jeszcze przyspieszyć jego realizację. Gorzej, że musimy zmieścić się z nim w bardzo niewielkim przedziale czasowym. Tego nie braliśmy pod uwagę. Trzeba pomyśleć, jak zamaskować tyle zniknięć i wypadków, by nikt nie zwrócił uwagi na ich nadzwyczajne nagromadzenie. Roboty od zajebania - rzucił ze złością i dał sobie kilka sekund na ochłonięcie. - Trzeba będzie ograniczyć liczbę wypadków komunikacyjnych, ale część ofiar da się pewnie przypisać do ogólnego bilansu Green Pines. Nie tych eksponowanych, ale spora część drugoplanowych postaci rzeczywiście tam mieszkała. Jeśli nie mają rodziny ani żadnych bliskich przyjaciół, będzie można dopisać ich do listy.

- Zajmiemy się tym z Collinem, gdy tylko tu dotrze - powiedział Benjamin. - Ale masz rację, że możliwości manewru będziemy mieli mniejsze. Wiele ofiar zostawi bliskich, a jeśli zaczniemy nagle rozszerzać operację...

- Racja. Przyjrzyj się temu dokładnie. Każdy nowy sposób załatwienia sprawy będzie na wagę złota. Co do reszty, będziemy musieli po prostu wykazać więcej inicjatywy.

Zakołysał się wraz z fotelem i nagle się uśmiechnął, jakby naprawdę coś go rozbawiło.

- Co? - spytał Benjamin.

- Chyba pora wykorzystać znowu Balet.

- Nie nadążam.

- W sumie nie jest ważne, co i kogo Manticore podsunie mediom - odparł Albrecht. - Dopóki nie zdobędą Mesy i nie zaprezentują twardych dowodów, większość ludzi w Lidze Solarnej będzie miała to za stek kłamstw. Tym bardziej jeśli pojawi się wzmianka o Balecie. Bóg mi świadkiem, ile czasu, potu i pieniędzy poświęciliśmy, by przekonać Ligę, że to banda maniakałnych morderców! Bardzo nam zresztą pomogli, będąc maniakałnymi mordercami. A teraz, po pojawieniu się tylu pogłosek o rozwijanym przez setki lat mesańskim spisku, nadeszła pora, by mściciele wkroczyli o akcji. Oczywiście wszystkie te pogłoski okażą się całkowicie fałszywe, w najlepszym zaś razie przesadzone, toteż cała odpowiedzialność za zbrodniczą reakcję Baletu spadnie na Manticore. Chociaż oczywiście nikt nie wskaże winnego palcem. Tyle że trzeba będzie zadbać o dobrze zaplanować luki w naszym systemie bezpieczeństwa.

Benjamin wpatrywał się chwilę w ojca, a w końcu się uśmiechnął.

- Myślisz, że uda się go rozszczelnić na tyle, by położyli swoje brudne łapy na paru ładunkach nuklearnych?

- Z naszego dochodzenia wynika jasno, że ten sam drań który działał z Zilwickim i Cachatem, dostarczył też ładunek, który eksplodował w parku - stwierdził Albrecht. - Cachatowi i Zilwickiemu zależy zapewne

na przekonaniu opinii publicznej, że oni nie przywieźli na Mesę żadnych ładunków, naszej wersji więc raczej nie podważą. Zatem tak, sędzę, że to możliwe. Najpewniej znajdzie się jakiś głęboko zakonspirowany fanatyk, który podburzony jadowitymi kłamstwami Manticore dokona zamachu terrorystycznego. Na nas i z użyciem ładunku nuklearnego. A skoro tak, to logicznym celem, o ile oczywiście patologiczni mordercy bywają logiczni, powinni stać się dla niego przedstawiciele klasy wyższej społeczeństwa Mesy.

- Może zadziałać - powiedział w zamyśleniu Benjamin. - Ale jeśli to zrobimy, wzrosną straty uboczne. Plan Houdini nie brał czegoś takiego pod uwagę.

- Wiem, że nie - odparł Albrecht. - I też mi się to nie podoba. Nie spodoba się też wielu ludziom objętym Houdinim. Ale mimo wszystko nie mamy chyba innego wyboru, jak przyjrzeć się dokładnie tej opcji. Nie możemy sobie pozwolić na zostawianie śladów, które Bóg jeden wie kogo do nas doprowadzą. McBryde pracował, gdzie pracował, musiał więc sporo wiedzieć o naszych badaniach militarnych, ale nie został dopuszczony do niczego związanego z Dariusem, nie miał też dostępu, przynajmniej oficjalnie, do nikogo związanego z układem Mannerheim czy planem Renesans. O tym drugim mógł coś słyszeć i na pewno się domyślił, że dysponujemy czymś w rodzaju stacji Darius. W Manticore też pewnie rozumieją, że nie bylibyśmy w stanie przeprowadzić operacji Blue Oyster bez takiego zaplecza, i wszyscy skłonni uwierzyć w ich wersję uwierzą też, że Równanie ma jakąś tajną kryjówkę. Nie możemy ujawnić niczego, co potwierdzałoby te domysły. Nawet kosztem dalszych „strat ubocznych”. Jeśli trzeba będzie coś poświęcić, to trudno.

Benjamin przytaknął, chociaż minę miał dość nieszczęśliwą.

- Dobrze zatem - powiedział Albrecht. - Na gorąco to będzie chyba tyle. Pomyślę jeszcze nad tym, gdy trochę ochłonę. Lepiej będzie nie palnąć czegoś głupiego. Owszem, nie mamy wiele czasu, ale jeśli wpadniemy w panikę, pogorszymy tylko sytuację. Nie podejmiemy więc żadnej konkretnej decyzji, dopóki nie przeprowadzimy dokładnej analizy sytuacji. Wspomniałeś, że Collin jest już w drodze?

- Tak.

- Gdy tylko się zjawi, usiądziemy we trzech i podsumujemy wszystko, co wiemy. Punkt po punkcie. Domyślam się, że jak zwykle przygotowałeś już wstępną rozpiskę?

- Pomyślałem, że może ci się przydać - odparł Benjamin, sięgając do kieszeni po mikroczip.

- Jeden z plusów posiadania kompetentnych podwładnych - rzekł Albrecht niemal normalnym tonem. - W takim razie zaczniemy od razu - dodał, włączając kompa i wyciągając rękę w kierunku syna.

Rozdział XVIII

- Witam na pokładzie, Chien-lu. Miło znowu cię widzieć.

- I ja witam, Honor - powiedział Chien-lu Anderman, herzog von Rabenstrange, i uściśnął podaną dłoń.

Andermański admirał, który był przypadkowo również kuzynem Gustawa, nie należał do mężczyzn wysokich. Przypominał pod tym względem Jacques'a, wuja Honor, i tak samo jak on miał ciemne oczy w kształcie migdałów. Teraz spoglądał nimi ciepło na Honor, jakby bardzo ucieszył go widok gospodyni, jednak nie zawsze byli w tak dobrych relacjach jak teraz, podczas spotkania w kabinie admiralskiej HMS *Imperator*.

- Bardzo się cieszę, że tak szybko dali radę cię ściągnąć - powiedziała Honor.

Jednostka kurierska potrzebowała sześciu dni, by korzystając z terminalu Gregor, dotrzeć z Manticore do układu New Potsdam. Skoro Rabenstrange zjawił się już teraz, ledwo dzień po przybyciu Benjamina Mayhew, musiał wylecieć w ciągu dwudziestu czterech godzin od audiencji wysłannika królowej Elżbiety u imperatora Gustawa.

- Nie będę udawał, że podróż w ciasnej, a na dodatek plebejskiej jednostce kurierskiej to największe marzenie szlachetnie urodzonego, ale w pośpiechu sprawdza się jak znalazł - odparł z uśmiechem Rabenstrange. - Chociaż obawiam się, że niektórzy bywają jeszcze szybsi - dodał już bez uśmiechu. - O ile te rewelacje na temat napędu strumieniowego to prawda...

Wprawdzie nie zadał żadnego pytania, ale Honor bez trudu wyczuła jego intencje.

- Wszystko, co wiem, to że Nimitz i inne treecaty zgodnie potwierdzają szczerą Simoesa. Admirał Hemphill i jej ludzie zapoznali się już z pełnym raportem i mówią, że to ma sens. Nasz wywiad zaś skłonny jest uznać, że on w ogóle przekazuje nam prawdę i tylko prawdę.

Rabenstrange spojrział jej w oczy i pokiwał głową. Honor wyczuła w jego emocjach nutę satysfakcji. Mogła się mylić oczywiście, ale chyba chodziło o więcej niż tylko jedną kwestię.

- To właśnie miałem nadzieję usłyszeć - powiedział po chwili.

- Że mówi prawdę czy że ja ci powiem, że on mówi prawdę, jak na lojalnego oficera królowej przystało? - spytała z przekornym uśmiechem.

- Że dowiem się, że osobiście w to wierzysz... I że sama wiesz, co z tego da się w ogóle zweryfikować.

Honor uniosła lekko brwi, słysząc tak niezwykłą w świecie dyplomacji bezpośredniość, on zaś zaśmiał się krótko.

- Rzecz w tym, że ty nie umiesz kłamać - rzekł. - Tylko ktoś nadzwyczaj tępy mógłby dojść do innego wniosku, a Elżbieta na pewno tępa nie jest. Jestem pewien, że dobrze cię zna i dlatego właśnie chciała, bym najpierw spotkał się z tobą.

- Dlaczego wszyscy ciągle wypominają mi ten brak? - pożaliła się Honor. - Owszem, nie mam tyle praktyki co byle zawodowy dyplomata czy sprzedawca używanych ślizgaczy, ale...

- Trudno być dobrym we wszystkim - przerwał jej Rabenstrange z ujmującym uśmiechem. - Mając całe dni zajęte rozwalaniem flot

przeciwnika, trudno jest pracować równocześnie nad dwulicowością i ćwiczyć zakłamanie. - Poklepał ją po ręce. - Nie przejmuj się tak.

- Spróbuję to zapamiętać - odparła również uśmiechnięta Honor.

- I bardzo dobrze.

- Nadal chciałabym usłyszeć, jaki cel miała twoim zdaniem Elżbieta, wysyłając cię najpierw do mnie.

- To bardzo proste. Chce, bym się upewnił, że ona i Pritchard przekazały imperatorowi prawdę, zanim jeszcze usiądę z wami do stołu, by przedyskutować sprawę szczegółowo. I żebym nie marnował już wtedy czasu na zastanawianie się, na ile szczerze wyłożyła mi powody wystosowania tego zaproszenia.

- Rozumiem.

Honor zastanawiała się przez chwilę. Elżbieta nie wyjaśniła jej dokładnie, skąd taki pomysł. Owszem, wspomniała o dobrych kontaktach zawodowych, które Honor i Rabenstrange rozwinęli przez lata, ale faktycznie to chyba nie było wszystko. Wspomniawszy tamtą rozmowę i stan emocji królowej, pani admirał była skłonna przyznać gościowi rację.

- Jeśli się nie mylisz i tak właśnie było, chyba powinniśmy przejść do innych jeszcze spraw poruszonych przez Simoesa i McBryde'a. Najpierw jednak usiądźmy - powiedziała, wskazując wygodne fotele ustawione pod przeciwległą ścianą.

Rabenstrange przyjął zaproszenie i ruszył w ślad za gospodynią, a za nim jeszcze dwie osoby: major Shiang Schenk i kapitan Spencer Hawke. Pierwszy z nich nosił na mundurze błyskawicę charakterystyczną dla elitarnego regimentu huzarów Totenkopf. Oficjalnie zajmował stanowisko starszego adiutanta, ale była to fikcja. Formacja Totenkopf z założenia odpowiadała za bezpieczeństwo

członków dynastii Andermanów, Schenk i Hawke nie mieli więc wyjścia i musieli wypracować relację opartą na wzajemnym profesjonalnym szacunku i zaufaniu. Żaden z nich nie był szczęśliwy, widząc przy swoich podopiecznych jeszcze kogoś noszącego nieustannie broń, ale sytuacja była zaiste patowa, skoro obaj chronili osoby, które zgodnie z prawem nie mogły ani na chwilę pozostawać bez czujnej opieki.

Bywały przypadki, gdy ten wymóg stawał się źródłem kłopotów, niemniej gdyby nie szczególna przyjaźń łącząca Honor i Rabenstrange, byłoby jeszcze gorzej. Zgodnie z panującą w Imperium Andermańskim zasadą nikt, poza ochroną, nie miał prawa nosić broni w obecności kogokolwiek należącego do dynastii, jednak imperator Gustaw udzielił Honor specjalnej dyspensy. Podstawowym powodem był pulser zamontowany w sztucznej dłoni Harrington, którego nie dawało się wymontowywać wedle życzenia przed każdym spotkaniem, ale był to też wyraz szczególnego zaufania. Honor zastanawiała się czasem, jak bardzo musiał napracować się Rabenstrange nad imperatorem, nim obsesyjnie podejrzliwy władca się na to zgodził.

Przypuszczała, że mogło mieć to też wpływ na szybkie podjęcie rozmów w obecnej sytuacji.

Gdy Rabenstrange zasiadł w fotelu, Honor zajęła miejsce naprzeciwko, a leżący dotąd na swym legowisku Nimitz zeskoczył z niego i podszedł do gościa. Najpierw przyglądał mu się przez chwilę, przekrzywiając w zamyśleniu głowę, a potem wskoczył herzogowi na kolana. Gdy ten się zaśmiał, podał mu dłoń w geście powitania.

- Miło cię widzieć, Nimitz - powiedział Rabenstrange, ściskając podaną łapę. Znali się naprawdę od dawna i treecat nie miał żadnych skrupułów, układając się następnie szlachetnie urodzonemu na

kolanach. - Wiesz, że ja wiem, że próbujecie mnie zmiękczyć? - spytał, spoglądając z uśmiechem na Honor.

- To raczej jego pomysł niż mój - zaprotestowała Harrington. - Chociaż poza tym masz rację. On potrafi manipulować dwunogami tak samo sprawnie jak wszystkie koty wszechświata. A może nawet lepiej.

- O tak, z pewnością - zgodził się Rabenstrange i skinął głową Jamesowi MacGuinnessowi, który pojawił się właśnie w progu. - Jak zawsze w porę, panie MacGuinness!

- Milordzie - odparł MacGuinness z lekkim ukłonem. - Czy coś do picia dla pana i milady?

- Gdybym mógł dostać choć trochę twojej kawy, byłbym wniebowzięty. Mamy wiele dobrego na New Potsdam, ale z kawą, niestety, nie jest u nas najlepiej.

- Oczywiście, milordzie - odparł MacGuinness, opanowawszy uśmiech, i spojrzał na Honor. - A dla pani, milady?

- Bardzo się cieszę, że herzog gotów jest skosztować twojej kawy, ale ja po staremu. Old tillmana poproszę.

- Oczywiście - mruknął MacGuinness i zniknął z kabiny.

- Chyba aż za dobrze znasz i mnie, i moją menażerię - powiedziała z śmiechem Honor.

- To zaczyna być niepokojące.

- Może i tak - odparł rozbawiony herzog, ale zaraz spoważniał. - Może i tak - powtórzył ciszej. - Nie miałem ci jeszcze okazji powiedzieć, jak bardzo przykro jest mi z powodu pułkownika LaFolleta. Wiem, że był dla ciebie kimś bardzo bliskim.

- Dziękuję - powiedziała Honor i musiała odchrząknąć. - Dziękuję - powtórzyła - ale nie ja jedna straciłam bliskich.

- Wiem. Tym bardziej jest to istotne, zwłaszcza z perspektywy mojego kuzyna.

- Niewątpliwie - zgodziła się Honor. - Niemniej obawiam się, że w tej akurat kwestii nie mam dla ciebie uspokajających wieści.

- Tak właśnie sądziliśmy. - Von Rabenstrange potrząsnął głową. - Oczywiście nie zdążyliśmy z Jego Wysokością przestudiować gruntownie dostarczonych nam przez Elżbietę materiałów. Musiałem zbierać się na pokład tej godnej pożałowania jednostki międzygwiazdnej. Podczas podróży miałem jednak czas na refleksję. Wydaje mi się, że w tej chwili jakakolwiek uspokajająca sugestia byłaby rodzajem samooszukiwania się. Co sprawia, że sytuacja staje się co najmniej delikatna.

- Królowa Elżbieta i prezydent Pritchard upoważniły mnie do przekazania ci, że jeśli chcesz osobiście porozmawiać z doktorem Simoesem, nie ma po temu żadnych przeszkód. Możesz też dobrać sobie własnego eksperta z wywiadu. Ponadto jesteśmy gotowi zapewnić obecność treecata, dzięki któremu będziesz wiedział, czy Simoes odpowiada szczerze na konkretne pytania. - Honor wzruszyła ramionami. - Wiemy, że to będzie nasz treecat, ale to mniej ryzykowne niż wykrywacz kłamstw, który mógłby uruchomić procedurę autodestrukcji. Nie wiemy, czy Simoes nie został w ten sposób uwarunkowany.

- Co wyjaśnia, dlaczego nie stosujecie środków farmaceutycznych przy jego przesłuchaniach - zauważył Rabenstrange.

- Właśnie - odparła Honor z westchnieniem. - Niestety, on jest naszym jedynym źródłem wiedzy na temat Równania. Podchodzimy do niego w jedwabnych rękawiczkach, bo nie możemy go stracić.

- Całkiem zrozumiałe.

MacGuinness wrócił z filiżanką kawy i oszronionym kuflem piwa, do których przyniósł półmisek serów, owoców i selera. Rabenstrange podziękował uprzejmie i odczekał w milczeniu, aż steward wyjdzie z kabiny.

- Rozumiem ograniczenia, które napotykacie - powiedział zaraz potem. - A skoro tak, chyba nie będę skłonny skorzystać ze wspianałomyślniej propozycji królowej i pani prezydent. Owszem, moi ludzie z wywiadu chcieliby zapoznać się z zapisem dotychczasowych przesłuchań i byłbym wdzięczny za stworzenie im tej możliwości, ale powstrzymajmy się od wszystkiego, co nie jest absolutnie konieczne, a mogłoby tylko zaszkodzić.

- Na pewno to docenią - powiedziała Honor.

- Mówiąc wprost, nie powie mi raczej niczego, czego nie mógłbym znaleźć w zapisach przesłuchań - zachnął się Rabenstrange. - Rozumiem, że chcecie zademonstrować waszą otwartość, ale po co miałyby raz jeszcze to powtarzać? Bardziej nikogo przez to nie przekona.

Honor pokiwała głową, Rabenstrange zaś upił łyk kawy i przez kilka chwil jego spojrzenie błędziło gdzieś w przestrzeni. Potem wzdrygnął się i ponownie obrócił głowę do Honor.

- Niemniej w tej sytuacji i przy rezerwie, którą wyraziłaś, czy wierzysz w twierdzenia McBryde'a?

- Czy ja wierzę?

- Honor, proszę! - Rabenstrange pogroził jej palcem. - Miałaś więcej czasu na myślenie o tym wszystkim niż ja miałaś też dostęp nie tylko do Simoesa, ale i Zilwickiego, i Cachata. No i był ten incydent na pokładzie twojego okrętu. Tego właśnie okrętu. - Palec opadł i skierował się w stronę pokładu, a na twarzy herzoga odmalowało się zatroskanie. - Wiem, że porucznik Mears był twoim bliskim współpracownikiem i

jego śmierć, zwłaszcza taka śmierć, musiała cię bardzo zboleć. Uwierz, że księżę Huang też mocno przeżył odejście swojego młodszego syna i pułkownika Hofschultego. Z tej przyczyny i on, i ja patrzymy na to w szczególny sposób.

Honor zacisnęła wargi, ale pokiwała głową ze zrozumieniem. Upiła old tillmana i spojrzała znowu na gościa.

- Wszystko, co mogę powiedzieć, to że Zilwicky i Cachat dają wiarę większości słów McBryde'a. Zwłaszcza w kwestii nanotechnologii pozwalających przerabiać zwykłych ludzi w nieświadomych niczego zabójców. McBryde też miał to za prawdę, nawet doktor Simoes jest podobnego zdania, chociaż nie wiedział nic o tajnych operacjach Równania. W ten sposób potwierdza jednak wiarygodność McBryde'a, który był chyba jego jedynym przyjacielem w chwili, gdy obaj zdecydowali się na ucieczkę. Nimitz też tak uważa. Nie przypuszczam, aby McBryde manipulował Simoesem, karmiąc go fałszywymi informacjami, chociaż wykluczyć tego nie mogę.

Przerwała, obserwując uważnie Rabenstrange'a i jego emocje. Był wyraźnie zadowolony, że rozmówczynie stara się okazać, że jest z nim maksymalnie szczerą.

- Oczywiście bardzo żałujemy, że McBryde nie wy dostał się razem z Simoesem. Takie budowanie obrazu z urywków informacji bywa bardziej frustrujące niż całkowita niewiedza. Niemniej, na ile udało nam się to sprawdzić, Simoes mu wierzył, jego opis działania tego świństwa zaś pasuje dokładnie do tego, co sama widziałam w przypadku porucznika Mearsa.

- Pasuje? - spytał cicho herzog.

- McBryde był pracownikiem służb bezpieczeństwa, nie agentem - odparła rzeczowo Honor. - Nie potrafił wyjaśnić zasady działania

nanotechnologii, albo przynajmniej wtedy tak twierdził. Podejrzewamy, że coś jednak na ten temat wiedział, ale trzymał w zanadrzu jako atut do wykorzystania w przyszłości. Coś mającego dodatkowo zmotywować Zilwickiego i Cachata do zorganizowania ucieczki. W tych okolicznościach chyba trudno byłoby go za to winić. Niemniej z tego, co powiedział, wynikało, że Równanie rozwinęło zupełnie nowatorski typ nanotechnologii bazujących na specjalnie zaprojektowanych i wąsko wyspecjalizowanych wirusach. Dla mnie to świadectwo szaleństwa, ale może to krew Beowulfa przeze mnie przemawia. Oni doszli najwyraźniej do przekonania, że są w stanie nad swoim wynalazkiem zapanować i dadzą radę zapobiegać mutacjom. Mam cichą nadzieję, że w tym akurat się nie mylą.

Rabenstrange przytaknął z powagą.

- McBryde powiedział, że ich badania nad nanotechnologiami zostały zainicjowane tylko w jednym celu. Widziałam nagrania na ten temat, które dostarczył Zilwickiemu, i dopilnuję, byś dostał kopię. Najpierw trzeba zdobyć próbkę materiału genetycznego ofiary, potem wbudować w nią wirusa. Jeśli McBryde ma rację, jest to zapewne powód tego, że żadne badania post mortem niczego nie wykryły. Wirus rozkłada się niemal zaraz po wypełnieniu zadania przez ofiarę, a jego składowe to normalne związki organiczne, tworzące także ludzkie ciało. McBryde nie wiedział, jak dokładnie przebiega programowanie wirusa, ale wnioskujemy, że chodzi o proces podobny do utrwalania pamięci mięśniowej.

- Słucham?

- Utrwalanie pamięci mięśniowej - powtórzyła Honor. - Wywiad Marynarki konsultował to z moim ojcem jako jednym z naszych najlepszych neurochirurgów. - Nie dodała, że wybór miał związek także

z wielką tajnością sprawy i faktem, że Alfred Harrington z góry został uznany za kogoś zaufanego. Ale nie musiała tego dodawać. - Rozmawiałam z nim potem i chociaż odniósł się do sprawy bardzo krytycznie, stwierdził, że teoretycznie jest to całkiem możliwe. Jego zdaniem na podobnej trochę zasadzie funkcjonuje moja ręka.

Uniosła lewą dłoń i poruszyła palcami.

- Gdy uczyłam się jej używać, musiałam na nowo wyćwiczyć moją pamięć mięśniową w związku z odmienną siecią połączeń neuronalnych. Odmienną oczywiście od tej, która była potrzebna do sterowania naturalną dłonią. Jeśli mój ojciec ma rację, oni po prostu... „szkolą”, powiedzmy, wirusa, zgrywając go z nosicielem, w podobny sposób, jak ja musiałam przeszkolić moją protezę i mój mózg, by nauczyć je współpracy. Zapewne nie są w stanie zawrzeć w tej nauce wiele informacji, stąd też aktywność wirusa ogranicza się do polecenia prostych i mało zróżnicowanych czynności. Nie znaczy to, że w ostatecznym przejawie nie mogą one być złożone, ale sama liczba kombinacji, i tym samym typów aktywności, będzie raczej ograniczona ze względu na małą pojemność nośnika pamięci. Oglądałam nagrania przedstawiające ten zamach na mostku, kiedy zginął Tim...

Jej głos stał się nagle wyprany z emocji, niemal sterylne jako przekaźnik informacji. Przerwała na chwilę, nim znowu podjęła opowieść:

- Widziałam te nagrania i widać na nich, że od chwili, gdy to coś przejęło nad Simonem kontrolę, nie zrobił dokładnie nic poza wyciągnięciem pulsera i otwarciem ognia. Stał tylko w jednym miejscu z palcem zaciśniętym na spuście i strzelał. Na nagraniach kamer bezpieczeństwa, które uchwyciły scenę zamachu na admirała Webstera, mamy dokładnie to samo zachowanie. Szofer ambasadora Republiki

Haven wyciąga broń i otwiera ogień, trafiając jeszcze trzech ludzi, poza admirałem, po czym sam zostaje zastrzelony. Nie próbował uciekać, kryć się czy ostrzeliwać. Nie widzieliśmy sceny zamachu na pułkownika Hofschultego, zatem nie wiemy, czy było podobnie, ale w tamtych dwóch przypadkach chodziło na pewno o ten sam wzorzec działania. I tutaj, wracając do opinii mojego ojca, trzeba wspomnieć o jeszcze jednym składniku systemu, który najpewniej musi tam być obecny. Chodzi o coś w rodzaju organicznej sztucznej inteligencji. Mój ojciec skłonny jest przypuszczać, że zostaje ona ulokowana w jakimś zakątku mózgu ofiary, chociaż nie ma tego za warunek konieczny. Ważne, aby miała dostęp do centralnego układu nerwowego. Jej zadaniem jest zapewne wychwycenie oczekiwanej sekwencji bodźców, które stają się sygnałem do uruchomienia procesu zapisanego w pamięci mięśniowej. Oczywiście ta sekwencja bodźców musi być dość prosta.

Rabenstrange pokiwał głową. Nadzieje dawnych cybernetyków, marzących o skonstruowaniu sztucznej inteligencji, okazały się płonne. Poczyniono olbrzymie postępy w tworzeniu „genialnych programów” zdolnych naśladować inteligencję, dlatego nadal używano tego terminu, jednak żaden z nich nie potrafił wyjść w sposób istotny poza obszar parametrów przewidzianych przez programistę. Skonstruowanie algorytmu, pozwalającego takiemu programowi brać udział w zwykłych i codziennych ludzkich interakcjach, było zadaniem zbyt złożonym. Można było stworzyć co najwyżej program obsługujący konkretne i dość wąskie obszary, zwłaszcza przy wzmocnieniu modułu samouczącego się, dzięki czemu istniały SI obsługujące całkiem skutecznie punkty informacyjne czy taksówki, które sprawdzały się jednak tylko w tym obszarze kompetencyjnym, dla którego zostały pomyślane. Poza nim były jednak z reguły bezradne. A jeśli doktor

Harrington miał rację, w tej konkretnej sytuacji sztuczna inteligencja nie była w stanie zadać nawet żadnego „wyjaśniającego” pytania przed uruchomieniem zaprogramowanych czynności.

- Tak czy inaczej, ta SI reaguje zapewne na konkretny zestaw bodźców. Musi on być starannie dobrany, by nie doszło do uruchomienia programu przypadkiem, co mogłoby spowodować całą serię dziwnych incydentów. Wtedy ktoś mógłby zacząć coś podejrzewać, wolą więc chyba dmuchać na zimne, nawet gdyby oznaczało to trudności ze zmuszeniem obiektu do działania. Jednak gdy już do tego dojdzie, owo działanie ogranicza się do instrukcji zapisanej w pamięci wirusa. Nie można więc najpewniej nikogo nakłonić, by wprowadził kod zapisany w jego własnej pamięci. Po prostu wirus nie ma do tej pamięci dostępu, podobnie jak nie ma dostępu do świadomości, nie nakłoni więc też nikogo do wygłaszania kłamstw czy wymyślenia własnego planu zamachu lub aktu sabotażu. Tata przypuszcza że teoretycznie byłoby to możliwe, gdyby ktoś zapisał w tej pamięci potrzebne kłamstwa, chociaż obiekt raczej nie byłby zdolny wypowiedzieć ich przekonująco. Jego zachowanie też trzeba by więc z góry zakodować. Niemniej nie byłoby to nic w rodzaju hipnozy czy uwarunkowania. Ofiara po prostu nie uczyni wtedy nic, czego nie ma w pamięci wirusa, nie wykaże ani cienia inicjatywy, by lepiej wypełniać jego instrukcje. A w tych nie da się przecież zawrzeć wszystkiego, nie da się z dużym wyprzedzeniem aż tyle przewidzieć.

- Niemniej gdyby programista znał ten kod i wprowadził go do pamięci wirusa, wtedy „obiekt” będzie mógł go użyć? - spytał Rabenstrange, mrużąc oczy.

- Zapewne. Wydaje się to możliwe. Zasadniczo wciąż błądzimy w ciemności, Chien-lu. Wprawdzie rzeczywiście mieliśmy więcej czasu na

myślenie i trochę kompletniejszy zestaw informacji, ale bez konkretów, których McBryde nie znał albo nie zdążył nam przekazać, skazani jesteśmy na spekulacje.

- Rozumiem. - Herzog oparł się w fotelu i pogłaskał Nimitza po grzbiecie. -Rozumiem, ale to rodzi więcej pytań niż odpowiedzi.

- Można tak powiedzieć - zgodziła się ze smutnym uśmiechem Honor. - Z drugiej strony sędzę, że mój tata mógł trafić na właściwy trop. Gdyby oni naprawdę potrafili sterować czymś umysłem, nie potrzebowaliby zabójców. Zaprogramowaliby osobistości na kluczowych stanowiskach na podejmowanie decyzji zgodnie z życzeniem Równania i już. Albo poszukaliby w załodze *Imperatora* kogoś mającego dostęp do generatora nadprzestrzennego, reaktora czy innego z wielu krytycznych systemów, których awaria zniszczyłaby cały okręt, nie tylko mnie. Niemniej przeprowadzenie czegoś takiego wymagałoby znajomości wielu procedur, których programista nie mógł dokładnie odtworzyć ani zapewne wbudować w pamięć mięśniową.

- Nie wiem jeszcze, co o tym myśleć, ale brzmi logicznie - powiedział Rabenstrange.

- Jedyne, co wiemy na pewno, to że treecaty potrafią wyczuć moment uaktywnienia programu - stwierdziła Honor. - I zgłosiły się z własnej inicjatywy, by pomóc „swoim dwunogom”. Nie wiem jednak, czy zdołamy namówić któregoś do przeprowadzki na New Potsdam. Dla każdego z nich oddzielenie od klanu jest bardzo trudnym doświadczeniem, o ile wcześniej nie związał się z konkretnym człowiekiem, i może doprowadzić do załamania nerwowego. Dlatego nie wiem, czy powinniśmy je o to prosić. Na pewno jednak będą mogły objąć ochroną, swoistym systemem wczesnego ostrzegania, andermańskiego ambasadora i wszystkich waszych oficerów

flagowych. Wszystkich przebywających w Gwiezdnym Imperium czy służących w naszej flocie.

- Rozumiem - powiedział Rabenstrange, patrząc na Nimitza i wciąż głaszcząc jego sierść. - Obawiam się jednak, że niektórzy z moich rodaków będą mieli z tym niejaki kłopot. Nie znają treecatów tak jak ja i pewnie nie od razu zrozumieją, dlaczego królowa Elżbieta nie może po prostu wysłać im tych „zwierzątek”. Z drugiej strony, Jego Wysokość pewnie zrozumie, w czym rzecz.

- Tak sądzisz?

- Jestem niemal pewien. Na tyle dużo rozmawiałem z nim o Nimitzu, by zdawał sobie sprawę z faktu, że treecaty to rozumne stworzenia. Niezależnie od arogancji, która ma u nas bogatą tradycję, świetnie wiemy, że nie zawsze da się przymusić wolnych obywateli innego państwa, by robili dokładnie to, czego chcemy.

- To mi ulżyło. Prawdę mówiąc, obawiałam się, że nasza „odmowa” wysłania treecatów do Imperium może zostać odczytana jako przejaw złej woli, próba szantażu czy inna jeszcze manipulacja.

- Och, możesz być pewna, że wielu tak to właśnie rozumie, zwłaszcza wśród naszej arystokracji! - rzucił Rabenstrange. - Ale Gustaw nie. Podobnie jak Huang, i prawdę mówiąc, tylko to jest ważne.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, w końcu herzog otrząsnął się i spojrzał na Honor.

- Czy mogę spytać, co dokładnie Elżbieta chce mi zaproponować? - Spojrzał na chronometr. - Do spotkania zostały dwie godziny i dwadzieścia siedem minut.

- Nie przypuszczam... - zaczęła Honor.

- Nie wygłupiaj się! Przecież nie uwierzę, że nie spytała cię najpierw o opinię. Taka nierozsądna nigdy nie bywa.

- Najpewniej nie - zgodziła się Honor.

- No to chyba możesz wyprzedzić trochę bieg zdarzeń i coś mi powiedzieć. Cokolwiek sam o tym pomyślę, oczywiście i tak przedstawię rzecz Gustawowi, ale chyba nic się nie stanie, jeśli będę miał trochę więcej czasu do namysłu?

Honor mogłaby przedstawić przynajmniej kilka scenariuszy, w których takie postępowanie byłoby szkodliwe dla Imperium Manticore, ale ostatecznie wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że zasadniczo będzie chodzić o propozycję, by Imperium Andermańskie pozostało neutralne w naszym konflikcie z Ligą Solarną. Mając wsparcie Republiki Haven, nie będziemy potrzebować waszej floty, by poradzić sobie z Filaretą, gdy już tu przyleci. Zapewne nie będzie nam potrzebna nawet w przypadku eskalacji i pełnowymiarowej wojny z Ligą. Przynajmniej dopóki nie będą dysponowali równorzędnym sprzętem i uzbrojeniem.

- Zapewne masz rację, ale na New Potsdam wielu uzna to za kolejną makiaweliczną kombinację Manticore. Przyłączenie się Imperium Andermańskiego do Sojuszu byłoby kolejnym sygnałem dla Ligi, że ich polityka zmierza w niewłaściwym kierunku.

- Gdyby solarni byli zdolni do realistycznej oceny sytuacji, przede wszystkim nie wysłaliby Filarety. Nie ma sensu marnować logicznych argumentów na kogoś, kto postanowił ignorować każdą niewygodną dla niego prawdę. Możliwe, że tak myśląc, w ogóle nie odnotowaliby pojawienia się jeszcze jednego sojusznika. - Honor wzruszyła ramionami. - Wychodząc z tego założenia, Elżbieta i Pritchard uznały, że lepiej będzie, gdy pozostaniecie poza sprawą. Oczywiście w jakiejś chwili mogą dojrzeć potrzebę waszego włączenia się, o ile Gustaw uzna to za właściwe, a Kołokolcow i jego mandaryni będą na ślepo parli

przed siebie. Sądzę jednak, że na razie chcą wam zostawić pewną swobodę manewru. Może nawet uważają, że przydatne będzie istnienie trzeciej siły, która może zająć się chwilowo czymś całkiem innym.

- Na przykład Mesą i Równaniem? - spytał wprost Rabenstrange.

- Bardzo wątpię, aby o tym nie pomyślały - zgodziła się Honor, szczerze i pozytywnie zaskoczona. - Chociaż z drugiej strony, Elżbieta na pewno wolałaby sama to załatwić, zwłaszcza po lutowym ataku. Może się jednak i tak zdarzyć, że będziemy zbyt zajęci Ligą Solarną. Wtedy faktycznie przydałaby się jakaś silna i nowoczesna flota z zasobnikami holowanymi i tak dalej, która byłaby w stanie posprzątać w tamtej okolicy. - Harrington pochyliła się, wzięła z półmiska kawałek sera i spojrzała z niewinną miną na herzoga. - Nie wiesz przypadkiem, gdzie można taką flotę znaleźć?

Rozdział XIX

Honor nigdy dotąd nie uczestniczyła w tak niezwykłym spotkaniu. Ogarniając rozległą salę spojrzeniem, pomyślała też, że jeszcze kilka miesięcy temu wizja podobnego zgromadzenia zostałaaby uznana za sen pijanego idioty.

U szczytu wielkiego stołu siedzieli po kolei: królowa Elżbieta, prezydent Pritchard, Benjamin Mayhew, Michael Mayhew, premier Grantville, minister spraw zagranicznych Langtry i sekretarz handlu Nesbitt, przy czym ten ostatni zastępował Leslie Montreau, która niechętnie, ale udała się na Haven, aby przedstawić Kongresowi projekt traktatu. Po jednym boku stołu zajęły miejsce kolejne ważne w tym dniu osoby: Honor, Hamish, admirał Judah Yanakov, sir Thomas Caparelli, admirał Pat Givens i admirał Sonja Hemphill. Naprzeciwko nich siedzieli Thomas Theisman, admirał Lester Tourville, Kevin Usher, wiceadmirał Linda Trenis i kontradmirał Victor Lewis. Na końcu stołu zaś, twarzami do Elżbiety, Benjamina i Pritchard, przewidziano miejsca dla dyrektora bez teki Fiedosieja Demianowicza Mikulina i dyrektora bez teki Jacques'a Bentona-Ramireza y Chou.

Podejrzana mogła być tylko nieobecność przedstawicieli Imperium Andermańskiego, ale i to zostało starannie zaplanowane. Chien-lu Anderman postanowił poprzeć sugestię Elżbiety i Pritchard. Imperium miało na razie pozostać neutralne. Z tego też powodu wszystkie andermańskie jednostki znajdujące się w składzie Ósmej Floty zostały przebazowane do Trevor Star, a na sali zabrakło nawet obserwatorów imperatora.

Jakby dla kontrastu, nie brakło tutaj treecatów. Nimitz, Samantha i Ariel i tak byliby obecni, jednak futrzaste istoty siedziały także na oparciach foteli Benjamina, Pritchart, Theismana, Tourville'a, Caparellego, Grantville'a i Jacques'a, wuja Honor. Było też już pewne, że wszyscy obecni przy stole dostaną niebawem własnych ogoniastych ochroniarzy.

Większość obywateli Republiki Haven czuła się z tym jeszcze trochę niezręcznie i nie do końca wierzyła, że wpuszczenie takiej bandy futrzastych telepatów na tajną konferencję to naprawdę dobry pomysł. Nie dlatego, by podejrzewali je o szpiegowskie zapędy, ale po prostu nie przywykli jeszcze do ich obecności, chociaż większość nieraz spotykała Honor z Nimitzem, i to nawet w Nouveau Paris.

Ale to się zmieni, pomyślała Harrington i opanowała uśmiech, widząc minę siedzącego naprzeciwko niej Tourville'a.

On jeden z ekipy Haven znał trochę język migowy dzięki pobytowi w obozie jenieckim na Manticore. Nie umiał się nim posługiwać, co akurat nikogo nie dziwiło, bo nawet w Gwiezdnym Imperium mało który człowiek nim władał, rozumiał jednak trochę z tego, co pokazywał mu nowy ochroniarz, i był w ten sposób w znacznie lepszej sytuacji niż reszta jego ekipy. We współpracy pomagał też charakter jego treecata, podobnie nonszalanckiego z zachowania jak sam Tourville, w istocie jednak bystrego i czujnego.

W sumie wszystkie treecaty, począwszy od Ostrego Pazura Pritchart, na Górskiej Strudze Theismana skończywszy, były w widoczny sposób dopasowane temperamentami do swych podopiecznych.

Honor skłonna była przypuszczać, że kluczową rolę przy doborze odegrały śpiewające wspomnienia, posługujące się informacjami

uzyskanymi od Nimitza i Samantha. Wszyscy dotąd „zakoceni” spotkali bowiem kiedyś któregoś z tych żyjących wśród ludzi treecatów. Pytanie tylko, czy śpiewające wspomnienia same próbowały „zgrywać” pary, czy raczej upowszechniły profile znanych osób i czekały na zainteresowanych nimi ochotników.

Jakkolwiek było, dawało się wyczuć, że kotowate już teraz czuły się dobrze ze swoimi ludźmi. Nie była to nawet w przybliżeniu tak mocna więź jak ta istniejąca między Honor a Nimitzem, ale i tak mogła zapowiadać długą przyjaźń. Inna sprawa, że część treecatów była mocno sfrustrowana brakiem dwustronnej komunikacji z obywatelami Republiki Haven. Oni też cierpieli poniekąd z tego właśnie powodu, nie mając okazji dobitnie się przekonać, że przydzielone im stworzenia to naprawdę w pełni inteligentne istoty, a nie jakiś rzadki gatunek kota domowego.

Z czasem jednak mieli się nauczyć języka migowego, co powinno poskutkować nie tylko nawiązaniem kontaktu intelektualnego, ale i zdecydowaną poprawą emocjonalnej więzi z treecatami. Wtedy przestaną podchodzić do nich z rezerwą przy podobnych okazjach jak to spotkanie. Uznają w nich partnerów. Im szybciej to uczynią, tym lepiej.

Nimitz mruknął z aprobatą z oparcia fotela i Honor pogłaskała go w myślach, po czym spojrzała na obecne przy stole głowy stanu.

- Obawiam się więc, że ambasador Carmichael ma rację - mówił właśnie z powagą Langtry. - Gdyby Kołokolcow zamierzał odwołać Filaretę, już by to zrobił. A w tej chwili nie jest to najpewniej możliwe z przyczyn technicznych, chyba że wcześniej wysłano do niego kuriera. Nie jestem jednak skłonny wierzyć, by miało to miejsce. Tak że obecnie

nie może już zmienić zdania, nawet gdyby taka myśl przyszła mu jednak do głowy.

Obecni przy stole przytaknęli. Jeśli Filareta zamierzał trzymać się planu, powinien zjawić się w podwójnym układzie Manticore przed upływem dwudziestu czterech godzin.

- Zgadzam się z ministrem Langtrym - odezwał się Nesbitt. - Oni nie zamierzają go powstrzymać.

- Chyba stosowniej będzie powiedzieć, że nie są wzorami cnót wszelakich, panie premierze - odezwał się Benton-Ramirez y Chou. - Zwłaszcza gdy chodzi o kompetencje i głębię mądrości. Z drugiej strony, tak naprawdę nie wiemy, jakie rozkazy otrzymał Filareta. - Uniósł dłoń. - Owszem, znamy ogólne założenia operacji Sprawiedliwy Gniew, ale kto wie, co mogło być zawarte w szczegółach?

- Ma pan na myśli ewentualną instrukcję nakazującą przerwanie działań, gdyby się okazało, że możemy odstrzelić im dupę, panie dyrektorze? - spytał z uśmiechem Kevin Usher.

- Coś w tym rodzaju - zgodził się mieszkaniec Beowulfa i też się uśmiechnął. Wprawdzie on i Kevin spotkali się dopiero pierwszy raz, ale z miejsca poczuli do siebie sympatię. I chyba oni też najmniej przejmowali się katastroficznymi wizjami, które inni snuli w związku z pogłębiającym się konfliktem.

- Chyba wszyscy się zgadzamy, że istnienie takiego podpunktu byłoby świadectwem zdrowego rozsądku, że nie powiem dosadniej - zauważyła królowa. - A jak dotąd nie mieliśmy okazji do jego dostrzeżenia!

- Tak po prawdzie, to nie wiem, czy odwołanie Filarety leżałoby w tej chwili w naszym interesie - odezwał się nagle White Haven.

Obecni zamilkli na chwilę i niemal wszyscy spojrzeli na autora tych słów. Jedynym wyjątkiem była Honor, która rozmawiała już na ten temat z mężem oraz z Emily i chociaż nie do końca się z nimi zgadzała, była całkowicie za tym, co White Haven zamierzał zgłosić.

- Czy może pan rozwinąć tę myśl, milordzie? - spytała Eloise Pritchard.

- Oczywiście, pani prezydent. - White Haven rozejrzał się po zebranych. - Możliwe, że Filareta otrzymał instrukcję, że w razie braku szans na zwycięstwo ma się wycofać. Jest wysoce prawdopodobne, że uświadomiwszy sobie różnicę sił, sam podejmie taką decyzję. Jest niegłupim oficerem. Jeśli jednak po prostu zawróci i odleci, nie oddawszy ani jednego strzału, w jakiej sytuacji nas to postawi?

- Przede wszystkim ocali to życie tysiącom ludzi, których w przeciwnym razie czeka pewna śmierć - zauważył Mikulin. - I dowiedzie jednoznacznie przewagi technologicznej Manticore.

- Doprawdy? - spytał White Haven. - Dowiedzie, że ich broń nie może równać się z naszą?

- Chyba nie rozumiem - powiedział zmieszany Mikulin.

- To, o czym pan mówi, jest wiadome od czasu klęski Crandall - powiedział White Haven. - Każdy, kto ma trochę rozumu, dawno już to pojął, a mimo to mandaryni zdecydowali się wysłać przeciwko nam całą armadę. Najwyraźniej gotowi są ryzykować życie milionów ludzi tylko dlatego, że brak im odwagi, by przyznać się głośno, że mogli się mylić. Nazwa, którą nadali tej poronionej operacji, świadczy o tym wystarczająco dobitnie. Sprawiedliwy Gniew? - spytał szyderczo. - Jawna kpina, którą Liga Solarna ma odebrać na poważnie. I to jest dla nich najważniejsze, a nie fakt, że igrają z ogniem, bo kto inny ma zginąć w jego płomieniach.

Przerwał na chwilę i ponownie rozejrzał się wkoło.

- Co się więc stanie, jeśli wysłana z takimi fanfarami flota wróci, nie stoczywszy walki? Czy uznają nagle, że ich strategia była funta kłaków warta, i dadzą na mszę w podzięcie, że nie doszło do masakry? Czy przyznają głośno, że Filareta musiał się wycofać, ponieważ nie miał szans na zwycięstwo? Czy powiedzą prawdę, że wrócił tylko dlatego, że mu na to pozwoliliśmy? Nie, proszę państwa. Stwierdzą, że był to wyraz ich wielkiego opanowania, na które zdobyli się pomimo naszego głupiego uporu. Jako bezpośredni powód przedstawia chęć oszczędzenia naszych ludzi, którzy musieliby zapłacić krwią za arogancję i krótkowzroczność naszych imperialistycznych władz, nieskłonnych skapitulować nawet w obliczu pewnej klęski. Już teraz sprzedają swoje stanowisko opinii publicznej w bardzo podobny sposób. Powiedzą, że w swym miłosierdziu nie mogli zdobyć się na dokonanie rzezi i tylko dlatego odstąpili.

- To jest... - zaczął Grantville i przerwał na moment, patrząc z zastanowieniem na brata. - Przepraszam, Hamish, ale to byłoby zbyt grubymi nićmi szyte. Nawet tamtejsza opinia publiczna tego nie łyknie!

- Może - powiedziała z namysłem admirał Trenis. - Może i faktycznie. Ale to nie znaczy, panie premierze, że nie będą próbować. Jak powiedział właśnie earl White Haven, byłoby to dokładnie w duchu tej propagandy, którą uprawiają obecnie. I trzeba przyznać, że sporo fałszu udało im się już w ten sposób przemycić.

- Tester wie, że to prawda - zgodził się Benjamin. - Też chciałbym, żeby Hamish się mylił, ale obawiam się, że ma jednak rację.

- Na dłuższą metę im się to nie uda, ale na krótką, i jeśli jeszcze będą powtarzać te kłamstwa wystarczająco głośno i z kamiennymi twarzami... - powiedział Mikulin. -Faktycznie mogą zyskać dość

poparcia, by skłonić Zgromadzenie Legislacyjne do formalnego wypowiedzenia wojny.

- Dobrze, przyjmuję, że mogą tak myśleć, chociaż nadal uważam, że to nie przejdzie - odezwał się Grantville, chyba nie do końca jednak przekonany. - Niemniej, założywszy, że tak właśnie będzie, co proponujesz, Ham?

- Nie możemy dać im wyboru - odparł White Haven, nie bawiąc się w żadne wstępy.

- Może to dziwnie zabrzmie w obliczu reputacji, którą tu i ówdzie ostatnio się cieszę, ale naprawdę wolałabym nie zabijać nikogo, jeśli nie jest to bezwzględnie konieczne - powiedziała królowa.

- Nie proponuję, by ich z mety powystrzelać, Wasza Wysokość - odparł Hamish z lekkim uśmiechem. - Chociaż przyznaję, że byłaby to kusząca perspektywa, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, jak cynicznie postanowili wykorzystać lutowy atak. Przypominają sępa krążącego nad królikiem piaskowym ze złamaną łapą. Albo ślimaka pustynnego, próbującego dobrać się do padliny, nim ta wystygnie. Sądzę jednak, że powinniśmy stworzyć taką sytuację, która będzie bez najmniejszych wątpliwości świadczyła o klęsce SLN. Coś, czego propaganda Ligi Solarnej nie zdoła ukryć nawet przed trzylatkiem, nazywając to „aktem miłosierdzia”. Nie oznacza to jednak, abyśmy musieli koniecznie niszczyć ich armadę.

- Myśli pan o zmuszeniu ich do poddania się, milordzie? - spytał z namysłem Thomas Theisman.

- Tak, właśnie o tym myślę - potwierdził White Haven. - Po tym, co stało się w Spindle, trudno będzie im gładko wyjaśnić kapitulację floty złożonej z ponad czterystu ciężkich jednostek. To będzie jednoznaczne świadectwo militarnej bezsiły.

- Coś w tym jest - zgodził się Langtry. - Jeśli po Spindle i operacji Laokoon po prostu przechwycimy największą armadę wystawioną kiedykolwiek przez Ligę Solarną, najlepiej bez jednego strzału i przy zerowych ofiarach, cała wiara w potęgę Battle Fleet ulotni się bez śladu. Nie wspominając o znacznym uszczupleniu sił admirała Rajampeta. Ile starych dreadnoughtów miałyby w rezerwie, to powinno uświadomić mu, że w takim tempie niebawem zostanie bez floty. Albo bez załóg mogących obsadzić nowe jednostki!

- A jeśli Filareta nie ma żadnych „tajnych instrukcji” i okaże się nie dość rozgarnięty, by poddać się bez poważnych strat? - spytał Theisman, nie tyle kwestionując opinię dyskutantów, ile chcąc w pełni uzmysłowić cywilom, o czym dokładnie mówią.

- Jeśli dobrze to zaplanujemy, możemy stworzyć taką sytuację taktyczną, w której będzie musiał uznać beznadziejność własnego położenia - odezwała się Honor, pierwszy raz zabierając głos w dyspucie. - W sumie już to przećwiczyliśmy, prawda? Tyle że w rzeczywistości trzeba będzie dać mu więcej czasu, nim ewentualnie sami cokolwiek będziemy skłonni wystrzelić. Jeśli wówczas nie zdecyduje się poddać, okaże się po prostu drugą Crandall, niezdolną do takiego gestu w żadnej sytuacji. Zapewne ruszy wtedy do samobójczego ataku i będziemy musieli powstrzymać go siłą. Czyli...

- Czyli i tak trzeba będzie go zniszczyć - dokończyła Pritchart.

- Właśnie, pani prezydent - westchnęła Honor. - Podobnie jak Jej Wysokość, nie pragnę nikogo zabijać, póki nie jest to naprawdę konieczne. Jeśli jednak Filareta będzie za wszelką cenę parł do walki, chcę zapewnić nam jak największe szanse wygranej i sprawić mu takie lanie, by nawet solarni zrozumieli, że próba zaczepiania nas była bardzo złym pomysłem. Że tym razem przesadzili z intrygami i nie

skończy się jak na zawodach sportowych, w których to oni ustalają reguły i które mogą przerwać, gdy tylko przyjdzie im na to ochota. Będą musieli przyjąć do wiadomości, że to jest wojna, a skoro ją wywołali, poniosą konsekwencje. Pierwsze strzały oddał w niej Byng, masakrując niszczyciele komodora Chatterjee. Nie wysłaliśmy wtedy floty, by zaatakowała Układ Słoneczny. To, że tylu ich zginęło w Spindle, było winą Crandall, najwyraźniej ogarniętą obsesją mordowania wszystkich naszych ludzi, którzy stanęli jej na drodze.

Honor czuła wzbierającą w niej złość, chociaż sama nie wiedziała, na ile wiązało się to z Ligą Solarną, a na ile z całkiem innymi sprawami. Czy bardziej chodziło o New Tuscany i Spindle, czy o lutowy atak? A może wszystko było jednym? Ostatecznie to Liga pozwoliła na powstanie tajnego imperium, które było odpowiedzialne za śmierć tylu bliskich jej osób. Chociaż z drugiej strony... czy to w ogóle było ważne?

- To oni wciągnęli nas w wojnę, chociaż wcale nie musieli - podjęła lodowatym tonem. - Zrobili to, chociaż ostrzegaliśmy, że są manipulowani przez Mesę. Ostrzegaliśmy ich też, że wysyłają swoje superdreadnoughty na stracenie. Jest pewna granica, poza którą nie powinniśmy się cofać. Nie jesteśmy ich dłużnikami, a jawnie wyrażony zamiar podboju naszego układu planetarnego jest czymś, czego nie możemy przyjąć spokojnie nawet w imię najwyższych z możliwych ideałów. Jestem tego samego zdania co Hamish. Gdy już tu przylecą, nie możemy pozwolić im odlecieć, po prostu wycofać się, jak gdyby nigdy nic. Trzeba potraktować ich w sposób, który zmusi ich do zrozumienia bezsensowności kroku, jakim było wysłanie Filarety. I zobaczymy wtedy, jak Kołokolcow i mandaryni poradzą sobie z gaszeniem tego pożaru!

Rozdział XX

Massimo Filareta stał w swojej ulubionej pozie „myśliciela”, z szeroko rozstawionymi stopami, dłońmi w kieszeniach kurtki i zmarszczonymi brwiami. Wpatrywał się pilnie w szczegółowy schemat układu planetarnego, który ukazywał oba cele jego podróży, chociaż interesował go tylko większy z nich. Przynajmniej na razie.

John mógł mieć rację, pomyślał. W tej chwili będą skupieni przede wszystkim na obronie Sphinksa i Manticore. Zwłaszcza po tym, co zdarzyło się w lutym. Tam też skoncentrują flotę i większość zasobników, które jeszcze mają. Nie mogą sobie pozwolić na utratę żadnej z planet Manticore-A, chociaż na Gryphonie na pewno zależy im tak samo mocno. Tyle że jeśli zbyt rozproszą siły...

Skrzywił się. Pomyślał, by zacząć atak od najłabszego miejsca, czyli zapewne Gryphona, był kuszący również i dlatego, że dawał szansę „sprawdzenia wody” przed właściwą kąpielą. Owszem, nie byłby to czyn szczególnie heroiczny, a zawodowi oficerowie zwykli unikać sytuacji kojarzących się z kunktatorstwem, zwłaszcza że w praktyce oznaczało to zwykle, że ktoś mocno się przeliczył z siłami i próbował ratować swoją dupę. Z drugiej jednak strony byłoby to posunięcie logiczne i taktycznie przydatne. Gdyby zajął słabiej broniony cel, który Manticore i tak chciałoby odzyskać, zmusiłby ich do walki na jego warunkach. Korzystnych zapewne dla niego, jeśli ich obrona opierała się na zasobnikach orbitalnych mających zrównoważyć przewagę liczebną Ligi.

Niestety, rozkazy były jasne: ma skierować się na stołeczną planetę, co oznaczało atak na Manticore-A.

Tyle że ludzie, którzy je wydali, znajdowali się bardzo daleko, Filareta zaś był na miejscu. Gdyby istniały po temu jakieś bardzo istotne powody, nie zawahałby się... lekko tych rozkazów zmodyfikować. Może dlatego właśnie został wybrany do tej operacji, naturalnie nie przez Manpower, ale własnych przełożonych, którzy świetnie wiedzieli, że dla niego rozkazy są punktem wyjścia do planowania działań, nie ślepo wykonywaną instrukcją. Taką w każdym razie miał nadzieję, ponieważ podjął już decyzję.

Był pewien, że Manpower miało własne powody, by go tu wysłać, ale w żadnym razie nie zamierzał bawić się w Crandall dla ich satysfakcji. Jeśli przygotowane przez geniuszy Rajampeta rozpoznanie sytuacji było trafne, nie powinien natrafić na problemy. Ale jeśli się pomylili... Jeśli się pomylili, to nie ma zmiłuj, Manpower. Trzeba będzie się stąd czym prędzej wynosić.

Nie obawiał się specjalnie skutków zawiedzenia „sponsorów”. O wiele bardziej niepokoiła go perspektywa śmierci milionów ludzi, co w tym przypadku obejmowało także jego nieskromną osobę.

- Dobrze - powiedział w końcu, odwracając się od holoprojektacji. - Czy ktoś ma jeszcze jakieś pomysły lub uwagi do zgłoszenia w ostatniej chwili, zanim spróbujemy złapać trochę snu? - Wyjął jedną dłoń z kieszeni i wskazał na ekran, na którym malejące liczby wskazywały czas pozostały Jedenastej Flocie do wyjścia z nadprzestrzeni. - Mamy jeszcze dziesięć godzin, by ruszyć głową!

Wywołał trochę śmiechów, na co zresztą liczył. Atmosfera na pokładzie zrobiła się ostatnio nieco nerwowa, jednak tego akurat należało się spodziewać. Szczęśliwie wzrosła też pewność siebie załogi,

czy może raczej znacząco zmalała wcześniejsza niepewność. Symulacje użycia nowych pocisków miały w tym spory udział. Nadal nurtowało go pytanie, skąd właściwie wzięły się te rakiety, ale musiał przyznać, że ich posiadanie zwiększyło wydatnie możliwości bojowe jego okrętów. Starał się zachować maksymalną ostrożność przy tych obliczeniach, ale i tak wychodziło na to, że dzięki samym zasobnikom siła rażenia salwy wzrosła trzykrotnie. Przy zaprogramowaniu pocisków na dłuższy odstęp czasowy przed uruchomieniem silników drugiego stopnia, i to także w przypadku rakiet pokładowych, ich zasięg wzrastał zaś poza dystans, który mogły kontrolować obecne centrale ogniowe. To też musiało mieć wpływ na zniwelowanie potencjalnej przewagi technicznej przeciwnika.

- A poważnie, pamiętajmy, że inicjatywa będzie należeć do nas - powiedział, odczekawszy, aż śmiechy umilkną. - Jeśli komuś przyjdzie jeszcze coś do głowy, zdążymy się zastanowić, czy włączyć to do planu.

Rozejrzał się po siedzących wokół członkach sztabu i ich adiutantach. Byli poważni, ale spokojni. Potem zerknął na oblicza dowódców zespołów i starszych dowódców dywizjonów, patrzące na niego z ekranów. Kilku wyglądało na zdenerwowanych, ale i oni nie opuścili wzroku.

- Dobrze! W takim razie... - Zwrócił się do admirała Burrowsa: - John, przypomnij raz jeszcze najważniejsze.

- Oczywiście, sir.

Korpulentny szef sztabu wstał i zajął miejsce za mównicą na końcu stołu. Podczas zwykłych odpraw pozostawał na miejscu, ale dzisiaj nic nie było „zwyczajne” i wszyscy uczestniczący w odprawie świetnie to wiedzieli.

- Kluczowe dla naszego planu jest obecne umiejscowienie planety Sphinx -powiedział, powiększając jednocześnie schemat Manticore-A. Chwilę później na holoprojeksi Pojawiła się bursztynowa sfera odległa o dwadzieścia dwie minuty świetlne od centralnej gwiazdy układu. - Jak możecie sami zobaczyć, obecne położenie tej planety oznacza, że...

*

- Lepiej późno niż wcale - powiedziała Mercedes Brigham, krzywiąc lekko usta. - Nie żebym miała do nich żal, że dali nam więcej czasu na przygotowania, jednak kilka dni spóźnienia to nawet w ich przypadku sporo za dużo.

- Nie przesadzaj - rzuciła spokojnie Honor, studiując wstępne analizy centrum bojowego. - Nam też się czasem rozkład rozjeżdżał.

- Święte słowa, milady - powiedział Rafael Cardones. Kapitan flagowy Honor stał obok, lustrując projekcję nakresów kursowych, ale teraz odwrócił się i spojrzał na szefa sztabu. - Zdaje się, że szykuje się wieczór amatorskich pokazów. To jest Battle Fleet. Flota Graniczna potrafi chociaż znaleźć własny tyłek, o ile poszuka go oburącz, ale ci tutaj dekują się od wieków, podczas gdy inni odwalają za nich całą robotę. Widziała pani te życzeniowe symulacje, które lady Gold Peak wyciągnęła z ich komputerów! Biorąc pod uwagę ich zerowe doświadczenie i mizerne szkolenie, tak mały błąd czasowy należy uznać za cud. - Uśmiechnął się kwaśno. - Po prawdzie nie mogę ciągle wyjść ze zdumienia, że ich superdreadnoughty zdołały pokonać tak daleką drogę bez uzupełniania zapasu węgla.

Wargi Honor drgnęły lekko, ale spojrzała surowo na podwładnego.

- Może to i będą amatorskie pokazy, Rafe, ale należy oczekiwać, że są o wiele lepsi, niż nam się wydaje. Na pewno mieli sporo powodów, by zmodyfikować tryb szkolenia, to na początek. Z drugiej strony... - Honor

spojrzała na starszą od niej Mercedes. - Rafe ma rację. Jak na pozbawionych doświadczenia nie wypadli najgorzej z czasem przejścia.

Brigham zastanowiła się przez chwilę i przytaknęła.

- Zapewne ma pani słuszność, milady. Oboje ją macie. Zresztą, tak czy siak, dolecieli.

- I wyszli zasadniczo tam, gdzie ich oczekiwaliśmy - odezwał się jeszcze ktoś.

Honor kiwnęła głową, wyczuwając w głosie kapitan Jaruwalski nutę satysfakcji, chociaż nie trzeba było być geniuszem taktycznym, by przewidzieć wektor podejścia jednostek Marynarki Ligi.

Harrington nie przywykła do sytuacji, w których znałaby rozkazy przeciwnika, zanim jeszcze miała okazję go spotkać, ale nie myślała z tego powodu wpadać w rozpacz. Nie zamierzała też polegać bezkrytycznie na tej przewadze i dlatego skopiowała taktykę Michelle Henke ze Spindle i rozstawiła zasobniki systemu defensywnego wkoło Gryphona na wypadek, gdyby Filareta jednak tam się skierował. Dodatkowo wzmocniła obronę planety niemal wszystkimi swoimi ciężkimi krążownikami i krążownikami liniowymi. Uważała jednak oczywiście, że przeciwnik skieruje się wprost do Manticore-A, czyli tak, jak przewidywała obowiązująca w SLN doktryna i otrzymane przezeń rozkazy.

Pozostawało pytanie, którą z planet Manticore-A wybierze Filareta na obiekt ataku. W ciągu jedenastu miesięcy standardowych, które minęły od tamtego dnia, gdy Lester Tourville wziął się do realizacji operacji Beatrice, Sphinx wyszedł ze strefy rezonansu, rozciągającej się między gwiazdą centralną a Manticore Wormhole Junction, w którym to stożkowym obszarze nie dawało się praktycznie dokonać transferu do nadprzestrzeni czy z powrotem. To oznaczało, że planeta nie była już

osłonięta przed bezpośrednim podejściem. Zwykle zaś ojczyzna Honor znajdowała się ledwie 15,3 miliona kilometrów od granicy nadprzestrzennej, co było bardzo płytkim przedpołem.

Na miejscu Filarety Honor z tego właśnie powodu zaatakowałaby raczej Manticore niż Sphinksa, zakładając, że przeciwnik skupił siły przy bardziej wyeksponowanym celu. Przy obecnym ułożeniu planet dobry astrogator dałby radę wyprowadzić flotę do normalnej przestrzeni na tyle blisko Manticore, że jednostki rozstawione wokół Sphinksa miałyby długą drogę do przebycia. Oczywiście konieczność głębszego wniknięcia w sferę poniżej granicy nadprzestrzennej zwiększała ryzyko, zwłaszcza gdyby trzeba było szybko się wycofać wobec jakiegoś niespodziewanego rozwoju wydarzeń, jednak potencjalne korzyści związane z zaskoczeniem uszczuplonej obrony planety zapewne by przeważały.

Niemniej jeśli Filareta był naprawdę mądrzejszy niż Crandall, nie powinien wchodzić w układ głębiej, niż to będzie konieczne. Zapewne zostawi sobie możliwość szybkiej ucieczki, gdyby się okazało, że meldunki o nowych pociskach RMN były jednak prawdziwe. I dlatego niemal na pewno zajmie się Sphinksem, a nie Manticore.

Oczywiście Honor nie miała zamiaru pozwolić mu na realizację tego planu.

Siedzący na jej ramieniu Nimitz aż zeszywniał na chwilę, gdy wyczuł narastające w Harrington emocje i jej determinację, która graniczyła niemal z wściekłością.

Spokojnie, dziewczyno, powiedziała sobie stanowczo. Masz skłonić ich do poddania się, a nie zabić. Nie ulega przecież wątpliwości, że to nie oni przeprowadzili lutowy atak.

- Jak przedstawia się ich przewidywany wektor kursowy, Theo?

Powiedziała to bardzo spokojnie, emanując niemal łagodnością, która oparła się nienawiści i myślom o nadchodzącej walce. Porucznik komandor Theophile Kgari, astrogator jej sztabu, dwa razy sprawdził odczyty, nim zdecydował się odpowiedzieć:

- Wyszli niemal dwanaście sekund świetlnych od granicy, milady. To oznacza osiemnaście, przecinek, dziewięć miliona kilometrów od Sphinksa. Ich prędkość względem planety to obecnie tysiąc trzysta kilometrów na sekundę i przyspieszają. W tej chwili mają trzy, przecinek, trzy kilometra na sekundę kwadrat. Przy tych wartościach znajdują się przy planecie za siedemdziesiąt trzy minuty. Obrót za trzydzieści sześć minut przy dystansie równym dziewięć, przecinek, siedemdziesiąt pięć setnych miliona kilometrów. Ich prędkość podczas obrotu będzie wynosić siedem, przecinek, dziewięć tysiąca kilometrów na sekundę.

- Dziękuję - powiedziała Honor. Dane potwierdzały jej szacunkowe obliczenia, a wykonując je, nie zapomniała ani na chwilę o wysokim oficerze, który stał obok niej, też z odzianym w skafander treecatem na ramieniu. Niektórzy na jej miejscu być może obawialiby się, że z racji starszeństwa Thomas Theisman będzie próbował wtrącać się czy przynajmniej komentować sytuację, z której zdawał sobie sprawę wcale nie gorzej, jednak Honor wyczuwała w nim swoisty spokój. Był on na tyle wyrazisty, że aż się zastanowiła, czy sama byłaby zdolna stać tak na mostku flagowym czyjegoś okrętu i nie odczuwać najmniejszej pokusy, by wejść w rolę tego, kto wydaje rozkazy.

Była to jednak drugorzędna kwestia. Teraz należało się skupić na przestrzennym rozplanowaniu zbliżającego się starcia.

Maksymalny skuteczny zasięg pocisków SLN wynosił prawie 7,576 miliona kilometrów, chociaż przy prędkości nosiciela sięgającej 7,9

km/s wzrastał do blisko 9 milionów. W tym przypadku nie robiło to jednak większej różnicy. Tak czy siak, obiekty ulokowane na orbicie Sphinksa miały znaleźć się w polu ostrzału jednostek Filarety za trzydzieści pięć minut. Zakładając oczywiście, że nic się nie zmieni.

Oraz że ma w wyrzutniach standardowe pociski, upomniała samą siebie Honor. Nadal nie było wiadomo, czego właściwie użył Roszak w Congu ani czy Równanie nie dostarczyło później Lidze Solarnej czegoś jeszcze nowszego.

Zgodnie z zasadniczym planem obrony mieli zatrzymać Filaretę tuż przed granicą zasięgu jego ognia, daleko od planety. Co najmniej z takim skutkiem, by się wycofał. Honor oczywiście zamierzała to zrealizować, chociaż...

- Nie dostrzegam na razie powodu, by cokolwiek modyfikować - powiedziała chłodnym, zrównoważonym sopranem. - Realizujemy plan Cannae. - Spojrzała na porucznika komandora Brantleya. - Harper, proszę przekazać sygnał uprzedzający do admirała Yanakova i na HMS *Timberlake*.

*

- Sygnał z jednostki flagowej, ma'am!

- A może jeszcze usłyszę, jaki to dokładnie sygnał, panie Vitorino? - spytała porucznik komandor Jacqueline Summergate, dowódca HMS *Timberlake*, podnosząc głowę znad małego wyświetlacza zamontowanego w jej fotelu.

- Przepraszam, ma'am - odparł młody chorąży Vitorino Magalhaes i zarumienił się lekko, ale tonu głosu nie zmienił. - Wykonać Cannae Alfa, ma'am.

- Przyjęte. - Summergate pokiwała głową. Skoro dostali ten sygnał, musiało to oznaczać, że pierwszy dreadnought Ligi Solarnej wyszedł z

nadprzestrzeni. Chociaż... poprawniej byłoby powiedzieć, że to pierwszy niezidentyfikowany dreadnought. Ostatecznie nikt nie wypowiedział jeszcze wojny Gwiezdnemu Imperium Manticore i teoretycznie ta flota mogła przylecieć nawet z Andromedy!

Uśmiechnąwszy się do swoich myśli, Summergate spojrzała na porucznik Selenę Kupperman, oficera taktycznego starszawego już niszczyciela, jakim był *Timberlake*.

- Jest pełna aktualizacja danych?

- Właśnie odbieramy ostatnie pakiety, ma'am.

- Dobrze - stwierdziła Summergate. - Astro, zabieraj nas stąd. Mamy pocztę do doręczenia.

*

Jak dotąd idzie nie najgorzej, pomyślał Filareta, siedząc w bezruchu na fotelu dowódcy. Na wszelki wypadek wołał się jednak nie uśmiechać. Ciekawe, co oni sobie teraz pomyśleli?

- Dobra robota, Yvonne - powiedział głośno.

- Dziękuję, sir - odparła admirał Yvonne Uruguay.

Jedenasta Flota dokonała tranzytu alfa w stylu, jaki rzadko zdarzało się Filarecie widywać. Rozrzut jednostek był minimalny, a kurs niemal całkowicie zgodny z zaplanowanym. Owszem, nie wszystko wyglądało tak perfekcyjnie, jak Uruguay by chciała, ale po tak długim przejściu nadprzestrzennym było to nieuniknione. Zapis logowy pozwalał na ustalenie aktualnej pozycji z dużą dokładnością, co przy międzygwiazdnych odległościach musiało jednak prowadzić do pewnych błędów. Podobnie trudne było zgrywanie prędkości wejścia i wyjścia. Doprowadzenie całej floty do właściwego miejsca, we właściwym czasie, w zadanym szyku i z oczekiwaną prędkością było bardziej sztuką niż rzemiosłem.

Z drugiej strony, niezależnie od swoich kompetencji, Urugway miała zdecydowanie zbyt wysoki stopień jak na pierwszego nawigatora. Nie tylko w porównaniu z marynarkami innych państw, ale nawet jak na taką flotę jak ta, którą dowodził Filareta. Admirał już jakiś czas temu skonstatował, że w SLN doszło do swoistej dewaluacji szarży i co gorsza, stało się to wręcz częścią jej tradycji.

Jeśli nie uda nam się dzisiaj zakończyć tej awantury, trzeba będzie coś z tym zrobić, pomyślał. Cała nasza strategia awansowania jest tak pokręcona, że sprawność floty po prostu musi na tym ucierpieć. Inna sprawa, że Yvonne była akurat dobra w swoim fachu i nie dawała mu powodów do narzekań.

- Jak pan sądzi, ile czasu jeszcze minie, nim nas wywołają? - spytał admirał Burrows.

- Nie wiem, ale chyba już zauważyli, że tu jesteśmy - odparł oschłym tonem Filareta. - Trudno byłoby nazwać nasze przybycie dyskretnym.

Zacisnął wargi, zastanawiając się nad tym samym co Burrows. Przełożeni zostawili mu pełną swobodę w kwestii sposobu przedstawienia żądań Ligi Solarnej władzom Manticore i wcześniej sporo już na ten temat z Burrowsem rozmawiał. Z całą pewnością nie zamierzał powtarzać błędu Sandry Crandall, podejmując długie dyskusje z wieloma minutami oczekiwania za każdym razem na odpowiedź. Z drugiej strony nie zamierzał też tkwić tu całymi dniami, nim dojdzie do czegoś konkretnego.

Zależało mu więc na czasie, ale uważał też, że lepiej będzie poczekać, aż gospodarze pierwsi się odezwią. Jeśli wcześniej trochę spocą się ze strachu, łatwiej będzie z nimi rozmawiać. Ostatecznie ponad czterysta dreadnoughtów to z całą pewnością nie był argument, który łatwo dałoby się zignorować, zwłaszcza gdy skierowały się już w

głęb układu. Może nie była to wielka przewaga, ale w obecnej sytuacji Filareta gotów był wykorzystać każdy element wojny psychologicznej, który mógł zagrać na jego korzyść.

- Jesteśmy niemal minutę świetlną od Sphinksa - powiedział. - Może oni rzeczywiście mają jakąś łączność nadświatlną, my jednak nie mamy jej na pewno. Ze cztery do pięciu minut potrwa przekazanie meldunków na samą górę potem zaś jeszcze kilka, nim struktury wojskowe skontaktują się z cywilnymi. Cywilom odpowiedź zajmie co najmniej trzy minuty, potem jeszcze minuta, nim cokolwiek do nas dojdzie. - Wzruszył ramionami. - Byłbym zdumiony, gdyby odezwali się wcześniej niż za dziesięć minut.

Burrows pokiwał powoli głową, a Filareta wstał z fotela i podszedł do stanowiska admirała Danielsa. Zajęty analizą danych napływających z centrum bojowego oficer nie od razu zauważył, że ktoś stanął obok. W końcu jednak uniósł głowę.

- Przepraszam, sir, byłem zbyt zajęty - powiedział z lekkim uśmiechem.

- Chwilowo oni są ważniejsi niż ja - odparł Filareta i Daniels uśmiechnął się szerzej, ale zaraz spoważniał. - Wiem, że za wcześnie jeszcze na pełną analizę, ale czy możesz nam już coś powiedzieć?

- W sumie niewiele, sir - odparł bezradnie Daniels. - Sondy zwiadowcze kierują się w głąb układu, ale niczego jeszcze nie przekazały. Wyłapujemy trochę sygnatur napędu jednostek przemieszczających się między planetami albo na trasie do i z Manticore Wormhole Junction. Sądząc po kursach, to wszystko jest ruch cywilny. Czujniki odnotowują jednak też serie impulsów grawitacyjnych.

Spojrzał admirałowi znacząco w oczy i ten przytaknął, przypominając sobie wcześniejsze dyskusje nad łącznością nadświetlną, toczone z Burrowsem. RMN przykładała chyba do niej większą wagę, niż niektórzy skłonni byli sądzić. Przekaz danych w czasie rzeczywistym, lub prawie rzeczywistym, dawał wystarczająco wielką przewagę, by było się czym martwić, jeśli samemu nie posiadało się takich możliwości. Z informacji, które dotarły do Jedenastej Floty przed opuszczeniem Tasmanii, wynikało, że chodzi o technologię wykorzystującą modelowane fale grawitacyjne, biegnące w normalnej przestrzeni wzdłuż pasma alfa. Nie była to dziedzina, w której Filareta czułby się specjalistą, I nie wiedział tym samym, jak to dokładnie może działać, na dodatek nawet ci fizycy, którzy uważali rzecz za teoretycznie możliwą, również nie potrafili odpowiedzieć, w jaki sposób udało się Gwiezdnemu Imperium przekuć ową teorię w skuteczny system łączności. Niemniej wzięwszy pod uwagę, jak wysoką cenę zapłaciła już SLN za swoją arogancję, Filareta i jego sztab postanowili przyjąć, że przeciwnikowi zapewne jednak udało się to zrobić.

Niestety, potwierdzenie tych obaw nie sprawiło wcale, że ktokolwiek na pokładzie jednostki flagowej poczuł się choć trochę lepiej.

- Możemy namierzyć źródła tych impulsów?

- Niezbyt, sir. Przynajmniej na razie nic z tego nie wychodzi. Wygląda na to, że to są wszystko wiązki kierunkowe, do tego bardzo wąskie. Wychwytujemy tylko te, które nadchodzą z peryferii układu. Wokół nas może ich być więcej, ale nie udało nam się jeszcze ich wykryć. - Skrzywił się przepraszająco. - Nadal wystrzelujemy sondy, sir, chociaż prawdę mówiąc, nie wiem, czy będą szczególnie pomocne.

Nasze sensory grawitacyjne nie są skalibrowane do odbioru tego typu sygnałów.

- Co się uda, to się uda - odparł sentencjonalnie Filareta i odszedł, a Daniels ponownie wpatrzył się w ekran.

Admirał wrócił przed ekran i skupił uwagę na oknie ukazującym wykres stanu gotowości reaktorów jednostek Jedenastej Floty. Napęd nadprzestrzenny, stosowany w tak wielkiej jednostce jak *Philip Oppenheimer*, potrzebował sporo czasu na każdy rodzaj przestrojenia. Przygotowanie do wejścia w nadprzestrzeń zabierało w jego przypadku aż trzydzieści dwie minuty, licząc od chwili uaktywnienia. Powrót do gotowości po przejściu trwał tylko dwanaście minut, do których trzeba było jednak doliczyć jeszcze cztery na inne przygotowania. Łącznie dawało to szesnaście minut, oni zaś wyszli w odległości ledwie dziewiętnastu minut lotu od granicy nadprzestrzennej Manticore-A. Dlatego Filareta nalegał na jak najszybsze doprowadzenie reaktorów do stanu pełnej gotowości. Z satysfakcją odnotował, że proces przebiega zgodnie z planem, i spojrzął na główne okno ekranu od ich wyjścia z nadprzestrzeni minęło dopiero pięć minut.

*

- Chyba się zaczęło, sir - powiedział cicho chorąży Brynach Lacharn. Zdaniem porucznika Hamiltona Trudeau zrobił to też całkiem niepotrzebnie.

Cała sieć łączności kontroli astro Manticore Wormhole Junction oszalała już chwilę temu. Wystarczyło, że załogi statków czekających w kolejce na tranzyt otrzymały pierwsze sygnały, że w odległym o kilka godzin lotu z prędkością światła układzie Manticore-A pojawiła się duża formacja obcych jednostek. Wszyscy pamiętali, co zdarzyło się w lutym, i istniała obawa, że w przypadku powtórzenia się sytuacji może

dojść do ataku także na całą infrastrukturę związaną z węzłem wormholi. Trudeau nie dziwił się więc powszechnej konsternacji, chociaż nie podobało mu się, że szybko zaczęła się ona przeradzać w coś bliskiego panice. Potwierdziło to jednak w dobitny sposób to, co załoga DB 17025 miała już prawie za pewne: Manticore posiadało łączność nadświatłą.

- Mamy coś z kontroli astro? - spytał.

- Jeszcze nie - odparł Lacharn. - Nic poza tym pierwszym komunikatem o „niezidentyfikowanych jednostkach zbliżających się do Manticore-A. Ale i to wystarczyło, by wszystkim odjechało. Teraz gadają jak najęci i nic nie słychać. Nie wiem, kiedy ktoś zdoła zrobić z tym porządek.

- Wspaniale.

Trudeau pokręcił ze zgorzeniem głową. Od początku uważał, że posłanie ich tutaj było złym pomysłem. Nie wychylał się z tym, zwłaszcza że i tak nikt nie pytał go o zdanie, ale swoje wiedział i kłął pod nosem na tych bezmózgowców z samej góry. Ale cóż, posiadanie rozumu nigdy nie było warunkiem awansu. Gdyby było inaczej, ktoś musiałby stuknąć się w głowę. Koniec końców DB 17025 był jedynie jednostką kurierską. Małą i gównianą jednostką kurierską, która w obecnej sytuacji musiała trafić na koniec kolejki. Założywszy oczywiście, że miejscowi nie wstrzymają zaraz ruchu. A na domiar wszystkiego DB 17025 był jednostką Ligi Solarnej. Wprawdzie oficjalnie należąca do mediów, bo o jej rzeczywistej przynależności do SLN nikt nie mógł tu wiedzieć, ale jednak. Geniusze, którzy ją wysłali, przygotowali pewnie rozkazy, zanim jeszcze Manticore zamknęło wszystkie swoje terminale dla solarnego ruchu, niemniej...

- Zostań na nasłuchu - powiedział. - Prędzej czy później kogoś wywołają. Przypomnij wtedy o naszej akredytacji.

- Tak, sir.

Lacharn przytaknął, ale też niezbyt wierzył w powodzenie całej imprezy. Jedna z jego sióstr pracowała w Ministerstwie Edukacji i Informacji, wiedział więc sporo o tym, jak „niezależne” są media Ligi Solarnej, i dziwił się miejscowym, że tolerują ich obecność w samej okolicy terminalu. Na dodatek Interstellar News Service Corporation, którą oficjalnie reprezentowali, nie miała nigdy wysokich notowań w Manticore. Zdaje się, że chodziło o jakieś dawne układy agencji z Biurem Propagandy Publicznej Ludowej Republiki Haven. Z drugiej strony, może mieli jednak jakieś szanse, zważywszy na to, że w Manticore, całkiem odmiennie niż w Lidze, ceniono wolność i niezależność prasy.

Jeśli zaś się nie uda, chorążemu Brynachowi i tak włos z głowy nie spadnie. I nawet go to wszystko nie obejdzie.

*

- Admirale, mamy nowe sygnatury napędu! - zameldował niespokojnym tonem William Daniels i niemal w tej samej chwili Filareta dojrzał na ekranie karmazynowe symbole nieprzyjacielskich jednostek. Nie poruszały się jednak. - System bojowy identyfikuje dwie oddzielne grupy - oznajmił Daniels. - Większa otrzymała oznaczenie Tango Jeden i znajduje się w połowie dystansu między Sphinksem a Manticore, w odległości około dwa, siedem, zero, przecinek, dziewięć miliona kilometrów. Około piętnastu minut świetlnych. Mniejsza grupa, oznaczenie Tango Dwa, jest o wiele bliżej. Dystans jeden, pięć, przecinek, jeden miliona kilometrów od nas i jakieś dwa miliony kilometrów od Sphinksa. Na razie mamy tylko gołe sygnatury napędu,

ale według wstępnych szacunków grupa Tango Jeden to około sześćdziesięciu źródeł emisji, Tango Dwa tylko czterdzieści i...

Oficer operacyjny przerwał na chwilę, słuchając meldunku z centrum informacji bojowej, i pokiwał głową.

- Tango Jeden rusza w naszą stronę, admirale - powiedział. - Przyspieszenie rzędu czterystu siedemdziesięciu g. Zakładając, że je utrzyma, osiągnie naszą obecną pozycję za cztery, przecinek, dwie dziesiąte godziny. Jeśli nie dokonają odwrotu, dojdą do nas za trzy godziny, ale będą mieli wtedy prędkość prawie pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę.

- Przyjąłem - odparł Filareta, wpatrując się w nowe symbole i linie przewidywanych kursów.

Jedenasta Flota szła w kierunku Sphinksa od niemal dwunastu minut, przebywając w tym czasie około 1,8 miliona kilometrów, połowę dystansu do granicy nadprzestrzennej. Osiągnęli prędkość 3,638 km/s i do planety zostało im jeszcze 17,1 miliona kilometrów. Zdolne do osiągnięcia znacznie większego przyspieszenia sondy zwiadowcze Daniela były już tylko 5,3 miliona kilometrów od bliższej formacji Manticore i wyprzedzały Jedenastą Flotę o 9,8 miliona kilometrów, idąc z prędkością 36,603 km/s. Trzeba było jednak brać pod uwagę niemal trzydziestosekundowe opóźnienie w podświetlnym przekazie danych, które miały zdobyć na temat wykrywalnych nadświetlnie sygnatur napędów impellerowych.

- Tango Dwa może być mniejszą grupą, ale znajduje się dokładnie między nami a Sphinksem - zauważył Burrows, szepcząc to niemal do ucha admirała.

- Jak wspomniałem, nasz plan nie był zbyt subtelny - odparł równie cicho Filareta. -Przewidzenie kierunku naszego podejścia było raczej

proste. Ale i tak spieprzyli sprawę. Tango Dwa jest stanowczo za daleko.

- Wskazał spojrzeniem na większe skupisko karmazynowych ikon, które zaczynały się chyba przegrupowywać, by ruszyć w kierunku intruzów - W tej sytuacji mogą sobie mieć pociski o zasięgu pięćdziesięciu milionów kilometrów. Przy trzystu milionach nic im z tego nie przyjdzie. Nie urodził się jeszcze taki, który trafiłby w cokolwiek przy takim dystansie. - Pokręcił głową. - Dali się zaskoczyć poza obszarem skutecznego ognia. Grupa Tango Dwa jest zdana sama na siebie i ktokolwiek nią dowodzi, musi teraz być wściekły.

- Nie sądzi pan, że to może być Harrington? - spytał z lekkim uśmiechem Burrows.

- Jeśli jej nie uziemili, to jest z Tango Jeden - rzucił obojętnie Filareta. - Nie objęłaby dowództwa mniejszego z dwóch zespołów.

- Sensowne założenie, sir. Z drugiej strony, wydaje się, że oberwali nawet gorzej, niż ocenił to wywiad.

- Może.

Filareta odniósł się do sprawy z pozorną obojętnością, ale wiedział, że Burrows może mieć rację. Wywiad oceniał, że tuż przed lutowym atakiem RMN miała około dwustu superdreadnoughtów, dwa razy więcej, niż udało im się teraz wykryć. Oczywiście szacunki mogły być błędne. Admirał nie zamierzał rozpaczać, gdyby Manticore okazało się o wiele słabsze, niż oczekiwali. Niemniej ten podział sił... Było w nim coś dziwnego, a takie zagadki zawsze zasiewały w nim ziarno niepokoju.

Też był skłonny oczekiwać, że Harrington będzie odpowiedzialna za obronę, skoro stała się w Manticore postacią tak popularną, że niektórzy gotowi byli chyba całować pokład, po którym stąpała. I ona nie powinna popełnić takiego błędu, zwłaszcza że przewidzenie przebiegu ataku nie wymagało szczególnych umiejętności. Chyba że

została zmuszona do zmiany planów przez cywilne instancje drżące o bezpieczeństwo stołecznej planety. Filareta był pewien że gdyby chodziło o Ziemię, Kołokolcow i jego mandaryni nie daliby chwili spokoju dowódcy obrony Układu Słonecznego.

Nie po raz pierwszy Filareta zamarzył o sprawniejszym wywiadzie. Burrows robił, co mógł, podobnie jak i komodor Ulysses Sobolowski, który był odpowiedzialny za wywiad w jego sztabie, ale ostateczny rezultat aktywności całej maszyny był frustrująco mizerny.

Operację planowano w takim tempie, że zabrakło czasu na przesłanie z Ziemi najnowszych danych, aczkolwiek kompetentni sztabowcy powinni pomyśleć chociaż o dołączeniu do rozkazów podstawowych informacji na temat domniemanego dowódcy floty nieprzyjaciela. Chociaż być może Filareta zbyt wiele od nich oczekiwał...

Bez uzupełnień bazy danych Sobolowski, którego względnie niski stopień świadczył o tym, jak małą wagę przywiązywano w SLN do spraw wywiadu, zdołał po szczegółowych poszukiwaniach wygrzebać jedynie garść informacji na temat Honor Harrington. Co gorsza, w większości były to materiały pochodzące z powszechnie dostępnych serwisów informacyjnych, przygotowywane przez ludzi, którzy nie mieli bladego pojęcia o operacjach militarnych. W większości stanowiły zwykłe zapchajdziury programowe o Salamandrze, które widać nieźle się sprzedawały, jednak nie dało się z nich dowiedzieć wiele o jej taktyce czy myśleniu operacyjnym. Nie brakowało w nich tylko kwiecistych metafor i nachalnego bełkotu. Gdyby ktoś potraktował je poważnie, mógłby dojść do wniosku, że rzeczona Salamandra ma pięć metrów wzrostu i patroszy lekki krążownik na śniadanie.

Filareta parsknął cicho, odganiając tę myśl. Jasne, w tych materiałach było bardzo dużo przesady i tragicznie mało faktów, ale ich bohaterka odniosła naprawdę wiele sukcesów. Admirał kwestionował kiedyś ich wartość, podobnie jak robili to wszyscy w SLN, uznając, że zwycięstwo jednego neobarbarzyńcy w walce z drugim neobarbarzyńcą nie dowodzi żadnych szczególnych umiejętności bojowych. Tyle że to było przed Spindle. Od tamtego czasu zrewidował nocno swoje sądy na temat wszystkich wyższych oficerów królewskiej Marynarki.

Co więcej, Haven musiało dysponować analogiczną technologią i równie dobrze wyszkolonymi ludźmi, skoro ich wojna trwała tyle lat. To również nie napawało optymizmem, zwłaszcza że Filareta pamiętał jeszcze czasy, gdy Ludowa Marynarka zebrała w Lidze Solarnej o jakiegokolwiek przydatne elementy nowoczesnych systemów uzbrojenia. Potem jednak musiało się to zmienić, Harrington nadal zaś odnosiła sukcesy. Jeśli były to zwycięstwa odniesione nad przeciwnikiem dysponującym uzbrojeniem niewiele ustępującym temu, co Gold Peak miała w Spindle, trudno było całą tę Salamandrę lekceważyć...

- Nowe dane! - odezwał się nagle Daniels.

Filareta obrócił się do ekranu, na którym pojawiły się setki nowych sygnatur napędów. Były mniejsze i słabsze emisyjnie niż te poprzednie i na pewno nie chodziło o kolejne ciężkie jednostki, jednak cała ich formacja znajdowała się jakieś dwa miliony kilometrów bliżej Jedenastej Floty i...

- To kutry, sir - powiedział z przejęciem Daniels. - Muszą mieć niezwykle skuteczny system stealth. Nie mieliśmy pojęcia o ich istnieniu, dopóki nie włączyły ekranów. Właśnie rozwały wszystkie moje sondy dalekiego zwiadu.

- Rozumiem.

Filareta nie dziwił się wzburzeniu Daniela, ale chwilowo bardziej niepokoił się czym innym. To rzeczywiście musiały być lekkie jednostki, jednak sądząc po sygnaturach, dysponowały ekranami o niespotykanej mocy. Admirał nie widział dotąd takich kutrów. Na dodatek zniszczyły zdalne „oczy” jego floty w odległości pięciu milionów kilometrów od formacji Tango Dwa. Uczyniły to najpewniej za pomocą broni energetycznej, co sugerowało duży zasięg ich uzbrojenia, jeszcze jedną nietypową cechą w przypadku tak małych jednostek. Owszem, sondy zwiadowcze były mało odporne, ich zdolność przetrwania opierała się na właściwościach stealth i manewrowości, nie wyłapały zaś wcześniej, że ktokolwiek tam jest. Jeśli druga strona wykryła je dość wcześnie, miała czas na ustalenie kursów i załatwienie niczego niespodziewających się celów. Kutry zaś musiały chyba mieć jakąś możliwość prowadzenia ognia omijającego ekrany impellerowe sond...

Admirał zmarszczył brwi, przypomniawszy sobie wszystko, co słyszał o sensorach RMN i ich zdolności śledzenia manewrujących celów. Z drugiej strony, to tylko kutry. Jak skuteczne by były, nie mogły zagrozić poważnie jednostce liniowej. Wcześniej zaś przeciwnik dopuścił sondy na tyle blisko, że mogły dokładnie policzyć dreadnoughty znajdujące się w składzie grupy Tango Dwa. Filareta wiedział już, że nie ma tam żadnych więcej ciężkich okrętów. Żaden admirał lepszy od Sandry Crandall i Josefa Bynga nie kazałby czekać swoim jednostkom z zimnymi impellerami w sytuacji zagrożenia wrogim ostrzałem, a jak dobrzy by byli miejscowi w maskowaniu, nawet oni nie mogli ukryć sygnatur napędu przy tak małym dystansie.

Sytuacja rozwijała się więc ogólnie pomyślnie dla Filarety, który był z każdą chwilą coraz bardziej pewny siebie. Grupa Tango Dwa

znajdowała się w jego zasięgu, Tango Jeden zaś nie miało szansy udzielić jej skutecznego wsparcia. Nie oczekiwał, że Honor zrobi mu taki prezent. Teraz trzeba było tylko się zastanowić nad wyborem taktyki starcia. Do wyboru miał dwie.

Spojrzał na chronometr. Pierwotnie zamierzał podjąć decyzję po dośrodku do granicy nadprzestrzeni, jednak zaskoczenie przeciwnika skłaniało do przyspieszenia tego kroku. W wariantcie Alfa Jedenasta Flota miała zwolnić maksymalnie przed osiągnięciem granicy, by ułatwić sobie ewentualny późniejszy odwrót. Wariant Bravo przewidywał utrzymanie przyspieszenia i szybki atak przy dużej prędkości, jednak oznaczało to również, że będzie musiał wejść dalej w głąb systemu, nim zdoła zmienić kurs i wrócić poza granicę nadprzestrzeni.

Wcześniej miał plan Bravo za desperacki. Kojarzył mu się z próbą podjętą przez boksera, który dążąc do starcia, ma nadzieję dołożyć silniejszemu przeciwnikowi, mającemu na dodatek dłuższe ręce. Pamiętając o większym przyspieszeniu osiąganym przez jednostki Manticore, nie oczekiwał nawet, by to mogło zadziałać.

Skoro jednak udało mu się przyłapać grupę Tango Dwa niemal w bezruchu... Owszem, grupa Tango Jeden osiągnęła już przyspieszenie, które mimo wcześniejszych raportów i tak wydawało mu się niewiarygodnie wielkie. Wychodziłoby na to, że RMN była w tym o ponad czterdzieści procent lepsza od niego. Tyle że nawet przy takich osiągnięciach ich dośrodku w pobliże Sphinksa musiało potrwać co najmniej trzy godziny, Filareta zaś miał tam być za trzydzieści pięć minut. Cztery minuty później powinien znaleźć się na orbicie planety. Na dodatek grupa Tango Dwa potrzebowałaby aż czterdziestu siedmiu minut, by dorównać mu prędkością, i to zakładając, że ruszyliby już teraz. Wtedy

obie floty zrównałyby się dopiero 6,9 miliona kilometrów wewnątrz orbity Sphinksa.

Wiedział jednak, że RMN tego nie zrobi. Nie zostawi planety bez obrony. Mógłby wtedy bez przeszkód wejść na jej orbitę i zażądać kapitulacji Sphinksa. Cofną się więc raczej bliżej globu, utrzymując sensowny dystans, a gdy będzie już niedaleko, wtedy go zaatakują. W takiej sytuacji utrzymanie dużej prędkości ograniczy im czas prowadzenia ognia. Przy większej celności ich pocisków i długim czasie przebiegu był to niebagatelny argument. W ten sposób będą musieli prowadzić walkę na mniejszy dystans, nie mogąc naprawdę wykorzystać swojej przewagi. Tak, to był pomysł godny uwagi. Ponadto takie rozwiązanie dawało szansę na szybkie uporanie się z grupą Tango Dwa. Na tyle szybkie, by w żadnym wypadku nie miała szansy doczekać się odsieczy w wykonaniu formacji Tango Jeden.

A gdyby przed naszym dojściem do granicy nadprzestrzeni pojawiło się jeszcze coś nowego, bez problemów zdążę uciec.

- Przynajmniej wiemy teraz, co tu mamy. Wystrzel dodatkowe sondy, Bill. A póki co, przyjmujemy wariant Bravo - powiedział, zdecydowawszy się ostatecznie. - Chyba rychło się do nas odezwą.

Rozdział XXI

- Nasi goście nadal się nie odezwali, Harper?

- Nie, milady - odparł Brantley.

- Może się myłę, milady, ale oni chyba przylecieli po to, by zażądać naszej kapitulacji? - spytał Cardones, przebywający na swoim mostku, ale widoczny na jednym z ekranów Honor.

- Też mi się tak wydaje, kapitanie Cardones - odparła Harrington, spoglądając z namysłem na linie kursowe.

- No to chyba powinni to jakoś wyartykułować?

- Jestem pewna, że z czasem do tego dojrzeją, Rafe - stwierdziła Honor. - Nie zapominaj, że oni najpewniej nie przypuszczają nawet, że możemy na nich czekać. Zapewne chcą nas zmiękczyć. Poczekać, aż na dobre wpadniemy w panikę, i wtedy dopiero przekazać żądania.

- Ale przecież właśnie zlikwidowaliśmy ich sondy, milady - zauważył Cardones. - I powinni zauważyć uruchomienie naszych ekranów. To jest dość wyraźna sugestia, że nie czekamy na nich z kwiatami, a oni są już tylko sześć minut od granicy. Na ich miejscu spróbowałbym dać głos, i to niebawem.

- To dlatego, że ogólnie jesteś gadatliwy - rzuciła Honor z uśmiechem, chociaż nie było jej wesoło. - Widać Filareta to milczek.

Cardones parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał. Jak dotąd sytuacja rozwijała się zgodnie z planem, jednak nie poprawiało jej to przesadnie humoru. Czasu było coraz mniej, a Honor zawsze zaczynała się denerwować, gdy coś szło za dobrze. Wierzyła w prawa Murphy'ego

i była niemal pewna, że w ciągu najbliższych kilkunastu minut coś się spieprzy.

Wiele uwagi poświęciła zgraniu czasowemu całej operacji, a zwłaszcza tego jej etapu, i długo się zastanawiała, z jakim przyspieszeniem na nich ruszy. Spodziewała się też, że wystrzeli sondy zwiadowcze.

W odróżnieniu od RMN Marynarka Ligi Solarnej trzymała się zasady, by nie przekraczać osiemdziesięciu procent maksymalnego obciążenia kompensatorów bezwładnościowych, które były zresztą znacznie gorszej jakości niż te produkowane przez Manticore. Nie wiedziała wiele o Filarecie, ale przyjrząwszy się jego profilowi osobowościowemu, doszła do wniosku, że zapewne zdecyduje się porzucić rutynowe podejście i dojdzie do 85 procent, co dałoby mu przyspieszenie równe 3,5 km/s . On jednak wyciągał tylko 3,311, co odpowiadało zwykłemu obciążeniu o wartości 80 procent. I to już było niepokojące. Nie dlatego, by robiło wielką różnicę, ale świadczyło o wzmożonej ostrożności przeciwnika. Biorąc zaś pod uwagę zmodyfikowane cele operacji Cannae, Honor wolałaby widzieć na jego miejscu kogoś bardziej beztroskiego.

W przypadku zgrania najważniejsze było wybranie właściwej chwili na zniszczenie sond zwiadowczych. Do tego potrzebowała możliwie jak najpełniejszych danych. Solarne sondy dysponowały mniejszym przyspieszeniem i żałosnym, w porównaniu z sondami Manticore, zapasem mocy. Osiągały co najwyżej 5 tysięcy g, a i to przez niezbyt długi czas. Niemniej plan operacji Sprawiedliwy Gniew kładł nacisk na szybkie osiągnięcie założonych celów, należało więc oczekiwać, że z braku czasu Filareta użyje wielu sond i będzie miał ich całkiem pokaźny zapas.

Założyła zatem, że nadlecą z maksymalnym przyspieszeniem, i wzięła to za punkt odniesienia, wyznaczając chwilę uruchomienia ekranów. Chciała być pewna, że Filareta zobaczy dokładnie to, co powinien, nim kutry z dalekiej osłony wyłupią mu elektroniczne oczy. W tej chwili była praktycznie pewna, że się jej udało. Przeciwnik zaś był pewien, że ma przed sobą formację złożoną z czterdziestu superdreadnoughtów, i nie podejrzewał, by w okolicy znajdowało się ich więcej. Powinien też widzieć „superdreadnoughty” znajdujące się między Sphinksem a Manticore, jednak bez szansy przekonania się, że zbyt odległe dla jego sond jednostki były tylko frachtowcami zaopatrzeniowymi z napędem wojskowego typu. I przy tej wiedzy miał pozostać.

Ich własny system rozpoznania tworzył sferę o średnicy dziesięciu minut świetlnych i opierał się na sondach wyposażonych we wszelkie możliwe wynalazki typu stealth. HMS *Imperator* znajdował się w samym centrum tej sfery, a sensory systemu Ghost Rider przewyższały wszystko, co dało się znaleźć na przejętych okrętach Sandry Crandall. Honor miała w ten sposób Jedenastą Flotę praktycznie na talerzu, dysponowała też pełnym zestawem danych na temat wystrzelonych przez Filaretę sond. Widziała, że na zniszczenie pierwszej fali zwiadowców zareagował skierowaniem w tę samą stronę dalszych sond. Na jego miejscu zrobiłaby niemal na pewno to samo.

I mam nadzieję, że oberwie tak mocno, jak ja bym wtedy oberwała, pomyślała Honor. Teraz trzeba go tylko przekonać, by nadal przyspieszał...

- Przepraszam, milady - odezwała się Andrea Jaruwalski. - Przednie sondy podają, że przeciwnik stawia zasobniki holowane.

- Stawia? A może holowali je cały czas, tylko tego nie zauważyliśmy?

- Stawia, milady - potwierdziła zdecydowanie Jaruwalski. - Musieli dotąd trzymać je pod ekranami.

- Zastanawia się pani, czy nie dlatego ograniczył przyspieszenie? - spytała Brigham i Honor przytaknęła.

- To byłoby wyjaśnienie. Czy ich przyspieszenie spadło podczas stawiania zasobników, Andrea?

- Jak dotąd nie, milady - odparła Jaruwalski. - Ale biorąc pod uwagę liczbę zasobników, by utrzymać obecne przyspieszenie, będą musieli zwiększyć obciążenie kompensatorów o osiem do dziesięciu procent. Wydaje się, że traktują sprawę bardzo poważnie.

- Zgoda - powiedziała Brigham. - Najbardziej zastanawia mnie jednak, co jest w tych zasobnikach. Ostatnio żadnych przecież nie mieli.

- Myśli pani o tych wynalazkach Technodyne, na które Terekhov trafił w układzie Monica, ma'am?

- Lub czymś podobnym do tego, co Mesa użyła w Congu przeciwko Roszakowi. Niemniej nie sądzę, by się z nimi fatygowali, jeśli nie byłoby to coś przewyższającego zdecydowanie ich zwykłe pokładowe pociski. Nie podoba mi się taka możliwość, ale jest to też dowód, że naprawdę gotowi są przejść od słów do czynów.

- Też mi się tak wydaje - powiedziała Honor. - A skoro tak, chyba pora przywitać gości. - Spojrzała na Brantleya. - Gotowy?

- Tak, milady.

- A jak u pana z gotowością? - spytała, spoglądając z uśmiechem na Theismana.

- Chyba nie najgorzej, milady - odparł. - I jestem pewien, że Lester też trwa na posterunku.

- Dobrze. Na razie jednak proszę trzymać się poza kadrem. Dam znać, kiedy przyjdzie właściwa chwila.

Machnęła ręką, jakby wysyłała sekretarza wojny Republiki Haven do kąta, i ten posłuchał. Nimitz bleeknął radośnie, widząc te manewry. Skafander nie pozwalał mu swobodnie poruszać ogonem, ale jego rozbawienie było wyraźnie widoczne, podobnie jak rozbawienie Górskiej Strugi siedzącej we własnym skafandrze na ramieniu Theismana.

Honor odczekała jeszcze chwilę, aż wszyscy znajdą się na swoich miejscach, i skinęła na Jaruwalski.

- Wyślij *Cantatę* do admirała Tourville'a, Andreo.

*

- Mamy zgodę, skipper! - wykrzyknął niespodziewanie Brynach Lacharn. - Siódmy numerek w kolejce!

Hamilton Trudeau spojrział zdumiony na podwładnego sądził, że miejscowi w ogóle nie puszczą DB 17025, a już z pewnością nie bez długiego czekania. Być może ludzie, którzy wybrali właśnie INS, wiedzieli jednak, co robią.

- Dobra, Tommy - rzucił, zwracając się do chorążego Thomasina Tsianga, drugiego oficera stateczku i astrogatora jednocześnie. - Ustaw nas w tej kolejce. Głupio byłoby stracić numerek.

- Aye, skipper.

Jednostka kurierska była na tyle niewielka, by Tsiang mógł się nacieszyć osobistym sterowaniem, i DB 17025 zaczęła gładko nabierać prędkości, wysuwając się z całego tłumu oczekujących na tranzyt frachtowców i pasażerskich liniowców. Trudeau wyobrażał sobie, jak musiało skoczyć w tej chwili ciśnienie obsadom wacht na tamtych jednostkach, ale nie zamierzał im współczuć. Żałował tylko, że nie miał szansy na zdobycie jakichkolwiek informacji o przebiegu operacji Sprawiedliwy Gniew.

W głębi ducha żywił przekonanie, że admirał Tsang też wiele by dała, by dowiedzieć się czegokolwiek na ten temat.

*

- Jest pani pewna, że to dobry pomysł, ma'am? - spytał z powątpiewaniem Christopher Dombroski, obserwując symbol jednostki kurierskiej przemieszczający się w stronę terminalu Beowulfa.

- Wręcz genialny - odparła z krzywym uśmiechem admirał Stephania Grimm.

- Bo ja uważam, że prościej byłoby ich tutaj przytrzymać - mruknął kapitan Dombroski. - Bez naszej zgody donikąd by nie polecieeli, póki jakoś by się to nie skończyło, a wtedy z tamtej strony mielibyśmy święty spokój i już. Beowulf to jest coś i lepiej byłoby trzymać takiego asa w rękawie.

- Poniekąd jestem skłonna się z panem zgodzić - przyznała Grimm.

Z racji roli, jaką przyszło im odegrać w tej operacji, oboje znali dość dobrze kulisy całego planu. Opinia kapitana nie była wcale niedorzeczna, chociaż...

- Prawdę mówiąc, też wolałabym zrobić inaczej - dokończyła Grimm. - Możliwe, że wszyscy byśmy na tym zyskali. Wydaje mi się jednak, że to Beowulf chciał innego rozwiązania. Nikt mi tego nie powiedział wprost, ale wiele zdaje się wskazywać na to, że ich wkurwienie na Równanie osiągnęło poziom krytyczny. Nie mają najmniejszego zamiaru siedzieć z założonymi rękami w chwili, gdy zaczynamy polowanie, a na dodatek nie spodobało im się, jak Kołokolcow i jego mandaryni próbowali to rozegrać. Mają też dość tego burdelu na kółkach, który sam siebie nadal nazywa dobrze zorganizowanym państwem, czyli Ligi Solarnej. No i doszli do wniosku,

że pora pokazać, z kim trzymają. Sądzę, że poczekają, aż admirał Tsang zacznie wykonywać swoją część operacji Sprawiedliwy Gniew, by mieć jednoznaczny dowód, że Kołokolcow i jego ekipa mają konstytucję Ligi w głębokim poważaniu.

Przerwała na chwilę, wydeła wargi i wzruszyła ramionami.

- Zresztą ważniejsi i mądrzejsi zdecydowali już, że tak właśnie ma być, i nie mamy tu nic do gadania. Chociaż muszę przyznać, że jestem diabelnie ciekawa, co z tego ostatecznie wyniknie - dodała z lekkim uśmiechem.

*

- Dobrze, Harper - powiedziała Honor, widząc, że symbol *Cantaty* zniknął z ekranu. - Możesz połączyć mnie z admirałem Filaretą?

*

- Admirale, mamy nadchodzącą wiadomość.

Filareta spojrział na admirała Burrowsa i uniósł jedną brew. Przy dystansie poniżej 15 milionów kilometrów formacja bojowa Królewskiej Marynarki nadal trwała na tej samej pozycji względem planety, jakby czekała na podejście znacznie liczniejszego przeciwnika. Nie przyspieszała i w ogóle nic nie robiła. Nie żeby Filareta zamierzał się na to skarżyć...

- Byłem ciekaw, ile jeszcze wytrzymają - powiedział.

- Prawdę mówiąc, jestem zdumiony, że wytrwali aż tak długo, sir - odparł Burrows z ironicznym uśmiechem.

- Od kogo jest ta wiadomość, Reuben? - spytał Filareta, obracając się do kapitana Sedgewicka, sztabowego oficera łączności.

- Od admirał Harrington, sir - stwierdził Sedgewick. Jego głos brzmiał dziwnie i Filareta zmarszczył brwi. Skoro przekaz dotarł już teraz, musiał pochodzić od Tango Dwa, a to oznaczało, że Harrington

dowodziła jednak mniejszym zespołem. Nie była to jednak nowina aż tak ważna, by tłumaczyła zmieszanie Sedgewicka.

- W czym problem, Reuben? - spytał oschle admirał.

- No bo... - zaczął oficer i wzdrygnął się wyraźnie. - Ona poprosiła o rozmowę z panem. Wymieniła nazwisko. I nazwała pana dowódcą Jedenastej Floty.

Filareta poczuł, jak ogarnia go fala chłodu. Zatrzymał na dłużej spojrzenie na swoim oficerze łączności, po czym przeniósł je na Burrowsa, którego rozbawienie znikło bez śladu.

- Tyle w kwestii tajności - mruknął admirał.

- Tak, sir - stwierdził Burrows, kręcąc głową z niedowierzaniem. - Ktoś na Ziemi musiał puścić farbę.

- A oni mogli cały czas korzystać z terminalu, podczas gdy wędrowaliśmy na piechotę - rzucił ironicznym tonem Filareta. Wyraz twarzy miał jednak bardzo poważny.

- Ciekawe, od jak dawna wiedzą? - zastanowił się Burrows.

- Nawet bardzo ciekawe, prawda? - powiedział Filareta, uśmiechając się złośliwie.

Burrows trafił w samo sedno. Jeśli Manticore dowiedziało się o ich akcji z odpowiednim wyprzedzeniem, mogło przygotować dowolną niespodziankę.

Bez paniki, skarcił się w duchu Filareta. Tak, wiedzieli ale co z tego? Byle chudzielec też może wiedzieć, że ważący ćwierć tony zawodnik sumo zaraz wyrwie mu rączki i nóżki, ale nie urośnie z tego strachu, mięśni nie wyhoduje. Mogli co najwyżej przygotować się na swój los, nadal tak samo nieunikniony.

- Ile pozostało do granicy czasoprzestrzeni, Yvonne? - spytał spokojnym głosem.

- Niecałe sześć minut, admirale. Jeden, przecinek, pięćdziesiąt siedem setnych miliona kilometrów.

- Dziękuję.

Filareta spojrział ponownie na Burrowsa. Względem Sphinksa poruszali się obecnie z prędkością 3,882 km/s, w chwili przejścia granicy miało to być ponad pięć tysięcy, dokładnie tyle, ile przewidywał plan Bravo. Całkowite wytracenie takiej prędkości trwałoby dwadzieścia sześć minut. Znaleźliby się wtedy 3,9 miliona kilometrów wewnątrz sfery i musieliby przez kolejne dwadzieścia sześć minut wracać do granicy, by móc zanurkować w nadprzestrzeń. Oznaczało to, że miał trochę ponad pięć minut na podjęcie decyzji, potem zaś utknął w układzie Manticore-A na blisko godzinę.

Ciekawe zgranie, pomyślał nagle. Czyżby specjalnie czekali z wywołaniem nas do tej właśnie chwili? I od razu wyjawili, że spodziewali się naszego przybycia. Może mają nadzieję, że wpadniemy w panikę i od razu uciekniemy?

- Bill.

- Tak, sir? - Admirał Daniels uniósł głowę znad swojej konsoli.

- Cała flota ma być gotowa do wejścia w nadprzestrzeń na dwadzieścia sekund przed dotarciem do granicy.

- Przepraszam, sir? - spytał Daniels takim tonem, jakby własnym uszom nie wierzył. Trudno było mu się dziwić, zwłaszcza po wcześniejszym wyborze planu Bravo.

- To jakiś problem, admirale? - spytał lodowatym głosem Filareta.

- Och, nie, sir. Oczywiście, że nie! Tylko... Nie oczekiwałem takiego rozkazu.

Filareta zmierzył go wzrokiem.

- Nie powiedziałem, że flota ma wykonać skok - powiedział z naciskiem. - Powiedziałem, że ma być do niego gotowa. Możemy odwołać to pięćdziesiąt sekund przed przejściem, tak?

- Tak, sir. - Daniels zmrużył oczy, jakby zaczynał coś rozumieć. - Chce pan mieć trzy dodatkowe minuty na podjęcie decyzji, sir?

- Właśnie. - Tym razem Filareta zdobył się na uśmiech. - Kilka chwil do namysłu na pewno nie zaszkodzi.

Daniels pokiwał energicznie głową i zaczął przekazywać rozkaz, dowódca zaś spojrzał ponownie na oficera łączności.

- Dobrze, Reuben. Daj teraz wiadomość na główny wyświetlacz.

- Tak, sir.

Ledwo Filareta obrócił głowę, w powietrzu pojawiła się trójwymiarowa holoprojekcja przedstawiająca wysoką kobietę w białym berecie. Białym, nie czarnym, jaki zwykle nosili oficerowi flagowi RMN, ale to był akurat drobiazg. Admirał i tak ją rozpoznał na podstawie wcześniejszych nagrań. Gdyby miał z tym jakieś kłopoty, podpowiedzią byłyby paski i gwiazdki admirała floty widoczne na rękawach skafandra oraz sześciopalcowe stworzenie, które siedziało na jej ramieniu. Od razu zwrócił uwagę na chłodne spojrzenie jej ciemnobrązowych oczu.

Przez chwilę stała w bezruchu, a potem Sedgewick uruchomił odtwarzanie.

- Zwracam się do admirała floty Massima Filarety - powiedziała Honor. - Na wypadek, gdyby pan nie wiedział, informuję, że nazywam się Honor Alexander-Harrington i mam zaszczyt dowodzić siłami wyznaczonymi do obrony tego układu planetarnego. Gdyby nie wystarczyło panu to, że znam nie tylko jego nazwisko, ale wiem też, że jest pan aktualnie dowódcą Jedenastej Floty, której powierzono bardzo

konkretne zadanie, mogę na użytek tego nagrania dodać jeszcze, że operacja, w której bierze pan udział, nosi kryptonim Sprawiedliwy Gniew, co jest raczej... przewrotnym określeniem aktu agresji wobec Gwiezdnego Imperium Manticore dokonanego przez Marynarkę Ligi. Zwłaszcza takiego, który nie został poprzedzony wypowiedzeniem wojny czy jakąkolwiek uchwałą podjętą przez Zgromadzenie Legislacyjne. Przypuszczam, że wynika to ze swoistej tradycji i bezwładu. Liga zwykła dotąd działać w ten sposób i jakoś się udawało. Teraz będzie jednak inaczej. Może mi pan wierzyć, admirale, że tym razem ta sztuczka się nie uda.

Honor rozciągnęła w uśmiechu mocno zaciśnięte wargi, a siedzący na jej ramieniu treecat pokazał ostre jak igły zębiska.

- Przypuszczam, że zawierzył pan meldunkom waszego wywiadu, jakoby lutowy atak w katastrofalnym stopniu osłabił nasze zdolności obronne. Zapewniam pana, że nie jest aż tak źle. Zapewne uważa pan też, że dysponuje poważną przewagą liczebną, skoro mój zespół składa się tylko z czterdziestu superdreadnoughtów. Jeśli pokłada pan w tym jakieś nadzieje, proszę przypomnieć sobie, co stało się z admirał Crandall, chociaż w zespole admirał Gold Peak nie było ani jednego superdreadnoughta.

Przerwała na chwilę, jakby chciała, by znaczenie jej słów dotarło do słuchaczy, po czym podjęła wątek. Nadal tym samym lodowatym głosem.

- Niniejszym informuję pana, że naruszył pan przestrzeń kosmiczną Gwiezdnego Imperium Manticore. Czyn ten, wzięwszy też pod uwagę wcześniejsze przypadki niesprowokowanej agresji Ligi Solarnej wobec Gwiezdnego Imperium, traktujemy jako akt wojny. Jeśli nie opuści pan natychmiast przestrzeni Manticore, Marynarka Wojenna Jej Królewskiej

Mości, działająca wraz ze swoimi sojusznikami, odpowie na ten akt użyciem siły. Jestem też upoważniona do przekazania panu, że jeśli otrzymawszy to ostrzeżenie, przekroczy pan granicę nadprzestrzeni gwiazdy Manticore-A, królowa Elżbieta i jej rząd uznają to za niezbity dowód, iż to mimo dyplomatycznych wybiegów i szlachetnych deklaracji, Liga Solarna dąży do wojny z Manticore. I będzie to tym samym początek wojny.

Przerwała raz jeszcze, tym razem na krótko.

- Cokolwiek myślą o tym ludzie, którzy pana wysłali, nie ma pan żadnych szans na wykonanie zadania, admirał - powiedziała z wielką pewnością siebie. - Jeśli spróbuje pan wypełnić rozkazy, zwłaszcza teraz, poznawszy nasze oficjalne stanowisko, wszelka odpowiedzialność za konsekwencje tego czynu spadnie na pana barki, co oznaczać będzie też odpowiedzialność za śmierć tysięcy pana podkomendnych, którzy zginą w tej wojnie. Przyjdzie panu dzielić winę z tymi wszystkimi skorumpowanymi biurokratami, którzy wysłali pana tutaj, nie mając po temu żadnej podstawy prawnej ani nawet etycznego uzasadnienia dla takiego działania. Alexander-Harrington, bez odbioru.

Gdy Honor skończyła mówić, na mostku SLNS *Philip Oppenheimer* zapadła tak ciężka cisza, że Filareta z ledwością zdołał zachować obojętny wyraz twarzy. Wszystko podpowiadało mu, że Harrington nie blefowała i naprawdę zdawała się znać dokładnie jego rozkazy. Niemniej... miała przecież tylko pięćdziesiąt dreadnoughtów! Z drugiej strony ktoś, kto wygrał tyle bitew, musiał nauczyć się kłamać w przekonujący sposób.

- Przygotować się do przekazu - powiedział w końcu Filareta.

- Tak, sir - odparł Sedgewick. - Mikrofon włączony.

- Admirał Alexander-Harrington - powiedział, starając się naśladować jej uśmiech. -Widzę, że świetnie orientuje się pani, dlaczego tu jestem. Skoro tak, sądzę, że najlepiej będzie przejść od razu do rzeczy. Istnieje najwyraźniej olbrzymia różnica w sposobach odczytania przez nasze kraje całego szeregu niedawnych wydarzeń, jednak nie mam zamiaru wdawać się w dyskusję na ten temat. Nie jestem skłonny nazywać mojej misji „próbą podboju”. Zjawiłem się tutaj, by działając w imieniu Ligi Solarnej, zażądać kapitulacji wszystkich jednostek wojskowych Manticore, cofnięcia bezprawnej decyzji o zamknięciu wormholi dla ruchu solarnego, którą traktujemy jako wypowiedzenie Lidze Solarnej wojny ekonomicznej, i to z naruszeniem podstawowych zasad wolnej żeglugi i wolnego handlu, jak i oddania się waszego rządu do naszej dyspozycji. Być może naprawdę dowodzi pani siłami wystarczającymi do pokonania mojej floty. Ale jeśli nawet rzeczywiście tak właśnie jest, proszę o rozważę. Nie zdoła pani tego osiągnąć, nie ponosząc przy tym ciężkich strat, a winna pani wiedzieć, że poza tymi tutaj, SNL ma w służbie jeszcze tysiąc pięćset dreadnoughtów, a do tego osiem tysięcy w rezerwie. Oczekuję, że moja obecność uświadomi pani, jak poważnie traktuje Liga obecną sytuację, a niezależnie od tego zrozumie, że przy takiej liczebności naszej floty ostateczne zwycięstwo będzie należeć do Ligi Solarnej.

Przerwał dla podkreślenia wagi tego argumentu, wyprostował plecy i spojrzał prosto w oko kamery.

- Zamierzam doprowadzić moją misję do końca, admirał Alexander-Harrington, i nie cofnę się. Trawestując pani słowa, wszelka odpowiedzialność za konsekwencje wynikłe ze stawiania oporu spadnie na pani barki, co oznaczać będzie też odpowiedzialność za śmierć tysięcy pani podkomendnych. To Manticore będzie winne tej

wojnie. Tym samym żądam niezwłocznego wyłączenia napędów podległych pani jednostek. Jeśli pani odmówi, użyję siły. Filareta, bez odbioru.

*

- W zasadzie można było tego oczekiwać - powiedziała Harrington kilka minut później. - I nawet zdążyli mu jeszcze przekazać z Chicago fragment o otwarciu terminali.

- To było tak aroganckie, że aż solarne - mruknęła Mercedes Brigham ze złowróżbnym wyrazem twarzy.

Honor uśmiechnęła się blado i sprawdziła aktualny czas, podawany w narożnikowym okienku głównego ekranu. Mogłaby używać rozstawionych wraz z sondami zwiadowczymi sond Hermes, które pozwoliłyby na rozmowę w czasie rzeczywistym, ale opóźnienie działało chwilowo na jej korzyść.

- Pora na drugą rundę, Harper.

- Tak, milady - przytaknął oficer łączności. - Mikrofon włączony.

- Widzę, że racjonalne myślenie nie należy do przymiotów korpusu oficerskiego Marynarki Ligi, admirała Filareta - powiedziała, patrząc w kamerę. - Nie powiem, by szczególnie mnie to zaskoczyło, biorąc pod uwagę wcześniejsze katastrofalne w skutkach decyzje waszych oficerów flagowych, zwłaszcza tych służących w ramach Battle Fleet. Czy nikt u was nie zauważył, że jak dotąd nie wygraliście ani jednego ze sprowokowanych przez was starć? Oczywiście poza przypadkiem, gdy wasz dowódca zdecydował się otworzyć ogień do jednostek, które nie miały nawet uruchomionych ekranów. Na wszelki wypadek zaznaczam, że tym razem podobne zaskoczenie nie wchodzi w grę.

Spojrzała na rozmówcę pogardliwie i nie musiała w tym przypadku nawet udawać.

- Oczywiście nie mogę zabronić pańskiej flocie wladowania się w jeszcze większą kabałę niż ta, która stała się udziałem Sandry Crandall. Uprzedzam jednak, że cała nasza rozmowa jest rejestrowana i zostanie dobrowolnie oraz bez opłat dostarczona składowi sędziowskiemu, przed którym stanie pan niewątpliwie, o ile tylko zdoła pan przetrwać najnowsza klęskę SLN. Przypominam więc moje ostrzeżenie, że jeśli przekroczy pan granicę nadprzestrzeni tego układu planetarnego, zostanie panu już tylko walka, w której pana flota ulegnie zagładzie, a Gwiezdne Imperium Manticore i Liga Solarna znajdą się w stanie wojny. Alexander-Harrington, bez odbioru.

*

- Alexander-Harrington, bez odbioru.

Massimo Filareta miał już serdecznie dość tego lodowatego sopranu, ale chociaż krew w nim zaczynała wrzeć, zdołał opanować się na tyle, by przez moment trzeźwo pomyśleć. Jak dotąd jego wymiana zdań z Harrington zajęła dwie i pół minuty, do granicy zostały mu jeszcze trzy. Dzięki wcześniejszej decyzji kupił sobie trochę czasu, ale nie było go aż tak wiele. Za góra dwie minuty musi coś postanowić.

Kobieta, z którą rozmawiał, musiała być chyba szalona. Górował nad nią liczebnie w proporcji dziesięć do jednego, przy czym jej zgrupowanie wisiało martwo w pustce, podczas gdy Jedenasta Flota poruszała się z prędkością blisko 5 tysięcy kilometrów na sekundę. Nie było takich kompensatorów bezwładnościowych, które dałyby jej szansę wyrwania się spod jego ostrzału.

To nie ma sensu, pomyślał, chyba że naprawdę ma nadzieję roznieść nas tymi swoimi pociskami, i to niezależnie od przewagi prędkości. Tak, to może być to. Tyle że znajduje się już w zasięgu naszego skutecznego ognia. Może o tym nie wie, ale jednak. Celność byłaby fatalna, ale

jesteśmy w stanie ją osiągnąć, a przy takiej przewadze liczebnej... Nie dostanę drugiej takiej szansy. Tym razem nie zdoła się wycofać, by nas razić, nie narażając się na nasze salwy. Na dodatek istnieje szansa wyeliminowania co najmniej jednej trzeciej pozostałych im ciężkich jednostek. Nie przetrwają takiego ciosu, choćby nawet zniszczyli w rewanżu cały mój zespół...

Było tylko jedno „ale”. Harrington też musiała to wszystko wiedzieć, a mimo to prowokowała przeciwnika. Dlaczego?

Filareta spojrzał raz jeszcze na ekran, wciągnął głęboko powietrze i podjął decyzję. Machnął na Sedgewicka.

- Mikrofon włączony, sir.

- Najwyraźniej pokłada pani wielką wiarę we własne możliwości, pani admirał - powiedział lodowatym głosem. - Ja również wierzę w moją flotę. Chyba przyjdzie nam więc przekonać się, które z nas ma rację. Macie dziesięć minut na dokonanie wyboru. Jeśli nie wyłączycie w tym czasie ekranów, by przygotować się do kapitulacji, drugiej szansy nie będzie. Filareta, bez odbioru.

Rozdział XXII

- Mamy kontakt z *Cantata*, sir.

- Dziękuję, Frazier.

Komandor Frazier Adamson gościł na Manticore dość długo i wiele się w tym czasie nauczył, ale jedno mu się nie udało. Wyobraźnię miał nadal ograniczoną, dlatego ilekroć musiał zająć się czymś wykraczającym poza swe zwykłe obowiązki, bywał niebywale drażniący w swym jednotorowym myśleniu i zamknięciu na wszystko, co by mu w tym przeszkadzało. Czasem jednak i ta jego cecha bywała przydatna, Tourville zaś żałował niekiedy, że sam ma aż zbyt bujną wyobraźnię.

Chociaż w sumie może i nie było to takie złe... Przydawała mu się ta elastyczność, zwłaszcza obecnie, gdy niespodziewany bieg wydarzeń uczynił go ponownie dowódcą Drugiej Floty wchodzącej teraz w skład Grand Fleet.

Wprawdzie jego Druga Flota nie była tą samą, z którą przyleciał nie tak dawno do układu Manticore, ale nadal była zgrupowaniem Marynarki Wojennej Republiki Haven. Nazwa „Grand Fleet” została zaproponowana przez Eloise Pritchard w celu uniknięcia sytuacji, w której jakikolwiek sojuszniczy zespół musiałby zostać włączony w skład floty innego państwa. W ten sposób wszyscy byli równi. Tourville uważał, że ma to sens, chociaż nie przeszkadzałoby mu, gdyby miał operować pod cudzym sztandarem. Wiedział jednak, że dla wielu oficerów z Republiki Haven byłby to powód do obrazy, nie mówiąc już o politykach z Nouveau Paris. Zwłaszcza tych gotowych zbijać polityczny

kapitał na czyimś wkurzeniu. I bez tego dość mieli obrażonych faktem, że dowództwo nad Grand Fleet powierzono Honor Harrington.

Zgrywanie tak wielkiej formacji nie przypominało majówki, szczęśliwie Tourville'owi udało się uzyskać zgodę na zachowanie przy sobie sztabu podczas pobytu w niewoli Imperium Manticore i jego członkowie podjęli zasadniczo te same funkcje, które pełnili w dawnej Drugiej Flocie (przy podsumowaniu okazało się zresztą, że Tourville był najstarszym stopniem oficerem Marynarki Republiki, który trafił do niewoli podczas całej wojny, co miał jednak za wątpliwy zaszczyt). Dzięki temu miał teraz do dyspozycji zintegrowany i skuteczny zespół, chociaż trwało trochę i kosztowało go sporo potu, nim wyplenił dawne odruchy i ludzie zaczęli przyzwyczajać się do myśli, że teraz będą walczyć nie przeciwko, ale razem z Gwiezdnym Imperium. Nie żeby dziwiła go ta trudność. Sam miał kłopoty z przestawieniem się po tylu latach zacieklej wojny. Akurat w tym przypadku brak wyobraźni ułatwił zapewne Adamsonowi życie.

- Jest sygnał od komandora Pruitta, sir. - Porucznik komandor Anita Eisenberg była najmłodszą podwładną, jaką zdarzyło się mieć Tourville'owi na mostku, ale jej awans ze zwykłego porucznika, otrzymany jeszcze w obozie jenieckim, był jak najbardziej zasłużony. Obecnie pełniła funkcję oficera łączności i chociaż nie miała wiele pracy, była niezastąpiona w kilku innych rolach. - *Cantata* zaczyna przekaz danych.

- Dziękuję, Ace. - Tourville uśmiechnął się do dziewczyny i spojrzał na Adamsona. - Jakież zmiany, Frazier?

- Na razie nic, sir - stwierdził Adamson trochę nieprzytomnym głosem, obserwując na bocznym ekranie przebieg transmisji z *Cantaty*.
- Wydaje się, że Filareta utrzymuje stałe przyspieszenie i za jakieś

cztery minuty dojdzie do granicy nadprzestrzeni. Gdy to się stanie, będzie totalnie udupiony - dodał z satysfakcją, wyraźnie się ożywiając. W przypadku planowania taktycznego jego wyobraźnia nagle budziła się z letargu, a na tę chwilę czekał z utęsknieniem od dnia, kiedy został zapoznany z planem.

Tourville pokiwał głową w zamyśleniu, rozdzierając jednocześnie opakowanie markowego cygara. Trudno mu było opanować przy tym uśmiech. Wiedział, że wszyscy obecni na mostku flagowym RHNS *Terror* śledzą pilnie jego ruchy. Cygara były częścią jego legendy i nowi w załodze, a było ich całkiem sporo, czekali w napięciu, chcąc na własne oczy się przekonać, że on naprawdę to robi.

Siedzący na oparciu fotela treecat mrauknął z rezygnacją. Przyczajony w Gałęziach nie lubił zapachu palonego tytoniu albo przynajmniej tak utrzymywał. Tourville przyłapał go kilka razy na wążaniu dymu, przy czym treecat nie wyglądał wtedy wcale na nieszczęśliwego. Nie było jasne, czy traktuje to jako coś wpisanego w koszty opieki nad dwunogiem, czy może jakoś inaczej, niemniej publicznie zajmował stanowisko niedwuznaczne. Tourville nadal słabo rozumiał język migowy, ale gest uszczelnienia skafandra w wykonaniu kotowatego trudno było w tym przypadku odczytać w mylny sposób.

- To chyba pora przygotować się na potańcówkę - powiedział i uśmiechając się do skrytego za wizjerem hełmu treecata, wetknął sobie cygaro do ust. Upewnił się jeszcze, że trzyma je pod odpowiednio zawadiackim kątem, i spojrzął na wyświetlacz zapewniający mu łączność z dowódcami trzech zespołów wydzielonych tworzących Drugą Flotę.

Całą trójkę dobrał bardzo starannie. Wszystkich znał wcześniej, co bardzo ułatwiło weryfikację. Ale i tak nie było łatwo. Po roku przerwy

w dowodzeniu czuł się, jakby go rdza pokryła, i zastanawiał się, na ile tych troje będzie gotowych przyjmować rozkazy od admirała, który bez dwóch zdań przegrał swoją ostatnią bitwę, stoczoną w tym właśnie układzie planetarnym. Inna jeszcze sprawa, która go zastanawiała, to jak dowodząca Capital Fleet admirał Pascaline L'anglais zniosła sytuację, kiedy to niemal siedemdziesiąt procent jej ciężkich jednostek zostało nagle przeniesionych pod cudze dowództwo. Lester Tourville byłby na jej miejscu wściekły i głośno wyrażałby swoje uczucia, nie dbając w ogóle o to, do czyich uszu może to dojść.

Oczywiście zgodnie z pierwotnym planem dowództwo odtworzonej Drugiej Floty objąć miał Thomas Theisman i nawet porywczą L'anglais nie miałyby nic przeciwko temu. Na zmianę zdecydowano się w fazie układania planu powitania Filarety. Księżna Harrington wystąpiła wówczas z sugestią, że Theisman może o wiele bardziej przydać się na pokładzie cudzego okrętu, a gdy wyjaśniła to szczegółowo, ten zgodził się entuzjastycznie, mocno zdumiewając tym zresztą Tourville'a. W ten sposób Druga Flota została bez oficera flagowego mającego doświadczenie bojowe na takim właśnie stanowisku.

A dokładniej, nie został w niej nikt taki, poza jednym jedynym Lesterem Tourville'em.

- Dobrze zatem - powiedział do swoich dowódców zespołów. - Komandor Adamson wysyła wam właśnie rozkaz rozpoczęcia akcji. Zegar zaczyna tykać. Czy ktoś chce wygłosić jakieś wiekopomne zdanie?

Zmarszczył brwi i uniósł antyczną srebrną zapalniczkę plazmową, by po chwili wydmuchnąć kłąb aromatycznego dymu.

- Nic wiekopomnego nie przychodzi mi do głowy, admirale - powiedział z krzywym uśmiechem wiceadmirał Oliver Diamato. - Ale wedle mojej wiedzy bardziej gotowi już nie będziemy. Zastanawiam się

tylko, czy nie obudzę się w pewnej chwili. Czy nie okaże się, że to jakiś przedziwny sen.

- Może i sen - odezwała się wiceadmirał Jennifer Bellefeuille ze swojego okna na ekranie. - Ale przyjemny, skoro mamy w nim walczyć z Ligą Solarną, nie z Manticore.

Wiceadmirał Sampson Hermier, dowódca trzeciego zespołu, pokręcił tylko głową z pełnym niedowierzania uśmiechem. Był niemal równie młody jak Diamato, co stanowiło spore osiągnięcie przy jego szarży, i należał do nielicznych ocalałych członków wpływowej niegdyś grupy Legislatorów.

Tourville znał go słabiej niż pozostałych, niemniej zapis jego działań bojowych był imponujący. Inaczej Thomas Theisman nigdy nie mianowałby go dowódcą zespołu wydzielonego.

Zwłaszcza w ramach Drugiej Floty.

- Cóż, wszyscy z wyjątkiem Sampsona odebraliśmy kiedyś od RMN lekcję pokory - powiedział Tourville, zerkając w kamerę poprzez dym, którego wyciągi nie nadążały usuwać.

- Zgadzam się więc z wami, że obecna sytuacja wydaje się jakby nierzeczywista. Ale tak jak Jennifer, nie mam nic przeciwko ukróceniu arogancji Ligi Solarnej. A poza tym teraz wiemy już, kto jest naszym prawdziwym wrogiem - dodał z poważnym wyrazem twarzy.

Jego podwładni spojrzeli na niego w sposób wyrażający jednoznaczne poparcie.

- Mam nadzieję, że uda nam się to przeprowadzić bez wyrządzania komukolwiek krzywdy. Wszystko zależy od tego, na ile Filareta wykaże się zdolnością myślenia. Niemniej jeśli nas zawiedzie, musimy im porządnie dokopać. Czy to jasne?

Cała trójka pokiwała głowami.

- I dobrze.

Tourville spojrział na widoczne w narożniku ekranu okno wyświetlające malejący ciąg liczb, po czym odwrócił się do Molly DeLaney, która była jego szefem sztabu. W jej ciemnych oczach błysnęło coś niepokojącego. Jako trochę starsza miała więcej powodów do rezerwy wobec wszystkiego, co wiązało się z Gwiezdnym Imperium, zwłaszcza że straciła w niedawno zakończonej wojnie sporo przyjaciół. Wszystkie wątpliwości zachowała jednak dla siebie i ktoś, kto jej nie znał, nie miał prawa ich dostrzec, ale Tourville zjadł z nią już beczkę soli i wiedział, co się dzieje. Był jednak pewien, że ona też spełni swój obowiązek. Nie dlatego, że nienawidziła solarnych, chociaż podobnie jak wielu zawodowych oficerów miała dość ich arogancji. W tej chwili czekała niecierpliwie na chwilę, gdy sprawiedliwości stanie się zadość.

Filareta był dla niej tylko epizodyczną postacią, a cała Liga Solarna mało znaczącym tworem, który należało jak najszybciej usunąć z drogi. Molly DeLaney mogła nie lubić mieszkańców Manticore i pewnie wzdragała się trochę przed sojuszem z nimi, ale to też były drugoplanowe sprawy wobec koszmaru bitwy o Manticore. Rozumiała, że obrońcy zrobili wówczas to, co ona sama by zrobiła, gdyby ktoś zagroził jej rodzinnemu światu. Mogła ich więc nie lubić, ale ich szanowała, poza tym teraz wiedziała, że Gwiezdne Imperium zostało wmanewrowane w tę wojnę równie przebiegle jak Republika Haven i że uczynił to ktoś pragnący zniszczyć oba państwa. I to właśnie ci ludzie byli teraz jej celem. Chciała dopaść odpowiedzialnych za atak na Torch, dopaść tych, którzy wysłali tamtą Drugą Flotę na pewną śmierć. Ożywiana płomienną nienawiścią gotowa była sprzymierzyć się z każdym, kto mógł pomóc jej w osiągnięciu celu.

- Odliczamy, Frazier - powiedział Tourville, odwracając spojrzenie od DeLaney. -Odliczamy.

*

Przekraczając granicę nadprzestrzeni, Jedenasta Flota poruszała się z prędkością ponad pięć tysięcy kilometrów na sekundę. Samo przejście nie wiązało się oczywiście z jakimikolwiek fizycznymi odczuciami, jednak w chwili, gdy ikona symbolizująca SLNS *Philip Oppenheimer* minęła bursztynową krzywiznę, na mostku flagowym superdreadnoughta rozległo się ledwie słyszalne, za to gromadne westchnienie.

Admirał Filareta stał nieruchomo i wpatrywał się z napięciem w projekcję taktyczną. Formacja Tango Dwa ciągle tkwiła tam, gdzie wcześniej, nie próbując nawet żadnych manewrów unikowych, kusząc do zapolowania na tak łatwy cel. Filareta coraz bardziej ulegał tej pokusie, czekając z utęsknieniem na chwilę, gdy będzie mógł dopaść zwierzynę. Wyczuwał przy tym, że otaczające go osoby myślą dokładnie o tym samym, jednak było jeszcze coś: świadomość, że nie ma już odwrotu. Teraz pozostało im tylko wygrać albo przegrać. Mimo nowych pocisków i olbrzymiej przewagi liczebnej nie potrafili jednak tak do końca zapomnieć o tym, co spotkało Sandrę Crandall.

Nie byliby ludźmi, gdyby się nie denerwowali, stwierdził Filareta. Był pewien, że cokolwiek ich czeka, los Tango Dwa został już przesądzony. Czterdzieści superdreadnoughtów nie miało prawa przełamać obrony floty złożonej z czterystu trzydziestu równie ciężkich okrętów.

Minęła minuta. Dwie. Trzy.

Prędkość Jedenastej Floty wzrosła do 5647 km/s. Granica nadprzestrzeni została 963 tysięcy kilometrów za nimi, do Tango Dwa

mieli jeszcze 12,3 miliona kilometrów. Przeciwnik był już w zasięgu ich pocisków, i to bez wykorzystywania balistycznej fazy przebiegu, chociaż przy dystansie czterdziestu jeden sekund świetlnych celność byłaby znikoma. Z drugiej strony, chodziło tylko o czterdzieści celów, każdy z jego superdreadnoughtów zaś holował dwanaście zasobników zawierających po dziesięć pocisków. Do tego dochodziły wyrzutnie pokładowe, trzydzieści na każdej burcie. Wszystkie jednostki otrzymały wprawdzie systemy Aegis, które na każdym z nich zajęły dwie wyrzutnie, ale ich wspólna salwa burtowa nadal mogła liczyć ponad 64 tysiące rakiet.

Inna sprawa, że przewyższało to znacznie ich możliwości sterowania pociskami. Symulacje wykazały, że są w stanie naprowadzać ich jednocześnie nie więcej niż 17 tysięcy. Filareta zdecydował więc o „wzbogacaniu” każdej salwy burtowej pociskami z zasobników w liczbie 4,2, co pozwalało na oddanie dwunastu takich salw przed wyczerpaniem dodatkowych zasobów. W ten sposób na każdy z superdreadnoughtów przeciwnika przypadać miało ponad czterysta rakiet, przy czym pierwsza salwa miała być skierowana tylko przeciwko połowie grupy Tango Dwa. Żaden dreadnought nie był w stanie przetrwać nawały ponad ośmiuset pocisków, było więc tylko kwestią czasu, zanim...

- Zmiana statusu! - wyrzucił nagle z siebie William Daniels. - Mamy nowe sygnatury napędu. Wiele sygnatur!

Massimo Filareta otworzył szeroko oczy, gdy obraz na ekranie zmienił się w dramatyczny sposób.

W grupie Tango Dwa pojawiły się nowe punkty. Całe setki punktów! Żadne ze źródeł emisji nie było dość silne, by oznaczać okręt liniowy. Mogło chodzić o kutry, ale obiekty były zbyt liczne. Tworzyły zwartą

półkulę oddzielającą formację Manticore od Jedenastej Floty i nieustannie pojawiało się ich więcej.

Samo w sobie byłoby to już wystarczająco zaskakujące, ale nie skończyło się tylko na tym. Chwilę później półtora miliona kilometrów za grupą Tango Dwa pojawiło się duże skupisko o wiele silniejszych sygnatur, które musiały oznaczać obecność kolejnych okrętów liniowych.

To dlatego zniszczyli nasze sondy, pomyślał Filareta. Zniszczyli je, zanim zdołały minąć pierwszą grupę i wykryć drugą, zamaskowaną i czekającą biernie na rozwój wydarzeń. A co ja zrobiłem? Dałem się nabrać na tę sztuczkę. Po prostu. Skierowałem moje sondy na Tango Dwa, zamiast je rozproszyć i sprawdzić, czy coś nie kryje się jeszcze dalej.

- Oznaczam nową grupę jako Tango Trzy - oznajmił oficer operacyjny opanowanym głosem, jednak Filareta usłyszał w nim drżenie świadczące o głębokim szoku. Daniels też zrozumiał, że Harrington ich nabrała. - Przybliżona liczebność Tango Trzy to sto pięćdziesiąt, powtarzam, jeden, pięć, zero superdreadnoughtów w otoczeniu co najmniej ośmiuset kutrów.

Filareta zacisnął szczęki. Liczba jego przeciwników powiększyła się pięciokrotnie. Ot, tak, niemal w jednej chwili.

Ale nadal mamy nad nimi dwukrotną przewagę, a Tango Trzy znajduje się ponad milion kilometrów za Tango Dwa i nie zdoła wesprzeć obrony pierwszego zespołu. Wystarczy, że podejdziemy dość blisko i...

- Zmiana statusu! - wykrzyknął ponownie Daniels i tym razem Filareta pobladł, widząc na ekranie nową grupę sygnatur, które pojawiły się ponad dziesięć milionów kilometrów za jego rufą, tworząc

największy ślad wyjścia nadprzestrzennego, jaki zdarzyło mu się dotąd widzieć.

- Oznaczam nową grupę jako Tango Cztery - zameldował Daniels matowym głosem. Wiedział już, że ponieśli klęskę, i w głębi ducha był bliski paniki. Tym bardziej starał się wykonywać pilnie swoje obowiązki. Tylko to jedno mogło go uratować przed czarną rozpacą. - Szacunkowa liczebność Tango Cztery to dwieście pięćdziesiąt superdreadnoughtów. Z minimalną osłoną, ale...

Daniels przerwał na chwilę i odchrząknął.

- Sir, w grupie Tango Cztery pojawiają się dodatkowe sygnatury. Są już widoczne na ekranie. To kutry. W zespole muszą znajdować się jednostki zdolne do ich przenoszenia.

Na mostku *Oppenheimera* zapadła kompletna cisza.

Złapali mnie w pułapkę, pomyślał wstrząśnięty Filareta, mimo wszystko odczuwając niejaki podziw dla przeciwnika. Zgrali wszystko idealnie z moim podejściem do celu, najpierw pokazując mi wyłącznie grupę Tango Dwa. Gdy złapałem już przynętę i przeszedłem granicę nadprzestrzeni, ujawnili grupę Tango Trzy. Tango Cztery musiała czekać cały czas w nadprzestrzeni. Pewnie wysłali do niej kuriera... i też wyszła w chwili, gdy nic już nie mogłem zrobić.

Rozumiał, że wszystko to była kwestia zgrania i reagowania na jego manewry. Przelotnie zastanowił się, czy grupa Tango Cztery wyszłaby z nadprzestrzeni, gdyby nie zdecydował się przekroczyć granicy.

Zapewne nie, pomyślał. Jedynym sposobem uniknięcia przejścia granicy byłaby ucieczka w nadprzestrzeń. A gdy już by się tam znalazł, byłby z początku niemal całkiem ślepy, zostawiwszy wszystkie sondy w normalnej przestrzeni. I nie pomyślał nawet o wydzieleniu pary

niszczycieli, by pilnowały tyłów. Nie od razu zorientowałby się, że ma kogoś na ogonie.

Został zmanipulowany, i to w wyjątkowo ponizający sposób. Przeciwnik przewidział wszystkie jego ruchy, tak jak ktoś doświadczony, weteran czy po prostu dorosły, może przewidzieć poczynania wbitego w dumę i przekonanego o swej wszechwładzy żółtodzioba. Tak, po prostu rozgryźli go i czekali tylko, aż sam się w tę pułapkę włada. A teraz będzie musiał przełknąć bardzo gorzką pigułkę.

- Sir - odezwał się nieśmiało Reuben Sedgewick. - Zostaliśmy wywołani przez admirał Harrington.

*

- Chyba zorientował się już pan, że sprawa nie wygląda wcale tak prosto, admirale Filareta? - spytała Honor z ironią, a może nawet lekkim rozbawieniem w głosie. Filareta zgromił ją spojrzeniem, ale jedyne, co poza tym mógł zrobić, to starać się zachować neutralny wyraz twarzy. - Uprzedzałam pana, że szacunki waszego wywiadu na temat naszych niedawnych strat nie odpowiadają prawdzie.

- Tak, mówiła pani - przyznał Filareta i nastawił się w duchu na osiemdziesiąt sekund oczekiwania na odpowiedź.

- Szkoda, że mi pan nie uwierzył - odparła Honor po sekundzie i tym razem zaskoczony Filareta nie zdołał zachować obojętnego wyrazu twarzy. - W tej chwili rozmawiamy przez boje systemu Hermes, admirale - wyjaśniła z uprzejmym uśmiechem. - Mamy ich tu trochę i służą jako przekaźniki przy łączności nadświetlnej. Chyba przyzna pan, że to przydatny wynalazek?

Filareta poczuł lodowate mrówki wędrujące mu wzdłuż kręgosłupa. Oto miał w ręku ostateczny dowód, że Manticore naprawdę dysponuje

systemem nadświetlnej łączności.

- Domyślam się, że jeszcze parę minut temu był pan przekonany, iż posiada wyraźną przewagę liczebną nad moimi siłami - podjęła Harrington. - Nie ma pan tej przewagi. Co więcej, nie ma pan do czynienia tylko z Royal Manticoran Navy. Znaczna część naszych okrętów znajduje się w tej chwili... gdzie indziej, wykonując inne zadania. Poprosiliśmy więc przyjaciół, by uzupełnili braki w naszych szeregach. Jednostki, których obecność wykrył pan między Sphinksem a Manticore, to niestety tylko frachtowce, wyposażone w impellery i kompensatory bezwładnościowe. Chcieliśmy, by odwróciły pana uwagę od zespołu, który teraz musiał już pan dostrzec. To zgrupowanie należące do Marynarki Graysona, wsparte jednostkami Protector's Own. Gdyby wasz wywiad nie trafił na tę informację, uprzedzam że wszystkie one reprezentują dokładnie ten sam poziom technologiczny co okręty RMN. Zgrupowanie, które wyszło właśnie z nadprzestrzeni za waszymi plecami, to trzy zespoły wydzielone Marynarki Republiki. Chyba domyśla się pan, że Republika Haven nie byłaby w stanie tak długo prowadzić wojny z nami, gdyby poziom rozwoju ich systemów uzbrojenia był znacznie gorszy od naszego.

Przerwała na chwilę, jakby zachęcała admirała do zabrania głosu, a siedzący na jej ramieniu treecat przekrzywił głowę i przyjrzał mu się z zaciekawieniem, lekko ruszając przy tym wibrysami.

Filareta czuł się jak ktoś, kto właśnie otrzymał cios w brzuch. Marynarka Republiki? Owszem, wywiad i Biuro Planowania uprzedzały, że Grayson może się okazać na tyle nierozważny, by stanąć aktywnie po stronie Manticore. Ostatecznie to byli fanatycy religijni, jeszcze bardziej zacofani niż te różne monarchie. Liczył się więc z możliwością, że napotka jakieś ich jednostki, chociaż nikt nie przypuszczał nawet, że

świat tkwiący jeszcze w epoce komputera łupanego zdoła wystawić taki zespół superdreadnoughtów. Ale Haven? Po tylu latach krwawej wojny z Manticore? Co mogłoby ich skłonić do zawarcia takiego sojuszu, i to przeciwko Lidze Solarnej? Niedorzeczne. Chyba że...

- Ufam, że wybaczy mi pani ten sceptycyzm, admirał Harrington, ale trudno mi uwierzyć, by Republika Haven skłonna była przyjść wam z pomocą w takiej sytuacji - powiedział tonem bardzo zbliżonym do normalnego i zdobył się nawet na uśmiech. - Pamiętając o wielkości waszej marynarki handlowej, skłonny jestem raczej sądzić, że to kolejny zespół frachtowców.

- To byłby ciekawy pomysł i pomyślałam o tym, że może pan dojść do takiego wniosku - przyznała Honor. - Zaprosiłam więc na mój okręt kogoś, kto powinien pana przekonać.

Skinęła głową i w kadrze pojawił się muskularny mężczyzna w skafandrze z oznaczeniami admirała Marynarki Republiki.

- Pozwoli pan, że przedstawię admirała Thomasa Theismana - powiedziała lodowatym głosem. - Może pan o nim słyszał? Jeśli tak, zapewne wie pan, że admirał Theisman pełni funkcję sekretarza wojny Republiki Haven i jest także szefem działu operacyjnego jej Marynarki. Można więc chyba przyjąć, że posiada wszelkie pełnomocnictwa, by wypowiadać się w imieniu Republiki.

- Tak, jestem do tego uprawniony, admirał Filareta - odezwał się ciemnowłosy mężczyzna tonem równie chłodnym co Honor. - A skoro zwracam się do pana z pokładu jednostki flagowej księżnej Harrington, nie pozostawia to chyba żadnych wątpliwości co do stanowiska mojego państwa. Gdyby powątpiewał pan w prawdziwość mojej tożsamości, proponuję rozkazać oficerowi wywiadu, by sięgnął do swoich zapisów. Kontaktowałem się w przeszłości z przedstawicielami SLN, zatem

zapewne macie coś na mój temat, chociaż nie byłem jeszcze wtedy oficerem flagowym. Nie jest też wykluczone, że przekazano te materiały do pańskiego banku danych, gdy wyruszaliście w tę okolicę.

Brzmienie jego głosu zdradzało głęboką niewiarę w tego rodzaju zapobiegliwość. Filareta skrzywił się w duchu, przyznając, że Theisman miał jednak podstawy, by tak myśleć, zważywszy na to, jak bardzo wywiad Ligi Solarnej zawiódł w przypadku Manticore.

- Gdy będziecie to sprawdzać, pozwoli pan, że potwierdzę słowa księżnej Harrington o wsparciu udzielonym Imperium Manticore przez rząd Republiki Haven, jak i przeze mnie osobiście. Obecne szalone działania Ligi Solarnej są dla nas tylko kolejnym przejawem arogancji, już wcześniej widocznej w waszej polityce zagranicznej. Trudno, żeby galaktyka w nieskończoność tolerowała praktykowane przez Ligę naruszanie prawa międzygwiazdowego i parafowanych wcześniej traktatów czy lekceważenie okazywane niezależnym państwom, które stanęły akurat na drodze ekspansji Biura Bezpieczeństwa Granicznego. To, że najwyraźniej nikt w Lidze nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo jesteście zmanipulowani przez jeszcze bardziej przesiąkniętą zgnilizną instytucję, czyni was tym bardziej niebezpiecznymi dla sąsiadów. A nawet nie tylko dla nich. Wobec takiego stanu rzeczy Republika Haven postanowiła stanąć u boku Gwiazdowego Imperium Manticore oraz jego sojuszników, by wraz z nimi odpowiedzieć na najnowszy akt niesprowokowanej agresji ze strony Ligi Solarnej.

Gdy Theisman skończył, Filareta obejrzał się na komodora Sobolewskiego, który uwijał się gorączkowo przy swojej konsoli. Nagle na twarzy oficera odmalował się wyraz skrajnego zdumienia. Spojrzawszy na admirała, kiwnął głową. Raz, ale za to wyraźnie.

Filarecie zrobiło się jeszcze zimniej. To naprawdę był Theisman albo ktoś idealnie do niego podobny, chociaż naprawdę trudno było pojąć, jaki obłąd sprowadził sekretarza wojny Republiki Haven na mostek jednostki flagowej Harrington. I dlaczego, do kurwy nędzy, Theisman miał treecata na ramieniu?

Admirał odsunął te pytania. Cokolwiek tu się działo, nie miało akurat żadnego wpływu na jego sytuację taktyczną. Obrócił się do kamery i otworzył usta, ale Harrington go ubiegła.

- Zanim przejdziemy dalej, pozwoli pan, że podsumuję obecną sytuację taktyczną, admirale Filareta. Pańska flota znajduje się pomiędzy dwoma naszymi zgrupowaniami, których łączna liczebność dorównuje sumie pańskich superdreadnoughtów. Z informacji dostarczonych przez nasze sondy zwiadowcze wynika, że ma pan do dyspozycji ponad pięć tysięcy zasobników holowanych, z których każdy mieści dziesięć pocisków, co daje łącznie pięć tysięcy sto rakiet. Ponadto każdy z pańskich dreadnoughtów dysponuje sześćdziesięcioma wyrzutniami, po trzydzieści na burcie, z czego dwie zostały zaadaptowane dla systemu Aegis. Zakładamy, że pańskie pociski są co najmniej tak samo dobre jak te dostarczone niedawno przez Mesę w celu przeprowadzenia bandyckiego ataku na Torch. Jeśli tak jest, moje siły znajdują się obecnie w skutecznym zasięgu pańskich rakiet.

Przerwała ponownie, jakby zapraszała go do skomentowania, ale Filareta zbyt był zajęty panowaniem nad wyrazem twarzy, by się odezwać. Z każdą chwilą było coraz gorzej. Skoro przeciwnik znał tak dobrze jego możliwości, musiał chyba wprowadzić sondy zwiadowcze do środka jego szyku, a tymczasem sensory nadal niczego nie wykazywały!

- Moje zespoły mają trochę więcej zasobników - powiedziała Honor.

- Sir...!

- Co? - warknął Filareta, wyładowując się na oficerze, i obrócił się w jego stronę.

- Sir, na ekranie...

Filareta spojrział ponownie na główny ekran i oniemiał. Zaraz też zrozumiał, że Harrington zamilkła celowo. Czekala, aż podążający z prędkością światła obraz dotrze do jego floty. Projekcja ukazywała taką liczbę nowych obiektów, że wyglądały na zwartą masę, ciasno stłoczony tłum.

- To są moje zasobniki holowane, admirale - dobiegło go z ekranu za plecami. - A dokładniej, część z nich. Domyślam się, że może mieć pan niejaki kłopot z ich policzeniem, zatem podpowiem. Jest ich ponad ćwierć miliona... i stanowią około dziesięciu procent tego, czym w tej chwili dysponuję. Co więcej, każdy pocisk z tych zasobników ma skuteczny zasięg powyżej czterdziestu milionów kilometrów, przy czym w odróżnieniu od pana my przy ich naprowadzaniu możemy korzystać z nadświatlnych łączy i równie szybko reagujących systemów wojny radioelektronicznej.

- I co z tego? Moje znacznie gorsze pociski i tak zdołają zmienić panią i całą pani flotę w obłoki plazmy - powiedział chrapliwym głosem Filareta, nim zdołał ponownie przywołać się do porządku.

- Rzecz w tym, że nie zdołają, admirale. Skorzystaliśmy z okazji i zbadaliśmy dokładnie ocalałe okręty Sandry Crandall. Wiemy stąd, że wasze centrale bojowe nie są w stanie opanować salw liczniejszych niż siedemnaście do osiemnastu tysięcy pocisków. Dla porównania każdy z moich dreadnoughtów może jednocześnie naprowadzać ponad dwieście rakiet, i to w czasie rzeczywistym, bez opóźnień transmisji. Obliczenia zostawiam już panu.

Spojrzała na niego lodowato.

- Chyba nie sądzi pan, że przy takich możliwościach ofensywnych zapomnieliśmy o skutecznej obronie przed analogiczną nawałą ognia? Chyba zauważył już pan osłaniające moje siły kutry. Zapewne zlekceważył je pan, jako zbyt lekkie, by mogły zagrozić poważnie ciężkim jednostkom, ale zapewniam pana, że to krótkowzroczne podejście. Wynik takiego samego niedoceniań naszych możliwości, jakie dało się zauważyć w innych dziedzinach.

Uśmiechnęła się, pokazując zęby, po czym podjęła tym samym spokojnym tonem, który w tych okolicznościach brzmiał przerażająco:

- Każdy z tych kutrów reprezentuje większy potencjał obronny niż dowolny z waszych niszczycieli typu Rampart czy Harvest. Jeśli chodzi o zwalczanie pocisków antyokrętowych, zapewne są w stanie zdziałać więcej niż wasze krążowniki. W tej chwili moje siły korzystają z osłony złożonej z dwóch tysięcy takich jednostek. A do tego dochodzą jeszcze nasze pokładowe systemy obronne oraz radioelektroniczne systemy zakłócania służące temu samemu celowi - dodała, kręcąc przy tym głową. - Pańskie salwy nie zdołają przełamać mojej obrony, admirale. Będą zbyt słabe, by mi zaszkodzić.

Filareta ze wszystkich sił pragnął uwierzyć, że admirał Harrington kłamie. Chyba nigdy jeszcze, w całym jego życiu, na niczym tak bardzo mu nie zależało, jak na przekonaniu siebie, że to tylko bardzo złożony bluff. Wiedział jednak, że nic z tego nie wyjdzie. Zbyt wiele pewności siebie dojrzał w tych migdałowych oczach. Nawet język ciała, również oficerów widocznych w tle, za Honor, podpowiadał mu, że to wszystko prawda.

Po kilkunastu sekundach ciężkiej ciszy wyprostował się wreszcie i wciągnął głęboko powietrze.

- A pani mówi mi to wszystko, ponieważ...?

- Przez ostatnie półtora roku rząd Ligi Solarnej, czy też raczej skorumpowana klika biurokratów dyktująca solarną politykę, ignorował wszystkie podejmowane przez nas próby zapobieżenia konfliktowi - powiedziała Honor. - Nie ustawiliśmy w staraniach, by rozwiązać na drodze dyplomatycznej problemy wynikające z działań Ligi. Niestety, rządzący nią biurokraci za nic mieli własną konstytucję i z czasem stało się oczywiste, że dążą do militarnej konfrontacji, nie licząc się przy tym z życiem własnych obywateli, zwłaszcza tych noszących mundury Marynarki Ligi. Niedawno odkryliśmy, że kryzys między naszymi państwami został celowo wywołany przez pewne grupy działające w układzie Mesa. Zdobyliśmy sporo dowodów, które to potwierdziły, i podzieliliśmy się tą wiedzą z Ligą poprzez naszego ambasadora w Chicago. Zasugerowaliśmy też stałemu podsekretarzowi Kołokolcowowi i jego... współpracownikom, by przysłał przez Manticore Wormhole Junction kogoś o uprawnieniach wystarczających do wydania panu rozkazu przerwania akcji, zanim ktokolwiek zginie. Nasza propozycja spotkała się z odmową, co skłania nas z kolei do wyciągnięcia wniosku, że stały podsekretarz Kołokolcow preferuje rozwiązanie zbrojne i nie zamierza siadać do rokowań.

Gdy na moment przerwała, Filareta zastanowił się, czy zdawało mu się tylko, że w jej oczach coś błysnęło, gdy wspomniała o Mesie, czy może rzeczywiście ich wyraz zmienił się na krótką chwilę.

- Skoro zaś on pragnie wojny, a nikt w całej Lidze nie wydaje się gotowy do dyskusji nad jej polityką zagraniczną, będziecie mieli tę wojnę - powiedziała Honor. - I to stawia pana przed ważną decyzją. Gwiezdne Imperium i jego sojusznicy są gotowi przyjąć kapitulację jednostek znajdujących się pod pańskim dowództwem. Jeśli zdecyduje

się pan poddać, gwarantujemy pana ludziom właściwe traktowanie, zgodnie z podpisaną przez nas konwencją denebską. Gwarantujemy też pana personelowi repatriację na teren Ligi Solarnej, gdy tylko uda się osiągnąć obustronnie satysfakcjonujące dyplomatyczne rozwiązanie obecnego kryzysu. Jeśli zaś wybierze pan walkę, podejmiemy ją, przy czym konsekwencje tego czynu będą dla pana floty więcej niż katastrofalne. Ma pan pięć minut na rozważenie naszej propozycji. Jeśli do końca tego czasu nie ogłosi pan kapitulacji, nie wyłączy ekranów i nie nakaże samozniszczenia zasobników holowanych, otworzymy ogień. Wybór należy do pana. Aleksander-Harrington, bez odbioru.

Obraz wysokiej postaci pani admirał zniknął jak zdmuchnięty, a Filareta odwrócił się do członków swojego sztabu.

Wszyscy wydawali się równie wstrząśnięci jak on.

- Jak myślisz, John? - spytał Burrowsa z mało przytomnym uśmiechem. - Mówi prawdę czy blefuje?

- Nie kłamie, sir - odparł oficer, który czuł się chyba równie zagubiony. - Moim zdaniem nie kłamie. Za dużo wie o naszych planach operacyjnych i za dużo nam pokazała jak na blef. Nawet jeszcze gorzej, za wiele powiedziała o własnych możliwościach. O tych sondach stealth, liczbie zasobników, kutrach i tak dalej. - Potrząsnął głową. - Chce, abyśmy to wszystko wiedzieli, byśmy wiedzieli, co może nam zrobić. Nie zdradziłaby tego, gdyby nie była całkiem pewna, że w żaden sposób się jej nie wymkniemy. Być może przesadziła, mówiąc o zdolnościach defensywnych, ale nie liczyłbym na to przesadnie. A nawet jeśli, żadna to dla nas różnica. Trupom jest wszystko jedno.

- A na dodatek przeszliśmy przez granicę i nie możemy uciec - dodał gorzkim tonem Filareta.

- To było zgodne z naszymi rozkazami - odparł Burrows i wzruszył ramionami. -Ktokolwiek przygotował tę operację, zbyt wiele założył z góry. I my za to płacimy.

Filareta pokiwał powoli głową, powątpiewał jednak, czy planowanie naprawdę przebiegało aż tak niestarannie. Harrington musiała mieć rację, mówiąc, że wszystko to jest wynikiem manipulacji Mesy. Nie miał pojęcia, co Mesa chciała w ten sposób osiągnąć, ale chwilowo nie było to ważne. W tej chwili musiał myśleć o tych czterystu dwudziestu siedmiu superdreadnoughtach pozostających pod jego dowództwem. Jeśli siły Harrington dysponowały chociaż połową opisanych przez nią możliwości, miała wszelkie szanse przejść na wylot przez dowolne zgrupowanie Battle Fleet niczym laser przez kostkę lodu. I nie chodziło tylko o samego Filaretę i niemal trzy miliony mężczyzn i kobiet na pokładach jednostek Jedenastej Floty. Oni byli w tej rozgrywce nic nieznaczącym drobiazgiem.

- Bill? - powiedział admirał, patrząc na Danielsa.

- Sir... - zaczął oficer operacyjny z bardzo nieszczęśliwym wyrazem twarzy. - Myślę, że ona mówi prawdę. Że oni naprawdę mogą to zrobić. A jeśli tak, to... No, John ma rację. Jeśli pociągnie za spust, zostaną z nas strzępy. Może zaszkodzimy jej bardziej, niż to sugeruje, ale sami tego nie przeżyjemy.

*

- Jak sądzisz, Tom, co on teraz zrobi? - spytała cicho Honor.

- Jeśli nie jest kompletnym idiotą, wyłączy ekrany i detonuje te zasobniki - odparł rzeczowo Theisman. - Oczywiście może zabraknąć mu rozumu, ale chyba trudno było jaśniej mu to wszystko wyłożyć. Mam nadzieję, że moja obecność też nie zaszkoziła.

- Nie przypuszczam - zgodziła się Honor, uśmiechając się nagle szeroko.

- Ale nie była pani całkiem szczerą z tym biedakiem - powiedział Rafe Cardones ze swojego miejsca przed stanowiskiem łączności. Honor spojrzała na niego pytająco. - Nie przekazała mu pani prawdziwych informacji o naszych możliwościach.

- Nie zgadzam się z tobą, Rafe - stwierdziła Honor. - Naprawdę możemy zrobić to wszystko, co mi opisałaś. A że zaniżyłam niektóre dane... Prędzej czy później część tych ludzi wróci do siebie, taką przynajmniej mam nadzieję, i lepiej, żeby nie wiedzieli o nas za dużo. Być może uda się nam zakończyć dzisiaj to szaleństwo. Bardzo bym tego chciała. Ale jeśli wyjdzie inaczej, niech dalej męczą się ze zgadywaniem, na co nas stać.

- Całkowicie się z tym zgadzam - przytaknął Theisman. - Zawsze dobrze jest mieć kilka asów w rękawie. Poza tym gdyby podała im pani prawdziwe dane, pewnie w ogóle by nie uwierzyli. Uznaliby, że to wszystko musi być jednym wielkim blefem.

- Zgadzam się z admirałem Theismanem, milady - powiedziała Mercedes Bringham. - Zresztą pomimo waszej elokwencji największe wrażenie i tak zrobiła na nich sytuacja taktyczna. Nigdy dotąd nie widziałam floty, która wrąbałaby się w większe bagno, nawet przy okazji symulacji. - Zerknęła na Theismana. - A trochę doświadczenia mam. Kapitulacja to jedyne, co im pozostało.

- I o to chodziło, Mercedes, o to chodziło - rzekła Honor, wpatrując się w karmazynowe ikony symbolizujące okręty Jedenastej Floty.

*

Massimo Filareta spojrzał raz jeszcze na gigantyczne szczęki, które trwały w pełnej gotowości, by zatrzaskać się na jego zespole. Pamiętał

szok, który przeżyła SLN na wieść o poddaniu się Josefa Bynga, i jeszcze większą traumę po klęsce Sandry Crandall. To, co teraz miało się wydarzyć, wprawi całą Ligę Solarną w pełne niedowierzania osłupienie.

I nic już nie mógł na to poradzić.

Tyle dobrego, że może chociaż pomieszam szyki tym z Mesy, pomyślał. Nie będę dla nich drugą Crandall.

- Dobrze - powiedział matowym głosem, który nawet w jego uszach brzmiał jak dzwon pogrzebowy. - Wyłączyć ekrany i wysłać polecenie samozniszczenia zasobników.

- Tak jest, sir - odparł Daniels.

- Chyba dobrze będzie wywołać ponownie Harrington, Reuben - dodał Filareta, zwracając się do oficera łączności. - Może chcieć...

Admirał William Daniels sięgnął do konsoli, by wykonać rozkaz przełożonego. Nadal był w szoku i nie wierzył do końca w to, co się stało, ale nade wszystko odczuwał ulgę, że Filareta okazał zdrowy rozsądek i Jedenasta Flota nie zostanie zniszczona.

Nagle zdrętwiał, widząc własną dłoń podnoszącą przezroczystą pokrywę i wciskającą znajdujący się pod spodem przycisk.

Filareta zamarł przerażony, gdy ponad pięć tysięcy zasobników wypluło wszystkie pociski w jednej gigantycznej salwie.

- Co ty, kurwa, wyrabiasz, czemu...?

Nie dokończył zdania. Zanim to uczynił, prowadzona jakąś tajemniczą siłą dłoń Daniela sięgnęła do klawiatury. Mimo desperackich wysiłków oficera, by odzyskać nad nią panowanie, palce wprowadziły kod, którego Daniels nigdy się nie uczył.

Konsola eksplodowała. Bomba, umieszczona tam przez technika nazwiskiem Harder, zabiła wszystkich obecnych na mostku flagowym

SLNS Philip Oppenheimer.

*

- Odpalenie! - zawołała Andrea Jaruwalski. - Ślady wielokrotnego odpalenia! Ponad pięćdziesiąt tysięcy nadlatujących pocisków!

Honor wstrzymała oddech. Nie od razu uwierzyła własnym oczom. Przecież nawet solarny admirał nie mógł być takim kretyńcem. Aroganckim głupcem pragnącym rzezi własnych ludzi.

Fakty mówiły jednak same za siebie.

Minęły jeszcze ze dwie sekundy, nim zdołała zaczerpnąć powietrza.

- Odpowiedzieć na atak - rozkazała. - Plan ogniowy Termopile.

Rozdział XXIII

Admirał floty Imogene Tsang zerwała się, obudzona przez sygnał stojącego u wezgowia komunikatora. Odgarnęła ręką włosy z twarzy, spojrzała na wyświetlacz z zegarem i skrzywiła się kwaśno. Spała niecałe trzy godziny i oczy ją piekły, a tępy ból z tyłu głowy sugerował, że chyba przesadziła, decydując się na dwa ostatnie drinki tequila sunrise.

Komunikator znowu się odezwał i tym razem dźgnęła palcem ikonę odbioru, ale tylko głosowego.

- Co? - warknęła.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ma'am - odezwał się natychmiast admirał Pierre Takeuchi. - Przybyła jednostka kurierska z drugiej strony terminalu.

- Tak? - spytała, opuszczając nogi na podłogę. - Kiedy?

- Trochę ponad trzy minuty temu, ma'am. - Niewidoczny Takeuchi chyba wzruszył ramionami. - Porucznik Trudeau, skipper kuriera, stracił trochę czasu na odszukanie *Rangera*, a ten musiał potem jeszcze przekazać info dla nas.

- Jasne. - Tsang poczuła przyływ irytacji, chociaż wiedziała, że to nie na miejscu i tak naprawdę to ból głowy daje o sobie znać. Trudeau nie miał prawa wiedzieć z góry, gdzie szukać TF 11.6. Najpierw musiał przeczesać całą okolicę terminalu. Poza tym kilka czy kilkanaście minut opóźnienia naprawdę nie robiło w tej sytuacji różnicy.

Tsang celowo zatrzymała swój zespół dziesięć milionów kilometrów od terminalu. Było to niewygodne i oznaczało, że będzie musiała potem

podchodzić przez blisko godzinę, by dokonać transferu z wymaganą prędkością, ale dawało też szansę na uniknięcie dalszych problemów z drażliwymi mieszkańcami Beowulfa, którzy i tak mieli dość całej tej sytuacji. Zastanawiała się wprawdzie nad umieszczeniem sondy przekaźnikowej gdzieś blisko przejścia, ale i to byłoby zapewne ryzykowne. Miejscowi odczytaliby to po swojemu i kto wie, jak by zareagowali.

Nawet z tej odległości wyłapywała sygnatyry napędu co najmniej sześćdziesięciu frachtowców z Beowulfa, przemieszczających się w obu kierunkach. Wormhole mogły być zamknięte dla ruchu jednostek z Ligi Solarnej, ale Beowulfa to najwyraźniej nie dotyczyło. Nadal robili interesy, chociaż spytani o to, odpowiedzieli, że to wyłącznie „pomoc humanitarna”, nie żaden handel.

Jasne, już im wierzę, pomyślała Tsang. Humanitarni się zrobili jak cholera. Pewnie pomagają Manticore w odbudowie instalacji przemysłowych.

Z drugiej strony, machinacje Beowulfa niewiele ją obchodziły. Przede wszystkim zależało jej na uniknięciu niepotrzebnych incydentów, obserwowała więc tylko wszystko z dala, starając się też, by nikt z załóg frachtowców nie miał okazji poznać rzeczywistej wielkości jej zgrupowania. Trudno było wykluczyć, że jeden czy drugi skipper chętnie przekazałby kumplom z Manticore informację o dużym zespole SLN płaczącym się po tej stronie terminalu. Szczęśliwie cywilne sensory nie sięgały zwykle poza granicę trzydziestu sekund świetlnych.

Po namyśle posłała jednak samotny niszczyciel trochę bliżej przejścia. SLNS *Ranger* był w ten sposób stosunkowo łatwy do wypatrzenia i nawet średniej jakości sensory jednostki kurierskiej nie

powinny mieć z tym problemów. Że trwało to jednak kilka minut, to trudno. Naprawdę nie było o co kruszyć kopii.

- Obudziłeś już Franza? - spytała, masując sobie skronie.

- Powiedziałem Sherwoodowi, by się tym zajął, gdy ja będę wywoływał panią, ma'am - powiedział Takeuchi takim tonem, że Tsang parsknęła. Admirał Franz Quill nie cierpiał, gdy go budzono, ale kapitana Sherwooda Marceau jej oficera łączności, nie lubił chyba jeszcze bardziej. - Gdy tylko skończymy rozmowę, obudzę jeszcze kapitan Robillard. Zarządziłem już stan gotowości i rozgrzewanie impellerów, więc wybaczy mi chyba, że do pani odezwałem się jako pierwszej.

- Może i tak.

Tsang nie była wcale pewna, czy Sanelma Robillard okaże się tak łaskawa. Była dobra w swoim fachu, inaczej Tsang nie wzięłaby jej do siebie na stanowisko kapitana flagowego, ale zachowywała się niczym primadonna i nawet w lekko zdziwaczałej pod względem norm współżycia społecznego SLN miała opinię nad wyraz trudnej osoby. Jeśli uzna, że Takeuchi przekroczył jednak swoje uprawnienia, rządząc się pod jej nieobecność, mogła wziąć go na celownik. I nie byłoby wtedy ważne, że Takeuchi był oficerem operacyjnym całego zespołu.

- Chyba zrobiłeś, co trzeba - powiedziała jeszcze po chwili. - Za dwadzieścia minut na mostku flagowym. Reszta sztabu też ma być. Na razie tyle.

*

Ostatecznie Tsang zjawiła się na mostku dopiero dwadzieścia pięć minut później, za to udało się jej przegnać ból głowy. Wypróbowana antykacowa inhalacja warta była spóźnienia, zwłaszcza że pięć minut i tak nie mogło nikogo zbawić. Wystarczył rzut oka na wyświetlacz, by

przekonać się, że impellery SLNS *Adrienne Warshawska* były wciąż o kwadrans od gotowości.

- Jak stoimy, Pierre? - spytała bez wstępów.

- Ruszamy za jakieś dwadzieścia minut, ma'am - odparł Takeuchi, wskazując głową na ekran, który admirał dopiero co zlustrowała. - Franz przekazał dwadzieścia minut temu rozkaz gotowości do wykonania planu Arbela i wszyscy potwierdzili odbiór. Sherwood przesłał info od porucznika Trudeau na pani konsolę.

- Zaraz spojrzę. Nie mówił o niczym, co mogłoby utrudnić wykonanie Arbela?

- Nie, ma'am. Przed odlotem uzyskał tylko informację, że układ Manticore został zaatakowany. No i potwierdził, że muszą tam mieć łączność nadświetlną. Ludzie z kontroli astro otrzymywali dane na bieżąco.

- Po prostu wspaniale - rzuciła Tsang ironicznie. Nie była specjalnie zdziwiona, ale nowina i tak nie zaliczała się do przyjemnych. Zwłaszcza teraz, gdy operacja Arbela wchodziła w fazę realizacji. - Ale dobrze. Spojrzę na przekaz od Trudeau. Franz niech zwoła tymczasem wszystkich dowódców dywizjonów. Nie chcę żadnych więcej opóźnień.

*

- Kapitan Robillard do pani, ma'am - powiedział Sherwood Marceau i Tsang uniosła głowę znad swojej konsoli.

- Proszę przełączyć ją do mnie.

- Tak, ma'am.

Chwilę później na ekranie pojawiło się oblicze pani kapitan SLNS *Adrienne Warshawska*.

- Witaj, Sanelmo - powiedziała Tsang. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chcę zameldować, że jesteśmy gotowi i możemy ruszać, ma'am - odparła Robillard i Tsang musiała zapanować nad cisnącym się na usta uśmiechem. Jej pani kapitan flagowy była oczywiście nienagannie uprzejma, ale wyczuwało się w niej osobliwą gorycz. Bez wątpienia przeżywała jeszcze hańbę związaną z obudzeniem jej w drugiej kolejności. Oraz to, że ktoś inny wydał rozkaz jej podwładnym, nieważne, że przy okazji ożywiania całego zespołu. Pewnie od kwadransa siedziała przy swojej konsoli z palcami na klawiaturze, byle tylko nie dać się uprzedzić i samej złożyć meldunek o gotowości. Być może nawet poinstruowała pierwszego inżyniera, by nie podawał tej informacji jednocześnie jej i operacyjnemu, chociaż regulamin tak właśnie nakazywał uczynić.

- Dziękuję, Sanelmo - odparła jak najpoważniej admirał.

- Proszę, ma'am. - Robillard nie zdołała całkiem ukryć satysfakcji i Tsang zachichotała do pustego już ekranu.

- Chyba jednak ją wkurzyłem - zauważył Takeuchi z krzywym uśmiechem.

- Dojdzie do siebie - mruknęła Tsang i spojrzała na admirała Quilla. - Ruszamy, Franz.

- Natychmiast, pani admirał!

Spośród wszystkich jej oficerów Quill był chyba największym rzecznikiem operacji Arbela. W sumie to on właśnie podsunął jej nazwę kodową. W głębi ducha Tsang nie była wcale pewna, czy Task Force 11.6 będzie miał tyle samo szczęścia co Aleksander Macedoński, ale nazwa jej się spodobała. No i dobrze, że Quill nie należał do tych zakłamanych bigotów, którzy odrzucali w ogóle koncepcję, jakoby Manticore miało jakąkolwiek szansę w walce z Ligą Solarną. Owszem, pozostawał sceptyczny wobec doniesień o ich przewadze technicznej,

ale nie był ślepy i głuchy na te sugestie. Tsang znała wielu oficerów dotkniętych tym specyficznym kalectwem.

Przez kilka minut stała przed głównym ekranem, obserwując swój zespół spieszący w kierunku terminalu. Potem odwróciła się do Marceau.

- Sherwood.

- Tak, ma'am?

- Chyba dobrze będzie uprzedzić kontrolę astro, że zamierzamy niebawem dokonać tranzytu.

- Tak jest, ma'am.

- Cały Beowulf na pewno oszaleje ze szczęścia - mruknął Takeuchi na tyle cicho, że tylko Tsang miała szansę go usłyszeć.

- Jakoś to przeżyją - odparła obojętnie Tsang. - Poza tym mieli dość czasu, by oswoić się z myślą...

- Przepraszam, pani admirał.

Tsang przerwała w połowie zdania i spojrzała ze zdumieniem na Marceau.

- Tak, Sherwood?

- Zostaliśmy wywołani, ma'am. Priorytetowa wiadomość.

- Z kontroli ruchu? - Oczekiwała oczywiście, że zarząd terminalu będzie wzburzony jej działaniem, na razie jednak byli całe trzydzieści sekund świetlnych od wormhola i tym samym wiadomość od Marceau nie miała prawa tam jeszcze dotrzeć, o odpowiedzi nawet nie wspominając.

- Nie, ma'am - odparł oficer nienaturalnym tonem. - Wiadomość została nadana gdzieś blisko terminalu, ale nadawcą jest wiceadmirał Holmon-Sanders, nie kontrola lotów.

Tsang zerknęła znacząco na Takeuchiego. Marianne Holmon-Sanders była najstarszym oficerem operacyjnym Sił Obrony Beowulfa, w hierarchii zaraz po admirale Coreyu McAvoyu, szefie działu operacyjnego. Dowodziła też Pierwszą Flotą BSDF. Pierwszą i jedyną po prawdzie, co czyniło sprawę wywołania tym bardziej intrygującą.

- Rozumiem. - Tsang podeszła do swojego fotela dowódcy. Gdy już usiadła wygodnie, skinęła na Marceau. - Daj na główny, Sherwood.

- Tak jest, ma'am.

Kobieta, która ukazała się chwilę później na ekranie, miała kasztanowe włosy, piwne oczy i szerokie usta z pełnymi wargami, przy czym wyraźnie zarysowany podbródek mocno kontrastował z dość niewielkim nosem. Tsang zwróciła jednak przede wszystkim uwagę na fakt, że Holmon-Sanders nie miała na sobie rdzawoczerwonej kurtki i czarnych spodni układowych sił obrony, ale pełny skafander.

Tak samo byli ubrani wszyscy oficerowie widoczni w tle, przy konsolach czy ekranach, zamontowanych chyba na mostku ciężkiej jednostki, pozostającej na dodatek w stanie alarmu bojowego.

- Pani wiceadmirał? - odezwała się po chwili Tsang, zaznaczając niższą szarżę rozmówczyni. - Czym mogę pani dzisiaj służyć?

I to wszystkie, pomyślała, przypominając sobie tajną instrukcję, jak ma postąpić w takiej właśnie sytuacji. Wcześniej zastanawiała się, jaki cymbał dopisał tak paranoiczny fragment, teraz zrozumiała, że ktoś tam lepiej od niej znał Beowulfa.

- Skoro tak, informuję, że zrobię wszystko, by zapobiec narażaniu życia obywateli Beowulfa - odparła Holmon-Sanders z analogiczną determinacją w głosie.

- Ma'am - odezwał się cicho Quill. - Wyłapuję sygnały sond zwiadowczych.

Tsang spojrziała na wyświetlacz i zacisnęła mocno zęby, widząc cały rój ikon. Tych sond musiało być z dwieście albo trzysta, a na dodatek smagały jej okręty promieniami radarów i lidarów. Niektóre znajdowały się nawet bliżej niż przekaźnik nadświatlny, aktywując automatyczne alarmy o zagrożeniu kolizyjnym. Admirał nie miała pojęcia, jakim cudem podeszły do nich, unikając wykrycia, ale przekazana w ten sposób przez Holmon-Sanders wiadomość była jasna i czytelna. W odróżnieniu od Tsang przeciwnik dysponował pełną informacją na temat jej zespołu.

- Zmiana statusu! - oznajmił Quill chwilę później i Tsang zacisnęła palce na podłokietnikach fotela.

Na ekranie pojawiło się trzydzieści sześć sygnatur impellerowych. Odległość wynosiła dziewięć milionów kilometrów, jednak te jednostki znajdowały się dokładnie między TF 11.6 a terminalem Beowulfa.

- Trzydzieści sześć superdreadnoughtów, dystans osiem, przecinek, siedem miliona kilometrów - potwierdził Quill. - Ich impellery są aktywne. Nie wiem na razie, czy mają włączone osłony burtowe.

- Naprawdę gotowa jest pani otworzyć ogień do jednostek Marynarki Ligi? - spytała Tsang, przeszywając Holmon-Sanders spojrzeniem.

- Zamierzam chronić naszych obywateli przed skutkami działań kliki samozwańczych biurokratów nie posiadających żadnych prerogatyw do wydawania rozkazów, o jakich pani mówi - odparła Holmon-Sanders. - Wie pani równie dobrze jak ja, że to bezprawne rozkazy. I że jeśli spróbuje pani je wykonać, odbędzie się to z naruszeniem konstytucji, której ślubowała pani bronić. Może dla pani to nic nie znaczy, ale dla nas, na Beowulfie, to bardzo ważne.

Tsang poczerwieniała ze złości. Jakim cudem ta kobiecina udająca oficera flagowego komicznej floty operetkowego państewka śmiała zwracać się do niej w ten sposób? Oczywiście, że ślubowała bronić konstytucji! Każdy solarny oficer składał taką przysięgę. Ale konstytucja jest tym, co rodzi się z jej słów w praktyce, nie martwym zlepkiem zdań. Sama w sobie nie miała przecież żadnego znaczenia przez te ponad sześćset lat, które upłynęły od jej uchwalenia. Gdyby ludzie odpowiedzialni za funkcjonowanie Ligi nie działali zgodnie z duchem raczej niż literą konstytucji, Liga Solarna dawno by się już rozpadła i taka Holmon-Sanders musiała przecież świetnie o tym wiedzieć.

- Nie podzielam pani... osobliwego podejścia do interpretacji praw i zasad opartych na konstytucji - rzuciła obojętnie. - I powtarzam, że zamierzam przeprowadzić mój zespół przez terminal.

- Nie zrobi pani tego bez pomocy personelu kontroli ruchu - odpowiedziała Holmon-Sanders. - Jeśli pani tego nie wie, proszę spytać swojego astrogatora, czym grozi próba jednoczesnego transferu dużego zespołu bez naprowadzania ze strony kontroli ruchu. Czy też może zamierza pani wprowadzić swoich ludzi do centrum kontrolnego, by grożąc bronią, zmusili personel do współpracy?

- Zamierzam zrobić wszystko, co będzie konieczne do wykonania moich rozkazów. Jeśli będzie to oznaczało przejęcie kontroli nad jakimikolwiek centrami czy instalacjami, nie zawaham się tego uczynić!

- Skoro tak, Siły Obrony Beowulfa gotowe będą otworzyć ogień w obronie naszych obywateli.

Tsang wciągnęła gwałtownie powietrze. Czekwała na takie słowa.

- Wówczas dopuści się pani zdrady, admirał Holmon-Sanders.

- Wówczas, admirał Tsang, jedna z nas dopuści się zdrady - odparła Holmon-Sanders z jawnie kpiącym już uśmiechem.

- A pani i większość pani ludzi po prostu zginiecie - rzuciła Tsang, znowu siląc się na obojętny ton. - Za dziewiętnaście minut znajdziecie się w zasięgu moich pocisków. Jeśli nie odsuniecie się do tego czasu z naszej drogi, wywalczę ją sobie. Będzie pani winna śmierci swoich załóg. Pani i rząd Beowulfa.

- Czy to pani ostateczne stanowisko i nie ma pani nic do dodania? - spytała spokojnie Holmon-Sanders.

- Jak diabli! - warknęła Tsang. - Ostateczne i spieprzać mi z drogi, bo rozjadę i mokra plama po was nie zostanie!

- Chyba niekoniecznie - odezwał się nagle nowy głos i ekran podzielił się na dwa okna. W tym obok pojawiła się inna kobieta znajdująca się bez wątpienia na mostku jakiegoś innego okrętu. Miała złociste włosy i... skafander całkiem innego projektu.

- Wiceadmirał Alice Truman z Royal Manticoran Navy - przedstawiła się bez cienia życzliwości. - Sugeruję, by raz jeszcze rozważyła pani swoje słowa, admirał Tsang.

- Zmiana statusu! - odezwał się spanikowanym głosem admirał Quill. Tsang dostrzegła, że na ekranie taktycznym pojawiło się nagle co najmniej pięćdziesiąt nowych ikon. - Potwierdzam obecność sześćdziesięciu, powtarzam, sześćdziesięciu kolejnych superdreadnoughtów.

Tsang poczuła się tak, jakby nagle straciła grunt pod nogami i spadała w przepaść bez dna. Jej przewaga liczebna nad zespołem Holmon-Sanders zniknęła bez śladu.

Ale to przecież było niemożliwe! Manticore żadnym sposobem nie mogło przysłać tu sześćdziesięciu superdreadnoughtów! I nie chodziło

o to, że ogołocenie innych odcinków byłoby dla nich zbyt ryzykowne. Oni przecież nie mieli tylu ciężkich jednostek! Chyba że...

- Sądzę, że powinna się pani baczniej przyjrzeć frachtowcom kursującym między Beowulfem a Manticore - powiedziała Truman, uśmiechając się lekko. - Przecież nawet SLN nie może być tak głupia, by oczekiwać, że nic nie zrobimy, wiedząc o akcji admirała Filarety! Czy też może sądziła pani, że jesteśmy całkiem bezradni? Wydaje się to możliwe, biorąc pod uwagę dotychczasowe sukcesy waszego wywiadu i analityków.

Tsang poczuła ból mięśni szczęk, tak mocno dotknęła ją okazana przez Truman pogarda.

- Wiedziałam, że tutejszy rząd składa się z idiotów - powiedziała do Holmon-Sanders.

- Ale nie sądziłam, że ze zdrajców.

- Ciekawe określenie, zważywszy na to, że użył go ktoś gotów zabijać solarnych obywateli tylko za to, że chcieli przeciwstawić się niekonstytucyjnym działaniom samozwańczej grupy biurokratów - odparła Holmon-Sanders.

- Dość wciskania ciemnoty! - rzuciła Tsang. - Sprzymierzyła się pani aktywnie z siłami zbrojnymi wrogiego państwa, z którym prowadzimy wojnę!

- Jaką wojnę? - spytała niewinnym tonem Holmon-Sanders. - Pytałam panią, czy ma pani dokument potwierdzający jej wypowiedzenie, ale jakoś nie była skłonna go pani przedstawić - dodała głosem, dzięki któremu czynny wulkan mógłby okryć się szronem.

- Niech się pani nie bawi w semantyczne gierki! Reprezentuję Ligę Solarną!

- Pani akurat reprezentuje co najwyżej Innokentija Kołokolcowa, Nathana MacArtneya i resztę jego nieodpowiedzialnej gromadki. Poza tym, jak ostrzegało wielokrotnie Gwiazdne Imperium, grupa ta jest skutecznie manipulowana przez jeszcze inne siły.

- Gówno prawda! Naprawdę nie znudziło wam się jeszcze powtarzanie tych bzdur?

- A jakoś nie - odparła Truman. - Może dlatego, że w odróżnieniu od wygłaszanych przez panią nonsensów ta wersja ma w sobie wiele prawdy.

- Prawdy to wy nie rozpoznacie, choćby was w tyłek ugryzła! - wyrzuciła z siebie Tsang. - A nawet jeśli jakiś cień prawdy w tym jest, teraz liczy się bardziej to, że Beowulf wszedł w konszachty z państwem odpowiedzialnym za śmierć Bóg jeden wie ilu solarnych oficerów i marynarzy!

- W trakcie odpierania Bóg jeden wie ilu bezprawnych aktów agresji, że dokończę pani wypowiedź - stwierdziła Truman.

- Niech pani nie przekręca moich słów! - Tsang była już purpurowa ze złości. - Zresztą, cokolwiek będziecie wygadywać, by nas o wszystko obwinić, nie zmienicie reakcji Ligi na wasze postępowanie! Myślicie, że ktokolwiek poprze Beowulfa czy stanie w jego obronie? Po tym, jak pomógł wciągnąć solarny zespół w pułapkę zastawioną przez Manticore w solarnej przestrzeni?

- Odnoszę wrażenie, że pani zdolność odczytywania sytuacji taktycznej jest równie fatalna jak w przypadku Josefa Bynga czy Sandry Crandall, pani admirał - powiedziała cynicznym tonem Truman. - Gdybyśmy chcieli wciągnąć panią w pułapkę, wszyscy bylibyście już martwi. Wasze środki zwiadu reprezentują tak żalosną jakość, że dostrzeżlibyście dopiero nasze pociski nadlatujące, by zmasakrować

pani zespół. Szczęśliwie dla was nikt tutaj nie pali się do zabijania ludzi, których jedyną przewiną jest pozostawanie pod rozkazami ograniczonych umysłowo przełożonych. Gdyby tak było, pozwolilibyśmy wam dokonać tranzytu i zmasakrowalibyśmy was następnie ostrzałem z fortów terminalu, niszcząc wszystkie jednostki bez cienia ryzyka, że sami poniesiemy jakieś straty. Zamiast tego postanowiliśmy darować wam życie, chroniąc was, i tutaj mam na myśli załogi, przed skutkami niekompetencji wyższych oficerów Marynarki Ligi.

Po raz pierwszy w życiu czysta furia odebrała admirał Tsang możliwość sformułowania wypowiedzi. Patrzyła więc tylko na Truman, która wcale jeszcze nie skończyła.

- Gdyby wykazała pani więcej rozsądku czy nawet ślad szacunku dla własnej konstytucji i konstytucyjnych praw układu Beowulf, uszanowałaby pani decyzję rządu Beowulfa odmawiającą pani prawa do tranzytu. Wówczas moje siły pozostałyby w cieniu, obserwując tylko rozwój sytuacji i nie próbując się wtrącać. W odróżnieniu od Ligi staramy się unikać zabijania. Pani jednak zdecydowała inaczej, musieliśmy więc się ujawnić jako... dodatkowy argument na rzecz sensownego rozwiązania problemu.

- A jeśli chodzi o relację Ligi, to informuję, że każde słowo naszej rozmowy było rejestrowane - wtrąciła Holmon-Sanders. - Zapis zostanie przedstawiony mediom, bez cięć czy cenzury, i to najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. A wynika z niego, że zamierzała pani pogwałcić naszą suwerenność i konstytucję jako taką na długo przed pojawieniem się w naszej przestrzeni jednostek Manticore. Prawdę mówiąc, jedynym powodem, dla którego zespół admirał Truman tak długo nie oznajmiał o swej obecności, była chęć uzyskania jak

najlepszego materiału dla serwisów informacyjnych. Chyba nikt w miarę myślący nie będzie miał wątpliwości, że gdyby nie obecność admirał Truman, otworzyłaby pani ogień do moich jednostek, chcąc wykonać bezprawnie wydany rozkaz. Bo takim on jest, czy przyzna to pani, czy nie. Oczywiście pani szanse na wygraną uległy niejakiej zmianie od chwili, gdy była pani uprzejma mi grozić. - Holmon-Sanders pokazała zęby w szerokim uśmiechu. - Jak powiedziała admirał Truman, staramy się unikać zabijania, zawsze gdy tylko można go uniknąć. Jeśli jednak nadal zamierza pani wywalczyć sobie drogę do terminalu, to czekamy.

Rozdział XXIV

- Co on sobie właściwie myślał? - spytała podniesionym głosem królowa Elżbieta, wpatrując się w monstrualnie długą listę ofiar i nazw zniszczonych oraz uszkodzonych solarnych jednostek, przesuwając się na ekranie sali konferencyjnej. - Miałaś go na tacy i on o tym wiedział! - dodała z płonącymi furią oczami. - Jak mógł być aż taki głupi?

- Nie wiem - odparła z rezygnacją Honor. Stała obok królowej smutna, wręcz przybita. Też czuła złość, ale zimną i przepełnioną goryczą... a trochę też poczuciem winy.

Nimitz zamiauczał cicho ze swojego siedziska obok stołu, po czym wyprostował się, unosząc chwytnie łapy.

„To nie twoja wina”, pokazał, gdy Honor na niego spojrzała. „Próbowałaś. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. To była jego wina, nie twoja”.

- Nimitz ma rację - powiedziała łagodniejszym tonem Elżbieta. - Zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy, Honor.

- Może gdybym nie zapędziła go w kozi róg... - zaczęła Harrington.

- Ani mi się waż tak myśleć! - odezwała się ostro Eloise Pritchard. - Tak, to ty i White Haven przeforsowaliście plan, który miał zmusić go do poddania się, ale wsparłam was w tym, podobnie jak Tom i Elżbieta, i protektor Benjamin. A zrobiliśmy to, ponieważ mieliście rację. I, jak sama powiedziałaś, ktoś gotów otworzyć ogień w stworzonej przez ciebie sytuacji taktycznej uczyniłby to samo także w każdym innym przypadku.

Honor zatrzymała spojrzenie na pani prezydent Republiki Haven i w końcu pokiwała głową. Pritchard najpewniej miała słuszość, ale trudno było czuć się dobrze, wiedząc o 296 zniszczonych superdreadnoughtach i ponad milionie dwustu tysiącach poległych ludzi z Marynarki Ligi.

Ciągle zadawała sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego on to zrobił? Poczł się poniżony sposobem, w jaki zażądała od niego poddania się? Był naprawdę tak głupi i próżny, by złożyć siebie i wszystkich tych ludzi w ofierze z powodu dumy niepozwalającej mu znieść porażki doznanej z ręki neobarbarzyńców?

Nie wiedziała, jak było naprawdę, i nigdy nie miała tej prawdy poznać. Z całej załogi SLNS *Philip Oppenheimer* nie został nikt żywy. Spośród pozostałych czterystu dwudziestu siedmiu superdreadnoughtów, które Filareta przyprowadził do układu Manticore, przetrwało tylko sześćdziesiąt. I te się poddały, niemniej po dwustu dziewięćdziesięciu sześciu, wliczając jednostkę flagową, zostały tylko szczątki, czasem drobne, rzadziej pod postacią porozbijanych wraków. Kolejnych siedemdziesiąt jeden nadawało się teoretycznie do remontu, zakładając, że ktokolwiek chciałby jeszcze wprowadzać równie przestarzałe i w sumie niebezpieczne konstrukcje do służby.

Cóż, chciałaś uświadomić im, że kto sieje wiatr, zbiera burzę, pomyślała z goryczą. Tak, by dodali dwa do dwóch i zrozumieli wreszcie, co się do nich mówi. Może chociaż to ostatnie się uda...

Paradoksalnie fakt, że straty Grand Fleet były relatywnie małe, nie poprawiał jej nastroju. Już wcześniej się przekonała, że każda śmierć pozostawia ślad w jej własnej duszy. Znała doskonale to, czego chciała nauczyć przeciwnika. Wojna kosztuje. Traci się w niej okręty warte grube miliardy dolarów i traci się ludzi. Ile by się ćwiczyło, jak

starannie by się planowało, ludzie giną. Tym razem jej straty ograniczyły się do dwóch tysięcy poległych, w większości spośród załóg kutrów. Spośród ciężkich jednostek tylko jednaście miało drobne uszkodzenia, które można było naprawić niemal od ręki.

Niemniej to było i tak o dwa tysiące ofiar za dużo. A przecież wydawało jej się, że Filareta zrozumie beznadziejność własnej sytuacji. Jego słowa, postawa, nawet mowa ciała zdawały się to potwierdzać. Wydawał się skłonny do kapitulacji na honorowych warunkach, nie chciał wcale poświęcać swoich ludzi...

- To musiał być wynik paniki - powiedział z namysłem Thomas Theisman, wyciągając dłoń do siedzącego na jego ramieniu treecata. Górski Struga przycisnął nos do jego szyi. - Też nie dostrzegłem żadnej zapowiedzi takiej reakcji, ale nie widzę innego wytłumaczenia.

- Sądzę, że admirał Theisman ma rację - odezwał się admirał Judah Yanakov. Stał obok admirała Alfreda Yu, nominalnie zastępcy Honor w Protector's Own, w praktyce dowódcy tej formacji. - To nie był skoordynowany ogień.

- Ale czy naprawdę na skutek paniki? - spytał cicho Yu.

Wszyscy spojrzeli na niego, on zaś uśmiechnął się blado do Theismana. W swoim czasie był przełożonym Thomasa, jego mentorem i przyjacielem. To jego zainteresowanie historią Legislatorów i Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego sprawiło, że młody porucznik Theisman zaczął inaczej patrzeć na otaczającą go rzeczywistość, i skłoniło go do własnych studiów. W rezultacie opowiedział się przeciw Robowi S. Pierre'owi i Oscarowi Saint-Justowi. Wprawdzie od tamtych czasów minęło z górą dwadzieścia lat i wiele się pozmieniało, jednak naturalizowany Graysończyk, niegdyś obywatel Haven, nadal potrafił poznać, o czym myśli jego niegdysiejszy uczeń.

- Nie, to nie jest podchwytliwe pytanie, Tom - powiedział. - Naprawdę się zastanawiam, czy chodziło właśnie o panikę.

- Musiało - stwierdził Yanakov. - To było klasyczne alarmowe odpalenie. Nie mieli najmniejszej szansy na skuteczne naprowadzenie takiej salwy.

- Z tym się zgadzam - odparł Yu. - Wyrzucili wszystko, co mieli w zasobnikach, jakby liczyli, że przy takiej masie indywidualne systemy naprowadzania pocisków coś dla siebie znajdą. I że to masa będzie się liczyć, nie celność. Sam planowałem takie desperackie ataki.

- Właśnie - powiedziała Honor, zastanawiając się nad emocjami Yu. Oficer o szczupłej i przystojnej twarzy wyraźnie dążył do sformułowania jakiejś myśli. Może nawet sam jeszcze nie wiedział jakiej, ale Harrington znała go i szanowała, czekała więc cierpliwie na wynik tych rozważań. - Wszyscy mamy taki plan ogniowy w rezerwie - stwierdziła, wskazując szerokim gestem na zebrane towarzystwo. - Na wszelki wypadek. Jednak nie stosuje się go, gdy ktoś proponuje poddanie się na honorowych warunkach. W sytuacji, gdy walka nie ma już sensu i nikt nie musi ginąć. Po prostu się tego nie robi.

- Zgadza się, ale sądzę, że o to właśnie chodzi Alfredowi - powiedział cicho Hamish.

White Haven spojrzał z zastanowieniem na Yu, a Samantha wręcz wbiła w niego oczy, przekrzywiając przy tym charakterystycznie głowę.

- Zgadza się - stwierdził po chwili Yu. - O tym właśnie myślę. Bo przecież taki atak ma sens tylko wtedy, gdy sytuacja strategiczna nie zostawia żadnego innego wyjścia, prawda?

Słuchająca go z uwagą Honor pokiwała głową.

- I dlatego wtedy ustawia się plan pozwalający na oddanie salwy natychmiast, bez straty czasu na przygotowania - ciągnął Yu. - Nie

wiem, jak to jest w Marynarce Ligi, ale u nas zwykle wystarczy wydać jedną komendę albo wprowadzić prosty kod, zwykle przez klawiaturę oficera operacyjnego.

- W Marynarce Republiki jest wciąż tak samo - dodał Theisman.

- Oczywiście - przyznał Yu. - Przecież wy też nie chcecie, by doszło do czegoś takiego przez przypadek, ale ta możliwość musi pozostawać do dyspozycji przy możliwie jak najkrótszym czasie między podjęciem decyzji a odpaleniem. I to niezależnie od sytuacji ogólnej. Co nam to sugeruje?

- Chce pan powiedzieć, admirale, że to był kolejny przykład tego, o czym mówił McBryde? - spytał Benton-Ramirez y Chou.

- Nie może być - powiedziała Pritchard, ale nie tonem przeczenia. Wydawała się raczej głęboko zamyślona.

- Dlaczego, pani prezydent? - zapytał Yu. - Dotarcie do oficera operacyjnego Filarety nie musiało być wcale trudne. Dlaczego więc nie mieliby przygotować czegoś takiego? Zwłaszcza jeśli mieli jakieś pojęcie o sposobie wykonania ogólnego odpalenia tego typu. Wystarczyłaby znajomość symulacji albo posiadanie wtyczki w sztabie Filarety. Mógł przekazywać im informacje całkiem nieświadomy, do czego Równanie je wykorzysta. Gdy przypomnę sobie Ludową Marynarkę, mógłbym na poczekaniu wymyślić przynajmniej trzy sposoby na zdobycie takich danych. Liga Solarna jest co najmniej tak samo skorumpowana z tą ich siecią nieformalnych zależności, przysług i protekcji. Jeśli w dodatku chodziło o krótki kod czy parę prostych czynności...

Zamilkł w połowie zdania i w sali zapadła cisza.

- Na Testera, to może być prawda - powiedział w końcu cicho Yanakov. - Mogło tak być.

- I ja sądzę, że Yu ma rację - stwierdził White Haven. - Pomyślcie tylko. Przy zwykłym planie ogniowym i ich możliwościach naprowadzania pociski z zasobników starczyłyby im na trzy masywne salwy. Mieliby wtedy czas na naprowadzanie, na dodatek ich pociski dotarłyby do naszych zespołów wcześniej niż nasza salwa do ich jednostek. Jasne, przechwycilibyśmy większość tych rakiet, ale i tak mieliby wtedy większą szansę nam zaszkodzić niż przy strzelaniu całkiem na oślep, bez przypisywania celów!

- Poza tym zastanawia mnie odstęp czasowy między pierwszym odpaleniem z zasobników a salwą burtową - powiedział Lester Tourville. - To było chyba jakieś dziesięć sekund?

- Trzynaście - odpowiedział Theisman. - Ale masz rację.

- Pat nie miała jeszcze kiedy przesłuchać jeńców - odezwał się sir Thomas Caparelli. - Ciekawe, czy ktokolwiek będzie w stanie wyjaśnić nam tę zwłokę. To wygląda na jakąś dziwną lukę w łańcuchu dowodzenia.

- Możliwe - zgodził się White Haven. - Ale nie zmienia to faktu, że Filareta mógł wykorzystać czas dany mu przez Honor na kapitulację, by zaplanować w pełni kontrolowane odpalenie, a jednak tego nie zrobił. Dlaczego?

- Bo to wymagałoby całej serii złożonych czynności? - zasugerował Yu i kiwnął głową. - Musieliby wybrać zasobniki do użycia w pierwszym rzędzie, potem wyznaczyć i przypisać cele, uaktywnić łącza telemetryczne, uaktualnić plan ogniowy. To wymaga współpracy szeregu osób, wielu komend i dyspozycji. Podczas gdy...

- Podczas gdy w tym przypadku starczył jeden człowiek, który wybrał właściwy przycisk - dokończyła Honor. - Wiedzieli na dodatek, że odpowiem wtedy ogniem...

Większość obecnych skrzywiła się, słysząc te słowa, a mąż Honor położył jej dłoń na przedramieniu.

- Nie miałaś wyboru - powiedział. - Pięćdziesiąt tysięcy pocisków idących prosto na ciebie nigdy nie zostawia wyboru.

- Mogłam poprzestać na obronie - stwierdziła Honor zmęczonym głosem. - Sam widziałeś, jak niewielu ludzi przy tym straciliśmy. Mogłam poczekać, by się upewnić...

- Daj spokój! - nie wytrzymał Theisman i Honor spojrzała na niego, zdumiona tym wybuchem. - Nie, nie mogłaś poczekać! Gdybyś zrobiła coś tak głupiego, zasłużyłabyś na zdjęcie ze stanowiska!

- Ale...

- Żadnego „ale”! - odparł sekretarz wojny Republiki Haven. - Nie wiedziałaś i nie mogłaś wiedzieć na pewno, czy nie mają jednak jakiegoś systemu naprowadzania, o którym nie słyszeliśmy. Nie miałaś prawa ryzykować życia tylu ludzi tylko dlatego, że ktoś po tamtej stronie okazał się samobójcą. Byłaś odpowiedzialna za swoje załogi, nie jego personel. Twoje zadanie polegało na zneutralizowaniu przeciwnika, zanim on zdoła zagrozić tobie. I nadal o to dokładnie chodzi. Mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętać, jeśli chcesz być godna munduru, który nosisz! - wyrzucił z siebie, wpatrując się intensywnie w Honor, która wyczuwała w nim palącą złość, ale także wielką szczerłość. - Zachowałaś się odpowiedzialnie i dzięki temu żyjesz. Zareagowałaś na zagrożenie. Byłem tam i widziałem, co się działo. Ich pociski miały dość do nas w ciągu trzech minut, ale przy bezpośredniej łączności, a taką mieliśmy, dysponował masą czasu, by ostrzec, powiedzieć, że salwa została oddana przez pomyłkę, że to nie atak. Może się mylę, ale mam wrażenie, że tego nie uczynił? Co więcej, po trzynastu sekundach cała jego flota oddała salwę burtową.

Rozumiem, że rzygać ci się chce, gdy pomyślisz, ilu ludzi tam zginęło. Mnie też mdli, ale jedynymi odpowiedzialnymi za ich los są ci, którzy ich tam wysłali. Albo i zmanipulowali oficera operacyjnego Filarety, jeśli nasze domysły są słuszne. Nie ty, nie ja. Oni i tylko oni!

Honor rozejrzała się po sali. Na twarzach wszystkich obecnych dostrzegła aprobatę. Co więcej, wyczuwała wyraźnie, że zgadzają się z Theismanem, i wiedziała, że mają rację. Jednak emocjonalnie nie potrafiła jeszcze się z tym pogodzić i zdawała sobie sprawę, że ta szrama pozostanie w niej na zawsze.

Cisza zaległa na kilka długich chwil i dopiero Pritchart przerwała ją teatralnym chrząknięciem.

- A jak waszym zdaniem przyjmie to Liga? - spytała, zwracając się do towarzyszy.

- Z trudem? - spytał Tourville, uśmiechając się ironicznie.

- O, to na pewno - zgodził się White Haven. - I chyba lepiej nie wyskakiwać z sugestią, że to Mesa mogła jakoś zmusić Filarete do otwarcia ognia. Nawet jeśli ktoś w Chicago będzie skłonny się nad tym zastanowić, zamiast od razu zasufladkować nasze słowa jako „kolejny przejaw paranoi”, nie mamy absolutnie żadnych dowodów na poparcie naszej opinii. Dostarczylibyśmy tylko Abruzziemu amunicji do jego maszyny propagandowej.

- I wielu obywateli Ligi byłoby gotowych zgodzić się z taką tezą - stwierdziła z goryczą Elżbieta. - W sumie trudno im się dziwić, zważywszy na poziom tamtejszych mediów i ich wybiórczość. Zresztą nawet ja mam kłopoty z uwierzeniem w tę historię!

- Może i są niewinni, ale ich postawa nam nie pomaga - powiedziała Pritchart. - Podobnie jak fakt, że Tsang wróci z opowieścią o swoich przygodach w przestrzeni Beowulfa wcześniej, niż ktokolwiek tam

będzie miał okazję usłyszeć, co się stało z Filaretą. Mandaryni dostaną kilka dni na podkreślanie hysterii przeciwko Beowulfowi, a gdy spadnie na nich ta druga i jeszcze gorsza wiadomość, rozpęta się prawdziwe piekło.

- To akurat żadne zaskoczenie - westchnął Benton-Ramirez y Chou. - Chyba wszyscy bylibyśmy szczęśliwsi, gdyby Tsang okazała się mądrzejsza i zawróciła trochę wcześniej, nie zmuszając admirała Truman do ujawnienia swojej obecności.

- Ważne, że okazała się mądrzejsza niż Crandall czy Filareta - zauważyła Honor.

- Albo też Równanie nie zdążyło ulokować nikogo w jej sztabie - dodał Tourville.

- Nie są wszechmocni - zaznaczył Theisman.

- I nie są w stanie wszystkiego przewidzieć - powiedział Yanakov. - Tester mi świadkiem, że ich zdolność przewidywania jest co najmniej mocno niepokojąca, ale wszystko ma swoje granice. Ostatnie, czego mi trzeba, to popadnięcie w paranoję pod postacią przekonania o wszechobecnym spisku i Równaniu stojącym za każdym zdarzeniem, z wiosennym deszczem włącznie.

- Tak czy siak, Honor ma rację - zauważył Benton-Ramirez y Chou. - Nikt nie zginął przy terminalu Beowulf i jak zauważyła pani prezydent, nikt się tam nie dowie o losie Filarety, dopóki serwisy z Manticore nie dotrą do Układu Słonecznego. Zaczną więc ujadać nieświadomi, co jeszcze ich czeka. Nie wiem, jak rozegrają to wobec opinii publicznej, ale wiadomość o klęsce Jedenastej Floty na pewno wywróci wszystko do góry nogami. Nie zdziwię się nawet, jeśli najbardziej wściekli zaczną się domagać akcji militarnej przeciwko Beowulfowi.

- Niektórzy z nich potraktują waszą postawę jako akt zdrady, panie dyrektorze - zgodził się Yu. - Nie będą przejmować się konstytucyjnymi kruczkami, szukając na oślep kogoś, kogo dałoby się obwinić. Zwłaszcza gdy dowiedzą się już o Filarecie. Gdyby istniała tam jakaś sprawiedliwość, zwróciliby się przeciwko Kołokolcowowi i Rajampetowi, ale wiem z obserwacji, że podobne reżimy kierują się całkiem odmienną logiką.

- Mamy w tej materii trochę doświadczenia, prawda? - mruknęła Pritchard, spoglądając jednak na Theismana, nie na Yu. - Z drugiej strony, Tom, przypominam sobie coś, co powiedziałeś kiedyś na temat Kołokolcowa i Biura Bezpieczeństwa Granicznego.

- Ja powiedziałem? - spytał zdumiony Theisman. - A co to było?

- Tak, ty. To było podczas dyskusji na temat możliwych reakcji Ligi po bitwie o Spindle. Wspomniałam wtedy, że zdanie opinii publicznej nie ma tam większego wpływu na decyzje polityczne. Pamiętasz, jak to skomentowałeś?

- Nie za bardzo.

- Może nie zacytuję dokładnie, ale powiedziałeś, że w Ludowej Republice też tak było, przynajmniej do czasu, aż pojawiła się Ósma Flota i Saint-Just przestał pilnować wszystkiego, skupiwszy się na tym jednym zagrożeniu.

Benton-Ramirez y Chou pokiwał energicznie głową.

- To najbardziej prawdopodobny scenariusz - rzekł. - Chociaż niezbyt atrakcyjny. Od najmłodszych lat wiem, że Liga gnije od środka, nadal będąc jednak Ligą Solarną. Spadkobiercą najstarszego nurtu tradycji rodzaju ludzkiego i jego wielkości, a do tego moim międzygwiazdowym państwem. A teraz to. - Pokręcił głową. - Wygląda na to, że stajemy się częścią przedsięwzięcia mającego ostatecznie obalić

zmurszałego olbrzyma. I wcale nie jestem pewien, czy nie działamy w ten sposób pod dyktando Mesy.

- Nie możemy sobie pozwolić na wyhodowanie takiej paranoi, wujku - powiedziała Honor. - Wtedy balibyśmy się zrobić cokolwiek. Niestety Judah ma rację. Poza tym znam ciebie i obywateli Beowulfa. Jeśli będziecie musieli wybierać między wiernością swoim zasadom a próbami ratowania tak zgniłego tworu, jakim jest Liga Solarna, jestem pewna, że nie będziecie się długo wahać.

- Białe albo czarne, jak zwykle w Manticore - zażartował sobie Benton-Ramirez y Chou, a królowa zaśmiała się cicho.

- Za to dekadenski Beowulf zawsze wmawia nam, że świat składa się z odcieni szarości - odpowiedziała.

- Bo i zwykle tak jest - odparł Benton-Ramirez y Chou. - Chociaż fakt, nie zawsze, i tutaj moja kuzynka ma rację. - Uśmiechnął się smutno do Honor. - Na dobre czy na złe, ale ilekroć się tak zdarza, historia nie chce przyjmować innej waluty jak tylko nasze szczęście, życie lub honor.

Rozdział XXV

- Czy możesz mi przypomnieć, w jaki sposób wpakowanie Beowulfa w kłopoty miało nam pomóc? Jakoś niezbyt mogę sobie to ostatnio poukładać - spytała Omosupe Quartermain w charakterystyczny dla siebie szorstki sposób i spojrzała oskarżycielsko na siedzącego po drugiej stronie biurka Kołokolcowa. Znajdowali się w „bezpiecznej” sali konferencyjnej, umówieni na rzadko praktykowane, całkiem prywatne spotkanie, o którym nikt z reszty mandarynów nie został nawet powiadomiony. Co gorsza, pani stały podsekretarz handlu była wyraźnie podminowana.

- Sądzę, że na dłuższą metę i tak obróci się to na naszą korzyść - odparł cierpliwie Innokentij. - Może nie tak bardzo, jak miało, ale cóż można na to poradzić. No i nie wiem, czy pomoże wystarczająco, ale przypomnij sobie, że nigdy nie uważałem tego za najlepszą opcję. Mówiłem tylko, że to najlepsza z dostępnych możliwości.

- Ale słuchałeś, co mówiły te dwie suki! - warknęła Quartermain. - Widziałeś na pewno, co Beowulf przekazał do serwisów. Już sama Holmon-Sanders to tragedia! Pismaki zaraz łykną jej gadanie o niekonstytucyjnych działaniach, samozwańczej klice biurokratów i nadużyciach władzy federalnej. Świetnie o tym wiesz. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, gdy O'Hanrahan się do tego weźmie. Ale ta admirał z Manticore... cała ta Truman. Ona była jeszcze gorsza. Okazała nam tyle pogardy i jeszcze śmiała podpuszczać Tsang, by spróbowała podlecieć do terminalu. Zupełnie jakby naprawdę wierzyła, że może zmienić nasze jednostki w jedną wielką kupę złomu. A co jeszcze gorsze, tak

samo jak jej kumpela nas winiła za to wszystko. Nas osobiście, Innokentij! Ludzie to kupią, zwłaszcza że nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na te oszczerstwa w żaden przekonujący sposób! I to też jest ci świetnie wiadome!

- Przyznaję, że nigdy nie podejrzewałem Beowulfa o gotowość zaproszenia do siebie floty Manticore, i to w celu wysuwania gróźb pod adresem naszej Marynarki - przyznał Kołokolcow. - Z drugiej strony nie sądziłem też, że admirał Tsang popisze się aż tak konkursową głupotą, by naprawdę się tam pchać, gdy Beowulf jasno dał jej do zrozumienia, że sobie tego nie życzy! - Teraz on pokręcił głową. - Miała stosować się do decyzji miejscowych władz, pokazując w ten sposób, jak bardzo szanujemy konstytucyjne prawa członków federacji, nawet wówczas, gdy trafiamy na irracjonalny sprzeciw.

- No, tę część rozegrała fatalnie.

- Co najmniej fatalnie. Ciekawy jestem tylko, dlaczego Rajani ciągle tak ją chowa?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała podejrzliwie Quartermain.

- A to, że podobno nadal składa zeznania, i nie mogę się z nią zobaczyć - wyjaśnił z naciskiem Kołokolcow. - A chciałbym. Chciałbym się dowiedzieć, jakie dokładnie rozkazy dostała. Wprawdzie po Crandall gotów jestem uznać każdego oficera flagowego Marynarki za patentowanego idiotę, ale czy ta ostatnia akcja to naprawdę był jej własny pomysł? Czy też może w Admiralicji znalazł się ktoś, kto dopisał to i owo do rozkazów, które zatwierdziliśmy?

- A po co Rajani miałyby to robić? - spytała Quartermain. - Przecież znał sytuację równie dobrze jak my!

- Owszem, wyjaśniłem mu ją w krótkich, żołnierskich słowach. On jednak jest czemuś zwolennikiem konfrontacji z Manticore, i to od samego początku. Nigdy nie wyjaśnił mi, dlaczego Crandall wybrała akurat sektor Madras na swoje manewry ani dlaczego nie wspomniał choćby słowem o jej obecności w tamtej okolicy, gdy wyszła na jaw ta pierwsza sprawa z New Tuscany. Nie wyjawiał też, jakim cudem Filareta znalazł się w układzie Tasmania akurat wtedy, gdy nasz przyjaciel wyleciał z planem operacji Sprawiedliwy Gniew. Wiem, że to arogancki kutas, który z założenia gardzi wszystkimi neobarbarzyńcami w galaktyce, i wiem też, że traktuje stanowisko Gwiezdnego Imperium Manticore jako rodzaj osobistej zniewagi dla własnej Marynarki Wojennej, ale zaczynam się zastanawiać, czy na pewno nie kryje się w tym nic więcej.

- Tylko mi nie mów, że wierzysz w teorie spiskowe rozgłaszane przez Manticore!

- Nie wierzę - odparł Kołokolcow, ale Quartermain nie dosłyszała w jego głosie zbyt wiele żarliwości.

- Jak to było? Wielki spisek snuty od setek lat? - wykrzyknęła, unosząc ręce do nieba.

- Cała flota niewidzialnych okrętów kosmicznych? Nanotechnologie pozwalające na kontrolowanie umysłu? Plan zastąpienia nas wszystkich jakimiś nowymi superscragami? I jeszcze to tajemnicze Równanie kryjące się za fasadą firmy produkującej niewolników genetycznych? Naprawdę oczekują, że uwierzymy, jakoby Mesa od sześciuset lat miała trzymać to wszystko w sekrecie, za cały dowód mając majaczenia jakiegoś szalonego naukowca? Gościa, który groził śmiercią jednemu z czołowych genetyków Mesy, nie tylko pracownikowi Manpower, ale i

najlepszemu być może specjaliście z tamtejszego szpitala, bo stracił córkę?

- Zgadzam się, że to brzmi niedorzecznie - odparł Kołokolcow. - Ale ludzie i tak zaczną się zastanawiać. Również nad tym, że Republika Haven przyjęła tę historię bez zastrzeżeń. Ba, nawet sama ją odkryła i przekazała Manticore!

- To Manticore tak twierdzi - odcięła się Quartermain. - Na ich miejscu też mówiłabym różne rzeczy, byle tylko nakłonić nas do wysłania umyślnego, który powstrzyma Filaretę. - Myślisz, że kłamią?

- Uważam, że to diabelnie możliwe. Gdyby Carmichael zdołał nas przekonać do odwołania Jedenastej Floty, każdy wysiłek by się opłacił. Bo nawet gdybyśmy później zdemaskowali ich kłamstwo, Filareta byłby już daleko. Mielibyśmy zawracać go tylko dlatego, że wkurzyły nas ich bujdy? Wyszlibyśmy na ostatnich frajerów, którzy najpierw dają się oszukać jak dzieci, a potem zaczynają się mścić na sprytniejszym dziecku z piaskownicy!

- A Pritchart? - spytał zaczepnie Kołokolcow.

- Co Pritchart? Nigdy jej nie spotkałam, ty chyba też nie? Trudno byłoby znaleźć aktorkę gotową ją zagrać? Zwłaszcza po komputerowej obróbce obrazu? A że kiedyś się dowie, co z tego? Myślisz, że Manticore obchodzi, co pomyśli sobie o nich szefowa państwa, z którym przez dwadzieścia lat prali się, aż furczało? I tak będzie mogła im tylko nagwizdać. Przecież nie wypowie wojny!

Kołokolcow pomyślał, że Omosupe mogła trafić w sedno. Sam nie brał wcześniej podobnego scenariusza pod uwagę. Nie wierzył jej oczywiście bez zastrzeżeń, ale to było jakieś wytłumaczenie. Zanotował sobie w myślach, by podzielić się tą koncepcją z Abruzzim. Kto wie, co będzie niebawem potrzebne.

- Może i tak, ale wracając do tematu, idiotyczne wystąpienie Tsang sprawiło, że Beowulf tym bardziej nie jest teraz skłonny dopuścić naszych jednostek do terminalu. A cokolwiek wygadywała ta kobiecina z RMN, jedno jest jasne. Beowulf zaprosił ją w przewidywaniu, że może dojść do ostrej wymiany zdań, gotów dopuścić do tego, by Królewska Marynarka zaczęła strzelać do naszych w przestrzeni Ligi. Z naszej perspektywy to wspaniała wiadomość. Rozmawiałem już o tym z Malachaiem. Zamierza rozdmuchać rzecz w mediach, powołując się oczywiście na „anonimowe źródła”. A trzech naszych prominentnych przyjaciół ze Zgromadzenia Legislacyjnego wyraziło gotowość zgłoszenia formalnego wniosku o wszczęcie postępowania wyjaśniającego w sprawie Beowulfa. Jest wśród nich Tyrone Reid.

Quartermain pokiwała z namysłem głową. Tyrone Reid należał do najstarszych członków Zgromadzenia i reprezentował sam Układ Słoneczny. Piastował funkcję w Komitecie Sądowym i stał się powszechnie znany głównie dzięki temu, że dobrze wypadł w mediach. Poza tym uchodził oczywiście za pełnego rozwagi znawcę prawa. Z patrycjuszowską prezencją i nienagannym ziemskim akcentem był nieustannie zapraszany do co drugiego programu, aż w końcu stał się najbardziej rozpoznawalnym politykiem w całej Lidze Solarnej. Do obecnej roli nadawał się idealnie, i to niezależnie od tego, czy postanowi przybrać maskę gniewu czy smutku przystojącego biegłemu w konstytucji mężowi stanu, bolejącemu nad tragicznym błędem popełnionym przez Beowulfa.

- A jeżeli się okaże, że Filareta dał ciała tak samo jak Tsang? - spytała po chwili i Kołokolcow skrzywił się kwaśno.

Jeśli wszystko poszło tak, jak zamierzeli, powinni niebawem otrzymać jakieś wieści od Jedenastej Floty. Dzięki jednostce kurierskiej

wiedzieli, że Filareta dotarł do Manticore co najmniej tydzień temu. To, że się jeszcze nie odezwał, niczego na razie nie dowodziło. Bitwy pomiędzy flotami kosmicznymi potrafiły trwać całe dni i tygodnie. Nawet jeśli Filareta zdołał przechwycić wszystkie trzy zamieszkane planety układu, musiał się jeszcze uporać z fortami przy terminalu i resztą wyskrobanych przez Manticore sił, nim miałyby szansę przejść na drugą stronę. Potem zostałyby mu jeszcze przeprawa z połączonymi zespołami Manticore i Beowulfa. Złożenie meldunku nie było więc wcale prostą sprawą.

Kołokolcow wiedział o tym wszystkim, ale i tak był ostatnio kłębkiem nerwów.

- Właśnie dlatego Malachai unika przedstawiania naszego oficjalnego stanowiska -przyznał. - I dlatego też nie dałem jeszcze Reidowi i innym sygnału, by zaczynali. Nie możemy ruszyć, nie wiedząc, jak poszło Filarecie, ale omawialiśmy z Malachaiem różne opcje. Jeśli załatwił sprawę i Manticore jest nasze, to nie ma problemu. Jeśli został odparty, powiemy, że zarówno on, jak i Tsang dali dowód właściwego Lidze Solarnej opanowania i niechęci do niepotrzebnego rozlewu krwi, do którego Manticore bezsprzecznie dążyło.

- A jeśli skopali mu dupę? Tak jak Crandall? - spytała Quartermain.

- Sądzę, że jest bystrzejszy niż ona. Jeśli uznał, że nie zdoła nic wskórać, najpewniej wycofał swój zespół. Oni zaś najpewniej dali mu odlecieć.

- Dlaczego? - spytała Quartermain z niedowierzaniem, przede wszystkim jednak autentycznie ciekawa.

- Bo moim zdaniem są wprawdzie stuknięci, ale nie są wcale krwiożerczymi maniakami, jak próbują odmalować ich media. Ty też wiesz przecież, że to tylko propaganda. Pomyśl. Mogli załatwić Tsang na

perłowo, a nawet jej nie ostrzelali. Pozwolili jej odlecieć i zanurkować w nadprzestrzeń. Fakt, zmykała z podkulonym ogonem, ale cała i żywa. Gdyby naprawdę dążyli do wojny z Ligą, nie puściliby wolno tylu superdreadnoughtów, które mogą przecież pojawić się potem w innym miejscu i dać im łupnia. W czasie wojny bardziej myśli się o przyszłości.

- Nie wiem, czy ci wierzyć, chociaż teraz cała ta teoria brzmi jakby bardziej prawdopodobnie, niż gdy ostatni raz o niej wspominałeś - stwierdziła Quartermain. - Tyle że to nie wyjaśnia jeszcze, dlaczego właściwie chciałeś się ze mną zobaczyć. Samą jedną i po cichu.

- Nie po cichu, ale w spokoju - poprawił ją Kołokolcow. - Bez osób, które mogłyby utrudniać rozmowę, i mam tu na myśli głównie Nathana i Rajaniego. Sądzę, że póki jesteśmy tylko we dwoje, mamy szansę pozostać poniżej ich „horyzontu radarowego”. Gdybym jednak zaczął dodawać kolejne osoby...

Nie dokończył, ale też nie musiał. Quartermain pokiwała głową. Była już prawie pewna, o co chodzi.

- Dobra - powiedziała. - Tak więc jesteśmy tutaj, oni zaś nie. O czym chcesz porozmawiać?

- O tej cholernej blokadzie nałożonej przez Manticore - wyznał szczerze Kołokolcow.

- I dlatego właśnie wolałem nie zapraszać Nathana i Rajaniego. Obaj nerwowo reagują, a nie trzeba nam teraz żadnych aktów strzelistych. Manticore działa szybciej i bardziej zdecydowanie, niż oczekiwałem. Nie dość, że zamknęli dla nas własne terminale, co już było poważnym problemem, to otrzymuję meldunki, że zabrali się także do cudzych. Jeśli okaże się to prawdą, zapewne pójną dalej, niż ktokolwiek z nas się spodziewał.

Quartermain chciała już powiedzieć coś mało życzliwego pod adresem gospodarza, ale się powstrzymała. Ostatecznie przyznał się do błędu, a kopanie leżącego nic by w tej chwili nie dało.

- I co? - spytała.

- A to, że muszę wiedzieć, na czym dokładnie teraz stoimy. I jak będzie to wyglądało w ciągu kilku następnych miesięcy. Wydaje się, że nawet przy najbardziej optymistycznym scenariuszu nasza gospodarka dozna zapaści. Zakładając oczywiście, że Filarecie się nie udało. Ponieważ jednak nie znamy jego sytuacji, muszę wiedzieć, co planujecie zrobić z Agatą, by ograniczyć szkody. Nie oczekuję cudów - dodał szybko, widząc niebezpieczny błysk w oczach rozmówcy. - Nie o to mi chodzi. Pytam, bo muszę naszą ogólną politykę ukierunkować w taki sposób, by wasze pomysły przyniosły jak najwięcej dobrego. Wiem, że ściśle ze sobą współpracujecie, i pomyślałem, że jeśli porozmawiam z tobą, to jakbym porozmawiał z wami obiema, nie narażając się przy tym na perory Nathana czy Rajaniego.

- Wcześniej czy później i tak będziesz musiał z nimi pogadać - przypomniała ostrożnie Quartermain. - Każda wojna jest bardzo bolesna ekonomicznie, zwłaszcza na dłuższą metę. Kryzys to jedno, ale gdy zaczniemy jeszcze pakować forszę w zbrojenia, opłaty płynące z naszych Protektoratów staną się ważne jak nigdy. Każda suma się przyda i Flota Graniczna może mieć sporo roboty. A to oznacza, że Nathan też.

- Już do tego doszedłem i powiem im, gdy przyjdzie pora. Ale wcześniej chcę zebrać komplet informacji. Wolę rozmawiać z nimi z pozycji siły, a do tego muszę wiedzieć więcej i mieć pewność, że ty i Agata jesteście po tej samej stronie. Pasuje?

- Pasuje - stwierdziła Quartermain i rozsiadła się wygodniej w fotelu. - Po pierwsze, jak zaznaczyliśmy już z Agatą, naszą międzygwiazdową wymianę handlową czeka...

Rozdział XXVI

- Jest pan pewien, komodorze? - spytał z niepokojem widoczny na ekranie Seana Magellana mężczyzna w szaro-czarnym mundurze kontroli astro terminalu Agueda. Magellan ani trochę nie dziwił się tej reakcji. Poza tym wolałby być teraz całkiem gdzie indziej.

Myśl o rozkazach, które otrzymał, podnosiła mu ciśnienie. Jednak niezależnie od tego, co o nich sądził, musiał je po prostu wykonać.

- Tak, kapitanie Forstchen - odparł komodor, starając się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie. - Jestem pewien.

Nie była to odpowiedź, jaką kapitan pragnąłby usłyszeć. Magellan też wolałby jej nie wygłaszać, zwłaszcza że wiedział, co z tego wyniknie.

- Mojemu rządowi na pewno się to nie spodoba - zaznaczył Forstchen.

- Obawiam się, że ostatnimi czasy to nic nowego, kapitanie. A dobra wiadomość jest taka, że nie potrzebujemy waszej pomocy przy tranzycie. Może pan usiąść sobie i patrzeć, a zapisy wykażą, że nie brał pan w tym udziału.

Forstchen chciał coś powiedzieć, ale w porę się powstrzymał. Magellan miał rację. Elektroniczne zapisy wszystkich czynności personelu, zaświadczające o niewinności jego wachty oraz całego układu Agueda, mogły okazać się bardzo przydatne, i to w całkiem niedalekiej przyszłości, chociaż jak bardzo, zależało od punktu widzenia. Zdaniem Magellana mogła to być przyszłość trochę odleglejsza.

Chociaż trudno było przewidzieć wszystko na sto procent. Może jednak to Forstchen miał rację.

- Na potrzeby zapisu odnotowuję, że wyraził pan sprzeciw wobec naszych zamiarów, kapitanie - powiedział komodor. - Formalnie potwierdzam też przyjęcie protestu pańskiego rządu. Wyrażam żal z powodu sytuacji, w której może się znaleźć układ Agueda na skutek działań Gwiezdnego Imperium Manticore. Niestety, obecne... mało przyjazne relacje między Gwiezdnym Imperium a Ligą Solarną zmuszają nas do podjęcia pewnych kroków i nie mamy w tym przypadku większego wyboru. Przykro mi z tego powodu, ale muszę wykonywać swoje obowiązki. - Ukłonił się uprzejmie rozmówcy. - Komodor Magellan, bez odbioru.

Ekran pociemniał, a komodor spojrzął na inny, znacznie mniejszy wyświetlacz, który zapewniał mu łączność z przysadzistym kapitanem HMS *Otter*.

- Jesteśmy gotowi, Art?

- Prawie - odparł kapitan Arthur Talmadge. - Chociaż osobiście byłbym mniej wspaniałomyślny wobec tutejszej kontroli astro - dodał z uśmiechem. - Wprawdzie mamy aktualne zapisy, ale pilot to zawsze pilot.

- Gdyby dało się tu jakiegoś znaleźć, miałbyś go już na mostku - odparł Magellan. - Niestety, wyszło inaczej. Tak więc dość gadania o tym, co nam doskwiera.

- Jasne, sir - zgodził się Talmadge i spojrzął na swojego pierwszego oficera. - Gotowy, Colleen?

- Tak, sir - odpowiedział komandor Colleen Salvatore.

- David? - spytał Magellan, tym razem obracając się do komandora Davida Wilsona, szefa sztabu.

- Tak, sir. Jordan właśnie potwierdził sygnały gotowości *Malcolma Taylora* i *Selkiego*.

- Dziękuję. - Magellan spojrzał ponownie na Talmadge'a. - Jednostki eskadry gotowe na pański sygnał, kapitanie Talmadge - powiedział oficjalnym tonem.

- Bardzo dobrze, sir - odparł kapitan dla dopełnienia formalności.

- Skoro tak, to ruszajmy.

- Aye, aye, sir. - Talmadge obrócił się wraz z fotelem do starszej bosman Cindy Powell. - Sternik, wykonać.

- Aye, aye, sir.

Otter ruszył z przyspieszeniem ledwo dwudziestu g, kierując się w niewidzialne wrota terminalu Agueda. W normalnych okolicznościach musiałby doczekać swojej kolejki i otrzymać pozwolenie z kontroli ruchu, która wyznaczyłaby też prędkość i wektor kursowy, kilka razy sprawdzając każdy z parametrów. Obecnie jednak 31. Eskadra Krążowników musiała radzić sobie sama, polegając wyłącznie na własnych mapach przejścia i jego pływów energetycznych. Tyle dobrego, że zdołali pobrać przed wylotem najnowsze uaktualnienia zapisów, gorzej zaś, że żaden z okrętów eskadry nie przechodził wcześniej przez ten konkretny terminal. Jeszcze mniej budująca była świadomość, że nie wiedzieli, co czeka na nich po drugiej stronie.

Bez paniki, pomyślał Magellan, zirytowany własnymi myślami. Coś tam jednak było wiadomo. Na pewno nie czekała ich przeprawa z fortami podobnymi do tych, które strzegły Manticore Wormhole Junction. Z drugiej strony, jeśli nikt nie wyrwał się przedwcześnie, Magellan miał być pierwszym dowódcą w historii przejmującym siłą terminal wormhola należącego do Ligi Solarnej. I wiedział, że solarni nie obdarują go z tego powodu kwiatami.

Jego osłabiona trochę eskadra, złożona z ciężkich krążowników typu Saganami C, znajdowała się dość daleko od domu: czterysta czterdzieści pięć lat świetlnych od Manticore i trzysta dwadzieścia siedem od Beowulfa. Oczywiście nie przylecieli tu „na piechotę”. Najpierw przeskoczyli do Beowulfa, potem przebyli sześćdziesiąt trzy lata świetlne do układu Roulette i tam skorzystali z przejścia do Limbo. Stamtąd zostało im już tylko czterdzieści dziewięć lat świetlnych do Aguedy.

Niemal wszędzie, gdzie się pojawili, spotykali się z raczej mało serdecznym przyjęciem. Manticore nigdy nie miało w tych okolicach dobrej prasy, ostatnio zaś zrobiło się jeszcze gorzej. Było to może zastanawiające, ale nie dziwne. Roulette, Limbo i Agueda były nominalnie niezależnymi układami, jednak w praktyce wyglądało to różnie. Takie na przykład Limbo korzystało z opieki Biura Bezpieczeństwa Granicznego, które miało na miejscu stałe przedstawicielstwo z bardzo nieprzyjemnym osobnikiem w roli szefa. Dożywotni prezydent Ronald Stroheim bardzo posmutniał, widząc jednostki RMN wyłaniające się nagle z terminalu, który miał za swoją osobistą kurę znoszącą złote jajka. Jako rzetelny i lojalny sługus Biura zatrzymywał w swojej kieszeni tylko trzy procent dochodu z użytkowania terminalu, co i tak uczyniło go niewiarygodnie bogatym człowiekiem. Najwyraźniej nie słyszał jeszcze o ostatniej pasji Manticore, polegającej na kolekcjonowaniu terminali, i wizyta 31. Eskadry stała się dla niego przeżyciem mocno traumatycznym. Dodatkowe pogorszenie samopoczucia wiązało się z żalem, że sąsiednie Roulette nie uprzedziło go o bliskiej wizycie kłopotliwych gości.

Co do Roulette, przyznać trzeba, że jego władze także nie były zachwycone pojawieniem się jednostek Manticore, chociaż

utrzymywały z Gwiezdnym Imperium i Beowulfem co najmniej poprawne, jeśli nie życzliwe kontakty. Od czasu incydentu w New Tuscany wolały jednak dystansować się od nich. Trudno było dziwić się prezydentowi Matsuo, że taką właśnie linię obrał. Jego układ znajdował się ledwie sto lat świetlnych od Słońca, czyli na tyle blisko, że drażnienie Ligi Solarnej łatwo mogło stać się czynnością mocno nieopłacalną. Pechowo dla niego miejscowy terminal znajdował się na liście przygotowanej na potrzeby akcji Laokoon Dwa. Magellan przejął kontrolę nad całą infrastrukturą na tyle sprawnie, że nikt nie zdążył przemknąć na Limbo, by uprzedzić Stroheima, co się święci.

Magellan zostawił w Roulette jeden dywizjon niszczycieli i lotniskowiec *Ozymandias*, po czym skierował się do Limbo, gdzie udało mu się osiągnąć pełne zaskoczenie. W odróżnieniu od Manticore Wormhole Junction terminal Limbo nie był ufortyfikowany, cała tutejsza „marynarka wojenna” zaś składała się z dwóch przestarzałych niszczycieli, z których tylko jeden wydawał się akurat sprawny, oraz ośmiu pięćdziesięcioletnich kutrów. Dowódca tej muzealnej floty, chociaż lojalny bez reszty wobec dożywotniego prezydenta, okazał się gościem ogólnie rozsądnym i nie próbował wciągać siedmiu ciężkich krążowników w wymianę salw burtowych.

Magellan nawet go rozumiał.

Zostawiwszy przy terminalu Limbo drugi dywizjon niszczycieli i lotniskowiec *Midas*, podążył czym prędzej do układu Agueda.

Tam sprawił wszystkim podobną niespodziankę i spotkał się z równie chłodnym przyjęciem, chociaż oświadczenie prezydent Loretty Twain na temat „nieposzanowania przez Manticore praw niezawisłych światów” zostało chyba wygłoszone bardziej dla oficjalnych mediów niż z potrzeby serca. W odróżnieniu od Roulette układ Agueda znajdował

się blisko trzysta pięćdziesiąt lat świetlnych od Słońca, a jego mieszkańcy nie przejmowali się względnie niedalekim Limbo i panującymi tam porządkami, niewiele robiąc sobie też z Biura Bezpieczeństwa Granicznego. Na wszelki wypadek woleli zachować jednak pewne pozory i Magellan nie próbował im tego utrudniać. Skrupulatnie trzymał się poza dwunastominutową strefą terytorialną i ograniczył swoją aktywność do okolicy terminalu. Był też nienagannie uprzejmy i zapewnił kapitana Forstchena oraz prezydent Twain, że nie zamierza opanowywać siłą stacji kontroli astro.

Oczywiście nie zamierzał także pozwolić, by jakakolwiek solarna jednostka skorzystała z terminalu, ale to już była całkiem inna historia.

Przygotowując się do kolejnego skoku, pomyślał, że przemieszczanie się z użyciem wormholi jest jednak całkiem wygodne. Nie tylko oszczędzało się czas, ale na dodatek można było zjawić się na miejscu całkiem niespodziewanie. Miało to swoje złe, ale także i dobre strony.

- Przygotować się do rekonfiguracji żagla na mój rozkaz - powiedział Talmadge.

- Aye, aye, sir - odparł porucznik komandor Hwo Rung-wan, pierwszy inżynier *Ottera*. - Gotowość do rekonfiguracji.

Talmadge przytaknął, obserwując na ekranie, jak starsza bosman Powell podprowadza wprawnie krążownik w punkt tranzytu. Gdy osiągnęli wymaganą pozycję, oznaczająca okręt ikona rozbłysła na zielono.

- Postawić przedni żagiel do tranzytu - powiedział.

- Aye, aye, sir. Stawiam przedni żagiel.

Moc ekranów *Ottera* spadła gwałtownie o połowę, gdy dziobowe węzły alfa przeszły w inny tryb pracy, generując kolisty żagiel

Warszawskiej. Jego średnica wynosiła sześćset kilometrów. Był całkiem bezużyteczny w normalnej przestrzeni, teraz jednak zaczął wciągać okręt w nadprzestrzeń.

- Przygotować się do postawienia rufowego żagla - powiedział Talmadge, gdy nadeszła właściwa chwila. Czerwone cyfry w narożniku ekranu informowały o stopniu wnikięcia przedniego żagla w terminal. W porównaniu z Manticore Wormhole Junction była to ledwie mała fałda czasoprzestrzeni, ale nadal chodziło o siły o wiele potężniejsze niż te wytwarzane przez pokładowe węzły impellerów. Jeśli mapy nie zawierały błędów, mieli niemal dwudziestosekundowy margines bezpieczeństwa, jeśli jednak krył się w nich błąd i nie postawią rufowego żagla na czas, nie mieliby nawet kiedy się zorientować, że już po nich.

Wartości na ekranie sięgnęły krytycznych. Dziobowy żagiel ściągał już dość mocy z fal grawitacyjnych, by zapewnić ruch jednostce. Tylny impeller stał się zbyteczny jako źródło napędu.

- Postawić rufowy żagiel.

- Aye, sir. Stawiam rufowy żagiel - odparł porucznik komandor Hwo i *Otter* drgnął, gdy jego ekran zniknął całkowicie, zastąpiony drugim żaglem Warszawskiej.

Przejście z ekranów impellerowych na żagle było jednym z najtrudniejszych zadań, które mógł opanować bosman na stanowisku sternika. Nawet z pomocą kontroli ruchu oznaczało to zawsze podjęcie pewnego ryzyka, jednak jeśli nawet starsza bosman Powell czuła się choć trochę niepewnie, nie było tego po niej widać. Z dużą pewnością siebie poprowadziła *Ottera* w głąb terminalu.

Ekran nakresowy zamrugał i przez moment, którego nie udało się nigdy nikomu skutecznie zmierzyć, pozostawał pusty, by nagle

przedstawić całkiem inny obraz. Oznaczało to, że *Otter* przestał istnieć w terminalu Agueda, by równie nagle zaistnieć gdzieś indziej. Wyłonił się z niebytu cały w błękitnych wyładowaniach tranzytu spływających z żagli. Usatysfakcjonowana Powell pokiwała głową.

- Tranzyt zakończony - oznajmiła.

- Dziękuję. Dobra robota! - powiedział Talmadge. Odczyty stanu energetycznego tylnego żagla malały jeszcze szybciej, niż przedtem rosły. - Przygotować się do rekonfiguracji.

- Aye, aye sir. Rekonfiguracja do impellerów.

Otter złożył żagle, przywracając potrzebne do poruszania się w normalnej przestrzeni impellery, i ruszył gwałtownie, oddalając się od terminalu Stine, znajdującego się pięć i pół godziny świetlnej od gwiazdy typu G5, centralnego punktu układu Stine.

- Pięćset g, bosmanie - rozkazał Talmadge.

- Pięćset g, aye, sir - potwierdziła Powell.

Talmadge uśmiechnął się lekko, pewien, że w tej sytuacji nie będzie musiał długo czekać na reakcję miejscowej kontroli astro.

*

- Sir, zauważyli nas - zameldował porucznik Jordan Rivera i komodor Magellan spojrział pytająco na swojego oficera łączności.

- Daj ich na główny, Jordan.

- Tak jest, sir.

Na ekranie pojawił się kapitan w mundurze kontroli astro Stine. Miał ciemną skórę, ogoloną głowę, bujne wąsy i ogólnie wkurzony wyraz twarzy.

- Do niezidentyfikowanej jednostki! - rzucił. - Natychmiast zredukujcie przyspieszenie!

- Nie wygląda na zadowolonego - mruknął Magellan.

- W sumie ma rację, sir. Przekraczamy przewidziane procedurą przyspieszenie o jakieś czterysta osiemdziesiąt g. Ma prawo do niejakiej irytacji.

- Trafna uwaga - stwierdził komodor.

- Zredukujcie to przyspieszenie, do jasnej! - wykrzyknął łysy kapitan. - Co wy sobie, kurwa, wyobrażacie?

- Zaraz wzruszy się jeszcze bardziej - powiedziała porucznik komandor Sarah Tanner, oficer operacyjny sztabu Magellana, widząc, jak *Malcolm Taylor*, drugi krążownik eskadry, też wyłania się z terminalu.

Zaraz zmienił kurs i przyspieszył tak samo jak *Otter*, a Magellan pokiwał z zadowoleniem głową. Wprawdzie nawet mały terminal zajmował olbrzymią przestrzeń, ale próba wykonania czegoś takiego w Manticore Wormhole Junction groziłaby niemal pewnym zahaczeniem ekranem o ekran innej jednostki. W Stine były jednak tylko dwa przejścia wiodące w przeciwnych kierunkach, a ruch, oględnie mówiąc, nie należał do intensywnych. Magellan dojrzał na ekranie zaledwie jeden frachtowiec, który zmykał już zresztą byle dalej od terminalu, chociaż *Otter* i tak był co najmniej czterdzieści tysięcy kilometrów od niego. Ogólnie było to jednak pożądane działanie.

- Wystrzel sondy Ghost Rider, Sarah - powiedział Magellan. - Musimy się rozejrzeć.

- Tak jest, sir. Strzelam sondy.

Sześć ikon oznaczających sondy rozbiegło się we wszystkich kierunkach, a daleko za rufą *Ottera* pojawił się HMS *Tiger Cub*, trzeci krążownik eskadry.

- Kim wy, do cholery, jesteście? - żołądkował się tymczasem kapitan z kontroli astro.

- Chyba lepiej będzie z nim pogadać - mruknął Magellan.

- Tak jest, sir. Łączy za trzy... dwie... jedną... jest.

Magellan ujrzał, jak oblicze ciemnoskórego kapitana zmieniło się nagle, gdy i jego ekran ożył. Przez chwilę tylko się gapił na ujrzaną właśnie postać, potem zamrugął i zmrużył oczy, rozpoznawszy charakterystyczny czarno-złoty mundur.

- Komodor Sean Magellan, Royal Manticoran Navy - przedstawił się uprzejmie dowódca eskadry.

- Jacy diabli tu pana przynieśli? - wykrzyknął tamten. - To solarna przestrzeń!

- Naprawdę? - zdziwił się Magellan. - Kto by pomyślał.

Oblicze oficera astro jeszcze bardziej pociemniało, a szczęki zacisnęły się aż do bólu. Przez chwilę wpatrywał się w komodora z wściekłością w oczach, potem otworzył usta, ale nic nie powiedział, jakby buzujące emocje odebrały mu głos. Magellan obdarzył go skąpym uśmiechem.

- Poważnie mówiąc, kapitanie, świetnie wiem, gdzie jestem. Jestem też świadom faktu, że Liga Solarna ma ten terminal za swój. Niestety, jest to coś, co właśnie ma się zmienić.

- Że jak? - wykrztusił kapitan po kilku sekundach powodowanej wściekłością niemoty.

- Powiedziałem, że od tej chwili jurysdykcję nad tym terminalem sprawuje Gwiazdne Imperium Manticore, nie Liga Solarna - oznajmił spokojnie Magellan.

- Chyba wam odpięrdoliło!

- Nie - odparł spokojnie komodor. - Czwarty i piąty okręt zespołu też były już po tej stronie i manewrowały w taki sposób, by ustawić się z boków terminalu. - Chyba jednak nie, kapitanie.

- I naprawdę sądzi pan, że to wam się uda...?

- Przepraszam, że pytam, kapitanie, ale czy widzi pan jakiś powód, dla którego miałyby nas spotkać niepowodzenie?

- Bo... - zaczął tamten i przerwał nagle.

- Tak właśnie sądziłem - powiedział łagodnym tonem Magellan i zerknął na ekran taktyczny. HMS *Wolf*, ostatni z jego krążowników, dołączył do zespołu. Zaraz po nim pojawił się HMS *Selkie*, jedyny towarzyszący jeszcze grupie lotniskowiec, który oficer kontroli ruchu miał prawo wziąć za okręt liniowy. - Czy pozwoli pan, że wyjaśnię rzecz dokładniej, kapitanie... ?

Magellan uniósł brwi i poczekał cierpliwie, aż tamten dojdzie do siebie.

- Palffi. Kapitan Cyrus Palffi - przedstawił się w końcu.

- Dziękuję, kapitanie Palffi. - Magellan skinął uprzejmie głową. - Jestem pewien, że wie pan o napiętej sytuacji, która zaistniała ostatnio między Gwiezdnym Imperium a Ligą Solarną. Moja królowa i jej Ministerstwo Spraw Zagranicznych od samego początku próbowali znaleźć w rządzie Ligi kogoś, kto okazałby wolę wypracowania pokojowego rozwiązania problemu. Jak może pan zauważył, niewiele z tego wyszło. Tak zatem rząd Jej Królewskiej Mości zdecydował, że jeśli nie ma szans na nakłonienie Ligi do rozmów zwykłymi, dyplomatycznymi kanałami, trzeba spróbować czegoś innego. I stąd właśnie nasza akcja.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał kapitan trochę normalniejszym głosem.

- Chcę powiedzieć, że od teraz tutejszy terminal pozostaje zamknięty dla ruchu jednostek zarejestrowanych w Lidze Solarnej. W drodze wyjątku przepuszczane będą tylko statki kurierskie oraz

należące do międzygwiazdnych serwisów informacyjnych. Blokada będzie obowiązywała aż do odwołania.

- To nie przejdzie - rzucił Palffi tonem zwykłej rozmowy. - Do takiej zabawy potrzebowałby pan czegoś więcej niż kilku zasranych krążowników i jednego liniowca. Wie pan, co oni przyślą, gdy to się rozejdzie?

- Prawdę mówiąc, to nie jest cały mój zespół - powiedział Magellan. - Chociaż równie szczerze, nie przypuszczam, bym potrzebował aż takich sił, o jakich pan myśli.

W tej samej chwili z terminalu wyłonił się statek amunicyjny wypchany zasobnikami holowanymi oraz dodatkowymi pociskami Mk 16 dla krążowników.

- Za dwadzieścia minut podejda do pańskiej stacji moje pinasy - zapowiedział Magellan. - Będą na ich pokładach moi marines, którzy przejmą kontrolę nad całą infrastrukturą. Nie chcę, by komukolwiek stała się krzywda, i ufam, że panu zależy na tym samym. Ostrzegam niemniej, że marines będą w pancerzach bojowych i otrzymają pozwolenie użycia broni, jeśli zostaną zaatakowani lub spotkają się z czynnym oporem. Czy to rozumiałe?

Palffi spojrział na niego gniewnie i Magellan przechylił lekko głowę.

- Pytałem, czy to rozumiałe, kapitanie - powtórzył bardziej zdecydowanym tonem.

- Tak - odparł w końcu Palffi i Magellan spojrział na niego łagodniej.

- Dobrze. Jak wspomniałem, wolałbym uniknąć ofiar po czyjejkolwiek stronie. Nie zamierzam udawać, że nie wkurza mnie polityka prowadzona przez Ligę Solarną, ale rozumiem też, że nikt z układu Stine nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, co się stało w Quadrancie Talbott. Tym bardziej nie zamierzam więc zaogniać sytuacji

między Gwiezdnym Imperium a Ligą Solarną niczym ponad to, co przewidują moje rozkazy.

- Naprawdę? - Palffi spojrział na niego sceptycznie i wzruszył ramionami. - Może i naprawdę pan tak myśli, ale to jeszcze nie znaczy, że coś z tego wyjdzie. Posunęliście się stanowczo za daleko, również i dosłownie, wzięwszy pod uwagę odległość od Manticore.

- Dla nas to nic nowego, kapitanie. Przywykliśmy działać zdecydowanie i nierzadko daleko od domu. Potrafimy też o siebie zadbać. Oczywiście wystarczająco silny zespół SLN byłby w stanie wyprzeć mnie stąd, ale ich straty przekroczyłyby wielokrotnie tonaż mojej eskadry.

- Akurat - rzucił pogardliwie Palffi. - Okręty liniowe rzucają się do ucieczki na sam widok pańskich krążowników.

- Owszem, jeśli ich dowódcy przeczytali dokładnie raporty o tym, co się stało w Spindle - odparł spokojnie Magellan. - To są krążowniki dokładnie tego samego typu, który wykazał swoje walory bojowe, neutralizując całą flotę admirała Crandall.

Kapitan spoważniał nagle i przez chwilę tylko wpatrywał się w Magellana. Potem otrząsnął się i wciągnął gwałtownie powietrze.

- Przepraszam, że nie mdleję z wrażenia - rzucił ironicznie, ale już nie tak zaczepnie. - Tak czy siak, ja niewiele mogę zrobić, by pana powstrzymać. Co dokładnie zamierzają uczynić pana marines po opanowaniu stacji?

- Przede wszystkim będą mieli na was oko, dopóki nie skontaktuje się z prezydentem Zellem i uzgodnię z nim, jak zostaniecie odtransportowani na planetę.

- Wyrzuca nas pan stąd?

- Zapewne można i tak powiedzieć - przyznał Magellan. - Ja myślę o tym raczej jako o ewakuacji w bezpieczne miejsce. Jeśli SLN spróbuje odbić terminal, może się zrobić gorąco. Nie chciałbym, żeby jakaś zabłąkana rakieta zniszczyła stację pełną postronnych świadków starcia.

Palffi przyjrzał mu się uważnie i powoli pokiwał głową.

- Doceniam - powiedział po niejakim wahaniu.

- Jak powiedziałem, kapitanie Palffi, nie chcę niepotrzebnych ofiar. Dlatego wolę was stąd zabrać. Nie ma co kryć, że jeśli Liga zdecyduje się na poważną akcję, i tak zginie tu wielu ludzi.

Rozdział XXVII

- Gdzie jest Rajani? - spytał Nathan MacArtney. Minę miał tak nieszczęśliwą, że Kołokolcow aż westchnął w duchu nad ironią losu.

- Poza planetą - odrzekł oschłym tonem. - Z tego, co wiem, poleciał na *Hyperion One*, by wziąć udział w naradzie sztabu na temat sposobu przeprowadzenia mobilizacji i uruchomienia floty rezerwowej. Wiesz, na wypadek, gdyby Manticore chciało jednak walczyć.

MacArtney poczerwieniał ze złości, słysząc ten mało wyrafinowany przytyk, i już chciał coś odpowiedzieć, ale jakoś się powstrzymał. I bardzo dobrze, pomyślał niezycliwie nastawiony do niego Kołokolcow. Nathan i Rajani roztrwonili już sporo z kredytu zaufania, którym obdarzyli ich mandaryni.

- A wiadomo, jak długo tam zostanie? - spytał Malachai Abruzzi.

- Zapewne do śmierci cieplnej wszechświata - odpowiedziała Omosupe Quartermain i Kołokolcow parsknął śmiechem.

- Sądzę, że naprawdę ma tam trochę roboty, chociaż fakt, chwilowo to rzeczywiście wygodny zbieg okoliczności. Lada moment dziennikarze zaczną na niego polować, być może nawet z nagonką.

Hyperion One był główną i największą stacją kosmiczną SLN w Układzie Słonecznym. Mieściła ona instalacje techniczne oraz kwaterę główną Działu Logistyki odpowiedzialnego za całą „naftalinową flotę” dreadnoughtów przechowywanych nie tylko tam, ale i w wielu innych bazach floty, ulokowanych w mniej lub bardziej odległych układach. Sam *Hyperion One* znajdował się na orbicie Marsa, czyli niemal dokładnie cztery minuty świetlne od granicy nadprzestrzennej układu,

za to całkiem blisko pasa asteroid i tamtejszych instalacji hutniczych, które nadal dostarczały lwią część surowców potrzebnych miejscowemu przemysłowi. Był to swoisty kompromis pomiędzy wygodą a bezpieczeństwem, który zdaniem Kołokolcowa mógł jednak okazać się ryzykowny, zważywszy na domniemany zasięg pocisków RMN. Na razie jednak stacja oferowała Rajampetowi coś w rodzaju schronienia, odległego wraz z Marsem o ponad cztery minuty świetlne od Ziemi, co zdecydowanie utrudniało jakąkolwiek żywszą wymianę zdań. W połączeniu z troską admirała o bezpieczeństwo łączności czyniło go zaś praktycznie nieosiągalnym dla dziennikarzy i ich łatwych do przewidzenia ataków.

- Wygodny czy nie, na dłuższą metę Rajani i tak się nie wywinie - stwierdził Abruzzi. MacArtney spojrział na niego, jakby chciał się sprzeciwić, ale podsekretarz edukacji i informacji nie dał mu dojść do słowa. - Choćbyśmy nie wiem jak czarowali, ktoś będzie musiał dać głowę. Taka klęska wymaga powieszenia winnych i sam wiesz, że nie ma na to rady, Nathan. Rajani to najstarszy stopniem oficer floty, co czyni go najlepszym kandydatem. Na dodatek naprawdę jest odpowiedzialny za to, co się stało!

- Flota łatwo tego nie przełknie - powiedział po chwili MacArtney. - Wściekną się i będą toczyć pianę. Nie, nie twierdzę, że nie masz racji, ale już widzę całą bandę cywilów gotowych wbić Marynarce nóż w plecy, byle tylko ocalić własne tyłki.

- Zasłużyła na to! - parsknęła Wodosławska. - Kadra oficerska może sobie gadać, co chce, ale nie jest w stanie zaprzeczyć, że cała ta jej dopieszczana Marynarka Wojenna gównem umie! Nawet orgii w burdelu nie potrafiłaby zorganizować!

Większość obecnych skrzywiła się, słysząc to porównanie. Wodosławska rzadko używała podobnego języka, ale tym razem trafnie wyraziła odczucia zgromadzonych.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego, u diabła, Filareta tak się zachował - powiedział zrezygnowanym tonem Kołokolcow.

Wiele razy odtwarzał nagrania przesłane przez Manticore wraz ze wstępną listą strat Jedenastej Floty. Wysłuchał wymiany zdań między tą zimną suką Harrington a Filaretą. Sam nie był oficerem Marynarki, ale nie miał wątpliwości, że Jedenasta Flota miała mniej więcej takie same szanse na przetrwanie co bałwan w piekle. Założywszy oczywiście, że Harrington nie kłamała, co post factum można było zweryfikować w sposób jednoznaczny. Nie kłamała. Miała Filaretę na widelcu i dała mu szansę na honorową kapitulację, jednak ten szalenie wolał otworzyć ogień!

- Nie wiem, o czym myślał - przyznał z goryczą MacArtney. - Nikt się już tego nie dowie.

- A Rajani ciągle nie ma kiedy przysłać Tsang do Old Chicago, byśmy mogli ją wypytać, jakie właściwie rozkazy dostała przed wysłaniem na Beowulfa? - upewniła się Quartermain i spojrzała kątem oka na Kołokolcowa. - Była dziwnie do przodu. O wiele bardziej agresywna, niż jej kazaliśmy. Nie mogę pozbyć się myśli, że w jej rozkazach znalazło się coś, o czym nikt nie był uprzejmy nam powiedzieć. Z Filaretą mogło być tak samo.

- Rozumiem twoje wątpliwości, ale nie przypuszczam, by tak to wyglądało - powiedział MacArtney. - Przynajmniej gdy chodzi o Filaretę. Nie wiem, co tam się zdarzyło, ale spotkałem go raz i drugi. Moim zdaniem nie był typem gotowym wykonać samobójczy rozkaz, od kogokolwiek by on pochodził.

- Ale tak właśnie zrobił. - Abruzzi pokręcił głową i MacArtney posłał mu pełne wyrzutu spojrzenie. - Nie podważam twojego zdania o człowieku, Nathanie. Mówię tylko, że coś skłoniło go jednak do popełnienia samobójstwa.

- Na miłość boską, Malachaiu! - rzuciła z niechęcią Quartermain. - Chyba nie zamierzasz wyciągać tych bzdur o nanotechnologii i kontroli umysłu?

- Ani myślę, Omosupe - odparł oschle Abruzzi. - Po pierwsze dlatego, że to absurdalny pomysł. Po drugie zaś, samo zwrócenie uwagi na ten punkt mogłoby zostać odczytane jako gotowość do otwarcia się na całą historię o Równaniu i jego manipulacjach.

- Ale jakieś stanowisko musimy sformułować - zaznaczyła Wodosławska. - Nagrania rozmowy Filarety z Harrington trafiły już do serwisów i widać na nich dobrze, że zrobiła wszystko, by się poddał, on zaś wolał ją ostrzelać. Przykro mi to mówić, ale to jednoznaczny dowód na to, kto jest winien masakrze.

- I pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy Felicia Hadley podniesie z tego powodu wrzask w Zgromadzeniu - zgodził się Kołokolcow. - Już wcześniej usprawiedliwiała zachowanie Beowulfa, dowodząc, że dzięki temu załogi Tsang uszły z życiem. Teraz zyskała dodatkowy argument.

- Do diabła z Hadley! - zachnął się MacArtney. - Już same pismaki wystarczą. Nawet nasi medialni „przyjaciele” będą musieli przyłączyć się w tym przypadku do większości, bo mówiąc wprost, zbyt wiele by stracili w sondażach, gdyby tego nie zrobili. O tym, jak bardzo da nam popalić O’Hanrahan i jej podobni, wolę nawet nie myśleć... Sami wiecie.

- Jeden z moich ludzi w ministerstwie wpadł być może na pomysł, co z tym zrobić - odezwał się nagle Malachai Abruzzi i wszyscy spojrzeli na niego z niedowierzaniem. On sam wzruszył ramionami. - Na krótką

metę, oczywiście, bo na długą nie ma bata, by cokolwiek wskórać. Najlepsze, co możemy zrobić, to przejąć inicjatywę medialną i spróbować spowolnić tę falę, zasiewając ziarno wątpliwości. Trzeba podważyć wiarygodność wstępnych relacji z Manticore. Minus jest taki, że cokolwiek uzyskamy w ten sposób teraz, obróci się przeciwko nam później, gdy pojawią się pełne i zweryfikowane materiały.

- To gdzie zysk? - spytał MacArtney.

- W tym, że jeśli ludzie Malachaia kupią nam w ten sposób trochę czasu, chociażby tylko kilka miesięcy, może uda nam się sformułować strategię pozwalającą na wyjście z tego z minimalnymi stratami - skomentował Kołokolcow. - Na razie nie wiem wprawdzie, jaka miałyby to być strategia, ale mam nadzieję, że jednak coś znajdziemy. Nie mamy innego wyjścia, jeśli chcemy uciec przed kryzysem konstytucyjnym.

Zapadła cisza, której nikt nie kwapił się przerwać. Wszyscy patrzyli na Kołokolcowa, jakby czekali na ciąg dalszy. No i doczekali się.

- Omijaliśmy ten temat, chociaż cała sprawa od początku wisiała w powietrzu - podjął tym samym tonem. - Niestety, Holmon-Sanders uruchomiła lawinę i teraz będzie już tylko gorzej. Po raz pierwszy od stuleci ludzie otworzą oczy i zaczną głośno przyznawać, że król jest nagi. - Rozejrzał się po hologramach współpracowników. - Konstytucja od początku była martwym dokumentem i nigdy nie spełniała funkcji, którą oficjalnie jej przypisywano. Oficjalny system rządów zawsze był fikcją, wypracowaliśmy za to inne metody, które jednak, szczerze i otwarcie mówiąc, były i są nielegalne w świetle tej konstytucji. Osoby w rodzaju Hadley czy Holmon-Sanders niczego sobie nie wymyśliły. Powiedziały tylko głośno to, co było wiadome od zawsze i nie robiło na nikim wrażenia. Tyle że obecnie osoby, które normalnie wzruszyłyby ramionami i uznały, że nie ma się czym przejmować, uznają historię z

Filaretą za dowód, że nasza ekipa nie zna się na swojej robocie. Że nie powinniśmy dłużej pozostawać u steru władzy. I wcale nie legalność naszych poczynań będzie dla nich najważniejsza, ale skuteczność. A gdy dojdą już do tego wniosku i posłuchają Hadley oraz reszty wściekłych dziennikarzy z Beowulfa, Liga może zacząć się rozsypywać. I to jest w tej chwili najważniejsze.

- Nie wiem, czy to nie zbyt... alarmistyczna postawa - powiedział z wahaniem MacArtney i spojrzął na pozostałych. - Nie uważacie?

Kołokolcow wiedział, że MacArtneya obecny kryzys obchodzi tylko o tyle, o ile może wpłynąć na jego osobistą karierę. Owszem, chciałby jakoś spacyfikować Manticore, ale nie dla dobra Ligi, tylko przede wszystkim osobistego komfortu i możliwości robienia spokojnie tego, czym zajmował się dotychczas. Tyle że teraz...

- Nie wydaje mi się, Nathanie - powiedział Abruzzi. Nigdy nie lubił MacArtneya, ale teraz odezwał się do niego wyjątkowo łagodnym tonem. Zupełnie jak do dziecka. - przyznaję, że to brzmi absurdalnie, ale jeśli się zdarzy, może doprowadzić do rozpadu Ligi. A gdy pojawią się pierwsze problemy, Bóg jeden wie, co zacznie się dziać w Protektoratach. Ha, nawet niektóre układy z samego centrum też przypomną sobie pewnie o zadawnionych żalach. Jeśli dojrzą sposobność pójścia swoją drogą, mogą zechcieć z niej skorzystać.

MacArtney pobladł nagle jak śmierć na chorągwi i zamilkł. Kołokolcow spojrzął ponownie na Abruzziego.

- Powiedz nam, co to za pomysł, dzięki któremu mamy zyskać na czasie.

- W sumie to bardzo proste. W gruncie rzeczy mamy teraz powtórkę ze Spindle, czyli znowu dysponujemy tylko tym, co Manticore nam przekazało, i relacjami z ich układowych serwisów. Innymi słowy,

wszystkie informacje z pierwszej ręki pochodzą z oficjalnych źródeł przeciwnika. Zrobimy więc to samo co wtedy. - Abruzzi wzruszył ramionami. - Skłamiemy.

- Czyli?

- Zgodnie z przedstawioną przez nich kolejnością zdarzeń najpierw Filareta wpakował się w pułapkę, potem Harrington zablokowała mu możliwość odwrotu i dała szansę na kapitulację, z której on nie skorzystał, tylko zaczął strzelać i wtedy go załatwiła. Zgadza się?

Wszyscy pokiwali głowami.

- Nic nie zyskamy, jeśli będziemy próbowali bronić jego sposobu postępowania, musimy więc trochę zmodyfikować tę historię. Harrington celowo wciąga go w pułapkę i proponuje kapitulację, by skłonić go do samozniszczenia zasobników holowanych, jedynej jego broni, której się obawia. Gdy Filareta to robi... ona otwiera ogień i z zimną krwią dopuszcza się mordy na załogach Jedenastej Floty. Nigdy nie miała zamiaru przyjąć jej kapitulacji, od początku zamierzała ją zniszczyć i innej możliwości nie brała nawet pod uwagę.

- Naprawdę się łudziś, że to kupią? - spytała Wodosławska. - Zwłaszcza teraz, gdy widzieli już nagrania Manticore?

- Właśnie na to położymy nacisk, że to nagrania Manticore - odparł Abruzzi. - Twierdzą, że przesłali nam oryginalny materiał, ale nie mamy na to żadnych dowodów. Zaznaczymy, że rozkazy Filarety przewidywały poddanie się, gdyby oceny admirała Rajampeta okazały się błędne i przeciwnik nie był wcale tak osłabiony, jak sądziliśmy. Nie wiem, czy Rajani dodał coś takiego, i zdecydowanie wątpię, by to zrobił, ale to przecież żaden problem. To były nasze rozkazy i możemy napisać je od nowa. Na ich podstawie, gdy Harrington zażądała kapitulacji, Filareta wiedział, co robić. I jesteśmy przekonani, że zrobił, co należało.

I wówczas właśnie Harrington otworzyła ogień, wszystko zaś, co w ich raporcie dotyczy tego właśnie punktu, zostało starannie zmanipulowane i przemontowane z wykorzystaniem autentycznego materiału z tej bitwy.

- Nie przejdzie - podsumowała Wodosławska.

- Może przejść - powiedział z namysłem Kołokolcow. - Naszą przewagą będzie spójność tej wersji ze wszystkim, co mówiliśmy po Spindle i innych konfrontacjach. Owszem, niektórzy zauważą, że to powtórka, dla innych jednak będzie to przesłanka czyniąca historię bardziej prawdopodobną. Będzie pasować do tego, co wielu już wcześniej uznało za prawdę, a Manticore nijak nie zdoła tego zmienić. Mogą dostarczyć wszystko, z zapisami sensorów włącznie, ale nadal będzie to materiał pochodzący z ich źródeł rządowych, a każdy normalny i cyniczny po swojemu obywatel Ligi Solarnej wie przecież, że rząd zawsze kłamie i gra tak, by wyjść na tym jak najlepiej.

- Doprawdy? - zdumiała się Wodosławska. - A co ze wspierającą ich Republiką Haven? Powiemy, że to ten sam scenariusz?

- Powiemy, że Haven postanowiło ubić interes z Manticore - odezwał się Abruzzi i Wodosławska spojrzała na niego z niedowierzaniem w szarych oczach. - Jestem pewien, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych przedstawi najróżniejsze przekonujące dowody, że tak właśnie było. Bo przecież nie mogło być inaczej, prawda? Technologia militarna Republiki Haven musi być bliska temu, czym dysponuje Manticore, inaczej nie przetrwaliby tak długo. A to oznacza, że oni także dysponują znaczną przewagą nad naszą flotą, przynajmniej do czasu, gdy coś z nią zrobimy. Manticore zaproponowało im więc układ: jeśli przestaniemy do siebie strzelać, będziemy mogli wspólnie zagrabić sporo wartościowych zdobyczy, kosztem Ligi oczywiście oraz każdego, kto

próbowałyby nam przeszkodzić. Tyle że musimy działać szybko, póki nie będzie na nas mocnego. Jeszcze jeden wariant starego powiedzenia o wrogu mojego wroga, który jest moim przyjacielem. Tyle że w tym przypadku chodzi o bezradną ofiarę mojego wroga, która może stać się też moją ofiarą. Powiemy, że tak właśnie Manticore sprzedało ten pomysł Haven.

- Mówisz, że w twojej wersji historii Haven uznało wspólny rabunek za bardziej korzystny niż dalsze wzajemne wybijanie się w celu opanowania Wormhole Junction? Nowy cel wydał im się pewniejszy i łatwiej osiągalny? - spytała Wodosławska z głębokim namysłem.

- Od początku wyjaśniamy wszystkim, że Imperium Manticore to banda cynicznych imperialistów gotowych z zimną krwią popełnić każdą zbrodnię - zaznaczył Abruzzi. - Ta nowa teoria dobrze by do tego pasowała. No i fakt, że Haven, które nienawidziło zawsze Manpower tak samo żarliwie jak Manticore, poparło całą tę bzdurę na temat Równania, będzie dodatkowo działał na naszą korzyść.

- Jedno nadal mi tu nie pasuje - stwierdziła Wodosławska. - Przecież to Pritchard przysłała z tym do Manticore, nie odwrotnie. Zgadzam się, że to nonsens, ale jeśli w Haven naprawdę w to wierzą...

- Pozwolę sobie przypomnieć, że zgodnie z ich bajeczką to Zilwicki i Cachat mieli zabrać Simoesa z Mesy - wtrącił Abruzzi. - Wszyscy chyba pamiętamy, jak bardzo Zilwicki narozrabiał tutaj, w Chicago, gdy Manpower rzekomo porwało jego córkę. Chyba nikt nie będzie skłonny uznać go za bezstronnego świadka w jakiegokolwiek sprawie związanej z Mesą. Poza tym, jeśli w rozpowszechnianej przez Mesę wersji wydarzeń w Green Pines kryje się choć gram prawdy, Zilwicki miał dość powodów, by wyskoczyć z opowieścią o ciągnącym się od stuleci spisku. Proste tłumienie poczucia winy. A do tego jest jeszcze Cachat, który

parę lat temu skumał się mocno z Bailem i chyba był z Zilwickim w Green Pines. Kolejny niewiarygodny osobnik, zwłaszcza gdy chodzi o oskarżenia wysuwane pod adresem Mesy. A jako wisienka na torcie występują treecaty, które potrafią podobno rozpoznać, kiedy ktoś kłamie, i potwierdziły prawdomówność Simoesa. Najbardziej spójny scenariusz, jaki udało mi się ułożyć, to taki, w którym Zilwicki i Cachat zdołali sfabrykować całą historię specjalnie po to, by sprzedać ją Pritchart i jej administracji. Lub prawie sprzedać. Sądzę, że ich bardzo długi powrót z Mesy można wytłumaczyć tym, że zaszyli się gdzieś, urabiając wraz z wywiadem Manticore rzekomego świadka i składając wszystko do kupy. Potem zjawili się w Nouveau Paris i ujawnili „szokującą prawdę” Pritchart, po czym przekonali ją, by podzieliła się tą wiedzą z Manticore. I tutaj, całkiem niespodziewanie oczywiście, czytające w myślach treecaty potwierdzają, że Simoes nie zmyśla. Po prawdzie najciekawsze pytanie, to czy Pritchart naprawdę im uwierzyła. Wszyscy siedzimy już w tym jakiś czas i znamy zasady tej gry. Może i uwierzyła w te bzdury i przesłane nam oświadczenia Haven w tej sprawie są szczerze. Osobiście sądzą jednak, że świetnie wie, iż Zilwicki i Cachat podsunęli jej wielkie łgarstwo, ale łgarstwo przydatne i pozwalające złożyć Elźbiecie ofertę. Taką, o jakiej wspomnimy, czyli że dojrzała sposobność do zakończenia wojny w sposób nie tylko pokojowy, ale czyniący z niej sojusznika Manticore przy podziale łupów zdobytych kosztem Ligi Solarnej.

- A wiesz, że to naprawdę mogło tak być? - powiedział po chwili MacArtney. - Albo podobnie. Niezależnie od tego, co powiemy ludziom, nie twierdzą, że Filareta nie zaczął strzelać pierwszy, ale co do Haven i Manticore... Mogli ich tak podejść.

- Może - zgodził się Abruzzi. - Ale nie ma co komplikować sprawy. Potrzebne nam proste wyjaśnienie, które dobrze zabrzmi w serwisach, z Manticore w roli rozgrywających. Haven przedstawimy jako marionetkę w ich rękach, być może też z imperialistycznymi ambicjami, i wyrazimy wobec nich współczucie, że dali się tak zmanipulować. Ubolewanie raczej niż złość. Kto wie, może gdy fortuna odwróci się od Manticore, Haven zechce wykorzystać sposobność, by zmienić front?

- Nie stawiałbym na to żadnej większej sumy - powiedział MacArtney. - Ale owszem, na krótką metę taka historia może się sprawdzić. Zasugeruję nawet Rajanemu, by zapędził swoich speców do pracy. Niech wyszukają w oficjalnej relacji miejsca, które mogły być edytowane. Sądzę, że rzeczowy i obiektywny raport ekspertów stwierdzających, że manipulacja mogła mieć miejsce, ale nie da się jednoznacznie orzec, jak było naprawdę, może okazać się bardziej użyteczny niż otwarte oskarżenia o oszustwo.

- Racja - odparł Abruzzi, a Kołokolcow rozejrzał się wokoło.

- Dobrze. Chyba wszyscy zgadzamy się przyjąć tryb postępowania zaproponowany przez Malachaia. Moim zdaniem byłoby też dobrze, gdybyś przygotował wraz z Omosupe i Agatą raport ostrzegający przed ekonomicznymi skutkami imperialistycznych poczynań Manticore wobec Ligi. Niech trafi na pierwsze strony serwisów. Zróbcie to tak, by jeszcze bardziej zniechęcić do nich opinię publiczną. - Uśmiechnął się z zaciśniętymi wargami. - Nie wiem, jak lepiej wytłumaczyć naszym obywatelom, kto jest ich prawdziwym wrogiem.

Rozdział XXVIII

Jednostka kurierska Haven zacumowała przy *Haven One* czekającym na wyznaczonej orbicie nad stołecznym światem układu Manticore. Kurier dostał zgodę na podejście do statku prezydent Pritchard bez miejscowego pilota na pokładzie, co było rzadkim odstępstwem od praktykowanych w Gwiezdnym Imperium zasad ruchu orbitalnego i jednocześnie świadectwem zmian, które zaszły w ciągu ostatniego miesiąca w kontaktach między oboma państwami.

Wysoce tajna przesyłka została przekazana na *Haven One*, gdzie musiała poczekać ponad trzy godziny, aż prezydent Pritchard zakończy spotkanie z królową Elżbietą, protektorem Benjaminem i dyrektorem Bentonem-Ramirezem y Chou. Pani prezydent nie opuściła wcześniej pałacu Mount Royal przede wszystkim dlatego, że omawiane akurat sprawy należały do bardzo ważnych, ale to nie był jedyny powód. Chociaż zaliczała się do osób odważnych, w obecnych okolicznościach musiałaby być nadczłowiekiem, by nie odczuwać niepokoju na myśl o tym, co też znajduje się w poczcie.

Niemniej gdy znalazła się w końcu na pokładzie, poszła prosto do swojej kabiny, wprowadziła po kolei dwa kody dostępu odblokowujące przesyłkę, wzięła się w garść i zaczęła czytać.

*

- Prawdę mówiąc, skłonna jestem zgodzić się z Aretheą - powiedziała królowa. -Wiem, że to twoje wesele, to znaczy wasze, twoje i Rivki - dodała z ciepłym uśmiechem, spoglądając na Rivkę Rebecę Rosenfeld. - I jeśli będziecie nalegać, zrobimy to po waszemu. Sądzę

jednak, że w obecnych okolicznościach zaangażowanie Marynarki Wojennej to dobry pomysł.

- Nie żebym się z tym nie zgadzał, mamó, ale to jest prywatna uroczystość, nie wydarzenie polityczne. - Księżę Korony Roger Gregory Alexander Timothy Winton bardzo starał się zachować spokój i zasadniczo nawet mu się to udawało. - W odróżnieniu zaś od wujka Mike'a czy Michelle sam nigdy nie służyłem w Marynarce. Byłoby to dla mnie... krępujące, gdybym sprowadził ją na mój ślub, zwłaszcza po tym wszystkim, co stało się niedawno. Nie chcę wyjść na snoba, któremu zamarzyła się gala mundurowa, kiedy większość tych ludzi ma co innego do roboty. A jeszcze bardziej nie chciałbym sprawiać wrażenia, że próbuję... zawłaszczyć część ich sławy. Posłużyć się nimi, byśmy wydawali się z Rivką jeszcze ważniejsi!

Było oczywiste, że tylko należny matce szacunek powstrzymał go od użycia dosadniejszych słów, i Elżbieta ledwie powstrzymała uśmiech.

- Arethea nie o tym myślała - zaczęła, gdy panowała już w pełni nad twarzą. - Ona...

- Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość - odezwała się Rivka. - Sądzę jednak, że niezależnie od intencji damy Arethy, tak właśnie może to zostać odebrane.

Młoda kobieta, która miała zostać księżniczką Korony, należała do osób atrakcyjnych, chociaż nie była to uroda rzucająca się w oczy. Wydawała się też aż do przesady spokojna, niemniej w jej dużych, piwnych oczach malowała się nie tylko ponadprzeciętna inteligencja, ale także szczególnie stonowany hart ducha. Chyba właśnie dzięki tym cechom nieźle radziła sobie z trudnym zadaniem utrzymywania dobrych relacji z przyszłą teściową, która była na dodatek jej

władczynią. Elżbieta była pełna podziwu dla młodej przecież, ledwie dwudziestoletniej dziewczyny i całym sercem popierała wybór syna.

- Sądzę, że najbardziej doskwiera Rogerowi perspektywa tych wszystkich ludzi w mundurach Marynarki, tworzących szpaler przed katedrą Króla Michaela - powiedziała Rivka. - Bo rzecz w tym, że chyba mało kto uwierzy, jakoby oni wszyscy też zostali zaproszeni, tylko nie zmieścili się w katedrze. Będzie jasne, że rozkazano im przyjść.

- Owszem, ponieważ tak właśnie być powinno - zaznaczyła Elżbieta.
- Obecność wojska podczas królewskich zaślubin, chrztów i pogrzebów jest standardem.

- Wiem o tym, Wasza Wysokość. Mówię tylko, jak według mnie widzi to Roger.

- Mamo, nie mam nic przeciwko obecności delegacji Marynarki - powiedział Roger. - Ale nie chciałbym sytuacji, w której spośród wszystkich sił zbrojnych tylko Marynarka byłaby reprezentowana. Nie zrozum mnie źle, proszę. RMN ma wszelkie prawo być obecna. Bóg wie, że jeśli już, to ona zasłużyła na to najbardziej! Nie chcę tylko, byśmy... odcinali teraz kupony od jej popularności. Może to niemądre, może też wynika z faktu, że nigdy nie nosiłem munduru, ale tak właśnie rzecz odczuwam.

- Rozumiem. - Elżbieta przyjrzała mu się uważnie, a potem zerknęła na jego narzeczoną. - Też tak to odbierasz, Rivko?

- Może nie równie zdecydowanie jak Roger, Wasza Wysokość, niemniej to także jego ślub. Rozumiem, że to będzie wielkie wydarzenie, nagłośnione publicznie i w ogóle. Nie narzekam, bo wiedziałam, że zawarcie związku z Rogerem będzie tak właśnie wyglądać, chociaż nadal jeszcze cała ta otoczka jest dla mnie czymś nowym. Niemniej jeśli mogę wesprzeć Rogera w... próbie

odpolitycznienia naszego ślubu, chociaż w tak niewielkim stopniu, jestem skłonna to zrobić. Chcę, by czuł się w tym dniu jak najlepiej.

Elżbieta pokiwała głową, raz jeszcze gratulując sobie w duchu przyszłej synowej. Dziewczyna miała głowę na karku. Królowa zawsze uważała, że konstytucyjny wymóg, by dziedzic Korony szukał sobie małżonka poza arystokracją, należał do najlepszych pomysłów ojców-założycieli Gwiezdnego Królestwa Manticore. Z własnego doświadczenia wiedziała też, że od wieków wszyscy co przystojniejsi łowcy posagów i co urodziwsze amatorki awansu społecznego zwykli polować na okazję. Sama mogła w swoim czasie przebierać w ponad trzydziestu różnych chłoptasiach, ale ostatecznie wybrała Justina i była bardzo wdzięczna obowiązującemu prawu, że zetknęło ich ze sobą. Kilka spośród młodych kobiet krążących wokół Rogera wzbudziło jej niepokój, ale ostateczne rozstrzygnięcie bardzo przypadło jej do gustu. Uważała, że ci dwoje będą naprawdę wspierać się nawzajem.

- Dobrze - powiedziała. - Może więc pójdziemy na kompromis? Masz rację, że Marynarka powinna być reprezentowana, bo na to zasługuje, ale może dodamy jeszcze personel z innych rodzajów sił zbrojnych? Na przykład Queen's Own, Marines, Straż Pałacową, aby przeplatali się z przedstawicielami floty? Jeśli zabraknie nam ludzi z Queen's Own, możemy sięgnąć do żołnierzy regularnej armii. Jeśli nie okaże się to konieczne, wówczas Queen's Own będą ją reprezentować. Czy to byłoby do przyjęcia?

- Chyba tak - odparł Roger i spojrzał na Rivkę, która nagle się zaśmiała. - Co w tym zabawnego?

- Pomyślałam właśnie, że Królewska Marynarka Wojenna i tak będzie godnie reprezentowana - wyjaśniła. - Twój wuj będzie przecież w mundurze, podobnie jak admirał Truman, earl White Haven, admirał

Caparelli, admirał Givens i admirał Hemphill. A także admirał Theisman, admirał Tourville, admirał Yu i admirał Yanakov, czyli cały kontyngent sojuszników.

- Co prawda, to prawda - zgodziła się z uśmiechem Elżbieta, nie nawiązując do powodów, dla których Rivka nie wymieniła jednego z flagowych oficerów, który w przeciwieństwie do reszty nie planował włożenia munduru. Honor Alexander-Harrington zgodziła się zostać jedną z druhen Rivki Rosenfeld i miała wystąpić jako patronka Harrington, nie admirał.

Chociaż formalnie będzie też jako księżna Harrington, pomyślała królowa. Z drugiej strony...

- Przepraszam, Wasza Wysokość, ale jest połączenie od prezydent Pritchart.

Elżbieta obróciła się do służącego, który stał w progu. Nikt z ludzi pracujących w Mount Royal nie lubił przeszkadzać członkom rodziny królewskiej, gdy z rzadka mogli spędzić czas we własnym gronie, toteż mężczyzna ukłonił się lekko, jakby naprawdę było mu przykro.

- Przyszło na bezpieczny terminal w gabinecie Waszej Wysokości - powiedział.

- Dziękuję, Issacu. - Królowa uśmiechnęła się i spojrzała raz jeszcze na Rogera i Rivkę. - Dobrze, wygraliście na punkty. Ale ostrzegam, w kwestii zwieńczenia tortu tak łatwo nie ustąpię!

Zgromiła ich przy tym spojrzeniem, które wywołało u Rivki atak śmiechu, Roger zaś udał, że kuli się ze strachu. Elżbieta zachichotała, pokręciła głową, wzięła Ariela na ramię i udała się do swojego gabinetu.

Gdy usiadła przed terminalem, natychmiast sięgnęła do sensora przyjęcia rozmowy.

- Przepraszam, że czekałaś, Eloise. Właśnie odkryłam, że przygotowanie ślubu własnego syna jest trudniejsze niż dogadywanie traktatów z odwiecznym wrogiem.

- Ciekawe, że wspomniałaś o odwiecznym wrogu - odezwała się Pritchart z dziwnym uśmiechem na twarzy. - Właśnie dostałam pocztę z Nouveau Paris. Nasze propozycje zostały przyjęte w trochę inny sposób, niż oczekiwałyśmy.

- Tak? - Po czterdziestu latach spędzonych na tronie Elżbieta potrafiła świetnie panować nad swoim obliczem, jednak tym razem nie do końca jej się to udało. - Pod jakim względem?

- Pamiętasz, jak mówiłam, że Leslie będzie miała problemy z przepchnięciem ich przez senat, zwłaszcza przy mojej nieobecności?

Elżbieta przytaknęła. Sporo ważkich argumentów przemawiało za powrotem Pritchart na Haven i osobistym przedstawieniem projektu traktatu. Były też jednak i kontrargumenty, wśród których jako najważniejszy jawiła się potrzeba bezpośredniego nadzoru nad trudnym i delikatnym procesem wypracowywania metod współpracy między RMN a Marynarką Republiki, flotami przez lata wrogimi i wciąż uczącymi się innego myślenia o niedawnym przeciwniku. Istniał wszakże jeszcze jeden powód, o którym Elżbieta i Pritchart nie rozmawiały, ale obie były go świadome. Rzecz w tym, że pozostając na Manticore, pani prezydent wymuszała niejako akceptację traktatu, chwilowo wiążąc ręce parlamentowi, chociaż oczywiście potem mogło jeszcze być różnie.

- Właśnie się okazało, że jednak się myliłam - podjęła Pritchart. - Z tego, co Leslie mi pisze, nie musiała w ogóle się napinać. Parlament przyjął wszystko z marszu, z przewagą pięćdziesięciu sześciu głosów,

sporo powyżej wymaganych dwóch trzecich. Głosów przeciwnych było tylko jednaście!

- To wspaniała wiadomość, Eloise!

- Mam wrażenie, że parlament był już zmęczony tą wojną, podobnie jak Thomas Theisman. Według Leslie zaważyło nie tylko to, że mimo kombinacji Giancoli z pocztą dyplomatyczną obejdzie się ostatecznie bez reparacji. Ważna była też świadomość, że w niedalekiej przyszłości Gwiazdne Imperium Manticore stanie się naszym największym partnerem handlowym. Nie mówiąc o tym, że mało kto w Republice naprawdę darzy sympatią Ligę Solarną.

- Całkiem poza protokołem przyznam, że nie mam nic przeciwko zmierzeniu się z jakimś łatwiejszym przeciwnikiem. Tak dla odmiany. Ale nie cytuj mnie nigdy, bo się wyprę - powiedziała Elżbieta, po raz setny dziwiąc się w duchu tym wszystkim zmianom, dzięki którym mogła sobie teraz żartować z prezydentem mocarstwa, którego przez lata dogłębnie nienawidziła.

- Oczywiście zostało jeszcze trochę pytań ze strony Nouveau Paris - podjęła Pritchart.

- Jak powiadają, diabeł tkwi w szczegółach. Jeśli nie masz nic przeciwko i skoro traktat został zatwierdzony przez oba odpowiednie organy, chciałabym jak najszybciej zająć się wysłaniem ekipy admirała Hemphill do Bolthole. Sądzę, że to rozproszyłoby wiele wątpliwości.

- Tom i Hamish nadal jeszcze biją się z Admiralicją - powiedziała Elżbieta z krzywym uśmiechem. - Ale nie przewiduję jakichś większych problemów.

I mam nadzieję, że przecucie mnie nie myli, dodała w myślach. Naprawdę nie oczekiwała komplikacji, ale nieraz była już zaskakiwana przy takich okazjach. Przypuszczała, że bardziej konserwatywna część

oficerów Royal Manticoran Navy będzie niezbyt szczęśliwa, słysząc o zamiarze wysłania ocalałych ludzi z działu badań i rozwoju z HMSS *Weyland* gdzieś daleko na terytorium Haven, by wyjawili niedawnemu przeciwnikowi wszystkie sekrety RMN. Podświadomie oczekiwała, że w każdej chwili może się obudzić z ciężkim kacem...

Z drugiej strony, takie rozwiązanie miało sens. Skoro mimo bardzo intensywnych poszukiwań Manticore nie udało się ustalić, gdzie właściwie leży Bolthole, Liga Solarna, a zapewne także Równanie, też nie powinni tego wiedzieć. W tej sytuacji przeniesienie centrum badawczego tam, gdzie owe niewidzialne jednostki nie mogły go wytropić i tym samym zniszczyć, dokańczając niejako dzieła, wydawało się naprawdę dobrym pomysłem. Z informacji przekazanych przez Theismana i Pritchart zaś wynikało, że Bolthole nadawało się do szybkiego wdrożenia produkcji nowego sprzętu, i to od razu na wielką skalę. Trzeba było je tylko trochę unowocześnić.

Niektórzy argumentowali, że lepszym miejscem byłyby Beowulf, technologicznie znacznie bardziej zaawansowany niż Republika, nawet Bolthole. Teoretycznie wymagałyby mniejszych inwestycji, zwłaszcza na polu rozwijania nowych projektów, i szybciej mógłby podjąć pracę. Było tylko jedno drobne „ale”. Beowulf był nastawiony na rozwój technologii cywilnych, które z założenia różniły się mocno od wojskowych, wymagały też innego podejścia od ludzi nad nimi pracujących. Elżbieta nie wątpiła, podobnie zresztą jak wszyscy chyba oficerowie RMN pozostający w służbie czynnej, że Shannon Foraker w pełni zasłużyła na swoją reputację. Zespół, który udało się jej zebrać, dokonał prawdziwych cudów, by wydatnie zmniejszyć przepaść technologiczną między Manticore a Republiką. Po utracie *Weylanda* i jego graysońskiego odpowiednika krążącego na orbicie Blackbirda nie było

w galaktyce grupy fachowców zdolnych sprawniej wziąć się do tej roboty.

Poza tym Beowulf był już zajęty czymś innym.

Wprawdzie lista ofiar lutowego ataku była przerażająco długa, ale obejmowała względnie niewielki odsetek siły roboczej Manticore. Problem w tym, że chodziło o kluczową grupę obejmującą inżynierów, menedżerów i ludzi od logistyki, odpowiedzialnych za budowę jednostek Manticore, tak wojskowych, jak cywilnych. Dostarczające surowców instalacje wydobywcze i hutnicze pozostały nietknięte, spora część przemysłu, który z surowców korzystał, także wyszła obronną ręką. Cały personel ze stacji serwisowych obsługujących Manticore Wormhole Junction ocalał i był do dyspozycji. Brakowało tylko tych, którzy byli sercem systemu zdolnego produkować najnowocześniejsze jednostki kosmiczne w znanej galaktyce. Przepadły wielkie zakłady montażowe oraz niezbędni do utrzymania ich w ruchu fachowcy z różnych dziedzin, włącznie z brygadami wykończeniowymi, zbrojmistrzami, inżynierami od systemów podtrzymywania życia i tak dalej. Nie było też oddziałów zajmujących się nanotechnologiami, bez których współczesna jednostka po prostu nie mogła istnieć. A wreszcie brakowało także specjalistów od planowania, dzięki którym cała ta machina mogła sprawnie działać i bez których nie było szans na szybką jej odbudowę. W pewien sposób wyszedł z tego klasyczny dylemat w stylu: jajko czy kura. Przynajmniej teraz tak to wyglądało i niestety nie było widoków na szybką zmianę sytuacji.

Owszem, już na pierwszym zebraniu gabinetu, krótko po ataku, baronowa Morncreek i hrabina Maiden Hill jednoznacznie stwierdziły, że zdołają odtworzyć potencjał stoczniowy Manticore. Miały przynajmniej część potrzebnych im ludzi, chociaż musiałyby ściągnąć

ich z innych, także bardzo ważnych sektorów przemysłu. Skarbem byli również wszyscy, którzy wrócili z Grendelsbane. W sumie było z kim pracować, pozostawał jednak problem czasu. Czasu oraz ceny, jaką musiałaby wówczas zapłacić cała gospodarka Gwiezdnego Imperium.

Pomoc ze strony Beowulfa i Republiki Haven nabierała w tym kontekście zupełnie nowego znaczenia. Utrata dochodów związana z zamknięciem terminali dla jednostek Ligi Solarnej nawet w zwykłych okolicznościach musiałaby przybrać katastrofalny wymiar, w połączeniu zaś ze skutkami lutowego ataku groziła niemalże kataklizmem. Godzono się z tym, chociaż w chwili układania planu Laokoon nikt nie przewidywał możliwości takiego ocieplenia kontaktów z Haven, by oba państwa stały się partnerami wymiany handlowej. Nie przypuszczano też, że Beowulf stanie się oficjalnym sojusznikiem przeciwko Lidze Solarnej.

Haven nie mogło oczywiście w pełni zastąpić utraconych kontaktów, ale oferowało naprawdę wiele doskonałych okazji do współpracy biznesowej i już to powinno znacznie złagodzić kryzys. Tradycyjnie zaś, inwestując sporo na terenie Manticore, Beowulf włączał się w ten sposób jeszcze wydatniej w strukturę gospodarczą Wielkiego Sojuszu, mogąc stać się jej kołem zamachowym. Już w tej chwili było wiadomo, że wykupi lwią część obligacji wojennych Gwiezdnego Imperium.

I to nie był koniec. Beowulf wysłał już przez terminal dziesiątki statków serwisowych i naprawczych, dzięki którym można było zacząć budowę nowych stacji. Od razu czterech: dwóch w pobliżu Manticore i dwóch na orbicie Sphinksa. Tym razem były trochę inne; wykorzystywały plan pozwalający na systematyczną rozbudowę zamiast chaotycznego dodawania nowych modułów w miarę rosnących potrzeb. Miały też posiadać potężne zdolności obronne.

Wszyscy uczyliśmy się na własnych błędach, jak skwitowała to w pewnej chwili Elżbieta.

Niespodziewane poszerzenie Wielkiego Sojuszu pozwoliło na zrewidowanie najbardziej nawet optymistycznych planów odbudowy potencjału przemysłowego dawnego Gwiezdnego Królestwa, chociaż nie znaczyło to oczywiście, że uda się to zrobić z dnia na dzień. Proces miał trwać latami i nikt się nie łudził, że będzie inaczej.

Dlatego właśnie Beowulf już teraz zaczął budowę linii produkcyjnych wielostopniowych pocisków. Dotąd w składzie jego floty nie było superdreadnoughtów zdolnych stawiać zasobniki holowane, ale technologicznie był o wiele bliżej Manticore niż Republika Haven i łatwiej było mu zabrać się do wytwarzania miniaturowych reaktorów fuzyjnych oraz nowych modułów grawitacyjnych, potrzebnych do złożenia czegoś przypominającego rakiety Mark 23-E. W przewidywalnej przyszłości Beowulf miał się stać głównym dostawcą pocisków dla całego Sojuszu. W sprzyjających okolicznościach już za kilka standardowych miesięcy powinien zacząć składanie pierwszych sond typu Keyhole-Two, które miały trafić na wyposażenie nowych zasobnikowych superdreadnoughtów budowanych już przez Haven w Bolthole. Ostateczny montaż całego systemu Keyhole planowano przeprowadzić w Manticore.

Już sama myśl o podobnej współpracy przyprawiała Elżbietę o ból głowy, ale Honor i Hamish zapewnili ją, że na pewno się uda. Oczywiście warunkiem koniecznym była sprawna obrona Beowulfa przed potencjalnym atakiem, niemniej przy dwustu strzegących układu superdreadnoughtach nikt nie spodziewał się tu większych problemów.

- Też myślę, że powinno się udać - powiedziała Pritchard. - Chociaż muszę przyznać, że nie raz i nie dwa miałam poważne wątpliwości w tej

materii.

- Eloise, jesteśmy dwiema najbardziej upartymi kobietami w tej galaktyce i nikt nie dorówna nam w gotowości do obrony tego, co wywalczyłyśmy - odparła Elżbieta. - I jeśli wspólnie coś postanowimy, to nie ma szansy się nie powieść.

- Nie zamierzam się z tobą sprzeczać - stwierdziła z uśmiechem Pritchart. - Niemniej na tym właśnie proponuję skończyć. Wracaj do rodziny i ślubu. To pewnie i tak ciekawsze.

- Pod wieloma względami jak najbardziej - zgodziła się królowa. - Nie mówiąc o tym, że jeszcze miesiąc temu nie przyszłoby mi do głowy, że wśród zaproszonych gości znajdzie się pani prezydent Republiki Haven.

- Najpewniej nie. - Pritchart zaśmiała się i sięgnęła do klawiatury, by zakończyć połączenie, ale nagle się zawahała. - Właśnie, nim mi to ucieknie. Leslie zadała mi pytanie, czy byłaby możliwość sprowadzenia treecatów dla najważniejszych osób w Nouveau Paris. Wie, że tak naprawdę zależy to od nich samych, i nie zamierza nikogo naciskać, ale wydaje się, że nasze służby bezpieczeństwa bardzo poważnie traktują zagrożenia związane z tymi paskudnymi nanotechnologiami.

- Jutro rano porozmawiam o tym z doktor Arif i Głosem Smutku - obiecała Elżbieta. -Z tego, co ostatnio od nich usłyszałam, wynika, że zaraz po weselu będziemy mogli wysłać wam ponad dwadzieścia treecatów. Może nawet więcej.

- Dziękuję - powiedziała Pritchart z ciepłym uśmiechem. - I to już naprawdę wszystko, wracaj do rodziny. Porozmawiamy później. Bez odbioru.

LIPIEC 1922 ROKU PO DIASPORZE

„Wszyscy możemy przez to zginąć”.

podpułkownik Natsuko Okiku, Żandarmeria Solarna

Rozdział XXIX

Sir Lyman Carmichael, który nigdy nie myślał, że przyjdzie mu zastąpić Jamesa Webstera na stanowisku ambasadora Imperium Manticore w Lidze Solarnej, stał przy oknie na piątym piętrze, gdzie mieściły się biura delegacji Beowulfa, i spoglądał z góry na scenę, która kojarzyła mu się z kiepskim filmem historycznym.

Co za idioci, pomyślał z niechęcią o obywatelach Ligi Solarnej. Nikt inny w całej pieprzonej galaktyce nie dałby się nabrać na te bzdury spreparowane przez Abruzziego. Poza nimi. Połknęli haczyk i jeszcze się oblizują.

Pokręcił głową. W idealnym świecie stałyby kontakt z lawiną kłamstw powinien wytworzyć coś w rodzaju odporności na nie, ale widok wściekłego i rozwrzeszczanego tłumu na placu jasno dowodził, że temu wszechświatowi daleko do doskonałości. Carmichael zaczynał nawet podejrzewać, że w przypadku obywateli Ligi przesycona łągarstwami atmosfera spowodowała zanik umiejętności odróżniania fałszu od prawdy nawet w tych rzadkich przypadkach, gdy rzeczywistość pokazywała swoje autentyczne oblicze.

Znowu stajesz się cyniczny, pomyślał ambasador. I jesteś niesprawiedliwy. Z drugiej strony miał jednak pewne podstawy do takiego myślenia. Tępaki z placu miały przecież sposobność poznania wersji obu stron i mimo to zdecydowały się wylec na ulice, by dać świadectwo swojej głupocie.

Carmichael był na razie względnie bezpieczny w należącem do Beowulfa budynku. W zwykłych okolicznościach sprawa byłaby

oczywista, jako że zgodnie z literą międzynarodowego prawa personel dyplomatyczny był całkowicie nietykalny, i to niezależnie od relacji panujących akurat pomiędzy odnośnymi państwami. Większość galaktyki akceptowała tę zasadę i nawet w przypadku wojny Carmichael miał prawo oczekiwać, że umożliwi mu się spokojny powrót do ojczyzny, tak samo jak personel innych państw zyskałby szansę opuszczenia Gwiezdnego Imperium.

Z Ligą Solarną było jednak trochę inaczej. Nigdy nie ratyfikowała konwencji regulującej status personelu dyplomatycznego, co w przeszłości nie było istotne, jako że nikt nie okazał się dotąd na tyle szalony, by stawiać Chicago pod ścianą, teraz jednak lokowało Carmichaela w „szarej strefie”. Trudno było przewidzieć, jak ostatecznie zachowa się Kołokolcow i jego banda i jaką interpretację zwyczajowego prawa wybierze. Ambasador Manticore schronił się więc na wszelki wypadek pod skrzydła przedstawicielstwa Beowulfa, którego status był regulowany przez konstytucję. Oczywiście pozostawała jeszcze kwestia, czy ktokolwiek zwróci uwagę na ową konstytucję, jak i pewność, że przy obecnym stanowisku reprezentowanym przez Beowulfa niebawem przestanie on być na terenie Ligi Solarnej stroną mającą jakiegokolwiek prawa do czegokolwiek.

Okna budynku były dźwiękoszczelne i nie pozwalały na dosłyszenie, co właściwie skandował tłum, zwłaszcza z piątego piętra. Było jednak widać, że większość ludzi na placu drze się jak opętana, dla pewności zaś ci i owi przynieśli jeszcze transparenty oraz holoprojektory z zupełnie jednoznacznymi napisami.

MORDERCY Z MANTICORE!

RZEŹNICY!

HARRINGTON + ZDRADA = MORD!

ZABÓJCY W ADMIRALSKICH MUNDURACH!

Nie zapomniano, rzecz jasna, także i o Beowulfie.

ZDRAJCY!

PACHOŁKI MANTICORE!

KTO WBIŁ FILARECIE NÓŻ W PLECY?

GDZIE WASZE TRZYDZIEŚCI SREBRNIKÓW?

BOWULF POMÓGŁ ZGŁADZIĆ JEDENASTĄ FLOTE!

GDZIE BYŁA ADMIRAŁ TSANG,

GDY JEDENASTA GINEŁA?

Carmichael westchnął i odwrócił się od okna, odkrywając niespodziewanie, że ktoś stanął tuż za jego plecami.

- Pani delegatko - przywitał się z lekkim ukłonem.

- Panie ambasadorze - odpowiedziała z podobnym ukłonem Felicia Hadley, szefowa delegacji Beowulfa w Zgromadzeniu Legislacyjnym Ligi Solarnej. Była smukłą kobietą z czarnymi włosami, piwnymi oczami i śniadą cerą. Starsza o co najmniej kilka lat od Carmichaela, wyglądała jednak młodziej, być może dzięki widocznym u nasady nosa piegom.

- Patrzyłem właśnie na to przedstawienie - stwierdził ambasador.

- A ja patrzyłam, jak pan patrzy - powiedziała z lekkim uśmiechem Hadley. - Robi wrażenie, prawda?

- Owszem. Chociaż bardziej zastanawia mnie bezsilność tutejszej policji, zwykle tak sprawnej. Niezbadanym zrzędzeniem losu okazała się całkiem bezradna wobec tej spontanicznej i zupełnie nielegalnej demonstracji - dodał z przekąsem, wywołując śmiech Hadley.

- Też o tym pomyślałam - przyznała. - Zastanawiałam się nawet, czy nie powinnam wspomnieć o tym w moim dzisiejszym wystąpieniu. Niczego by to oczywiście nie zmieniło, ale poczułabym się trochę lepiej.

Carmichael pokręcił głową.

- Proszę o wybaczenie, ale po prawdzie nie pojmuję, jakim sposobem wytrzymuje tam pani tyle czasu. Zgromadzenie nie jest już przecież niczym więcej jak tylko atrakcją turystyczną. Podobną do zoo, w którym można oglądać egzotyczne zwierzęta. Chociaż w tym przypadku chodzi chyba o gatunki zagrożone wyginięciem.

- Nie jest to szczególnie taktowne podsumowanie sytuacji, ale trafił pan w sedno -stwierdziła Hadley, po czym wzruszyła ramionami i spoważniała. - A może nawet bardziej. Cóż, muszę przyznać, że niegdyś wierzyłam, iż coś uda mi się w ten sposób osiągnąć. Chociażby przez przypominanie, czym Liga w swoim czasie miała być. - Przerwała i spojrzała za okno. - Teraz jednak widzę, że to wszystko nie miało najmniejszego sensu.

Carmichael wyczuł w jej głosie nutę żalu wywołanego jego słowami.

- Stoczyła pani godną podziwu walkę - powiedział cicho. - I to też coś znaczy. Nie poddała się pani i chociaż teraz może czuć się nieswojo, pewnego dnia historia przyzna pani rację. A jedną z korzyści płynących z prolongu jest możliwość osobistego ujżenia skutków wielkich dziejowych przemian. I pani, i Beowulf z pewnością doczekacie się sprawiedliwej oceny.

- Bez prolongu na pewno nie byłoby na to szansy! - przyznała Hadley. - Sądzę, że wasza księżna Harrington ma rację. To będzie koniec Ligi, przynajmniej takiej, jaką znamy. Jednak tak wielki i bezwładny twór nie znika łatwo ani bezboleśnie. To będzie długi proces i wiele wody upłynie, nim historycy dojdą z tym do ładu, panie ambasadorze.

- Obawiam się, że ma pani rację.

Wyjrzał znowu przez okno. Manifestanci zaczęli obrzucać parter budynku różnymi przedmiotami. Pole zabezpieczające nie pozwalało, by cokolwiek z tego dotarło do murów i okien, na ziemię posypały się

więc kamienie, jajka, zgniłe warzywa. Były też klasyczne koktajle Mołotowa, jednak ich nieskuteczność zdawała się nie zrażać tłumu, uradowanego tym symbolicznym wandalizmem. Trochę dalej widać było grupki zajęte paleniem flag Manticore i Beowulfa oraz rozdieraniem na sztuki kukieł w mundurach mających przypominać te używane przez oba „wrogie” państwa. Jeden z piromanów, kolorowo ubrany mężczyzna z masą tatuaży, zapewne ktoś z całej armii bezrobotnych utrzymywanych cierpliwie przez system, spóźnił się z puszczeniem ogarniętej płomieniami flagi. Nie było go słychać, ale sądząc po tym, jak energicznie zaczął skakać, wymachując przy tym gwałtownie rękami, musiało go niezłe przygrzać. Ambasador nie był jakoś skłonny mu współczuć.

- Prawdę mówiąc, ciągle zdumiewa mnie, jak ktokolwiek mógł potraktować poważnie propagandę uprawianą przez tutejsze ministerstwo - powiedziała Hadley, krzywiąc się nieprzyjemnie. - Po tylu latach powinnam chyba wykazać więcej rozumu i w zasadzie wiem, że tego właśnie należało oczekiwać, ale ciągle wydaje mi się to nieprawdopodobne. To wygląda tak, jakby oni chcieli być okłamywani, by nic nie mąciło im znajomego obrazu. Albo spokoju, zmuszając ich do zastanowienia się, w jakim właściwie świecie żyją. Zupełnie jakby nikt na starej Ziemi nie słyszał powiedzenia: jeśli ktoś oszukał cię raz, jego wina, jeśli ktoś oszukał cię drugi raz, twoja wina.

- Nie wiem, czy ktokolwiek w Ministerstwie Edukacji i Informatyki zdaje sobie sprawę, jak mocno się to na nich zemści na Pograniczu i wszędzie indziej poza centrum - odparł Carmichael. - To łgarstwo zostało wyraźnie skrojone na tutejsze potrzeby. Stąd wszystko wydaje się tak odległe, że w sumie nie ma się co dziwić, że znalazło się wielu ludzi gotowych dać wiarę tym nonsensom. Sądzę przy tym, że

mandarynom o tę właśnie reakcję przede wszystkim chodziło. Popełniają jednak olbrzymi błąd, jeśli oczekują, że „przekonanie” grupy światów centralnych wystarczy. A moim zdaniem na to właśnie liczą: że jeśli te najstarsze zamieszkane planety pójdą za nimi, reszta ulegnie presji i uda się zachować czy odtworzyć stary porządek. Nadal patrzą na tę resztę jak na „maluczkich”, którym trzeba tylko wskazać kierunek, a nawrócą się na właściwą drogę i sprawa rozejdzie się po kościach, a Biuro Bezpieczeństwa Granicznego dalej będzie mogło czerpać zyski ze swojego imperium. Ale się nie uda. Nigdy jeszcze aż tak bardzo się nie pomylili.

- Też tak to widzę - przyznała z troską Hadley. - Zwłaszcza jeśli Mesa dalej będzie w tym maczać palce. Bez zmian w centrum Liga Solarna zacznie tracić kolejne prowincje, i to szybciej, nim ktokolwiek zdąży temu przeciwdziałać.

Carmichael przytaknął, zastanawiając się, ile Hadley może wiedzieć na temat zdarzeń w układzie Congo i sektorze Maya. Potem spojrział znowu na tłum za oknem.

Abruzzi dał dowód olbrzymiej krótkowzroczności, oczekując od całej Ligi identycznej reakcji jak od mieszkańców Ziemi, jednak poza tym sprawił się nie najgorzej. Sugestia, że flota Sojuszu celowo wciągnęła Filaretę w śmiertelną pułapkę, by uspiwszy jego czujność ofertą kapitulacji, wymierzyć następnie zdradziecki cios, trafiła do przekonania sporej części obywateli, zwłaszcza że Marynarka Ligi zdecydowanie odcięła się od doniesień rozsiewanych przez medialnych protegowanych mandarynów. Wielu uznało to za celowe działanie władz, świadectwo ich rozwagi oraz odpowiedzialnego podejścia do sprawy.

Carmichael przypuszczał ponadto, że ta właśnie wersja pasowała sporej części społeczeństwa, ponieważ w łopatologiczny sposób wyjaśniała, jak zespół SLN mógł zostać pokonany przez koalicję neobarbarzyńców, a dodatkowo sugerowała jednoznacznie, że Sojusz tak naprawdę boi się Ligi Solarnej. Dlatego właśnie zdecydował się na zdradziecki podstęp, gdyż cokolwiek twierdził oficjalnie, perspektywa uczciwej walki z SLN napawała go przerażeniem. Ostatecznie Spindle to też była zasadzka, nieprawdaż? Masakra, w której zginął zespół Filarety, mogła zostać uznana za powtórkę tego samego scenariusza i tym samym za dowód, że wszystkie klęski Ligi w obecnym konflikcie wynikały z przyjętej przez neobarbarzyńców taktyki opartej na podstępach, nie zaś z niedostatków Battle Fleet! Takie wyjaśnienie musiało być szczególnie kojące dla tych, którzy nie mieli zamiaru przyznawać nawet przed sobą, że Liga Solarna straciła zarówno inicjatywę, jak i dominującą pozycję. No i dochodzili jeszcze wszyscy niezdolni przyjąć do wiadomości, że ich ukochana Solarian League Navy została potraktowana jak dokuczliwy komar i tyleż samo miała obecnie do powiedzenia.

Abruzzi i jego pomagierzy poświęcili też sporo czasu na totalną dyskredytację wszystkiego, co Manticore i Haven twierdziły na temat roli Mesy jako rzeczywistego „autora” obecnego kryzysu. Carmichael wiedział, że do tego dojdzie, podobnie jak i wszyscy na Beowulfie, jednak nie mieli innego wyboru, jak rozpowszechnić i tę informację w nadziei, że chociaż niektórzy dziennikarze, na przykład Audrey O’Hanrahan, poświęcą jej trochę uwagi i zastanowią się chwilę, nim uznają całą sprawę za przejaw paranoi Beowulfa i jeszcze jedno kłamstwo Manticore. Trudno było orzec, czy ktokolwiek w Lidze uwierzy w prawdziwość tej wersji wydarzeń, niemniej na razie nie

wyglądało to najlepiej. Zbyt wielu miejscowych „zainwestowało” wcześniej sporo emocji, dzielając przekonanie, że Gwiezdne Imperium było zamieszane w masakrę w Green Pines, a skoro raz stanęli po stronie Mesy, w naturalny sposób byli predysponowani do uznania obecnych twierdzeń o istnieniu spisku za jeszcze jedną próbę wybielenia się podjętą przez Manticore. Próbę nie dość, że cyniczną, to jeszcze mającą usprawiedliwić imperialistyczne zapędy tego państwa i jego współpracę z terrorystami.

Nie cierpię tej zapyziałej planety, pomyślał z goryczą Carmichael. Wiedział, że to najważniejszy świat ludzkości, miejsce, gdzie wszystko się zaczęło, ale nie poczuwał się do żadnej wspólnoty z obecnymi mieszkańcami tego globu. On był z Manticore i nie miał żadnych wątpliwości, że przesiąknięta zgnilizną stolica mocarstwa dawno już skapitulowała przed naciskami Mesy i gotowa była skazać ludzkość na los szykowany jej przez tamtejszych oprawców. Hadley miała rację. Liga Solarna uległa tak daleko idącemu rozkładowi, że korupcja wyzierała tu z każdego kąta, i obecna polityka Ligi, wspieranie różnych reżimów i bandyckie działania Biura Bezpieczeństwa Granicznego, była prostą konsekwencją tego upadku. W tym stanie Liga Solarna nie zasługiwała po prostu na przetrwanie i im szybciej miała się rozsypać, tym lepiej.

Na domiar wszystkiego myślenie Abruzziego było obciążone jedną poważną skazą. Cokolwiek udało mu się wmówić mieszkańcom Ziemi i pozostałych światów tworzących centralną i najstarszą część Ligi, reszta galaktyki wiedziała swoje. Z daleka lepiej było widać, co naprawdę się działo, i należało oczekiwać, że Biuro Bezpieczeństwa Granicznego nie zdoła zapanować nad sytuacją, gdy odleglejsze światy odmówią podporządkowania się żądaniom metropolii.

To jedno było pewne. Mogą starać się i napinać, ale nie zapędzą z powrotem dzina do butelki. Raz uwolniony, wolnym już pozostanie.

*

Admirał floty Rajampet Kaushal Rajani siedział w swoim prywatnym penthousie, spoglądając przez okno na rozciągające się trzysta pięter w dole kolorowe morze świateł nocnego Chicago. Niedaleko wyrastały inne, równie wysokie, a niekiedy nawet wyższe wysokościowce z szeregami jasnych okien i światłami antykolizyjnymi na dachach, między tymi wieżami zaś przepływały nieustannie strumienie mieniących się różnymi barwami pojazdów. Jeszcze dalej widać było masywne struktury wzniesione na palach wbitych głęboko w dno jeziora Michigan. Ich oświetlone fasady odbijały się w falach, po których przemykały łodzie i jachty, a każdy przypominał owiniętą świecącymi choinkę. Chodniki u podstaw kanionów ulic pełne były pieszych, którzy mimo późnej pory wypełniali centrum największego miasta Starej Ziemi, sprawnie przemykając pośród olbrzymich billboardów i emiterów reklamy podświadomej. Gdyby Rajani uniósł głowę na tyle wysoko, by spojrzeć na niebo, ujrzaliby jasne punkty orbitalnych stacji przeładunkowych oraz satelitów energetycznych, zasłaniane czasem przez pasma rozjaśnionych blaskiem wysokich chmur. W dole zaś wielkie i cierpiące na chroniczną bezsenność miasto rozciągało się we wszystkich kierunkach, jak okiem sięgnąć, oszałamiając nie tylko swymi rozmiarami, ale też bogactwem.

Rajampet uwielbiał ten widok. Upajał się nim, mając dodatkowo świadomość, że należy do garstki ludzi, którzy decydują o losach tego mrówczego tłumu kłębiącego się w dole. Przez blisko sto lat poczucie władzy stało się nieodłączną składową jego życia. Umiał ją wykorzystać. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie perspektywa

jutrzejszego dnia oraz spotkania z Kołokolcowem i resztą. Nie tęsknił za tą rozmową i obawiał się, że może ona położyć kres wszystkim jego przywilejom. A kim będzie, utraciwszy swoją pozycję?

Owszem, na pocieszenie pozostawała mu jeszcze suma 3,6 miliarda kredytów zdeponowanych na prywatnym koncie. W tej sytuacji były to nawet pokaźne oszczędności. Tak, nie było się co oszukiwać. Wiedział przecież, z czym igra, i żałował jedynie, że Manticore tak szybko dokopało się do prawdy. Czy może części prawdy, bo skąd wzięli te fantasmagorie, Bóg jeden raczy wiedzieć. W wodzie coś tam mają czy może w powietrzu? Paranoja i tyle, pomyślał, kręcąc głową.

Z drugiej strony, paranoicy miewają też i prawdziwych wrogów, pomyślał trzeźwo. Niekoniecznie pod postacią trzymetrowych potworów. O nanotechnologicznych sztuczkiach nie wspominając. Po cholere wymyślili tę bajeczkę, skoro bez trudu można było odwołać się do zwyczajniejszych wyjaśnień? Crandall siedziała przecież tak głęboko w kieszeni Mesy, że gotowa była wybrać na ćwiczenia dowolne wskazane przez nich miejsce. Mogli też być pewni, że jej wrodzona głupota dokona reszty. Tak samo zapewne było z Byngiem, tyle że jemu nie musieli pewnie niczego obiecywać. Wystarczyło dać mu okazję, by rzucił się Manticore do gardła. Filareta zaś... Biorąc pod uwagę jego upodobanie do chorych zabaw z chłopcami i dziewczętami, nie miał przecież wyboru. Gdyby cokolwiek na ten temat przedostało się do opinii publicznej, byłoby po nim. Nawet w Lidze oznaczałoby to koniec kariery. Tak więc bez trudu mogli nim posterować. Wszystkim im wystarczyło przypomnieć, jakie są reguły, by zatańczyli, jak trzeba. Bez kontroli umysłu czy innych cudów. A że wyszło gorzej, niż Rajani oczekiwał...

Parsknął ironicznie. Owszem, nie spodziewał się, że Crandall i Filareta poniosą tak spektakularną klęskę, ale nie zamierzał wylewać po nich łez. Nie myślał nawet udawać, że jest mu przykro. Nie oczekiwał też jednak, że zginie aż tylu ludzi. Naprawdę liczył, że nowe pociski zmniejszą techniczną przewagę Manticore i pozwolą na bardziej wyrównaną walkę, gdy Filareta dotrze już do celu. No i nawet w najczarniejszym scenariuszu nie przewidział tego, że admirał okaże się na tyle durny, by otworzyć ogień w sytuacji, gdy jego zespół nie miał żadnych szans na wydostanie się z pułapki.

Ale nie wpadł również na to, że Haven sprzymierzy się z Manticore. Kto w ogóle mógł potraktować poważnie podobną myśl?

Od chwili dotarcia na Ziemię pierwszych raportów o drugiej bitwie o Manticore zastanawiał się też, dlaczego sam dał się w to wpuścić. Zasadnicza odpowiedź była oczywista: pieniądze. Niemniej to nie było wszystko, bo swoją rolę odegrały też resentymenty związane z odmówieniem mu należnej pozycji w gronie mandarynów, chociaż ci byli tylko cywilami. Pasożytami właściwie, bo przecież ich przetrwanie zależało od Rajampeta. I nie tylko przetrwanie. Nie osiągnęliby swoich pozycji, gdyby nie wcześniejsze działania floty, nie zawsze czyste i legalne. Tak, wykonał dla nich sporo brudnej roboty, a mimo to całe grono nie kryło pogardy dla jego munduru. Zwłaszcza Omosupe Quartermain. A przecież to właśnie ludzie w mundurach dbali o to, by Liga nie miała problemów z neobarbarzyńcami różnej maści. Nawet tymi najbardziej odległymi.

Jednak najważniejszą rolę odegrała chyba jego nienawiść do Gwiezdnego Imperium Manticore. Zazdrościł mu bogactwa i wpływów, a nawet tej wielkiej marynarki handlowej, i tym bardziej poczuł się urażony, gdy ci barbarzyńcy odmówili podporządkowania się żądaniom

Ligi, nie okazując SLN ani cienia należnego jej szacunku. Ich arogancja nie mieściła się w głowie! Jeszcze dwadzieścia lat temu całe to ich królestwo ograniczało się przecież do jednego układu planetarnego, a mimo to okazali się na tyle bezczelni, by korzystając z przypadkowej przewagi, którą dawała im kontrola nad wormhole junction, ośmielić się dyktować Lidze Solarnej warunki i oczekiwać, że dostosuje się ona do ich życzeń. Jeśli chodzi o ocenę tej sytuacji, Rajani nie różnił się wiele od Bynga, chociaż poza tym nie poczuwał się do żadnego pokrewieństwa dusz z byłym admirałem.

W sumie nie obchodziło go, czy Manticore naprawdę ma jakieś imperialne zapędy, i uważał po cichu, że ta akurat kwestia nie jest wcale ważna. Jak mawiał jego dawno zmarły ojciec: „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. Nie miał nic przeciwko temu, by w ostatecznym rozrachunku Manticore oberwało, a jeśli zdoła jeszcze coś na tym ugrać, to tym lepiej.

Tyle że nie miało mu to wcale pomóc w trakcie nadchodzącego spotkania. Nawet jeśli wiedział, że taka chwila nadejdzie. Z drugiej strony, on to dostrzegał, w odróżnieniu od tamtych kretynów. Dlatego pozacierał jak najstaranniej ślady i zadbał o zabezpieczenie na wypadek, gdyby nastroje wymknęły się spod kontroli. Miał w zanadrzu kilka argumentów, które powinny przekonać jego cywilnych współpracowników, że naprawdę nie opłaci im się go atakować. Abruzzi może być nawet bardzo dobry w te swoje klocki, ale jeśli Rajani przekaze mediom to, co trzymał jako „polisę ubezpieczeniową”, szanowne grono mandarynów będzie musiało raz na zawsze pożegnać się z polityką.

Po części miał nawet nadzieję, że zmuszą go do odkrycia kart. Chciałby zobaczyć ich miny, gdy zrozumieją, że ma ich w garści.

Oczywiście byłoby to równie groźne jak wymiana nuklearnych ciosów i oznaczałoby spalenie wszystkich mostów bez najmniejszej szansy na ich odbudowanie. Był jednak niemal pewien, że szanowne towarzystwo upatrzyło go sobie na kozła ofiarnego, i nie widział powodu, by ich oszczędzać.

Poza tym...

Rozmyślania przerwały mu melodyjne tony uwertury z ulubionej opery zatytułowanej *Adonis z Canin Major*, które wybrał jako sygnał w swoim prywatnym komunikatorze. Oderwał spojrzenie od panoramy miasta, westchnął i wstał. Nigdy nie zwykł otaczać się liczną służbą, bez której elita Ligi nie potrafiła się obejść. Uważał, że ludzki personel jest mniej wydajny niż dobrze zaprogramowana elektronika, a na dodatek ludzie bywają gadatliwi. A jeśli jeszcze mają dostęp do prywatnych spraw osoby na świeczniku, są niczym tykająca bomba zegarowa. Prędzej czy później muszą coś wygadać. Na dodatek nie lubił, gdy ktoś obcy szwendał mu się po domu. Wystarczy, że w czasie pracy ciągle ktoś sterczał mu nad głową.

Przeszedł przez salon do terminalu i zmarszczył brwi, widząc wyświetlany na ekranie numer. Z nikim mu się nie kojarzył, co było dość dziwne. Naprawdę mało kto znał tę kombinację.

Ostatecznie wzruszył ramionami i odebrał połączenie w trybie audio.

- Rajampet - rzucił ponurym głosem.
- Sid? - spytał ktoś całkiem obcy. - To ty, Sid?
- Nie - rzucił admirał. - Kto mówi?
- Co? - zmieszał się osobnik z drugiej strony. - Przepraszam, chciałem się skontaktować z Sidem Castlemanem. To nie jego numer?

- Nie - powtórzył Rajampet. - Dostał się pan na bezpieczną rządową linię.

- O niebiosa! Bardzo mi przykro! - odezwał się tamten. - Musiałem coś źle wybrać.

- Najpewniej - zgodził się kąśliwym tonem admirał.

- Przepraszam - powiedział obcy. - Już znikam. Połączenie zostało zerwane i Rajampet też nacisnął klawisz końca rozmowy. Zaraz jednak otworzył szeroko oczy. Jego ręka nie zatrzymała się, tylko skierowała płynnym ruchem do szuflady pod konsolą. Tej, w której przez ostatnie piętnaście czy dwadzieścia lat trzymał swój prywatny pulser. Dłoń sięgnęła do środka, a twarz Rajampeta pokryła się kroplami potu, gdy palce uchwyciły rękojeść broni. Admirał ze wszystkich sił próbował powstrzymać swoją dłoń, ale... nie był w stanie nad nią zapanować. Chciał krzyknąć, by aktywować sekwencję alarmową systemu bezpieczeństwa apartamentu, jednak usta też go nie słuchały, struny głosowe milczały jak zakłete.

Przy wtórze oszalałych myśli ręka uniosła pulser, a potem, ku przerażeniu Rajampeta, jego usta nagle się otworzyły na tyle, by dało się wprowadzić lufę do środka.

Boże, pomyślał, wzywając na pomoc istotę, w której istnienie nigdy nie wierzył. Pomóż mi! Pomóż!

Nie doczekał się odpowiedzi, poczuł tylko na języku chłód stopu, z którego wykonana była broń. Zęby zacisnęły się na lufie.

Mieli rację, stwierdził, mimo narastającej paniki zdobywając się na ostatek racjonalnego myślenia. Ci pierdoleni mądrze z Manticore cały czas mieli rację. Dranie z Mesy naprawdę dysponują jakimś sposobem...

Jego palec naparł na spust broni.

Rozdział XXX

W pomieszczeniu panowała wyjątkowa cisza.

Ludzie rzadko tu zaglądali, w czym nie było zresztą nic dziwnego. Podziemia znajdowały się głęboko pod główną kwaterą Marynarki Wojennej Ligi Solarnej i oficjalnie należały do sieci archiwów rezerwowych zasobów krytycznych danych. Teoretycznie krytycznych, bo w rzeczywistości bywało różnie. To akurat archiwum o symbolu RR 7-191-002-A podlegało działowi zasobów Marynarki i służyło do przechowywania zwykłych danych, niemniej „najnowsze” materiały dotyczyły okresu sprzed ponad osiemdziesięciu lat standardowych, co sprawiało, że nawet przy rozdmuchanej do mamucich rozmiarów biurokracji SLN nie zaglądał do niego nikt oprócz historyków.

Z drugiej strony, ponieważ nadal znajdowało się na liście aktywnych archiwów, nie wpuszczano tu byle kogo. Trzeba było dysponować przepustką z odpowiednim stopniem dostępu do materiałów niejawnych i tym akurat cztery osoby, obecne akurat w pomieszczeniu, mogły się wykazać. Inna sprawa, że ich przełożeni nie byliby zadowoleni, gdyby wiedzieli o poczynaniach podwładnych.

Istniała jednak spora nadzieja, że pozostaną w błogiej nieświadomości.

- Cholera - rzucił spokojnie jeden z intruzów, rozglądając się wkoło po szufladach do przechowywania modułów pamięci komputerowej. W głębi widać było nawet coś przypominającego szafę na papierowe kopie dokumentów. - Jeden wielki śmietnik. Czy wy nigdy niczego nie wyrzucacie, Daud?

Mówiący te słowa był roslim mężczyzną w mundurze Solarian Marine Corps. Miał jasne włosy i zielone oczy, a na kołnierzu nosił insygnia majora. Widoczna na prawym ramieniu błyskawica wskazywała na przynależność do Wywiadu Korpusu, formalnie podległego Wywiadowi Marynarki, w rzeczywistości jednak od dawna już samodzielnego i zajmującego się sprawami, o których SLN nie miała większego pojęcia, ważnymi jednak dla wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z Marines.

- Bardzo zabawne, Bryce - mruknął z wyrzutem kapitan Daud al-Fanudahi. Był o kilka centymetrów niższy niż marine i obdarzony dla odmiany ciemnymi włosami. - Czasem wyrzucamy to i owo. Zwłaszcza owo, i to takie, które mogłoby się okazać kłopotliwe dla wyższych oficerów. Staramy się nie przechowywać niczego, co za bardzo ucieszyłoby sąd wojskowy.

Kapitan Irene Teague, dwadzieścia lat młodsza od al-Fanudahiego i reprezentująca Flotę Graniczną, skrzywiła się kwaśno. Potem pokręciła głową i spojrzała na kolegę z Battle Fleet z wyraźnym niepokojem malującym się w piwnych oczach.

- Czy byłbyś uprzejmy nie żartować z tematów, które przyprawiają mnie o ciarki na grzbiecie, Daud? - spytała z wyrzutem.

- Przepraszam - odparł al-Fanudahi ze szczerym żalem w głosie. - Myślałem, że to będzie śmieszne, ale widzę, że nikt tutaj nie docenia mojego poczucia humoru.

- Jeśli choć szczypta twoich podejrzeń jest trafna, nikomu nie będzie do śmiechu - zauważyła czwarta osoba z grupy. Była najniższa i tylko trochę starsza od Teague. Nosiała mundur żandarmerii z insygniami podpułkownika, miała śniadą cerę, oczy w kształcie migdałów i smoliście czarne, bardzo krótko przycięte włosy. - Owszem, ciągle mam

nadzieję, że to wszystko okaże się totalną bzdurą i obaj z majorem Tarkowskim wyjdziecie na pijanych durniów - dodała, wskazując na wysokiego marine. - Niestety, obawiam się też, że macie rację. Przynajmniej w części.

- Też chciałbym się mylić, pułkownik Okiku - stwierdził poważnym tonem al-Fanudahi. - Ale czuję, że tak nie jest. Nie znam szczegółów i w ogóle mało na razie wiem, jednak chyba doszedłem już do tego, czego szukać i jakie pytania sobie zadawać.

- Wszystkie pytania skompletowałeś? - spytał major Tarkowski, otwierając szeroko oczy. - Jeżu kolczasty! A ja myślałem, że dopiero się nad tym zastanowimy.

- Boże wszechmogący - jęknęła Teague. - On jest gorszy niż ty, Daud!

- Niemożliwe - zaprotestował energicznie Tarkowski. - Nikt nie przeliczy Dauda, chociaż przyznam, że robię, co w mojej mocy. - Uśmiechnął się przelotnie. - Tylko dzięki temu nie oszalałem już kilka lat temu - dodał z goryczą i cała czwórka spojrzała po sobie.

- Dobra - powiedziała po chwili pułkownik Okiku. - Jestem tutaj, bo Bryce mnie zaprosił. Rozumiem, że to głównie pańskie przedstawienie, kapitanie al-Fanudahi. Czy możemy przejść do konkretów?

- Oczywiście - odparł al-Fanudahi i oparł się o jedną z szafek. - Najpierw jednak chciałbym spytać, ile pani wie o strukturze organizacyjnej Biura Wywiadu Floty?

- W sumie niewiele - przyznała Okiku.

- Office of Naval Intelligence dzieli się na cztery sekcje. Pierwsza to Biuro Analiz Operacyjnych, gdzie pracuję ja, Bryce oraz Irene. Kieruje nim admirał Cheng. Teoretycznie jesteśmy odpowiedzialni za analizę danych operacyjnych naszej Marynarki i wszystkiego, co napływa z innych flot. Mamy wychwytywać zmiany taktyki, zmiany podejścia do

różnych praktycznych kwestii, braki i słabe strony. Niekiedy może dotyczyć to konkretnego, wskazanego nam przeciwnika, co oznacza także, że to my powinniśmy przeprowadzić, czy przynajmniej koordynować analizę poprzedzającą fazę planowania operacji Sprawiedliwy Gniew. Sekcja druga zajmuje się analizą techniczną i rządzi tam wiceadmirał Hoover, powinni dostarczać nam wszystkich danych o technice wojskowej przeciwnika, jak i naszej własnej. Sekcja trzecia to Biuro Analiz Ekonomicznych z kapitanem Gweonem na czele. To nowy dział, odpowiedzialny za śledzenie zjawisk gospodarczych, zwłaszcza w tych przejawach, które mogą być dla nas najbardziej interesujące. Czwarta sekcja to kontrwywiad, domena kontradmirała Yau.

Przerwał na chwilę, by Okiku mogła oswoić się z informacjami, i wzruszył ramionami.

- Przez kilka ostatnich lat uważany byłem w moim dziale za dyżurnego paranoika. Ciągłe powtarzałem, że Manticore na pewno szykuje jakieś nowinki techniczne. Oczywiście nikt nie traktował mnie poważnie, bo przecież wszyscy wiedzieli, że nasza flota jest niezwyciężona i nikt w całej galaktyce nigdy nie zdoła jej dorównać.

Ostatnie zdanie wypowiedział tonem zdolnym zmieniać mleko w czysty kwas siarkowy. Wyraz jego oczu potwierdzał, że nie doszło do tego przypadkiem.

- Muszę jednak przyznać, że nawet ja nie wyobrażałem sobie, że tak bardzo nas wyprzedzili. Nie miałem też na ich temat żadnych szczególnych informacji czy konkretnych podejrzeń, przynajmniej z początku. Na pewno wiedziałem tylko jedno: że żaden z naszych działów nie dysponował żadnymi konkretnymi danymi na temat najnowszych osiągnięć jakiegokolwiek obcej floty. Po prostu przestaliśmy

się już tym zajmować. Naszym głównym zadaniem stało się sporządzanie raportów podtrzymujących dobry nastrój przełożonych, by dalej mogli spokojnie wierzyć w bajkę o Lidze Solarnej jako władcy wszechświata. Tak się jednak złożyło, że nie mogąc wysiedzieć spokojnie, zacząłem wtykać nos w różne sprawy, które zapewne chętnie by przede mną ukryto, sugerując, byśmy wrócili może do obróbki prawdziwych danych. W końcu podpadłem wiceadmirał Hoover, która uznała moją działalność za jawną i niezasłużoną krytykę Biura Analiz Technicznych. Co było dalej, można sobie wyobrazić - stwierdził, uśmiechając się krzywo. - Moja popularność doznała jeszcze większego uszczerbku, gdy dotarło do mnie, że meldunki na temat nowych doktryn taktycznych i strategicznych Manticore i Haven były od dłuższego czasu ignorowane. Nie pasowały do oficjalnej linii i naszej rozdętej pewności siebie. Pewnie każdemu może się przydarzyć taki szczególny przypadek ślepoty, ale nikt nie zamierzał nawet pozwolić, bym przyjrzał się tym meldunkom. Niektórzy z osobistych powodów, by chronić swój odwłok. Takim przypadkiem był admirał Polydoru z Biura Rozwoju, który każdą sugestię, że coś być może nam umyka, traktował jak osobistą obrazę. Nie lepsi byli ludzie wiceadmirał Hoover, w pocie czoła udowadniający, że na pewno wszystko jest w porządku, ale nieskorzy do sprawdzenia, czy to nie pobożne życzenia. I nikt się nie przejmował możliwymi skutkami takiego podejścia, wszyscy zaś powtarzali nieustannie, że żadni neobarbarzyńcy i tak nie mogą nas przecież niczym zaskoczyć. Po co więc Liga Solarna miałaby w ogóle zwracać uwagę na ich poczynania?

Wykrzywił się z obrzydzeniem i pokręcił głową.

- Owszem, ileś lat zabrało mi zrozumienie, jak paskudnie to wygląda, ale nie ustawałem w próbach jak najlepszego wykonywania

moich obowiązków. Pewnie nie powinienem się więc dziwić temu, co zaczęło się dziać, gdy zaproponowałem bardziej wnikliwą weryfikację różnych dziwnych pogłosek. Już wcześniej byłem na czarnej liście Admiralicji za mieszanie w Biurze Analiz Operacyjnych, a po zgłoszeniu sugestii, że meldunki o nowych pociskach i sprawniejszych kompensatorach stosowanych przez Manticore mogą jednak zawierać w sobie ziarno prawdy, moja kariera gwałtownie przyhamowała. Szczęśliwie miałem dość oleju w głowie, by zachować dla siebie konkretne doniesienia, które udało mi się zebrać. Dopóki przekazywałem do góry jedynie mgliste przypuszczenia, uznawano mnie za średnio szkodliwego durnia, który nie może nikomu poważnie zaszkodzić, dzięki czemu wylądowałem jedynie na przydziale, gdzie nie miałem szansy na awans i gdzie można mnie było spokojnie ignorować. I tam właśnie trafiłem na Irene - powiedział, uśmiechając się do Teague. - Trwało chwilę, nim sprowadziłem ją na złą drogę, ale gdy zapoznała się z posiadanym przeze mnie materiałem, złapała bakcyła. Szczęśliwie udało mi się przekonać ją, by nie kłapała za dużo dziobem. Dość, że jedno z nas miało wariackie papiery. Byłem pewien, że nadejdzie jeszcze chwila, gdy ONI będzie potrzebować rzetelnych raportów i analiz, dobrze byłoby więc mieć sprzymierzeńca bez piętna trędowatego. Spodziewałem się też, że gdy sprawa w końcu się wyda, będą musieli kogoś poświęcić i to ja stanę się dla nich oczywistym kandydatem. A potem zaczęło się to całe zamieszanie z Manticore, które tak upiornie wszystkich zaskoczyło, i nagle oficerowie w rodzaju admirała Thimara zaczęli domagać się ode mnie informacji. Niemniej Jedenastej Flocie i tak to nie pomogło. - Przerwał na chwilę i przybrał poważny wyraz twarzy. - Robiłem, co w mojej mocy, by przekonać Jenningsa, Bernard i Kingsforda, że to szalony plan, ale w ogóle nie

chcieli mnie słuchać. Zwłaszcza Bernard zapaliła się do uznania planu Sprawiedliwy Gniew za najlepszą możliwą opcję strategiczną i odrzucała wszystko, co mogłoby pokrzyżować jej plany.

Spojrzał na Okiku i uniósł pytająco brew. Pani pułkownik była z żandarmerii, ale kojarzyła te nazwiska. Admirał floty Evangeline Bernard kierowała Biurem Planowania Strategicznego, admirał floty Winston Kingsford był dowódcą Battle Fleet, co czyniło go w hierarchii drugą osobą po Rajampecie, a admirał Willis Jennings był szefem sztabu Kingsforda.

- Kingsford zdawał się mieć wątpliwości, ale i on nie zgłaszał sprzeciwu i nie żądał pełniejszych informacji - ciągnął al-Fanudahi. - Nasunęło mi to wniosek, że za planem stał sam admirał Rajampet. Przypuszczam, że Bernard naprawdę wierzyła w swoje opowieści, jak to morale Manticore musi być na krawędzi załamania po ataku na ich własny układ, ale nie wychylałaby się tak odważnie, gdyby nie miała błogosławieństwa z góry. A skoro Kingsford nie okazywał szczególnego entuzjazmu, to pozostawała tylko jedna osoba, która mogła jej tego błogosławieństwa udzielić.

- Skoro to był pomysł Rajampeta, czemu nie powiedział tego wprost? - spytała Okiku.

- To nie tak działa, Natsuko - wyjaśnił Tarkowski. - Chodzi o rozmycie odpowiedzialności. Mam nadzieję, że Daud i Irene nie przeklną mnie za zdradzanie takich sekretów, ale nasza Marynarka jest obecnie przede wszystkim biurokratycznym potworem, a nie machiną służącą prowadzeniu wojny. Przestrzeganie właściwego obiegu dokumentów jest w niej ważniejsze niż opracowanie właściwej strategii. Jeśli to Rajampet nakłonił Bernard do aktywnego pilotowania operacji Sprawiedliwy Gniew, mógł podpisać się pod nią, nie

przyjmując jednak żadnej szczególnej odpowiedzialności za jej powodzenie. Po prostu wysłuchał podwładnej, która winna przygotować wszystko jak najlepiej, zapewniając cały wybór opcji i tak dalej. Jak każdy dobry oficer. Z drugiej strony, Bernard była też w ten sposób chroniona, bo przecież nie miała wystarczających uprawnień, by wprowadzić ten plan w życie. Przyjęcie jej zaleceń pozostawało w gestii dowódców operacyjnych, którzy mogli wybrać też inne rozwiązania, tak zatem po zatwierdzeniu całości przez Rajampeta ona też przestawała być wyrocznią. W ten sposób odpowiedzialność zawisła w próżni gdzieś pomiędzy ich biurkami, nie grożąc nikomu zrujnowaniem kariery, gdyby coś poszło nie tak.

Okiku przyjrzała mu się uważnie, jakby miała to wszystko za ponury żart, ale ostatecznie wzruszyła ramionami i odwróciła się z powrotem do al-Fanudahiego.

- Przyjmuję, że to działa właśnie tak, jak wyjaśnił Bryce. Nie przypuszczam jednak, że zorganizowaliście to spotkanie spiskowców tylko po to, by ponarzekać na przełożonych, którzy zignorowali wasze ostrzeżenia.

- Zaiste nie - zgodził się al-Fanudahi. - Niemniej to tworzy część obrazu. Osobiście zawsze staram się trzymać zasady, by nie przypisywać złośliwości losu czy działaniom przeciwnika tych wpadek, które można wytłumaczyć zwykłą niekompetencją i biurokratycznym bezwładem. A gdy weźmie się jeszcze pod uwagę panujący w naszej Marynarce nepotyzm, połączony z karierowiczostwem, korupcją, kumoterstwem i łapówkarstwem, wiele staje się jasne i naprawdę nie trzeba do tego działania kogokolwiek z zewnątrz. Niemniej tym razem było jeszcze coś więcej.

Przerwał z wahaniem i Okiku uśmiechnęła się lekko.

- Niech zgadnę, kapitanie al-Fanudahi. Chce pan zasugerować, że twierdzenia Manticore o wpływie niejakiego Równania nie są bezpodstawne i to ono odpowiada za ostatnie wydarzenia?

- Do pewnego stopnia tak - odparł oficer i znowu zamilkł, oczekując na reakcję Okiku.

- Mam nadzieję, że sam pan rozumie, jak mało wiarygodnie to brzmi - odparła po chwili. - Nawet przy ograniczonym zaufaniu do tego, czym częstuje nas wiadome ministerstwo, o wiele wiarygodniejsza wydaje mi się wersja, że Manticore sfabrykowało całą tę historię w celu usprawiedliwienia swoich działań i zamaskowania mocarstwowych ambicji. Sam pomysł, by jakikolwiek spisek mógł kwitnąć sobie spokojnie przez kilkaset lat, nikomu przez ten czas nie rzucając się w oczy, wydaje mi się absurdalny. Co więcej, stwierdzenie podsekretarza Abruzziego, że Manticore musiało wyjść z czymś podobnym, skoro było odpowiedzialne za co najmniej umożliwienie Baletowi zamachu w Green Pines, też pasuje mi do tej wersji.

- Rozumiem - stwierdził spokojnie al-Fanudahi.

- Niemniej jestem z natury podejrzliwa - podjęła Okiku. - Dlatego właśnie trafiłam do wydziału kryminalnego. Pomijając ten czynnik, że nigdy nie miałam ochoty nadstawiać karku w Protektoratach dla większej chwały Biura Bezpieczeństwa Granicznego - dodała ze skrzywieniem ust. - Moja podejrzliwość się wzmacza, gdy coś zbyt dobrze do siebie pasuje. To bardzo przydatne, gdy sprawdza się alibi podejrzanych. Jeśli jest zbyt dobre, istnieje duża szansa, że jest też fałszywe. W prawdziwym życiu mało co układa się naprawdę gładko.

- Rozumiem - powtórzył al-Fanudahi trochę innym tonem i Okiku uśmiechnęła się do niego.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć - stwierdziła. - Nie zamierzam dawać wiary żadnym fantastycznym opowieściom, kapitanie. Jeśli chce pan, bym w to weszła, muszę usłyszeć coś więcej niż mgliste podejrzenia. Z drugiej strony, obecny tu Bryce ręczy za pana, a mam go za rozsądnego człowieka. Dlatego nie zamierzam odrzucać z miejsca tego, co może pan mieć do powiedzenia.

- Postaram się nie zawieść tego zaufania - obiecał al-Fanudahi.

- Dobrze. A wracając do rzeczy...

- Na razie nie mam pojęcia, na ile twierdzenia Manticore są zasadne - powiedział oficer. - Nie udało mi się jednak znaleźć żadnego sensownego powodu, dla którego Gwiezdne Królestwo, czy teraz raczej Gwiezdne Imperium, miałyby dążyć do wojny z Ligą. Wiem za to, że Josef Byng darzył Manticore patologiczną nienawiścią i był idiotą, który nie umiał wysrać się bez pisemnej instrukcji. Sandra Crandall była jeszcze gorsza, o ile to w ogóle możliwe, oczywiście. Trudno byłoby znaleźć równie beznadziejnych dowódców do posłania w miejsce, gdzie dzieje się coś niepokojącego, a jednak to akurat ta dwójka trafiła do Quadrantu Talbott. Postarałem się i sprawdziłem rozpiszkę przydziałów Crandall. Jej ćwiczenia zostały zaplanowane jeszcze przed bitwą w układzie Monica. Nie udało mi się potwierdzić, czy i Byng został już wtedy wyznaczony na dowódcę grupy, ale skłonny jestem przypuszczać, że tak właśnie było. Zakładając więc, że moje podejrzenia są słuszne i ktoś jeszcze tu miesza, musi to być ktoś posiadający wielkie wpływy. A do tego dochodzi jeszcze skierowanie Filarety do układu Tasmania. To był bardzo dziwny zbieg okoliczności, biorąc pod uwagę, że mało kiedy koncentruje się w jednym miejscu aż tyle jednostek liniowych. W ciągu ostatnich dwustu czterdziestu trzech lat tylko pięć razy doszło do czegoś podobnego z udziałem co najmniej

siedemdziesięciu najcięższych jednostek, i to wliczając zgrupowania Crandall i Filarety. A te dwa zorganizowano praktycznie równocześnie.

- Daje do myślenia - przytaknęła Okiku. - Ale to nadal spekulacje.

- Zgadzam się - powiedział al-Fanudahi. - Jednak tutaj wchodzi Bryce.

- Bryce? - spytała Okiku i spojrzała zaintrygowana na marine.

- Na pewno wiesz, że nasz wywiad działa jako część ONI - powiedział. - Możesz jednak nie zdawać sobie sprawy z małym nagłaśnianego faktu, że cieszymy się sporą niezależnością. Powody są dość złożone, ale najważniejszy to ten, że zbyt wiele razy Wywiad Marynarki pakował nas w kłopoty i w pewnej chwili mieliśmy dość tracenia ludzi przez wypierdków, którzy w życiu nie ruszyli się zza biurka, a zgrywali specjalistów od operacji terenowych. Gdy wzięliśmy sprawę we własne ręce, od razu zrobiło się lepiej, Flota Graniczna zaś wspierała nas w tym, bo to oni zwykle obrywali najmocniej, gdy coś poszło nie tak w przypadku łączonych operacji.

Przerwał i spojrzał wyczekująco na Okiku, która niecierpliwie pokiwała głową na znak, że rozumie.

- Niemniej jest jeszcze druga ważna kwestia - ciągnął rzeczowym tonem. - Sama wiesz, na jakie bagno trafia czasem żandarmeria w Protektoratach. Możesz mi wierzyć, że Korpus ląduje nierzadko jeszcze gorzej, a do tego na stanowiskach dowódczych trafia się wielu durniów, którzy nie mają zielonego pojęcia, jak dobrze wykorzystać naszych ludzi i dokąd naprawdę warto ich posyłać. Gdy w grę wchodzi jeszcze współpraca z lokalnymi siłami, które mogą reprezentować dowolnie niską wartość bojową, katastrofa gotowa. Z tego powodu staramy się wiedzieć jak najwięcej o wszystkich potencjalnych graczach. Od blisko dwudziestu lat brygadier Osterhaut gromadziła także dane na temat

oficerów SLN. Naprawdę wielu z nich cierpi na totalny zanik odpowiedzialności, a jej zależało, by mogła naszych ludzi jasno i wyraźnie uprzedzić, z kim będą mieli do czynienia. Oczywiście nieoficjalnie.

Przerwał ponownie, czekając na skinienie głową. Tym razem Okiku uczyniła to z wyraźnym namysłem.

- Przez kilka ładnych lat byłem tym, który grzebał w różnych śmieciach, poszukując materiałów dla pani brygadier. Właśnie wtedy spotkałem Dauda. A co do poszukiwań, udało nam się zebrać całkiem sporo interesujących danych. Także na temat Sandry Crandall i admirała Filarety - dodał z niesmakiem. - Żadne z nich nie było orłem, a w przypadku Filarety trafiliśmy dodatkowo na sprawy, od których można się porzygać. W obu jednak przypadkach okazało się, że mieli bliskie związki z funkcjonującą na Mesie firmą Manpower. Crandall finansowe, Filareta... trochę bardziej złożone.

Okiku spojrzała na niego z uwagą i kiwnęła głową.

- Oboje w tym tkwili i jakimś cudem to właśnie oni zostali wyznaczeni na dowódców dużych zgrupowań floty znajdujących się relatywnie niedaleko Manticore, i to właśnie wtedy, gdy Mesa poczuła się zaniepokojona zdobyczami terytorialnymi Gwiezdnego Imperium w jej najbliższym sąsiedztwie. Nie jesteśmy pewni, jak było z Byngiem. Wiemy, że był uwikłany w różne układy, ale nie znaleźliśmy niczego, co łączyłoby go bezpośrednio z Mesą. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę jego stosunek do Manticore, na pewno nie trzeba było go długo przekonywać do akcji, która miała zaboć tego właśnie przeciwnika.

- Ja zaś mogę dorzucić kilka słów jako ktoś, kto poświęcił kilka tygodni na analizę kariery Bynga - wtrącił się al-Fanudahi. - Biorąc pod uwagę jego wyniki na ćwiczeniach, byłby dla Mesy idealnym

kandydatem i nie musieliby go nawet w nic wprowadzać. Gardził i nienawidził Manticore bardziej niż większość oficerów Battle Fleet i wystarczyło posłać go w pobliże jakiegoś zespołu Imperium, by szybko i bez większego wysiłku spowodował poważny incydent, i to niemal na pewno z katastrofalnym dla nas skutkiem, zważywszy na jego niekompetencję. Zwłaszcza jeśli ktoś przygotował mu grunt w dokładnie taki sposób, w jaki według Manticore miała zrobić to Mesa.

- Z Crandall trzymaną w odwodzie, by przyleciała posprzątać po jego klęsce - dodała z namysłem Okiku.

- Posprzątać albo też polec w celu dolania oliwy do ognia - zasugerowała Irene Teague. Okiku spojrzała na nią ostro i kapitan wzruszyła ramionami. - Gdy Daud pierwszy raz wspomniał o takiej możliwości, myślałam, że oszalał. Ale im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej prawdopodobne mi się to wydawało. Podobnie jak i ten genialny w swej prostocie pomysł, by wysłać na koniec Jedenastą Flotę, by powtórzyła historię Crandall w naprawdę dużej skali.

- Sugerujecie, że ktoś rozmyślnie poświęcił życie tylu ludzi, wmanewrowując Marynarkę Ligi w bitwy, których nie miała prawa wygrać? To właśnie chcecie powiedzieć?

- Niestety, ale istnieje i taka możliwość - przyznał ze smutkiem al-Fanudahi. - Z początku nie miało to dla mnie żadnego sensu, bo niby dłaczego Manpower, od zawsze darzone przez Manticore małym życzliwymi, za to wzajemnymi uczuciami, miałyby aranżować działania przeciwko Gwiezdnemu Imperium, z góry zakładając swoją porażkę? Owszem, ktoś parający się czymś równie obrzydliwym jak niewolnictwo genetyczne na pewno nie mrugnąłby nawet okiem, poświęcając życie kilku milionów obywateli Ligi Solarnej, ale po co

miałby to robić? Dla Manticore wszystkie te starcia były praktycznie spacerkami. Kompletnie nas zdeklasowali. Ktoś zdolny układać podobne plany musiał przecież mieć dość dobry wywiad, by o tym wiedzieć.

- Ale z tego, co słyszałam, my nie wiedzieliśmy - zauważyła Okiku.

- Zgadza się, a jeśli moje podejrzenia są słuszne, to nie my to zorganizowaliśmy - odparł al-Fanudahi. - A zaraz po Spindle doszło jeszcze do tego „tajemniczego” ataku na układ Manticore. Może mi pani wierzyć, że to nie byliśmy my. Nie mamy pojęcia, jak tego dokonano, i tym samym nie bylibyśmy zdolni zrobić niczego podobnego. Jedno jest wszakże oczywiste. Bez tego ataku teoria admirała Thimara o poważnym osłabieniu obrony Manticore nie trafiłaby na podatny grunt. A jeśli to nie byliśmy my, nie przychodzi mi do głowy nikt inny dysponujący wystarczającym potencjałem, jak tylko Manpower. Tylko oni mogli wykonać to samodzielnie. Chyba że założymy, jakoby w sprawę zaangażowana była jeszcze jakaś trzecia strona, która też nie darzy sympatią Manticore.

- Głowa zaczyna mnie od tego boleć, kapitanie - powiedziała Okiku.

- Mnie boli już od dawna - przyznał oficer. - A co najmniej od chwili, gdy zacząłem się przez to wszystko przegryzać.

- A dokąd nas to doprowadzi? - spytała Okiku.

- Do chwili, gdy Manticore i Haven upubliczniły swoją sensację na temat Równania, miałem tylko przecucie, że coś mocno w całej tej sprawie śmierdzi. Zastanawiałem się więc przede wszystkim nad tym, po co ktokolwiek miałby pchać Ligę w taki konflikt. Byłem już pewien, że sama realizacja scenariusza nie nastęrczałaby większych kłopotów w związku ze stadium korupcji, które osiągnęliśmy. Zwłaszcza że nikt

nie miał powodu oczekiwać podobnego rozwoju wydarzeń. Wystarczyłoby działanie trzech, czterech oficerów flagowych.

Sześciu to byłoby już za wielu. Tyle że gdyby którykolwiek z nich wiedział, jak nikłe są nasze szanse w starciu z Manticore, czy dążyłby do niego? Musiałby zrozumieć, że nie zdołamy wygrać tej wojny, czy raczej wygrać jej szybko i bez horrendalnych strat własnych. I wtedy zacząłem podejrzewać, że to nie Manticore jest prawdziwym celem. A dokładniej, nie jest celem jedynym. W tym kontekście zaś, jak powiedziałem od razu Irene, jedynym innym celem w okolicy jesteśmy my. Może to dziwaczne, ale nie udało mi się dojść do żadnego alternatywnego wniosku. A krótko potem Pritchard wyskoczyła z historią o Równaniu działającym na szkodę zarówno Manticore, jak i Haven. Równaniu, które jej zdaniem wywiera od dawna także niejawni wpływ na politykę Ligi i które ma najwyraźniej własne zdanie na temat tego, kto i jak powinien rządzić galaktyką. Można zapewne przyjąć, że nie jest to scenariusz, w którym konspiratorzy graliby drugie skrzypce.

- Naprawdę sugeruje pan, że cały ten spisek nie tylko istnieje, ale został zawiązany w celu zniszczenia Ligi Solarnej?

- Nie sądzę, by chodziło dokładnie o zniszczenie Ligi - odparł al-Fanudahi. - Moim zdaniem chodzi raczej o osłabienie nas, może złamanie. Wystarczy spojrzeć, co się dzieje! Marynarka obrywa raz za razem, zamknięcie wormholi w bezprecedensowy sposób uderza w naszą gospodarkę, zapowiada się pełnowymiarowy kryzys konstytucyjny. Po raz pierwszy od wieków ktoś w ogóle zauważa, że mamy coś takiego jak konstytucja! Dokument, który przez sześćset czy siedemset lat porastał spokojnie kurzem. I niech się pani nie łudzi, że lanie, które dostaliśmy, przejdzie bez echa w Protektoratach i wszędzie indziej. Poczujemy jeszcze jego skutki, a gdy sprawa nabierze rozpędu,

światy centralne wpadną w taką recesję, jakiej świat nie widział. Wina spadnie oczywiście na całe szanowne grono biurokratów, którzy nie otrzymali stanowisk w ramach wyborów, i może się tak zdarzyć, że zanim się obejrzymy, zaczniemy tracić jeden członkowski układ po drugim. Kto wie, czy cały federalny rząd nie pójdzie z dymem. Wiem, że to się wydaje nieprawdopodobne, bo przecież chodzi o Ligę Solarną, ale może dojść i do tego.

Gdy skończył, na kilka długich chwil zapadła cisza.

- Mój Boże - powiedziała w końcu Okiku, kręcąc głową. - To brzmi jak czyste szaleństwo, ale może być prawdą. - Ponownie pokręciła głową, wciąż z wyrazem niedowierzania na twarzy. - Może być.

- Owszem, chociaż bardzo chciałbym się mylić - stwierdził cicho al-Fanudahi.

- Dobrze. Ale po co mnie w to wciągacie? - spytała po chwili Okiku. - Nie powiem, żebym była wam za to wdzięczna. Jeśli w waszej teorii jest choć trochę prawdy, to spiskowcy, czy jest to Równanie czy ktokolwiek inny, nie mają na pewno żadnych oporów przed zabijaniem niewygodnych ludzi. W ten sposób mogę trafić na ich listę.

- Wszyscy możemy na nią trafić - odparł al-Fanudahi. - Rzecz w tym, że oni muszą mieć powiązania na najwyższych szczeblach, a ja niezbyt wiem, jak się zabrać do szukania. Jestem analitykiem wywiadu, nie śledczym. Uważam, że naprawdę na coś wpadłem, ale jak to ugryźć? Nasz kontrwywiad to zasadniczo przechowalnia dla różnych pociotków, nie ma w nim praktycznie kompetentnych osób. Kontradmirał Yau nie jest świetlaną postacią, a reszta bierze przykład z niego. Poza tym, gdybym to ja chciał urządzić coś takiego, w pierwszym rzędzie umieściłbym swoich ludzi właśnie w kontrwywiadzie, by zapewnić sobie system wczesnego ostrzegania. Nie przekażę więc niczego OCI,

nie mając pewności, kto jest tam kim i w czyjej kieszeni siedzi. A nie zwróciwszy się najpierw do nich, nie mogę pójść wyżej ani dalej, zatem i JAG nie wchodzi w grę. Procedury są tak ustawione, że sprawa trafiłaby na biurko Yau, zapewne z adnotacją o niezachowaniu drogi służbowej. Potrzebuję więc kogoś z zewnątrz, kto zna się na tej robocie, i to bez ujawniania, że w ogóle ze sobą rozmawialiśmy.

- Wszyscy możemy przez to zginąć - powiedziała ponuro Okiku.

- Tak czy inaczej - zgodził się oficer i spojrzał na nią uważnie. - Media jeszcze nic nie wiedzą, ale ten stan nie potrwa długo.

- O czym nie wiedzą?

- Chyba stało się już jasne, kto był najważniejszym kontaktem Równania w Marynarce Ligi - wyjaśnił al-Fanudahi. - Co gorsza, wydaje się, że w tych opowieściach o nanotechnikach pozwalających na kontrolę umysłu też tkwi ziarno prawdy.

- Bez przesady! - zachnęła się Okiku, reagując zapewne trochę zbyt nerwowo, ale napięcie zrobiło swoje. - Spisek to jedno, ale kontrola umysłu? Litości!

- Też tak myślałem - powiedział al-Fanudahi. - Do wczoraj. Dokładniej do czasu, gdy dowiedziałem się, że admirał Rajampet wziął pulser i strzelił sobie prosto w usta.

Rozdział XXXI

Admirał floty Winston Seth Kingsford był o połowę młodszy od Rajampeta Kaushal Rajaniego, ale też co najmniej dwukrotnie większy. Przede wszystkim zaś różnił się od poprzednika tym, że był żywy. Chociaż trudno przewidzieć, czy wyniknie z tego jakiś pożytek, pomyślał Kołokolcow, widząc admirała wchodzącego do jego gabinetu.

- Panie stały podsekretarzu - przywitał się oficer i Kołokolcow skinął mu głową.

- Dziękuję za szybkie przybycie, panie admirale. Oczekiwałem, że zjawi się pan najwcześniej za kilka godzin.

- Nie ukrywam, że w Admiralicji panuje teraz olbrzymie zamieszanie - powiedział Kingsford. - Niewiele mogę tam obecnie zdziałać i pomyślałem, że spotkanie z panem jest teraz o wiele ważniejsze niż cokolwiek innego. Samobójstwo admirała Rajampeta zdarzyło się w bardzo złej chwili, zapewne najgorszej z możliwych. Zostawił naprawdę wiele niedokończonych spraw.

Kołokolcow doszedł do wniosku, że jego gość chyba szczególnie lubuje się w wygłaszaniu frazesów, ale z drugiej strony... Nikt jeszcze nie doszedł do siebie po śmierci Rajampeta. Fakt, że admirał bywał irytujący, ale służył w SLN blisko sto dziesięć lat, z czego niemal czterdzieści spędził na stanowisku szefa operacji. Trudno było z dnia na dzień przywyknąć do jego nieobecności. Tyle dobrego, że jego następcą, Kingsford czy ktokolwiek inny, musiał być w tym przypadku lepszy.

- Proszę siadać, admirale - powiedział Kołokolcow i poczekał, aż gość zajmie miejsce.

- Rozumiem, że jest pan następcą admirała Rajampeta?

- Byłem drugi, gdy mowa o starszeństwie, co czyni mnie obecnie pełniącym obowiązki, sir. Stałe mianowanie na stanowisko to trochę bardziej złożona sprawa i wymaga formalnej nominacji podpisanej przez ministra obrony Takemoto. Zgodnie z wymogami konstytucji Zgromadzenie Legislacyjne musi jeszcze potem zatwierdzić nominację.

Admirał powiedział to wszystko z kamiennym wyrazem twarzy, chociaż musiał wiedzieć równie dobrze jak Kołokolcow, że Kunimichi Takemoto jest figurantem pozbawionym jakiegokolwiek realnej władzy. Zawsze nominował osoby wskazane mu przez mandarynów, a zatwierdzenie kandydatury w Zgromadzeniu było tylko formalnością.

- Oczywiście - odparł z uśmiechem stały podsekretarz. - Biorąc pod uwagę, że ostatnie mianowanie na to stanowisko miało miejsce bodajże... trzydzieści siedem lat temu, będziemy musieli zapewne odświeżyć sobie trochę te procedury. Możemy chyba jednak przyjąć, że pański oficjalny awans zostanie możliwie jak najszybciej potwierdzony.

- Doceniam to, sir - odparł Kingsford, pozwalając sobie na uśmiech. - Chociaż obawiam się, że w tych okolicznościach awans nie będzie raczej okazją do świętowania.

- W pełni pana rozumiem.

Na chwilę zapadła cisza. Kołokolcow oparł się w fotelu i splótł dłonie na brzuchu.

- Rozumiem też, że pełniącym obowiązki został pan niecałe dwanaście godzin temu, i nie zamierzam zbyt wiele od pana wymagać. Niemniej jako wysoki oficer SLN współpracował pan przecież od jakiegoś czasu z admirałem floty Rajampetem, co oznacza poniekąd pewną ciągłość. Sądzę, że w tej sytuacji minister Takemoto bez wahania uzna pana za właściwą osobę na tym stanowisku. Mam nadzieję, że jest

pan tym samym gotów przedstawić nam zarys aktualnej sytuacji militarnej i zasugerować najlepsze kroki, jakie możemy obecnie podjąć.

- To dość odważne założenie, panie stały podsekretarzu - odparł Kingsford po chwili. - Od tej strony sytuacja jest bowiem trochę niezręczna. Rzecz w tym, że admirał Rajampet i ja mieliśmy różne zdania co do właściwego kierunku naszych działań.

- Tak? - zdumiał się Kołokolcow. - A konkretnie?

- Można powiedzieć, że miałem wątpliwości co do operacji Sprawiedliwy Gniew - wyjaśnił Kingsford. - Nie byłem jej przeciwny, chociaż pewnie szkoda, ale gdy pierwszy raz o niej dyskutowaliśmy, zasugerowałem, że pośpiech może nie być w tym przypadku wskazany. Rajani, to znaczy admirał floty Rajampet, chciał wykorzystać okazję i uderzyć, zanim Manticore odtworzy obronę układu. Uznałem tę logikę, jednak uważałem, że nieuniknione przy międzygwiazdnych działaniach opóźnienie i tak da przeciwnikowi dość czasu na dojdzie do siebie. Inna sprawa, że nie wyrażałem się wówczas w tak stanowczy sposób jak teraz. Podobnie jak wszyscy, nie wiedziałem, że Haven sprzymierzyło się z Manticore. Tego akurat chyba nikt nie przewidywał. Obawiałem się tylko, że zbyt szybko zaangażujemy wielkie siły w coś, czego nie zdołamy należycie przygotować. W najgorszych koszmarach nie śniło mi się jednak, że może dojść do takiej katastrofy. Byłbym nie w porządku wobec Rajaniego, a także i wobec Filarety, gdybym twierdził teraz, że dostrzegałem coś, co im miałyby umknąć.

- Zatem dlaczego w ogóle pan o tym wspomina? - spytał Kołokolcow.

- Ponieważ w odróżnieniu od Rajaniego uważałem, że meldunki o zasięgu nowych pocisków Manticore nie muszą być wcale aż tak bardzo przesadzone. Nie wiedziałem, jakim sposobem zdołali zastosować łączność nadświatlną do naprowadzania pocisków ani na ile rozwinęli

zasobniki holowane, ale moim zdaniem posiadane przez nas informacje wskazywały jednoznacznie, że w kwestii zwiększania zasięgu osiągnęli znacznie więcej niż my. W tej sytuacji byłem raczej za przeprowadzeniem akcji sondującej, która poprzedziłaby użycie dużego zespołu jednostek liniowych. Ewentualna utrata kilku zespołów krążowników liniowych byłaby z pewnością mniej dotkliwa niż masakra trzystu czy czterystu superdreadnoughtów.

- Rozumiem - mruknął Kołokolcow, zastanawiając się, ile jest w tym prawdy, a na ile admirał dorabia sobie legendę. Z drugiej strony Kingsford siedział w sztabie na tyle długo, by świetnie poznać zasady gry. Nie powiedziałaby raczej niczego, czego śladu nie dałoby się odnaleźć w zapisach ze spotkań. Nawet jeśli wcześniej formułował swoją opinię w trochę odmienny sposób. - Czy mam z tego wnosić, że jest pan przeciwny podejmowaniu dalszych działań floty?

- Panie stały podsekretarzu, w tej chwili jakiegokolwiek działania zaczepne musiałyby zakończyć się masakrą naszych jednostek. Nawet przy założeniu, że Harrington była całkiem szczerą w rozmowie z Filaretą i nie zataiła przed nim żadnych informacji dotyczących zdolności bojowych jednostek Manticore, chwilowo nie możemy się z nimi równać. Zapewne nie było w historii zmagania ludzkich podobnej dysproporcji od czasu, gdy pierwsze oddziały tradycyjnej piechoty natrafiły na ogień karabinów maszynowych.

Kołokolcow spojrzał na niego zdumiony. Zaskoczyła go bezpośredniość admirała. To było coś zupełnie innego, i bez dwóch zdań lepszego, niż znane mu aż za dobrze podejście Rajampeta.

- Naprawdę jest tak źle? - spytał ciekaw, jak daleko Kingsford skłonny będzie się posunąć.

- Może nawet gorzej, zwłaszcza że trzeba brać pod uwagę także Republikę Haven -odparł bez zająknięcia pełniący obowiązki. - Jakby na to patrzeć, cała Flota Rezerwowa to już złom. Ileś miliardów ton materiału do przetopu. Tworzące ją superdreadnoughty nie przydadzą nam się w tej wojnie. Po prawdzie nie nadają się też do modernizacji.

No to jesteśmy ugotowani, pomyślał Kołokolcow. Z drugiej strony, jeśli Omosupe i Agata mają rację, i tak nie mielibyśmy dość środków, by reaktywować rezerwę. Ale jeśli nie mamy forsy na ten ruch, skąd weźmiemy jeszcze większe sumy potrzebne na budowę nowych jednostek liniowych...?

- Sugeruje pan, że powinniśmy się poddać? - spytał stały podsekretarz, celowo nadając swojemu głosowi stanowcze brzmienie.

Kingsford pokręcił głową.

- Na dobre czy na złe, ale nie sądzę, by to było możliwe, sir. I nie chodzi też o to, czy chcemy walczyć czy nie. Po prostu po ostatnich klęskach nie mamy tak naprawdę wyboru.

Tak, panie stały podsekretarzu, nazywając rzeczy po imieniu, to były klęski. Nikt w Protektoratach czy jeszcze gdzie indziej nie nazwie ich inaczej. W tej chwili Imperium Manticore i Republika Haven to tylko część naszych kłopotów. Już niebawem będziemy świadkami rozmaitych działań różnych rządów lokalnych próbujących wykorzystać zaistniałą sytuację. Jesteśmy w stanie temu przeciwdziałać, jako że żaden prowincjonalny świat nie ma podobnych możliwości bojowych co Manticore albo Haven, ale jeśli nie pokonamy ostatecznie i tych dwóch najgroźniejszych przeciwników, ich działania zrobią ferment, który doprowadzi do szeregu mniejszych wojen i te będą ciągnąć się potem przez dziesięciolecia.

- Rozumiem. Jednak jeśli nie możemy wysłać przeciwko nim naszych formacji liniowych, co nam pozostaje?

- Jeśli o to chodzi, chciałbym zaprosić tutaj, za pozwoleniem rzecz jasna, jednego z moich analityków, który pomógłby znaleźć odpowiedź na to pytanie.

- Cóż to za analityk, admirale?

- Kapitan Gweon, sir. Kapitan Caswell Gweon. Obecnie jest szefem Biura Analiz Ekonomicznych Wywiadu Marynarki.

- Naprawdę? Ledwie kapitan? - zdumiał się Kołokolcow z lekkim uśmiechem.

Kingsford też się uśmiechnął.

- Wkrótce zostanie awansowany na kontradmirała, sir. Jego nazwisko widnieje na liście oczekującej na aprobatę Zgromadzenia Legislacyjnego.

- Rozumiem - powtórzył Kołokolcow. - Dobrze, admirale. Jak szybko kapitan Gweon może do nas dołączyć?

- Jeśli nie ma przeciwwskazań, to nawet od razu. Czeka w pańskim sekretariacie.

- Aha. - Kołokolcow włączył interkom. - Astrid?

- Tak, sir? - zabrzmiał kobiecy głos.

- Zdaje się, że ma pani u siebie niejakiego kapitana Gweona. Czy mogłaby go pani do mnie przysłać?

- Oczywiście, sir.

Drzwi gabinetu uchyliły się, wpuszczając dość wysokiego mężczyznę w nienagannie leżącym mundurze kapitana SLN. Oficer miał kasztanowe włosy i piwne oczy. Wyglądał nawet młodziej, niż sugerowałby to jego stopień. Kołokolcow zmarszczył lekko brwi, gdy Astrid Wang przesłała mu na osobisty ekran wypis z akt Gweona.

Była to wyjątkowo krótka notka podająca tylko absolutnie podstawowy zestaw informacji. Kołokolcow nie widział tak skąpych akt personalnych, ale ten akurat oficer trzymał się dotąd z dala od polityki i Astrid nie miała pod ręką wiele na jego temat.

Z biogramu wynikało, że Gweon nie jest wcale taki młody. Skutki prolangu potrafiły być zwodnicze, niemniej w tym przypadku reakcja organizmu musiała być wyjątkowo silna. Kołokolcow nie dałby mu nawet sześćdziesięciu pięciu lat! Z dalszych informacji wynikało, że Gweon musiał być w dobrych układach z dowództwem Marynarki, co rodziło interesujące pytanie, dlaczego właściwie trafił do wywiadu. To nie było miejsce, gdzie dawało się szybko awansować. Co więcej, na obecne stanowisko został mianowany dopiero pięć miesięcy wcześniej, gdy wiceadmirał Yountz zdołał skrócić sobie kark na mokrej posadzce nad brzegiem basenu pływackiego.

- Panie stały podsekretarzu, panie admirale - odezwał się Gweon, kłaniając się obu mężczyznom.

- Słyszałem, kapitanie, że jest pan jednym z ekspertów od ekonomii w naszej Marynarce - powiedział Kołokolcow. - A obecny tu admirał Kingsford chciał, bym pana wysłuchał. Co zamierza pan nam przekazać?

Jeśli Gweon speszył się tak obcesowym powitaniem, nie dał tego po sobie poznać. Skinął tylko głową, jakby czegoś podobnego oczekiwał.

- Chodzi o moją analizę ekonomicznych skutków wojny z Gwiezdnym Imperium Manticore, sir.

- Chyba wszyscy wiemy już dobrze, że będą one niewesołe, kapitanie - oznajmił oschłym tonem Kołokolcow. - Czyżby miał pan w tej sprawie coś istotnego do dodania?

- Nie mogę obiecać, że będzie to naprawdę istotne, ponieważ nie mam dostępu do raportów, które pan otrzymuje, panie stały podsekretarzu - odparł spokojnie Gweon. - Wiem jednak, jak będzie to wyglądać z perspektywy Marynarki Wojennej.

- Zatem proszę podzielić się ze mną tą wiedzą.

- Oczywiście, sir.

Kołokolcow nie poprosił kapitana o zajęcie miejsca, ale to także zdawało się Gweonowi nie wadzić. Założył tylko ręce za plecami i stanął w pozycji „spocznij”, jakby tak właśnie zwykł zabierać głos przy różnych okazjach.

- Zakładam, sir, że nie oczekuje pan przytoczenia szczegółowych danych statystycznych, na których oparłem moją analizę, chociaż oczywiście mam te materiały ze sobą na mikroczipie i mogę je w każdej chwili przekazać. Zostawiłem też kopię całego raportu pani Wang, gdyby zechciał go pan przejrzeć później. W tej chwili skoncentruję się na zawartych w analizie wnioskach. Czy to panu odpowiada?

Kołokolcow kiwnął od niechcenia głową.

- W takim razie, panie stały podsekretarzu, zacznę od tego, że przedłużająca się wojna z Gwiezdnym Imperium Manticore będzie konfliktem toczonym zarówno na płaszczyźnie militarnej, jak i ekonomicznej. W tej chwili przewaga technologiczna przeciwnika jest wręcz miażdżąca, ale nasz potencjał ekonomiczny i przemysłowy jest wielokrotnie większy niż ich, nawet sprzymierzonych z Republiką Haven.

Kluczowe pytanie brzmi: czy nasza gospodarka jest na tyle wydolna, by przetrwać w dobrym stanie atak ze strony wroga przez czas wystarczający do zniwelowania jego przewagi technologicznej? Z dostępnych mi danych wynika, że może się to okazać niemożliwe.

- Słucham? - spytał Kołokolcow. Był skrajnie zdumiony, głównie tym, że ktoś wreszcie powiedział głośno to, co od dawna wisiało w powietrzu.

- Wiele zależy przy tym od politycznej stabilności obu stron - ciągnął Gweon. - Biorąc pod uwagę wieloletnią wojnę toczoną między Manticore, a Haven, można oczekiwać pojawienia się w gronie obecnych sojuszników wielu tarć, które będą osłabiać jego spójność. Niemniej nie liczyłbym specjalnie na ten czynnik jako mogący poważnie zdestabilizować przeciwnika. Powodów po temu jest kilka, począwszy od tego, że zarówno Manticore, jak i Haven dają wiarę tym nonsensom, które rozpowszechniają na temat roli odgrywanej przez Mesę w manipulowaniu polityką Ligi. Innym jeszcze czynnikiem spajającym będzie niechęć do Ligi Solarnej, uznawanej przez obie strony za wyjątkowo aroganckie państwo. Trzecia zaś sprawa to równie istotna dla obu sprzymierzeńców nadzieja na powiększenie swojego terytorium kosztem Ligi. W przypadku Republiki Haven mówimy ponadto o państwie z długą historią podbojów. Nawet jeśli założymy, że administracja Pritchard nie zamierza podpisywać się pod tę tradycję i nie podąży śladami Legislatorów i Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, nadal będziemy mieć do czynienia z ekipą nawykłą myśleć w kategoriach zbrojnej ekspansji oraz społeczeństwem gotowym zaakceptować taki styl prowadzenia polityki zagranicznej. W przypadku Gwiazdowego Królestwa, czy raczej Gwiazdowego Imperium, nie odnajdziemy w jego historii imperialistycznych dążeń, przynajmniej nie takich, które przejawiałyby się poprzez podboje terytorialne. Manticore tradycyjnie zwiększało swoje wpływy za pomocą ekonomicznych środków nacisku, w pierwszym rzędzie polegając na rozwoju przemysłu stoczniowego i ekspansji marynarki handlowej,

także na terenie Ligi Solarnej. Dodatkowym i bardzo ważnym atutem było sprawowanie kontroli nad Manticore Wormhole Junction. Niemniej ostatnie poczynania Manticore na terenie Konfederacji Silesiańskiej i Quadrantu Talbott sugerują, że doszło do fundamentalnej zmiany we wspomnianej wcześniej strategii. Nasz dział skłonny jest przypuszczać, że Manticore postanowiło wesprzeć kontrolę ekonomiczną także jawnymi wpływami politycznymi, które pozwoliłyby na pogłębienie ekspansji ekonomicznej oraz poprawiły strategiczną pozycję państwa. Być może jest to reakcja na ich konflikt z Haven, który uświadomił im, że samotny układ planetarny, choćby nawet i bardzo bogaty, nie może skutecznie rywalizować na wszystkich polach z państwem obejmującym wiele układów, ponieważ zawsze istnieje groźba porażki w kluczowym punkcie. Jest w tym pewna ironia losu, zważywszy na to, że ich przeciwnik, który swoimi działaniami do wspomnianej zmiany doprowadził, jest teraz ich sojusznikiem. Niezależnie jednak od motywów, możemy zapewne przyjąć, że dążenia ekspansywne obu państw wzmocnią ich sojusz przeciwko nam i tym samym ich współpraca będzie się układać zdecydowanie owocniej, niż ktokolwiek w Lidze by pragnął.

Przerwał uprzejmie, pozwalając Kołokolcowowi przyswoić to, co zostało już powiedziane. Stały podsekretarz skinął powoli głową. Był naprawdę pod wrażeniem. Gweon mógł być dopiero na początku kariery, ale umiał się wypowiadać, i to w sposób sugerujący, że orientuje się w sytuacji lepiej niż którykolwiek z analityków sprowadzanych wcześniej przez Rajampeta.

- Jeśli moje rozumowanie jest poprawne, nie możemy mieć realistycznych nadziei na rozpad „Wielkiego Sojuszu”, powinniśmy więc potraktować obecny stan ekonomii przeciwnika jako wartość

relatywnie stałą i skupić się na poszukiwaniu sposobów utrzymania własnej stabilności ekonomicznej. W kategoriach ilościowych dysponujemy o wiele większą liczbą zamieszkałych układów i wielokrotnie większym potencjałem przemysłowym. Niemal wszystkie nasze światy centralne charakteryzuje rozwój bazy technologicznej na poziomie co najmniej dorównującym wszystkiemu, co posiada Manticore czy Haven. Nie powinniśmy zapominać, że niektóre z nich pozostają w tyle, ale w ogólnym rozrachunku porównanie wypada zdecydowanie na naszą korzyść. Tyle że to nie jest pełny obraz. Wraz z wycofaniem jednostek handlowych Manticore i odcięciem nas od sieci wormholi nasza gospodarka została wystawiona na ciężką próbę. Na razie większość naszych obywateli nie zdaje sobie z tego sprawy, ale ten stan nie potrwa długo. Wraz ze spadkiem możliwości przewozowych układy planetarne Ligi zaczną się przestawiać na miejscowe źródła surowców. Większość z nich przetrzyma kryzys, zwłaszcza jeśli zdołamy rozbudować znacznie własną marynarkę handlową, niemniej zajmie to wiele czasu i nie unikniemy poważnych kłopotów. Morale cywilów ucierpi bardzo mocno, a jeszcze gorzej będzie to wyglądać z perspektywy rządu federalnego. Należy oczekiwać poważnego spadku wpływów, i to w czasie, gdy wydatki na wojsko będą rosnąć w bezprecedensowy sposób.

Gość czytał chyba raporty Wodosławskiej i Quartermain, pomyślał z niechęcią Kołokolcow.

- Co do Imperium Manticore, niewątpliwie jego gospodarka ucierpiała bardzo poważnie na skutek „tajemniczego” ataku przeprowadzonego na układ macierzysty, niemniej usuwanie szkód i odtwarzanie potencjału już nabrało o wiele większego tempa niż w naszym przypadku. Jest po temu kilka powodów. Jeden z nich to bliski

kontakt z Konfederacją Silesiańską, a obecnie także z Republiką Haven. Zwłaszcza to drugie państwo jest tutaj istotne jako całkiem nowy rynek, który otworzył się dla Imperium Manticore po dwudziesto- czy trzydziestoletniej przerwie. Kolejnym jest dostęp do wormoholi, które dla nas są niedostępne, co pozwala im na zdobywanie kolejnych rynków zbytu i partnerów handlowych na tych obrzeżach Ligi Solarnej, do których my nie mamy szansy obecnie dotrzeć bez bardzo czasochłonnych rejsów. W tych rejonach będą mogli opanować całkowicie nie tylko sektor przewozów, ale także i sam handel, który pozostawał dotąd pod kontrolą solarnych przedsiębiorstw. Gdy połączymy to z faktem, że zarówno Manticore, jak i Haven są pod każdym względem o wiele lepiej przygotowane do niwelowania skutków wojny kosmicznej, zdołają zapewne odrobić straty wynikłe z nałożonych na nas sankcji w ciągu nie więcej niż kilku lat standardowych. Na pewno w krótszym okresie niż ten, którego my będziemy potrzebować. Nasze analizy wskazują, że osiągną punkt równowagi, w którym połączone gospodarki Manticore i Haven zrównają się wielkością, potencjałem i znaczeniem z naszą, za nie więcej niż dziesięć do piętnastu lat.

- Żartuje pan - rzucił Kołokolcow. To była pod każdym względem znacznie gorsza prognoza niż ta przedstawiona przez Wodosławską i Quartermain.

- Nie, panie stały podsekretarzu - odparł z szacunkiem Gweon. - Obawiam się, że jednak nie. Te prognozy, wraz z zarysem zastosowanych metod i modeli ekonomicznych, też zostały przedstawione w materiale, który zostawiłem pani Wang. Chętnie usiądę z pańskimi analitykami, by wyjaśnić im tok mojego myślenia. Chętnie wysłucham też wszystkich głosów krytycznych. Na razie jednak

uważam, że moja prognoza jest trafna i oparta na rzetelnych podstawach. Obawiam się niemniej, że jest nazbyt optymistyczna.

- Optymistyczna? - nie wytrzymał Kołokolcow.

- Tak, sir. Jest to związane z dwoma przyjętymi w niej założeniami, które można uznać za problematyczne. Pierwsze to takie, że uda nam się zebrać na szczeblu federalnym dość funduszy na prowadzenie długiego i intensywnego konfliktu zbrojnego. Drugie, to że Liga utrzyma polityczną spójność na tyle długo, że uda nam się zniwelować przewagę technologiczną przeciwnika. Jeśli chodzi o pierwsze założenie, to szczerze mówiąc, nie sądzę, by potrzebne środki były w ogóle dostępne. Jesteśmy w stanie oszacować, na ile spadną nasze dochody z tytułu ograniczenia przewozów, i nie wygląda to dobrze. Na razie nie wiemy jednak, o ile mniej dostaniemy z Protektoratów. Na miejscu Manticore starałbym się wywołać wśród nich jak najwięcej zamieszania, skupiając się zwłaszcza na tych, które podlegają Biuru Bezpieczeństwa Granicznego.

Ton, jakim kapitan wygłosił tę uwagę, sugerował jednoznacznie ograniczoną sympatię do Biura i raczej małe poparcie dla jego polityki prowadzonej na obrzeżach Ligi. Kołokolcow nie zareagował, chociaż skrzywił się w duchu.

- Niezależnie jednak od podjęcia przez Manticore jakichkolwiek celowych działań we wspomnianym kierunku, niepokoję i tak nas czekają - ciągnął Gweon. - Co więcej, w każde z tych miejsc, nad którymi stracimy kontrolę, Manticore będzie w stanie wejść bez większego trudu, ostatecznie nas stamtąd wypierając. W ten sposób większość tych sum, które my stracimy, trafi do ich kieszeni, co jeszcze pogłębi istniejącą pomiędzy nami dysproporcję. Powiedziałbym nawet, że to jeden z zasadniczych powodów, dla których możemy tak szybko utracić

naszą przewagę ekonomiczną nad Sojuszem. Owszem, moglibyśmy skompensować te straty, ale jedyny sposób, jaki udało nam się znaleźć, wiązałyby się z koniecznością wprowadzenia poprawki do konstytucji. - Oczy Gweona i Kołokolcowa spotkały się na chwilę i to wystarczyło, by stały podsekretarz zrozumiał, że analityk w mundurze równie dobrze zdaje sobie sprawę z poplątanych realiów aktualnej polityki wewnętrznej Ligi. - Rząd federalny mógłby w prosty sposób wprowadzić nowy podatek, który zastąpiłby utracone wpływy. Ostatecznie Liga jest niewiarygodnie bogata, zwłaszcza gdy mowa o światach centralnych. Gdyby dało się przechwycić część tego bogactwa, całkowicie odmieniłoby to naszą sytuację i tym samym trendy ekonomiczne wskazane w naszej analizie.

- Może i tak, kapitanie - powiedział Kołokolcow z chłodnym uśmiechem. - Jako człowiek mający pewne doświadczenie w polityce sądzę jednak, że wprowadzenie tak istotnej zmiany może okazać się trudniejsze od zbrojnego pokonania Manticore.

- Ta kwestia mieści się już poza obszarem moich kompetencji, sir - wymówił się Gweon. - Niemniej w ten sposób przechodzimy do drugiego założenia, że Liga utrzyma polityczną jedność dość długo, byśmy mogli pokonać przeciwników. W rzeczywistości wydaje się to mało prawdopodobne.

Na kilka sekund zapadła cisza. Potem stały podsekretarz odchrząknął głośno.

- To... dość daleko idący wniosek, kapitanie.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir. Nie chcę wyjść na panikarza, ale moim zdaniem musimy przyjąć do wiadomości, że polityka Ligi wobec Protektoratów i dalszych okolic budzi od lat tyle kontrowersji, że lojalność wielu tamtejszych światów... pozostawia sporo do życzenia.

Niejeden z nich niczego tak nie pragnie, jak uwolnienia się od kontroli Ligi. Może będą potem skłonne związać się z Manticore, może nie, podobnie jak różnie wyglądało to w Quadrancie Talbott, ale na pewno wyrzucą nasze firmy i znacjonalizują naszą własność. W kontekście naszych dochodów będzie to ostatecznie bez większego znaczenia, bo tak czy siak przestaną nam płacić. Już to będzie nieciekawa sytuacja, ale w ich ślady pójdą także światy będące pełnymi członkami Ligi, mające konstytucyjne prawo ogłosić niezależność. Wiem, że nikt nigdy nie wykorzystał jeszcze tej możliwości, ale też nigdy dotąd Liga nie znajdowała się w stanie wojny z państwem dysponującym przewagą militarną. Byłoby bardzo dziwne, gdyby ani jeden rząd lokalny nie uznał tego za wystarczający argument, by się oddzielić. A na koniec, i biorąc pod uwagę wspomniane prawo do secesji, nie ma też żadnej gwarancji, że wszystkie światy centralne okażą się odporne na pokusę. Zwłaszcza jeśli dojdzie do zmian w prawie podatkowym, zmuszających wszystkich do większych danin na rzecz wysiłku wojennego. A wówczas należy się liczyć z dalszymi zabiegami Manticore nakierowanymi na zachęcenie do działania wszystkich, którzy mogliby rozważać opuszczenie Ligi i może nawet sprzymierzenie się z przeciwnikiem, albo wręcz zapowiadającymi ukaranie tych, którzy nie będą chcieli się z nami rozstać albo nie zaakceptują zwierzchnictwa Manticore.

Przerwał ponownie i wzruszył lekko ramionami. Był to gest sygnalizujący raczej zmęczenie niż rezygnację.

- Też nie podobają mi się wnioski wypływające z mojej prognozy, panie stały podsekretarzu - powiedział. - Niemniej jeśli są one trafne, to istnieje realna groźba, że przegramy tę wojnę. A nawet jeśli uda nam się ją ostatecznie wygrać, wyjdziemy z niej bardzo mocno osłabieni.

- Rozumiem - powiedział Kołokolcow po jakichś trzydziestu sekundach. - Rozumiem - powtórzył, gdy już się otrząsnął. - I dziękuję panu za wyczerpujący wykład oraz uczciwe przedstawienie wniosków, chociaż nie były to wnioski, które najbardziej chciałby pan wysnuć. A teraz, jeśli można, chciałbym zamienić jeszcze z admirałem Kingsfordem kilka słów na osobności.

- Oczywiście, sir.

Kapitan Gweon stanął na baczność, uklonił się zamasyście i cicho wyszedł z gabinetu.

Milczenie trwało dość długo i to Kołokolcow musiał je przerwać.

- Szkoda, że admirał Rajampet nie zamówił takiej analizy, zanim zaczął nas namawiać na realizację operacji Sprawiedliwy Gniew.

- Nie potrafię powiedzieć, dlaczego tego nie zrobił - odparł Kingsford. - Nie chciałbym zresztą mówić źle o kimś, pod kim służyłem przez tyle lat. Z drugiej strony, muszę się z panem zgodzić.

- I nadal uważa pan, że nie mamy innego wyjścia, jak tylko kontynuować wojnę, którą według kapitana Gweona najprawdopodobniej przegramy? Dobrze pana rozumiem, admirale?

- Kapitan Gweon jest bardzo wprawnym i utalentowanym analitykiem, sir. Nie jest jednak wyrocznią, a jego słowa można streścić w ten sposób, że nasza porażka jest bardziej prawdopodobna, a nie że na pewno nie wygramy. Jeśli zaś nie spróbujemy tego zrobić, większość katastrofalnych skutków kryzysu spotka nas i tak. Zaniechanie walki nie poprawi zatem naszej sytuacji, a podjęcie jej i przegrana nijak jej tak naprawdę nie pogorszą. Jeśli zaś uda nam się wygrać, ostatecznie znajdziemy się w położeniu mało ciekawym, ale dającym poważne szanse na powrót do formy. Bez wątplenia wiele trzeba będzie wtedy zmienić, ale Liga Solarna przetrwa. Wydaje mi się zatem, że w

ostatecznym rozrachunku jest o co walczyć. Wiążąca decyzja ma oczywiście charakter polityczny, nie militarny, niemniej jeśli przeważy zdanie, że koszty i ryzyko nie są warte potencjalnych zdobyczy, uważam, że wskazane będzie natychmiastowe odwołanie wszystkich naszych sił i wystosowanie do Manticore oraz Haven próśby o zawieszenie broni.

Kołokolcow zacisnął zęby, słysząc tak jasno wyrażone zdanie.

- A gdyby połączyć te propozycje w jeszcze jedną, trzecią? - spytał po chwili. - Gdyby tak zaproponować Manticore i Haven zawieszenie broni i wykorzystać ten czas na rozwój własnych systemów uzbrojenia? Kupić czas na przywrócenie równowagi sił?

- To też byłaby decyzja polityczna, sir. Nie militarna. Jednak moim zdaniem druga strona byłaby zdolna przewidzieć, że o to właśnie nam chodzi. W tej sytuacji podyktowałiby zapewne warunki, które byłyby dla nas nie do przyjęcia. Mogę się mylić, ale nawet jeśli nie, skopiowanie ich rozwiązań zajmie nam sporo czasu, oni zaś nie będą przecież stać w miejscu. Też będą się rozwijać, i to zapewne całkiem energicznie, by nie dopuścić do zmniejszenia dystansu między nami. Jestem też przekonany, że nie ustaną w wysiłkach, by dalej umacniać swoją pozycję gospodarczą, o rozbudowie flot nie wspominając. Skutek będzie taki, że gdy dojrzejemy do konfrontacji z nimi o obecnym potencjale, oni będą znacznie silniejsi i nowocześniej wyposażeni niż dzisiaj. Ich terytorium też się rozrośnie. Zatem nawet jeśli w jakiś sposób dorównamy im technologicznie, i tak przyjdzie nam walczyć z przeciwnikiem mającym nad nami sporą przewagę i znajdziemy się znowu w tym samym punkcie wyjścia co teraz. I cała prognoza kapitana Gweona stanie się ponownie aktualna, do poziomu wniosków włącznie.

- Jeśli zatem mamy przerąbane niezależnie od tego, czy podejmiemy walkę czy nie, co ostatecznie pan proponuje? - spytał stanowczo Kołokolcow, nie umiejąc powstrzymać się od okazania emocji.

Kingsford nie zwrócił jednak na to większej uwagi.

- Jak wspomniałem wcześniej, sir, moim zdaniem musimy walczyć i żadna inna możliwość nie wchodzi w grę. Niemniej, jak też zaznaczyłem, użycie ciężkich sił nie miałoby najmniejszego sensu. Nie możemy posyłać ludzi na zabicie. Co nam w tej sytuacji zostaje? Sądzę, że wojna handlowa, a dokładniej paraliż szlaków żeglugowych.

- Proszę to rozwinąć - zażądał Kołokolcow.

- W tej chwili największym problemem Manticore jest rozległość Ligi Solarnej. Dysponują ograniczoną liczbą jednostek i ograniczonymi zasobami ludzkimi. Zdolność kontrolowania i podporządkowywania sobie jakiegoś terytorium zależy od liczby okrętów, które można skierować do danego obszaru, a tego rodzaju zadania wymagają zawsze dużego zaangażowania floty. W pewien sposób znacznie większego niż przeciętna bitwa. Ja reprezentuję Battle Fleet, ale prawda jest taka, panie stały podsekretarzu, że to Flota Graniczna dysponuje większą liczbą jednostek, abstrahując przy tym od ich tonażu, ponieważ jej podstawowym zadaniem jest właśnie utrzymanie kontroli nad wielkimi obszarami galaktyki. Z drugiej strony Sojusz, wliczając weń Haven i nawet tereny Silesii oraz Quadrantu Talbott, ma wprawdzie znacznie mniej układów planetarnych, ale i tak jest ich dość, by konieczność zapewnienia wszystkim obrony zredukowała w znaczący sposób liczebność ich zgrupowań bojowych. Co więcej, jak zaznaczył przed chwilą kapitan Gweon, ich zdolność do skutecznego toczenia wojny z Ligą jest w znacznym stopniu uwarunkowana wzrostem ekonomicznym, który musiałby się odbywać naszym kosztem. Warto

więc czynić wszystko, by utrudnić im przejmowanie tych zysków. Na przykład atakując jednostki handlowe i obsługujące je instalacje orbitalne na terenach utrzymujących ściśle kontakty gospodarcze z Manticore. W warunkach wojny to uprawnione cele, ich niszczenie zaś może spowolnić przechodzenie kolejnych układów na stronę przeciwnika. Co więcej, gdy rozejdzie się, do czego taka polityka prowadzi, może zniechęcić to następnych chętnych do ucieczki z naszego obozu. A co najważniejsze, osiągniemy w ten sposób ważny cel strategiczny, którym będzie zmuszenie Sojuszu do oddelegowania istotnych sił ofensywnych do celów wyłącznie obronnych. Jeśli będziemy uderzać często i sprawnie, nasze rajdy mogą z wiązać wiele ich jednostek, zwłaszcza że oprócz wyznaczenia zespołów chroniących poszczególne układy będą musieli wprowadzić też system konwojowy.

Przerwał na chwilę i Kołokolcow pokiwał niespiesznie głową.

- Tak, to ma sens - powiedział. - Nie wiem tylko, na jakiej podstawie skłonny jest pan sądzić, że okażemy się zdolni do tego rodzaju akcji. Czy da się je pogodzić z taktyczną przewagą Manticore, o której obaj panowie kilka chwil temu wspominaliście.

- Sir, strategia, o której mówię, opiera się przede wszystkim na wykorzystaniu krążowników liniowych i lekkich jednostek. Okrętów liniowych w ogóle się przy tym nie zatrudnia, co oznacza także, że oszczędzimy na wydatkach związanych z obsadzeniem superdreadnoughtów, co zawsze wiąże masę ludzi, nie mówiąc o pozostałych kosztach, które też są gigantyczne, chociaż w tym przypadku nie przełożyłyby się one na wzrost naszego potencjału bojowego. Wystarczą nam krążowniki liniowe, których Flota Graniczna ma naprawdę wiele, a przecież są jeszcze i te wchodzące w skład Battle Fleet. A nowe krążowniki liniowe możemy budować znacznie szybciej

niż superdreadnoughty. Dodatkowo moim zdaniem nie powinniśmy raportów mówiących o możliwościach stosowanych przez Manticore kompensatorów uznawać za „przesadzone”. Są zapewne bardzo bliskie prawdy, co oznacza, że nasze krążowniki liniowe mają o wiele większe szanse dorównać przyspieszeniem ich superdreadnoughtom niż nasze najcięższe jednostki liniowe. Jeszcze jedną kwestią, w której miałem inne zdanie niż Rajani, były właśnie zdolności obronne superdreadnoughtów. On uważał, że odpowiednio wielki ich zespół będzie dysponował wystarczającym potencjałem defensywnym, by odeprzeć nawałę nowoczesnych pocisków Manticore. Sądzę, że los admirał Crandall podważył tę hipotezę, a klęska Filarety udowodniła, że to nie jest prawda. Dopóki nie zdołamy opracować i zbudować jednostek liniowych zdolnych przetrzymać takie salwy, jakie Harrington odpaliła przeciwko Jedenastej Flocie, a z przykrością muszę stwierdzić, że zajmie to trochę czasu, nasze superdreadnoughty nie będą ani trochę bardziej odporne na ciosy niż krążowniki liniowe. Albo wyrażając to inaczej, krążowniki liniowe będą miały takie same szanse na przetrwanie walki z RMN co superdreadnoughty. Biorąc to wszystko pod uwagę i pamiętając o zasobnikach holowanych, które Technodyne przekazało Jedenastej Flocie, uważam, że jedyną opcją są działania przeciwko żegludze handlowej i infrastrukturze, prowadzone z użyciem krążowników liniowych oraz lekkich sił wyposażonych w zasobniki holowane. Równocześnie powinniśmy mobilizować Technodyne do prac nad nowymi systemami uzbrojenia. Wiemy, że pociski stosowane przez Manticore i Haven mają co najmniej taki sam zasięg jak produkty Technodyne, chociaż są wyposażone w znacznie silniejsze głowice i bardziej zaawansowaną elektronikę. Powinniśmy jak najszybciej pozyskać analogiczne uzbrojenie, przy czym lepszym rozwiązaniem

byłoby skopiowanie pomysłów przeciwnika niż długie i pracochłonne opracowywanie własnych technologii. To, co proponuję, powinno zepchnąć ich na pozycje obronne albo chociaż spowolnić ich działania ofensywne, dając nam szansę na udoskonalenie tego, co Technodyne już produkuje. Moim zdaniem to najlepsze, co możemy zrobić, bo nawet jeśli nadal nie będziemy dysponowali równie dobrym uzbrojeniem co przeciwnik, uzyskamy nad nim przewagę ilościową.

- I wierzy pan, że da się to przeprowadzić? - spytał Kołokolcow.

- Sądzę, że w tym przypadku mamy jakieś szanse, sir. Oczywiście wybór tej opcji wymaga uprzedniego rozpatrzenia różnych politycznych i ekonomicznych kwestii, na temat których trudno mi się wypowiadać. Na przykład związanych z pomysłem wprowadzenia dodatkowego podatku, o którym wspominał kapitan Gweon. Bez wątpienia będziemy potrzebować dużych środków, by w ogóle coś zrobić, chociaż przy moim wariacie w grę będą wchodzić kwoty nieporównanie mniejsze, niż gdybyśmy zdecydowali się na reaktywację całej naftalinowej floty czy budowę nowych ciężkich jednostek. Mimo to nadal rozmawiamy o działaniach mogących pochłonać znacznie więcej środków niż pokojowy budżet Marynarki Wojennej. Wiem, że od strony politycznej będzie to oznaczało otwarcie puszkii Pandory, ale nie czuję się powołany, by w ogóle odnosić się do tego aspektu sprawy.

Kołokolcow raz jeszcze kiwnął głową. Wielka szkoda, że Rajani nie zastrzelił się kilka miesięcy temu, pomyślał. Oczywiście wtedy Kingsford też paliłby się pewnie do działania, mając te same informacje co jego nieżyjący przełożony, ale i tak wydawał się mądrzejszy i ostrożniejszy. Chociaż... czy starczy mu tego rozsądku?

- Dobrze, admirale - powiedział w końcu. - Dał mi pan do myślenia i muszę to przetrwać. Jak pan nadmienił, cała ta sprawa ma też kilka

ważnych politycznych aspektów. Rozważę je wraz ze współpracownikami i zastanowimy się, czy wybrać zaproponowaną przez pana strategię, czy może szukać innej drogi. Na pewno postaramy się jednak, by ta decyzja zapadła jak najszybciej. Póki co chciałbym, by przygotował pan dokładniejszy plan działania. Może we współpracy z kapitanem Gweonem. Myślę o rozpisce sił, których zamierzałby pan użyć, i sposobie ich wykorzystania, wymaganiach logistycznych i tak dalej.

- Admirał Jennings, mój szef sztabu, pracuje już nad tym od kilku tygodni, sir. Jestem pewien, że zasadniczy plan będzie gotowy na dniach.

- Dobrze. - Kołokolcow wstał i wyciągnął rękę ponad biurkiem, by pożegnać gościa.

Kingsford wstał i uścisnął podaną dłoń.

- Nie powiem, by uradowały mnie informacje przekazane przez pana i kapitana Gweona - dodał jeszcze gospodarz. - Doceniam jednak waszą rzeczowość i klarowność wypowiedzi.

*

- I jak poszło?

Kapitan Caswell Gweon uniósł głowę znad szklaneczki martini i uśmiechnął się do wyjątkowo atrakcyjnej kobiety z rudymi włosami, która usiadła właśnie na krześle po drugiej stronie niewielkiego stołu.

- Dobrze, kochanie. A jak twój dzień?

- Zwykle nudy - odparła. - Ale nie zmieniaj tematu.

- Przecież wypada spytać, kochanie - odparował Gweon. - Ludzie, którzy są sobie bliscy i traktują się poważnie, interesują się tym, co się dzieje u tej drugiej strony.

- No dobrze. - Pochyliła się nad stołem, przyłożyła prawą dłoń do jego policzka i pocałowała Gweona z takim zapałem, że kilka z obecnych w barze osób aż się zaśmiało.

- Tak o wiele lepiej - powiedział, uśmiechając się szeroko i zerkając na resztę gości, jakby szukał w dyskretnie oświetlonym barze tych, którzy poczuli się tak bardzo rozbawieni. Nikt się nie przyznał, ale kilka osób uśmiechnęło się do niego. Pokręcił głową i skinął na kelnera.

- Tak, kapitanie?

- Czy możemy skorzystać z któregoś z waszych boksów? - Gweon wyciągnął czip kredytowy, który teleportował się w magiczny sposób, lądując w dłoni kelnera.

- Chyba da się to załatwić, sir - zapewnił kelner z szerokim uśmiechem. - Czy zechcą państwo podążyć za mną?

Gweon wstał i odsunął krzesło towarzyszące, potem podał jej ramię i ruszyli w ślad za kelnerem, który zaprowadził ich do szerokiego i wygodnego boksu na tyłach przylegającej do baru restauracji. Oprócz kanap i stołu znajdowało się tu także nowoczesne wyposażenie zapewniające maksimum prywatności.

- Czy to panu odpowiada, kapitanie?

- Idealnie - odparł Gweon. - Proszę dać nam teraz trochę czasu do namysłu, nim złożymy zamówienie. Damy znać, gdy będziemy gotowi - dodał, wskazując na wmontowany w blat stołu panel.

- Oczywiście, sir.

Kelner skłonił się z uśmiechem i zniknął.

Gweon spojrzał w ślad za nim i zaprosił swoją towarzyszkę do zajęcia miejsca w boksie. Sam usiadł naprzeciwko niej i włączył ekranowanie. Natychmiast znaleźli się w osobliwym bąblu, który pozwalał im widzieć restaurację, nie dawał natomiast nikomu szansy

dojrzenia, kto znajduje się w środku. Ekran był również skuteczną przeszkodą dla wszystkich znanych typów urządzeń podsłuchowych, niemniej Gweon wyciągnął jeszcze z kieszeni niewielkie urządzenie, które włączył i położył przed sobą na stole.

- Po co to wszystko? - spytała kobieta ostrym tonem.

Gweon wzruszył ramionami.

- Jestem szefem jednej z głównych sekcji Biura Wywiadu Floty, a za kilka tygodni zostanę oficerem flagowym. W Marynarce Ligi oznacza to pewne przywileje, które obejmują także dostęp do urządzeń maskujących, gdybym chciał się trochę popieścić z moją narzeczoną. Wierz mi, nikt nie uzna tego za podejrzanego, chyba żeby wcześniej miał na mnie oko z jakiegoś powodu. Ale wtedy nic by już nam nie pomogło, nie ma się więc co tym martwić.

- Nie cierpię tej twojej logiki - rzuciła kobieta i Gweon zachichotał.

Przyjrzał się jej i pomyślał, że i tak nieźle się w tej relacji kontroluje. Erzebet Pelletier była równie bystra jak atrakcyjna, a do tego dobra w łóżku. Co więcej, dobrze im się współpracowało i wiedział, że naprawdę go lubi. Może nawet więcej niż lubi, chociaż oboje pamiętali, z jakim ryzykiem może się wiązać emocjonalne zaangażowanie w odgrywane role.

- No dobra - powiedziała po chwili. - Zapowiedziałeś temu miłemu młodzieńcowi, że niebawem złożymy zamówienie, uporajmy się więc z najgorszym i miejmy to z głowy. - Niech będzie - westchnął.

Wolałby odbyć tę rozmowę w ich mieszkaniu, ale wiedział, że chociaż komfortowy, apartament bez dwóch zdań był na podsłuchu. Nie jakimś wyrafinowanym, bo kontrwywiad nie słynął z błyskotliwych posunięć i odpracowywał podobne sprawy minimalnym kosztem. Zwłaszcza że nikt tam nie żywił przecież jakichkolwiek podejrzeń co do

Gweona. Niestety, używanie sprzętu antypodsluchowego było w tej sytuacji mocno niewskazane, dokładnie odwrotnie niż korzystanie z niego poza domem. Dlatego zawsze prowadzili podobne rozmowy w mocno obleganych miejscach publicznych.

- Po pierwsze, samobójstwo Rajampeta nie wzbudziło chyba żadnych podejrzeń -powiedział. - Biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazł, i czekającą go bardzo przykrą rozmowę z Kołokolcowem i resztą, miał dość powodów, by odebrać sobie życie.

- Zatem sprawa jest zamknięta?

- Najwyraźniej. Ostatecznie to był jego własny pulser. Dobrze wyszło, że od lat trzymał broń w tym samym miejscu. Wszyscy o tej broni wiedzieli i nikogo nie zdziwiło, że po nią właśnie sięgnął. Gorzej by to wyglądało, gdyby wyskoczył z okna i roztrzaskał się na chodniku!

- Na pewno - odparła Erzebet z lekką niechęcią w głosie. Nie przepadała bynajmniej za Rajampetem i cieszyło ją, że sprawa została załatwiona tak czysto, ale nie widziała niczego zabawnego w jego samobójstwie.

Gweon wyczuł jej emocje i skrzywił się przepaszajaco.

- Przykro mi, Erzi. Może powinienem wyrażać się delikatniej, ale dość długo pracowałem z tym kutasem. Gdybyś znała go równie dobrze jak ja, pewnie też poczułabyś teraz sporą ulgę.

- Może masz rację i pewnie dobrze, że nie miałam okazji poznać go lepiej. Ale nie marnujmy czasu. Kurier na Mesę odlatuje jutro wieczorem. Reszta raportu.

- Jasne. Po pierwsze, Kołokolcow chyba mnie kupił i teraz będzie już tylko lepiej. Dałem mu całkiem rzetelną analizę i on potrafi to docenić. To samo dotyczy Kingsforda, chociaż okazał się inteligentniejszy, niż wcześniej sądziłem. Zawsze wiedziałem, że przerasta pod tym

względem Rajampeta, ale teraz wychodzi na to, że może być nawet trochę zbyt inteligentny. Lepiej będzie przy nim uważać. Nigdy dość ostrożności. Nie było mnie przy tym, gdy przedstawiał Kołokolcowowi nową strategię, ale sądząc po dodatkowych analizach, których zażądał ode mnie później, wydaje się, że...

Rozdział XXXII

- Zatem doszliśmy do porozumienia? - spytał Kołokolcow, spoglądając po twarzach współpracowników.

- Nadal nie wiem, czy to najlepsze rozwiązanie - powiedziała ponurym tonem Agata Wodosławska.

- Też nie jestem zachwycony - odezwał się Malachai Abruzzi. - Coś jednak musimy zrobić. Najlepiej coś, co wyglądałoby na agresywne posunięcie. Po zagładzie zespołu Filarety nie widzę innej opcji.

- Przynajmniej Kingsford ma bardziej realistyczne podejście niż Rajani - wtrącił się Nathan MacArtney. Stały podsekretarz spraw wewnętrznych był mocno nie w sosie. Wciąż nie doszedł do siebie po samobójstwie admirała, które odczuł szczególnie mocno nie dlatego, by jakoś wyjątkowo lubił Rajampeta, ale długo pracowali razem i w pewien sposób się zżyli. Na dodatek mieli podobne spojrzenie na kwestię Protektoratów. W tej sytuacji nad nagłą i samobójczą śmiercią nie dawało się przejść do porządku w dzień czy dwa.

- Tak, najpewniej tak - potwierdził Kołokolcow niemalże kpiącym tonem i MacArtney poczerwieniał na twarzy. Chyba chciał nawet coś powiedzieć, ale ostatecznie zacisnął mocno usta. Kołokolcow wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, po czym westchnął głęboko. -Przepraszam, Nathanie, ale tkwimy po uszy w bagnie i w olbrzymiej części jest to zasługa Rajaniego. Wiem, że współpracowaliście w sprawach Protektoratów, ale cóż. Nie robiliście tego na pustyni, a Rajani nie dbał czemuś o obszerne informowanie nas o swojej pracy. Przed tobą też sporo ukrywał i chyba pora, bym

powiedział głośno, co o tym myślę i jak bardzo się obawiam, że mocno się to na nas zemści. Uwierz mi, że sytuacja jest naprawdę paskudna i jest się czego bać. Co więcej, my też nie jesteśmy bez winy, przy czym mówię także i o sobie.

- Poklepał się po piersi i MacArtney skinął głową.

Nikt nie zdobył się na komentarz, ale Kołokolcow nie myślał czynić im z tego powodu wyrzutów. Quartermain i Wodosławska ostrzegały ich przed potencjalnymi ekonomicznymi skutkami konfliktu z Gwiezdnym Imperium Manticore, jednak nawet one podzielały w swoim czasie zdanie, że przewaga liczebna Battle Fleet wystarczy dla skompensowania „trochę” nowocześniejszych systemów uzbrojenia posiadanych przez Manticore. Na równi ze wszystkimi nie doceniły potencjału militarnego przeciwnika.

A przecież powinniśmy dostrzec, ja powinienem dostrzec, jak wiele z naszego nastawienia wynikało ze zwykłego myślenia życzeniowego i arogancji, pomyślał Kołokolcow. Długo budowaliśmy tę iluzję i można było to przerwać praktycznie w każdej chwili, ale nie uczyniliśmy tego. A teraz zabrnęliśmy za daleko i już się nie wywinjemy.

- Jedno, co mnie zastanawia, to czy nie powinniśmy jednak poszukać dyplomatycznego rozwiązania? - spytała z wahaniem Quartermain i spojrzała na pozostałych.

- Zwłaszcza po tym, co zaszło w Zgromadzeniu. Coraz bardziej niepokoję się długofalowymi skutkami zarządzanej przez Manticore blokady. Ekonomicznymi skutkami. Może istnieje jakiś sposób, by skłonić Imperium do jej odwołania...

Jej głos zawisł w próżni.

- Wszyscy wiemy, o czym myślisz, Omosupe - powiedział Kołokolcow. - Ale na miejscu Manticore nie byłbym w tej chwili

zainteresowany podejmowaniem negocjacji. Zbyt dobrze wiedzą, jak bardzo nas ta blokada zabolę, a na dodatek mają nad nami przewagę militarną i przejęli inicjatywę. Jestem pewien, że podyktowałiby nam warunki, które wywołałyby burzę w Zgromadzeniu Legislacyjnym, ostatecznie pogarszając tylko sytuację. Nie mówiąc już o reakcjach tych ludzi, którzy uwierzyli Beowulfowi, że zablokowanie Tsang ocaliło tak naprawdę jej zespół przed zniszczeniem. Uznaliby nas za hipokrytów, którzy sami nie wiedzą, czego chcą, jednocześnie myśląc o rozmowach i posyłając ludzi na pewną śmierć.

Quartermain pokiwała głową, chociaż chyba nie do końca się z nim zgadzała, ale sam Kołokolcow też nie był do końca przekonany do swoich decyzji. Na pewno wiedział tylko tyle, że pod żadnym pozorem nie wolno mu okazać słabości.

- Niemniej musimy być gotowi do rozmów z nimi - powiedział. - Moim zdaniem powinniśmy przygotować propozycję negocjacyjną i aktualizować ją na bieżąco, by wysłać ją Manticore w najbliższej sposobnej chwili.

- Najbliższej sposobnej chwili? - powtórzyła Quartermain i Kołokolcow wzruszył ramionami.

- Zanim zdecydujemy się sięść z nimi do stołu, by uzgodnić coś, co ocaliłoby nas przed całkowitym politycznym rozpadem, musimy odnieść jakieś, choćby i niewielkie zwycięstwo.

- Przepraszam, ale nie oczekiwałabym raczej niczego takiego w przewidywalnej przyszłości - odezwała się Wodosławska ostrym tonem.

Gospodarz ponownie wzruszył ramionami.

- W zwykłym boju flot rzeczywiście nie - przyznał niechętnie. - Ale Kingsford proponuje całkiem inny rodzaj kampanii. Gdybyśmy zdołali

wymanewrować ich siły, uderzyć skutecznie na cele związane z żeglugą handlową i namieszać im na szlakach handlowych, może nabrałoby rozumu. Naszej opinii publicznej moglibyśmy zaś przedstawić to jako dowód, że militarnie też coś osiągnęliśmy. To dałoby podstawy do rozpoczęcia negocjacji bez ryzyka, że nastroje społeczne w Lidze jeszcze bardziej się pogorszą.

Obie kobiety spojrzały na niego z powątpiewaniem.

- W tej chwili zarówno Zgromadzenie, jak i media wdały się w jedno wielkie bicie piany, z którego wiele nie wynika. Jeśli manewr Reida wypali, zmienią trochę ton albo przynajmniej skupią uwagę na Beowulfie, dając nam kilka miesięcy oddechu. To już będzie coś. Przy okazji zepchniemy zapewne Hadley do defensywy i sprawimy, że mniej będzie podczas sesji gadania o naszej polityce i kompetencjach. Na dłuższą metę zaś oczekuję, że otwarte nazwanie działań Beowulfa „zdradą” da wielu układowym rządcom do myślenia. Zaczną rozglądać się trwożnie, czy nic nie zagraża im na zewnątrz Ligi. Te, które są najbardziej zadowolone z obecnego statusu, zaczną postrzegać przykład Beowulfa w całkiem nowy sposób. Dojdą do wniosku, że padł on ofiarą agresji ze strony Manticore, i to takiej, która wymierzona była we wszystkich, jako zagrażająca integralności i zdolnościom obronnym tego układu politycznego, w który tyle zainwestowali. A może nawet, z dużym dla nas pożytkiem, ogarnie ich poczucie niepewności. Obawa, że cały porządek naszej galaktyki może się zawalić, skłoni ich do wstrzemięźliwości w działaniach, bo będą się bali jeszcze bardziej rozkołysać tę łódź. Oberwaliśmy i wielu bardzo nie podoba się to, co robimy, ale nadal jesteśmy największym i najpotężniejszym organizmem państwowym w galaktyce, zatem prosty instynkt stadny sprawi, że zaczną do nas Ignąć. Najpierw jednak musimy czegoś

dokonać albo chociaż pokazać, że jesteśmy do tego zdolni, bo inaczej ten sam instynkt obróci się przeciwko nam. Dlatego właśnie propozycja Kingsforda jest najlepsza. Daje nam militarną szansę, by spełnić ten warunek.

- A jak wielka naprawdę jest ta szansa? - spytała cicho Quartermain.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. I chyba nikt tego nie wie - dodał Kołokolcow, opierając się w fotelu i unosząc ręce w geście bezradności.

- Wiem tylko, że inne opcje wydają się mniej rokujące. A jeśli zyskamy w ten sposób czas dla Technodyne, które pracuje ciągle nad nową generacją pocisków, sytuacja zmieni się radykalnie. Nadal jesteśmy zbyt ogromni, by nasi wrogowie mogli się pokusić o okupację wszystkich naszych układów planetarnych. Musimy tylko wytrzymać na tyle długo, by dało się wprowadzić do produkcji nowe systemy uzbrojenia, które będą mogły równać się z ich wyposażeniem. Jeśli zdołamy to zrobić, wówczas rozproszenie sił, przewidziane przez Kingsforda, zacznie działać zdecydowanie na naszą korzyść.

Rozejrzał się wkoło i wciągnął głęboko powietrze.

- Powtarzam zatem pytanie. Czy wszyscy zgadzamy się autoryzować plan admirała Kingsforda dotyczący ataków na cele związane z funkcjonowaniem handlu i samą żeglugę handlową?

Z początku nikt się nie odezwał, jednak po chwili pierwsza osoba kiwnęła głową. Potem następna. Aż wszyscy wyrazili zgodę.

*

Sala Gwiazdzista, w której odbywały się oficjalne posiedzenia Zgromadzenia Legislacyjnego, była naprawdę olbrzymia, ale musiała taka być, skoro miała pomieścić delegacje wszystkich układów planetarnych zrzeszonych w Lidze Solarnej. Każdy z nich miał prawo do co najmniej jednego przedstawiciela, a ich liczba rosła w zależności od

wielkości reprezentowanej populacji. Większość delegacji składała się z dwóch - trzech osób, a jedna trzecia ograniczała się do jednego przedstawiciela. Delegacje tych najliczniej zamieszkanym układów potrafiły jednak urastać do sporych grup. W przypadku Beowulfa oznaczało to aż dziewięć osób pod przewodnictwem Felicii Hadley.

W tej chwili wszystkie one były na sali. Większość w łoży obok Hadley, trzy zaś krążyły wśród członków innych delegacji. Asystenci delegatów sprawdzali codziennie biuletyny i listy głosowań i w ogóle trzymali rękę na pulsie, ale Hadley uważała, że nic nie zastąpi bezpośredniego nadzoru. Zwłaszcza w tak szczególnym dniu.

- Felicio.

Hadley odwróciła się w stronę Hamiltona Brinton-Massengale'a, jednego z mniej znaczących członków delegacji, nierzucającego się w oczy szatyna o miłym uśmiechu. Sprawiał wrażenie niezbyt rozgarniętego, ale były to pozory. W rzeczywistości był wyjątkowo bystry, co czyniło go świetnym obserwatorem. Hadley z miejsca wyczuła jego napięcie, podkreślone absolutną powagą na twarzy.

- Tak, Ham?

- Pogłoski były chyba prawdziwe - powiedział cicho. - Podejrzenie wielu ludzi nie reaguje dziś na moje sygnały, że chciałbym z nimi zamienić słowo. Nie przypuszczam, by wszyscy oni nagle oślepli.

- Zależy, jak rozumieć ślepotę - mruknęła Hadley.

- Próbowałem nawiązać kontakt z delegacjami Heimdallu, Cyclopsa, Trombone, Strathmore i Kenichi - wyliczył Brinton-Massengale.

Wszystkie te układy znajdowały się w promieniu do trzydziestu pięciu lat świetlnych od Beowulfa. Odległy o czternaście lat Heimdall był od dziesięcioleci bliskim partnerem handlowym i politycznym sojusznikiem ojczyzny Hadley.

- I co?

- Routhier, Reicher i Tannerbaum mieli problemy ze wzrokiem. Fang Chin-wen zamieniła ze mną kilka zdań, ale cały czas oglądała się przez ramię. Jedynym, który nie wzdragał się przed normalną konwersacją, był Gook Yang Kee.

Hadley kiwnęła głową. Nastrój miała minorowy. Kjell Routhier należał do delegacji układu Cyclops. Aurelie Reicher była z Heimdallu, Charlotte Tannerbaum zaś z Kenichi. Fang Chin-wen pełniła funkcję asystenta przewodniczącego delegacji Trombone. Gook Yang Kee był młodszym delegatem Strathmore.

Postawa Tannerbaum nie zdziwiła jej, ponieważ kontakty Beowulfa z Kenichi nigdy nie należały do szczególnie bliskich. Co innego Routhier, zwłaszcza że Hadley i jej ludzie bardzo pomogli kilka miesięcy temu szefowi delegacji Cyclopsa w uzyskaniu audiencji u stałego podsekretarza Kołokolcowa. Jednak największym rozczarowaniem była Aurelie Reicher. Heimdall i Beowulf miały naprawdę wiele wspólnego, począwszy od trudnych do zliczenia przedsięwzięć biznesowych, na mieszanych małżeństwach skończywszy. Pod tym ostatnim względem bliższe Beowulfowi było tylko Manticore.

Hadley bardzo się ta sytuacja nie podobała. Z drugiej strony, nawet w dobrych chwilach Reicher potrafiła zachowywać się wręcz idiotycznie, a na dodatek ciągle nie mogła przeboleć, że jej delegacja była o dwie osoby mniej liczna niż zespół Beowulfa. Najpewniej doszła do wniosku, że skoro jej sąsiedzi mogą mieć kłopoty, lepiej nie narażać się na wciągnięcie w ten sam wir albo przynajmniej złą sławę.

- A co powiedziała Fang?

- W sumie nic szczególnego, ale miałem wrażenie, że rozmawia z uprzejmości. Jednak to mogło być zachowanie na użytek reszty jej

delegacji.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytała zaintrygowana Hadley.

- Bo to ona zasugerowała, bym poszedł porozmawiać z Yang Kee, ale zrobiła to cicho i dopiero wtedy, gdy nikogo nie było akurat w pobliżu.

- Jasne - mruknęła Hadley.

Olbrzymia sala, w której nieustannie przebywały tysiące osób, została na tyle starannie zaprojektowana, że wyposażono ją w system wyciszający. Bariery otaczające poszczególne łóżka nie tłumiły całkowicie hałasu, który cały czas pobrzmiwał gdzieś w tle, ale pozwalały swobodnie porozumiewać się członkom poszczególnych delegacji. Postępowanie Fang mogło więc być celowe. Najpierw pogadała trochę niezobowiązująco, a najważniejsze powiedziała wtedy, gdy reszta jej ludzi dokądś sobie poszła. Z jakiegoś powodu nie chciała, by znali pełną treść jej rozmowy.

- A co powiedział Yang Kee, gdy go znalazłeś?

- Też raczej niewiele - odparł Brinton-Massengale. - Ale tylko dlatego, że sam niewiele wiedział. Podobno starsi członkowie jego delegacji są dziwnie podminowani, ale nie chcą zdradzić dlaczego. Niemniej jedno udało mu się ustalić.

- Co takiego?

- Tyrone Reid planuje specjalne wystąpienie, chociaż nie ma go na oficjalnej liście mówców.

- Yang Kee jest tego pewien? - Hadley pochyliła się w stronę młodszego kolegi. Wiedziała, że jej język ciała zdradza aż za wiele, ale chwilowo była zbyt przejęta, by się tym martwić.

- Na ile to możliwe. Sama wiesz, jak to jest. Ale powiedział, że sprawdził, jak tylko się dało. Reid nie figuruje na liście marszałka, ale

jest na niej Yung-Thomas i on ma odstąpić swój czas Reidowi. Yang Kee słyszał to od kogoś z otoczenia Neng.

- Rozumiem. - Hadley zastanowiła się szybko i odetchnęła głęboko. - Ham, zbieraj się zaraz i wracaj do naszej rezydencji.

- Czy mogę spytać po co? - Nie był to wyraz protestu, a jedynie zdumienia.

- Chcę mieć przy sir Lymanie kogoś z oficjalnej delegacji. Osobę, której zgodnie z prawem nikt nie podskoczy.

- Obawiasz się, że mogą zasadzić się na naszego ambasadora? - spytał niedowierzającym tonem Brinton-Massengale.

- W sumie to nie, ale wolę nie ryzykować. Tylko wprowadź swój kod, nim pójdziesz, bym mogła zagłosować w twoim imieniu. Nie żeby wiele to dało, ale...

- Oczywiście. - Brinton-Massengale wstukał odpowiednią kombinację i spojrzał raz jeszcze na Hadley. - Jak sądzisz, o co tu może chodzić? Coś jeszcze poza tym, co nam się nie spodoba?

- To może być kilka rzeczy - mruknęła Hadley. - Ale skoro ruszyli Reida, to pewnie dla jakiejś cięższej kombinacji. Być może... - Przerwała i pokręciła głową. - Nie, nie będę wdawać się w spekulacje. Niebawem się dowiemy. Teraz zmykaj.

*

Jasmine Neng, marszałek Zgromadzenia Legislacyjnego, urodziła się w Układzie Słonecznym, podobnie zresztą jak wszyscy jej poprzednicy. Tak nakazywał zwyczaj. Wychowana w jednym z lepszych habitatów, była wysoka i smukła, o jasnej cerze i smoliście czarnych oczach. Wiedziała dobrze, na czym polega uprawianie polityki w Lidze Solarnej. Inaczej nigdy nie trafiłaby na ten urząd.

Zajmowała miejsce w wygodnym fotelu ustawionym na centralnym podwyższeniu izby, które przypominało wysoką na osiem metrów i kręconą kolumnę. Jej boki obłożono marmurem w najróżniejszych barwach, od czerni, przez ciepłą zieleni, kremowy beż i miodową żółć po umbrę. Górowała wyraźnie nad najbliższymi boksami, chociaż najdalsze rzędy amfiteatralnej sali znajdowały się zdecydowanie wyżej niż siedzisko marszałka. Salę zalewało miękkie i rozproszone światło wydobywające się z widocznego na kopule sklepienia wschodzącego księżycy na tle całego oceanu roziskrzonych gwiazd. Centralna kolumna była dodatkowo oświetlona reflektorami punktowymi, nad konsolą pani marszałek zaś widniało holograficzne przedstawienie Ziemi ze starannie odtworzonymi szczegółami lądów i głębokim błękitem oceanów.

Hadley zawsze uważała, że Sala Gwiazdzista jest jednym z cudów architektury. I tak powinno być, skoro służyła za miejsce posiedzeń demokratycznie wybranych delegatów decydujących o losach największego państwa istniejącego kiedykolwiek w ludzkiej historii. Tyle że jej piękno nie szło w parze z polityczną jakością Zgromadzenia i Neng świetnie o tym wiedziała.

Delegat, który akurat przemawiał, domagając się jakichś zmian w zasadach archiwizacji przebiegu posiedzeń, wyczerpał swój czas i usiadł na miejscu. Hadley nie miała pojęcia, czy uczynił to, bo przedstawił do końca swój punkt widzenia, ale nie poprosił o dodatkowy czas, do którego miał prawo. Inna sprawa, że mało któremu delegatowi zdarzało się sensownie wykorzystywać tę możliwość.

Rozejrzawszy się wkoło, Hadley odniosła wrażenie, że sala jest pełniejsza niż zwykle. Trudno było o pewność, ponieważ nie wszystkie delegacje włączały oświetlenie boksów, czasem korzystając nawet z

dodatkowego ekranowania, wszystko jednak sugerowało, że tym razem nie będzie żadnych wątpliwości, czy uda się osiągnąć wymagane kworum. Owszem, w miarę narastania kryzysu frekwencja podczas obrad zdawała się rosnać, jednak nie w szczególnie szybkim tempie. Tymczasem dzisiaj...

- Dziękuję, panie Terry - powiedziała Neng do delegata, który usiadł właśnie obok niej. Miała silny głos, który nie pasował do jej smukłej postaci, ale odegrał zapewne jakąś rolę przy wyborze na to stanowisko. Widoczna na wielkim ekranie twarz pani marszałek pochyliła się w stronę konsoli. - Teraz stanie przed Zgromadzeniem pan Guernicho Yung-Thomas z Ziemi. Szanowny delegat poprosił o dziesięć minut. Panie Yung-Thomas?

Jej podobizna zniknęła z ekranu, zastąpiona projekcją ciemnoskórego i dość korpulentnego mężczyzny z piaskowymi włosami i szaro-zielonymi oczami. Wszyscy dobrze go znali i niejeden delegat jęknął z cicha, uznając, że najbliższe dziesięć minut najlepiej będzie wykorzystać na wizytę w toalecie czy inną równie istotną aktywność. Yung-Thomas uwielbiał wsłuchiwać się w brzmienie własnego głosu i pojawiał się na liście mówców co najmniej raz na dwa tygodnie. Co gorsza, jego starszeństwo sprawiało, że niemal każda jego prośba była spełniana i bez przeszkód mógł zanudzać Zgromadzenie oracjami na wszelkie możliwe tematy.

Hadley nigdy nie pojmowała, co właściwie nim kierowało. Czy chciał przejść do historii jako delegat zajmujący pierwsze miejsce w rankingu autorów archiwizowanych wypowiedzi? A może próbował udowodnić, że da się jednak zanudzić kogoś na śmierć, i uparł się bić rekord w kategorii powyżej tysiąca słuchaczy? Albo też wierzył, że naprawdę jest świetnym mówcą, i sądził, że wszyscy z utęsknieniem czekają na jego

wystąpienia? Jakkolwiek było, sam fakt, że ktoś taki w ogóle miał szansę marnować czas delegatów, świadczył jednoznacznie o upadku Zgromadzenia i jego całkowitej politycznej nieistotności.

Jednak tego dnia Yung-Thomas miał coś dziwnego w twarzy. Zupełnie jakby coś kombinował i nie mógł się doczekać efektu, co z pewnością nie wróżyło najlepiej.

- Dziękuję, pani marszałek - powiedział i z ekranu spojrzął na zebranych. - Dziękuję za sposobność, by się do was zwrócić, zwłaszcza że chodzi o sprawę szczególnej wagi. Dlatego właśnie odstępuję mój czas szanownemu Tyroneowi Reidowi.

Neng zdołała nawet przywołać na twarz wyraz niejakiego zdziwienia. Możliwe że talenty aktorskie były drugim pod względem ważności powodem jej nominacji na stanowisko marszałka.

- Panie Reid - powiedziała. - Pan Yung-Thomas przekazał panu swój czas. Proszę zabrać głos.

- Dziękuję, pani marszałek. I dziękuję panu, panie Yung-Thomas.

Reid był osobą wysoką, z typową dla żeglarzy i narciarzy intensywną opalenizną, starannie ułożonymi czarnymi włosami i skandynawskimi błękitnymi oczami. Pierwotnie miał piwne oczy, ale celowo zmienił ich barwę. Nie chwalił się tym oczywiście, ale Hadley wiedziała swoje. Ogólnie robił wrażenie i może dlatego media go uwielbiały.

- Szanowni delegaci - zaczął głębokim głosem i z niewróżącą niczego dobrego powagą. - Przepraszam, że staję przed wami niespodziewanie i właśnie teraz, w czasie obrad przeznaczonym na wnioski, nie sprawy bieżące, ale zaistniała szczególna potrzeba, która zmusiła mnie do tego ruchu.

Rozbrzmiewający w tle szmer rozmów przycichł gwałtownie, chociaż nie zniknął całkowicie. Hadley skłonna była przypuszczać, że do tego ostatniego konieczne byłoby użycie ciężkiej broni maszynowej. Trzeba jednak było przyznać, że dawno już nie było w tej sali aż tak cicho. I nie było się czemu dziwić. Mało było sytuacji, które uzasadniałyby domaganie się prawa do ponadplanowego wystąpienia.

- Czy mogę spytać, jaka to przyczyna skłoniła pana do zabrania głosu w tym trybie, panie Reid? - spytała Neng.

- Przyczyna szczególna, pani marszałek. Chodzi o zagrożenie dla bezpieczeństwa Ligi Solarnej - odparł z powagą delegat. - Zagrożenie powiązane z istotnymi kwestiami konstytucyjnymi.

Zrobiło się jeszcze ciszej i Hadley mało się nie roześmiała. Kwestie konstytucyjne? Od kiedy to Kołokolcow i jego banda zaczęli zwracać uwagę na konstytucję? W innych okolicznościach byłoby to wręcz komiczne, teraz jednak przyprawiało o mdłości.

- Szanowny delegat poprosił o zgodę na wypowiedzenie się w kwestii dotyczącej bezpieczeństwa Ligi Solarnej - wyrecytowała Neng. - Czy ktoś jest gotów wesprzeć jego prośbę?

- Wspieram! - rozległo się z łoży zajmowanej przez grupę z Seacrest.

- Wniosek został złożony i poparty - powiedziała Neng. - Wzywam zgromadzonych do głosowania.

Hadley zastanowiła się nad oddaniem głosu przeciwko wnioskowi, ale wiedziała, że niczego by to nie zmieniło. Pogłoska była najwyraźniej prawdziwa i sprawa została starannie ukartowana.

Minęło kilka minut, nim wszyscy poodzukiwali właściwe przyciski. Komputer podliczył wyniki i przedstawił je pani marszałek.

- Wniosek przeszedł - oznajmiła. - Szanowny delegat może kontynuować.

Jej twarz zniknęła ponownie z ekranu, ustępując miejsca obliczu Reida, który wpatrywał się przez kilka chwil w zgromadzonych, po czym odchrząknął.

- Szanowni delegaci, pewien jestem, że nie trzeba wam przypominać wszystkich tragicznych wydarzeń, które miały miejsce w ostatnich miesiącach. Incydent, który nie powinien nigdy stać się niczym więcej niż drobną utarczką graniczną, zmienił się w poważną próbę sił z państwem zwącym siebie Gwiezdnym Imperium Manticore. Niestety, państwo owo obrało niebezpieczny kurs, agresywnie reagując na czynione przez Ligę próby zabezpieczenia naszych granic i interesów oraz zasad demokracji, jak i chronienia przed jego imperialistycznymi zapędami stron trzecich.

Przerwał na chwilę, a Hadley wzniosła oczy do nieba. Nie miała siły, by nawet w myślach komentować te bzdury.

- Jak wam wiadomo, zespół admirał floty Sandry Crandall został zaatakowany i niemal całkowicie zniszczony przez siły Manticore w układzie Spindle podczas próby zaanektowania tego obszaru przez Gwiezdne Imperium jako Quadrantu Talbott. Manticore utrzymuje również, że działa zgodnie z prawem gwarantowanym przez pewne mocno kontrowersyjne zapisy przyjęte w Gromadzie Talbott, jak naprawdę nazywa się ten obszar. Nadal staramy się ustalić, co właściwie zdarzyło się w Spindle, ale zniszczenie floty admirał Crandall i śmierć wielu naszych obywateli to niepodważalne fakty. Druga strona sama przyznała, że nasze straty były szokująco wysokie. Co gorsza, jej przywódcy, jak i niektórzy sympatycy Manticore w samej Lidze, nie wahali się nazywać tej masakry wielkim zwycięstwem. Tak jakby śmierć tysięcy ludzi bardziej zasługiwała na świętowanie niż smutek i żałobę. Wobec takiego obrotu zdarzeń oraz konsekwentnie wyrażanej

przez Manticore niechęci do wypracowania kompromisowego rozwiązania konfliktu Admiralicja wysłała do podwójnego układu Manticore zespół pod dowództwem admirała floty Massima Filarety. Wszyscy wiemy, co stało się z tym zespołem, gdy został nakłoniony do poddania się i zniszczył własne zasobniki holowane, które były potencjalnie najskuteczniejszą bronią w walce z tym przeciwnikiem. Jak twierdzą przedstawiciele Manticore, Jedenasta Flota nie dokonała autodestrukcji zasobników, tylko z całkiem nieznanego powodu i mimo beznadziejnego położenia odpaliła pełną salwę, nie dając „Salamandrze” innego wyboru, jak tylko odpowiedzenie ogniem. Co doprowadziło do dokonanej z zimną krwią masakry, która kosztowała życie dwóch milionów... tak, dwóch milionów obywateli Ligi Solarnej.

Przez salę przebiegł złowrogi szmer i Hadley zacisnęła mocno zęby.

- Wiem, że znajdują się i tacy apologeci Manticore, którzy gotowi są uznać tę wersję zdarzeń za prawdziwą. Admiralicja postanowiła trzymać się zasady, że do chwili udowodnienia winy podejrzany pozostaje niewinny, i nie podważa prawdziwości nagrań dostarczonych przez Manticore, chociaż zapewne większość z nas zetknęła się z opiniami ekspertów, że mogły zostać one zmanipulowane, i zapewne tak właśnie było. Z czasem prawda na pewno wyjdzie na jaw i Liga Solarna zareaguje w odpowiedni sposób na śmierć tylu swoich synów i córek. To jednak jest kwestia przyszłości i niezłomnej woli przeprowadzenia pełnego i formalnego śledztwa w tej sprawie. Obecnie ważniejsze wydaje się coś innego. Coś, co nie wymaga pełnego dostępu do zapisów sporządzonych przez Manticore. Odnoszę się oczywiście do przypadku udzielenia przez Beowulfa odmownej odpowiedzi na prośbę admirała Tsang o przepuszczenie jej zespołu przez należący do niego terminal. Zespół ten miał zapewnić Jedenastej Flocie dodatkowe

wsparcie. Trudno oczywiście powiedzieć, czy wzmocnienie sił admirała Filarety setką dodatkowych superdreadnoughtów ukróciłoby mordercze zapędy Manticore. Nigdy się tego nie dowiemy, ponieważ Beowulf do tego nie dopuścił, a nawet gorzej, zezwolił jednostkom Manticore na przejście przez terminal i nie ostrzegł admirał Tsang o ich obecności. Zrobił to celowo, dopuszczając się kolaboracji z wrogiem nam państwem w celu powstrzymania admirał Tsang, która nie mogła przez to wykonać powierzonego jej zadania.

Z każdym zdaniem przydawał swojemu głosowi dramatyzmu, by ostatecznie uderzyć w gniewną nutę.

- Nie jestem oficerem Marynarki Wojennej. Nie znam się na prowadzeniu wojny kosmicznej, jednak skłonny jestem sądzić, że nagłe powiększenie sił admirała Filarety o niemal dwadzieścia pięć procent musiałyby skłonić Manticore do chwili zastanowienia. A jeśli nawet nie, mielibyśmy w tamtej okolicy niezależnego świadka tego, co naprawdę się zdarzyło, gdy niesławna admirał Harrington wezwała admirała Filaretę do poddania się, a następnie otworzyła ogień. Nie mamy jednak takiej relacji, ponieważ jeden z układów planetarnych będących częścią Ligi Solarnej dopuścił się kolaboracji z wrogiem państwem. Chociaż sam twierdzi inaczej! Jego zdaniem był to przypadek skorzystania z konstytucyjnego przywileju, który gwarantuje wyższość prawa miejscowego nad federalnym, gdy mowa o terenie danego układu. Niemniej skorzystano z niego, chociaż terminal Beowulfa znajduje się poza przestrzenią układową, co tamtejszy rząd sam przyznał podczas rozmów z wysłanniczką Admiralicji, która miała uprzedzić Beowulfa o planowanej akcji admirał Tsang. I tak w krytycznej sytuacji Beowulf nie tylko zachował się skrajnie nieodpowiedzialnie, powołując się przy tym na mgliste porozumienie zawarte całkiem niezależnie z Manticore, ale

śmiało jeszcze twierdzić, że oficer Ligi Solarnej wystawił załogi swoich okrętów na niebezpieczeństwo. I wykorzystał to absurdalne oskarżenie pod adresem admirała Tsang jako pretekst do skierowania swoich własnych sił do współdziałania ze zgrupowaniem wrogiego państwa, stającym na drodze flocie Ligi Solarnej w chwili, gdy ta miała do wykonania zadanie o szczególnej wadze.

Szmer w Sali Gwiazdzistej przybrał wyraźnie na sile.

- Nie jesteśmy w stanie udowodnić, że to właśnie działania Beowulfa doprowadziły do masakry zespołu admirała Filarety, ale nie da się wykluczyć takiej ewentualności. Żadnych wszakże wątpliwości nie budzi fakt, że Beowulf postąpił tak, jak postąpił. Wnoszę zatem wniosek, by Zgromadzenie Legislacyjne powołało specjalną komisję, która zbada charakter poczynań Beowulfa i określi jednoznacznie, czy były one konstytucyjne czy może wręcz przeciwnie. Czy nie były przypadkiem jawną zdradą, jak ja osobiście skłonny jestem je określić, związaną z korzyściami, które Beowulf uzyskał od Manticore w zamian za wbicie Jedenastej Flocie noża w plecy!

- Popieram wniosek! - krzyknął ktoś, a chwilę później w sali zapanował trudny do ogarnięcia harmider.

*

Potrwało trochę, nim Neng zdołała zaprowadzić jako taki porządek. Felicia Hadley przesiadzała cały ten czas w milczeniu, patrząc wprost przed siebie i ignorując konsekwentnie wszystkie rozlegające się wkoło okrzyki.

Posunięcie Reida nie było dla niej szczególnym zaskoczeniem, chociaż udało mu się utrzymać je w tajemnicy. Niemniej czegoś takiego właśnie od niego oczekiwała, z tym może wyjątkiem, że zdumiał ją poziom gniewnych reakcji sali. Owszem, większość delegatów

powstrzymała się od emocjonalnych okrzyków i gestów, ale w tej chwili była to raczej marna pociecha.

Owszem, zgłosiła chęć zabrania głosu i zrobiła to, nawet zanim jeszcze Reid zaczął swoją perorę, domyślając się z grubsza, co usłyszy. Zgodnie z zasadami pierwsza osoba, która w takiej sytuacji sięgnęła do właściwego przycisku, powinna otrzymać zgodę na wystąpienie będące reakcją na przemowę poprzednika i ekran na panelu sygnalizował, że nikt Hadley w tym nie wyprzedził. Pozostawało tylko pytanie, czy Neng będzie skłonna trzymać się tym razem protokołu.

Ku wielkiemu zdumieniu Hadley, ledwie twarz Reida zniknęła z ekranu, pani marszałek spojrzała na lożę delegacji Beowulfa.

- Zgromadzenie uznaje wniosek o udzielenie głosu złożony przez szanowną delegatkę Beowulfa - powiedziała i w sali zapadła nagle taka cisza, jakiej Hadley nigdy jeszcze tu nie słyszała.

W tym samym czasie podobizna oblicza delegatki została przełączona na wielki ekran.

- Pan Reid był uprzejmy wystosować pod adresem mojego macierzystego układu cały szereg bardzo poważnych oskarżeń - zaczęła spokojnie, pomijając wszystkie oficjalne formułki. - Nie przedstawił ich wprawdzie w trybie twierdzącym, ograniczając się do sugestywnie postawionych pytań, niemniej w jednym przynajmniej wyprzedził wszystkie oficjalne dochodzenia, dość jasno i precyzyjnie przedstawiając nam tok wydarzeń związany z wysłaniem admirała Filarety do układu Manticore. Zapomniał jednak dodać, że zostało to przeprowadzone bez uprzedniego wypowiedzenia wojny Gwiezdnemu Imperium i pomimo całego szeregu wystosowanych przez nie ostrzeżeń. Manticore było świadome zbliżania się Jedenastej Floty i wprost przekazało, że gotowe jest ją zniszczyć, by chronić własnych

obywateli i niezawisłość państwa. Gdyby ktokolwiek spośród zgromadzonych w to wątpił, dodam, że ambasador Manticore upowszechnił zapisy całej korespondencji dyplomatycznej prowadzonej ze stałym podsekretarzem Kołokolcowem i uczynił to, zanim jeszcze admirał Filareta dotarł do celu podróży. W korespondencji tej ambasador prosił usilnie, niemalże błagał, by Liga wysłała do układu Manticore oficera z rozkazami dla Filarety, by wstrzymał się z atakiem, tak by można było wypracować dyplomatyczne rozwiązanie konfliktu pomiędzy oboma państwami. Rząd federalny nie wysłał takiej osoby, a noty dyplomatyczne ambasadora Carmichaela nie doczekały się nawet odpowiedzi. Z tego, co wiemy, żaden z tych dokumentów nie został wcale przedstawiony rządowi Ligi! Wprawdzie trudno byłoby mi tego w tej chwili jednoznacznie dowieść, ale zdaniem Rady Dyrektorów wszystkie decyzje dotyczące tych not, jak i zadań postawionych przed admirałem Filaretą i admirał Tsang zostały podjęte na szczeblu urzędniczym przez biurokratów, którzy nie objęli swoich stanowisk dzięki demokratycznym wyborom. Bez jakiegokolwiek otwartej debaty postanowiono podjąć działania zbrojne przeciwko niepodległemu państwu i nikt nie pomyślał nawet, by poprzedzić to oficjalnym wypowiedzeniem wojny w trybie przewidzianym przez naszą konstytucję!

Hadley zdała sobie nagle sprawę, że całkiem bezwiednie mówi coraz głośniejszym głosem, sprowokowana przez Reida do przedstawienia swojego punktu widzenia bez owijania w bawełnę i tłumienia zrozumiałej w tej sytuacji złości. Przerwała na chwilę i zaczerpnęła głęboko powietrza, słysząc w tle kilka gniewnych głosów protestujących przeciwko temu, co właśnie wygłosiła. Poza tym jednak zgromadzeni milczeli, chociaż

trudno było oczekiwać, iż oznacza to głęboki namysł. Już prędzej szok typowy dla osób, które od dawna nie słyszały ani słowa prawdy.

- Nie da się porównać tego, co uczynili owi biurokraci, do działań podjętych przez Beowulfa - podjęła po chwili. - Doprowadzili oni w całkiem niekonstytucyjny sposób do wybuchu rzeczywistej wojny z państwem, którego potencjał militarny przewyższa zdecydowanie wszystko, czym dysponuje obecnie Liga Solarna. I to działanie można bez najmniejszych wątpliwości określić jako zdradę, jednak pan Reid nie zająknął się nawet na ten temat. Nie zaproponował powołania komisji dla zbadania trybu, w którym zaangażowaliśmy się w ten konflikt. Zamiast tego ogłosił wszem i wobec, że to Beowulf jest zdrajcą winnym kolaboracji z „przeciwnikiem”. Tyle że ani razu nie nazwał w swojej przemowie Manticore wrogiem czy przeciwnikiem, poprzestając na określeniach w rodzaju „wrogie państwo”. Nie uczynił tego, ponieważ Liga Solarna nigdy nie wypowiedziała wojny Gwiezdnemu Imperium Manticore.

Ostatnie słowa wypowiedziała powoli, celowo cedząc je w zalegającą na sali ciszę.

- W tej sytuacji pozwolę sobie przypomnieć, że zgodnie z konstytucją rząd federalny może podważać decyzje rządów lokalnych tylko w stanie wojny. Podczas pokoju nie posiada podobnych uprawnień. Wówczas wszystkie decyzje podejmowane przez rządy planetarne mają jednoznacznie określone pierwszeństwo, a autonomia terytorialna poszczególnych członków Ligi jest nienaruszalna. To jest coś, co zmienia się tylko i wyłącznie w stanie wojny. Jak zatem Beowulf mógł dopuścić się jakiegokolwiek zdrady, jeśli zgodnie z prawem konstytucyjnym nadal mamy pokój? Ale odłóżmy na chwilę to pytanie, by zastanowić się, w jaki sposób nasze działania, podjęte wraz z

admirał Truman, mogły wpłynąć na losy zespołu admirał Tsang domagającej się nieskrępowanego przejścia przez terminal należący do Beowulfa. Na stacjach obsługujących przejście pracowali wówczas obywatele Ligi Solarnej, zatrudniani przez tamtejszą kontrolę astro, firmę będącą wspólnym przedsięwzięciem Beowulfa i Manticore. Wszyscy byli cywilami, niepodlegającymi siłom zbrojnym Ligi, mającymi za to swoje konstytucyjnie zagwarantowane prawa. Mimo to admirał Tsang zamierzała zaatakować tę stację i siłą zmusić tych cywilów do pracy na jej rzecz, by przeprowadzić swój zespół. Wyraziła ten zamiar tak jasno, jak tylko było to możliwe. Co więcej, gdy admirał Holmon-Sanders zadeklarowała gotowość do obrony swoich rodaków przed atakiem solarnych jednostek, usłyszała, że zespół admirał Tsang, złożony z ponad stu ciężkich jednostek, otworzy ogień do obrońców, których siły liczyły trzydzieści sześć superdreadnoughtów. Oto decyzja nieustraszonego oficera Marynarki Ligi, który świetnie zna konstytucyjny zakres swoich obowiązków i zgodnie ze ślubowaniem staje zawsze w obronie życia solarnych obywateli!

Hadley nie próbowała już się hamować. Ani myślała ukrywać złości i pogardy, które odczuwała na samo wspomnienie tamtego incydentu.

- Jedynym, co powstrzymało admirał Tsang przed zaatakowaniem bratnich sił, które przewyższała na dodatek liczebnie w proporcji trzech do jednego, było nagłe ujawnienie się zespołu Manticore. Zespół ten mógłby bez najmniejszego trudu zniszczyć siły admirał Tsang, i to bez zdradzania swojej obecności, jednak nie uczynił tego. Już to każe powątpiewać w przypisywane Manticore mordercze zapędy, mające polegać na chęci unicestwienia Jedenastej Floty po tym, gdy postanowiła się ona poddać. W obu przypadkach dowodzący formacjami Manticore oficerowie ostrzegli najpierw przeciwnika, co w

przypadku admirał Tsang poskutkowało jej wycofaniem się bez jakichkolwiek strat po czyjejkolwiek stronie.

Hadley przerwała raz jeszcze, chcąc, by słuchacze lepiej zrozumieli to, co właśnie dane było im usłyszeć.

- Pan Reid ujawnił się jako zwolennik teorii, jakoby pojawienie się zespołu admirał Tsang w układzie Manticore mogło ocalić w jakiś sposób Jedenastą Flotę przed zniszczeniem. Nie wyraził tego wprost, ale zasugerował, iż wzmocnienie sił solarnych o dwadzieścia pięć procent z pewnością dałoby Manticore do myślenia. Na wszelki wypadek dodał też, że nie jest oficerem Marynarki. Z całej jego wypowiedzi tylko to ostatnie jest szczerą prawdą, bo żaden znający się na rzeczy oficer Marynarki nie zaryzykowałby nigdy takiego twierdzenia. Nie ma fizycznej możliwości, by przepchnąć jednocześnie przez terminal więcej niż trzydzieści do trzydziestu pięciu ciężkich jednostek, co pozwoliłoby na wzmocnienie sił admirała Filarety o niecałe osiem procent. Na dodatek tak masowy tranzyt zdestabilizowałby przejście na wiele godzin, uniemożliwiając szybkie przesłanie reszty zespołu admirał Tsang. Owszem, nadal byłby możliwy tranzyt sekwencyjny zamiast jednoczesnego, ale temu akurat zapobiegły admirał Holmon-Sanders i admirał Truman. I dobrze uczyniły, bo wówczas kolejne okręty admirał Tsang wyłaniałyby się z przejścia w kilkunastosekundowych odstępach, trafiając prosto pod wyrzutnie szyku bojowego jednostek RMN. Jak jednak wyglądałoby to przejście, finał byłby taki sam. Siły pani admirał zostałyby zniszczone ogniem ciężkich jednostek oraz fortów strzegących przejścia. Mój rząd wskazywał wyraźnie podczas trwania całego incydentu, że taki byłby właśnie koniec solarnego zespołu. Tym samym można powiedzieć, że admirał Holmon-Sanders i admirał Truman ocaliły życie ponad stu

tysięcy solarnych wojskowych tworzących załogi jednostek podległych admirał Tsang. Gdybyście się zastanawiali, jakie to przewrotne, makiaweliczne motywy nami kierowały, gdy zgodziliśmy się na tranzyt zespołu Manticore na naszą stronę przejścia, pomyślcie o tych ludziach. Gdyby Beowulf uległ presji i zrezygnował z obrony swoich konstytucyjnych praw, wszyscy oni byłiby dzisiaj martwi.

Spojrzała na delegatów, niespiesznie przesuując oczami po kolejnych łóżach, i pokręciła ze smutkiem głową.

- Wszyscy wiemy, co tu się dzieje. Znamy dobrze ten scenariusz, chociaż szczegóły mogą pozostawać chwilowo niejasne. Wiemy też, kto pociąga za sznurki, nie oczekuję więc, by prawda czy racjonalne argumenty wystarczyły do skutecznej obrony mojego stanowiska. Jednak jestem pewna, że pewnego dnia pełen zapis wydarzeń udowodni, co naprawdę zdarzyło się w układzie Beowulf. Tak samo jak ukaże całą prawdę o działaniach i losie zespołu admirała Filarety. Wówczas wystąpienie pana Reida zyska nowe znaczenie. Patrząc wstecz, trzeba będzie ocenić je w całkiem innym świetle. Być może dzisiaj Zgromadzenie nie jest zainteresowane poznaniem rzeczywistego przebiegu zdarzeń, niemniej Beowulfowi bardzo na tym zależy. Twórzcie więc komisje, prowadźcie śledztwo. Przedstawicie swoje dowody, a my przedstawimy nasze. Nie dlatego nawet, byśmy byli zainteresowani wynikami waszego dochodzenia, ale zależy nam na wierności prawdzie. W odróżnieniu od was mamy ją za wartość samą w sobie. A dodatkowo nie chcemy fałszować historii. Pewnego dnia nasi następcy, kimkolwiek będą, sięgną po nagranie dzisiejszej debaty i jednoznacznie ocenią wasze działania, nie szczędząc wam pogardy i słów krytyki, na które w pełni zasłużyliście.

Rozdział XXXIII

Brzmienie organów narastało do chwili, gdy odezwał się chór wykonujący pradawny hymn, od ponad czterech wieków towarzyszący zaślubinom każdego członka rodziny pana młodego.

Though I may speak with bravest fire, and have the gift to all inspire, and have not love, my words are vain, and sounding brass, and hopeless gain.

Sam pan młody, odziany w biele i srebrzystości rodu Wintonów, stał przed ołtarzem, twarzą do głównej nawy królewskiej katedry. Świątynia była pełniejsza niż kiedykolwiek od lat, nie licząc przedwcześniego pogrzebu Honor Harrington, co było zresztą swoistą ironią losu, zważywszy na fakt, że księżna Harrington szła teraz w orszaku ślubnym, a głowa państwa, które miało dopuścić się egzekucji na osobie pani admirał, siedziała w jednej z ław, obserwując pilnie zbliżającą się grupę.

Przywodziła ona na myśl szkatułę z klejnotami, tyle że wypełnioną nie diamentami, ale arystokratami w uroczystych strojach w barwach poszczególnych rodów i innymi gośćmi, ubranymi tak bogato, że dworski blask przygasał w ich obecności. Późnoporanne słońce przeświecało przez witrażowe okna, wypełniając katedrę barwnymi plamami blasku przesuwanymi się z wolna po morzu ludzkich głów i wiekowej boazerii, tradycyjnych organach z brązowymi piszczałkami, które na tę okazję starannie wypolerowano, rytualnych szatach z bogatymi obszyciami, lustrach świeczników odbijających światło i

tłumku dziennikarzy, których zapobiegliwie ulokowano na balkonach w narteksie.

Wśród tego przepychu barw i gry świateł smukła dziewczyna w bieli, z naręczem kwiatów, idąca przez świątynię w takt organowego grania, z ojcem u boku, prezentowała się uroczo bezpretensjonalnie, niczym uosobienie czystej duchowości.

Narzeczone, zwłaszcza te królewskie, zawsze są piękne. Takie już jest prawo natury, a kto nie wierzy, może spytać dowolnego dziennikarza. Niemniej w tym przypadku piękno było naprawdę oszałamiające. Nie dlatego nawet, że Rivka Rosenfeld olśniewała urodą, chociaż bez wątpienia była atrakcyjna, a na jej młodej twarzy malowała się nieprzeciętna inteligencja. I nie dlatego, że cała ekipa kosmetyczek wykonała swoją robotę perfekcyjnie. Wszystko sprowadzało się do lśnienia oczu Rivki, wpatrzonych w odległego jeszcze Rogera Wintona.

Honor była też skłonna sądzić, że niejaką rolę odgrywała również wrodzona gracia i gust panny młodej.

Shamirah, matka Rivki, zdążyła dowiedzieć się o zaręczynach córki, jednak niedługo potem udała się w odwiedziny do krewnych w Yawata Crossing i nigdy stamtąd nie wróciła. Rivka ciężko przeżyła tę tragedię. Przed ślubem zwróciła się do Honor z prośbą, by zajęła podczas ślubu miejsce Shamirah, albo przynajmniej spróbowwała. Honor nie była zachwycona tą dodatkową komplikacją, ale przez głowę jej nawet nie przeszło, że mogłaby odmówić. Przede wszystkim doceniła okazane jej zaufanie. Jej obowiązki nie były zresztą tak uciążliwe jak w przypadku lorda szambelana Wundta czy Arethey Hart, którzy musieli pilnować całego protokołu dyktującego porządek tego dnia. Honor skupiła się wyłącznie na Rivce i rzeczywiście stała się dla niej kimś bliskim oraz

pomogła jej w trudnym zadaniu sprostania wszystkim wymogom związanym z tak doniosłą uroczystością.

Rivka wybrała prostą suknię ślubną, bez ozdobnych dodatków czy lśniących klejnotów. Honor, która miała podobny gust, całym sercem wspierała ją w tej decyzji. Prostota nie oznaczała oczywiście w tym przypadku niskiej ceny. Honor dowiedziała się przy tej okazji aż nazbyt wiele o modzie ślubnej i praktykach projektantów i z konieczności usłyszała też, ile kosztowała ta idealnie dopasowana suknia. Przynajmniej efekt wart był ceny, pomyślała, patrząc na ciemnowłosą i czarnooką dziewczynę zmierzającą w kierunku swojego narzeczonego.

Jedynym ustępstwem, na które się zdecydowała, był długi tren, który ciągnął się teraz za nią po posadzce. Honor i drużyna pilnie baczyły, by go nie przydepnąć, przodem zaś szła specjalnie poproszona o to Faith Harrington, z wielką powagą sypiąc na dywan naręcza kwiatnych płatków. Jej brat, James, maszerował tuż za nią z granatową poduszką, na której leżały dwa pierścienie i książęca korona.

Przygotowania do tego wszystkiego pochłonęły wiele czasu i ciężkiej pracy szeregu zaangażowanych osób, w tym i samej Honor idącej teraz za Rivką, w zielonej sukni z peleryną utrzymaną w tej samej, charakterystycznej dla domeny Harrington barwie. Za całą biżuterię miała pod szyją Gwiazdę Graysona zawieszoną na karmazynowej wstędze. Nie było łatwo przejść przez to wszystko w roli osoby mającej zastąpić pannie młodej tragicznie zmarłą matkę, jednak z drugiej strony brzemię okazało się w pewien sposób zbawienne, gdyż pomogło Honor oderwać się od wspomniania tego, co stało się z Massimem Filaretą i jego flotą.

Oczywiście już samo znalezienie czasu na przygotowania ślubne było pewnym wyzwaniem. Szczęśliwie podwładni Honor byli nie tylko

wyrozumiali, ale i zdolni przejąć wiele obowiązków związanych z dowodzeniem Grand Fleet. Była im za to bardzo wdzięczna, jako że zawsze lubiła Rivkę, a po tych kilku miesiącach rozumiała, dlaczego Elżbieta tak entuzjastycznie popierała syna w jego wyborze.

Poradzi sobie, pomyślała Honor. Jest dokładnie taką osobą, jakiej Roger potrzebuje. Nikt lepiej od niej nie zdoła pomóc mu pozostać przy zdrowych zmysłach, gdy przyjdzie pora na zmianę na tronie Imperium Manticore.

Nie żeby Rivka nie miała paru ludzkich wad. Nawet teraz dawał się wyczuć w jej myślach usilnie tłumiony niepokój, graniczący zapewne z paniką. Wizja awansowania na małżonkę przyszłego króla już w wieku dwudziestu lat mogła się wydać upiorną perspektywą. Teraz, gdy Królestwo zmieniło się w Imperium, było to zapewne jeszcze trudniejsze, zwłaszcza jeśli pamiętać, że znalazło się ono w stanie wojny o przetrwanie, i to nie z byle kim, ale samą Ligą Solarną. Rivka jednak jakoś radziła sobie z tym wszystkim i pomimo śmierci matki oraz nowych obowiązków wśród jej emocji dominowała radość i gotowość do zmian. Roger odczuwał rzecz podobnie, co wiele mówiło o tym, jak dobrze się dobrali.

Procesja doszła do miejsca, gdzie czekał pan młody, i wszyscy uczestnicy orszaku rozeszli się zgodnie ze starannie zaplanowanym grafikiem. Stojący obok Rogera Hamish Alexander-Harrington uśmiechnął się do swojej żony, która zbliżyła się do Rivki i przejęła od niej bukiet ślubny złożony z kwiatów rosnących na wszystkich zamieszkałych planetach Gwiezdnego Imperium. Zaraz potem panna młoda podeszła do czekającego pod białą chupą Rogera. Dach katedry został wyposażony w dodatkowy świetlik, tak zaprojektowany, by wpadający przezeń blask błękitnego nieba Manticore trafiał akurat na

to miejsce świątyni. Honor odpowiedziała mężowi uśmiechem przez smugę blasku, wspominając, o ile prostsze były ich własne zaślubiny. Potem odsunęła się, Rivka i Roger zaś wzięli się za ręce i obrócili twarzami do biskupa Roberta Telmachiego i rabina Yaakova O'Reilly'ego.

Zaplanowanie uroczystości ślubnej uwzględniającej zarówno tradycje i wymogi Kościoła katolickiego, jak i judaizmu wymagało od wszystkich zaangażowanych sporej elastyczności. Formalnie rzecz biorąc, miały to być dwa obrządki, przy czym Rivka i Roger mogli zostać ogłoszeni mężem i żoną dopiero po odbyciu obydwu. Wymusiło to lekkie nagięcie protokołu, ale odczucia obu rodzin uznano za ważniejsze, zwłaszcza w obliczu śmierci Shamirah Rosenfeld. Honor przyjęła niecodzienne modyfikacje bez mrugnięcia okiem, przyzwyczajona do podobnych sytuacji na Graysonie. Telmachi i O'Reilly też nie robili problemów.

Arcybiskup Manticore i jego żydowski kolega nie tyle się uśmiechali, ile wręcz promienieli radością. Byli wyraźnie szczęśliwi. Honor wyczuwała ten ich stan ducha. Telmachiego poznała nieźle przez ostatnie kilka lat i wiedziała, że bardzo osobiście przeżywa tę sytuację. Nie dość, że żywił wielką sympatię wobec obojga młodych, to jeszcze miał to wydarzenie za w pewien sposób uzdrawiające dla całego państwa. O'Reilly'ego nie znała tak dobrze. Był spokojniejszy i z natury mniej emocjonalny, ale i on przeżywał na swój sposób tę chwilę, gdy kobieta, znana mu przecież od swego wczesnego dzieciństwa, miała zawrzeć związek małżeński. Pod tym względem jego radość była jeszcze jaśniejsza niż radość Telmachiego.

Rabin także doceniał znaczenie tego ślubu dla Manticore, jednak wyraźnie nie dawała mu spokoju myśl, że to nie do końca w porządku,

gdy składa się tak wielkie brzemie odpowiedzialności na barki bardzo młodych ludzi. Ale tak już było - w niespokojnych czasach wszyscy zwracali oczy w stronę rodu Wintonów, przy czym potencjalnie wszyscy mogli stać się jego częścią, żeby wspomnieć konstytucyjny wymóg szukania królewskich współmałżonków poza arystokracją. Dzięki temu dynastia Wintonów była o wiele bliższa swojemu „ludowi” niż większość innych monarszych i arystokratycznych rodów i nie zapominała o swojej szczególnej roli i odpowiedzialności. Związek ten znacznie wykraczał poza wszystko, co mówiła na ten temat literatura prawa, i tym bardziej czynił Rogera, a zapewne jeszcze bardziej Rivkę, symbolami nadziei na lepsze jutro.

O'Reilly spojrzał na Rogera i książkę Korony podał mu iluminowany zwój. Rabin rozwinął go i spojrzał sponad niego na pełne ludzi ławy chrześcijańskiej świątyni.

- Naszym przyjaciółom, którzy nie są Żydami, pragnę wyjaśnić, że to jest ketuba, kontrakt ślubny zawarty między Rivką a Rogerem - powiedział z uśmiechem. - Stanowi on ważną część naszej tradycji i ta właśnie tradycja wymaga, by został on teraz głośno odczytany.

Spojrzał na dokument, na którym widniały już parafki Rogera i Rivki poświadczane przez samego rabina, Chaima Rosenfelda oraz Justina Zyrra-Wintona, i zaczął czytać go po aramejsku. Honor nie znała tego języka, ale i nie musiała. Czytała wcześniej przekład ketuby, a gdyby nawet nie miała po temu okazji, wyczuwała czystą radość narastającą między Rivką i jej narzeczoną w miarę wybrzmiewania kolejnych zdań.

Gdy O'Reilly skończył, zwinął dokument i odsunął się, robiąc miejsce Telmachiemu, by ten zajął się właściwą częścią obrzędu zgodnie z wymogami jego Kościoła.

- Moi kochani, zebraliśmy się tutaj wszyscy w Bożym domu, by towarzyszyć temu młodemu mężczyźnie i tej młodej kobiecie w chwili, gdy przyjmą sakrament małżeństwa - powiedział. - Małżeństwa ustanowionego przez Boga i wprowadzającego nas w mistyczną jedność z Chrystusem i Jego Kościołem, uświęconego i wyniesionego przez Chrystusa Jego obecnością i cudem dokonany w Kanie Galilejskiej...

Odnoszące się do dalekiej przeszłości słowa dotarły do pogrążonych w milczeniu zgromadzonych. Dotarły także i do Honor. Sięgnęła myślą do stojącego tuż obok Hamisha i Emily siedzącej na swoim zautomatyzowanym wózku przy skraju pierwszego rzędu ław przeznaczonych dla rodziny panny młodej. Wyczuła emocje swojej matki i narastające w niej szczęście, podobnie jak i płonący ciągle w duszy ojca ból, topniejący jednak w zetknięciu z tym, co działo się w katedrze, i dzięki brzmieniu wygłaszanych właśnie słów wywodzących się z samych początków dziejów człowieczeństwa. Cała katedra wzbierała radością i nadzieją, które wdzierały się falami i w umysł Honor, napełniając go blaskiem i poczuciem, że to wszystko ma wielki sens i służy dobrej sprawie. W pewnej chwili księżna poczuła nawet wzbierające pod powiekami łzy i jak nigdy zapragnęła, by wszyscy obecni mogli poczuć dokładnie to samo, czego jej było dane doświadczać w tej właśnie chwili.

Mimo powagi sytuacji i specyfiki zaślubin sama ceremonia była bardzo prosta. O'Reilly ogłosił młodych mężem i żoną, a Telmachi przyklęknął i ustawił na dywanie przed Rogerem szklany kielich. Roger wysunął wtedy na chwilę dłoń z dłoni Rivki, uniósł prawą stopę i opuścił obcas na naczynie, zgodnie z pradawną żydowską tradycją

miażdżąc je na drobne kawałeczki. Gdy odgłos pękającego szkła przebrzmiał, pan młody spojrzał w oczy swojej żony.

- O Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica - wyrecytował słowa pochodzące z jeszcze dawniejszych czasów, a jego głos poniósł się wyraźnie po świątyni. - Niech język mój przyschnie do gardła, jeśli nie będę pamiętał o tobie; jeśli nie postawię Jeruzalem ponad największą moją radość” .

Potem ujął jej twarz w dłonie, pochylił się i ich usta wreszcie się spotkały.

*

- Byłem w życiu na kilku znaczących ślubach, ale nie na takim - powiedział Benton-Ramirez y Chou, wskazując kieliszkiem w stronę tłumy wypełniającego tereny okalające pałac Mount Royal.

Ochrona była niemal równie liczna jak goście, włączając w to widoczne niemal wszędzie treecaty. Część z nich przemieszczała się wierzchem, czyli siedząc na ramionach opiekunów, pozostałe zaś, a były ich całe dziesiątki, rozłożyły się na konarach rosnących tu i ówdzie drzew oraz poręczach i zadaszeniach altan. Mimo gwaru ludzkich rozmów i nieustannej aktywności orkiestry słyhać było ich blekanie, gdy raczyły się blaskiem tyłu umysłów, działającym na nie trochę tak jak dobre wino. Cały czas jednak pozostawały czujne, a cały personel ochrony, rekrutujący się spośród przedstawicieli pół tuzina narodów, nieustannie obserwował ich zachowanie, podobnie jak dawni górnicy spoglądali co chwilę na wiszącą w chodniku klatkę z kanarkiem.

Nikt nie miał najmniejszej szansy, by ukryć się ze swoimi myślami przed zmysłem telepatycznym futrzastych strażników, jednak większość gości przywykła już do ich stałej obecności. Wszyscy byli

świadomi, czemu ma ona służyć, jak i tego, że nigdy nie należy być zbyt pewnym siebie i lekceważyć zagrożeń. Zwłaszcza w taki dzień.

Honor zdołała w końcu znaleźć chwilę dla swojego wuja i rodziny. Wygłosiła mowę wymaganą od osoby pełniącej rolę matki panny młodej, po czym z pomocą licznych personelu damy Arethy upewniła się, że tysiące podarunków otrzymanych przez Rogera i Rivkę znalazły się w bezpiecznym miejscu i zostały opatrzone właściwymi plakietkami. Panna młoda oznajmiła, że zamierza wysłać wszystkim darczyńcom osobiste podziękowania, i Honor była pewna, że stanowcza dziewczyna dopnie swego, nawet gdyby miało jej to zabrać masę czasu.

Potem księżna pomogła jeszcze Rivce przebrać się z sukni ślubnej w równie kosztowną (i tak samo elegancką w swej prostocie) dworską suknię w barwach Wintonów, które Rivka miała teraz prawo nosić. Przede wszystkim zaś starała się wesprzeć psychicznie dziewczynę przed pierwszym dniem w roli małżonki następcy tronu Manticore. Przesadą byłoby twierdzić, że Rivkę zżerała trema, ale bez wątplenia czuła się trochę nieswojo na myśl o obowiązkach, które miała odtąd pełnić przez resztę życia.

Honor wyczuwała jednak, że młoda kobieta dzielnie zebrała się w sobie. Wyprostowała plecy i uniosła wysoko głowę, gotowa sprostać wyzwaniu. Jednym ze źródeł jej siły było pochodzenie ze stanu średniego. W tym akurat była bardzo do Honor podobna. Żadna z nich nie marzyła w dzieciństwie, że zajdzie aż tak wysoko. Wyczuwając obawy Rivki, księżna otoczyła ją ramieniem i przytuliła na moment.

- Będzie dobrze - powiedziała i Rivka spojrzała na nią z niepewnym uśmiechem.

- To aż tak widać? - spytała.

- Jeśli ktoś wychował się z treecatami... - odparła Honor. - Prawdę mówiąc, ten tłum jest trochę ponad moje siły.

- Ale twoja matka świetnie sobie radzi - zauważyła Rivka.

- Tak, ale też się wyrwała, gdy tylko trafiła się jej okazja. Co więcej, nie wychowywała mnie wcale na królową balu! - dodała Honor, rozbawiona tą myślą. - Nie powiem, pokrewieństwo z Benton-Ramirezem bywa niekiedy pomocne, ale zawsze byliśmy tylko rodziną i matka bardzo się starała, by nie zrobiło się z tego nic więcej. Pewnie dlatego długo trzymałam się z dala od polityki. Dopadła mnie dopiero w chwili, gdy Benjamin uczynił mnie patronką. A potem twoja świekra, bo tak teraz myślę o królowej, też postanowiła mnie wykorzystać i dalej już poszło! - Pokręciła głową. - Uwierz mi, to da się przeżyć. Zwłaszcza że jesteś tu dzisiaj nie z racji swojego pochodzenia czy pozycji, ale ponieważ jesteś właśnie tym, kim jesteś. Trzymaj się tego, a wszystko będzie dobrze. Uwierz mi.

Spoglądając teraz na Rogera i Rivkę stojących na tarasie i rozmawiających radośnie z kolejnymi gośćmi, uśmiechnęła się lekko, pewna, że powiedziała dziewczynie czystą prawdę.

- Muszę przyznać, że lista dzisiejszych gości robi wrażenie - powiedział Hamish.

- Robi wrażenie? - powtórzył ktoś. - Czy to ma być niedomówienie wieczoru?

Honor obróciła się ze śmiechem w stronę Emily, która zatrzymała się właśnie tuż obok niej.

- To chyba odpowiednik ulubionego powiedzenia wujka Jacques'a „to znaczące” - powiedziała. - No cóż, niektórzy kiepsko sobie radzą z wyrażaniem emocji.

- Później się policzymy - obiecał Hamish z diabelskim uśmieszkiem, a Nimitz bleeknął radośnie z ramienia Honor.

- Ta rozkoszna niepewność - powiedziała słodkim głosem do męża i spojrzała ponownie na wuja. - Chociaż tłumacząc z waszego na ludzki, w sumie obaj macie rację. Nie wiem, czy zdarzyło się kiedyś w dziejach podobne wesele.

- Chyba nie - odparła Emily - Jestem wręcz pewna, że nie było takiego od czasów Diaspory, gdy ludzie zaczęli wynosić się z Ziemi. Bo kogo tu mamy, jest królowa Manticore, prezydent Republiki Haven, protektor Graysona, przewodniczący Rady Dyrektorów Beowulfa, królowa Berry i pierwszy kuzyn andermańskiego imperatora. Nie wspominając o skromnej osobie patronki Harrington i dowódcy Grand Fleet wraz z całą plejadą diuków, earłów, członków gabinetu rządowego Haven, trzech innych członkach Rady Dyrektorów, szefie sztabu Sojuszu, szefie operacyjnym Beowulfa, admirale Yanakovie, admirale Yu, kilku ambasadorach i Bóg jeden wie, kim jeszcze. Bez wątplenia były śluby o liczniejszej obsadzie, ale żeby zebrać takie właśnie osoby w jednym miejscu...?

Pokręciła głową. Honor nie mogła się z nią nie zgodzić.

- Szkoda, że ci kretyni z Old Chicago tego nie widzą - powiedział poważnym tonem jej wujek. Spojrzała na niego unosząc brew. - Do nich ciągle nic nie dociera. Obawiam się, że zasadniczy problem na tym właśnie polega, że oni żyją we własnym świecie. My wszyscy jesteśmy dla nich tylko pionkami na planszy, i to w grze toczonej wedle reguł, które ważne są tylko w zaciszu gabinetów tamtego szanownego towarzystwa.

- Dlatego w ogóle się zaczęło - zgodził się Hamish. - Gwarantuję ci jednak, że owo „zacisze” gabinetów nie jest już takie ciche! Bardzo im

się to oczywiście nie podoba i próbują zatkać sobie uszy palcami, ale długo już tak nie pociągną.

- I tak starczyło im uporu, by wszystkich nas wpakować w burdel, który bardzo trudno będzie uporządkować - zauważył Benton-Ramirez i Hamish pokiwał głową.

- Bez dwóch zdań. Pytanie tylko, jak długo jeszcze utrzymają się na powierzchni. Moim zdaniem gotowi są dyrygować swoją orkiestrą aż do chwili, gdy pokład usunie im się spod nóg. Ale wtedy ktoś inny zajmie ich miejsce i trudno przewidzieć, jak się ten ktoś zachowa. To będzie kluczowa kwestia, Jacques. Kluczowa dla rozwiązania problemu.

- To oraz ilu ludzi będzie musiało jeszcze zginąć - odpowiedziała lodowatym tonem Honor, a Nimitz jęknął cicho i poruszył się niespokojnie na jej ramieniu.

- To też - zgodził się jej mąż, obejmując ją. - Chciałbym zapewnić, że nikogo już nie zabijemy ani nie stracimy, ale obawiam się, że to może się nie udać.

- Wiem - powiedziała, odwzajemniwszy uścisk. - Wiem. I obiecuję nie popsuć z tego powodu wesela Rogera i Rivki. Postaram się.

- Wątpię, by podejrzewali cię o takie zamiary - stwierdziła Emily. - Ale tym bardziej głowa do góry i żadnego smucenia się!

- Tak, ma'am - odparła służbistym tonem Honor, wywołując śmiech wujka.

- Jesteście siebie warci - powiedział. - I cieszę się, że na siebie trafiliście. I trzymajcie tak, bo udało wam się coś szczególnego. Naprawdę.

- Zgadzam się - mruknęła Honor, dotykając zdrowej dłoni Emily. Potem spojrzała w stronę podwyższenia dla orkiestry, która przestała właśnie grać. Nadeszła pora toastów. Jako pierwszy odezwał się Chyang

Benton-Ramirez, unosząc kielich z rozjaśnionym promieniami słońca winem. Honor i jej bliscy znajdowali się za daleko, by cokolwiek usłyszeć, ale do ich uszu dobiegły oklaski.

- Co? - usłyszała Honor i spojrzała na wuja.

- Co „co”? - spytała, przechylając lekko głowę.

- Chyba znowu zatopiłaś się w myślach - powiedział oskarżycielskim tonem Jacques. - Jak cię znam, znalazłaś sobie nowy powód do zmartwień!

- Ależ nie! - zaprotestowała Honor.

- A owszem, jak najbardziej. Nimitz?

Wszyscy spojrzeli na treecata, który zastanowił się chwilę, po czym pokiwał głową. - Ty zdrajco! - syknęła Honor.

- Daj spokój! - polecił Jacques. - Wyrzuć to z siebie, zanim będziesz musiała tam wrócić i podjąć swoje weselne obowiązki.

Honor przyjrzała mu się uważnie i wzruszyła ramionami.

- Może i masz rację. Chociaż z drugiej strony własnym uszom nie wierzę, że jestem skłonna ci ją przyznać.

- Ja zawsze mam rację - odparł z godnością jej wuj. - Tyle że zwykle otaczają mnie ludzie, którzy nie potrafią tego zrozumieć. Docenić mnie też nie potrafią. A teraz mów!

Honor skrzywiła się i westchnęła.

- Dobrze. Przyglądałam się przewodniczącemu Benton-Ramirezowi. Wydaje się tak swobodny i beztroski, a przecież cały czas wisi nad wami sprawa głosowania nad wnioskiem Reida.

Wszyscy spojrzeli na nią i przypomnieli sobie, że rzucone głosowanie i powołanie komisji mającej zbadać sprawę „zdrady” Beowulfa powinno odbyć się na Ziemi za niecałe dwadzieścia cztery

godziny. Przy dzielącej oba układy odległości miało to wymiar raczej symboliczny, ale na świadomość mogło działać.

- Nie ma się czym przejmować - odparł jej wuj po kilku sekundach. -
Wszyscy wiemy, jaki będzie wynik tego głosowania, Felicia zaś ma instrukcje, co wtedy czynić. Nie ma też większych wątpliwości, jak ostatecznie zareaguje na to elektorat. Wszystkie sondaże i spotkania, które przeprowadziliśmy, jednoznacznie na to wskazują. Wystarczy zresztą spojrzeć na to, co wypisują media w ramach komentarzy do ich tekstów!

- Wiem. Nie zapominaj, że moja matka pochodzi z Beowulfa. Ale to będzie znaczący krok i zastanawiam się, jak zareagują na to mandaryni.

- Niewiele mogą zrobić - stwierdził Jacques.

- Tylko czy oni o tym wiedzą? - spytała Honor. - Ich dotychczasowe poczynania nie sugerują, by rozumieli swoją sytuację. Cały czas powtarzam sobie, że tak naprawdę nie są głupcami, ale ludźmi tak ślepyimi, aroganckimi i zapamiętałymi w swojej pogardzie dla „neobarbarzyńców”, że nie potrafią działać racjonalnie. Niemniej w swoim własnym świecie nie robią wrażenia idiotów. A to z kolei oznacza, że powinni dostrzec słynny napis na murze, gdy oberwą już dość mocno, prawda?

- Zapewne - odparł Jacques. - Rozumiem, że w to wierzysz?

- Owszem, ale i tak się niepokoję. Wiemy przecież, co wyniknie z decyzji Beowulfa. Pozostaje nam przyjąć, że dla nich też będzie to oczywiste. A skoro tak, to sądząc po ich dotychczasowych działaniach, musimy także założyć, że spróbują coś z tym zrobić, zanim rzecz się dokona.

- Nie wydaje mi się, by mieli szansę na skuteczne działania. Przynajmniej w krótkiej perspektywie.

- Może i nie, ale byłabym spokojniejsza, gdybyśmy umieścili zawczasu na orbicie Beowulfa kilka tuzinów superdreadnoughtów typu Invictus.

- Chyba byłbym skłonny przyznać ci rację - odparł Jacques. - Ale to już decyzja polityczna i trudna do podjęcia. Wezwanie Manticore na pomoc w celu powstrzymania admirała Tsang przed przejęciem kontroli nad terminalem to była trochę inna sytuacja. Przypuszczam, że nikt nie postrzegał tego jako dyskusyjnego posunięcia. Jeśli jednak zaczniemy wprowadzać ciężkie jednostki RMN na naszą orbitę, to wywoła najpewniej całkiem odmienne reakcje. Mieszkańcy Beowulfa, którzy odnoszą się z rezerwą do perspektywy naszego przystąpienia do Sojuszu, a są i tacy, poczują się zagrożeni, a tego wolelibyśmy uniknąć. Zwłaszcza przed głosowaniem. Sprowadzając wasze jednostki, ułatwilibyśmy tylko robotę Reidowi i Neng. Łatwiej byłoby im wtedy przekonać Zgromadzenie Legislacyjne o naszej zdradzie. Chyba zgodzisz się ze mną?

- Ale jak sam wspomniałeś, wynik głosowania jest już przesądzony.

- Zapewne. Ale jest jeszcze coś, co też trzeba brać pod uwagę. Gdy tylko wyniki staną się znane, Felicia odpali w Zgromadzeniu własną atomówkę. Nie możemy dać mandarynom czy ich medialnym przydupasom żadnej szansy na zakwestionowanie legalności naszej decyzji. Jeśli na orbicie Beowulfa znajdzie się wtedy cokolwiek, co nie będzie należało do naszej floty, zaraz podniosą wrzask, że Rada Dyrektorów podjęła decyzję pod presją. Ludzie zaś głosowali, bojąc się wiszących nad ich głowami okrętów wojennych Manticore.

- Przykro mi to mówić, ale oni chyba mają rację, Honor - wtrącił się Hamish i nawet Emily pokiwała głową.

- Nie twierdzą, że nie - odparła Harrington z lekką irytacją w głosie.
- Zastanawiam się tylko, czy to wystarczający powód, by trzymać nasze ciężkie jednostki z dala od Beowulfa. Kto nam zaręczy, że jakiś solarny idiota nie dojdzie wtedy do wniosku, że są na tyle daleko od układu, że nie zdołają skutecznie interweniować, gdyby zdarzyło się... coś nieprzewidzianego?

- I dlatego właśnie pracujemy nad Mycroftem, by mieć rozwiązanie awaryjne - powiedział Hamish i Honor musiała przytaknąć. Ciekawe, że wybrał tę właśnie nazwę dla systemu wzorowanego na stosowanym przez Haven Moriarty. To Honor zaproponowała kiedyś taką drogę, przedstawiając zasadniczą koncepcję Sonji Hemphill.

Jednym z podstawowych problemów Sojuszu było uwiązanie zbyt wielu ciężkich jednostek przy obiektach wymagających stałej ochrony. Trzeba było znaleźć jakiś sposób na ich uwolnienie i Honor, której przyszło mimowolnie testować wcześniej system Moriarty, skłonna była pójść w tym właśnie kierunku. Po prostu miała okazję przekonać się, jak efektywne potrafią być zasobniki z wielostopniowymi pociskami przy obronie układowej. Sukces Michelle Henke w Spindle tylko potwierdził jej doświadczenia, i to jeszcze przed spektakularną zagładą floty Filarety. Honor poświęciła więc sporo uwagi możliwościom rozwojowym systemu Moriarty z jego rozproszoną siecią czujników i modułów kontroli ognia, tyle że wykorzystującym zalety nowoczesnych pocisków Mark 23 i Mark 23-E. Zachęcona przez Hemphill, odpowiedziała systemem Mycroft, który otrzymał nazwę, w którym występował też niejaki Moriarty, wyróżniony wcześniej przez Shannon Foraker.

Technicznie rzecz biorąc, system Mycroft składał się z kilkudziesięciu sond Keyhole z rozmieszczonych w różnych miejscach

układu planetarnego. Musiały one zostać wcześniej trochę zmodyfikowane. Typowe sondy były zasilane wiązkami z jednostek prowadzących, a te otrzymywały po prostu własne mikroosty. Podobnie było z modułami kontroli ognia i całą elektroniką wspierającą, która też znajdowała się wcześniej na pokładach okrętów stawiających zasobniki. Wszystkie te problemy miały jednak charakter czysto inżynierski i nie były trudne do pokonania na planecie z takim potencjałem konstrukcyjnym. Nawet w tej właśnie chwili, gdy Honor toczyła swoją rozmowę z wujem, ekipy na Beowulfie dawały z siebie wszystko, by jak najszybciej zakończyć prace.

Mycroft miał być o wiele sprawniejszy od Moriarty'ego.

Przede wszystkim był oparty na łączności nadświatłowej i tym samym mógł w pełni wykorzystać możliwości pocisku Mark 23-E i sond zwiadowczych, które także miały być gęsto rozmieszczane w całym układzie. Dodatkowo, i w odróżnieniu od Moriarty'ego, sondy Keyhole 2 miały posiadać silne uzbrojenie obronne. Nie były oczywiście niezniszczalne, ale ich neutralizacja miała być naprawdę trudna, co przy odpowiedniej liczbie modułów dawało całemu systemowi wysoką zdolność przetrwania.

- Zgadzam się, że gdy Mycroft będzie już działał, każda próba ruszenia Beowulfa okaże się bardzo kosztowna dla napastników - powiedziała Honor. - Problem jednak w tym, że podobnie jak w przypadku zespołu strzegącego terminalu, Mycroft nie jest szczególnie widoczny. W maskowaniu w ogóle trudno go zauważyć i tym samym nie będzie pełnił roli czynnika odstrasżającego. A dodatkowo musimy pamiętać, że minie jeszcze kilka miesięcy, nim naprawdę zostanie uruchomiony. Może nawet więcej. - Pokręciła głową. - I to niepokoi mnie najbardziej. Na miejscu mandarynów założyłabym, że zdajemy

sobie sprawę z konieczności zapewnienia Beowulfowi ochrony i na pewno coś w tym kierunku robimy, ale nie wiem, czy oni myślą w ten sposób.

- Cóż, obawiam się, że jest tylko jeden sposób sprawdzenia, jakim torem biegną ich myśli - powiedział filozoficznym tonem Benton-Ramirez y Chou.

- I tego właśnie się boję, wujku - stwierdziła Honor. - Tego właśnie się boję.

Rozdział XXXIV

Felicia Hadley siedziała z podniesioną głową w loży delegacji Beowulfa i starała się, by nikt nie dojrzał szalejących w niej emocji. Była nie tylko wściekła, ale też zmęczona i sfrustrowana dwoma tygodniami obrad nad wnioskiem Reida. Do tego dochodził jeszcze żal i poczucie pustki. Sama nie wiedziała do końca, jak to wszystko pogodzić, i tym samym trudno było oczekiwać, że ktokolwiek z zewnątrz będzie w stanie ją zrozumieć.

Nigdy jeszcze nie przeżyła w Zgromadzeniu czegoś podobnego. To był naprawdę paskudny czas, chociaż trudno było się temu dziwić, zważywszy na sytuację, w jakiej znalazł się Kołokolcow wraz ze swoimi mandarynami. Zrobili wszystko, co w ich mocy, by uczynić z Beowulfa kozła ofiarnego, i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Przeprowadzane z najróżniejszych stron ataki były starannie skoordynowane, media zaś robiły służalczo swoje, by rozdmuchać propagandowe szaleństwo i nadać różnym łgarstwom pozory prawdopodobieństwa. Tylko garstka dziennikarzy w rodzaju Audrey O'Hanrahan nadal próbowała przedstawiać racje obu stron, podobnie jak zdarzali się delegaci faktycznie dążący do poznania prawdy. Niestety, odosobnione trzeźwe głosy tonęły we wrzawie czynionej przez zwolenników oficjalnej linii. Zbyt wielu było po prostu polityków, jak i medialnych guru, którzy czuli się dłużnikami systemu albo też wiedzieli świetnie, jakie haki mają na nich mandaryni. W tej sytuacji wynik debaty nie mógł być inny.

Dwie rzeczy zaskoczyły wszakże Hadley. Jedną było natężenie nienawiści okazywanej przez delegatów innych układów w trakcie krytykowania poczynań Beowulfa. Zwolennicy Reida starannie wymierzyli swoje strzały, obudowując każdy pseudoargument całą masą pogłosek i denuncjacji, przez co szybko przyłączyła się do tej grupy liczna banda wolontariuszy, którzy w ogóle nie dbali już, by ich wypowiedzi miały jakikolwiek sens. Liczyło się tylko to, by dołożyć Beowulfowi. Nie wnukano w ogóle w motywy jego postępowania. Wściekłość tej licznej grupy delegatów żywiła się strachem i doniesieniami o wyższości systemów uzbrojenia Manticore nad wszystkim, co posiada Liga Solarna. Zdarzały się nawet płomienne wywody, że to właśnie „zdrada” Beowulfa sprawiła, iż tak wielkie zagrożenie zawisło nad Ligą. Nikt z tego tłumu nie próbował uzasadniać, jak niby pozwolenie na masakrę floty admirał Tsang miało to zagrożenie odsunąć...

Felicia przyznawała jednak w duchu, że nie tylko strach był tu istotny. Wielu delegatów otrzymało już wyczerpujące raporty na temat narastających problemów gospodarczych własnych światów. Wycofanie floty handlowej Manticore i zamknięcie przejść nadprzestrzennych zaczynało dawać się już we znaki i nikomu się to nie podobało.

Niektórzy rozumieli nawet, że na dłuższą metę będzie jeszcze gorzej, i bardzo chcieliby znaleźć winnego swojego położenia, a Beowulf był po prostu pod ręką.

Wobec takich okoliczności jeszcze bardziej zaskakujący był fakt, że niektórzy delegaci mimo wszystko skłonni byli przemawiać na korzyść świata Hadley. Nie posuwali się do aprobaty, bo do niej powodów żadnych nie widzieli, ale starali się chociaż dotrzeć do czegoś w rodzaju prawdy o opisywanych zdarzeniach, a ten i ów zastanawiał się nawet

nad konstytucyjną interpretacją działań Beowulfa, niczego z góry nie przesądzając.

Tyle że takich delegatów było naprawdę niewiele.

Felicia świetnie rozumiała, że pozostanie sobą wobec fali historycznych ataków wymaga nie byle jakiego charakteru. Chyba żadna z osób zasiadających w Zgromadzeniu Legislacyjnym nie była dobierana pod tym kątem i nie oczekiwała nawet, że zostanie pewnego dnia poddana takiej próbie. Parlament od iluś wieków służył jedynie do przyklepywania postanowień mandarynów. Jasne, chciałoby się to zmienić, ale nie teraz, nie z tymi ludźmi. Jak na razie było to po prostu niewykonalne.

Hadley wzdrygnęła się w duchu. Zgromadzenie było posłuszne mandarynom i żadna przemowa nie miała szansy na to wpłynąć. Pozostawała jednak pewna nadzieja na przyszłość. Musiała. Przecież w Republice Haven udało się nie tak dawno coś jeszcze trudniejszego. Nie tylko wrócili tam do poważnego traktowania konstytucji, ale odbudowali całe państwo i wszystkie jego struktury. Oczywiście Republika była znacznie mniejsza niż Liga, a panująca w niej wcześniej korupcja nie umywała się do tej, która rozpleniła się na Ziemi, ale mechanizm był podobny. Mimo wielu przeciwności Eloise Pritchard i Thomas Theisman wyciągnęli swój kraj z szamba, a skoro im się udało, Liga też miała szansę.

Tyle że wcześniej miała zapewne oberwać militarnie dotkliwiej, niż kiedykolwiek zdarzyło się to Haven. Pytanie tylko, czy Liga zdoła wyciągnąć z tego jakąś naukę...

Rozmyślenia Hadley przerwał melodyjny sygnał, który rozległ się donośnie w wielkiej sali. Zgromadzenie zaczęło kolejną sesję.

*

Zwyczajowe formułki otwierające obrady zabrzmiały tym razem jeszcze mniej sensownie niż zwykle. Od dawna były tylko pustymi frazesami, tak jak Zgromadzenie nie dzierżyło od wieków żadnej realnej władzy politycznej. Były zbiorowym aktem hipokryzji i nikt, z samą Hadley włącznie, nie łudził się, że jest inaczej. Tyle że nigdy jeszcze ten dysonans nie wydawał się aż tak bolesny.

Może dlatego Neng odpracowała wszystkie wstępy szybciej niż zwykle. Z drugiej strony, ona jedna rzeczywiście tu kogoś reprezentowała i zapewne chciała jak najszybciej wywiązać się z tego, co obiecała pryncypałom. Zwłaszcza po tylu dniach przelewania z pustego w próżne.

Gdy przebrzmiała ostatnia formułka, Neng potwierdziła głośno osiągnięcie kworum i uderzyła drewnianym młotkiem o podkładkę.

- Zgromadzenie przystępuje do obrad - oznajmiła. - Głos ma delegat Ziemi.

Na ekranie pojawiła się twarz Tyrone'a Reida, który jako wnioskodawca miał prawo dać sygnał do ostatecznego głosowania. Był poważny, a spojrzenie miał pełne troski.

- Pani marszałek, wzywam do głosowania - powiedział po głębokim westchnieniu.

Ekran zaczął ponownie pokazywać oblicze Neng.

- Szanowni delegaci, wzywam do głosowania w sprawie AD-1002-07-02-22, dotyczącej wniosku o powołanie specjalnej komisji do zbadania zarzutu zdrady ciążącego na rządzie planetarnym Beowoulfa, mającym podjąć współpracę z wrogiem Ligi Solarnej. Debata w tej sprawie została zakończona i pora na decyzję.

Jej oblicze widniało nad zgromadzonymi, podczas gdy ci oddawali głosy. Nie trwało to długo. Chwilę później Neng spojrzała na swój

wyświetlacz i ponownie uniosła głowę.

- Wynik głosowania to osiem tysięcy siedemset dwanaście głosów za, dwa tysiące dziewięćset trzy głosy przeciw. Wniosek przeszedł.

Podniosła się wielka wrzawa, Hadley zaś zacisnęła szczęki. Nie ze zdumienia, ale ze złości. Jeśli już coś ją zaskoczyło, to fakt, że prawie jedna czwarta zgromadzonych była jednak przeciwko. To był znaczący sygnał dla mandarynów, którzy włożyli tyle wysiłku w osiągnięcie interesującego ich wyniku. Mimo wszystko nie zapanowali do końca nad sytuacją, co dawało nadzieję na przyszłość. Teraz jednak...

Hadley sięgnęła do swojego pulpitu, domagając się udzielenia głosu. Potem założyła ręce i czekała. Trwało trochę, nim hałas umilkł, dopiero wtedy Neng spojrzała na swój wyświetlacz i ponownie uderzyła młotkiem.

- Zgromadzenie wraca do porządku obrad! - oznajmiła ostrym głosem i ci, którzy świętowali już głośno swoje zwycięstwo, spojrzeli na nią ze zdumieniem. W końcu jednak posłuchali, a Neng odczekała jeszcze kilka sekund i spojrzała w stronę Hadley. - Udzielam głosu szanownej delegatce Beowulfa - powiedziała.

Hadley nie wstała nawet, nim jej twarz nie pojawiła się na ekranie. Siedziała, spoglądając na niego, a w sali robiło się coraz bardziej cicho. Czuła na sobie palące spojrzenia tysięcy oczu i kryjącą się w nich ciekawość, jak Beowulf zareaguje na tę porażkę. Co w ogóle można powiedzieć po tak poniżającym, bezprecedensowym głosowaniu? Dała im jeszcze kilka chwil na zastanowienie i zaczęła. Też ostro i stanowczo.

- Spędziłam w tym Zgromadzeniu blisko trzydzieści lat, służąc mojemu krajowi jako jego reprezentantka. Przez cały ten czas bezskutecznie próbowałam odnaleźć chociaż ślad tej odpowiedzialności i wysokich standardów moralnych, które

przyświecały twórcom naszej konstytucji, gdy powoływali to ciało. Nie ma żadnych wątpliwości, jakie ideały mieli wówczas na myśli i czego oczekiwali od tego Zgromadzenia. Jednak miast odnaleźć odbicie ich pragnień, stykałam się tylko z rutyną dominującą bez reszty nad pracami tej izby. Podobnie jak wy wszyscy, zdałam sobie w końcu sprawę z faktu, że prawdziwy ośrodek decyzyjny znajduje się gdzie indziej. Gdybym zaś żywiła jeszcze jakieś złudzenia co do rzeczywistego znaczenia izby, w której zasiadają demokratycznie wybrani przedstawiciele wszystkich światów Ligi, to głosowanie ostatecznie by je rozproszyło. W dobitny sposób ukazało, kto naprawdę stanowi prawa, decyduje o polityce i dzierży prawdziwą władzę w Lidze Solarnej. Zgromadzenie stało się już dawno maszynką do głosowania, przyklepującą posłusznie każdy pomysł grupy pochodzących z nominacji biurokratów, przywłaszczających sobie prawo do podejmowania decyzji w sprawach, w których zgodnie z konstytucją nie powinni mieć nic do powiedzenia. Dodatkowo Zgromadzenie Legislacyjne stało się w ich rękach narzędziem zwalczania opozycji i wyciszania wszystkich głosów protestujących przeciwko ich tragicznej polityce, która jest coraz bardziej szkodliwa dla Ligi, a ostatnio doprowadziła nawet do wojny. Wojny, której Beowulf próbował zapobiec, za co został właśnie nagrodzony. Chcieliśmy jej zapobiec czy chociaż nie dopuścić do jej eskalacji, nim pochłonie ona następne miliony ofiar i tryliony kredytów. I jaka nagroda nas za to spotkała? Zostaliśmy oskarżeni o zdradę, chociaż zgodnie z prawem skorzystaliśmy tylko z autonomii gwarantowanej wszystkim członkom Ligi przez konstytucję. Tej samej autonomii, z której korzystają codziennie światy delegatów biorących udział w zakończonym właśnie głosowaniu.

Przerwała na chwilę i spojrzała z pogardą na zgromadzonych. W sali panowała martwa cisza, przerywana jedynie rzadkimi okrzykami spontanicznego sprzeciwu.

- Nie mieliśmy złudzeń, że tak skorumpowane ciało zachowa się inaczej - podjęła lodowatym tonem. - Niemniej ta konstytucja, której literą łaskawi byliście pogardzić, gwarantuje wszystkim światom członkowskim jeszcze jedno prawo i Beowulf postanowił i z niego skorzystać. Skoro nie jesteśmy w stanie przeciwstawić się zbrodniczej i niszczyelskiej polityce mandarynów, zaprzestaniemy tych prób. Jako uprawniona do przekazania tej wiadomości delegatka Beowulfa informuję was, że decyzją naszego legalnie wybranego rządu za dwa miesiące od dzisiaj odbędzie się w naszym układzie powszechne referendum mające odpowiedzieć na pytanie, czy Beowulf pozostanie w Lidze Solarnej, czy wycofa się z federacji.

Teraz nawet głosy protestu umilkły. Wszyscy słuchali w napięciu.

- Referendum będzie miało w pełni demokratyczny charakter i trudno mi przesądzać o jego wynikach, ale osobiście nie mam wątpliwości, czym się zakończy. I wyrażając prywatne zdanie, dodam, byście nie łudzili się, że będzie inaczej. Przegłosowaliście swój wniosek i możecie badać, co tylko chcecie, ale Beowulf nie weźmie już udziału w tej ponurej tragifarsie, nie przyłoży ręki do realizacji przyjętego przez skorumpowanych oligarchów scenariusza, który dopuszcza mordowanie całych narodów w imię ukrycia własnych błędów czy nawet dopuszczenia możliwości, że mogło się je popełnić. Rezerwujemy sobie prawo do obrania innego kursu i odcięcia się od bezprawnych i kryminalnych zgoła działań, z masowymi mordami włącznie. Sami spróbujemy odnaleźć swoje miejsce w czasie kryzysu spowodowanego działaniami stałego podsekretarza Kołokolcowa i jego mandarynów.

Tym, którzy głosowali przeciwko nam, życzę radosnego świętowania tego ruchu. Nie sądzę jednak, by wasza radość potrwiała długo.

Po tych słowach zdecydowanym ruchem wyłączyła kamerę, wymazując swoje oblicze z ekranu. Moment później w sali zapanowało prawdziwe pandemonium.

Rozdział XXXV

- Nadal jesteś pewien, że wniosek Reida „trwale zneutralizuje” Beowulfa? - spytał ironicznym tonem Nathan McArtney, patrząc na Kołokolcowa.

- Pewien nigdy nie byłem - odparł stały podsekretarz. - I nigdy nie mówiłem, że trwale ich zneutralizuje. Oczekiwałem tylko, że dzięki niemu wszyscy zajmą się Beowulfem, a nie nami. Że skupią się raczej na Hadley. I tak też się stało. Przyznaję, nie spodziewałem się, że Beowulf posunie się aż tak daleko, ale ostatecznie to chyba tylko na dobre nam wyjdzie? Hadley nie będzie więcej mieszać w Zgromadzeniu - dodał z uśmiechem. - Skoro nie możemy temu zapobiec, pozostaje wyszukać jakąś jasną stronę.

Deklaracja Hadley kompletnie go zaskoczyła i nawet nie próbował tego ukrywać. Dostrzegął wcześniej kilka możliwych profitów płynących z wywołanego przez Reida zamieszania, ale żaden scenariusz nie przewidywał, że Beowulf może po prostu wycofać się z Ligi, przekreślając w ten sposób siedem wieków przynależności. Nikt nigdy nie zdecydował się na podobny ruch i mało kto nawet pamiętał, że konstytucja daje takie prawo wszystkim członkom federacji.

Rząd Beowulfa miał najwyraźniej lepszą pamięć i widział sprawy po swoim. Wprawdzie secesja układu jeszcze się nie dokonała, ale szanse na to, by taka decyzja nie zapadła w referendum, były małe. Benton-Ramirez i członkowie jego gabinetu musieli mieć dostęp do wyników sondaży, które dotąd nikogo na Ziemi nie interesowały. Niemniej i te, które dostarczono mandarynom, były mocno niepokojące.

Co najmniej osiemdziesiąt dwa procent mieszkańców układu popierało decyzję rządu o wezwaniu na pomoc Manticore w celu powstrzymania admirała Tsang przed opanowaniem terminalu. Tylko trochę niższy odsetek (zależnie od źródła 75 do 78 procent) wierzył niezachwianie, że uchroniło to załogi solarnych okrętów przed zagładą. Na dodatek jakieś 85 procent wprost opowiadało się za zawarciem sojuszu z Gwiezdnym Imperium Manticore, by wspólnie przeciwstawić się wymyślonemu przez Manticore zagrożeniu mającemu związek z tak zwanym Równaniem. Byli niebezpiecznie blisko uznania za sensowny pomysł stworzenia jakiegoś wspólnego frontu przeciwko Mesie i wszelkim siłom związanym z Równaniem czy działającym na jego korzyść. Z drugiej strony Kołokolcow nie dysponował żadnymi danymi na temat odbioru secesji Beowulfa w Lidze Solarnej i bardzo się obawiał, że ostatnie słowa przemówienia Hadley mogą okazać się prorocze.

Co gorsza, rząd federalny nie mógł wiele zrobić, by owej secesji zapobiec. Przynajmniej teraz, gdy RMN znajdowała się tylko o jeden tranzyt od Beowulfa. Już to było złą wiadomością, a na dodatek usłudźni członkowie Zgromadzenia Legislacyjnego donosili, że delegacje Strathmore, Kenichi i Galenu zamierzały doradzić własnemu rządowi pójście za przykładem Beowulfa! Nie wiedział, czy cokolwiek z tego zostało już przekazane, ale mieszkańcy tamtych światów mogli mieć swoje powody, by myśleć poważnie nad odłączeniem się od Ligi. Zwłaszcza teraz, gdy Beowulf się na to odważył. Gdyby naprawdę do tego doszło, sytuacja zrobiłaby się wręcz parszywa. Każdy z tych układów miał powyżej sześciu miliardów mieszkańców, co łącznie dałoby dwadzieścia cztery miliardy ludzi rezygnujące z członkostwa w

Lidze Solarnej. Byłby to bardzo poważny cios dla prestiżu i powagi rządu federalnego.

Chociaż nie, pomyślał Kołokolcow. Nie tyle dla rządu, ile dla całego systemu federalnego. I tym samym dla nas. Swoją drogą, może oni mieli nawet rację. Nie da się przecież zreformować lekką ręką struktury działającej nieprzerwanie od prawie tysiąca lat. Zwłaszcza w czasie kryzysu, czy właściwie dwóch kryzysów, militarne i konstytucyjnego. Tyle że gdybyśmy wszyscy poszli tą samą drogą, Liga musiałaby się rozpaść. Musimy więc trzymać się razem i wspólnie szukać rozwiązania. I znaleźć je, o ile tylko istnieje, zanim będzie za późno.

- Osobiście nie wydaje mi się, by wiele dobrego z tego wynikło - powiedział MacArtney. - Słyszałem też, że inni również nie są zadowoleni z ruchu Beowulfa. Zwłaszcza że w ten sposób Manticore zyskuje dogodny pretekst do ataku, gdyby chciało kiedyś na nas uderzyć. I przyznam, że mnie samemu ta perspektywa też się nie podoba.

- Najgorsze, co Manticore może kiedykolwiek zrobić, to atak na Układ Słoneczny - odparł Kołokolcow. - I to z ich perspektywy najgorsze, nie z naszej. W sumie chciałbym nawet, by spróbowali! - dodał ze śmiechem. - Trudno mi sobie wyobrazić inną ich akcję, która tak zjednoczyłaby światy centralne. Wszystkie by nas poparły!

- Naprawdę tak sądzisz? - spytała z niedowierzaniem Agata Wodosławska. - Przecież gdyby opanowali Ziemię, i to z udziałem Republiki Haven, o którym nie wolno nam zapominać, na resztę Ligi padłby chyba błady strach? Zaraz pospieszyliby z hołdami i tak dalej.

- Niektórzy może i tak, zwłaszcza w pierwszej chwili - zgodził się Kołokolcow. - Reszta jednak doszłaby do wniosku, że Manticore rzeczywiście realizuje czysto imperialistyczną politykę ekspansji.

Dokładnie tak, jak od jakiegoś czasu mówimy. Skończyłoby się gadanie o biednych neobarbarzyńcach próbujących bronić się przed solarną agresją. Wyszliby na cynicznych drani myślących tylko o podbojach. Największych Hunów w historii! Wówczas reszta Ligi byłaby zainteresowana wstrzymaniem ognia tylko po to, by nadrobić zaległości technologiczne i dokopać temu „Wielkiemu Sojuszowi”. Niestety, Manticore na pewno zdaje sobie z tego sprawę.

Pokręcił głową i spojrzał znacząco na MacArtneya, by przenieść zaraz uwagę na Wodosławską.

- Nie przypuszczam, by chcieli dolewać oliwy do ognia. I nie zrobią tego, o ile jakoś ich do podobnego manewru nie zmusimy. Nie sądzę też, by Beowulf zamierzał wkurzać sąsiadów zgodą na taki atak. Cokolwiek stanie się z Ligą, będą musieli przecież jakoś ułożyć sobie z nami kontakty. Gdyby teraz wbili Lidze nóż w plecy, mieliby przechlapane. Może nie od razu, ale jednak. Reszta światów kiedyś by ich z tego rozliczyła. Z katastrofalnymi, jak sądzę, skutkami.

- Tylko czy ten cholerny Beowulf to rozumie? - mruknął MacArtney.

- Najpewniej tak - powiedział z przekonaniem Kołokolcow, chociaż w głębi ducha nie był tego wcale pewien.

- Może - stwierdziła Wodosławska. - Ale to nie wszystko. Musimy wziąć pod uwagę także i ten wariant, że znajdą się naśladowcy. Przecież może się okazać, że Beowulf to nie wyjątek, a tylko pierwsza jaskółka tej pieprzonej wiosny. Gdyby tak się stało, trafimy z deszczu pod rynnę.

Kołokolcow skrzywił się w duchu. Nie zamierzał wyjawiać współpracownikom tego, co usłyszał od swoich ludzi w Zgromadzeniu. Będzie jeszcze na to czas, gdy zdoła potwierdzić te pierwsze informacje. Niemniej kwestia i tak istniała i nie można było jej zlekceważyć, musiał więc przynajmniej udać, że się nad tym zastanawia.

- Moje kontakty też się tym niepokoją - powiedział MacArtney. - Obawiają się, że nawet jeśli Manticore nie wykorzysta Beowulfa jako przyczółka do ataku na Ligę, sam przykład tego jednego świata sprawi, że inne spośród planet regionu centralnego zechcą pójść w jego ślady. Już to byłoby paskudne, ale jest też przecież ryzyko, że kolejne mogą wpaść na ten sam pomysł. Wiecie przecież, że nie wszyscy członkowie Ligi na równi popierają naszą politykę. Na pewno nie wszyscy są tak rozgoryczeni jak ci z Protektoratów czy Pogranicza, ale bez wątpienia mają nam za złe ekonomiczne faworyzowanie centrum. A wiele z nich leży bliżej Manticore czy Haven niż Ziemi i to nie biorąc nawet pod uwagę tuneli nadprzestrzennych. Jeśli dojdą do wniosku, że centralna część Ligi się rozpada, co powstrzyma ich przed poszukiwaniem nowych możliwych opiekunów?

Kołokolcow wiedział, o co tak naprawdę chodziło rozmówcom MacArtneya. Przedstawiciele różnych firm międzygwiazdnych obawiali się po prostu, że oddzielające się od Ligi światy zaczną nacjonalizować ich majątek. Polityczna jedność nie obchodziła ich tak bardzo jak stan ich interesów. Cokolwiek działo się w Lidze, nie było naprawdę ważne, o ile nie zagrażało działalności wielkich konsorcjów, które świetnie wiedziały, jak bardzo ich drapieżny kapitalizm dał się we znaki różnym lokalnym rządóm. Uzyskanie niepodległości oznaczałoby też wyzwolenie się spod wpływu tych wszystkich firm, oczywiście ze znaczną dla nich stratą.

Stały podsekretarz pokiwał poważnie głową, ale nadal się nie odzywał. W ogóle starał się nie wyrażać żadnych emocji, pilnie udając głębokie zamyślenie. Niestety, to, o czym wspomniał MacArtney, miało jeszcze drugie dno. Gdyby naprawdę doszło do wspomnianego przed chwilą rozpadu, najróżniejsze kompanie nie zawahałyby się przecież

przed zmianą frontu. Owszem, w tej chwili były najróżniejszymi agendami wrośnięte wręcz w Ligę i nijak nie opłacałoby im się nawiązywać kontaktów z Manticore czy Haven. Ani jawnych, ani tym bardziej niejawnych. Trudno też powiedzieć, jak przeciwnik zareagowałby na ich ewentualne propozycje. Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości: jeśli tylko przestaną postrzegać swoją przyszłość w Lidze Solarnej jako bezpieczną, zwrócą się w inną stronę, by ratować interesy. Co oznaczało, że na razie należało to towarzystwo dopieszczać, by żadne głupie pomysły nie przyszły mu do głowy.

Było zatem jeszcze gorzej niż źle.

- Sądzę, że Nathan ma rację - powiedziała Omosupe Quartermain. Nie przepadała za MacArtneyem i niechętnie go wspierała, ale sama też miała sporo kontaktów z coraz bardziej nerwowymi konsorcjami. - Niestety, mam wrażenie, że znaleźliśmy się w lawinie, która dopiero nabiera impetu. Póki co z każdym dniem będzie coraz gorzej i jeśli nie zrobimy czegoś, by chociaż spowolnić ten proces, możemy nie mieć czasu na realizację jakichkolwiek naszych planów.

Wodosławska spojrzała na koleżankę i przytaknęła, co było dla Kołokolcowa wielkim rozczarowaniem. Przez wzgląd na zakres swoich obowiązków obie panie zwykły często wspierać się w różnych działaniach, co mogło bardzo źle wpłynąć na integralność zespołu mandarynów.

- A co moglibyśmy twoim zdaniem zrobić, by wymusić spowolnienie? - spytał Malachai Abruzzi.

- Nie mam pojęcia - przyznała Quartermain i uniosła prawą rękę w geście bezradności.

- Wiem tylko, że jeśli pozwolimy Beowulfowi na ten ruch, ustanowimy precedens. Bardzo niebezpieczny precedens, jak zaznaczył

przed chwilą Nathan. Trybunał konstytucyjny nie orzekł jeszcze, czy jego decyzja jest zgodna z prawem, ale jeśli na to przystaniemy, damy całej galaktyce czytelny sygnał, że działanie Beowulfa jest w pełni legalne. A skoro on może to zrobić, każdy może pójść w jego ślady!

- Pozostaje kwestia podstawowa, że nie mamy ich jak powstrzymać - powiedział Abruzzi. - Cały czas mają pod bokiem około stu superdreadnoughtów pilnujących terminalu. Po tym, co stało się z Filaretą, nikt nie pośle przecież kolejnego zespołu na rozstrzelanie. Obawiam się, że w tej sytuacji kwestia tego, czy mamy prawo cokolwiek zrobić, traci gwałtownie na znaczeniu. Czy raczej zyskuje oczywistą odpowiedź.

- Ale to, że nie możemy nic zrobić, nie znaczy jeszcze, że powinniśmy pokornie się zgadzać - dodał z uśmiechem MacArtney.

- Czyli? - spytał Kołokolcow.

- Nikt nas nie zmusi do uznania legalności ich działań - wyjaśnił MacArtney, stukając palcem w blat biurka. - Możemy potępić ich decyzję, wskazując na jej bezprawny charakter, i zaznaczyć, że w najbliższym dogodnym momencie podejmiemy bardziej bezpośrednie działania.

- Co tylko podkreśli fakt, że obecnie możemy im co najwyżej nagwizdać - odparował Abruzzi. - Ośmieszymy się!

- Może tak, a może nie - stwierdziła Quartermain, zmieniając nagle wyraz twarzy. - Owszem, zgadzam się, że będzie to świadczyć o naszej chwilowej bezradności, ale cała Liga wie, że Beowulf leży w szczególnym miejscu i ma niemal bezpośrednie połączenie z Manticore. Większość zrozumie, że to bardzo ogranicza nasze możliwości manewru. Jeśli wystarczająco mocno to zaakcentujemy, jednoznacznie

damy do zrozumienia, że w przypadku innych układów zdecydowana reakcja jak najbardziej może mieć miejsce.

- Sugerujesz, byśmy całkowicie zignorowali konstytucyjne prawo do secesji i zapowiedzieli użycie siły, gdyby ktoś jeszcze zechciał się odłączyć? - spytała Wodosławska takim tonem, jakby zależało jej na pewności w tej kwestii.

- Jeśli będziemy musieli - odparła bez mrugnięcia okiem Quartermain. - Nie podoba mi się to i obawiam się, że znajdzie się więcej potencjalnie chętnych do secesji układów, wobec których też nie będziemy w stanie podjąć żadnej akcji zbrojnej. Ale wiele będzie najpewniej osiągalnych, przy czym Flota Graniczna raczej da sobie z nimi radę, jeśli tylko nie będą dysponować uzbrojeniem na poziomie Manticore czy Haven.

- Zapewne tak - zgodził się Abruzzi. - Chociaż trudno będzie przedstawić to w mediach jako pokojową akcję. Będzie jasne, że dopuszczamy się przemocy. Zwłaszcza po tym wszystkim, co dotąd sprzedaliśmy opinii publicznej.

- Jeśli uznamy oficjalnie, że Beowulf nie miał prawa dokonać secesji, wówczas Hadley i reszta jej delegacji wyjdą na zdrajców - powiedział MacArtney z paskudnym uśmiechem. - A skoro tak, należy ich czym prędzej aresztować, by nie opuścili naszego układu!

Jeszcze jeden genialny pomysł, pomyślał z goryczą Kołokolcow.

- Nathan może mieć rację - stwierdziła Quartermain, a Wodosławska ponownie pokiwała głową.

- A jeśli uznamy, że należy aresztować tych drani, to przymknąć też Carmichaela! - dodał MacArtney. - Także z paragrafu za zdradę!

- Chwila moment! - wykrzyknął Abruzzi. - Jeśli zaczniemy wszystkich wkoło oskarżać o zdradę i zatrzymywać delegatów

Beowulfa, zanim jeszcze całe to ich referendum doszło do skutku, reszta Zgromadzenia wpadnie w szal. I wcale nie dlatego, by gotowi byli współczuć Beowulfowi. Wystarczy, że też poczują się zagrożeni.

- Może i powinni - odciął się MacArtney. - Jeśli naocznie się przekonają, co może spotkać przedstawicieli układu gotowego zwrócić się przeciwko nam, porządnie się zastanowią, zanim zrobią to samo. Nie będą już tak skłonni do spektakularnych gestów!

- To nie jest Pogranicze - odparł Abruzzi. - Nawet nie Protektoraty. Mówimy o Ziemi i jej bliskich sąsiadach. Każdy z tych układów ma dość rozwinięty przemysł, by zbudować w razie potrzeby własną flotę. Może nie zauważyłeś, ale stoimy w obliczu konfliktu z przeciwnikiem, który bije nas na głowę, jeśli chodzi o jakość uzbrojenia. Naprawdę chcesz w tej sytuacji drażnić sojuszników do tego stopnia, by poczuli się zagrożeni i podjęli działania obronne przeciwko nam? Mało ci kłopotów?

Podsekretarz edukacji i informacji pokręcił głową, jakby własnym uszom nie dowierzał, MacArtney zaś poczerwieniał ze złości. Otworzył usta, by coś z siebie wyrzucić, ale Kołokolcow powstrzymał go gestem dłoni.

- Spokojnie, Nathanie. Malachai, też bądź uprzejmy się opanować. I ty, i Omosupe, i Agata zwróciliście nam uwagę na kilka bardzo ważnych spraw. Jednak Malachai też ma rację. Jeśli przyjmujemy taktykę represji, zrazimy do siebie wszystkich, a w tej chwili nie możemy sobie na to pozwolić.

- Ale nie stać nas też na rezygnację z tej taktyki - stwierdził z uporem MacArtney. Quartermain przytaknęła, ale Wodosławska zdawała się wahać. - Jeśli nie ukrócimy teraz zdecydowanie różnych podejrzanych praktyk, może nigdy nam się to już nie udać.

- Ale, jak wspomniał Malachai, w tej chwili nie stać nas na zbyt zdecydowane gesty - powiedział niewzruszenie Kołokolcow. - Jeśli spróbujemy zatrzymać Hadley i Carmichaela, inne światy odsuną się od nas, my zaś ujawnimy wszem i wobec naszą słabość. Wszyscy rozumieją, że chwilowo to akurat jest kres naszych możliwości. Zwłaszcza jeśli nie zdołamy, a na pewno nam się to nie uda, aresztować całego rządu Beowulfa. - Pokręcił stanowczo głową. - Nie. Nie możemy tego zrobić i nieważne, czy secesja jest legalna czy nie. Nie teraz. Później, owszem, na pewno wrócimy do sprawy we właściwej chwili, ale obecnie nie wolno nam nawet tykać tematu. Zbyt wiele mamy do stracenia.

- Ale nie mamy wyboru - zaczął MacArtney. - Jeśli myślicie...

- Chwilę, Nathanie - przerwała mu Wodosławska, zerkając znacząco na Kołokolcowa. Stały podsekretarz spraw wewnętrznych nadął się z urazy, ale zamknął wreszcie usta. - Co miałeś na myśli, gdy powiedziałeś, że to nieważne, czy secesja jest legalna?

- Że ważniejsze od legalności jest to, na ile działania Beowulfa zagrażają Lidze jako całości. Szczególnie zaś, na ile mogą wpłynąć na stanowisko rządów światów z regionu centralnego - odparł zapytany. - Sama kwestia secesji może w tym kontekście poczekać i sądzę, że chwilowo w ogóle nie powinniśmy jej ruszać. Zostawmy to Reidowi, Neng i ich komisji. Jestem pewien, że znajdą całą masę precedensów prawnych podważających to konstytucyjne prawo, z którego nikt wcześniej nie skorzystał. Ostatecznie mają całe siedemset lat historii do przejrzania! Praktyka prawna mocno się zmieniła przez ten czas i kto wie, czego ostatecznie się dowiemy.

Abruzzi zaśmiał się głośno i nawet MacArtney pokiwał głową.

- Możemy przyjąć stanowisko, że secesja nie jest legalna, ale oficjalnie lepiej będzie zachować rezerwę wobec tematu - dodał Kołokolcow. - Ogłosimy, że nie jesteśmy przekonani do decyzji Beowulfa, ale nie zamierzamy czynić niczego, co spowodowałoby eskalację konfliktu, dopóki odpowiednie organy nie przedstawią swojego werdyktu wraz z uzasadnieniem.

- Zatem na razie będziemy ronić łzy w cierpliwej bolesti? - spytał z namysłem Abruzzi. - Gniew zachowamy na później? I wtedy dopiero zdecydujemy, czy podejmować jakąkolwiek bezpośrednią akcję?

- Mniej więcej - przytaknął Kołokolcow. - Nie chcę dopuścić do narastania niezdrowych emocji. Chętnie rozwiązałbym ten problem, zanim jeszcze ktokolwiek inny wpadnie na pomysł zarządzenia podobnego referendum, ale wątpię, byśmy mogli liczyć na tyle szczęścia. Staram się więc unikać sytuacji, w której dostarczylibyśmy dodatkowej amunicji wszystkim tym, którzy mogą chcieć nawoływać do secesji w tym czy innym świecie. Niech nie mają za łatwo.

MacArtney i Quartermain nadal nie wyglądali na przekonanych, ale Wodosławska raczej nie podzielała ich podejścia.

- Wszystko to pięknie - powiedział po chwili MacArtney. - Ale z Beowulfem zostanie w tej sytuacji po staremu.

A owszem, pomyślał Kołokolcow. A przedstawiciele wielkich korporacji nadal będą ciosać ci kołki na głowie. Ale trudno, cudów nie będzie.

- Nie twierdzę, że powinniśmy zaniechać wszelkich działań wobec Beowulfa - powiedział głośno. - Zastanów się jednak, co naprawdę moglibyśmy zrobić. Nie myślę przy tym o stopniu legalności naszych poczynań, ale o ich skuteczności. W tej chwili musimy zdobyć się na maksymalnie realistyczne podejście.

- I o to chodziło z zostawieniem na boku sprawy legalności secesji? - spytała Wodosławska.

- Właśnie. - Kołokolcow przechylił się do tyłu wraz z fotelem. - Trzeba będzie włączyć w to Kingsforda, by przedstawił militarne opcje działań wobec Beowulfa. Oczywiście tylko te realne. Jeśli znajdzie się jakaś, która ma szansę zadziałać, wesprę ją całym sercem. Ale nie na podstawie dowolnej oceny prawnej działań Beowulfa. W tej chwili najważniejsze jest zagrożenie bezpieczeństwa Ligi, wynikłe ze związania się jednego z jej członków z naszymi zaprzysięgłymi wrogami. Jak powiedziała Omosupe, wszyscy wiedzą, jak blisko jest z Beowulfa do Manticore. To oznacza też, że Beowulf może łatwo stać się przyczółkiem do bezpośredniego ataku na Ligę, o którym z kolei wspomniał Nathan. My zaś mamy wszelkie prawo do działań zbrojnych wobec dowolnego państwa, które zagraża naszemu bezpieczeństwu. Nie przypuszczam, by Manticore okazało się na tyle tępe, by porwać się na coś takiego, ale sama możliwość takiego przebiegu zdarzeń to dość, byśmy podjęli środki zaradcze. Będzie to zwykłe działanie w samoobronie, i to takie, którego nie mogliśmy zaniechać. Liga rozliczyłaby nas z tego niedbalstwa, gdybyśmy nie wypełnili swojego obowiązku!

- Co pozwoli nam dołożyć Beowulfowi bez odwoływania się w ogóle do kwestii związanych z secesją! - ucieszył się Abruzzi. - O ile oczywiście zdołamy im dołożyć.

- Właśnie - powtórzył Kołokolcow. - Na dodatek żaden rząd, któremu może się marzyć secesja, nie przegapi tego sygnału, chociaż my na ten temat nawet się nie zajakniemy. Mimo to wszyscy rozumieją, o co naprawdę chodzi.

- A gdy wrzawa ucichnie, Reid i Neng zaprezentują wyniki prac komisji i orzekną, że Beowulf był winny zdrady, zanim jeszcze ogłosił secesję - dodała z namysłem Wodosławska.

- A jeszcze potem Reid przedstawi ekspertyzę prawną, zgodnie z którą prawo do secesji wygasło na przestrzeni wieków - rzucił entuzjastycznie Abruzzi.

Na kilka chwil zapadła cisza, przzerwana ostatecznie przez nadal niezadowolonego MacArtneya.

- Nie podoba mi się, że cackamy się z nimi, zamiast rąbnąć pięścią w stół - powiedział. - Wielu zinterpretuje to na naszą niekorzyść.

- Zgadzam się z tobą, ale Innokentij i Malachai też mają rację - stwierdziła Quartermain. - Biorąc pod uwagę nasze ograniczone możliwości manewru, nie widzę innej opcji, jak tylko opowiedzieć się za ich propozycjami. Tyle że musimy działać szybko i zdecydowanie. Bo Nathan też ma rację - dodała, spoglądając na pozostałych. - Sytuacja na Pograniczu będzie coraz gorsza i nic na to nie poradzimy. Nie możemy jednak dopuścić, by zaraza ogarnęła bliższe nam rejony Ligi. Musimy ugasić ten pożar, i to jak najprędzej!

*

- Chyba żartujesz - powiedziała Teague, wpatrując się w Dauda al-Fanudahiego.

Siedzieli nad lunchem na ławach kawiarnianego ogródka na dwusetnym piętrze gmachu Admiralicji. Letnie słońce grzało przyjemnie, a w dali widać było błękitne wody jeziora Michigan, upstrzone aż po horyzont barwnymi żaglami i kadłubami motorówek.

Tyle że żadne z nich nie miało akurat nastroju do podziwiania widoków.

- Chciałbym - odparł al-Fanudahi całkiem spokojnym głosem i Teague spojrzała na niego podejrzliwie. - Nie denerwuj się - rzucił, wpatrując się w gładź jeziora. - Jak dotąd raczej nikt nas nie śledził i lepiej, żeby tak zostało. Nie dawajmy nawet pretekstu do podejrzeń.

Teague zastanawiała się przez chwilę, po czym przytaknęła i sięgnęła po swój widelec.

- Jasne - mruknęła. - Ale i tak niezbyt wierzę. Powiedz, proszę, że chciałeś mnie nabrać.

- Chciałbym - powtórzył jej rozmówca z westchnieniem. - Niestety, to oficjalne zapotrzebowania. Pierwszego spodziewamy się dziś po południu. Z tego, co widzę, ktoś traktuje to bardzo poważnie.

- Po tym, co stało się z Filaretą? - Nabrała widelcem kęs świetnej sałatki z tuńczykiem i zaczęła go przeżuwać, nie czując w ogóle smaku.

- Wiem, że Rajampet nie był zbyt bystry, ale po Kingsfordzie oczekiwałabym czegoś więcej!

- W sumie chyba jest rozsądniejszy - odparł al-Fanudahi. - Nie wiem zresztą, czy to jego pomysł. Jednak rodzaj danych wywiadowczych, których od nas oczekują, nie pozostawia żadnych wątpliwości co do charakteru planowanej operacji.

- Ale atak na Beowulfa? - Teague pokręciła głową. - To najgorszy pomysł, o jakim słyszałam od czasu operacji Sprawiedliwy Gniew.

- Może - mruknął al-Fanudahi, wzruszając ramionami. - Wiele zależy jeszcze od parametrów misji i dostępnych zasobów.

- Parametrów misji? - zdumiała się dziewczyna. - Jakie niby parametry mogą dać naszym superdreadnoughtom szansę na przetrwanie w ogniu ich jednostek?

- Zgoda, tego nie wiem. Ale informacje uzyskane od załóg jednostek handlowych, które przechodziły przez terminal Beowulf już po operacji

Sprawiedliwy Gniew, sugerują, że całość zgrupowania Manticore przebywa w pobliżu wyjścia z korytarza nadprzestrzennego. Nie ma ich nigdzie obok planety.

- I co z tego? - spytała stanowczo Teague. - Okręty wojenne mają własny napęd. Podobno nawet całkiem sprawny.

- Tak, siły Beowulfa zaś też mają całkiem sporo własnych superdreadnoughtów. A do tego dochodzą jeszcze stałe instalacje obronne układu. Przypuszczam jednak, że nasi panowie życia i śmierci liczą na niechęć Manticore do angażowania się w nasze wewnętrzne sprawy i na to, że nie zrobi nic dla Beowulfa, dopóki nie odbędzie się tam referendum. Wiesz, oni też uprawiają swoją politykę.

- Politykę?

- Jeśli zależy im na zachęceniu innych układów, by poszły w ślady Beowulfa i osłabiły tym samym Ligę, będą unikać stosowania siły. Na pewno nie chcą, by ktokolwiek postrzegał tamtejszy rząd jako marionetki Manticore. Dlatego na razie strzegą samego terminalu, nie pchając się na orbitę planety. Nie stwarzają w ten sposób wrażenia, że to jakaś polityka kanonierek z ich strony. To delikatna sprawa, a gdy wziąć wszystko pod uwagę, i tak trzymają cały czas znaczne siły nie dalej niż w odległości paru godzin świetlnych od Beowulfa.

- Czyli co? Sądysz, że Kingsford i Bernard chcą wyjść zaraz za granicę nadprzestrzenną i opanować szybkim atakiem orbitę planety, nie dając nawet siłom Manticore czasu na reakcję?

- Sądzę, że coś takiego właśnie chodzi im po głowie - przyznał al-Fanudahi. - Nie wiem, jakie mają szanse, ale jeśli cały układ nie został naszpikowany zasobnikami, odpowiednio duża grupa superdreadnoughtów zapewne da radę się przebić. Zwłaszcza z nowym

uzbrojeniem od Technodyne. A gdy będą już na orbicie, zachowają się zgodnie z prawem międzygwiezdnym i zażądają poddania planety.

- A co będą w tym czasie porabiać te superdreadnoughty stacjonujące przy terminalu?

- spytała uprzejmie Teague. - Przecież zjawią się tam w mgnieniu oka i wykopią naszych z układu!

- Dokładnie nie wiem, ale przypuszczam, że zaraz po kapitulacji układu ogłosi się przyspieszone wybory, dotychczasową Radę Dyrektorów oskarżając przy tym o zdradę. Oczywiście w odpowiedzi na oczekiwania opinii publicznej Beowulfa. Ta nowa ekipa uzna natychmiast decyzję o secesji za bezprawną i niebyłą. My zaś uznamy z miejsca ten nowy rząd, oznajmiając, że został w pełni legalnie wybrany. Gdyby Manticore chciało wówczas coś z tym zrobić, musiałyby stąpać po bardzo kruchym lodzie, by nie wyjść na imperialistycznego potwora. Można więc oczekiwać, że zostawi Beowulfa własnemu losowi, zadowolając się utrzymaniem kontroli nad terminalem.

- A jeśli podejną do tego inaczej?

- Wówczas zapewne nasze dowództwo podejmie negocjacje w celu wycofania się z układu. Wspomni w ich trakcie coś o mylnym odczytaniu intencji obywateli Beowulfa i o tym, że teraz dopiero się przekonało, iż popierali oni w pełni decyzję swojego rządu. Potem przeprosi i gładko się wyniesie. Manticore ma dość oleju w głowie, by postawić negocjacje ponad walkę. Zwłaszcza że w tym drugim przypadku to na nich spadłaby oficjalnie odpowiedzialność za ewentualne szkody w infrastrukturze i ofiary. W tym przypadkowe, wśród ludności cywilnej. I trudno, żeby było inaczej, gdyby przypuścili niesprowokowany atak na pokojowo opuszczające układ zgrupowanie.

Teague nabrała kolejny widelec sałatki. Przeżuła ją i połknęła, ani na chwilę nie odrywając przy tym spojrzenia od twarzy rozmówcy. Potem pokręciła głową.

- To faktycznie mniej szalony plan niż atak na stołeczny układ Manticore, ale i tak pozostawia sporo do życzenia.

- Pozostawia. Z drugiej strony, nasi bonzowie znaleźli się niemal w ślepych zaułku -odparł al-Fanudahi. - Pewnie doszli do wniosku, że muszą coś zrobić, i obawiam się, że ich zdaniem to jest właśnie najlepsza dostępna opcja. W tym przypadku mają chociaż jakąś szansę powodzenia. Niewielką i mglistą, ale jednak. A bardzo zależy im na jakimkolwiek sukcesie.

Wzruszył ramionami i wrzucił sobie oliwkę do ust.

- Osobiście nie stawiałbym na nich dużych pieniędzy, ale Manticore też musi uważać, by nie zaognić sytuacji. Nie chce dodatkowo podburzać przeciwko sobie naszej opinii publicznej. Zwłaszcza jeśli Kingsford zdoła zmobilizować siły, zanim jeszcze pierwszy ze światów centralnych spróbuje pójść w ślady Beowulfa. Pytanie tylko, jaki scenariusz wybierze Manticore. Czy odegra rolę tyrana próbującego chronić klikę kolaborantów, czy może oswobodziciela ratującego demokrację przed narzuceniem jej niekonstytucyjnej tyranii biurokratów.

Przełknął i poszukał na talerzu jeszcze jednej oliwki.

- Ciekawy wybór, nie sądzisz?

Spis treści

[Tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[MARZEC 1922 ROKU PO DIASPORZE](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)

[Rozdział XXVI](#)

[Rozdział XXVII](#)

[Rozdział XXVIII](#)

[Rozdział XXIX](#)

[Rozdział XXX](#)

[Rozdział XXXI](#)

[Rozdział XXXII](#)

[Rozdział XXXIII](#)

[Rozdział XXXIV](#)

[Rozdział XXXV](#)